

„John Lutz wie,
jak wywołać dreszcze”
HARLAN COBEN

CRIME SCENE - DO NOT CROSS

John

LU TZ

PULS

*Każde morderstwo daje tylko przedsmak.
Każdy może być ofiarą.
Każda chwila może być ostatnią.*

Prószyński i S-ka

John Lutz

PULS

Tłumaczenie Bartosz Kurowski



Prószyński i S-ka

2013

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

CZĘŚĆ PIERWSZA

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12
13 14 15 16 17 18 19 20 21 22
23 24 25 26 27 28 29 30 31
32 33 34 35 36 37 38 39
40 41 42 43 44 45

CZĘŚĆ DRUGA

46 47 48 49 50 51 52 53 54
55 56 57 58 59 60 61 62 63

CZĘŚĆ TRZECIA

64 65 66 67 68 69 70
71 72 73 74 75 76 77 78
79 80 81 82 83 84 85

EPILOG

Podziękowania

Przypisy

Dla Jane Ellen Jones - duszy przepięknej

CZEŚĆ PIERWSZA

Imienia pantery, co w piersi mej jest, Poza mą nie pozna żadna
inna pierś, Nie pozna też, czemu niestrudzenie tak Miota się i w
ruchu tym trwa, ciągle trwa.

John Hall Wheelock, *Czarna pantera*

Autostrada 72, Środkowa Floryda, 2002

Konwojowanie kogoś takiego jak Daniel Danielle przyprawiało Garveya o dreszcze.

Zwyrodniałego bydlaka skazano za zabicie trzech kobiet, ale niektórzy szacowali, że zabił ich ponad sto.

Były to kobiety mieszkające samotnie; pozwalały psychopacie zbliżyć się do siebie, bo potrafił być niezwykle czarujący - jako mężczyzna i jako kobieta. Były to kobiety bez partnerów i gdy zniknęły, nikt za nimi nie tęsknił. Właśnie takie upatrywał sobie Daniel Danielle, takie torturował i niszczył.

Obok Garveya siedział Nicholson - równie postawny jak Garvey i też w brązowym mundurze. Ich zadaniem było przetransportowanie Daniela Danielle'a do nowego - i jak do tej pory utajnionego - stanowego więzienia o zaostrzonym rygorze w okolicy Belle Glade, miasta położonego po przeciwnej stronie stanu niż Sarasota. Właśnie w Sarasocie Danielle Daniel (występował wtedy jako kobieta) został schwytany, gdy pochylał się nad ciałem swojej ofiary; tam też go skazano. Dowody były przytłaczające. Zostawił „wizytówkę”, która miała być jednocześnie drwiną: naciągnął na kobietę majtki poprzedniej ofiary - majtki, które najwyraźniej włożył z okazji kolejnego morderstwa. Zgubiło go własne DNA.

Daniel był piekielnie inteligentny, a przez to jeszcze bardziej niebezpieczny.

Absolwent Vassar i Harvardu, wykładowca na Oksfordzie. Komuś takiemu wywiniecie się od morderstwa powinno pójść

gładko, jak wszystko inne w życiu. Nie poszło. Apelacje nie odniosły skutku i czekała go egzekucja.

Na stanowej autostradzie 72 było pusto. Przemierzali równiną, pozbawioną zabudowań część Florydy; w krajobrazie dominowała zieleń znaczone akcentami brązu.

Kraina bydła, które rzadko można było dostrzec z szosy, a jeśli już, to daleko, na horyzoncie.

Na pewno kraina wiatru i niesionego wiatrem pyłu. Gołym okiem dawało się zauważyć, jak wiry pyłowe formują się po obu stronach drogi tylko po to, żeby wkrótce się rozwiać. Wiele kilometrów dalej załączki tornad przybierały groźne kształty, ale ostatecznie nie rozwijały się w pełni.

Według ostatniej prognozy pogody prąd strumieniowy odchylił się. Oczekiwano, że nabierający impetu na wschodnim wybrzeżu Florydy huragan Sophia skieruje się ostatecznie na południe - choć nie tak daleko na południe jak mknąca autostradą, pokryta pyłem furgonetka. Mieli opóźnienie, bo piętnaście kilometrów za Arcadią zerwał się jej pasek klinowy. Tak czy inaczej, nic im nie groziło, jeśli huragan pozostanie na północy. W przeciwnym wypadku istniała możliwość, że jadą mu na spotkanie.

Co jakiś czas mijał ich nadjeżdżający z przeciwnej strony samochód. Wywoływał efekt Dopplera, a pęd powietrza kołysał kanciastą furgonetką. Dalej, na wschodzie, rodziło się coraz więcej wirów pyłowych i kłębiło coraz więcej czarnych chmur. Uporczywy wewnętrzny głos, który Garvey słyszał zawsze, kiedy jakaś część jego umysłu przeczuwała kłopoty, nie chciał umilknąć.

Nagle zerwała się ulewa. Silna. Garvey włączył światła furgonetki. Grad wielkości kamieni zaczął tłuc o przednią szybę auta; odbijał się od niej i od krótkiej, niezgrabnej maski pojazdu.

- Może powinniśmy zawrócić - odezwał się Nicholson. - Może

uda nam się uciec przed tym, co zmierza w naszą stronę. Czymkolwiek to jest.

- Rozkazy są jasne: dostarczyć więźnia. - Garvey dodał gazu. Uderzenia gradu o przednią szybę nasiliły się, jakby specjalnie ciskała nim jakaś olbrzymia dłoń.

Z tyłu furgonetki do Daniela Danielle'a przykutym był drugi skazaniec - młody człowiek w pomarańczowym kombinezonie więziennym, pod którym kryły się węzły mięśni i rozliczne tatuaże. Jego twarz, przypominającą połówkę przełamanej kamienia, znaczyły blizny po trądziku, a dominowały w niej - obok skrzywionego nosa - zmrużone, złe oczy. Bez trudu można go było wziąć za zatwardziałego recydywistę, ale tak naprawdę był policjantem w przebraniu. Nazywał się Chad Bingham i stanowił zabezpieczenie na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego i Daniel Danielle zaczął sprawiać kłopoty.

W tym momencie Bingham wolałby zapewne być gdzie indziej: miał żonę i dwójkę dzieci. Ale otrzymał też zadanie do wykonania.

Jego najłatwiejszą częścią było siedzenie tutaj z zaciętą miną i udawanie kogoś innego. Lecz biorąc pod uwagę, jak miały się sprawy, najtrudniejsza część zadania pewnie dopiero go czekała.

Grad nie ustawał, a Nicholson walczył z napływającą paniką. Sophia może i nie dotrze w pobliże, ale pewnie zrodzi tornada. Huragany słynęły też z tego, że potrafią niespodziewanie zmienić kierunek. Wyciągnął rękę i włączył radio, ale byli daleko na równinach, z dala od cywilizacji, i słyszał tylko zakłócenia.

Garvey zauważył nerwowość kolegi. Spróbował więc wywołać Sarasotę na policyjnej częstotliwości, ale i tu odpowiedzią był szum. Z takim samym skutkiem wywoływał Belle Glade.

- Burza uniemożliwia odbiór - powiedział, spoglądając w rozszerzone, błękitne oczy Nicholsona. Nie pamiętał, żeby jego

partner kiedykolwiek był tak roztrzęsiony.

- Zadzwoń z komórki - napiętym głosem zasugerował Nicholson.
- Żartujesz?

Nicholson wyjął własny telefon, ale nie miał zasięgu.

Obydwaj mężczyźni podskoczyli, gdy spod furgonetki dobyło się wściekłe łomotanie.

- Wiatr zwiął coś na szosę. Może gałąź - powiedział Garvey.
- Zjedź na pobocze. Wyciągniemy to.

- W taką pogodę? - odparł Garvey. - Ten grad zatłucze nas na śmierć!

- Cholera! A to co znowu? - jęknął Nicholson, widząc olbrzymi wieloramienny kształt, który jak wizja z koszmarne snu przetoczył się w poprzek drogi przed nimi.

- Wygląda na drzewo - odrzekł Garvey.

- W tej okolicy rzadko widuje się drzewa.

- Tego też już nie widać - powiedział Garvey, a samochód zakołysał się w porywie wichury.

Garvey zauważył nagle, że prowadzenie furgonetki stało się dużo łatwiejsze. Po chwili zrozumiał dlaczego: już jej nie prowadził. Wicher niósł ją ponad drogą.

Rzuciło ich na pobocze; przez chwilę orali porośniętą trawą ziemię. Potem furgonetka odbiła się i znów byli w powietrzu.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?! - wrzasnął Nicholson.

- Tkwię tutaj! Tak jak ty!

Wóz zachybotał się w prawo, potem w lewo i Garvey zrozumiał, że zaraz się przewróci.

- Trzymaj się! - krzyknął, sprawdzając wzrokiem, czy obaj mają zapięte pasy.

Wiatr zaskowyczał, stal zazgrzytała. Przewrócili się na dach. Garvey słyszał, że Nicholson coś krzyczy, ale nie potrafił rozróżnić

słów - hałas był zbyt duży.

Furgonetka spory kawałek szorowała na dachu, a potem zaczęła obracać się wokół własnej osi. Garvey czuł, że tłucze głową o boczne okno.

Kuloodporne szkło rozprysło się w ostre, nieprzejrzyste odłamki i Garvey zorientował się, że wzrok ma skierowany w ziemię. Gwałtowne szarpnięcie podniosło wóz na koła, ale po chwili znów przetoczył się na dach. Mimo zamroczenia Garvey zdawał sobie sprawę, że bez przerwy naciska nogą pedał hamulca.

Furgonetka znieruchomiała. Wiszący do góry nogami Garvey wyrzwał przez pozbawione szyby okno i spostrzegł, że zatrzymali się na jednym z nielicznych - jak twierdził Nicholson - drzew. Zerknął przez ramię. Nicholson był oszołomiony i miał wzrok szaleńca. A za Nicholsonem, za oknem...

- Tam jest chyba jakieś wzniesienie! - zawołał do Nicholsona. - Może osłoni nas przed wiatrem. Musimy wydostać się z wozu!

- Wiatr jest wszędzie! - wrzasnął Nicholson. - Wszędzie!

Garvey rozpiął obydwa pasy bezpieczeństwa, a rozluźnione ciało dało mu sygnał, że ma jakieś obrażenia wewnętrzne. Ignorując ból, wychylił się daleko na prawo, ku Nicholsonowi, i kopnął wygięte, poobijane drzwi. Uchyliły się o kilka centymetrów. Nie musiał więcej kopać, gdyż w otwarciu drzwi pomogła im wichura, która wyrwała je z jednego zawiasu i przycisnęła do boku furgonetki.

- Wiatr trochę cichnie - skłamał Garvey i zaraz zorientował się zdumiony, że rzeczywiście tak było. Dotąd jej ryk przypominał rozpędzony pociąg towarowy, teraz brzmiał bardziej jak rozpaczliwe wycie tysiąca samotnych wilków. Tornado wywołane przez huragan, pomyślał Garvey. Miał nadzieję, że się oddala.

Wężowymi skrętami ciała wydobył się z samochodu. Grad ustał, ale wiatr ciągle smagał zacinającym z ukosa deszczem. Garveya

bolało dosłownie wszystko. Później będzie musiał się przebadać, żeby sprawdzić, jak poważnie jest ranny. Dużo wysiłku kosztowało go podniesienie się na równe nogi: siła wichury nie pozwalała mu się wyprostować. Obok niego Nicholson na czworakach gwał kark przed zaciekłością Sophii.

Tylne drzwi przewróconej furgonetki nadal były zamknięte, ale dach został zgnieciony i zbrojone drutem szyby zniknęły z tylnych okien. Z jednego z nich wystawały dwie pomarańczowe nogawki zakończone parą czarnych więziennych butów. Z wnętrza dobiegał krzyk.

Z tyłu furgonetki Chad Bingham krwawił z rany, którą Daniel Danielle zadał mu długim odłamkiem szyby. Daniel też krwawił, gdyż skórę pocięły mu ostre kawałki szkła i metalu. Bingham miał oderwany skalp i twarz zalaną krwią. W trakcie dzikiego koziółkowania wozu Danielle'owi udało się wyrwać przyczepiony taśmą do kostki Binghamma krótki pistolet kaliber.25. Policjanta zdradziła ogorzała karnacja - Daniel od pierwszego spojrzenia zorientował się, że ten człowiek nie oglądał murów więzienia od wewnątrz.

Daniel trzymał przy gardle Binghamma mały pistolet. Wykręcone do tyłu nogi policjanta przyciśnięte były jego własnym ciałem. Stalowa szyna, do której obaj byli przykuci, złamała się na spawie. Byli wolni, choć nadal mieli skute przeguby.

To nogi Daniela wystawały z okna furgonetki. Obaj mężczyźni wiedzieli, że broń nabita jest kulami z wydrażonym czubkiem, które z bliskiej odległości zabijają krwawo i skutecznie. Daniel odrzucił odłamek szkła, a potem wolną ręką rozmazał sobie na twarzy trochę krwi Binghamma. Wtarł ją też we włosy. Obaj ostrzyżeni byli na więzienną modłę i tak zakrwawieni, że łatwo było ich ze sobą pomylić. Daniel potrzebował do działania tylko

chwili, którą dałaby mu taka pomyłka.

Wbił lufę w gardło Bingham.

- Chcesz żyć? Zawołaj, że zginąłem i żeby cię wyciągnęli - powiedział. - Inaczej zarobisz kilka kul we flaki.

Oczy przerażonego Bingham uciekły w głąb czaszki. Wiedział, że Daniel nie bez powodu cieszył się złą sławą.

- To ja, Bingham! - wrzasnął. - Daniel nie żyje! Wyciągnijcie mnie stąd, do cholery!

Bingham krzyczał, a Daniel wierzgał nogami.

Wydawało się, że upłynęło bardzo dużo czasu. Daniel znów dziabnął szyję Bingham lufą pistoletu.

- Hej! - ryknął Bingham. - Ratunku!

Daniel nie przestawał wierzgać.

Wreszcie poczuł, jak silne dłonie obejmują jego kostki i mocno się na nich zaciskają.

Ciągnęły i ciągnęły. Gdy zaczął wysuwać się z furgonetki, spojrzał Binghamowi w oczy i wymierzył broń dokładnie w jego jądra. Bingham ani pisnął.

I nagle Daniel był wolny - jak korek wystrzelony z butelki.

- Dzięki - powtarzał, kierując twarz pod wiatr i podnosząc się na nogi. - Z wami wszystko w porządku?

- Jesteśmy... - Garvey zamilkł, gdy zauważył swój błąd.

Daniel podszedł bliżej i strzelił mu w czoło.

Nicholson odwrócił się na pięcie, próbując ucieczki. Daniel dwa razy strzelił mu w kark; Nicholson upadł. Wiatr toczył przez chwilę jego ciało, ale szybko znudził się tą zabawą.

Pochylony pod naporem wichru Daniel wrócił do furgonetki. Bingham ciągle był w środku - skulony udawał martwego. Daniel strzelił mu w krocze i Bingham zaczął wyć. Daniel wiedział, że nikt tego nie usłyszy - nawet gdyby przypadkiem ktoś zabląkał się

w te okolice.

Nadal był skuty. Zaczął szukać kluczyków.

Pięć minut później Bingham obserwował przez zdeformowane tylne okno wozu, jak Daniel Danielle, utykając, znika wśród wichru i ulewy.

Po następnych kilku minutach pustoszący Florydę huragan z całą mocą zaatakował okolicę.

Chad Bingham miał potem zeznawać w szpitalnym łóżku, że Daniel niemal na pewno zmarł na skutek odniesionych ran albo zabił go huragan Sophia. Nie mógł przecież przetrwać na otwartej przestrzeni bez żadnego schronienia.

Ale tym, który zmarł z powodu odniesionych ran, był właśnie Bingham.

Stan Nowy Jork, czerwiec 2008

Linden R. Schueller, rektor Waycliffe College, nie mógł ze względów bezpieczeństwa lecieć nad Nowym Jorkiem. Ale zboczył nieco z kursu, żeby przynajmniej napatrzeć się na miasto z oddali.

Pilotował małego dwusilnikowego beechcrafta, w którym poza pilotem mogła zmieścić się piątka pasażerów z bagażem podręcznym. Samolot dałby radę dotrzeć do większości południowo-wschodnich stanów, tym razem jednak odbywał tylko krótki przelot z Albany, gdzie rektor najpierw kolejką, a potem taksówką dotarł na lotnisko, na którym wcześniej zostawił samolot. Korzystanie z małych lotnisk i różnorodnych środków transportu było skomplikowane, ale bezpieczniejsze. Trudniej było wyśledzić jego trasę. Z drugiej strony, rektor musiał bardziej uważać na to, co wiezie w bagażu. W dzisiejszych czasach nie dało się przewidzieć, na jakie kontrole można trafić, nawet jeśli korzysta się z małych lotnisk i pilotuje prywatny samolot kursem zakładającym staranne omijanie Nowego Jorku.

W dniach ostatnich nastaną chwile trudne^[1] - pomyślał rektor Schueller i uśmiechnął się.

W zamyśleniu przebiegł czubkami palców po okładce dziennika lotu oprawionego w najmiększą ze skór. Rektor świetnie radził sobie z komputerami i tak naprawdę nie potrzebował dziennika w formie papierowej, ale dotykanie go sprawiało mu przyjemność.

Przycisnął czoło do pleksiglasowego okna w kształcie rozciągniętego prostokąta, żeby lepiej widzieć, po czym z powrotem

opadł na fotel.

To dopiero miasto! Ilu ma już mieszkańców? Nie był pewien, a liczba zmieniała się w zależności od tego, komu zadało się to pytanie i kto opracowywał zestawienie statystyczne.

Miliony, na pewno miliony...

I byli tam, w dole, na wszystkich piętrach drapaczy chmur, przemieszczali się w każdym możliwym kierunku - nad ziemią, pod ziemią, w pojazdach, bez pojazdów. Byli w każdym możliwym wieku, mieli każdy możliwy wygląd, pochodzenie etniczne, orientację seksualną, wyznanie i poglądy polityczne... Możliwości były nieograniczone.

Z tyłu za oknem rozciągał się teraz błękitny, zamglony horyzont. Miasto znikało w oddali jak wspomnienia minionych dni.

Upływały minuty, mijały kilometry. Przed samolotem wschodził łuk zielonej ziemi.

Rektor zapomniał o urokach pejzażu i wyprostował się w fotelu. Przyszła pora przełączyć się na inny stan umysłu; zrobił to, jakby zrzucał jedną osobowość, żeby przywdziać inną.

Zmniejszył ciąg manetką przepustnicy i wprowadził samolot w lekki przechył, pilnując się, aby nos utrzymywać w górze. Bliźniacze śmigła złapały blask słońca i zmieniły się w płynne światło.

Samolot pochylił skrzydło, jakby chciał pozdrowić ziemię, teraz już dużo bliższą, po czym rozpoczął długie, zamaszyste schodzenie w dół, w stronę zielonego pola na dole, wykręcając ku południowemu zachodowi.

Przypomniła o swoim istnieniu grawitacja. Cieniutkie wstążki zmieniły się w drogi, roziskrzzone klejnoty - w samochody i domy. Akweny wodne połyskiwały w słońcu jak stopione srebro.

Widoczny był już wąski, trawiasty pas startowy - nieco inny

odcień zieleni przecinający pole na pół. Południowy kraniec pola zamykał zespół podobnych do siebie budynków z czerwonej cegły; łączyły je alejki obsadzone dorodnymi zielonymi drzewami.

Budynki pokryte były dachówkami o identycznym odcieniu szarości. Rektor Schueller pomyślał, że przypomina to elementy dziecięcego zestawu kolejki elektrycznej, w którym brakowało tylko kolejki.

Rektor wkrótce się tam znajdzie.

Wróci do domu. Wciągnie go - zaspokojonego - wir codziennych spraw.

Na jakiś czas.

Nowy Jork, dzisiaj

Ciało odzyskującej świadomość Macy Collins szarpnęło się konwulsyjnie. Nie mogła zaczerpnąć tchu, nie mogła zrobić wydechu. Przeszkadzał jej w tym dokładnie zaklejający usta szeroki prostokąt szarej taśmy klejącej. Mężczyzna, który klęczał nad nią okrakiem, ścisnął jej nos kciukiem i palcem wskazującym.

Ogarnięta paniką krzyknęła niemal bezgłośnie. Wierżgnęła nogami i poczuła, że pięty wbijają jej się w trawę i twardą ziemię. Siedział na jej torsie i pochylał się do przodu; nogami przyciskał jej ramiona, a ciężarem ciała klatkę piersiową.

Uśmiechnął się do niej, po czym puścił jej nos, by mogła wciągnąć cenny tlen.

Przejaśniło jej się w głowie i nagle wszystko sobie przypomniała, od razu żałując, że odzyskała przytomność, że nie umarła. Wygięła szyję i popatrzyła w dół, na czerwone, żywe mięso w miejscu, w którym kiedyś miała prawą pierś. Potem podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, nie bardziej ludzkie niż czarne perły. Kiedy uciekała spojrzeniem, zauważyła, że miał erekcję. Mimo że ostatniej nocy...

Był przecież taki czarujący! A potem pewnie wrzucił jej coś do drinka. Coś, po czym stała się na tyle uległa, żeby zgodzić się na spacer po Central Parku o zmierzchu.

Zmierzch już dawno zamienił się w noc, ale na czarnym niebie, nad cienistymi konturami zagajnika, do którego ją zaciągnął, jasno świecił księżyc. Będzie więc widziała wszystko, czego bała się tak, że serce więzło jej w gardle.

Uniósł w górę nóż do oddzielania kości, którego długie cienkie ostrze pokryte było smugami krwi.

- Pomyślałem, że powinnaś być na tę okazję przytomna - powiedział. - Z pierwszą miałem tyle frajdy...

Macy znowu zaczęła się szarpać, widząc, że nóż wolno i nieubłaganie zbliża się do piersi, która jej pozostała. Strach i ból wywołały falę mdłości i zaczęła tracić przytomność.

Poczuła, że znów osuwa się w straszliwą ciemność, a jednak powitała czarną pustkę jak ratunek przed dziejącą się potwornością. Tak, mogła się uratować, bo nie działo się to naprawdę. To nie mogło naprawdę się dzieć.

A jeśli się działo, to komuś innemu i na pewno nie w jej świecie. W innym świecie. W świecie, który jej się śnił.

Nic z tego nie jest rzeczywiste. Ani ból, ani strach.

Odpływała w dal. Osuwała się...

Ponownie ścisnął jej nos. Zatomowany oddech wezbrał jej w gardle i znowu była w pełni przytomna, w pełni świadoma.

Znowu.

To działo się naprawdę!

On był rzeczywisty!

I rzeczywisty był nóż.

Później, kiedy już prawie z nią skończył, do końca ściągnął spodnie. Dotąd miał tylko otwarty rozporek. Został w bladoniebieskich majtkach, które też szybko zdjął, przez chwilę tylko zachwycając się ich jedwabną miękkością.

Znalazł czarne stringi ofiary, które wcześniej zsunął z niej i odrzucił na bok. Włożył je na siebie. Potem ostrożnie uniósł jej nogi i naciągnął na nią swoje niebieskie majtki. Jeszcze nie umarła; nieświadomie pomagała mu uginaniem kolan i prostowaniem palców u nóg.

Później z powrotem włożył spodnie, a na nie drugie, które przyniósł ze sobą w aktówce - luźniejsze, z potrójnymi zakładkami. Były z bardziej szorstkiego materiału, nie tak przyjemne w dotyku.

Przyklęknął obok niej, starając się nie poplamić krwią.

- Jesteś tam jeszcze? - wyszeptał.

Ale ona go nie słyszała. Była w głębokim szoku i zbliżała się do niej śmierć.

Wpatrywał się w nią łapczywie. Chłonał wyraz jej oczu.

Jesteś tam jeszcze?

Kiedy nadszedł ten moment, był gotów.

Miał jeszcze jedno do zrobienia przed odejściem. Rozpostarł stronę z porannej gazety i ułożył na jej twarzy zagięciem w górę, jak namiot. Była tam reklama domu towarowego Macy's, która ogłaszała: **TNIEMY WSZYSTKO.**

Pomyślał, że Pan Bóg ma niezrównane poczucie humoru.

Frank Quinn leżał na łóżku w swoim domu z czerwono-brązowego piaskowca stojącym na nowojorskiej Upper West Side. Nie całkiem się jeszcze rozbudził; wsłuchiwał się w wolny rytm oddechu Pearl. Leżała na boku, zarzuciła na niego jedną gołą nogę, a czoło miała wtulone w jego pierś. Było zbyt wcześnie, żeby upał zaczął dawać się we znaki.

Klimatyzator okienny milczał, ponieważ Quinn wstał o trzeciej trzydziści, żeby ulżyć pęcherzowi, i uznał, że w sypialni jest chłodno. Na pół śpiący wyłączył urządzenie i nieprzytomnie pomaszerował z powrotem do łóżka.

Słońce wschodziło nad budynkami z kamienia i cegły oraz nad walczącymi o przetrwanie na Wschodniej Siedemdziesiątej Piątej Ulicy drzewami. Znowu robiło się ciepło.

Rozlegały się już poranne dźwięki miasta: odległe szczęknięcie koszy na śmieci; narastający zgiełk ruchu ulicznego, z którego co jakiś czas wybijało się dudnienie i powarkiwanie ciężarówek oraz autobusów; dalekie wycie syreny radiowozu; krótka i donośna wymiana zdań na chodniku. Quinnowi było dobrze tu i teraz, na granicy rozbudzenia, gdy ciało Pearl wtulało się w niego, a miasto strząsało z siebie noc i budziło się do życia.

Drgnął, gdy przy łóżku rozdzwonił się telefon. Był to stary aparat stacjonarny - Quinn miał go od lat. Trzymał go ze względu na natarczywy dzwonek, potrafiący wyrwać Quinna z najgłębszego snu, i dlatego że... Cóż, dlatego że dobrze go znał, przywykł do niego i mógł na nim polegać. No i jego telefon wyglądał jak telefon.

Pearl poruszyła się.

-...ra gozzina? - zapytała.

- Koło szóstej trzydzieści - odpowiedział Quinn, spoglądając na fosforyzujące cyfry elektronicznego zegara stojącego obok telefonu. W rzeczywistości pokazywał on czwartą trzydzieści siedem, ale pora była tak absurdalnie wczesna, że Quinn uznał dokładność za niewskazaną.

Telefon rozjazgotał się ponownie - uparte cholerstwo.

- Niech sobie dzwoni - wymamrotała Pearl.

- Jesteśmy gliny - odparł Quinn. - My odbieramy telefony. Innym mogą sobie dzwonić.

- Prywatne gliny.

- To nic nie zmienia - uznał Quinn, wyciągając rękę i podnosząc ciężką słuchawkę z widełek.

Pearl zaburczała coś, czego nie zrozumiał, ale zabrzmiało to zrzędliwie.

Przycisnął do twarzy chłodny, twardy plastik i powiedział:

- Quinn.

- Wiem, że Quinn. Do kogo niby dzwonię?

Harley Renz. Ostatnia osoba, z którą Quinn miałby ochotę rozmawiać.

Renz był komisarzem policji miasta Nowy Jork i nie spieszyło mu się do odejścia z urzędu. Miał dalekosiężne plany. Wiele lat temu, kiedy Quinn jeszcze pracował w policji, rywalizowali z Renzem o te same stanowiska. Quinn pozostał uczciwy i trzymał się z daleka od papierkowej roboty i innych niż konieczne kontaktów z wierzuszką wydziału. Renz - pozbawiony wstydu intrygant i karierowicz - z entuzjazmem oddawał się korupcji i obnosił ze swoimi ambicjami. Każdą decyzję obmyślał pod kątem zwiększenia wpływów lub popularności. Quinn był pewien, że Renz nie zadzwonił, żeby zapytać, jak leci.

Miał rację.

- Chcesz zobaczyć trupa? - spytał Renz.

Quinn nic nie mógł poradzić na to, że oczy biegną mu do nagiej Pearl, która już nie spała, tylko przysłuchiwała się kwestiom wypowiedzanym po tej stronie słuchawki.

Kilka razy głęboko zaczerpnął tchu. Chciał mieć pewność, że jest całkiem rozbudzony.

- Ofiara zabójstwa, jak mniemam?

- Kiedy ją zobaczysz, zorientujesz się, że to więcej niż domniemanie. Wiem, co mówię. Właśnie na nią patrzę.

- Czyli to kobieta?

- Do niedawna.

- Jak wiesz, widywałem już martwe kobiety - powiedział Quinn.

- Co ta ma w sobie wyjątkowego?

- Dowiesz się, jak przyjedziesz. I dowiesz się też, czemu miasto chce wynająć cię razem z tą twoją agencją.

Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy miasto wynajmowało agencję Quinna. Renz, najpopularniejszy komisarz policji w historii Nowego Jorku, mógł coś takiego załatwić bez problemu. Wiedział, kanalia, jak manipulować dźwigniami władzy.

Wiedział też, że nie należy manipulować nimi zbyt często, więc to zabójstwo naprawdę musiało być wyjątkowe.

- Podejrzewasz seryjnego? - zapytał Quinn. Z tego właśnie powodu miasto często dawało mu robotę, choć nie pracował już w policji: wyrobił sobie reputację wybitnego specjalisty w tropieniu seryjnych morderców. I, oczywiście, agencja Quinn i Zespół (popularnie zwana QUiZ) rozwiązała już niejedną drażliwą politycznie sprawę zabójstwa. W mieście rozmiarów Nowego Jorku przestoje między kolejnymi zbrodniami nie były zbyt długie.

- Podejrzewam, że mamy takiego i że wybrał sobie miasto na

teren działania - odpowiedział Renz. - Obaj wiemy, że rzadko dzwonię do ciebie w innych sprawach. Ale w tej akurat kryje się coś więcej.

- Gdzie jesteś? - spytał Quinn.

- W Central Parku, ale na skraju. Tam, gdzie łączy się z Siedemdziesiątą Drugą Ulicą, tylko bardziej na północ. Wejdz od Central Park West i zajrzyj do parku ponad niskim kamiennym murem. Jest tam kępa drzew. Zauważysz przy niej radiowozy i bardzo dużo żółtej taśmy policyjnej. Nie przegapisz nas.

- Harley, jest jeszcze ciemno. Nie wmawiaj mi, że jesteście oświetleni. W parku po nocach pracują służby miejskie. Równie dobrze mogą trafić na robotników na nocnej zmianie.

- Dobrze już, dobrze. Spotkajmy się przed Beymore Arms, naprzeciwko parku.

Zaprowadzę cię na miejsce.

- A gdzie dokładnie jest Beymore Arms?

Renz podał mu adres przy Central Park West.

- Szukaj szarego kamiennego budynku z zieloną markizą od frontu, o przecznicy od baru kawowego.

- Zadbaliście nawet o kawę!

- Taaa... Tyle że tego trupa nie ożywi największa porcja latte.

- Dobra. Jadę.

- Zabierz Pearl. Wiem, że jest obok ciebie. Słyszę, jak zgrzyta zębami.

Renz wiedział, że Pearl go nie lubi. Nikt tak naprawdę go nie lubił, nie licząc obywateli Nowego Jorku, ale oni znali jego publiczny wizerunek, a nie prawdziwego Renza.

- Zjeść śniadanie przed czy po oględzinach ofiary?

- Moim zdaniem lepiej przed. Chociaż z drugiej strony nigdzie jej się w najbliższym czasie nie spieszy. A kiedy dokładniej

zorientujesz się w sytuacji, zrozumiesz, dlaczego powinna tu być Pearl.

- Zapytam ją - powiedział Quinn - ale możliwe, że będzie wolała jeszcze pospać.

- Niech bierze cztery litery w troki i przyjeżdża. Nie pożałuje.

- Ty, a co to właściwie znaczy „brać w troki”? Bo mnie się jakoś kojarzy z uprzężą końską.

- Wolisz dyskutować ze mną o jeździe konnej i frazeologii czy poznać świętej pamięci pannę Macy Collins? - spytał Renz.

- Zapraszasz na wieczorek zapoznawczy? - odpowiedział pytaniem Quinn.

- W pewnym sensie. Na pewno będziesz chciał poznać tych, którzy znali ofiarę.

Szczególnie jedną osobę.

- Oho! Teraz mamy teleturniej.

- Hmm... Mylisz się. Pearl się ze mną zgodzi, zobaczysz.

- Dobra, obudzę ją - ustąpił Quinn.

- Nie śpię. - Głos Pearl dobiegł gdzieś spod nieogolonej szczęki Quinna.

- Renz chce...

- Słyszałam - przerwała Pearl. - Powiedz mu, żeby się odpier...

Quinn odsunął słuchawkę najdalej, jak mógł, po czym wykręcił głowę, żeby Renz go słyszał.

- Powiedziała, że już się ubiera.

- Tak mi się zdawało, że słyszę jej głos. Chciała mi coś przekazać?

- Właśnie to - odrzekł Quinn. - Mniej więcej.

Quinn i Pearl znaleźli Beymore Arms bez problemu. Renz czekał na nich pod zieloną markizą. Miał na sobie świetnie skrojony niebieski garnitur, białą koszulę i krawat w czerwone i czarne prążki. Wyglądał jak gotowy do występu przed kamerą prezenter wiadomości, ale strój nie zamaskował tego, że od kiedy został komisarzem, jeszcze bardziej przybrał na wadze.

We trójkę zaczekali na przerwę w ruchu ulicznym, który na Park Avenue West już się zagęszczał, a potem szybkim krokiem przeszli przez ulicę. Mimo otyłości Renz poruszał się szybko i z gracją. Wspięli się na niski, pociemniały ze starości kamienny murek, który otaczał park. Quinn był ciekawy, czy Renz da radę przez niego przejść, choć wymagało to tylko podciągnięcia ciała, zajęcia pozycji siedzącej i przerwucenia nóg na drugą stronę. Renz uporał się z murkiem ze zdumiewającą zwinnością, choć mogło to zaszkodzić jego garniturowi.

Po wilgotnej od rosy trawie szli w kierunku skupiska drzew, skąd padało nagle białe światło. Wkrótce Quinn zobaczył taśmę otaczającą miejsce zbrodni. Światło dobywało się z białego namiotu, nie szerszego niż dwa i pół, trzy metry. Gra cieni na napiętym białym płótnie wskazywała, że w namiocie wre praca.

Wysoki mundurowy o kamiennej twarzy, stojący przed połami zasłaniającymi wejście do namiotu, pozornie nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Renz zatrzymał się przy wejściu i gestem zaprosił ich do środka, ale sam pozostał na zewnątrz, mając na uwadze ograniczoną ilość miejsca w namiocie.

To, co działo się wewnątrz, nie miało nic wspólnego z

wieczorkiem zapoznawczym, mimo obecności doktora Juliusa Nifta, pokręconego lekarza medycyny sądowej o napoleońskiej posturze, który uśmiechał się sponad zwłok, mówiąc: - Panno Macy Collins, pozwolę sobie przedstawić Franka Quinna i Pearl Kasner. - Zamiótł ręką w pełnym galanterii geście. - Pearl, Quinn, poznajcie...

- Weź się zamknij - powiedziała Pearl.

Namiot nie miał podłogi, a oświetlały go jaskrawe lampy zawieszane na niezbyt stabilnych stojakach. Quinn musiał nieco pochylać głowę, ale Pearl mogła się w pełni wyprostować.

Resztę wolnego miejsca wykorzystywało dwóch techników kryminalistycznych: starannie zbierali pęsetami wszystkie ewentualne dowody, a znaleziska umieszczali w plastikowych torebkach. W białych strojach i białych rękawiczkach wyglądali, jakby dostarczono ich w jednym pakiecie z namiotem.

To, co zostało z ofiary, leżało na stratowanej i poplamionej krwią trawie. Przy kąciku dolnej wargi zwisała prostokątna chorągiewka szarej taśmy klejącej. Z wytrzeszczonych brązowych oczu wyzierało przerażenie.

Leżała na plecach z ramionami przymocowanymi taśmą do boków, ze zsuniętymi nogami o palcach skurczonych tak, jakby zamarły w bolesnych konwulsjach. Symetria i staranność, z jaką ułożono ciało, sugerowały, że zabójca zrobił to po jej śmierci. Miała na sobie tylko niebieskie majtki. Obydwie piersi zostały obcięte.

- Jej piersi... - zaczął Quinn.

- Nie znalazłem ani jednej - wszedł mu w słowo Nift. - Sądząc po obwodzie cięcia, musiała mieć pierwszej klasy bufory.

Quinn wyczuł, że Pearl spięła się za jego plecami.

- Chory nekrofil - warknęła pod nosem.

Nift usłyszał i się uśmiechnął. Lubił dopiekać bliźnim, a

najbardziej lubił dopiekać Pearl.

- Wzory matematyczne pozwalają obliczyć nie takie rzeczy - dodał.

- Obliczą, jak długo doktor Nift pociągnie ze swoją niewyparzoną gębą? - chciała wiedzieć Pearl.

Nift udął, że nie usłyszał.

Technicy powiedzieli, że skończyli robotę, i wyszli.

Quinn wskazał głową ofiarę.

- Przyjrzeł się jej majtkom? Gumka zawinęła się w materiał.

- Nie ona je wkładała - wywnioskowała Pearl. - Ktoś inny zrobił to po jej śmierci, kiedy już leżała w tej pozycji. Nie są włożone do końca i się zrolowały.

- Czekalem, aż to zauważycie - odezwał się Nift. - Brawo, Quinn. Kolejne pytanie: rozpoznajecie modus operandi?

Rozpoznałyby je natychmiast każdy policjant, któremu zdarzyło się tropić seryjnego mordercę. Rozpoznałyby je ktokolwiek choć trochę zainteresowany seryjnymi morderstwami.

Tak bardzo przypomina to zbrodnie Daniela Danielle'a!

Quinn przytaknął skinieniem głowy.

- Daniel Wentworth alias Daniel Danielle - odezwała się za jego plecami Pearl.

- Alias Danielle Daniel - dodał Nift. - Zależy, jakiej płci akurat chciał być.

- Mało tu krwi, biorąc pod uwagę to, co jej zrobiono - stwierdziła Pearl. - Daniel Danielle jak nikt kontrolował upływ krwi. Domyślasz się rzeczywistej przyczyny zgonu?

Nift wyszczerzył do niej zęby.

- Zakładam, że żyła, kiedy ją szlachtował. Do końca lub prawie do końca. Chciał z nią dzielić to przeżycie. Jeśli miała szczęście,

zmarła na skutek szoku, zanim zaczął rozcinać jej brzuch. - Nift uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Bo to faktycznie musi być szok: spoglądasz w dół, gdzie zawsze sterczała para świetnych cycków, a tam wnętrzności.

Gliniarz u wejścia popatrzył na Nifta z niechęcią, ale bez większych emocji. Pewnie już go znał. Nifta znali wszyscy, którzy stykali się z niższymi formami miejskiego życia.

Przynajmniej ze słyszenia.

Pearl podeszła, żeby obejrzeć stronę z gazety, leżącą na ziemi obok czarnej skórzanej walizki z narzędziami Nifta. Strona była poplamiona krwią, ale tekst dało się odczytać.

„TNIEMY WSZYSTKO, wyprzedaż w Macy's”; słowna zabawa z imieniem ofiary.

- Widziałem - powiedział Quinn, zanim Pearl zdążyła pokazać mu stronę. - Chore poczucie humoru.

- Chore? - zdziwił się Nift.

- Jak cholera. Ale skąd ty miałbyś to wiedzieć? - warknęła Pearl.

Nift tylko się do niej uśmiechał.

- Uwielbiam ci docinać - powiedział. - Przepraszam za grę słów.

Quinn spojrzeniem dał mu do zrozumienia, że posuwa się za daleko. Nift potrafił się zorientować, kiedy wkracza na grząski grunt, i starł uśmiech z twarzy.

- Napastowano ją seksualnie? - zapytał Quinn.

- Będę miał pewność po autopsji. - Nift, zmęczony dokuczaniem Pearl, był teraz uosobieniem profesjonalizmu. - Mogę do was zadzwonić, jak poznam szczegóły.

- Potrafisz mniej więcej określić, od jak dawna nie żyje?

- Góra kilka godzin. Później będę mógł powiedzieć dokładniej.

Quinn zwrócił się do gliniarza o niechętnym spojrzeniu.

- Ty sprawdziłeś cynk?

- Nie tylko ja. Skierowali tu dwa radiowozy, bo ktoś anonimowo zadzwonił prosto na komisariat zamiast na dziewięćset jedenaście. Potraktowali zgłoszenie poważnie.

- Zabił, zmył się stąd i zadzwonił - powiedział Quinn.

- Może zaaranżował dla nas pokaz? - zastanawiała się Pearl. - Kto wie, czy nie widział, jak nadjeżdżamy. Wspólne przeżywanie - dewianci tak kombinują. Zapytaj Nifta.

- Trzeba dewianta, żeby złapać dewianta - powiedział Nift, nie kłopotując się podnoszeniem na nią wzroku. - Pearl ma rację. Zabójca może stać po drugiej stronie ulicy i spokojnie nam się przyglądać. Może czeka, aż zabierzemy ciało.

Quinn wiedział, że to się czasami zdarzało, ale ten zabójca był inny. Zawsze był inny.

O ile to ten sam zabójca...

Nift szybko obrzucił wzrokiem zwłoki, jakby utrwał je sobie w pamięci. Błysnął swoim paskudnym uśmiechem.

- Jak z podręcznika o zabójstwach Daniela Danielle'a.

Quinn pokiwał głową.

- Według ciebie to jego metoda, od początku do końca?

- Wystarczająco podobna. Ale czy przysięgłbym, że zrobił to Daniel Danielle? Nie, aż tak to nie. Nigdy nie widziałem żadnej z jego, lub jej, ofiar. - Wzruszył ramionami. Dokonał tego, zdawałoby się, nie poruszając żadną częścią niskiego, pękatego ciała. - Ale oczywiście nie mógł tego zrobić Daniel Danielle, bo Daniel Danielle nie żyje. Zabił go huragan, a ciała nigdy nie odnaleziono.

- Tornado - poprawił Quinn.

- Jaka różnica?

- Jest mniejsze.

- Może więc mamy naśladowcę?

- Cóż, o sympatycznym poczuciu humoru, którego próbkę tu mieliśmy, media praktycznie nie wiedziały. Ale naśladowcy bym nie wykluczał. Takich najczęściej inspirują osławieni mordercy.

- I mielibyśmy ładny motyw - stwierdziła Pearl.

- Czyli? - zainteresował się Nift.

- To czubek. Jak ty.

Nift wepchnął język w policzek i zdawał się to rozważać.

- Nie jak ja. - Łypnął na Pearl. - No, może odrobinę. - Wskazał zwłoki ruchem głowy.

- Jedno jest pewne: jeśli idzie o kobiety, zabójca ma gust Daniela Danielle'a. W rankingu obecnych tu buforów zajęłaby drugie miejsce.

Pearl postąpiła ku niemu o krok.

- Ty dupku!

Quinn zastopował ją, unosząc rękę wielkości talerza. Posłuchała. Mieli na głowie ważniejsze sprawy niż fatalne maniere Nifta.

- Popatrz na denatkę - powiedział do niej Quinn. - Wyobraź ją sobie z włosami zaczesanymi do tyłu.

- Nie muszę - odpowiedziała Pearl. - Podobieństwo rzuciło mi się w oczy, jak tylko tu weszłam.

Wszystkie ofiary Daniela Danielle'a w taki czy inny sposób przypominały Pearl. Nie podobało się to Quinnowi dziesięć lat temu, kiedy morderca urządził sobie orgię zabijania (choć nie w Nowym Jorku), nie podobało mu się i teraz.

Nift ukucnął, strzelił gumowymi rękawiczkami, ściągając je z dłoni, i zaczął układać narzędzia w walizce. Przygotowywał się do wyjścia.

- Jak już skończycie z piękną Macy, mogą ją stąd zabrać. Mam z nią randkę później.

Gdy Nift wyprostował się i ruszył do wyjścia, Quinn ze skrzyżowanymi ramionami stanął mu na drodze.

- Coś jeszcze? - spytał Nift.

- Te zaginione piersi.

- Przewróciłem ją na bok i szukałem pod nią, szukałem wszędzie w pobliżu. Technicy kazali mundurowym przeszukać okolicę. Drugie przeszukanie odbędzie się jutro. Ale obaj wiemy, że morderca je zabrał. Zwyczajem Daniela Danielle'a.

- Pamiątki - powiedziała Pearl.

- Albo: kolejne pamiątki - odparł Nift. Wyminął Quinna i opuścił namiot.

Wtedy do środka wszedł Renz.

Jego garnitur nieźle zniósł wyczerpującą nocną aktywność i nadal wyglądał jak przed chwilą wyjęty z szafy. Złote dodatki błyszczały w świetle jaskrawych lamp. Renz wyglądał na tego, kim był - na skorumpowanego polityka. Quinn zastanawiał się, czy z wiekiem wygląd ludzi silniej odzwierciedla ich rzeczywistą osobowość. Pulchna twarz Renza coraz bardziej przypominała pysk gryzonia.

- Jak widzę, Nift poznał was z Macy Marią Collins - powiedział Renz.

Pearl zanotowała drugie imię ofiary.

Renz z udawaną uprzejmością zaczekał, póki nie skończyła.

- Studentka mieszkająca w wielkim mieście. Pewnie szukała pracy na wakacje.

- Gdzie studiowała? - zapytał Quinn.

- Gdzieś w północnej części stanu. Wycliffe...? Nie, Waycliffe. Jedno z tych miejsc, co to żeby się do nich dostać, trzeba być bardzo bogatym albo bardzo inteligentnym.

- Albo jedno i drugie - dodała Pearl.

- Zazdrościsz?

- Macy Collins? Nie. Przyjrzyj się uważnie, może zauważysz, że Macy nie żyje.

Renz uśmiechnął się i popatrzył na Quinna.

- Wyszczekana jak zawsze, co?

Quinn wzruszył ramionami.

Renz spojrział na zegarek, błyskając złotą spinką przy mankiecie. Zegarek też był złoty, wyglądał na roleksa.

- Muszę uciekać. Spóźnię się na spotkanie.

- W nocy? Znaczą tak rano?

- Taaa... Jak zawsze opieprzamy się przy kartach. Przerwałem grę, żeby tu przyjechać.

Uznałem, że powinniście zobaczyć miejsce zbrodni. Rozumiesz już dlaczego.

Quinn rozumiał.

- Zadzwoń później - powiedział Renz.

- Wiem.

Odwracając się, Renz skinął Quinnowi na pożegnanie, zupełnie zignorował Pearl, wcisnął szczękę w fałdę tłuszczu pod brodą i opuścił namiot.

Quinn i Pearl wyszli za Renzem i odetchnęli rześkim powietrzem poranka.

Szef techników kryminalistycznych stał przed namiotem i palił papierosa. Quinn chciał mu powiedzieć coś na temat niezostawiania śladów na miejscu zbrodni, ale zauważył, że jest to jeden z tych papierosów na baterię. Tylko wyglądał jak prawdziwy.

Quinn już pracował z tym człowiekiem. Był to nieduży mężczyzna o grubej szyi i spadzistych ramionach, budową przypominający miniaturowego byka. Nazywał się Bronsky.

Z cierpliwością w piwnych oczach czekał, aż Quinn się odezwie.

- Co mamy do tej pory? - zapytał Quinn, mając nadzieję, że rozmowa z Bronskym będzie przyjemną odmianą po Renzu. Technicy to przeważnie konkretni faceci.

- Wygląda na to, że zabójca nosił gumowe rękawiczki, więc nici z odcisków palców - odpowiedział Bronsky. - Na razie w ogóle niewiele po sobie zostawił. Może coś znajdziemy na zwłokach; postaramy się o próbkę DNA. - Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wyciągnął przed siebie, żeby Quinn mógł się przyjrzeć. - Dopiero co skończyłem przez to rozmawiać. W torebce znaleźliśmy jej adres i przeszukujemy mieszkanie.

- Świetnie - stwierdził Quinn, zastanawiając się po raz kolejny, dlaczego Renz tak ciśnie w tej sprawie.

- Ślady wskazują, że zabójca umył się pobieżnie w umywalce, ale nie zdjął rękawiczek. W całym mieszkaniu pełno rozmazanych śladów paluchów, w tym krwawych.

Musiał tam pójść po morderstwie.

- Chciał, żebyśmy to wiedzieli - powiedział Quinn.

- Znaleźliśmy w mieszkaniu inne odciski, ale pewnie okaże się, że należą do ofiary, do sąsiadów, do byłych lokatorów, do dozorczy...

Quinn czekał, aż Bronsky skończy wyliczać. Trzeba będzie znaleźć właścicieli wszystkich odcisków palców. Jeśli to się nie uda, taki odcisk zostanie umieszczony w osobnej teczce - z nikłą nadzieją, że kiedyś przyczyni się do skazania mordercy. Żmudna robota, ale konieczna.

- A te krwawe odciski... Da się określić, czy należą do mężczyzny, czy do kobiety?

- Nie ma szans. Rękawiczki.

Quinn westchnął.

- Może laboratorium coś znajdzie.

- Może. Standardowo zebraliśmy z dywanu próbki włosów. Z

sypialni kilka ścinków paznokci. Ale na mój nos wiele nam to nie da. - Pokręcił głową na grubej szyi. - I tu, i w jej mieszkaniu jest o wiele mniej krwi, niż można by oczekiwać.

- Lekarz sądowy twierdzi, że na widok tego, co jej robił, dziewczyna mogła doznać głębokiego szoku. Jej serce musiało przestać bić niedługo potem.

Bronsky zrobił minę, która upodobniła go do Edwarda G. Robinsona z jednego ze starych gangsterskich filmów.

- Jezu! Naprawdę nefajny gość.

- Nift czy morderca?

- Morderca. Że Nift to kutas, wiem od dawna. Jedziecie obejrzeć mieszkanie? - Pytanie zabrzmiało niemal jak ostrzeżenie przed tym, co czeka ich na miejscu.

- Zamierzaliśmy - odparł Quinn.

Bronsky zaciągnął się swoim bezsensownym papierosem.

- Dwie sypialnie, w każdej po dwa łóżka. Ktoś wspominał, że ofiara wynajmowała mieszkanie do spółki z trzema studentkami, ale one wyjechały do domu na wakacje. A co, gdyby tam były? Wszystkie cztery?

- Richard Speck^[2] - powiedział Quinn.

- Też tak pomyślałem. Ten gad zabiłby je wszystkie?

- A dlaczego nie? - zapytał Quinn.

- Dziewczyny muszą się o tym dowiedzieć - oświadczył Bronsky. - Żeby zrozumiały, jakie to szczęście, że są młode i ciągle chodzą po tym świecie. Może przez resztę życia będą ostrożniejsze. I nauczą się je cenić.

- Na pewno da im to temat do rozmów - odrzekł Quinn. - Ale za kilka dni albo za kilka tygodni znów będą takie jak wcześniej.

Bronsky znowu zrobił minę Edwarda G. Robinsona.

- Jak myślisz, dlaczego tak jest?

- Jesteśmy, jacy jesteśmy - powiedział Quinn.
- Aha. Cóż, chyba będę musiał jakoś z tym żyć.
- I umrzeć - dodał Quinn.

Zostawił Bronsky'ego, który pykał swoim nieprawdziwym papierosem, wydmuchując nieprawdziwy dym, a dwa metry od niego leżała martwa kobieta. Prawdziwa.

Środkowa Floryda, 2002

Dźwięk był ledwie słyszalny, ale narastał. Coś uderzało o metal, stale i rytmicznie.

Brzmiało to jak bicie w metalowy tam-tam, a on szedł w tym kierunku.

Daniel Danielle z wysiłkiem brnął na zachód. Pochylił głowę i bardzo mocno zmrużył oczy. Wicher dał mu w plecy, ulewny deszcz utrudniał widoczność.

Rozpierała go radość z udanej ucieczki. Z huraganu też się wydostanie. Wiedział to.

Los był po jego stronie. To Danielowi dane było kształtować przeznaczenie.

Deszcz był zbyt silny, żeby woda mogła na bieżąco wsiąkać w ziemię, więc Daniel co chwila z chlupotem przeprawiał się przez kałuże. Zawodzący wiatr kilkakrotnie zwałił go z nóg, ale zawsze, choć z wysiłkiem, udawało mu się podnieść i, skulony, kontynuował podróż na zachód, oddalając się od rozbitej więziennej furgonetki i martwych strażników. Był teraz uzbrojony - miał małokalibrowy pistolet, który nosił przy kostce ten udający współwięźnia, i dziewięciomilimetrowego glocka wyciągniętego z kabury jednego z zabitych strażników.

Udało mu się znaleźć właściwy klucz spośród wielu wiszących na kółku u pasa martwego konwojenta, więc nie miał już kajdanek. Wciąż jednak nosił pomarańczowy kombinezon więzienny, a to mogło przysporzyć mu kłopotów.

Metaliczny łomot słyszał teraz gdzieś przed sobą. Dużo bliżej.

Zaciekawiony, zboczył nieco z drogi i ruszył prosto w stronę, z której dobiegał dźwięk.

W zacinającym deszczu majaczył kanciasty, ciemny kształt. Z bliska okazało się, że były to resztki domu. Dach w większości się zapadł, a targana wiatrem pozostała jego część tłuła dziko o coś, co wyglądało na fragment systemu metalowych rur. Szalony werbel stawał się głośniejszy, w miarę jak Daniel się zbliżał.

Środkowa część domu jeszcze stała. Z ruin wynurzył się pochylony pod naporem wiatru mężczyzna i gestem nakazał, żeby Daniel do niego podszedł. Był to wysoki, smukły facet o siwych włosach i orlim nosie. Miał rozdartą koszulę, która łopotała jak flaga.

Gdy Daniel podszedł bliżej, zauważył, że mężczyzna wpatruje się w jego pomarańczowy kombinezon.

- Przybyłeś nam na ratunek?! - zawołał, otaczając usta dłońmi, żeby Daniel mógł go usłyszeć. W jego spojrzeniu Daniel widział zwątpienie spowodowane trwożliwą wiedzą: ratownicy nie nosili takich uniformów.

- Pewnie - odpowiedział Daniel. - Uratuję cię przed wszystkim.

Strzelił z glocka w pierś mężczyzny. Ten ciężko zwałił się na plecy. Wichura silnym podmuchem potoczyła go na miejsce spoczynku, tam gdzie zapadnięta część dachu zaklinowała się u podstawy domu.

Szczeknięcie glocka na wietrze było ledwie słyszalne.

Daniel się uśmiechnął.

Na ratunek? Tępy wsiok!

Obrał drogę przez zawalisko do samego środka domu, gdzie kiedyś była łazienka.

Szczęście go nie opuszczało. Zobaczył kobietę, skuloną w kłębek za białą porcelanową umywalką. Wewnątrz było jakby spokojniej,

bo ściany osłaniały od wiatru.

Kobieta przekroczyła pięćdziesiątkę, miała nadwagę i była przerażona, jakby zobaczyła diabła. Przez zasłone włosów, które deszcz przykleił do czaszki, wpatrywała się w Daniela szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Czy te oczy widziały, co zdarzyło się przed budynkiem?

- Zabiłem twojego męża - powiedział Daniel z uśmiechem.

Kobieta się nie odezwała. Nie zmieniła nawet wyrazu twarzy. Daniel uznał, że to szok.

On go wywołał? A może huragan?

Przedarł się do tej części domu, która kiedyś była kuchnią, i tak długo grzebał w rumowisku, aż znalazł właściwy kredens - z szufladą, w której były noże. Wybrał największy i sprawdził palcem, czy jest wystarczająco ostry.

Wrócił do jej prowizorycznego schronienia. Kobieta nie zmieniła pozycji. Ukucnął przed nią i zaczął nożem rozcinać jej ubranie. Nie opierała się. Nawałnica burzy i ostatnich wydarzeń okradła ją z poczucia rzeczywistości. Miała zły sen, który kiedyś się skończy. Ten człowiek zjawił się, żeby ją uratować; był lekarzem i dlatego rozcinał jej ubranie - zamierzał opatrzyć rany. Nie było innego wyjaśnienia. Nie zamierzała szukać innego wyjaśnienia.

Przez zawodzący wiatr nie mogła go słyszeć, ale widziała, że się śmieje. Odwrócił ją na brzuch i umiejętnie przeciął ścięgna za kolanami. Teraz miał pewność, że kobieta nigdzie się nie wybierze.

A potem zaczął bawić się na całego.

Godzinę później wiatr zelżał, a przynajmniej już nie zawodził. Ciągłe dął ze wschodu na tyle mocno, żeby w porywach zacinać płachtami deszczu.

Daniel zostawił kobietę i odszukał zdewastowane pomieszczenie, które kiedyś było sypialnią. Z łatwością znalazł

ubrania należące do męża.

Przez chwilę stał nago, pozwalając, żeby strugi deszczu zmyły z niego większość krwi kobiety. Potem włożył ubranie rolnika. Facet mierzył ponad metr osiemdziesiąt, więc Daniel musiał podwinąć nogawki. Koszule z krótkim rękawem były nieco przyduże, ale mniej więcej pasowały. Zwinął pomarańczowy kombinezon i wepchnął go do szuflady w szafie na ubrania, a raczej do tego, co z niej zostało.

Nie można było żyć w tym oddalonym od świata gospodarstwie - Daniel nie wiedział: rolnym czy hodowlanym - bez jakiegoś środka transportu. Przeszedł się wokół domu i wypatrzył ruinę, która kiedyś mogła być garażem. W pobliżu leżał przewrócony na bok samochód.

Daniel podszedł bliżej i zobaczył, że powalony przez wiatr pojazd to stara półciężarówka Ford. Zastanawiał się, czy go nie podnieść, ale kiedy spróbował, wóz ani drgnął.

Wtedy zauważył wyglądającą spod rumowiska po garażu chromowaną kratownicę.

Gdy zbliżył się, żeby ją obejrzeć, odkrył, że był to przód najnowszego modelu SUV-a, też marki Ford. Nabrał nagle nowych sił i zaczął odkopywać samochód, odrzucając szczątki budynku na lewo i prawo.

Gdy skończył i SUV mógł bez przeszkód wyjechać na zwirowy podjazd, wrócił do martwego rolnika i znalazł w jego kieszeni klucze, z których jeden był kluczykiem do samochodu. Świetnie! Nie będzie musiał uruchamiać SUV-a przez zwarcie kabli.

Potem z kieszeni spodni trupa wyjął portfel, w którym było osiemdziesiąt siedem dolarów.

Uśmiechnął się. Przetrzęsnał pozostałe przegródki portfela, ale nie znalazł więcej pieniędzy. Dowiedział się za to, że zabił Florę i

Nathana Ambersonów. Miło było was poznać, kochani.

Wrócił do SUV-a, usiadł za kierownicą i włożył klucz do stacyjki.

Silnik zaskoczył za pierwszym razem. Daniel zlustrował deskę rozdzielczą. Pół baku paliwa. Wystarczy.

Wrócił do kobiety, wyciągnął ją na zewnątrz i ułożył na leżącym na ziemi strzaskanym oknie. Potem zaczął tłuc jej ciało wyciągniętą ze ściany szkieletowej długą kantówką. Kiedy skończył, narzucił na nią co mniejsze fragmenty rumowiska.

Piersi nie mógł jej obciąć i był z tego bardzo niezadowolony.

Podszedł z kantówką do męża i tak samo go zmasakrował. Trochę potrwa, zanim ktoś znajdzie ciała, a jeszcze dłużej zajmie odkrycie, że rolnicy padli ofiarą morderstwa, a nie huraganu lub jednego ze spowodowanych przez huragan tornad, które zniszczyły ich dom.

A Daniel Danielle będzie się w tym czasie oddalał.

Rozglądał się jeszcze przez kilka minut po rumowisku, wypatrując czegokolwiek, co mogłoby mu się przydać. Znalazł starą dubeltówkę, ale nie była załadowana. Daniel nie miał czasu na szukanie amunicji, więc jej nie zabrał.

Rozważał ściągnięcie przez rurkę benzyny z przewróconej furgonetki, ale okazało się, że bak jest prawie pusty.

Jeszcze raz wspomniał z żalem, że musi zostawić piersi kobiety nietknięte, wsiadł do SUV-a z załączonym napędem na cztery koła, ostrożnie manewrując, wyjechał na długi podjazd, a potem na zaśmieconą szczątkami gospodarstwa szosę. Skierował się na zachód, śladem najgorszej pogody. Jej okrutna moc odwracała uwagę od jego okrucieństwa.

Po drodze wyschło na nim ubranie, a przyspieszone bicie serca wróciło do zwykłego rytmu. Jeśli uda mu się dotrzeć do autostrady

międzystanowej numer 75, a potem na południe, w gęsto zaludnione okolice Fort Myers, będzie mógł się gdzieś na pewien czas przyczaić.

Daniel był zaradny - na pewno coś wymyśli. Obecnie wszyscy martwili się tym, co pozostawi po sobie huragan. Daniel był groźniejszy, ale huragan działał na większą skalę. Wszystko będzie dobrze. Więzienie nie było mu teraz pisane. Czy inaczej udałoby mu się uciec?

Świat miał mu dużo więcej do zaoferowania - Daniel był przecież wyjątkowy. W przeciwnym razie leżałby teraz obok tamtych martwych glin. Nie spotkałby Nathana i Flory.

Flora...

Jechał przed siebie tropem zjawiska, które - choć przypominało huragan - zostało jedynie powołane do życia przez jego mroczne wichry.

Lekko się rozluźnił; myślał o Florze Amberson, o tym, jak starała się wyłączyć umysł, czekając na koniec i modląc się, żeby nadszedł. Ale on nazbyt często widywał tę sztuczkę.

Wiedział, jak uniemożliwić Florze ostateczną ucieczkę, jak ją opóźnić. O ile dłuższa dla niej niż dla niego musiała być ta spędzona razem godzina?

Ktoś w SUV-ie roześmiał się w głos. Pewnie kierowca.

Nowy Jork, dzisiaj

- Jesteś pewien, że nie obejdiesz się bez tego mentolowego paskudztwa pod nosem? - sarknął Sal Vitali na swojego partnera, Harolda Mishkina.

Sal i Harold pracowali dla Quinna, ale dawniej, w policji, działali jako partnerzy. To się w gruncie rzeczy nie zmieniło: Quinn przeważnie zlecał im wspólne zadania. Harold zawsze smarował swoje krzaczaste siwiejące wąsy maścią mentolową, zakładając, że dzięki silnemu zapachowi zachowa jasny umysł, a także kontrolę nad żołądkiem, którego nie wzburzą różnorodne zapachy miejsc zbrodni.

Ale nie byli na faktycznym miejscu zbrodni. Macy Collins została zamordowana i okaleczona w parku.

- Morderca po zabójstwie wpadł tu tylko na chwilę - przypomniał partnerowi Sal.

Wiedział, że Mishkin jest delikatny, więc przez lata wyrobił w sobie nawyk chronienia go, często w sposób podstępny i nieoczywisty. Mimo to Harold czasem działał Salowi na nerwy.

Nie, to nie oddawało stanu rzeczy. Harold potrafił doprowadzić Salę do białej gorączki.

- Ale ciągle tu czuć - odpowiedział Harold. - Krew i śmierć pachną tak samo, a zapach pozostaje na długo.

Sal pomyślał, że może w słowach Harolda coś jest. Jemu też nie podobała się atmosfera tego dusznego mieszkania.

Stojąc obok siebie wyglądali jak Pat i Pataszon. Harold był chudy jak tyczka, choć średniego wzrostu, a rozmiary jego

sumiastego wása sugerowały, że lekkie przygarbienie ciała powoduje właśnie ciężar tej ozdoby twarzy. Sal natomiast był niski, krępy i energiczny; gdy mówił, gestykulował jak szalony. Harold był nadwrażliwy w wielu kwestiach, zwłaszcza na punkcie swojego żołądka, tak delikatnego, że jego posiadacz nie wytrzymywał długo na miejscu zbrodni. Sal przeważnie brał rzeczy takimi, jakimi były. Harold miał łagodny głos, podczas gdy głos Sala przypominał dźwięk, jaki wydaje żwir w rozkołysanym wiadrze.

Technicy kryminalistyczni już sobie poszli. Ponieważ nie było to miejsce zbrodni, mieli mniej roboty niż zwykle. Starali się zostawić mieszkanie w takim stanie, w jakim je zastali. Tylko gdzieś widać było smugi proszku daktyloskopijnego albo ślady po roztworze luminolu.

Zgodnie z poleceniem obaj detektywi zaczęli przeszukiwać mieszkanie, zaczynając od dużego pokoju, w którym stały przypadkowo dobrane tanie meble. Na półce z książkami leżały sterty czasopism. Sal je przejrzał. Większość traktowała o modzie i kulinariach. Były tam też cotygodniowe wydania „Timesa” z recenzjami książek. Obok stało kilka powieści z oślimi uszami - kryminały takich autorów jak Sara Paretsky, Sue Grafton i Joanne Fluke. Była tam też książka Stephena Hawkinga o... Cóż, Sal nie zrozumiał, o czym. Co to, do cholery, jest kwark? Doszedł do wniosku, że przynajmniej jedna z lokatorek była intelektualistką.

Może ofiara?

Przy oknie stało małe drewniane biurko o niemal pustym, nie licząc lampki z zielonym kloszem, blacie. Obok lampki stał wyszczerbiony biały kubek wypełniony długopisami i ołówkami. Płytką górna szuflada pełna była rachunków, przeważnie

niezapłaconych, nawet z tygodniową zwłoką. Pozostałe szuflady nie zawierały niczego ciekawego: nożyczki, pudełko ze skoroszytami, czyste kartki papieru i koperty, nie działająca latarka, kredki, czysty blok rysunkowy, nowy albo nieużywany słownik kieszonkowy, gumki recepturki, zszywacz bez zszywek... Zdaniem Sala było to biurko kogoś cierpiącego na chorobliwą skłonność do przekładania wszystkiego na później, a nie współlokatora intelektualisty. Poszedł szukać dalej.

Harold włączył telewizor, żeby zobaczyć, jaką stację ostatnio oglądała ofiara.

Darmowy kanał z filmami. Żadna wskazówka. Na odbiorniku leżał program telewizyjny.

Harold przekartkował go, chcąc sprawdzić, jaki film leciał zeszłej nocy. Nocna wyprawa z Humphreym Bogartem. Jeśli morderca i ofiara byli tu o tej porze, to które z nich wybrało ten film? A może wyłączyli dźwięk i światło telewizora tworzyło im nastrój do uprawiania miłości? Albo czegoś zbliżonego do miłości.

Harold dołączył do Sala w kuchni. W lodówce znajdowało się kilka podstawowych produktów: mleko, główka sałaty, piankowe pudełko z podejrzanym wyglądającym makaronem. Żadnego mięsa. Może ofiara była wegetarianką?

W sumie takie właśnie mieszkanie wyobraża sobie człowiek jako wspólne lokum dla czterech młodych kobiet. Niezobowiązujące miejsce do przemieszkania przez jakiś czas.

Przystanek na drodze do dostatniego życia.

Łazienka wyglądała jak ubojnia. Na podłodze i w wannie leżały zakrwawione ręczniki, krany wysmarowane były krwią. Najwyraźniej to tutaj morderca starannie zmywał z siebie ślady zabójstwa w parku.

- Nie ma sensu, żebyśmy obaj tu wchodzili - powiedział Sal. -

Może zajmiesz się sypialniami?

Harold skinął głową i zawrócił do przedpokoju. Nos zasłaniał ręką.

Sal nie ruszył niczego w łazience. Może Macy walczyła z mordercą i była tu także jego krew? To wystarczyłoby do ustalenia DNA napastnika. Nawet jeśli nie miało odpowiednika w żadnej bazie danych i nie pozwoli na zidentyfikowanie sprawcy, będzie można je porównać z próbką pobraną od podejrzanego. O ile będą go mieli.

Sal wszedł do pierwszej sypialni, na jaką trafił po opuszczeniu łazienki. Był w niej Harold. Sal zwrócił uwagę, że kiedy się rozglądali, Harold trzymał się ręką za brzuch. Także w tym pomieszczeniu tu i ówdzie rozsmarowana była krew, jakby rozmyślnie, ale i tak bez porównania z tym, co zastali w łazience. Sal miał nadzieję, że Harold nie dostanie mdłości i nie zacznie zrzędzić.

- Może dokładniej sprawdzisz pozostałe pokoje? - zachrypiał. - Ja zostanę przejrzeć szafy i szuflady.

- Nic mi nie będzie - odpowiedział Harold, przelękając głośno i ruszając w kierunku jednej z szaf.

Haroldzie, Haroldzie... - pomyślał Sal.

- Te ubrania - odezwał się Harold stłumionym głosem, bo głowę miał schowaną w szafie - mają całkiem duże rozmiary. I znalazłem coś ciekawego, Sal. Nosila wkładkę podwyższającą w jednym bucie.

- To szafa jej współlokatorki - powiedział Sal.

- Och...

- Zauważyłeś, że czegoś tu brakuje?

- Wkładki podwyższającej w drugim bucie?

- Nie, Haroldzie. Komputera. Jak wiele osób, twoim zdaniem,

nie posiada komputera?

Zwłaszcza młodych, jak ofiara?

- Mógłbym je policzyć na palcach jednej ręki. - Harold najpierw odpowiedział, a potem pomyślał. - Może technicy go zabrali?

- Na ich liście nie było komputera - powiedział Sal, chociaż nie widział żadnej listy.

Po prostu Harold zaczął mu grać na nerwach.

- Och... - zmartwił się Harold.

Gdy w końcu wyszli z mieszkania, mieli jakieś wyobrażenie o ofierze, a to, między innymi, było ich celem. Nie natrafili jednak na nic, co wzbogaciłoby materiał dowodowy, a co podczas wcześniejszej wizyty przegapić mogli Quinn, Pearl i Larry Fedderman, piąty współpracownik QUiZ. Nie dziwota - tamci stanowili skuteczne trio. Skuteczny był nawet tyczkowaty Fedderman ze swoim wypukłym brzuchem; nosił się wprawdzie jak zbłąkany uchodźca w znalezionej garniturze, ale intelektualną przerzutkę potrafił nastawić na każdy problem.

Zamierzali przejść teraz do głównego celu swojej wizyty w budynku: przesłuchania sąsiadów zamordowanej.

Bywało to stratą czasu, ale nie zawsze.

Jak z lubością zwykł powtarzać Harold: zdumiewające, że ludzie w ogóle nie zdają sobie sprawy z tego, ile wiedzą.

Środkowa Floryda, 2002

Na zniszczonej przez burzę stacji benzynowej działał jeden dystrybutor. Daniel właśnie kończył napełniać bak SUV-a. Ci, którzy spoglądali na niego z rzadko przejeżdżających samochodów, nie widzieli w tych poczynaniach nic niestosownego. Stacja, oczywiście, była nieczynna, ale też okoliczności były nietypowe. Ludzie robili różne rzeczy, żeby przetrwać.

- Widział pan może białą suczkę w brązowe łaty? - Daniel podskoczył na dźwięk kobiecego głosu. - Oj, nie chciałam pana przestraszyć...

Daniel umocował na dystrybutorze pistolet paliwowy i odwrócił się do stojącej trzy metry od niego mniej więcej czternastoletniej dziewczynki. Miała na sobie cienki biały T-shirt z napisem „MARLINS”, obcięte lewisy i brązowe sandały ze skóry. T-shirt był mokry i sutki dziewczyny ciemnymi wypustkami napierały od wewnątrz na materiał.

- Nie przestraszyłem się, kochanie - odpowiedział Daniel. - Po prostu mnie zaskoczyłaś. Zginął ci pies?

- Tak. Wabi się Toffi. Nie widziałam jej od... - Jej oczy wezbrały łzami, a głos uwiązł w gardle. - Od kiedy w domu schowałyśmy się z mamą pod łóżkiem.

- A gdzie jest twoja mama?

- Nie ruszała się, kiedy wychodziłam. Ona na pewno...

- Już dobrze, kochanie. - Daniel zbliżył się i ją przytulił. - A teraz szukasz Toffi?

- Widziałam, jak ucieka przed huraganem.

- Jak daleko mieszkałaś... Mieszkasz?

- Kawalek. - Pokazała ręką w kierunku alejki zburzonych domów, stojących w rzędzie równym jak szereg wojska na paradzie.

Daniel uważniej przyjrzał się dziewczynce.

- Nie powiedziałaś, jak masz na imię.

- Gretchen.

- Ładnie.

- Człowiek chyba przyzwyczaja się do imienia, bez względu na to, jakie ono jest.

Daniel wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

- A ja jestem Dan. Miło cię poznać. - Otarł usta wierzchem dłoni i rozejrzał się dookoła. - Psy zwykle uciekają przed burzą tam, dokąd wieje wiatr. To ich sposób na przetrwanie. Toffi pobiegła w tę stronę? - Wskazał na zachód.

Gretchen skinęła głową.

- Jadę w tym kierunku. Zróbmy tak: wskoczysz do wozu i kawalek cię podwiozę.

Pokręcimy się po tych uliczkach, przy których stały domy, i może trafimy na twoją Toffi.

Dziewczynka nie wahała się. Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Byłoby super!

- Może coś z tego będzie - rzekł Daniel.

Usiadł za kierownicą, otworzył drzwiczki i pomógł Gretchen wejść do środka.

- Rozglądaj się uważnie - powiedział, uruchamiając wóz.

Ruszył na zachód. Jechał zakolami, żeby z bliska mogli przyjrzeć się kolejnemu zniszczonemu budynkowi lub tylko kolejnej stercie gruzów.

Po jakichś dziesięciu minutach spostrzegł zrównany z ziemią

dom, a nieopodal stodołę - uszkodzoną, ale jeszcze stojącą. Jak okiem sięgnąć, nie widział żywej duszy.

- Chyba mignął mi biało-brązowy pies - powiedział, zatrzymując samochód. - Pobiegł za stodołę. Powinniśmy...

Ale Gretchen już obok niego nie było. Biegła w stronę stodoły.

Daniel ruszył za nią, starając się nie najechać na nic ostrego. Zaparkował samochód tak, żeby nie był widoczny z autostrady.

Na jego ustach błąkał się uśmiech.

- Nie widzę jej - powiedziała Gretchen. - Może wbiegła do stodoły?

- Sprawdźmy - zasugerował Daniel.

Wsiadł z SUV-a i wszedł za Gretchen do budynku gospodarczego. W środku panował półmrok; poza starymi pordzewiałymi narzędziami i ciągnikiem, który wyglądał, jakby nie działał od lat, nie było tu nic. Jeszcze tylko długa lina owinięta wokół kołka na belce konstrukcyjnej.

- Sprawdź za traktorem - polecił Daniel.

Gdy Gretchen się tym zajęła, podszedł do szerokich drewnianych wrót i spróbował je domknąć. Ledwie drgnęły; zaklinowały się ostatecznie, gdy brakowało im z pół metra do całkowitego zamknięcia. Nie szkodzi, skoro i tak do środka wpadało niewiele więcej światła ponad to, które sączyło się spomiędzy obluzowanych desek.

- Dlaczego zamyka pan drzwi? - zapytała Gretchen.

- Bo Toffi mogłaby przez nie uciec - odpowiedział Daniel.

Coś w jego głosie musiało zaalarmować Gretchen. Obrzuciła go spojrzeniem szeroko otwartych oczu i rzuciła się ku wrotom stodoły.

Daniel podstawił jej nogę, potem podniósł ją za włosy i trzymając ją w ten sposób w pozycji wyprostowanej poprowadził do

jednej z przegród. Nie musiał się wysilać: była zdumiewająco lekka.

Po drodze wolną ręką zdjął linę z kołka.

Gretchen dygotała ze strachu.

Daniel - z podniecenia.

Nowy Jork, dzisiaj

Miasto wciąż tkwiło w spotniałym uścisku wilgotnego letniego skwaru. Wnętrze bloku Macy Collins nie było na tyle chłodne, żeby Sal i Harold czuli większą ulgę, ale i tak było lepiej niż na zewnątrz.

Macy mieszkała pod 5E. Harold zapukał do drzwi oznaczonych 5D, a Salowi przypadło 5F. Zamierzali, idąc w przeciwnych kierunkach, obejść tak cały korytarz. Stare bloki mieszkalne, takie jak ten, wypełniał przeważnie odór moczu, środków dezynfekujących i przypalonego boczku, w różnych proporcjach i o różnym natężeniu. Ten budynek oferował odmienne i mniej dokuczliwe doświadczenia węchowe. Jakże? Tego Sal nie mógł do końca rozgryźć.

Pod 5F nikt nie zareagował na pukanie. Sal przeszedł pod 5G, słysząc, jak Harold wita się z kimś i wchodzi do 5D.

- Piecze pani coś? - dobiegło Sala pytanie, które Harold zadał po przedstawieniu się.

- Ciasto marchewkowe - odpowiedział głos starszej kobiety.

- Uwielbiam ciasto marchewkowe!

- Chyba leci panu z nosa. Dać panu chusteczkę, panie detektywie?

- To nie...

Drzwi się zamknęły. Sal nie miał nic przeciwko temu.

Drzwi, do których przed chwilą zapukał, otworzyły się; stała w nich uśmiechnięta kobieta po trzydziestce. Była niska i krągła, a jej fryzura - prosto zaczesane do tyłu włosy, jakby szła pod silny

wiatr - podkreślała kształt sympatycznej, pełnej twarzy. Intensywnie się pocila, a w jej mieszkaniu nie pachniało tak miło jak w tym, które trafiło się Haroldowi.

- Jest pan z policji - powiedziała.

- Przeważnie ja zaczynam od tej kwestii - zachrypiął Sal.

- Ale ja nie jestem - odpowiedziała kobieta. - Z policji, znaczy.

Rozumie pan: skoro pan powiedział...

- Rozumiem - rzekł Sal. Żałował, że to nie Harold zapukał do tych drzwi.

- Nazywam się Charmain Graham - przedstawiła się kobieta, robiąc mu przejście. - Chce się pan dowiedzieć, czy byłam w domu zeszłej nocy? Czy słyszałam albo widziałam coś niezwykłego? Czy dobrze znałam zmarłą? Czy mogę dostarczyć jakichś informacji, które pomogłyby w schwytaniu sprawcy?

- Czy podczas przesłuchania posadzi mnie pani pod gołą żarówką? - spytał Sal.

Wyglądała na zbitą z tropu.

- Dlaczego miałabym... - Baaardzo szeroki uśmiech. - Ach, tak! Zastanawia się pan, czy będzie piekarnik.

- Proszę?

- No, wie pan, czy będę przypiekać, aż pan dojdzie. Policyjny slang.

- Pierwsze słyszę - powiedział Sal.

- Mówili tak w jednym z tych programów o policyjnych dochodzeniach.

Sal wiedział, że z tą kobietą nie pójdzie mu łatwo. Najwyraźniej rozmowa była dla niej wymianą niezobowiązujących ripost, jak szermierka na gumowe szpady. Gestem zaprosiła go, żeby usiadł na niedużej sofie okrytej wytartą zieloną narzutą. Rudy kot spojrział na niego z urazą i zaraz gdzieś czmychnął.

- Na pewno nie użyję książki telefonicznej - stwierdziła.

Znowu go zażyła. Gapił się na nią bez słowa.

- Podobno policja traktuje tak czasem upartych podejrzanych. Tłucze ich po głowie książką telefoniczną, żeby nie zostawić śladów. - Odegrała to, robiąc mocny zamach równoległe ułożonymi ramionami.

- Zgadza się. - Sal podjął grę. - Zatwardziali kryminaliści obrywają książkami z większych miast.

- Teraz to pan sobie ze mnie żarty stroi. - Charmain Graham się roześmiała. Miała przyjemny, melodyjny śmiech. Sal uznał, że ją lubi, choć nie był pewien, czy nie ma żółtych papierów.

- A zatem? - zapytał. - Słyszała pani albo widziała coś ostatniej nocy?

- Ma pan na myśli coś podejrzanego? - Usiadła na niskim wyściełanym krzeselku naprzeciwko sofy. Krzeselko zatrzeszczało ostrzegawczo, ale nie zwróciła na to uwagi.

Dzielił ich niski drewniany stolik kawowy. Pusty, jeśli nie liczyć starych numerów tygodnika „New York” ułożonych w wachlarz jak karty w dłoni pokerzysty. Mieszkanie było tanio umeblowane, ale czyste i panował w nim nieskazitelny porządek. Nic zbędnego: żadnych bibelotów ani zdjęć. Sal rozmawiał z wieloma takimi potencjalnymi świadkami. Charmain Graham była samotna i cieszyło ją towarzystwo, nawet jeśli miała je dzięki zamordowaniu sąsiadki.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej.

- Proszę powiedzieć mi o wszystkim, co przyjdzie pani do głowy. Ja rozsądzę, czy jest to podejrzan.

- Policjant, który był tu przed panem, wyjaśnił, że zabójstwa dokonano w parku, a potem morderca przyszedł tu się umyć. Wyobraża pan sobie coś takiego? Wiedzą, bo krew była w całej...

- Tak, tak. To już ustaliliśmy - powiedział Sal, dodając nieco zgryźliwości do swojego i tak już szorstkiego głosu. Zależało mu na dobrowolnej współpracy, ale nie mógł pozwolić, żeby rozmowa wymknęła mu się spod kontroli.

Charmain zrozumiała. Poprawiła się na krzeselku, prawie z niego spadając, ale wyprostowała się, przyłożyła czubki palców do gardła i zmieniła podejście. Była teraz aktorką występującą w jednym z programów policyjnych, o których wspominała.

- Mniej więcej siedem po trzeciej nad ranem usłyszałam dobiegający z sąsiedniego mieszkania śmiech.

- Ma pani na myśli mieszkanie Macy Collins?

- Jej sypialnię, ściśle mówiąc - sprecyzowała Charmain. - Jak zwykle nie mogłam spać. Obudziłam się jakoś za piętnaście trzecia i leżałam. Wie pan, w takim męczącym półśnie, z nadzieją, że w końcu zasnę. Ale tylko przewracałam się z boku na bok. Nastawiłam klimatyzację na najwyższe obroty, ale wiele to nie dawało, więc poszłam ją wyregulować.

Okazało się, że zamarzła. Czasem tak się dzieje. Strzelały z niej okruszki lodu, ale nawiewu z tego nie było. Cóż, wtedy można ją tylko wyłączyć i czekać, aż rozmarznie, co przy tej pogodzie nie trwa długo.

- Wtedy w pokoju zrobiło się cicho - odpowiedział Sal, chcąc, żeby wróciła do tematu.

- Zgadza się.

- I usłyszała pani śmiech.

- Nie od razu. Wróciłam do łóżka, ale ciągle nie mogłam zasnąć. Macy sypia... sypiała dokładnie za ścianą, przy której stoi moje łóżko. Ściany mamy tu grube, to stare budownictwo. Tłumią dźwięki. Ale przy moim łóżku jest otwór wentylacyjny, który jakoś te dźwięki wyolbrzymia. Słyszałam, że coś porusza się w sypialni

Macy. Nie wiedziałam, co to jest. A od czasu do czasu słyszałam głos.

- Głosy?

- Nie, jeden głos. Męski. Chyba męski, pewności nie mam. Słów nie rozumiałam, głos ledwie szemrał co jakiś czas. A po jakichś dziesięciu minutach ten ktoś zaczął się śmiać.

- Jak? Zanosił się?

- Co to znaczy zanosił się?

- To znaczy czy sądzi pani, że odrzucił głowę w tył i śmiał się na cały głos?

- Nie. To był raczej chichot.

- Nie jestem pewien, czy wiem, jak brzmi chichot.

- Tak jakby był lekko rozbawiony, a nie jakby z uciechy klepał się dłońmi po udach.

- Widziała pani to kiedyś na własne oczy? - zapytał Sal. - Jak ktoś zaśmiewa się do rozpuku, klepiąc się po udach?

- Nie.

- Słyszała pani w ogóle głos Macy?

- Nie. Najcichszego piśnięcia. Leżała już wtedy nieżywa w parku, prawda?

- Obawiam się, że tak. - Sal złożył swój oprawny w czarną skórę notatnik i wstał. - Czy mogę zobaczyć pokój? Ten, w którym słyszała pani śmiech?

- Chichot.

- Chichot.

Charmain podniosła się, na co krzeselko zatrzeszczało z oburzeniem, i poprowadziła Sala do sypialni.

- Dobrze znała pani Macy?

- Prawie wcale. Mieszkała tu w sumie od niedawna i ciągle była zajęta, ciągle gdzieś ją nosiło. Jakby nie miała czasu na

nawiązywanie znajomości. Zaraz, zaraz! Widziałam ją raz w taniej restauracji na Broadwayu, w towarzystwie jakiejś starszej kobiety. Musiały się dobrze znać, bo tematów do rozmowy im chyba nie brakowało.

- W jakim wieku była ta starsza kobieta?

- Na oko po czterdziestce. Była jedną z tych kobiet o większych gabarytach, które mogą nie wyglądać na swoje lata. Wie pan, co mam na myśli?

- Jasne. Macy często przyjmowała u siebie mężczyzn?

- Nie zauważyłam.

Sypialnia była równie schludna jak duży pokój. Łóżko i komoda kupione zostały w IKE-i. Na stoliku, tak żeby dało się go oglądać z łóżka, stał mały telewizor. Nagi parkiet ozdobiony był jedynie owalnym czerwono-czarnym chodniczkiem. W jednym z okien łagodnie mruczał klimatyzator, który miał zwyczaj zamarzać. Łóżko było starannie zasłane; pościel przykryta jasnoniebieską narzutą. Spomiędzy poduszek wychylał się brązowy miś, porządnie już podniszczony. Jego widok wzbudził w Salu zakłopotanie.

- Mam Andy'ego od dzieciństwa - wyjaśniła Charmain, widząc, że Sal zagapił się na misia.

- Kto sypia po prawej stronie łóżka? - zapytał Sal. - Pani czy Andy?

- Ja.

- Przy otworze wentylacyjnym? - Sal wskazał wąską kratkę, która - przemalowywana niezliczoną liczbą razy - miała obecnie kremowy kolor ścian.

- Wystarczająco blisko. - Charmain wyglądała na lekko zawstydzoną.

- Czy kiedy usłyszała pani odgłosy dobiegające z sypialni Macy, wstała pani z łóżka i przyłożyła ucho do kratki, żeby lepiej słyszeć?

Jej okrągłą twarz oblał rumieniec, ale szybko wzięła się w garść, przybierając minę typu „a co mi tam”.

- Oczywiście. Pan postąpiłby inaczej?

- Prawdę mówiąc, nie - skłamał Sal. A przynajmniej miał nadzieję, że było to kłamstwo. Uśmiechnął się do niej. - Proszę się stąd nie ruszać. - Po czym szybkim krokiem opuścił pokój.

Charmain stała nieruchomo przez jakąś minutę, potem usiadła na skraju łóżka, sztywno, jakby w każdej chwili gotowa była się poderwać.

Sal wrócił szybko. Spojrzał na zegarek, podszedł do kratki wentylacyjnej i pochylił się nisko, przykładając do niej ucho.

Po kilku sekundach usłyszał obwieszczenie Harolda, że oto przyszła pora, aby wszyscy ludzie dobrej woli zwarli szyki w jakiejś tam sprawie, po czym dobiegło go dosyć wyraźne „cha, cha, cha”.

Sal wyprostował się i rozciągnął plecy. Charmain nie wstawała ze swojej krawędzi łóżka. Uśmiechnęła się do niego w sposób, który go zaniepokoił.

- Słyszałaby pani, gdyby Macy mówiła coś w łóżku - stwierdził.

- Owszem.

- Zdarzało się to?

- Nie powiedziałam, że nigdy nie sprowadzała mężczyzn - uśmiechnęła się. - Powiedziałam, że nieczęsto.

- I słyszała ich pani przez otwór wentylacyjny? Jak uprawiają seks?

- Skąd to pytanie?

- Otwór zmienia tembr głosu. Mój partner mówił barytonem.

- Partner? To znaczy...

- To znaczy: kolega detektyw. Barytonem mówił teraz, przez kratkę - wyjaśnił Sal, żeby nie było nieporozumień.

Charmain zmrużyła oczy i omiotła go spojrzeniem.

- Seks chyba nie wpływa na tembr głosu. Ktoś taki jak pan pewnie styka się w pracy z wieloma kobietami...

Sal wiedział, do czego to zmierza, i zapragnął, żeby był tu Harold. W tym momencie, jakby życzenia mogły się spełniać, Harold wszedł do sypialni.

- Słyszałeś mnie głośno i wyraźnie? - zapytał.

- Głośno, owszem, ale niezbyt wyraźnie - odpowiedział Sal. Przedstawił sobie Harolda i Charmain.

- Może dam panu chusteczkę higieniczną na ten katar? - zaproponowała Charmain.

Harold podziękował i przyjął chusteczkę wyjętą ze stojącego przy łóżku pudełka.

- Mam nadzieję, że byłam pomocna - powiedziała Charmain.

- Jak najbardziej - odparł Harold.

- Chodzi mi o moje zeznania, nie o kratkę wentylacyjną.

- Myślałem, że o chusteczkę.

- W obu wypadkach odpowiedź brzmi: tak - powiedział Sal. Charmain słyszała, jak morderca we własnym towarzystwie świętuje ostatnie zabójstwo. Pomogła dokładniej określić godzinę śmierci, ale Sal nie widział sensu w informowaniu jej o tym. A jeśli morderca tarzał się w łóżku Macy, mógł zostawić solidną próbkę DNA. O ile nie zostawił jej wcześniej tego wieczoru, w parku.

- Bardzo nam pani pomogła - powiedział. Skierował się do wyjścia, a Harold i Charmain podążyli za nim.

Przy drzwiach na korytarz Charmain mrugnęła do Sala tak, żeby Harold nie zauważył.

Rozmowa o morderstwie najwyraźniej ją podekscytowała.

- Gdyby potrzebował pan czegoś jeszcze, na przykład dalszych doświadczeń z kratką wentylacyjną, bardziej realistycznych, to

jestem do dyspozycji.

O to Sal mógłby się założyć. Podziękował jej uprzejmie i oficjalnie, po czym pociągnął Harolda w stronę windy.

- Miło, że dała mi chusteczkę - powiedział Harold, gdy zjeżdżali na parter.

- To dlatego, że pachniesz jak paliwo samolotowe - odparł Sal.

- Raczej dlatego, że mnie polubiła - odciął się Harold. - A ty jesteś zazdrosny.

Sal znał Harolda na tyle, żeby powstrzymać się od odpowiedzi.

Klimatyzator musiał być wadliwy - przez dłuższy czas pracował, a potem równie długo nie działał. A może przeciążyła go fala upałów? Obecnie był w okresie zastoju.

W biurze panowała niecodzienna cisza, jakby skwar odbierał siły także dźwiękom.

Pachniało mokrym klejem - może w komputerze Larry'ego Feddermana za bardzo nagrzał się plastik albo okablowanie. O ile w komputerach jeszcze stosowano okablowanie. Dzisiaj wszystko mogli składać z modułów. Quinn miewał niekiedy wrażenie, że sam składa się z modułów i nie pasuje do współczesności. Jak podróżnik w czasie, przybyły z epoki brązu.

Dziś Quinn pracował przy telefonie. Towarzyszył mu tylko dzielny, choć źle ubrany Fedderman, siedzący cztery i pół metra dalej, za biurkiem ustawionym tak, że zwróceni byli do siebie twarzami. Od czasu niedawnego małżeństwa Fedderman ubierał się trochę lepiej, ale mankiet jego koszuli wciąż miał tendencję do rozpinania się, gdy detektyw pisał długopisem lub ołówkiem, i pozostawał rozpięty, łopocząc jak żagiel, gdy Larry się przemieszczał. W tej chwili Fedderman przepisywał do komputera swoje odręczne notatki.

Obydwie wersje zostaną zachowane, powiększając kartoteki: papierową i cyfrową.

Ciszę zakłócił dzwonek telefonu. Quinn odebrał. Przyłożył do ucha słuchawkę stacjonarnego aparatu - była twarda i śliska.

Pearl dzwoniła z domu z brunatnego piaskowca. Pracowała do późna, starając się skontaktować z trzema współlokatorkami

Macy, które spędzały lato poza miastem. Nie miała dobrych wieści.

Dziewczyny były wstrząśnięte informacją o śmierci Macy. Poza tym nie miały do powiedzenia nic, co posunęłoby śledztwo naprzód. Były studentkami na wakacjach - dwie przebywały w Chicago, trzecia w Europie. Żadna z nich nie znała Macy zbyt dobrze, chociaż wszystkie rozbeczały się podczas rozmowy z Pearl. O ofierze wyrażały się w samych superlatywach. Najwyraźniej obawiały się, że spadnie na nie pradawna klątwa, jeśli powiedzą o niej złe słowo. Pearl zetknęła się już z takimi reakcjami, kiedy młodzi ludzie nieoczekiwanie musieli stawić czoła śmierci kogoś z najbliższego otoczenia.

Każdego mogło to spotkać.

Quinn podziękował Pearl i zapytał, czy wstała już z łóżka.

- Bo co? - zapytała. - Masz chrapkę na telefoniczny seks?

- Nie wiedziałem, że z telefonem można uprawiać seks.

To był komunikat, żeby Pearl odłożyła słuchawkę. Tak też zrobiła.

Quinn czytał już raporty Sala i Harolda. Przesłuchanie Charmain Graham, sąsiadki Macy z przylegającego mieszkania, było dotąd najbardziej owocne. Możliwe, że rzeczywiście słyszała mordercę w sypialni ofiary. Wyglądało na to, że mieszkańcy bloku, z wyjątkiem gospodarza domu, wymieniali z Macy najwyżej okazjonalne „dzień dobry” lub przelotne skinienie głową. W ciągu kilku tygodni poprzedzających morderstwo nikt nie zauważył nic podejrzanego ani w budynku, ani w jego okolicy.

Zabójstwo było czyste i bezbłędne. Jedyna wpadka mordercy to cichy śmiech, podsłuchany przez otwór wentylacyjny u Charmain Graham. Fakt, że śmiał się tak niedługo po pokrojeniu istoty ludzkiej, budził w Quinnie furję. Stale wyobrażał sobie ten śmiech, chociaż nigdy go nie słyszał. Czy morderca śmiał się tak samo, gdy

masakrował zakneblowaną i wciąż jeszcze żywą Macy? A może dopiero, gdy wciągał na jej zwłoki niebieskie majtki? O co, do cholery, chodzi z tymi majtkami?

Quinn sięgnął po następną kartkę i po raz kolejny przebiegł ją wzrokiem.

Poza nazwiskami i adresami rodziców Macy technicy kryminalistyczni nie znaleźli w jej mieszkaniu nic godnego uwagi. Jej matka mieszkała w Davenport w stanie Iowa. Ojciec - w Oakland w Kalifornii.

Quinn doszedł do wniosku, że Pearl wyrobiła już swoją normę zawiadamiania o śmierci Macy.

Westchnął i zatelefonował gdzie trzeba. Reakcje obojga rodziców rozdarły mu serce.

Pomyślał o swojej własnej córce, mieszkającej w Kalifornii, po drugiej stronie kontynentu.

Nikt nie decyduje się na dzieci z myślą, że mogą skończyć torturowane i zarżnięte przez potwora. Na drugim końcu biura Fedderman słyszał głos Quinna, choć nie rozróżniał słów.

Odgadł jednak, o czym mowa, i oczy zaszły mu łzami. Szybko odwrócił wzrok w drugą stronę.

Kolejny telefon, tym razem do Quinna, też należał do mało przyjemnych. Dzwonił Nift z biura lekarza sądowego. Zakończył autopsję Macy.

- Oficjalną przyczyną śmierci naszej małej jest zatrzymanie akcji serca na skutek szoku - powiedział, nie bawiąc się we wstępy.

- Można się było tego spodziewać.

- Urznięcie cycków wymagało odrobiny wiedzy i umiejętności.

- Medycznych?

- Wyćwiczonych, na zasadzie „trening prawie czyni mistrza”.

Okaleczał ją, kiedy jeszcze żyła. Cud, że szok nie zabił jej w

trakcie. Ten facet jest ekspertem w jak najdłuższym utrzymywaniu ofiary przy życiu. To on niemal co do minuty zdecydował, kiedy Macy ma umrzeć. Wyobrażam sobie, że było to dla niego ważne.

- Nie wyobrażaj sobie za dużo - powiedział Quinn. Ale wiedział, że Nift ma rację. Po prostu irytowało go, że ośliży medyk sądowy próbuje bawić się w detektywa.

Nift cicho zachichotał, co przywiodło Quinnowi na myśl opisany przez Graham śmiech mordercy.

- Macy spędziła całkiem miły wieczór - ciągnął Nift. - W treści żołądka znaleźliśmy stek, sałatkę i czerwone wino, spożyte mniej więcej pięć godzin przed śmiercią. Została nakarmiona, napojona i...

- Zgwałcona?

- Możliwe. Choć seks mógł się odbyć za jej zgodą. Tyle że urazy pochwy sugerują coś innego. Wykryliśmy też pozostałości substancji wykorzystywanej do nawilżania prezerwatyw.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. Cały czas na to trafiam - dziwnie radosnym głosem odpowiedział Nift.

- Nasz morderca preferuje bezpieczny seks - stwierdził Quinn.

- Nie ma pewności, że to penis ją penetrował.

- Wibrator?

- Może. Albo jakiś inny sztuczny substytut wymagający nawilżenia.

- Lub coś ważnego dla mordercy w sensie rytualnym.

- Możliwe, że zbyt wiele się w tym doszukujemy - powiedział Nift. - Nie można wykluczyć zwykłego seksu za obopólną zgodą. Może postawił jej obiad, wino, przeleciał ją i ta ostatnia część mogła jej się podobać, chociaż musiało być na ostro. Na ściankach

pochwy są ślady po otarciach, ale znasz kobiety.

- Chciałbym.

- Nic nie wskazuje na to, że stawiała opór, dopóki nie zaczął jej wiązać i kneblować.

- Może była pijana?

- Może. Jeśli miała słabą głowę. No i w żołądku znaleźliśmy ślady sprzedawanego bez recepty środka uspokajającego. Układ siniaków na ramionach wskazuje, że morderca siedział na niej okrakiem, przyciskając ją do ziemi. Może chciał utrzymać jej dłonie z dala od twarzy, jak już zakleił jej usta taśmą. Na pewno walczyła, kiedy krępował jej ręce.

- Silny gość.

- Przeciętnie silny mężczyzna albo ponadprzeciętnie silna kobieta. Prawdopodobnie siedział jej na cyckach i w miarę jak krępował ramiona, zsuwał się w stronę łona. Zgaduję, że urznął jej melony dopiero wtedy, gdy torturami odebrał jej siłę i wolę walki. Na wrażliwych miejscach jej ciała znaleźliśmy drobne ślady po cięciach i nakłuciach, które ledwie przebiły skórę.

- Żyła, kiedy ją ciał?

- Na sto procent. Chciał, żeby widziała i czuła, co jej robi, żeby doświadczali tego wspólnie.

- Chciał złapać odjazd razem z nią - uzupełnił Quinn. - No, do pewnego momentu.

- Niestety najlepiej przeżywać we dwoje.

- A drugi z dwojga to Daniel Wentworth alias Daniel Danielle, alias Danielle Daniel?

- Niewykluczone.

- Tylko niewykluczone? - spytał Quinn. Tłumił wściekłość na mordercę i czuł lekkie nudności. Ten upał...

- Na chwilę obecną tak. Ale pamiętam, jak mordował Daniel

Danielle. Między nami:

Macy zabił ten sam gość.

- On nie żyje - powiedział Quinn. - Na piechotę wszedł w huragan.

- Pasja silniejsza niż śmierć. Jeśli moje zdanie ci nie wystarcza, to znaleźliśmy skrawki skóry pod połamanymi, ale lakierowanymi paznokciami panny Macy. Niedługo będziemy mieli porównanie DNA. Może masz ochotę na mały zakład?

- Nie - odparł Quinn. - A z tego, co słyszałem, gliniarze z Florydy albo nie pobrali wymazu od Daniela Wentwortha, albo go zgubili. W dodatku próbka DNA pobrana wtedy spod paznokcia ofiary była zbyt mała i zbyt stara, żeby mogła naprawdę się przydać. I wykorzystano ją niemal całą w trakcie procesu.

- Ale to ten sam gość - upierał się Nift. - To, co robi z nożem, jest bardzo charakterystyczne. Musiał nad tym myśleć, musiał to ćwiczyć. - Nift umilkł. Quinn słyszał jego oddech. Istniała możliwość, że Daniel miał na koncie ponad setkę ofiar, których zwłoki zakopał w płytkich grobach, gdzie wciąż spoczywały, lub pozbył się ich w inny sposób, którego normalny umysł nie jest w stanie sobie wyobrazić. - Słuchaj, Quinn, kiedy nad nią pracowałem, dręczyła mnie pewna myśl. Coś, co powinieneś mieć na uwadze. Zanim odwinąłem skórę twarzy i zająłem się czaszką, a nawet potem, uważnie sobie Macy oglądałem. Cały czas przypominała mi Pearl.

Quinn trzasnął słuchawką o widełki, aż Fedderman podniósł na niego wzrok.

- Coś się stało?

Quinn był zlany potem i ledwie dostrzegalnie drżał. Przeciągnął wierzchem dłoni po wilgotnym czole i odchylił się na oparcie fotela.

- Nic. Po prostu rozmawiałem z Niftem o autopsji.

- Wszystko jasne - powiedział Fedderman. - Dowiedziałeś się czegoś?

Quinn streścił mu rozmowę z Niftem, myśłami co chwila wracając do Pearl.

Niftowi bez wątpienia o to chodziło, chociaż nie wiedział, że Quinna nie trzeba było podpuszczać. I tak myślałby o Pearl.

Pearl we własnej osobie wkroczyła do biura godzinę później. Była schludnie ubrana w szerokie szare spodnie, niebieski blezer i buty z lekko podwyższonymi obcasami, które miały dodawać jej wzrostu powyżej naturalnego metra sześćdziesiąt. Pod luźną bawełnianą bluzką jej piersi były mniej wydatne niż zwykle. Oczy miała ciemne i uważne; krucza czerń opadających na łopatki włosów podkreślała bladość cery. Bujna - gdy ktoś opisywał Pearl, najczęściej tak ją określał. Czarno-biały szkic artysty składającego hołd kobiecości.

Skinęła na powitanie głową Quinnowi i Feddermanowi, a potem Salowi i Haroldowi, którzy też dopiero co przyszli. Przemierzyła biuro i naląa sobie kawy do kubka z własnymi inicjałami. Było jej miło, że ktoś zadał sobie trud zaparzenia kawy, wiedząc, że przyjdzie później.

- Zostawiliśmy ci pączek - powiedział Sal, wskazując leżące na drukarce wąskie pudełko z cukierni - ale Harold go zżarł.

- Nie wiedziałem, że był dla Pearl - szybko usprawiedliwił się Mishkin.

- Nie szkodzi - odpowiedziała Pearl. - Przynajmniej jest kawa. Pewnie we czterech musieliście połączyć siły, żeby ją zaparzyć?

- Zjedz swój pączek - zachrypiał Sal. - Z Haroldem to był żart.

- Kupiliśmy nadziewane - dodał Harold.

Pearl podniosła wieko pudełka i zobaczyła pączek z kremem, oblany czekoladową polewą, mały i nadłamany. Na szczęście

zdażyła przed wyjściem z domu zjeść bajgla.

Opuściła wieko z powrotem, wyraźnie dając do zrozumienia, że gardzi pączkiem.

- Skoro wszyscy tu jesteśmy - powiedział Quinn - zrobimy naradę i porównamy informacje. Może wyklaruje się, z czym mamy do czynienia.

Rozdzwoniły się telefony na linii pierwszej. Pearl podniosła słuchawkę aparatu stojącego na jej biurku i odwróciła się, żeby nie przeszkadzać pozostałym. Uniemożliwiła im przy okazji podsłuchiwanie.

Po zakończeniu rozmowy odwróciła się z powrotem. Wyglądała na zdenerwowaną.

- Dzwoniła Rena Collins - powiedziała. - Matka Macy. Przylatuje dziś do miasta, żeby z nami porozmawiać i odebrać ciało córki.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa - odparł Quinn. - Wolelibyśmy nie wydawać ciała.

- Tak też jej powiedziałam. Chyba rozumie sytuację.

Quinn uniósł brwi.

- Chce zobaczyć córkę. - Pearl wzruszyła ramionami. - Poczekaj na ciało. Powiedziała, że przywozi dla Macy sukienkę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Milczenie przerwał Quinn.

- Zadzwoń do Nifta i powiem mu, że ma doprowadzić Macy do zadowolającego wyglądu.

Jeszcze zanim skończył mówić, zorientował się, jak bezdusznie zabrzmiały jego słowa. Nie potrafił jednak zgrabniej wyrazić, że jedno kawałki córki pani Collins zaginęły, a inne trzeba ponownie dopasować do ciała.

Quinn zabrał Renę Collins sprzed hotelu i wiozł ją do kostnicy. Matka Macy była atrakcyjną kobietą po pięćdziesiątce, o smukłej figurze, prawdopodobnie będącej efektem obsesyjnej diety i wyczerpujących ćwiczeń. W przeciwieństwie do córki miała włosy blond; była też opalona, jakby przez ostatnie dni dużo pływała lub często grywała w tenisa. O jej wieku przypominały jedynie kurze łapki w kącikach zwężonych, smutnych oczu.

- Nie musiał pan się kłopotać - powiedziała. - Mogliśmy umówić się na miejscu.

Jej głos brzmiał chropawo, jak u nałogowego palacza. Quinn pomyślał, że pewnie od płaczu.

- To żaden kłopot.

- W pierwszej chwili pomyślałam, że przyjechał pan wynajętą limuzyną - rzekła Rena Collins. - To chyba nie jest nieoznakowany radiowóz?

- Nie. To mój prywatny samochód, lincoln, rocznik pięćdziesiąt dziewięć. Fakt, wygląda jak wynajęty. Dzięki temu jest jednym z najmniej rzucających się w oczy pojazdów w Nowym Jorku.

- Pewnie tak - zgodziła się Rena. - Właśnie dwa takie same nas wyprzedziły.

- Nowsze modele, ale podobne.

Ruch uliczny był coraz większy, ponieważ zbliżała się pora lunchu. We wnętrzu samochodu ciążyło krępujące milczenie. Jedyнным wspólnym tematem dla dwojga obcych sobie ludzi była martwa kobieta. Żadne z nich w tej chwili nie chciało o niej

rozmawiać, choć jej obecność była wyczuwalna, jakby Macy siedziała na tylnym siedzeniu.

Renę Collins czekało niełatwe zadanie. Identyfikacja zwłok własnego dziecka to jedna z najgorszych rzeczy, jakich można od kogoś wymagać. Quinn wolałby, żeby miała to już za sobą. Żeby oboje mieli to za sobą.

Kiedy martwa twarz Macy Collins pojawiła się na monitorze w kostnicy, poczuł ulgę.

Przede wszystkim ze względu na Renę. Zdjęcie zostało zrobione przed autopsją. Nift wykonał kawał dobrej roboty, przygotowując Macy do oględzin. Twarz na ekranie nie wyglądała wprawdzie jak na niedawnych fotografiach, które w jej rodzinnym mieście zdobyli dziennikarze, ale może i dobrze, że Macy nie była do siebie podobna. Quinn pamiętał przerażenie w jej oczach i zastygły na wargach niemy krzyk, który objawił się po zdjęciu taśmy klejącej. Renie Collins oszczędzono przynajmniej tego.

- To Macy - wydusiła zdławionym głosem i odwróciła się od monitora. Piersi jej falowały. - O Jezu... Muszę stąd wyjść! Muszę odetchnąć.

- Ja też - powiedział Quinn, zadowolony, że nie chciała obejrzeć ciała z bliska.

Rodzinom ofiar czasem nie wystarczał obraz na monitorze. Niektórzy uważali za swój obowiązek podejść do zwłok, dotknąć ich, jakby dało się tym dotknięciem w jakiś magiczny sposób przebudzić zgasłą iskrę życia. W tym wypadku zdjęcie wystarczyło, a wymogi prawne zostały spełnione.

Quinn wyprowadził Renę Collins na zewnątrz, w gorące, rozedrgane powietrze Manhattanu, które i tak wydawało się nieporównywalnie lepsze od atmosfery w kostnicy.

Rena była spocona. W tych krótkich przerwach, gdy ruch

uliczny nie dawał o sobie znać, Quinn słyszał jej oddech, już znacznie spokojniejszy, choć wciąż lekko urywany.

- Na pewno nic pani nie jest? - zapytał i delikatnie ujął jej łokieć, chcąc ją podtrzymać.

Zmusiła się do uśmiechu i uwolniła z jego uchwytu.

- Na pewno. Wszystko w porządku.

Pozostał czujny na wypadek, gdyby jednak zmogło ją połączenie upału i ciężkich przejść.

- Nie będę mogła od razu zabrać jej do domu na pogrzeb, prawda? - zapytała już w samochodzie.

- Będziemy jej jeszcze przez jakiś czas potrzebować - przyznał Quinn.

- Chciałabym, żeby... - Przemyślała to, czego nie dopowiedziała.

- Nic. Nieważne.

Quinn ustawił klimatyzację samochodu na maksimum. Gdy minęli kilka przecznic, Rena już się nie pociała i oddychała normalnie. Quinn zwolnił. Chciał z nią porozmawiać o Macy.

- Potrzebuje pani czegoś? - spytał.

- Chcę zadzwonić do mojego byłego męża, ale jeszcze nie teraz.

- Do ojca Macy?

- Tak. Jest w Kalifornii. Mówił, że chciałby przylecieć do Nowego Jorku, ale na razie to niemożliwe. Że może zdąży na pogrzeb.

Że może zdąży...

- Rozumiem - powiedział Quinn. Ale nie rozumiał. Macy była przecież dzieckiem tego człowieka.

Rena Collins zapatrzyła się w boczną szybę po swojej stronie, ale nie widziała niczego poza nią. Była pogrążona w myślach. Potem przeniosła spojrzenie na Quinna.

- Napiłabym się czegoś - stwierdziła. - Bezalkoholowego.

- O przecznicę stąd jest restauracja.

Quinn pomyślał, że to dobry pomysł. Atmosfera restauracji będzie bardziej sprzyjała rozmowie.

Przyłapał się na rozważaniu, czy Renie Collins naprawdę chodziło tylko o rozmowę.

Widował już takie reakcje, gdy bliskość śmierci działała jak afrodyzjak, budziła pragnienie doznań z przeciwległego bieguna emocji. Ostatecznie - i przede wszystkim - chcemy żyć.

Pragniemy życia dla siebie i dla tych, których kochamy.

Zwyzywał się w myślach od idiotów. Tej kobiecie nie chodziło o niezobowiązujący numer z podtatusiałym ekspliną, do czego i tak by zresztą nie doszło. Quinn przynajmniej częściowo odpowiedzialny był za to, że przed chwilą zobaczyła zdjęcie swojej zmarłej córki, więc był odpowiedzialny także za wszystko, co mogło wydarzyć się potem.

Gdy przekazywał lincolna portierowi z hotelowego parkingu, dręczyło go jeszcze poczucie winy wywołane tymi rozważaniami. Puścił Renę przodem, ruszył za nią krok w krok, ale pierwszy pchnął przeszklone drzwi obrotowe. Znaleźli się w chłodnym holu.

W restauracji serwowano lunch, więc była już porządnie zatłoczona. Udali się zatem do pobliskiego baru i znaleźli boks zapewniający względną prywatność. Trzy płaskoekranowe telewizory retransmitowały mecz baseballu z zeszłej nocy - Yankees kontra Red Sox - ale dźwięk był wyłączony. Lena zamówiła dietetyczną coca-colę z cytryną. Quinn poprosił o filiżankę kawy.

Kiedy przyniesiono ich zamówienia, dolał do filiżanki śmietankę i mieszając, przyglądał się Renie, wyciskającej ćwiartkę cytryny do coli. Zgrabnie zamieszała lód palcem wskazującym i pociągnęła łyk, ignorując słomkę, którą podano razem z napojem. Postawiła

szklanę na podstawce, przyłożyła na chwilę chłodną rękę do czoła, po czym skierowała wzrok na Quinna.

- Nie za gorąco na kawę? - zapytała.

Uśmiechnął się.

- Gliniarz będzie pił kawę i w piekle.

Westchnęła. Wprawdzie zjawili się tutaj z jej inicjatywy, ale wiedziała, że nie pora na czcze pogaduszki. Gliniarz pozostanie gliniarzem i w piekle.

- Chce pan porozmawiać o Macy.

- Potrzebuję pewnych informacji - odpowiedział. - Ale może wolałaby pani, żebyśmy odłożyli to na później?

- Może być teraz. - Kolejny łyk coli. Znowu zimna dłoń przyłożona do czoła.

- Pewnie zabrzmiało to banalnie - zaczął Quinn - ale czy Macy miała wrogów?

- Którzy mogli zrobić coś tak potwornego dwudziestoletniej dziewczynie?

Wydaje się oczywiste, że nie, ale...

- Ale?

- Jest oczywiste, że takiego wroga miała.

- A jak szło jej w szkole? - zapytał Quinn.

- Byłyśmy w kontakcie. Wiedziałabym, gdyby miała jakieś poważne problemy, więc chyba na uczelni wszystko było w porządku. Macy podobało się, że wyjechała z domu, że jest za siebie odpowiedzialna. Była z tego dumna. To dlatego została na wakacje w Nowym Jorku, zamiast odwiedzić matkę. Lubiła swoją pracę: staż w kancelarii adwokackiej. Enders i Coil.

Zna ich pan?

- Słyszałem - odpowiedział Quinn. - Renomowana kancelaria.

- Trochę dziwne, że podobała jej się taka praca. Zawsze była

typem kontrkulturowej buntowniczką; bardziej pasowałyby do niej funkcja obrońcy z urzędu.

- Znała dziewczyny, od których podnajmowała lokal?
- Wcale. Mieszkanie znalazła na studenckiej tablicy ogłoszeń.
- One nie studiują w Waycliffe.
- To prawda. Ale wiedzą, gdzie szukać osób, które stać na podnajmowanie ich mieszkania, gdy wyjeżdżają.
- Wszystkie wyjechały?
- Na wakacje? Tak. Poza jedną.
- Poza Jacqui Stoneman?
- Chyba tak.
- Stoneman wyjechała dziesięć dni temu - oznajmił Quinn. - Dozorca i pozostałe dwie dziewczyny twierdzą, że podróżuje z plecakiem po Europie. Nie wróci wcześniej niż za miesiąc.

Rena skinęła głową. Tym razem napiła się, nie chłodząc przy tym dłonią czoła.

- Więc Macy nikogo nie znała w Nowym Jorku? - spytał Quinn.
- Nie za dobrze. Kilka osób, współpracowników z kancelarii. Wspominała o starszej kobiecie imieniem Sarah. Mogła też znać z widzenia jakieś dziewczyny z Waycliffe, które mieszkają w Nowym Jorku i spędzają w mieście cały rok.

Quinn upił kawę i odchylił się na wyściełane oparcie boksu. Od strony baru, gdzie pokazywano nagrany wcześniej mecz, dobiegły nieliczne okrzyki aplauzu. Po odbiciu przez pałkarza piłki biegacz zaliczył wszystkie bazy.

- A Waycliffe? - zapytał. - Czy Macy dobrze się tam czuła?
- Twierdziła, że tak. Wydawało się, że przez ostatni rok dorastała, stała się bardziej...

praktyczna. Miała głowę do nauki, otrzymywała najwyższe oceny. W Waycliffe objęli ją programem dla wybitnie uzdolnionych.

Raczej gładko przystosowała się do studenckiego życia.

- Wspominała może o jakichś konkretnych znajomych?

- Czasami, ale nie przypomnę sobie nazwisk. Lubiano ją, chociaż brylowanie w towarzystwie nie było w jej stylu. - Dolna warga Reny zaczęła drżeć.

Quinn odgadł, że w duchu widziała zdjęcie martwej córki. Może nawet samo morderstwo, które mogła sobie wyobrazić na podstawie straszliwych ran. Odtwarzała w myślach niedawne wydarzenia tak, jak barowe telewizory odtwarzały mecz baseballowy. Na zdjęciach z miejsca zbrodni śmierć Macy nie wyglądała na tak spokojną i łagodną, jak na fotografii pokazanej w kostnicy. Tych zdjęć Rena nie widziała, ale wiedząc, co spotkało jej córkę, mogła sobie wyobrazić przebieg wydarzeń.

Pociągnęła długi łyk ze szklanki.

- Kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy przez telefon, odniosłam wrażenie, że niepokoi ją coś związanego z jej pracą, że dzieje się coś... niewłaściwego.

- Co to znaczy: „odniosłam wrażenie”? - spytał Quinn.

Rena potrząsnęła głową.

- Sama nie wiem, nie powinnam o tym wspominać. Może to tylko moja wyobraźnia.

Macy miała szczególny sposób wysławiania się, pewnie dlatego, że była taka inteligentna.

Sens jej wypowiedzi zdawał się kryć między wierszami. Bywało to trochę denerwujące, jak wtedy, kiedy zadzwoniła do mnie z pokoju w akademiku.

- Co dokładnie powiedziała?

- Nie zacytuję tego dosłownie. Pamiętam tylko, jak mówiła, że być może pod jej nieobecność ktoś spał w jej łóżku.

- Może któraś ze współlokatorek?

- Nie miała współlokatorek. Studentom w akademiku przyznawano małe pokoje, w których ledwie starczało miejsca na łóżko i biurko.

- Miała klucz?

- Tak, ale nie zamykała drzwi. Mało kto to robił, kiedy wychodził na krótko. W Waycliffe tak już jest.

- Czyli wszyscy tam są godni zaufania?

- Najwyraźniej. Albo na tyle bogaci, że nie muszą kraść.

- To aż tak ekskluzywne miejsce?

- Bez wybitnej inteligencji, pieniędzy albo koneksji nie ma szans, żeby się tam dostać.

U Macy zdecydowała inteligencja. Na każdym teście kwalifikacyjnym miała maksymalny lub prawie maksymalny wynik.

- Gdzie była podczas tej historii z łóżkiem?

- Uczestniczyła w grupie dyskusyjnej, którą jeden z jej wykładowców zorganizował u siebie w domu. Wie pan: napoje, przekąski, niekończące się analizy albo dysputy polityczne.

W tym momencie Quinna uderzyła myśl, że Rena mogła być podświadomie zazdrosna o nieprzeciętną inteligencję córki.

- Może po prostu zapomniała posłać łóżko - powiedział.

- I zapomniała, że zapomniała? To do niej niepodobne.

Rena pochyliła głowę, jej dolna warga znowu zaczęła drżeć. Wyglądała, jakby miała się rozpłakać, ale wzięła się w garść, choć z widocznym wysiłkiem. Starannie odwinęła z folii plastikową słomkę, wbiła ją w płyn jak włócznię i serią długich pociągnięć prawie całkowicie opróżniła szklankę z dietetycznej coli.

Quinn nie powiedział Renie, że niektórzy seryjni mordercy starali się wejść w umysł osoby, którą zamierzali zabić, poznając jej osobiste nawyki. Czasem nawet zakradali się do domów

upatrzonych ofiar, żeby tam naśladować ich codzienne czynności. Oglądali coś w ich telewizorach, czytali ich maile, zakładali ich ubrania, czesali się ich grzebieniami, malowali ich zestawami do makijażu. Albo kładli się do ich łóżek.

- Gdzie dokładnie jest Waycliffe College? - zapytał. - Może będę chciał tam pojechać.

Powiedziała mu przy drugiej szklance zimnej coli.

Fedderman i jego żona Penny wybrali się na kolację. Gdy on był w samym środku sprawy, rzadko jadali na mieście.

Kolacja była szczególna: makaron i wino w D'Glorio's, o przecznicy od ich mieszkania. Ściśle mówiąc, od mieszkania Penny, do którego wprowadzili się po ślubie.

Wybrali je, bo było większe, miała też więcej wartych zatrzymania mebli. Większość gratów Feddermana rodem z pchlego targu wynieśli na śmietnik.

D'Glorio's była całkowicie typową włoską restauracją: na stołach obrusy w biało-czerwoną kratę, świece w nawoskowanych butelkach po winie, dyskretnie przygrywające w tle opery Verdiego, rozchodzące się z kuchni apetyczne zapachy czosnku i innych, bardziej tajemniczych przypraw.

Dopijali wino, czekając, aż przyniosą im na deser tiramisu, kiedy Penny poruszyła kwestię, która dręczyła ją od tygodni - a przez ostatnie dni wręcz nieznośnie.

- Jest coraz trudniej - powiedziała.

Fedderman, sączący cabernet z miną, jakby znał się na winach, uniósł brwi. Wiedział, że Penny od jakiegoś czasu czymś się martwi. Właśnie miał się dowiedzieć czym.

- Zawsze, kiedy wychodzisz z domu - kontynuowała - boję się, że widzę cię po raz ostatni. Nic na to nie mogę poradzić.

Ilu policjantów słyszało te słowa od swoich żon?

Rozluźnił się, choć tylko nieznacznie.

- Żony księgowych też miewają takie myśli - odpowiedział, chociaż tego akurat nie był pewien.

- Ale nie martwią się tak jak ja. Rachunek prawdopodobieństwa przemawia na ich korzyść.

- Przemyślałaś to sobie - powiedział Fedderman.

- Chcę tylko powiedzieć...

- No, co?

- Że nie jestem pewna, czy potrafię dłużej tak żyć. Codziennie zastanawiam się, czy cię nie stracę.

Uśmiechnął się do niej, nie potrafiąc ukryć przyjemności, którą sprawiła mu jej zrodzona ze szczerzej miłości troska. A jednak to siła jej uczuć zagrażała ich małżeństwu.

Przynajmniej odniósł wrażenie, że Penny to miała na myśli.

- Penny, praca policjanta nie wygląda tak jak w serialach. Prawdę mówiąc, przeważnie jest nudna. Jak księgowość.

- Księgowi rzadko uganiają się za seryjnymi mordercami - zripostowała Penny.

- Najpierw trzeba ich dogonić - nieprzekonująco bronił się Fedderman.

- Nie mów mi o seryjnych mordercach - powiedziała Penny.

Fedderman skinął głową. Dwa lata temu seryjny morderca zabił jej siostrę. Wtedy się poznali - Fedderman towarzyszył Penny przy identyfikacji zwłok.

- Ja ci tylko mówię, jak wygląda moja praca - odpowiedział. - Jutro będę obdzwaniał rodziców współlokatorek ofiary, pytając, czy nie wspominały o czymś, co może okazać się użyteczne. Pen, ja przeważnie tym właśnie się zajmuję. Większość dnia spędzam przed komputerem albo przy telefonie. Jedyne niebezpieczeństwo, jakie mi grozi, to ból nadgarstka od myszki. Bardziej prawdopodobne jest, że tobie zrobi krzywdę spadająca z półki w bibliotece książka, niż że mnie coś złego spotka w pracy.

Penny dopiła wino. Miała minę, jakby za grosz mu nie wierzyła.

- Może to ty powinieneś martwić się o mnie. W końcu czyhają na mnie tomy Henry'ego Jamesa i Ayn Rand.

- Nie sądzę. Da się nawet przeżyć trafienie Stephenem Kingiem. Trudno, żeby groziły mi czymś rozmowy telefoniczne z rodzicami współlokatorek zmarłej. Zajęcie cholernie nieprzyjemne, ale bezpieczne.

Podano ich tiramisu, a do niego kawę. Zjedli, potem przez jakiś czas pili w milczeniu.

W restauracji było ciepło, ale ciepłem przytulnym, zawdzięczającym to bardziej zapachowi przypraw z kuchni niż upalnemu latu na zewnątrz.

- To co? Nie masz powodów, żeby jutro się martwić - powiedział Fedderman.

- A pojutrze?

- Nikt tego nie wie. Ani księgowy, ani pilot, ani akwizytor, ani zarządca funduszu hedgingowego, ani glina. Niewiele możemy zrobić, jeśli idzie o pojutrze.

- Możemy go doczekać i starać się żyć dalej - odpowiedziała Penny. - We dwójkę.

Skończyli kolację, wyszli w noc i ruszyli spacerkiem w kierunku mieszkania. Z nadejściem wieczoru jakby się ochłodziło, a aleją przemykał miły wietrzyk.

Po powrocie do domu nie włączyli klimatyzacji. Zamiast tego otworzyli okna. Do mieszkania zawitały dźwięki nocy; towarzyszyło im nikłe poruszenie powietrza.

Fedderman wziął Penny w ramiona, delikatnie ją do siebie przyciągnął i pocałował w usta. Smakowała winem, czosnkiem i czekoladą.

- Wiem, jak całkowicie uwolnić cię od trosk - powiedział.

- Feds...

- Nie chcę cię stracić - wyszeptał jej do ucha.

Ile żon słyszało te słowa od mężów policjantów?

- Nikt nie chce nikogo tracić - odpowiedziała.

Pocałował ją jeszcze raz i poszli do sypialni.

Kochali się, jakby był to ich pierwszy raz... albo ostatni. Co mogło znaczyć to fatalistyczne przeczucie? Dla Feddermana nie istniały rzeczy bez znaczenia. A Penny zaczynała myśleć jak on.

Później spała spokojnie u jego boku, a Fedderman leżał rozbudzony i wpatrywał się w ciemność, zbrojąc się przeciw nadciągającym koszmarom, świadomy, że niczego nie rozwiązali.

Wiedział, że jeśli Penny widzi problem, to podejmie działania, żeby go rozwiązać.

Coraz większe i coraz bardziej pomarańczowe słońce rozpraszało niechętnie ustępującą poranną mgiełkę. Quinn, lawirując w korkach, opuścił zatłoczone ulice miasta i skierował się na północ stanu Nowy Jork. Pearl w milczeniu siedziała na fotelu pasażera.

Grzejące przez przednią szybę słońce wywoływało w niej senność. Ściszone radio zaczęło nadawać rap:

To będziesz ty Moja broń lśni Najdroższy syn Uciekaj, gdy Broń w dłoni, dziwko, lśni Pearl zastanawiała się, czy ten, kto napisał słowa, w ogóle je przemyślał i czy miały jakiś sens. Poważnie w to wątpiła. Wyciągnęła rękę, wyłączyła radio, a potem popatrzyła na Quinna.

- Mogę?
- Skoro tak grzecznie prosisz.
- Co, do cholery, może znaczyć ten tekst?
- Że gość ma broń.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, ale nie widziała oczu ukrytych za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych.

Wtuliła głowę w miękki zagłówek fotela i skrzyżowała ramiona. Próbowwała się zdrzemnąć, ale nie udało jej się.

Uciekaj, gdy...

Droga zajęła im ponad godzinę. Waycliffe College znajdowało się jakieś półtora kilometra za Putneybergiem, miasteczkiem łatwym do przeoczenia, jeśli ktoś się zamyślił i przegapił zjazd z autostrady. Na centrum Putneyberga składały się sklepiki z drewnianymi fasadami i cieniste boczne uliczki. Quinna nie

zdziwiłby widok szeryfa na koniu.

Ruch był tu równie mały, jak liczba budynków, których ściany widziały farbę. Na skutek działania pogody domy podniszczyły się i poszarzały. Niech będzie, uznał Quinn: nabrały charakteru regionalnego.

Gdy jechali ulicą Główną (jakże by inaczej), nieliczni miejscowi nie zwracali na lincolna specjalnej uwagi. Pewnie przywykli do drogich samochodów wiozących na studia obecne i przyszłe dzieci funduszy powierniczych. Zjazd z autostrady służył teraz przede wszystkim jako dojazd do college'u.

Waycliffe było uczelnią zbyt małą, żeby Putneyberg przerodził się w miasteczko studenckie. Tylko jeden czy dwa miejscowe bary wyglądały na miejsce, do którego mogliby zaglądać studenci. Całodobowy lokal o nazwie Price's. Oczywiście, zawsze była alternatywa: mordownia Eddies (bez apostrofu), w sam raz dla bezmyślnego studenciny, który miał ochotę dostać po pysku. W obu knajpach prawdopodobnie można było kupić narkotyki.

W całym Putneybergu na nowy wyglądał tylko olbrzymi lśniący znak, informujący, że do Waycliffe College zostało półtora kilometra i że Putneyberg żegna przyjezdnych. Quinn wypatrywał znaku z napisem „PUTNEYBERG WITA”, ustawionego po przeciwnej stronie drogi dla samochodów wjeżdżających do miasta. Taki znak, oczywiście, był.

- Nie ma tu raczej rywalizacji między zarządem miasta a zarządem uczelni - zauważyła Pearl. - Uczelnia wygrała dawno temu.

- Nie widziałem nikogo w wieku studenckim - powiedział Quinn.

- Bo są wakacje.

- To co? Tylko półtora kilometra do zimnego piwa...

Zieleń drzew okalających drogę nagle nabrała połysku;

wyglądały też na starannie przycięte. Kolejny znak informował, że do skrzyżowania na uczelnię zostało 150 metrów. Quinn nacisnął na hamulec i skręcił w prawo, na asfaltową drogę wijącą się pośród kolejnych identycznie przyciętych drzew. Quinn i Pearl próbowali odgadnąć, co to za drzewa, ale jako zasiedziali nowojorczyści pewnie nawet nie otarli się o prawidłowe nazwy.

I tak dojechali do college'u - zbiorowiska bliźniaczych budynków z czerwonej cegły, z których większość przynajmniej do połowy oplatał bluszcz. Wejście do największego z nich, także ceglanego, który właśnie wylaniał się przed nimi, otaczały kolumny. Tam, gdzie nieco bluszczu wycięto, wykuty w kamieniu napis oznajmiał, że jest to budynek administracji.

Dzięki tym roślinom teren kampusu pysznił się bogactwem zieleni, wszystko było starannie wypielęgnowane. Waycliffe miało wypolerowany charakter czegoś, co stare i bezcenne.

Przed budynkiem znajdował się mały żwirowy parking. Na zarezerwowanych miejscach przy wejściu stało pół tuzina samochodów. Quinn zaparkował w cieniu, po przeciwnej stronie parkingu, na jednym z miejsc oznaczonych DLA GOŚCI.

Gdy Quinn i Pearl weszli do budynku, zaskoczył ich panujący wewnątrz chłód. Jediną osobą w zasięgu wzroku była dziewczyna, może jeszcze nastolatka, a może już po dwudziestce. Ze skrzyżowanymi nogami siedziała na samotnej drewnianej ławie, pracowicie przepisując do kołonoatnika coś z leżącego na kolanach netbooka.

- Szukamy rektora Schuellera - powiedziała Pearl.

Dziewczyna nie podniosła wzroku, tylko wskazała palcem z długim wymalowanym paznokciem na lewo.

Przeszli około piętnastu metrów korytarzem, mijając parę wprawionych we wnęki drewnianych drzwi. Dotarli do większych,

dębowych - opatrzonych mosiężną plakietką „GABINET REKTORA”.

Quinn zapukał, naciskając jednocześnie klamkę.

Weszli do małego sekretariatu, którego ściany zastawione były rzędami książek. Za wąskim biurkiem siedziała siwowłosa kobieta, sprawiająca wrażenie wycieńczonej. Miała zmrużone lewe oko, które nadawało jej spojrzeniu filuterny wyraz. Chyba właśnie w chwili ich wejścia zamknęła górną szufladę biurka. Wyprostowała się na krześle i posłała im uśmiech, pytający „w czym mogę pomóc?”.

- Jesteśmy umówieni z rektorem Schuellerem - powiedział Quinn. Pokazał legitymację w tym samym momencie co Pearl.

- A tak, państwo z policji - powiedziała kobieta. - Jak mi nie mam, w sprawie biednej Macy Collins. - Nie czekając, aż potwierdzą jej założenie, wstała i podeszła do podwójnych dębowych drzwi, takich samych jak wychodzące na korytarz. Delikatnie zapukała w lewe skrzydło, uchyliła je o kilka centymetrów i zaanonsowała ich.

Potem otworzyła drzwi szerzej, a oni przeszli obok niej do gabinetu rektora Lindena R. Schuellera.

Schueller stał za swoim biurkiem, uśmiechając się szeroko na powitanie. Był smukłym, przystojnym mężczyzną; mógł mieć czterdzieści lat z okładem. Nosił dobrze leżącą szarą marynarkę sportową ze skórzanymi łatami na łokciach. Ciemne włosy, zaczesane na bok z geometryczną precyzją, dzielił idealnie równy przedziałek. Na białych mankietach lśniły złote spinki. Jego oczy za modnymi okularami w szylkretowych oprawkach były jasnobłękitne i czujne. Wyglądał raczej na bogatego playboya niż członka kadry uniwersyteckiej.

Po wzajemnym przedstawieniu się i uściskach dłoni rektor wskazał ręką dwa nieduże, ale wyściełane fotele, zwrócone w

stronę biurka. Spod białego mankietu błysnął złoty zegarek.

- Proszę, rozgoście się państwo.

Quinn i Pearl rozgościli się, a Schueller usiadł za swoim szerokim, zarzuconym szpargałami biurkiem. Błat był zielony, z wąskim skórzanym obrzeżeniem, za które zwyczajowo wsuwało się różne drobiazgi. Rzeczywiście, spod wyglądającej na kosztowną skóry wystawały przeróżne koperty, karteluszk i wizytówki. Obecność nierówno poskładanych stosów papieru na biurku Schuellera zdziwiła Quinna. Czy rektorzy nie zwykli zlecać komuś większości pracy?

- Wspominali państwo, że chodzi o nieszczęsną Macy - powiedział Schueller i potrząsnął głową. Wyglądał na szczerze zasmuconego. - Tak inteligentna młoda kobieta... To okropna strata.

- Znał ją pan osobiście? - zapytał Quinn.

- Tu, w administracji, znamy wszystkich naszych studentów, zwłaszcza jeśli dysponują takim potencjałem jak Macy Collins.

- Czyli może nam pan wskazać studentów, którzy znali ją bliżej?

- Miała wielu znajomych, ale nie były to głębokie przyjaźnie. Studenci objęci programem dla wybitnie uzdolnionych mają mało czasu. Są tu przede wszystkim po to, żeby się uczyć, i doskonale to rozumieją. Tworzą się przelotne przyjaźnie, ale nawiązanie tego typu relacji zajmuje trochę czasu. Na to Macy była w programie zbyt krótko.

- Była na drugim roku - zauważył Quinn.

- Tak. Ale w ramach programu dla wybitnie uzdolnionych.

- Od początku była nim objęta?

- O, tak. Została wybrana ze względu na wyjątkowe zdolności. Większość wyników jej testów kwalifikacyjnych i egzaminów wstępnych wypadła sporo powyżej percentyla dziewięćdziesiąt

dziewięć procent. Nasi studenci objęci tym programem często zaraz po studiach zatrudniani są na odpowiedzialnych, doskonale opłacanych stanowiskach. - Rozpromienił się, dumny ze swoich pupili. - Absolwenci Waycliffe całkiem nieźle radzą sobie w życiu. Po drodze mogą państwo przystanąć i obejrzeć naszą ścianę sław.

- Macy Collins nigdy na nią nie trafi - odezwała się Pearl.

- To, niestety, prawda. - Popatrzył na nią, jakby urażony tym, że stwierdziła oczywistość. Pearl nigdy nie trafiłaby do programu dla wybitnie uzdolnionych.

- Macy mieszkała w akademiku - powiedział Quinn. - Czy to normalne, że nie miała współlokatorki?

- Tak. Wszyscy nasi studenci mieszkają w jednoosobowych pokojach.

Dlaczego mnie to nie dziwi? - pomyślała Pearl. Okres studiów - zanim je rzuciła - stapał się w jej wspomnieniach w amalgamat sporów z wykładowcami, imprez i pomieszkiwania z ludźmi, którzy przeważnie ją wkurzali. Ach, oczywiście - był jeszcze seks, tyle że ziemia od niego nie drżała. Jedynym wytchnieniem były dla niej zajęcia z kryminologii.

- Chcielibyśmy obejrzeć jej pokój - powiedział Quinn.

Schueller skinął głową.

- Oczywiście, ale wiele w nim nie zostało. Większość swoich rzeczy Macy przewiozła do mieszkania w mieście. Tego, w którym mieszkała, kiedy...

- Została zabita - dokończyła za niego Pearl.

Schueller wstał i z roztargnieniem zapiął marynarkę.

- Może państwo, jako profesjoniści, znajdą coś istotnego dla sprawy.

Opuścili budynek administracji. Schueller poprowadził ich krętym betonowym chodnikiem ku trzykondygnacyjnemu

budynkowi z czerwonej cegły, którego wejście otaczał obowiązkowy, niestrudzony bluszcz. Kampus był niemal opuszczony - zaledwie kilka osób przemierzało chodniki. Na drewnianej ławce w cieniu rzucanym przez drzewo siedziała para, jedno przy drugim; rozmawiali, chyba zauroczeni sobą nawzajem. Trzydzieści metrów dalej zobaczyli młodego człowieka z szopą jasnych kędziorów siedzącego po turecku na trawniku i zawzięcie majstrującego przy stojącym do góry kołami rowerze. I tyle, jeśli idzie o ruch na kampusie, pomijając Schuellera i dwójkę jego uzbrojonych gości. Pearl nie czuła się dobrze w tym miejscu.

- Odbywają się właśnie letnie wykłady - powiedział Schueller, spoglądając na zegarek.

- Kampus nie jest tak opustoszały, jak mogłoby się zdawać. - Wyciągnął z kieszeni fajkę z korzenia wrzośca i włożył ją w kącik ust. - Nie palę jej tak naprawdę - powiedział. - Zły przykład dla studentów. Ale lubię zapach niezapalonego tytoniu.

- Musiał pan kiedyś dużo palić - powiedziała Pearl.

Rektor uśmiechnął się.

- O tym nie będziemy rozmawiać.

Pewnie o wielu innych sprawach również - pomyślała Pearl.

Macy Collins rzeczywiście miała pokój tylko dla siebie, ale bardzo mały - miejsca starczało tyle, co na wąskie łóżko, biurko, szafę ze składanymi na troje żaluzjowymi drzwiami i pojedyncze okno, wyglądające na zielony, zadbane trawnik. Za trawnikiem widać było szpaler drzew i mansardowe okna na dachach starych, ale dobrze utrzymanych domów.

Niektóre z nich były całkiem duże i bez wątpienia drogie. Jedne stały frontem do drogi dojazdowej, inne - do kampusu. Quinn podejrzewał, że mieszkała w nich zatrudniona na stałe część kadry uniwersyteckiej. Oprócz chesnego za studia - słonego, jak

sugerowały uczelniane broszury - do Waycliffe musiały płynąć okrągłe sumy dzięki funduszowi inwestycyjnemu.

Na skraju drewnianego biurka, obok standardowych rozmiarów klawiatury, stał wyłączony płaski monitor. Na podłodze, przy nodze mebla, znajdowała się mała drukarka.

Wszystko oprócz jednostki centralnej - jakby w pokoju Macy Collins nigdy czegoś takiego nie było.

- Wygląda na to, że podłączała tu laptopa.

- Wszystkich naszych studentów wyposażamy w laptopy - powiedział Schueller. Fajkę z korzenia wrzośca trzymał teraz w ręce, ale przecież i tak była tylko na pokaz. - Nie musimy nikogo uczyć, jak się nimi posługiwać. Umiejętność obsługi komputera to jeden z naszych podstawowych wymogów. Nawet nasi studenci spoza programu dla wybitnie uzdolnionych pod wieloma względami przewyższają innych. Pochodzą w większości ze znamienitych rodzin. Z pewnością nawet detektyw rozpoznałby niektóre nazwiska.

- A może: „zwłaszcza detektyw”? - zasugerowała Pearl. Robiło jej się niedobrze od gadania tego całego Schuellera.

- Monitory i standardowe klawiatury to wyposażenie opcjonalne - mówił Schueller. - Monitory służą do oglądania filmów i, od czasu do czasu, transmisji sportowych.

- Czy Waycliffe ma drużynę futbolową? - zapytał Quinn.

Schueller uśmiechnął się z wyższością.

- U nas grywa się wyłącznie w lacrosse^[3].

- Och! - powiedziała Pearl.

Quinn wyczuwał jej nastrój; miał tylko nadzieję, że Pearl nie zacznie się rektorowi odgryzać.

Powęszyli trochę, ale w pokoiku nie było nic godnego uwagi. Macy Collins nie miała wiele, a większość z tego, co miała -

włącznie z laptopem, który mógł zabrać morderca - prawdopodobnie przewiozła w plecaku do mieszkania na Manhattanie. Macy nie gromadziła przedmiotów i zapewne żyła samotnie; przynajmniej częściowo izolowało ją onieśmielające IQ oraz upodobanie do słuchania, obserwowania i uczenia się.

Quinn zwrócił się do Schuellerera.

- Czy jacyś jej znajomi z kampusu uczęszczają na letnie wykłady?

- Nie. Większość naszych studentów z programu odbywa w lecie praktyki. Niektórzy podróżują, żeby poszerzyć horyzonty. Jeszcze inni odwiedzają rodziny. Z tego co wiem, Macy Collins odbywała praktyki w kancelarii adwokackiej w mieście.

- Nic mi nie wiadomo, żeby pochodziła z zamożnej rodziny - powiedział Quinn.

- Nie pochodziła. Ale studentom wybitnym, jak Macy, przysługują duże stypendia i kredyty studenckie. Owszem, zdarza się, że pracują w wakacje - przeważnie po prostu chcą się dowiedzieć, jak to jest. Jestem przekonany, że dodatkowe pieniądze nie są ich głównym motywem.

Quinn pomyślał, że może i tak, ale najlepiej wypowie się na ten temat matka Macy.

Podziękowali rektorowi Schuellerowi i wrócili do Putneyberga przekonać się, jak karmią w restauracji Feed'n'Speed, którą wcześniej mijali, jadąc ulicą Główną. Mieściła się w niskim, jasnobrązowym budynku i udekorowana była w stylu NASCAR. Na płaskim dachu, nad wejściem, ustawiono rzędem przody samochodów wyścigowych. Tuż za drzwiami wywieszono wielką czarno-białą fotografię Juniora Johnsona, legendarnego rajdowca i bimbrownika.

Obsługa trwała dłużej, niż można by się spodziewać po

dekoracji lokalu. Dla Juniora Johnsona na pewno byłyby zbyt wolna. Lunch smakował jak tektura, ale podana na deser szarlotka była wyśmienita.

- Dlaczego w tego typu miejscach zawsze podają doskonałą szarlotkę? - zapytał Quinn, spłukując ostatni kawałek ciasta ledwie ciepłą kawą.

- Może wydaje się doskonała na tle pozostałych dań. - Pearl rozejrzała się po klientach, którzy uchodzili tutaj za ruch w porze lunchu. Przy stolikach naliczyła ich najwyżej tuzin; dodatkowa piątka umościła się na czerwonych stołkach barowych przy kontuarze.

Większość przekroczyła pięćdziesiątkę i nikt nie wyglądał na gościa z kampusu. Pearl była w stanie zrozumieć, dlaczego większość studentów Waycliffe wyjeżdża stąd na wakacje.

- Zauważyłaś ciekawą cechę rektora Schueller? - zapytał Quinn.

- Poza tą, że wygląda, jakby urodził się z dyscypliną w dłoni?

- Zdaje się, że bardziej przejął się utratą obiecującej studentki niż bestialskim zabójstwem młodej kobiety.

Pearl zastanowiła się nad tym.

- Racja. I co to, twoim zdaniem, znaczy?

- W tej chwili? Znaczy to, że zamówię drugi kawałek szarlotki. - Quinn pomachał, żeby zwrócić na siebie uwagę kelnerki.

- Tylko w lacrosse - mruknęła Pearl. - Panie Jezu miłosierny!

Rektor Schueller wezwał do swojego gabinetu dwoje członków kadry uniwersyteckiej.

Przewidziane na dziś letnie wykłady skończyły się i poza ich trojgiem w budynku administracji nie było nikogo. A to oznaczało, że nikt ich nie podsłucha.

W gabinecie było gorąco. Schueller siedział za swoim biurkiem.

Elaine Pratt usiadła swobodnie na jednym z dwóch foteli, z nogą założoną na nogę. Miała na sobie modny i lekki beżowy garnitur oraz ciemnobrązowe pantofle Jimmy Choo na wysokim obcasie. Jej szyję ozdabiał delikatny złoty łańcuszek, na którym wisiała misterna kamea. Profesor Wayne Tangler, wykładowca literatury, pozostał w pozycji stojącej. Ubrany był w granatową marynarkę sportową Hickey Freeman, a na jasnej lawendowej koszuli pysznił się jedwabny krawat w prążki. Tangler był szczupły, miał długie, opadające szare wąsy i taksujące spojrzenie. Jego kościsty przegub okalał platynowy zegarek na luźnej bransoletce z ogniów.

Wygląd trójki akademików bardziej kojarzył się z luksusowym jachtem niż z hołdującą tradycjonalizmowi, spowitą bluszczem uczelnią.

- Mamy problem - zaczął rektor - a imię jego Macy Collins.

- To naturalne, że studenci są poruszeni - powiedziała Elaine.

- Nie to jest sednem problemu. - Schueller najwyraźniej czuł się niezręcznie z tym, co miał do powiedzenia. Pozostała dwójka cierpliwie czekała, aż zakończy wewnętrzne zmagania. W jego ręce pojawiła się fajka z korzenia wrzośca, ale zaraz z powrotem powędrowała do kieszeni.

- Na razie policja nie traktuje nikogo z Waycliffe jak potencjalnego podejrzanego w sprawie zabójstwa Macy Collins. Osobiście nie widzę powodów, dla których miałyby się to zmienić.

- Co nie znaczy, że się nie zmieni - domyśliła się Elaine Pratt.

- Właśnie. Musimy być gotowi na taki obrót spraw. Nasze sekrety nie mają nic wspólnego z morderstwem, ale nikomu nie wyjdzie na dobre, jeśli w trakcie śledztwa przypadkowo wypłyną na światło dzienne. Cień podejrzenia ciężący na pracowniku Waycliffe, na kimś z nas, może doprowadzić do upadku instytucji, którą wszyscy kochamy.

Odstraszyć studentów i pozbawić nas pracy w doprawdy wyjątkowej placówce edukacyjnej.

- Albo i gorzej - uzupełniła Elaine.

- Albo i gorzej.

Tangler znieruchomiał z wysuniętym biodrem; wyglądał jak wytworny rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Elaine Pratt przekrzywiła głowę niczym zaciekawiony wróbel.

- Może nie będzie tak źle - powiedziała.

- Nie oszukuj się - rzucił Tangler.

Elaine wyprostowała się i wpatrzyła w Schuellera.

- Jakies pomysły?

Schueller w zamyśleniu zaczął bawić się leżącym na biurku, idealnie zaostrzonym ołówkiem.

- Rozwiązanie jest proste - powiedział. - Podejrzany wykładowca w wieczór śmierci Macy Collins był z nami. Tu, w tym gabinecie.

- Może ten ktoś ma już alibi - zasugerowała Elaine.

Schueller pokręcił głową.

- Jeśli nawet... Jeśli, powiedzmy... był w innym mieście, spędzając czas z mężatką, policja nie będzie podejrzewała, że w tym samym czasie w Nowym Jorku mordował Macy Collins. - Albo jeśli jego plan lotu wykaże, że był poza Nowym Jorkiem. - Chodzi o to, że taka informacja nie powinna wyjść poza nasz krąg.

- Wiedza o mężatce też - powiedział Tangler.

- Naturalnie.

- Sugerujesz, że powinniśmy okłamać policję? - upewniła się Elaine.

- Tylko w razie konieczności. To nieszkodliwe kłamstwo, które swoją drogą mogłoby być prawdą, a kto wie, czy nie zależą od niego dalsze losy uczelni.

- Oraz nasze etaty i udziały finansowe - uzupełnił Tangler.

Spojrzał na rektora spod przymrużonych powiek. - Zgaduję, że mieliśmy dziś gości z policji. Pytali pana o tę osobę?

- Jeszcze nie. Może w ogóle nie zapytają. Ale chcę być przygotowany na taką ewentualność i chcę mieć pewność, że możemy na sobie nawzajem polegać.

- Prosisz nas o coś więcej niż o nieszkodliwe kłamstwo. To będzie składanie fałszywych zeznań w sprawie morderstwa - powiedziała Elaine, jakby chciała uzmysłwić obecnym, o co toczy się gra.

- Zgadza się.

- To robi z nas współwinnych.

- Skoro się powiedziało a... - mruknął Tangler, uśmiechając się pod wąsem.

- Już jesteśmy współwinni - powiedział rektor. - Ale, jak dla policji, nie w sprawie morderstwa.

Tangler potarł policzek i podkręcił wąsa.

- Dobrze. Możesz na mnie polegać.

- Na mnie chyba też - dodała Elaine po krótkim wahaniu.

- „Chyba” to za mało - powiedział Schueller.

- Możesz na mnie liczyć. Na bank. - Tym razem Elaine nie zawahała się.

Schueller z uśmiechem skinął głową i wstał.

- Czy zawrzemy pakt krwi, nacinając kciuki i ściskając się za ręce? - spytała Elaine.

- Łączą nas już wspólne cele - zauważył Tangler. - I zobowiązania wobec siebie.

- Szczytne słowa - powiedział rektor.

- Szczytny cel - odparł Tangler.

- Szczytny? Nie oszukujmy się - powiedziała Elaine Pratt. - Przede wszystkim ze względu na śmierć Macy Collins.

Nie utoczyli krwi, ale ręce sobie uścisnęli.

- Kocham twoje ciało - powiedział Lou Gainer.

- Przed chwilą to udowodniłeś - odpowiedziała Ann Spellman.

Oddychała ciężko, a jej dwudziestoczeroletnie nagie ciało lśniło od potu. Przestrzegła diety i dzielnie ćwiczyła niemal każdego dnia, ale i tak nie dorównywała kondycją Gainerowi, mimo że był od niej o kilka lat starszy. W ubraniu wyglądał zwodniczo smukło. Siła jego szczupłego ciała, na co dzień maskowana elegancją ruchów i krojem garniturów, była zaskakująca.

Czuła na sobie badający wzrok Gainera, gdy podnosiła się z brzegu łóżka. Zatrzymała się na chwilę przy oknie, żeby przekręcić termostat klimatyzatora, i podreptała na bosaka do łazienki.

Oceniła przed lustrem swoją niewysoką sylwetkę - duże piersi, ciemne oczy i gęste czarne włosy. Zdumiewało ją, z jaką wirtuozerią Lou korzystał z jej ciała, ile rozkoszy potrafił jej dać, a ile samemu dzięki niej zaznać. Myśl o jego umiejętnościach łóżkowych, o jego doświadczeniu, obudziła w niej przelotny niepokój. Taka wiedza i znajomość kobiecego ciała nie mogły być wyłącznie intuicyjne. Musiał się tego nauczyć. Ann drażniło w tym tylko jedno: uczył go ktoś inny.

Zazdrosna. Jestem zwykłą zazdrośnicą.

Odsunęła od siebie złe myśli, uszczypnęła skórę na przegubie ręki, sprawdzając, czy nie ma pod nią zbędnego tłuszczu, i odkręciła kurek prysznic. Ostrożnie sprawdziła ręką, czy woda nie jest za gorąca, i zastanowiła się, czy ratować to, co pozostało z jej fryzury. Doszła do wniosku, że do diabła z tym. Osuszy włosy ręcznikiem i uczesze wilgotne.

Równomierny strumień wody był letni i kojący; załowała, że nie może pod nim spędzić więcej czasu. Ale nie miało to większego znaczenia. W tym budynku ciepłej wody nigdy nie starczało na długo.

Ann nie miała złych przeczuć, jeśli idzie o związek z Lou. Był jej zwierzchnikiem w Clinton Industrial Designs, gdzie pracowała jako jedna z szóstki grafików. Pozostali pracownicy wiedzieli już, że Ann i Lou się spotykają. Jedna z koleżanek, atrakcyjna i nieprzeciętnie uzdolniona artystka o imieniu Gigi, zapytała nawet, choć w sposób zawoalowany, czy Ann rozważa małżeństwo.

Ann nie rozważała, dopóki Gigi nie zasiała jej w głowie tego pomysłu.

Mam dwadzieścia cztery lata. Już nie jestem taka młoda, a lata lecą.

Na wyłożonej kafelkami podłodze kabiny prysznicowej, pod ciepłymi igiełkami wody Ann musiała się uśmiechnąć. Sypianie z szefem to jedno, ale wyjście za niego to coś zupełnie innego. Ich romans był przygodą, co podkreślała jeszcze otaczająca go tajemnica - nawet jeśli była tajemnicą poliszynelem. Nie chciała tego psuć rozmowami o małżeństwie. Takie rzeczy wymagały taktownego podejścia.

Uśmiechała się jeszcze, gdy zasłona od prysznicza zaszeleściła i z brzękiem metalowych kółek odsunęła się na bok.

Lou stanął obok niej. Pocałował ją w mokre czoło i pogłaskał namydlone piersi.

Przesunął rękami po jej plecach i pośladkach.

- Drzysz - powiedział.

- Wystraszyłeś mnie. Nie oglądałeś Psychozy?

- Chodzi mi po głowie film innego gatunku. Zastanawiałaś się kiedyś, jaką karierę zrobilibyśmy w branży porno?

- Czy to propozycja? - roześmiała się.

- Tylko rozważania.

Uznał, że przyda się więcej mydła, wyjął więc z mydelniczki maleńki prostokątny kawałek. Pokręcił głową.

- Gospodarka stoi - powiedział, pokazując Ann mikroskopijne mydełko.

- Coś jeszcze tu stoi.

Sięgnął obok niej i przekręcił chromowany kurek, żeby spod prysznicą płynął cieplejszy strumień. Całował przy tym bok jej szyi. Cienki mydlany opłatek wysliznął się z jego drugiej ręki i bezdźwięcznie porwała go wodna piana, pluskająca na podłodze kabiny.

Lou naga stopą przesunął go poza strumień wpadającej do odpływu wody.

- A propos zastoju - wyszeptał jej do ucha. - Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Poczuła w uchu gorący czubek języka i z chichotem zaczęła się wić, usiłując wykręcić głowę.

- No mów, czekam.

Ostrzegło ją coś w tym, jak zwlekał, coś w nagłym znieruchomieniu jego ciała, ale nie zrozumiała sensu tych znaków.

- Zamierzam cię zwolnić - powiedział.

Z wściekłością wytarła się do sucha i stała przed nim w białym szlafroku frotté, z włosami mokrymi i skłębionymi jak jej myśli. W brązowych oczach tańczyły iskry furii.

Siedzący na łóżku Lou założył na siebie spodnie, potem wciągnął buty.

- Chcesz powiedzieć mi coś jeszcze? - zapytała.

Podniósł na nią wzrok.

- Że okropnie się czuję, przekazując ci tę wiadomość. Ale

musiałem. To należy do moich obowiązków.

- Czy zrobiłam coś nie tak? A może nie zrobiłam czegoś, co powinnam?

- Mój Boże, Annie, ależ skąd! Naprawdę mamy zastój. Wiesz, że straciliśmy kilku ważnych klientów. Firmy po prostu nie stać na pensje dla tylu pracowników.

- Nie jestem jedynym grafikiem w firmie.

- A ja nie jestem tym, który podjął decyzję o twoim odejściu. Zarząd tak postanowił.

- Nie zasiadasz przypadkiem w zarządzie?

- Wiesz, że tak.

- Zarząd to tylko sposób na rozrzedzenie odpowiedzialności - powiedziała Ann.

- Annie, daj spokój...

- Broniłes mnie?

- Jeszcze jak!

Nie uwierzyła mu. Widziała w jego oczach kłamstwo, tak jak tuż pod powierzchnią mętnych wód widać zarys dryfującego, złowieszczonego obiektu. Nie był wobec niej szczery.

Prawdopodobnie zwolnienie jej z pracy uznał za dobry sposób na zakończenie ich romansu.

I siedzi taki drań na moim łóżku!

- Uznales więc, że wpadniesz zabawić się po raz ostatni z biedną, głupią Ann, zanim każesz jej spadać na drzewo. A może spodziewasz się, że będziesz tu zaglądał do woli i spuszczał majtki, podczas gdy ja będę żyła z zasiłku?

- To nie wchodzi w grę, Annie. Żadną miarą.

- Tego możesz być pewien.

- Zarząd wie, ile jesteś warta i że pewnie już niedługo będziesz pracować dla konkurencji. Jak by wtedy wyglądało, gdybyśmy

ciągnęli ten romans, który skrywamy tak, że wszyscy o nim wiedzą?

Oddychanie sprawiało jej trudność.

- Lou... Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Zwiesił głowę.

- Ja też nie. Po prostu jesteśmy ofiarami okoliczności. - Przeczesał palcami wilgotne włosy i popatrzył na jej filigranowe, świetnie zbudowane ciało. Ale oceniał jej walory dziwnie beznamiętnie, jakby podziwiał zalety posągu, nie człowieka. Ann zrozumiała, że Lou zapisuje w pamięci jej wygląd. - I tak jesteś najpiękniejszą kobietą, z jaką kiedykolwiek spałem.

Ann ciągle nie potrafiła dojść z tym wszystkim do ładu.

- Każę przysłać tu twoje rzeczy - powiedział - i twój ostatni czek.

Wiesz, jacy oni są.

Nie chcą widzieć cię w biurze, skoro nie należysz już do zespołu.

- Oni? Ty jesteś oni.

Wstał i popatrzył na nią ze smutkiem.

- A czy kiedykolwiek twierdziłem, że nie?

Z pełnym furii zapamiętaniem zaczęła wycierać ręcznikiem zmierzwiłone mokre włosy, zerkając na niego między pryskającymi kropelkami wody.

- Gnojek z ciebie, Lou, i tyle Skinął głową, zgadzając się z nią w milczeniu, założył koszulę i wyszedł.

Środkowa Floryda, 2002

Pragnieniem Sophii było, żeby wszyscy zobaczyli, czego dokonała. Dlatego po błękitnym niebie nie płynęła najmniejsza nawet chmurka i wiał jedynie lekki, rześki zefirek.

W krystalicznie przejrzystym powietrzu odnosiło się wrażenie, że wyraźnie widać przedmioty odległe nawet o osiemset metrów, jak przez silnie powiększającą lornetkę.

To, na co patrzył sierżant Ed Hall z Policji Stanu Floryda, zobaczyć można było bez pomocy lornetki.

Sierżant wpatrywał się w martwą dziewczynkę, kruchą - tak kruchą! - istotę pod ruinami stodoły. Coś mu się nie podobało w jej obrażeniach, widocznych, mimo że cała pokryta była krwią. Miała otarte ciało wokół przegubów, z jakby ciemnymi obwódkami. To samo na przynajmniej jednej kostce.

Jej ciało przygniatała wielka, z grubsza ociosana belka konstrukcyjna. Przewracając się, musiała zmiążyć klatkę piersiową dziewczynki. Trudno było mieć wątpliwości co do przyczyny zgonu.

Ale co robiła w stodole prawie naga? Istniała możliwość, że wściekłe podmuchy huraganu lub przemierzającego się tornada odarły ją z ubrania.

Tyle że było w tym jeszcze coś dziwnego, przynajmniej na oko Halla. Miała na sobie czarne stringi - nietypową bieliznę jak na dziecko w jej wieku. Chyba że teraz, po śmierci, wydawała się młodsza, niż była naprawdę.

Ta bielizna wydała się Hallowi czymś dziwnym, bo wracał

właśnie ze wschodniej części stanu, skąd podążał rozległym śladem dokonanych przez Sophię zniszczeń, i pamiętał, że pośród szczątków ich własnego domostwa znaleziono martwych Ambersonów. Jeden z obecnych tam gliniarzy twierdził, że wprawdzie trudno mieć pewność, biorąc pod uwagę stan zwłok, ale możliwe, że Nathan Amberson został zastrzelony.

Florę, żonę Nathana, znaleziono nieopodal; jej ciało także okaleczyły zajadłe szarpnięcia wiatru i fragmenty rumowiska. Była zakopana w gruzowisku i naga, jak ta nieszczęsna, jeszcze niezidentyfikowana mała.

Hall słabo znał Andersonów. Flora była atrakcyjną, choć już niemłodą kobietą; krążyły plotki, że za czasów młodości dogadzała sobie z chłopami. Hall wiedział, że te plotki kryją w sobie ziarno prawdy: chwilę kiedyś zajęło, zanim udało się powstrzymać Nathana przed podziurawieniem z dubeltówki przygodnego amanta.

Hall patrzył na martwą dziewczynkę pod zawaloną stodołą i pocierał zarośniętą szczękę. Czarne stringi... Flora Anderson w czarnych stringach - czemu nie?

Ale ta mała? Nigdy w życiu.

Nie był to jedyny niepokojący szczegół wyglądu martwej dziewczynki. Miała też coś w oczach. Coś, przez co Hall nie potrafił ponownie w nie spojrzeć.

Przypominały mu inne nieżyjące oczy.

Nowy Jork, dzisiaj

Profesor Elaine Pratt, wysoka i smukła, miała na sobie strój, który uważała za odpowiedni do prowadzenia letnich wykładów: markowe dzinsy i świeżo wyprasowaną białą bluzkę, uzupełnione obowiązkowym złotym naszyjnikiem z kameą i złotą bransoletką bangle.

Blond włosy o odcieniu wpadającym w jasny brąz sięgały jej do ramion, a spod grzywki spoglądały brązowe, uważne oczy.

Na prowadzone przez nią zajęcia z psychologii biznesu uczęszczał zaledwie tuzin zainteresowanych - siedem studentek, pięciu studentów - ale w Waycliffe College bystrzejszych od nich nie było. Wszystkich obejmował program dla wybitnie uzdolnionych.

Po zakończeniu nauki będą bardziej niż gotowi na spotkanie ze światem, którego nie spowijał bluszcz.

Dzięki długiemu szeregowi okien z żaluzjami w sali było jasno; wypełniały ją rzędy niskich metalowych ławek szarego koloru, przed którymi stała drewniana katedra. Za plecami profesor Pratt znajdował się płaski monitor, a w pobliżu stał otwarty laptop. Gdy uznała za stosowne, mogła uzupełniać przekazywane informacje prezentacjami w PowerPoint.

Wierzyła, że wiedzę najlepiej zdobywa się poprzez obraz.

Przy jednym z zamkniętych okien natrętnie brzęczała osa; objała się o szybę w próżnych staraniach przebicia się przez szkło.

- Jak widzę, niektórzy z was są wzburzeni - zwróciła się do sali profesor Pratt. - Widzę też ślady łez. To bardzo smutne, kiedy

umiera ktoś młody, a przy tym zapowiadający się tak dobrze, jak Macy Collins. Tym bardziej że straciła życie w okrutny sposób.

Poza kilkoma chlipnięciami z sali nie dobiegł żaden dźwięk. Trójka spośród obecnych poza zniecierpliwieniem w ogóle nie okazywała emocji. Najwyraźniej chcieli mieć już z głowy żałobę, żeby móc rozpocząć zajęcia.

- Wydarzenie to, choć tragiczne, ma też aspekt pozytywny - ciągnęła Pratt. - Jest okazją, żeby zrozumieć i wykazać własnym postępowaniem, że niezależnie od okoliczności musimy iść naprzód. Jest pora na żałobę i okazywanie smutku, ale to nie ta chwila. Moje słowa nie są przejawem nieczułości, to podejście pragmatyczne. W przyszłości nieraz wam się zdarzy, że będziecie musieli uczynić coś słusznego, choć, zdaniem innych, niestosownego.

Bagaż konceptów moralnych z dzieciństwa i prostych rozgraniczeń między dobrem a złem może wtedy powracać i zakłócać waszą zdolność do logicznego myślenia. Nie możecie do tego dopuścić. Nie wolno wam! Bo okaże się, że wasi rywale nie hołdują tym przesądom, że wyzbyli się ich, żeby nie wpływały na proces podejmowania decyzji. Im szybciej nauczycie się zwalczać emocje, tym lepiej dla wszystkich.

- Ale nie dla Macy Collins - zauważyła Juditha Jason, którą na kampusie nazywano Jody. Nie chciała sprowokować dyskusji. Mówiła jakby w zamyśleniu, przede wszystkim do siebie.

- Macy nie będzie się skarżyła - odparła profesor Pratt. Z sali dobiegły słabe chichoty.

- Był sobie kiedyś oficer, który przed ważną bitwą stanął naprzeciwko oddziału rekrutów, a u jego stóp leżał martwy wróg. Oficer kopnął trupa w głowę. Potem odkręcił manierkę i nalał wody w jego rozdziawione usta. Rozkazał rekrutom zrobić to samo.

Uczył ich w ten sposób, że umarłych nie trzeba się bać. Nie mają już wpływu na świat żywych. Nie odczują waszego szacunku, współczucia, żalu czy jakichkolwiek innych emocji. Zresztą nic by na nich nie zyskali. Bo po prostu... nie żyją. - Popatrzyła w oczy każdemu ze studentów. - Oficer bez wątpienia ocalił tą demonstracją wielu swoich żołnierzy. Dowiedzieli się, że czas na żałobę przemija, a po nim martwi pozostają tym, czym naprawdę są: obiektami nieożywionymi. Czy wyraziłam to jasno?

- Bez praktycznego podejścia bitwy nie wygrasz - odezwał się z ostatniego rzędu chłopak ze zmierzwioną czupryną.

- Właśnie tak - odpowiedziała usatysfakcjonowana profesor Pratt.

- Zgadzam się z panią - powiedziała Jody Jason - ale nie możemy tak po prostu przestać myśleć o tym, co spotkało Macy.

- Spróbujmy. Przez najbliższą godzinę - odrzekła pani profesor.

I udało im się. A przynajmniej większości.

Profesor Pratt uznała to za przełom.

Po zajęciach Jody ociągała się z wyjściem, a potem podeszła do wykładowczyni, która składała materiały i chowała je do brązowej skórzanej torby, będącej skrzyżowaniem dużych rozmiarów damskiej torebki z aktówką.

- Widziałam, że Schueller miał dziś gości - zaczęła Jody.

- Rektor Schueller.

- Przepraszam. - Jody w myślach nazywała profesor Pratt „Elaine”, a rektora „Schuellerem”, ale do tej pory zdążyła nauczyć się ostrożności. W Waycliffe liczyły się hierarchia i szacunek. - Byłam ciekawa, czy przyszli porozmawiać o Macy Collins.

- Nie potrafię zaspokoić twojej ciekawości - odpowiedziała profesor Pratt - ale nie zdziwiłabym się, gdyby tak było.

- Byli z policji?

- Tak. Zakładam, że tak.

- Będą rozmawiać też ze studentami?

- Tego nie wiem. - Profesor Pratt zamknęła torbę na zatrask. - Dlaczego tak cię to interesuje?

- Bo to zagadka - odpowiedziała Jody. - Sprawa zabójstwa, która aż prosi się o rozwiązanie.

- Skąd wiesz, że nie została rozwiązana? Może sprawca przestępstwa był oczywisty?

Na przykład jej chłopak, o którym nikt nie wiedział.

- Nie wydaje mi się. No i sposób, w jaki została zabita. Czytała pani o jej obrażeniach, o tych potwornościach, jakie jej zrobił?

- Szczerze mówiąc, nie - odpowiedziała profesor Pratt. - Wiem o tej sprawie tyle, co z porannej wzmianki na kanale informacyjnym w telewizji kablowej, bardziej niestety nastawionym na efekt niż na rzetelną informację.

- Dwudziestoczerogodzinny kanał informacyjny.

- Owszem. Jedna z rzeczy, które zmieniły świat - powiedziała Pratt. - Niekoniecznie na lepsze.

- Łatwiej znaleźć ludzi.

Profesor Pratt popatrzyła na Jody, jakby ta mówiła szyfrem.

- To nie zawsze wychodzi na dobre.

- Miałam na myśli Internet. Portale społecznościowe.

- Raczej społecznościowe.

- Czasami pewnie tak. Nie zna pani przypadkiem nazwisk policjantów, którzy dziś tu byli?

- Przykro mi, ale nie. Może rektor Schueller mógłby ci pomóc, ale nie wiem, czy dobrym pomysłem jest zawracanie mu głowy w sprawach niezwiązanych z uczelnią.

- Macy była studentką tej uczelni - zauważyła Jody.

Profesor Pratt ujęła jej rękę i lekko ją ścisnęła.

- Na twoim miejscu nie rozmawiałabym o Macy Collins ani z rektorem, ani z policją.

Pamiętaj, co mówiłam o oddzielaniu emocji. Nie powinnaś się teraz rozpraszać. Zajmij się nauką, a śledczy niech zajmą się śledzeniem. Jody, jest wiele powodów, dla których nie powinnaś wikłać się w sprawę morderstwa, a najprostszym z nich jest ten, że ta sprawa w najmniejszym stopniu ciebie nie dotyczy. Uznaj, że zabójstwo Mary Collins miało miejsce w innym wymiarze. W takim, którego nie powinnaś odwiedzać.

- Chyba ma pani rację - ustąpiła Jody, sugerując uśmiechem, że dała się przekonać.

Jakże się pani myli, pani profesor!

- I co sądzicie o Waycliffe College? - zapytał Fedderman, kiedy Quinn i Pearl wrócili do biura.

Pearl zaparzyła kawę i właśnie nalewała porcję do swojego kubka z inicjałami.

- Miejsce, gdzie na połowę lasek wołają Niunia, a na połowę chłopaków Niuniuś.

- Zupełnie jak w więzieniu stanowym - zauważył Fedderman.

- Nawet nie będę próbował zrozumieć, o czym rozmawiacie - wtrącił Mishkin. Razem z Salem Vitalim posegregowali notatki z przesłuchań sąsiadów Macy Collins i ślęczeli nad nimi w poszukiwaniu punktów zaczepienia lub ewentualnych sprzeczności.

- Uczelnia przypomina drugorzędną podróbkę Ligi Bluszczowej - powiedział Quinn, rozpierając się na swoim fotelu. - Miejsce małe i odosobnione.

- Bardzo malownicze - dodała Pearl.

Sal wychrypiął coś niezrozumiałego.

- Na pierwszy rzut oka bogate jak cholera - opowiadała Pearl.

- O, to też - powiedział Quinn.

- Ale ja użyłabym określenia ukryte, nie odosobnione - Pearl łyknęła kawy i skrzywiła się. - Może to dziwne słowo w odniesieniu do uczelni, ale takie odniosłam wrażenie. Jakby pośród jej murów krył się prastary, mroczny sekret.

Quinn pokręcił się na fotelu, ale nic nie powiedział. Miał takie same odczucia jak Pearl, że tuż poza zasięgiem wzroku i słuchu coś czaiło się pośród bluszczu. Ale mogło po prostu chodzić o to, że sporo wody upłynęło od czasu, kiedy któreś z nich postawiło nogę w studenckim kampusie. Spokojne, ocienione tereny i budynki Waycliffe tworzyły własny, odrębny świat, sprzyjający bardziej rozmyślaniam i dyskusjom niż przesłuchaniom policyjnym.

Cóż, morderstwo Macy Collins zdarzyło się jednak w rzeczywistym świecie, daleko od szpalerów dębów i klonów, wytyczających rubieżę uniwersyteckiej enklawy. Światem Waycliffe rządziła logika. W świecie Quinna panował chaos.

- Wrócimy tam? - spytał Harold.

- Na razie nie mamy powodu - odpowiedział Quinn. - Nie wygląda, żeby coś łączyło uczelnię ze śmiercią Collins. A w jej pokoju nie znaleźliśmy nic przydatnego.

- Nawet komputera - uzupełniła Pearl. - A ekipa kryminalistyczna nie zabezpieczyła go w jej mieszkaniu.

- Niewielu przyjaciół, brak komputera - zachrypiał Sal. - Nie ułatwia nam to życia.

- Z drugiej strony - powiedział Harold - Macy mało kogo znała w Nowym Jorku, więc jeśli nie zabił jej seryjny, to nie będziemy mieli wielu podejrzanych. - To był cały Harold i jego optymistyczny punkt widzenia.

- Nie musisz znać nikogo w Nowym Jorku, żeby cię zamordowali - rzekł Sal.

Biuro wydało się mniejsze, gdy weszła do niego mierząca ponad metr osiemdziesiąt Helen Iman, policyjna specjalistka od opracowywania profili psychologicznych. W spodniach khaki i koszulce polo przypominała trenerkę żeńskiej drużyny koszykówki, chociaż Quinn nie był pewien, czy kiedykolwiek grała w koszykówkę.

Była spocona, jakby właśnie wyszła z siłowni.

- Straszny upał na zewnątrz - powiedziała. Wyjęła z kieszeni spodni plastikową butelkę z wodą i solidnie z niej pociągnęła. - Zglądałam tu wcześniej, ale cię nie było - zwróciła się do Quinna, wycierając wierzchem dłoni strużkę wody z pociągniętego policzka.

- Pojechał z Pearl do college'u - poinformował Fedderman.

Quinn streścił Helen przebieg wizyty w Waycliffe.

W miarę jak rozwijała się opowieść, wzrastało jej zainteresowanie.

- Czy sądzisz, że zarządca uczelni...

- Każe nazywać się rektorem - wtrącił Quinn.

- Dobra, niech mu będzie. Czy twoim zdaniem kluczył?

- Tak - odpowiedziała Pearl.

Quinn skinął głową, choć nie był aż tak pewny. Nie chciał kombinować w złym kierunku.

- To tylko wrażenie - powiedział. - Nie mamy powodów, żeby podejrzewać go o kłamstwo.

Pearl miała inne zdanie.

- Uczelnia jest tak idealna, że trudno jej nie podejrzewać. Malownicza, oddalona od miasta. I snobistyczna jak smok. Grają tam w lacrosse. Wyłącznie w lacrosse.

- Grywałam w lacrosse - powiedziała Helen.

- To pewnie i w hokeja na trawie.

Quinn posłał Pearl ostrzegawcze spojrzenie. Wystarczyła iskra,

żeby Helen i ona skoczyły sobie do oczu. Pearl, wyluzuj!

- Lacrosse to dobra gra, tylko trzeba się do niej nadawać - odpowiedziała Helen, wyraźnie w formie na poranną awanturę.

- Nie interesuje nas ich program sportowy - wtrącił Quinn, starając się zgasić pożar w zarodku. - Tak czy inaczej, dla amatorów kręgli miejsca tam nie ma.

- Lacrosse - oznajmiła Pearl - za cholerę nie umywa się do futbolu.

- Może powinniśmy tam wrócić. - Fedderman przyszedł w sukurs Quinnowi, zanim Helen zdążyła otworzyć usta.

- Nie sędzę - odpowiedział Quinn. - Zdenerwowanie Schuellera można wytłumaczyć faktem, że chciała z nim rozmawiać policja. Nic w tym niezwykłego. Zwłaszcza że chodziło o morderstwo. Dla Waycliffe to pewnie coś nowego.

- Miejmy nadzieję - rzekła Helen. - Poznaliście przyjaciół Macy Collins?

- Chyba takich nie miała. Była zapisana na jakiś program dla szczególnie uzdolnionych studentów. Z tego co zrozumiałam, nikt objęty tym programem nie ma czasu na życie towarzyskie.

- Nie to co sportowcy - nie wytrzymała Pearl. A masz!...

- Ale muszą mieć drużynę koszykówki - powiedziała Helen, jakby każda licząca powyżej pięciu osób instytucja była do tego prawnie zobowiązana.

- Nie mają - odrzekł Quinn. - Wyłącznie lacrosse. Na sportowca też nikt mi nie wyglądał. Dziewczyny to typowe studentki - modnie ubrane, inteligentne. Chłopcy - jakby nosa znad książek nie wystawiali. Ogólnie sprawiali wrażenie, że za dużo czasu spędzają na Facebooku albo na Twitterze.

- No pewnie - wzruszyła ramionami Pearl. - W końcu nie widzieliśmy ich wielu.

Trwają letnie wykłady. Ale Quinn ma rację: ci, których widzieliśmy, wyglądali na kujonów albo na przyszłych sprzedawców obligacji. Dziwadła z rodzaju tych, co to w liceum zawsze mają odrobioną pracę domową.

- Wygląda na to, że aby się tam dostać, trzeba mieć wybitny wynik z testów po szkole średniej - powiedział Fedderman.

- Albo wybitną ilość zer na koncie - dodała Pearl.

- Powinni mieć drużynę koszykówki - upierała się Helen.

- Tylko lacrosse - powtórzył Quinn, uprzedzając odpowiedź Pearl.

- Macy Collins mieszkała ze współlokatorką?

- Nie - odpowiedział Quinn. - Wybitnie uzdolnieni studenci mieszkają samotnie.

- I samotnie umierają - powiedział Harold. Do tej pory siedział w milczeniu pod przeciwległą ścianą i słuchał.

Quinn zastanawiał się, czy ta rozmowa może ich do czegoś doprowadzić. Zdawało się, że podkreśla tylko niedostatek faktów w śledztwie. Działający jak Daniel Danielle seryjny morderca (jeśli z takim mieli do czynienia), który bestialsko okaleczał swoje ofiary (jeśli była więcej niż jedna), nie mógł mieć wiele wspólnego z ekskluzywną, odosobnioną uczelnią, nawet jeśli ofiara tam studiowała. Quinn zaczął się obawiać, że gonią w piętę.

- Moim zdaniem - powiedziała Helen - trzeba ich mieć na oku.

- Dlaczego? - zapytał Quinn.

- Nie mają drużyny koszykówki.

Z laptopem Ann Spellman coś było nie tak. Kiedy go włączyła, tapeta na ekranie nie pokazywała już błękitnego nieba - zmieniła się w prasowe zdjęcie, przedstawiające leżące pod kocem na poboczu autostrady ofiary potwornego czołowego zderzenia samochodu osobowego i ciężarówki.

Ktoś włamał się do jej komputera. Cudownie. Tylko tego brakowało jej do szczęścia.

Podłączyła się do sieci, ale wszystko było tak, jak pamiętała, więc może pospieszyła się z tym „coś było nie tak”... Jednak na pewno coś się zmieniło.

Od trzech dni była bezrobotna. Z miejsca pracy w Clinton Industrial Designs dostarczono jej do domu rzeczy osobiste i była pewna, że jeśli choć postawi nogę w budynku, zostanie potraktowana jak persona non grata.

Tyle dobrego, że zniknęły związane z pracą zmartwienia. Bezrobocie było stresujące - nawet przerażające - ale też niewątpliwie wiązało się z poczuciem wyzwolenia.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Po wypadnięciu z okna wieżowca ma się pewnie takie samo wrażenie, a czym to się kończy?

Jedno wszakże było pewne: życie stało się prostsze. Musiała tylko znaleźć nową pracę. I zapomnieć o Lou Gainerze.

Kliknęła historię przeglądarki i zobaczyła znajome strony, które niedawno odwiedzała. Strony z ofertami pracy. Serwisy randkowe. Ale czy na pewno były w takiej kolejności, w jakiej je zostawiła?

Na to wyglądało. Nie była zbyt mocna w informatyce, ale podejrzewała, że nikt nie mógł zmienić jej tapety, gdy nie

korzystała z komputera. Wtedy uderzyło ją, że może jej laptopa nie zhakowano zdalnie. Ktoś mógł wejść tutaj, do jej mieszkania, i po prostu zajrzeć do historii, a potem wchodzić na strony w zgodnej z nią kolejności.

O ile znał jej hasła.

Wyciągnęła rękę i przechyliła lampkę na biurku, unosząc ciężką podstawkę. Skrywała ona złożoną kartkę, na której Ann odręcznie wypisała swoje hasła i loginy.

Ale czy złożony we czworo arkusz papieru do drukarki leżał w tej samej pozycji? Czy wcześniej nie był ułożony prostopadle do krawędzi biurka, a nie pod kątem?

Nie miała pewności.

Odłożyła listę haseł pod podstawę lampki, myśląc przy tym, jak głupia była to kryjówka. Pewnie połowa użytkowników komputerów chowa swoje hasła i aliasy pod lampką biurową. Każdy szanujący się złodziej lub haker zacząłby szukać właśnie od tego miejsca. Z tego co wiedziała, ktoś, kto naprawdę znał się na komputerach, nie potrzebowałby haseł, żeby włamać się na jej konta. Między innymi z tego powodu wybrała na kryjówkę ciężką podstawkę lampki. Poza tym tutaj lista była pod ręką.

Kto, do cholery, chciałby zaglądać do mojego komputera?

Może Clinton Industrial Designs. Mogło ich interesować, z kim się kontaktuje, poszukując pracy. Lou Gainer podkreślał, że nie życzą sobie, aby wykorzystywała firmowe tajemnice w roli argumentu podczas rozmów o pracę. Świat wzornictwa przemysłowego był jak basen pełen rekinów.

Kilkakrotnie głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić. To głupie, powiedziała sobie.

Utrata kochanka i pracy za jednym zamachem sprawiła, że stała się przesadnie podejrzliwa.

Po takich doświadczeniach każdy mógłby popaść w lekką paranoję.

Odchyliła się i uważnie przyjrzała przedmiotom na blacie. Laptop, zielona, pokryta skórą podkładka na biurko, piórnik (z przegródkami na spinacze do papieru, znaczki i co tam jeszcze), telefon z automatyczną sekretarką, kubek na długopisy i ołówki z nadrukowanym obrazem Edwarda Hoppera, korkowa podkładka pod szklankę pożyczona z Ellie's Lounge; wreszcie mały obrotowy wizytownik. Geometria rozmieszczenia przedmiotów wydawała się niezmieniona.

Szybka kontrola szuflad biurka nie wykazała żadnych zauważalnych zmian.

Ann siedziała bardzo spokojnie, słysząc bicie własnego serca. Po kilku minutach doszła do uspokajającego wniosku, że pod jej nieobecność nic nie zostało poruszone.

Nagła myśl przeszła ją zimnym dreszczem. Wstała z krzesła i pospieszyła do drzwi na korytarz. Po ich otwarciu zrobiła krok na zewnątrz i rozejrzała się w obie strony, sprawdzając, czy jest sama. Czyżby jakiś cień mignął tam, gdzie skręcała poręcz schodów wiodących do wyjścia? Czy ktoś po nich zbiegł? Jakaś odległą częścią umysłu zastanawiała się, czy nie została właśnie wywabiona z mieszkania. Czy możliwe jest, że manipulował nią ktoś bardzo sprytny i żywiący wobec niej najgorsze intencje? Że się nią bawił?

Nie, nie! Nie bądź głupia!

Przez kilka sekund usiłowała sobie przypomnieć, po co wyszła na korytarz. Potem wspięła się na palce i pomacała górną część framugi. Tam chowała zapasowy klucz, na wypadek gdyby zgubiła lub zapodziała swój i gdyby nie mogła dostać się do domu. Lou Gainer oddał jej klucz, który mu kiedyś dała. Czy wiedział o

zapasowym? Nie była pewna.

Przesunęła opuszkami palców po ignorowanej przez pokolenia malarzy szorstkiej powierzchni drewnianego nadproża. Klucz był na miejscu.

Zabrała go i ukryła w kieszeni, po czym wróciła do mieszkania. Zamknęła drzwi najdokładniej, jak się dało - na zamek i miedziany łańcuszek zabezpieczający.

Odgrodziła się od świata, co pozytywnie wpłynęło na jej poczucie rzeczywistości.

Była bezpieczna - tak naprawdę już od powrotu do domu, od kiedy weszła przez drzwi.

Wyobraźnia potrafi dać w kość.

Ale ze mnie paranoiczka!

Było jej trochę wstyd. Naprawdę się nakręciła, i to tylko na podstawie przeczuć. Co w tym dziwnego? Czy po tym, co ją spotkało, będzie w stanie kiedykolwiek komuś zaufać?

Nie bądź głupia. Uporasz się z tym.

Gdy nabrała przekonania, że nic jej nie grozi, poczuła się trochę lepiej. Wyobrażając sobie najgorsze, doprowadziła się do paniki. W gruncie rzeczy bez powodu.

Wróciła do biurka i usiadła przed laptopem. Kliknęła zakładkę Facebooka i weszła na swój profil. Zobaczyła swoje znajome zdjęcie.

I wiadomość, która pochodziła od niej.

Od Ann.

Tuż pod zdjęciem. Tym, na którym uśmiechając się, przekrzywiała głowę na bok.

Mam dziwne wrażenie, że zaraz wydarzy się coś złego.

Według Facebooka wiadomość została wrzucona niecałe dwie minuty temu. Ann od tygodnia nic na Facebooku nie pisała.

To wtedy, kiedy wyrzalam na korytarz!

Jej zdjecie na monitorze nagle wyblaklo i calkiem sie rozmylo. Jeden po drugim zaczely sie wyswietlac zainstalowane programy, przewijaly sie i znikaly, coraz szybciej i szybciej, a ona obserwowala to w oszolomieniu.

Zlapanam jakiegoś wirusa!

...zaraz wydarzy sie coś złego.

- W takiej sytuacji najlepiej odlaczyc zasilanie - odezwal sie ktoś za jej plecami.

Na jej prawe ramie opadla reka i zacisnela sie, az zabolalo.

Bawiąc się w zamyśleniu gęstym kosmykiem rudych włosów, Jody Jason wspięła się po szerokich betonowych schodach ku imponującemu wejściu do Sali Junga, wśród studentów znanej jako „Sala Psychicznych”.

W budynku było gorąco, ale i tak o kilka stopni chłodniej niż na zewnątrz. Profesor Pratt czekała na Jody w swoim gabinecie. Jody podejrzewała, że spotkanie będzie dotyczyło czegoś innego niż prowadzonych przez Pratt zajęć z psychologii biznesu (Jody wprawdzie studiowała prawo, ale w ramach programu dla wybitnie uzdolnionych na jej opiekuna wyznaczono profesor Pratt). Zwłaszcza że zajęcia z psychologii biznesu były dla Jody łatwizną - jak większość zajęć w ogóle.

Gabinet był mały i zagracony; upchane tomy, poukładane gdzie tylko się dało - nawet na półkach nad drzwiami i oknami - napełniały pomieszczenie zapachem stęchlizny.

Większość z nich traktowała o prawie, psychologii i psychiatrii. Ale były tam też biografie, literatura medyczna, zestawy książek dotyczących wiedzy ogólnej, podręczniki... Nawet literatura popularna. Jody już dawno temu zauważyła, że pani profesor była czytelnikiem otwartym. Elaine Pratt nie należała do grona ciasnogłowych akademików, których ograniczały wąskie i długie tunele specjalistycznej wiedzy.

Wykładowczyni wstała zza biurka, kiedy Jody, zapukawszy, weszła do środka.

Gestem wskazała studentce fotel obok, po czym sama także usiadła. Jody zdjęła z fotela stertę książek i przestawiła mebel tak,

żeby stał naprzeciwko biurka.

Profesor Pratt była dziś ubrana w wykrochmaloną żółtą bluzkę i jasnoszare spodnie.

Jody od dawna wiedziała, że pani profesor, jeśli tylko nasza ją chęć, mogła, odpowiednio dobierając strój, uczynić się w zniewalająco wiotki sposób atrakcyjną. Jak modelka. Jody bez trudu potrafiła ją sobie wyobrazić jako królową wybiegu, na którym jak magnes przyciąga męskie spojrzenia.

Zaraz za biurkiem, na ścianie pełnej książek, stało jedno z wielkich dwutomowych wydań Oxford Dictionary, w etui z małą kartonową szufladką na szkło powiększające, ułatwiające odczytanie drobnego druku. Jody pomyślała, że jeśli już ktoś zdecydował się na wertowanie mamuciego tomiszcza, to naprawdę musiało zależeć mu na poznaniu znaczenia szukanego słowa.

Profesor Pratt uśmiechnęła się do Jody promiennie.

- Nie mogę jeszcze zdradzić ci szczegółów - powiedziała - ale powinnaś chyba wiedzieć, że niedługo spotka cię coś miłego.

Jody była zaskoczona.

- W jakim sensie?

- Powiedziałabym ci, gdybym mogła. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy jesteś gotowa na poważne zmiany.

- Gotowa?

- Czy masz jakieś plany na resztę lata, którymi dotąd się ze mną nie podzieliłaś. Czy nie jesteś w ciąży. Coś w tym rodzaju.

Jody roześmiała się.

- Nie mam planów. I mogę panią zapewnić, że nie jestem w ciąży.

- Chodziło mi też o gotowość w innym aspekcie. To znaczy: czy przyswoiłaś szczególną wiedzę, której nie przekazuje się wprost, ale która kryje się między wierszami. - Profesor Pratt

przygważdżała Jody nieruchomym spojrzeniem.

- Jestem całkowicie przekonana, że tak - odpowiedziała Jody. Wiedziała, że profesor Pratt to właśnie chce usłyszeć.

Już dawno temu do perfekcji opanowała umiejętność mówienia ludziom tego, co chcieli usłyszeć.

- Często rozmawialiśmy z rektorem na twój temat - mówiła profesor Pratt. - Uważamy, że masz wyjątkowe zdolności.

- Sądzę, że jestem gotowa na to, o czym rozmawiamy. Cokolwiek by to było.

Profesor Pratt wstała.

- To wspaniale, Jody. Przykro mi, że zostawiam cię w niepewności, ale musiałam się dowiedzieć, czy masz wolne wakacje.

- Jestem w pełni dyspozycyjna - odpowiedziała z uśmiechem Jody. - I dziękuję pani.

Znamionującym pewnością siebie krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je.

Minęła poczekalnię i wyszła na korytarz, nie oglądając się za siebie. W żaden sposób nie zdradziła, co naprawdę myśli.

O co jej chodziło, do cholery?

Duszę się!

Pierwsza myśl Ann Spellman.

Chwilę potem zaczęła głęboko i hałaśliwie oddychać przez nos. Coś - chyba taśma klejąca, sprawdziła językiem - zatykało jej usta. Dławiła się, kasłała i zawzięcie pracowała czubkiem języka, ale nie udało jej się poruszyć lepkiej, napiętej bariery.

Siłą woli nakazała sobie spokój i rozchylając nozdrza, zmusiła się do równomiernego oddychania. Próbowwała przypomnieć sobie, co się stało, ale umysł odmawiał współpracy. Był mężczyzna, wypił drinka... Na pewno coś jej wrzucił do tego drinka. Pamiętała, że szła obok niego, że ją podpierał. Nie była pijana - to pewne. Nigdy nie piła tyle, żeby się upić.

Czy wrócili do jej mieszkania?

A może dopiero z niego wyszli?

Niczego nie była pewna.

Gdy spróbowała poruszyć rękami i nogami, jej ciało przeszyły bolesne, rwące skurcze.

Gdzie jestem?

Krzyknęła niemo w nieustępliwą taśmę i szeroko otworzyła oczy. Po krótkiej chwili zdała sobie sprawę, że widzi świat do góry nogami. Leżała na twardym podłożu, ze wzrokiem skierowanym w nocne niebo. Poprzez liście zwisających u góry gałęzi widziała gwiazdy.

Dlaczego była w tak niewygodnej, przyprawiającej o ból pozycji? Jak...?

Jej pamięć odezwała się głosem mężczyzny:

- W takiej sytuacji najlepiej odłączyć zasilanie.

Mówił to, kiedy siedziała przed swoim dogorywającym laptopem; stał za nią, tuż-tuż.

Musiał jakoś wejść do mieszkania. Ukrył się, kiedy zamykałam drzwi. A ja przez cały czas myślałam, że jestem bezpieczna!

Płaciła teraz za swoją nieostrożność. Zdążyła sobie przypomnieć, że traciła przytomność, a on i tak zmuszał ją do picia. To nie było wino. Mówił, że wino, ale piła coś innego. Coś, co zaćmiewało jej umysł, od czego karłała i z każdą chwilą czuła się mniej ważna. Dlatego ostatecznie zrobiła to, czego chciał, dlatego gdzieś z nim poszła. Do samochodu?

Wykręciła szyję i rozejrzała się. Zobaczyła skrzynki kwiatowe z martwymi, zbrązowiałymi roślinami. Ostro zakończone ogrodzenie, po którym pięła się winorośl. I mur z pociemniałej od starości cegły. Wyglądało na to, że była na małym podwórku. Świecił księżyc, ale widziała też światło padające z innego źródła. Może był to blask lampy ulicznej?

Spoza zasięgu wzroku dobiegło ciche szurnięcie. Wystraszona, napięła mięśnie.

Znowu dały o sobie znać skurcze w nogach, ale w tej pozycji nie mogła zrobić nic, co złagodziłoby ból.

Strach zawładnął jej ciałem i umysłem. Rozumiała, co się dzieje, ale z całych sił starała się odepchnąć od siebie tę wiedzę. Napłynęły fale mdłości; przełknęła je, przerażona, że udusi się własnymi wymiocinami. Zaczęła się trząść. Poczuła, jak mimowolnie opróżnia pęcherz.

To spotyka mnie. MNIE!

Myśl! Na miłość boską, myśl! Wymyśl, jak sobie z tym poradzić!

Ktoś tu jest, ale jeszcze nic mi nie zrobił. Jeszcze nie. Może nie zrobi? Może na tym się skończy? Są przecież zboczeńcy, którym

frajdę sprawia wiązanie kobiet i obserwowanie ich, napawanie się ich bezbronnością.

Istnieją przecież tacy mężczyźni.

Pozbierała rozbiegane, chaotyczne myśli, a skurcze ustąpiły. Ustaliła, że klęczy odchylona w tył, a przeguby ma mocno związane za plecami. Krótki naprężony sznur łączył skrępowane nadgarstki ze skrzyżowanymi, związanymi razem kostkami, przez co jej kolana pozostawały rozsunięte, a plecy boleśnie wygięte w łuk.

Związał mnie w kabłąk!

Związał ją w kabłąk, a potem ułożył tak, że górna część jej ciała wyginała się w tył, a oczy wpatrywały się w niebo. W tej pozycji plecy pozostawały nieustannie napięte i czuła w nich dojmujący ból.

Naturalnej potrzebie wyprostowania ciała do pozycji pionowej przeszkadzał naprężony sznur, który łączył nadgarstki z kostkami. Strzała wypuszczona z łuku, jaki tworzyło jej ciało, pomknęłaby w niebo pełne gwiazd.

Przeszywał ją ból. Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej kręgosłup.

Co to?

Znowu coś zaszurało. Podeszwa. Blisko!

Pojawił się w polu jej widzenia, a ją, jak podmuch lodowatego wiatru, do szpiku kości zmroził strach. Odezwały się rwące skurcze, gdy jej ciało raz jeszcze naprężyło się w walce o nieosiągalne uwolnienie. Przez naklejony na usta plaster przedostała się udręka: przybrała formę żalosego skomlenia, które brzmiało jak stłumione zawrođenje policyjnej syreny.

Zaskomlała raz, zaskomlała drugi, a taśma na ustach wybrzuszała się i klęsa.

Pokazał jej nóż, obracając długie srebrne ostrze tak, żeby odbiło się w nim światło gwiazd, i uśmiechnął się do niej.

- Daj znać, jeśli poczujesz dyskomfort. - Głos, jak uśmiech, był łagodny.

Ostry jak brzytwa nóż znalazł ciało, a potem znalazł krew.

Słumiony dźwięk ludzkiej syreny zawodził długo i głośno, choć nie na tyle głośno, żeby ktokolwiek go usłyszał.

I tak było to bez znaczenia. Budynek był opuszczony. W pobliżu nie było nikogo.

Po przyjeździe na East Village weszli na małe brukowane podwórko znajdujące się na tyłach przeznaczonego do remontu sześciokondygnacyjnego bloku bez windy. Niedługo miało wzejść słońce. Technicy kryminalistyczni, pochłonięci swym rutynowym baletem białych rękawiczek, nie zwracali uwagi na Quinna, Pearl i Nifta ani na szczątki Ann Spellman.

- Straszne, straszne - mówił Nift, zadziorny mały lekarz sądowy. - Ofiara miała ciemne włosy i oczy, i świetne ciało z buforami prima sort. W odniesieniu do buforów słowo „miała” jest właściwe.

- Tyle sam widzę - powiedział Quinn. - Mimo całej tej krwi.

Nift, pochylony nad związanym w nienaturalnej pozycji ciałem, rozejrzał się na boki, po czym zmierzył wzrokiem Pearl - od stóp do głów. Nie wypowiedział tego, co myślał: że kobieta leżąca na twardej kostce brukowej z plecami tak silnie wygiętymi, że przedśmiertne drgawki tylko cudem nie złamały jej kręgosłupa, typem urody bardzo przypominała Pearl.

Pearl nie odezwała się; nie mrugnawszy powieką, odpowiadała mu spojrzeniem, które zawstydziłoby każdego zdolnego do odrobiny refleksji lub empatii mężczyznę.

- Związał ją, potem pewnie ujął pod szczękę i podniósł, żeby

cycki dyndały. Wtedy złapał za nóż, cały czas podtrzymując szczękę - komentował Nift. Szcherzył zęby w uśmiechu. - Potem z powrotem opuścił ją na kolana i tak zostawił, żeby se gwiazdy podziwiała.

Quinn położył wielkie, silne łapsko na ramieniu Pearl - łagodnie, ale tak, żeby ją pohamować.

- Ciągle ma na sobie majtki - powiedział.

- A jak - ucieszył się Nift. - Różowiutkie i z koronką. Odstawiła się na rżnięcie.

Quinn nagle poczuł zawstydzenie, że w ten sposób rozmawiają o zmarłej w jej obecności. Zaskoczyło go to. Sądził, że takie emocje ma już za sobą. Częścią umysłu odnotował, że zabójca wie, jak do niego dotrzeć, jak przywołać zapomniane uczucia.

- Stężenie pośmiertne już ustąpiło - mówił Nift, zdając się nie zauważać, że Pearl o mało nie rzuciła się, żeby przegryźć mu aortę i że ciągle gotowa jest to zrobić. - Nie ruszałem jej. Napatrzcie się, zanim zabiorą ją sanitariusze. Nawiasem mówiąc, cycków nie znaleźliśmy.

Tak jak poprzednio.

Quinn poklepał Pearl po ramieniu, zabrał rękę, zbliżył się do wygiętego na bruku podwórka ciała i uważnie zbadał je wzrokiem. Pewnie jeszcze za dwadzieścia lat będzie się zrywał po nocach, widząc w kolejnym koszmarnym śnie stop-klatkę przerażenia w wybałuszonych oczach kobiety. O ile przeżyje tyle lat w świecie, w którym człowiek człowiekowi potrafi zrobić coś takiego.

- Szkoda, że nie widzieliście, jaki miała uśmiech, zanim jej to z ust wyjąłem. Było wciśnięte w poprzek; dopiero po wyciągnięciu zorientowałem się, co to jest.

Quinn zerknął na płaski stalowy półokrąg i po chwili spostrzegł, że jest na nim skala.

Zwykły kątomierz - używali takich kreślarze.

- Nie powinienes go ruszać - powiedział.

- Wiem - odparł Nift. - Ciekawość była silniejsza. W prosektorium i tak bym go wyjął.

Nasz zabójca ciekawie to sobie wymyślił: najpierw ją zaszlachtował, a potem zmusił do uśmiechu.

Obydwaj mężczyźni przyglądali się martwej kobiecie.

Krępujący ją sznur wiązały węzły proste - każdy potrafi takie zrobić. Był to chyba najzwyklejszy sznur do suszenia bielizny, niemożliwy do namierzenia nawet dziś, kiedy mało kto rozwieszał pranie na sznurku. Nacięcia w kilku miejscach ciała ofiary sugerowały, że kaleczono ją z czystej potrzeby krzywdzenia. Widząc surowe mięso i krew tam, gdzie powinny być jej piersi, Quinn przełknął gulę goryczy i gniewu.

Sznur i sposób krępowania w kabłąk były novum w repertuarze Daniela (Quinn miał coraz większą pewność, że mordował Daniel), ale nie było w tym nic zaskakującego. Seryjni zabójcy, choć zatrzaśnięci w świecie swoich obsesji, potrafili wprowadzać urozmaicenia do stosowanych przez siebie metod. Często po to, żeby sprowadzić policję na manowce, ale istniała możliwość, że Daniel szukał sposobów na zwiększenie przyjemności, którą sprawiało mu zabijanie, a także na zwiększenie cierpienia i strachu swoich ofiar. Stąd wiązanie w kabłąk. Seryjni mordercy rozwijali się. Dlatego byli tak przerażający.

Niektóre węzły zawiązane były podwójnie, jakby morderca chciał mieć pewność, że sznur się nie rozplącze. Proste, ale skuteczne, jak podwójne wiązanie sznurowadeł. Quinn wiedział, że to tylko środki ostrożności. Zabójca nie znał się na węzłach.

- Nasz człowiek nie jest marynarzem - powiedział.

- Harcerzem też nie był - dodała Pearl.

- Może zdobywał inne sprawności - wtrącił Nift.

Z wychodzących na podwórko drzwi budynku wyłonił się Fedderman. Szedł ostrożnie, żeby nie przeszkadzać technikom. Założył dziś jeden ze swoich tanich brązowych garniturów i powiewał rozpiętą marynarką. Gdy zbliżał się swoim niezgrabnym chodem, poły marynarki rozkołysały się jak wahadła, jedna z nich otarła się o doniczkę ze zwiędłymi kwiatami stojącą na zardzewiałej podstawce i prawie ją strąciła. Fedderman wracał po rozmowie z dozorcą sąsiedniego bloku, który odkrył ciało, poszukując wczesnym rankiem zagubionego kota.

Quinn dał pozwolenie na zabranie ciała, zaznaczając, że najpierw muszą skończyć z nim technicy, i gestem polecił Feddermanowi, żeby poszedł za nim. Przemierzyli budynek i wyszli na ulicę. Pearl zaczekała, aż Nift skończy pracę i spakuje swoje narzędzia, jakby czuła potrzebę bronienia martwej kobiety przed nekrofilem. O Nifcie plotkowano od lat.

Kto ją ochroni w kostnicy?

W drodze do wyjścia Pearl zawahała się, po czym zawróciła, pochyliła się nad skręconym ciałem i obejrzała metkę u majtek. Były w miarę nowe, niedrogiej marki.

Przyjrzała im się bardzo uważnie.

- Co mamy? - zapytał Quinn, kiedy wszyscy troje byli już na ulicy.

Fedderman wyjął swój oprawny w skórę notes, otworzył go na odpowiedniej stronie i zaczął opowiadać, nie odrywając wzroku od zapisanych kartek.

- Dozorca, niejaki Willy Fernandez, mieszka i pracuje w sąsiednim bloku, a pilnowanie tego budynku to tylko fucha do końca remontu. Ale klucze dostał. Kiedy uciekł jego kot, Teoś, Fernandez zaczął go szukać. Zobaczył, że Teoś wbiega do

sąsiedniego bloku przez otwarte na oścież drzwi. Fernandez podążył za kotem, ale całkiem o nim zapomniał, kiedy znalazł Ann Spellman.

- Nic dziwnego - powiedziała Pearl. - To on wezwał policję?

- Aha. - Fedderman wepchnął notes do kieszeni. - Oglądał na tyle dużo seriali policyjnych, że niczego nie ruszył. Wrócił do mieszkania i zadzwonił na posterunek.

- Nie na dziewięćset jedenaście? - spytał Quinn.

- Nie. Oceniał sytuację i uznał, że już za późno na telefon alarmowy.

- Gdzie jest teraz?

- W swoim mieszkaniu, w sąsiednim budynku. Uprzedziłem go, że może będziemy chcieli zadać mu jeszcze kilka pytań.

- Chcemy - powiedział Quinn.

Fedderman został, żeby popatrzeć, jak przenoszą ciało, a Quinn i Pearl weszli do sąsiedniego budynku przesłuchać dozorcę Fernandeza.

Ambulans - z wyłączoną syreną, ale z migającymi na dachu czerwonymi i żółtymi światłami - był już bardzo blisko. Rozganiająca uliczne korki limuzyna dla Ann Spellman.

Poprzez refleksy na przedniej szybie Fedderman widział twarze dwóch sanitariuszy.

Nie zamieniłby się z nimi na pracę.

Sień w bloku dozorczy niczym nie różniła się od sieni, którą właśnie opuścili. Schody pozostawiały wybór: zejść do piwnicy albo wspiąć się na półpiętro, przy czym te wiodące w górę znajdowały się głębiej, przy tylnej ścianie budynku. Wnętrze bloku pomalowano na kolor jasnozielony, na tyle niedawno, że na ścianach jeszcze nie pojawiło się graffiti. W tym budynku była winda, ale na jej drzwiach wisiała przyklejona taśmą samoprzylepną kartka z odręcznym napisem „NIECZYNNA”. Quinn nawet się z tego cieszył, gdyż Pearl, wspinając się za nim po schodach, lekko dotykała jego ramienia, jakby dla utrzymania równowagi.

Nacisnął dzwonek przy drzwiach opatrzonych miedzianą plakietką z napisem „DOZORCA”. Otworzyły się niemal natychmiast. Fernandez musiał słyszeć ich kroki na schodach.

- Spodziewałem się państwa - powiedział, gdy Quinn i Pearl mignęli legitymacjami.

Mówił z lekkim hiszpańskim akcentem. Uniósł ciemne brwi. - Państwo z policji?

- Współpracujemy z policją - odpowiedział Quinn.

- Blisko?

- Jak kochankowie.

Fernandez wyszczerzył się i wpuścił ich do środka. Był niskim, przystojnym mężczyzną po czterdziestce, o ostrych rysach twarzy. Zaczesane do tyłu kruczoczarne włosy znaczyły nieliczne siwe pasemka. Nosił zielone ubranie robocze, ale łatwo było sobie wyobrazić, jak w skrojonym na europejską modłę garniturze

odgrywa wymuskanego żigolo w filmie albo w spektaklu.

Quinn spodziewał się skromnej sutereny, a zastał przestronne i przyzwoicie umeblowane mieszkanie. Na jednej ze ścian wisiał duży płaskoekranowy telewizor, naprzeciwko którego ustawiona była zielona leżanka. Obok leżanki stał niewielki stolik, na którym leżała gazeta. Na gazecie dozorca postawił butelkę po piwie, żeby nie zostawiała kółek na blacie. Kiedy Quinn wykręcał szyję, widział sąsiadującą z salonem białą umeblowaną kuchnię.

- Mieszka pan sam? - zapytał.

- Jeszcze pół roku temu mieszkałem z żoną. - Fernandez wskazał ręką sofę ze skórzanym, a może winylowym obiciem. Wyglądała na niewygodną. - Siądą państwo?

Quinn i Pearl zgodnie podziękowali.

- Jest pan w separacji z żoną? - zapytała Pearl. Głos Fernandez nie brzmiał smutno, założyła więc, że jego żona żyje. Może się rozwiedli?

- Uciekła z elektrykiem.

Pearl miała ochotę zapytać, czy było to porażające doświadczenie, ale ugryzła się w język. Uśmiech też udało jej się powstrzymać.

Quinn zauważył, że coś ją rozprasza, i wziął na siebie prowadzenie rozmowy.

- Znał pan Ann Spellman?

- Denatkę?

Oho! Fernandez musiał oglądać seriale policyjne na swoim wielkim telewizorze.

- Denatkę - potwierdził Quinn.

- Tylko przelotnie - powiedział Fernandez.

Do pokoju wszedł duży czarny kot. Mimochodem zarejestrował obecność Quinna i Pearl, ale uznał, że nie warto poświęcać im

uwagi. Quinn patrzył, jak kot bez wysiłku wskakuje na wyściełany fotel i zwija się w kłębek, układając mordkę tak, żeby na nich nie patrzeć.

- Teoś? - zapytał Quinn.

- We własnej dostojnej osobie - odpowiedział Fernandez. - Wymknął się przez szparę w drzwiach, kiedy szłem sprawdzić, czy jest jakaś poczta, bo przypomniało mi się, że zamówiłem DVD na Netfliksie. Magia kłamstwa. Oglądają państwo?

- Każdy odcinek - odpowiedziała Pearl.

- No to idę za Teosiem do sieni, lukam - a drzwi wyjściowe są na kilka centymetrów uchylone. Czasem tak się nie domykają. Teoś przecisnął się i w długą!

- O której to było? - zapytał Quinn.

- Koło północy.

- Chciał pan oglądać Magię kłamstwa o północy?

- A co mam robić bez żony? Przecież zasnąć bym nie mógł.

- Bo myślałby pan o niej i o elektryku - zgadła Pearl.

- No właśnie.

- Zauważył pan kogoś wchodzącego lub wychodzącego z sąsiedniego budynku?

- No pewnie. Teosia. Jak wyszłem, żeby drania dopaść, drzwi do tamtego bloku kołysały się na zawiasach.

- I to nie było normalne? - zapytał Quinn.

- Co pan? Może i budynek jest niezamieszkały, ale zostało tam trochę do rozkradzenia. Drewno budowlane, miedziane rury kanalizacyjne, nawet narzędzia, które zostawili robotnicy. Dali mi tę pracę, żebym niepowołanych nie wpuszczał. Drzwi zawsze były zamknięte na cztery spusty.

- Ale nie tej nocy - zauważyła Pearl.

- Ano nie. Zamek został wyłamany, jakby ktoś wsadził coś

metalowego między drzwi a framugę i z całych sił nacisnęła.

- Mógłby to być duży nóż?

- Taaa... Wystarczyłyby. Śruby po prostu wyskoczyły ze starego drewna, a zamek i tak był do dupy.

- Więc Teos wszedł do środka... - podsunęła Pearl. Świetnie zgrywali się z Quinnem, gdy chodziło o skłanianie kogoś do rozmowy.

- A ja za nim.

- Odważny z pana człowiek - powiedział Quinn. - Nie pomyślał pan, że skoro drzwi są wyważone, to ktoś może czaić się w środku?

Fernandez wzruszył ramionami.

- Kocham Teosia, że o Jezu. Wróciłem do domu po latarkę i bejsbola, a dopiero potem weszłem do środka. Idąc, stukałem końcówką kija o podłogę i wołałem: „Teos, Teos!”.

Robiłem tak dużo hałasu, że jeśli ktoś tam był, miał dość czasu na ucieczkę. Szukałem kota, a nie kłopotów.

- I?

- Teosia ani widu, ani słyhu, ale zauważyłem, że jedne z przeszklonych drzwi na podwórko są otwarte. Przeszłem przez nie, poświeciłem latarką i zobaczyłem... - Fernandez przerwał i przełknął ślinę.

- Denatkę - dopowiedziała Pearl.

Fernandez przełknął jeszcze raz na makabryczne wspomnienie.

- Tak. Natychmiast wróciłem do siebie i wezwałem policję.

- Ale nie przez dziewięćset jednaście - powiedział Quinn.

- Madre de Dios, widziałem przecież, że ona nie żyje!

- Aha.

- Poczekałem na radiowóz i opowiedziałem policjantowi, co się stało. Poszedł sprawdzić, a jak wrócił, to wezwał pomoc. Zapytał, gdzie mieszkam, i kazał mi wracać do domu. Pierwsze, co

zobaczyłem po powrocie, to Teosia. Szczęśliwego, jakby nigdzie nie wychodził.

- Koty tak mają - powiedziała Pearl.

- Czy jest jakiś sposób, żeby wejść na podwórko od ulicy? - spytał Quinn.

Fernandez pokręcił głową.

- Nie. Na podwórka na tym osiedlu można dostać się, tylko przechodząc przez dom.

Myszę, że dla bezpieczeństwa. Dlatego ktoś, kto zabrał tam tę panią... denatkę, musiał wejść na klatkę schodową i wyjść na podwórko przez przeszklone drzwi.

- Na pewno nie zauważył pan w ciągu ostatnich kilku dni nikogo podejrzanego, kręcącego się wokół tamtego budynku? Albo po okolicy?

- W tej okolicy wszyscy są podejrzeni - oznajmił Fernandez.

- Jak w każdej okolicy - powiedziała Pearl.

- Zaraz, zaraz! - zawołał Fernandez, jakby coś zaskoczyło mu w pamięci. - W zeszłym tygodniu kogoś widziałem. Pan Kemmerman z budynku po drugiej stronie ulicy ma problemy z sedesem. Cieknie spod niego woda. Ile ja się napracowałem nad tym cholerstwem! Pan Kemmerman uważa, że to musi być problem z korkiem: woda przelewa się ze zbiornika i spływa bokami, jak nikogo w domu nie ma. Coś z ciśnieniem wody. No nie wiem, czy korek...

- Tę część może pomińmy - powiedział Quinn.

- No, to wyszłem akurat od Kemmermana i wyjrzałem przez okno na drugim piętrze.

Zauważyłem kobietę, która stała przed drzwiami domu denatki. Najpierw pomyślałem, że jest świadkiem Jehowy - czasem się tu kręca - albo robi jakąś inspekcję. Potem zobaczyłem, jak spogląda

w lewo i w prawo i próbuje otworzyć drzwi. Nieźle się z nimi szarpała.

- To była kobieta?

- O, tak. Tyle zauważyłem, chociaż gałęzie przesłaniały mi widok.

- A ona pana widziała?

- Nie. Po prostu stałem tam i patrzyłem, a ona w końcu poszła.

- Jak wyglądała?

- Chyba blondynka... Trudno powiedzieć, oświetlenie było kiepskie. No i te gałęzie, te liście...

- Jak była ubrana? - zapytał Quinn.

- Chyba w dzinsy. Góry nie pamiętam. Jakaś jasna bluza czy coś. Problem w tym, że nie widziałem jej twarzy. Było dość ciemno, a ona patrzyła w drugą stronę. No i z miejsca, w którym stałem, twarz babie zasłaniały włosy.

- Jaką miała sylwetkę?

- Trudno powiedzieć, patrzyłem z góry, ale zaryzykowałbym, że była średniego wzrostu. I z tych szczuplejszych. Chodziła na wysokich obcasach - to zapamiętałem.

- Czy były bardzo wysokie? - zapytała Pearl.

- Znaczą takie, jak u dziwek? Żeby takie seksowne, to nie. Po prostu pamiętam, że były wysokie. Chyba jestem z tych, co to zwracają uwagę na nogi.

- Wygląda pan na takiego - powiedział Quinn, żeby nie zniechęcać go do mówienia.

Miał ochotę zapytać, dlaczego Fernandez tak ślini się do biustu Pearl, skoro „jest z tych, co to zwracają uwagę na nogi”.

Ale nie widział w tym sensu.

- Z postawy - ciągnął Fernandez - i ze sposobu, w jaki się poruszała, odniosłem wrażenie, że jest starsza od denatki.

Czterdzieści lat? Więcej? Denatka była prawie dzieckiem, bidulka.

- Przełknął ślinę i posmutniał. - Chociaż na pewno nie wyglądała na dziecko, kiedy ostatni raz ją widziałem.

- Jest pan pewien, że nawet nie mignęła panu jej twarz? - spytał Quinn, nie pozwalając Fernandezowi na zgubienie wątku.

- Stała tak, że nie było szans.

- O której pan ją widział?

- Koło czternastej. Właśnie wróciłem z lunchu, odpocząłem trochę, przeczytałem gazetę i wybrałem się na drugą stronę ulicy obejrzeć kibelek pana Kemmermana. No jak, żeby ciekło z powodu korka? Co ma korek do...

- Czy pan Kemmerman był w domu, kiedy zobaczył pan tę kobietę?

- Nie. Był w pracy. Jest urzędnikiem bankowym. Tutaj ludzie się znają, wie pan. Mają do mnie zaufanie. Wiedzą, że nie pcham nosa w nie swoje sprawy, jak inni dozorczy. Znam swoje miejsce.

- Szkoda - powiedział Quinn. - Gdyby zamiast pilnować własnego nosa ktoś zauważył, jak morderca i ofiara wchodzą do tego budynku, może udałoby się ocalić ludzkie życie.

- Otwarłem akurat okno wychodzące na tę stronę budynku - kontynuował Fernandez - i coś przez nie usłyszałem. Ktoś - może jeden z policjantów - mówił, że ofiara była jakąś projektantką. Bardzo zdolną artystką. To prawda?

- Nie wiem - odpowiedział Quinn. Ale to by wyjaśniało kątomierz i bardzo by pasowało do upiornego poczucia humoru mordercy. Wykreślony uśmiech. - Jesteśmy dopiero na etapie ustalania faktów. Zna pan nazwę firmy, w której pracowała?

- Nie, nie potrafię panu powiedzieć. Nie podsłuchuję pod oknami. Nie pcham nosa w nie swoje sprawy.

- Szkoda - powtórzył Quinn.

Fernandez błysnął swoim uwodzicielskim uśmiechem.

Quinn i Pearl wymienili spojrzenia, ustalając bez słów, że wyczerpał im się zasób pytań. Powiedzieli to Fernandezowi i podziękowali mu za poświęcony czas.

- Przykro mi, że nie mogłem państwu pomóc - powiedział, gdy opuszczali jego mieszkanie.

- Tego jeszcze nie wiemy - odpowiedział Quinn.

- Co o tym sądzisz? - zapytała Pearl, gdy wyszli na rozgrzany chodnik.

- Fernandez mógł widzieć mordercę - odpowiedział Quinn. - Albo wszystko sobie zmyślił.

- Podejrzewasz go?

- Nie bardzo. Dozorcy lubią węszyć. Może i trochę nakłamał, żeby chronić własny tyłek, ale moim zdaniem - po prostu znalazł ciało. I tyle. Jak już Harold i Sal sprawdzą jego alibi na czas poprzednich morderstw, będziemy mogli skreślić go z listy.

- Nie sprawia wrażenia mordercy - powiedziała Pearl. - Broni go moja intuicja.

- Moja też.

Szli chodnikiem w stronę budynku, na którego podwórku popełniono morderstwo.

Mundurowego sprawdzającego wchodzących już nie było, podobnie jak radiowozów i furgonetki techników kryminalistycznych. Odjechał też ambulans. Ann Spellman podróżowała do prosektorium, gdzie ze swoim wnikliwym profesjonalizmem zbada ją Nift, mały paskudny medyk, który pewnie niedługo będzie miał dla Quinna nowe wieści. Renz pilnował, żeby śledztwu nadać najwyższy priorytet.

Zamyślony Quinn postukał palcami o zawinięte w folię kubańskie cygaro, które skrywał w kieszeni koszuli. Kiedy zdał

sobie sprawę, co robi, szybko opuścił rękę. Wcześniej miał nadzieję, że znajdzie w ciągu dnia chwilę, aby w samotności je wypalić. Nie spodziewał się, że Ann Spellman pokrzyżuje mu plany. Miał ochotę zapalić teraz, w samochodzie, kiedy już odjeżdżali, ale rozsądek zwyciężył. Pearl trafiłby szlag.

- Chciałabym wiedzieć, kim była ta kobieta przy wejściu do budynku - powiedziała Pearl.

- O ile w ogóle ktoś taki był.

Kiedy dozorca bloku Ann Spellman wpuszczał ich do jej mieszkania, zarówno Quinn, jak i Pearl zauważyli, że drzwi przy końcu korytarza uchyliły się o kilka centymetrów, a potem zamknęły. Ktoś chciał rzucić okiem na śmierć.

A jednak sąsiedzi, gdy przychodziło do przesłuchania, przeważnie nie chcieli się angażować i niewiele mieli do powiedzenia.

Quinn odprawił dozorcę i zamknął za nim drzwi, chociaż ten sprawiał wrażenie, że bardzo chce zostać. Quinn zaczął się przez to zastanawiać, czy na pewno dozorca wcześniej nie rozglądał się po mieszkaniu. Nagłościone przez media morderstwo działa na ludzi w dziwny i specyficzny sposób. Gdy dozorca dowiedział się, że Ann Spellman zamordowano - i to okrutnie - mógł nie oprzeć się pokusie przejścia po uświęconym zabójstwem dywanie i parkiecie czy ceremonialnego dotknięcia przedmiotów osobistych, których niedawno dotykała zmarła.

Z mieszkania nie wywietrzała atmosfera brutalnej śmierci, jakby Ann posępnie snuła się po nim, nieskłonna do odejścia. I Quinn, i Pearl wiedzieli, że drugie też to czuje, więc powstrzymali się od komentarzy. W ciężkim powietrzu rozchodziły się jedynie dobiegające z za okna hałasy ruchu ulicznego.

Wzięli się do roboty, ostrożnie rozglądając się po mieszkaniu, bez pośpiechu, ale i bez ociągania. Znający swój fach profesjonaliści.

Nie znaleźli komputera, ale na małym stoliku obok biurka stała drukarka marki Lexmark. Na podkładce na biurko pozostało

wgłębienie sugerujące, że mogła regularnie służyć jako podstawka pod laptopa, jeśli akurat nie został zabrany w podróż.

Zawartość biurka ujawniła, że należąca do Ann Spellman karta kredytowa Visa zadłużona jest na tysiąc sześćset dolarów i że Ann pracowała w Clinton Industrial Designs z siedzibą na Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy, przy Drugiej Alei.

Gdy uzupełnili tę informację lekturą listów i notatek osobistych, dowiedzieli się, że niedawno została zwolniona i że miała romans ze swoim szefem, niejakim Louisem Gainerem.

Ty łajdaku! Ty łajdaku! Ty łajdaku! - nabazgrane długopisem słowa widniały na wierzchu bloczka kartek samoprzylepnych. Quinn zaryzykowałaby zakład, że epitety odnosiły się do Louisa Gainera. Romans musiał się gwałtownie skończyć, i to niedawno, bo Ann zerwałaby wierzchnią kartkę, gdyby korzystała z bloczka.

Kuchnia była schludna i czysta, nie licząc wciśniętego do kosza na śmieci pustego pudełka po pizzy na wynos i okruszków rozsypanych na posadzce z ceramicznych płytek.

Nieskazitelnie czysta kuchenka i spartańska zawartość lodówki wskazywały, że Ann Spellman często zamawiała gotowe posiłki lub jadła na mieście. Zabiegana kobieta sukcesu.

Aż do ostatniej nocy.

W szafce na lekarstwa nie było nic godnego uwagi. Tylenol, częściowo wyciśnięta tubka pasty do zębów, nici dentystyczne, buteleczka na tabletki zawierająca przeterminowany antybiotyk, miętowy płyn do ust. Na górnej półce leżało kilka pigułek po stosunku. Ann Spellman była ostrożna, ale niewystarczająco. Pigułki zapobiegające spłodzeniu nowego życia nie zapobiegły śmierci.

Drzwi szafy odsłoniły garderobę typową dla kobiety na stanowisku kierowniczym średniego szczebla: szerokie spodnie,

żakiety, skromne bluzki, co najmniej pół tuzina par butów na wysokim obcasie. Dominowała czerń. Zauważyli oczywiście niezbędną czarną suknię z cienkimi ramiączkami i dekoltem na plecach tak dużym, że suknia zsuwała się z wieszaka, kiedy Quinn muskał ją ręką.

Poza tym w szafie były wytarte dżinsy, para zdartych adidasów i niebieskie sandały marki Crocs - bez wątpienia swobodny strój na weekend. Ann Spellman miała niewiele tego typu ubrań - przeważały klasyczne oficjalne kreacje. Kosztowne, choć nie od najgłośniejszych projektantów. Być może rzeczywiście była tak zdolna, jak twierdził dozorca Fernandez, i miała - zanim ją zwolniono - w miarę odpowiedzialną pracę.

W szufladach komody nie znaleźli nic specjalnie interesującego. Najniższa skrywała za parą kolejnych spodni z materiału, starannie poskładanymi dżinsami i T-shirtami stringi w tygrysie cętki i wibrator w kształcie penisa. Wielkie mi coś. Żadnych pejczy, łańcuchów, skórzanej bielizny - nic z tych rzeczy.

Na półeczce pod blatem nocnego stolika leżały dwa kryminały Roberta B. Parkera oraz album ze zdjęciami domów zaprojektowanych przez Franka Lloyda Wrighta. Okładkę albumu zdobiła stara czarno-biała fotografia architekta - wyglądał na niej na zachmurzonego.

Jakby wiedział, co spotkało Ann Spellman.

- Miała bardzo dużo stringów - powiedziała Pearl znad komody, której szuflady ciągle były otwarte.

- Wiele kobiet to nosi? - zapytał Quinn. - Wyglądają na cholernie niewygodne.

- Nigdy nas to nie powstrzymywało - odparła Pearl. - Ale dokładnej liczby ci nie podam. Nie czytuję ankiet. Wiem w każdym razie, że w sklepach jest tego od groma. Faceci lecą na laski, które

lubią takie rzeczy.

- Takie ankiety czytujesz?

- Przeprowadzają je regularnie w barach dla samotnych w całym mieście.

- Hmm...

- Zmierzałam do tego - powiedziała Pearl - że majtki Ann Spellman były na nią o rozmiar za duże.

Quinn znieruchomiał i czekał na ciąg dalszy, choć spodziewał się, co usłyszy.

- No właśnie - rzekła Pearl. - Pasowałyby na Macy Collins. Wszystkie majtki Macy miały ten rozmiar.

Quinn sam powinien na to wpaść. Daniel Danielle zwykł zostawiać na zwłokach majtki ofiar poprzednich zabójstw. Żeby zachować ciągłość, jak powiedział specjalista od profili psychologicznych z Florydy - a to mogłoby sugerować, że morderca cierpi na nerwicę natręctw.

Który z nich na nią nie cierpi?

- Przeliczyłam majtki - powiedziała Pearl - i moim zdaniem mamy pięćdziesiąt procent szans, że następna ofiara będzie miała na sobie stringi takich rozmiarów, jak wszystkie w tej szufladzie.

- Obstawiałbym, że sześćdziesiąt - mruknął Quinn. - Jakoś musiało ją rajcować noszenie stringów pod eleganckimi biznesowymi strojami.

- Połowa kobiet w Nowym Jorku tak robi - stwierdziła Pearl.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak wychodzi z ankiet.

- A kto je wypełnia?

- Mężczyźni.

- No tak.

Quinn podparł brodę dłonią i rozejrzał się po pokoju. Wydawało

się, że Ann Spellman była zupełnie normalna, o ile w ogóle istniała definicja normalności. Quinn nie znalazł nic, co by sugerowało, że się narkotyzowała, żadnych poważnych akcesoriów sado-maso ani ostrej pornografii. Nic w jej życiu nie zapowiadało niebezpieczeństwa.

Może poza niedawnym zwolnieniem z pracy i rozstaniem z Louistem Gainerem.

Quinn zastanawiał się, co nastąpiło jako pierwsze.

Ty łajdaku! Ty łajdaku! Ty łajdaku!

Mordercy od zawsze sprawiało przyjemność espresso sączone na powietrzu przy stoliku którejś z miejskich restauracji z ogródkiem. Ta, o nazwie Spirit, znajdowała się na Upper West Side. Szeroka markiza musztardowej barwy zapewniała cień, a dwa stojące wentylatory dawały coś, co nawet można było nazwać nawiewem. Za czarną żelazną barierką, po chodniku, którego wąski pas odgradzał ogródek od ulicy, regularnie przemykali przechodnie.

Miło było tak siedzieć i obserwować ruch uliczny na Amsterdam i spieszących się Bóg wie gdzie ludzi. Nie zebrał się jeszcze zwykły w porze lunchu tłum i w restauracji było niewielu klientów. Trzy stoliki dalej pochylali się ku sobie mężczyzna i kobieta, mocno zaangażowani w rozmowę. Kobieta, u której stóp leżał mały kudłaty pies, miała jasne, upięte do góry włosy i zbyt duży nos, przez który wydawała się nieładna. Jej towarzysz także był blondynem. Włosy związał w cienki koński ogon, a ubrany był w dzinsy i niebieską drelichową koszulę bez rękawów, założoną na biały T-shirt. Pili piwo z zielonych butelek.

Niedaleko siedział łysiejący mężczyzna - przy nodze krzesła położył niebieski plecak - a kawałek dalej dwaj starsi panowie z długimi siwymi brodami. Grali w szachy.

Wysoki szczupły mężczyzna przy kolejnym stoliku sączył coś, co

wyglądało na mrożoną herbatę, i podjadał orzeszki z ceramicznej miseczki.

Morderca spojrział znad otwartego netbooka na szklany blat swojego stolika.

Orzeszków nie było. Nie było ich też na pozostałych stolikach. Doszedł do wniosku, że trzeba o nie poprosić. Przesunął palcami po touchpadzie, klikając kursorem kolejne strony portalu RomancerMate.com, jednego z wielu, które obiecywały mężczyznom poznanie samotnej kobiety o dowolnym typie urody. Traktował to jak przeglądanie katalogu z ofertą produktów.

Morderca oceniał portal jako niezwykle zajmujący. Technologia cudownie się rozwinęła. Inni mieli problemy z nowymi urządzeniami lub aplikacjami, które przebijały się na rynek, ale nie on. Jakby urodził się przed komputerem.

- Czy mogę prosić o orzeszki?

Kelner skinął głową i zniknął wewnątrz restauracji.

Morderca skierował uwagę na grających w szachy brodaczy. Obydwaj przekroczyli sześćdziesiątkę. Przygarbieni, nie odrywali oczu od szachownicy. Jeden miał przewagę w liczbie figur. Kilka metrów dalej hałasowały samochody, wypuszczając w ich stronę kłęby spalin, ale dla szachistów istniał tylko świat pod cienistą osłoną markizy. W tym miejscu i czasie gra była dla nich wszystkim. Liczyło się tylko zwycięstwo.

Morderca uśmiechnął się mimo woli. Gracze byli całkowicie nieświadomi jego obecności. Nie zdawali sobie sprawy, że ktoś tuż obok planuje o wiele poważniejsze posunięcia i kontrposunięcia - w grze, w której stawką było życie.

I śmierć.

Po kolejnym łyku espresso morderca uśmiechnął się jeszcze szerzej. Przynajmniej wewnątrz.

Dumał nad tym, jak kobiety - gdy starannie je dobierać - wpadają w przerażenie, jak pragną uniknąć tego, co je czeka, kiedy już zrozumieją, że ktoś na nie poluje. Jak ogarnia je rozpacz.

W końcu, w pewnym momencie, mają dość. Męczy je stała czujność, zmienianie utartych tras, podwójne sprawdzanie zamków, nieustanna ostrożność, ciągły lęk. Chcą, żeby nadeszło to, co ma nadejść. Chcą mieć to za sobą i czekają, nie wiedząc, co to będzie. Czekają na niego.

Kobiety... Idealna zwierzyna na zer. Z całą pewnością Pan Bóg stworzył je ku uciesze drapieżników.

Oczywiście kiedy pojmowały, co się wydarzy, zmieniały zdanie. Ale zmieniały je za późno.

Widował takie zachowanie ofiar drapieżników w licznych programach przyrodniczych: zadyszane przerywały ucieczkę i czekały na nieuniknione, ponieważ wreszcie - na jakimś elementarnym poziomie - pojmowały, czym są i jakie jest ich miejsce. I nie uciekały dłużej. Akceptowały koniec, który z góry był im pisany.

Ale gdy kły i pazury zaczynały rwać, gdy nadchodziły ostatnie sekundy, podejmowały walkę, choć słabą i bezowocną. Ostatni, krótki zryw sił witalnych, zawsze niedostateczny.

Zdaniem mordercy ten finalny, nikły przedśmiertny wysiłek był czymś niezmiernie interesującym. Dlaczego tak kurczowo trzymały się ostatnich chwil życia? Co tak przerażającego rozumiały? Co zobaczyły? Czyżby ujrzały coś za tą ostatnią granicą? A może to stamtąd coś na nie popatrzyło?

A może właśnie nie.

Pomyślał o Ann Spellman. O tym, jak walczyła w ostatnich sekundach życia. Jak jej palce zatrzepotały w końcowym, przejmującym pożegnaniu.

Pomyślał o Franku Quinnie i jego zgrai detektywów outsiderów.
Pomyślał o Pearl.

Boże, jak kochał grę, którą z nimi toczył! Częścią umysłu obawiał się, że może nawet za bardzo. Wewnętrzny głos szeptał ostrzeżenia, ale morderca na razie je ignorował. Nie chciał używać słowa „ubaw”, bo wydawało się tak nieadekwatne do opisu emocji, których potrafił doznać. Ale, jeśli miał być szczery...

Znowu pojawił się kelner. Morderca przypomniał o sobie, leniwie unosząc rękę.

- Dostanę te orzeszki?

Nad wiadomością o śmierci Ann Spellman „The Times” zamieścił aktualne dane o fali upałów. Dziwna hierarchia, ale Quinn pomyślał, że może i dla niektórych sensowna.

Pearl została i pilnowała spraw w biurze. Fedderman, Sal i Harold rozmawiali w okolicach bloku Ann Spellman z sąsiadami, sklepikarzami i kilkoma znajomymi zmarłej, a Quinn wybrał się do Clinton Industrial Designs, żeby przesłuchać Louisa Gainera. Zostawił lincolna przed biurem QUiZ, w rzadko używanej strefie załadunkowej, i metrem pojechał do centrum, w stronę Trzeciej Alei i Lexington. Tam wyszedł z podziemi i piechotą dotarł wreszcie na Wschodnią Pięćdziesiątą Czwartą Ulicę.

Siedziba Clinton Industrial Designs mieściła się na najwyższym piętrze dziesięciokondygnacyjnego biurowca. Najniżej było biuro doradcy finansowego i pralnia chemiczna, rozdzielone drzwiami, przez które Quinn wszedł do budynku. W starej skrzypiącej windzie nacisnął guzik oznaczony dziesiątką i dźwig z zadziwiającą gładkością ruszył w górę.

Niska zaaferowana kobieta, ganiająca w tę i we w tę po recepcji, poinformowała Quinna, że Louis Gainer przyjmuje tylko umówionych gości. Quinn pokazał jej legitymację i powiedział, że mimo to chciałby porozmawiać z panem Gainerem.

Chyba nie wywarł na niej dobrego wrażenia, ale po krótkim namyśle pospieszyła do biurka i powiedziała coś do niebieskiego telefonu. Odłożyła słuchawkę, patrząc na Quinna i - co oczywiste - zastanawiając się nad powodem jego wizyty.

Niebieski telefon zadzwonił. Podniosła słuchawkę, coś do niej

mówiła, czegoś słuchała. Głównie słuchała.

Gdy skończyła, uśmiechnęła się i podbiegła do Quinna. Prawie sprintem.

- Pan Gainer przyjmie pana. Proszę za mną.

Żeby za nią nadążyć, Quinn musiał przyspieszyć kroku. Przeszli przez drzwi w tylnej ścianie recepcji, przemierzili wąski korytarz i - po przekroczeniu kolejnych drzwi - znaleźli się w dużym pomieszczeniu na poddaszu. Światło z okien w dachu padało na biurka i deski kreślarskie. Przy deskach, z pilnością dzieci piszących klasówkę, pracowało trzech mężczyzn i dwie kobiety. Czwarty mężczyzna, który siedział za biurkiem, podniósł się na ich widok.

Był średniego wzrostu, szczupły i umięśniony, nosił białą koszulę i krawat z poluzowanym węzłem. Miał falujące ciemne włosy, szczerą irlandzką twarz i ujmujący uśmiech, odsłaniający białe zęby.

O takich mawia się: łamacze kobiecych serc.

Quinn zastanawiał się, ile prawdy może być w tym określeniu.

Przedstawił się i - kiedy recepcjonistka już poszła - powiedział, że chce porozmawiać o Ann Spellman.

Słyszając to nazwisko, Gainer zrobił minę, jakby miał się rozplakać.

Nie rozplakał się. Skinął tylko głową i - z wilgotnymi oczami - zaprowadził Quinna do sali, którą prawie od ściany do ściany wypełniał długi drewniany stół. Z każdego jego boku ustawiono po dziesięć identycznych krzeseł, a u szczytów - wyściełane fotele obite czarną skórą. W jednym z kątów pomieszczenia stał faks i telefon, w drugim - komputer, do którego podłączony był duży płaski monitor. Ściany udekorowano zdjęciami w ramkach - przedstawiały chyba hole budynków mieszkalnych. W żadnym

holu nie było ludzi. Tylko paprocie.

Gainer usiadł w dużym skórzanym fotelu u szczytu stołu, a Quinnowi wskazał miejsce na jednym z drewnianych krzeseł po swojej lewej stronie. Próbował uzyskać przewagę?

Quinn spoczął na krześle. Zdziwił się, bo było bardzo wygodne.

- Czym dokładnie zajmuje się pańska firma? - zapytał.

Gainerowi chyba ulżyło, że nie poruszyli od razu tematu świętej pamięci Ann Spellman.

- Projektujemy i urządzamy pomieszczenia ogólnodostępne, zarówno w miejscach publicznych, jak i prywatnych, mając na uwadze w tym samym stopniu estetykę co funkcjonalność.

- Aha - powiedział Quinn i pochylił się ku Gainerowi. - Ann Spellman była jedną z waszych projektantek?

Gainer drgnął, słysząc nazwisko ofiary. Raczej normalna reakcja - byli sobie bliscy.

- Należała do naszych najlepszych projektantek. Kierowała jednym z działów wzornictwa przemysłowego.

- Ale pan ją zwolnił.

- To nie tak. Zwolnił ją zarząd. Nie mieliśmy... Nie mieli wyboru.

- Nie spełniała oczekiwań? Nie dogadywała się z ludźmi?

- Nie mogła tu dłużej pracować.

- Bo już pan jej nie chciał?

Widać było, że Gainerowi nie podoba się kierunek, w którym zmierza rozmowa.

- Chodzi panu o relacje osobiste?

- O te najbardziej osobiste.

Gainer zdawał się to rozważać. Poprawił się w fotelu.

- No cóż... Tak. Częściowo była to moja wina. Pozwoliłem, żeby sprawy zaszły za daleko. Dobrze nam było razem, ale nie było to

nic zobowiązującego. Tak to widziałem.

Myślałem, że oboje tak to widzimy. Domyślałem się, jak zareaguje na zerwanie. Zwłaszcza że kiepsko wyjaśniłem jej powody. Mogłem zrobić to lepiej.

Quinn pomyślał, że tak naprawdę Gainer mówi tylko o sobie.

- A czego jej pan nie wyjaśnił?

- Że kocham inną kobietę. Zamierzamy się pobrać. - Gainer westchnął i wpatrzył się w litą ścianę, jakby było w niej okno, a on chciał wyrzeć na zewnątrz. Pokój był jasno oświetlony, ale sztucznym światłem. W pomieszczeniu, które wyglądało na salę konferencyjną, nie było okien. - Powinien pan zrozumieć stanowisko firmy. Ja zrozumiałem.

- „Nie zna piekło straszliwszej furii...”?

- Właśnie.

- Może trzeba było powiedzieć jej prawdę - rzekł Quinn - i zobaczyć, jak zareaguje. A nuż by pana zaskoczyła i rozstalibyście się w zgodzie.

Gainer uśmiechnął się smutno.

- To rzeczywiście byłoby zaskakujące.

- Co jej pan powiedział?

- Że została zwolniona ze względów oszczędnościowych. Decyzja zarządu, niemająca nic wspólnego z jakością jej pracy.

- Jak zareagowała?

- Nawrzucała mi od gnojków. - Odetchnął głęboko. Wyglądał na zawstydzonego. - Może miała rację.

- Więc powiedział jej pan, że między wami koniec.

- Nie. Uznała, że to oczywiste. Znaczący, po tym, jak powiedziałem jej, że jest zwolniona. Myślała, że wyrzucam ją z pracy, bo chcę ostatecznie i nieodwołalnie zakończyć nasz romans. Nie pamiętam, które z nas powiedziało wprost, że to koniec. Może takie słowa w

ogóle nie padły. Ale proszę mi wierzyć - rozumiało się to samo przez się.

- Kiedy miała miejsce ta rozmowa?

- Trzy noce temu.

- I wtedy po raz ostatni widział ją pan żywą?

- Lub martwą... - powiedział Gainer.

- Gdzie spędził pan ostatnią noc?

- Noc śmierci Ann? Byłem z kobietą, którą zamierzam poślubić.

Mam rachunki z restauracji. Po obiedzie poszliśmy ze znajomymi do teatru. Podczas antraktu wpadłem nawet na dawnego kolegę ze szkoły.

- Wygląda na to, że jest pan kryty minuta po minucie.

- Jakbym to zaplanował?

- Proszę mnie nie wyprzedzać - uśmiechnął się Quinn.

- Miałem na myśli, że mogłem zapłacić komuś, żeby zabił Ann, i zapewnić sobie na ten czas alibi. Ale jaki miałbym powód, żeby ją skrzywdzić? Odeszła z firmy, odeszła z mojego życia. - Otarł z oka coś, co mogło być łzą. - Nie ma pan pojęcia, jaka rywalizacja panuje w tym biznesie. Trzeba być twardym, żeby przetrwać.

- To tak jak u mnie - powiedział Quinn.

- Faktycznie. Przynajmniej z tego, co słyszałem.

Quinn wstał.

- Chciałby pan coś dodać?

- Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Może przyznanie się do winy?

Gainer wyprostował się jak porażony prądem.

- Będę potrzebował adwokata?

- Mnie pan pyta?

- Staram się współpracować. Nie zrobiłem nic złego, nie mam nic do ukrycia. - Gainer znowu otarł oczy. - Może pan sprawdzić

moje alibi.

- Sprawdzę. - W oczach Gainera strach mieszał się z nadzieją. Facet nie miałby szans przy stole pokerowym. - Wiem, o czym pan myśli, panie Gainer. Że może powinien pan schować się za adwokatem i odmawiać zeznań. Że źle pan to rozegrał. To nieprawda - o ile był pan szczery.

- Podejrzewa pan, że zabiłem Ann? Albo że kogoś do tej roboty wynająłem?

- Nie - odpowiedział Quinn. - W tej chwili nie.

- Dziękuję - rzekł Gainer.

Quinn skierował się do wyjścia.

- Chwile mijają szybko.

Ponieważ były to ostatnie drzwi, spotkali się przed nimi.

Sal i Harold obeszlili wszystkie mieszkania w bloku Ann Spellman poza jednym - 6F.

Nie łudzili się, że akurat za tymi drzwiami usłyszą jakieś nieznane czy przełomowe informacje na temat zabójstwa.

Na skrzynce pocztowej na dole, w miejscu na nazwisko, napisane było po prostu „A.

Ackenheimer”. Kobieta, która otworzyła drzwi, nie odezwała się. Wpatrywała się w nich załzawionymi, wodnistymi oczyma. Jej brązowe włosy o mysim odcieniu były rozczochrane i współgrały z rozchełstaną workowatą koszulą nocną z flaneli - a może był to szlafrok - którą miała na sobie, mimo że było już po szesnastej.

Bliższe oględziny ujawniły, że niedawno przekroczyła czterdziestkę, choć chyba starała się wyglądać starzej. Oględziny jeszcze bliższe pozwalały zauważyć w jej oku szczególny błysk. Harold pomyślał, że gdyby wzięła się w garść, pomalowała i uczesała, mogłaby wyglądać atrakcyjnie. Chociaż nie - jednak nie.

Sal dyskretnie pochylił się ku niej, by sprawdzić, czy nie poczuje alkoholu. Zamiast tego wywęszył wędzonego łososa albo coś bardzo podobnego. Może po prostu jadła rybę na lunch, choć wyglądała, jakby była pod wpływem zupełnie innej substancji. W każdym razie nie wyczuł nic podejrzanego.

- Pani Ackenheimer? - zagaił Harold, jakby próbował ją obudzić.

- Pierwszy strzał w dziesiątkę - odpowiedziała ochryplym głosem menela.

- „A” od „Alice”? - zapytał Harold.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Absolutnie!

Harold błysnął zębami zza krzaczastego wąsa i wzruszył ramionami.

- Wiedziałem! Czasami odzywają się we mnie zdolności medium.

Potrząsnęła głową.

- W panu też? Absolutnie Niezwykła Ackenheimer - miałam taki przydomek artystyczny. Na chrzcie dali mi wprawdzie Audrey, ale były czasy, kiedy używałam imienia Alice.

- O, jest pani artystką? - ucieszył się Harold.

Sal miał tego dosyć.

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań w związku ze śmiercią Ann Spellman - zachrypiał po swojemu, jeszcze głębiej niż ona.

- Po takim przydomku można by sądzić, że żongluje pani, czy coś - nie dał sobie przerwać Harold.

Sal łypnął na niego groźnie. Ostatni potencjalny świadek, a Harold zachowuje się jak Harold. Sal był wściekły.

- Nie - powiedziała Audrey Ackenheimer. - Nie jestem artystką, choć żonglować potrafię. A o zabójstwie Ann Spellman nic nie wiem. Nie mieszka nawet... Nie mieszkała na tym piętrze. A poza tym, czy nie zginęła zupełnie gdzie indziej?

- Nie takie zupełnie - odpowiedział Sal. - Oględziny jej mieszkania i rozmowy z sąsiadami mogą podsunąć nam jakiś trop.

- Wątpię - stwierdziła Audrey Ackenheimer.

- Znała ją pani w ogóle?

- Mniej więcej raz na dwa tygodnie mówiłyśmy sobie „dzień dobry” w windzie... - Urwała, a jej spojrzenie uciekło w bok.

- Tak? - ponaglił ją Harold.

- Właśnie mi się przypomniało... W zeszłym tygodniu pomyliłam

przycisk w windzie i drzwi otworzyły się na jej piętrze. Znaczą na piętrze Ann Spellman. Z windy widać cały korytarz i zobaczyłam stojącą pod drzwiami jej mieszkania kobietę. A jak spojrziałam drugi raz, już jej nie było. Chyba Ann Spellman ją wpuściła.

- Kiedy to się zdarzyło?

- Zdaje mi się, że w środę.

- Dzień przed zabójstwem.

- Raczej wieczór - sprostowała Audrey. - Około dziewiętnastej.

Właśnie wybierałam się na umówioną kolację.

- Potrafi pani opisać tę kobietę?

- Byłam umówiona z mężczyzną.

Sal milczał, wpatrując się w nią nieustępliwie.

Audrey Ackenheimer wzruszyła ramionami pod swoją przypominającą namiot nocną koszulą, która mogła być szlafrokiem.

- Średni wzrost, średnia budowa, z tego co pamiętam. Miała na sobie lekki płaszcz przeciwdeszczowy, bo przez cały dzień mżyło. Kiedy wchodziła, odwróciła lekko twarz i mogłabym się jej przyjrzeć, tyle że... - Wzruszyła ramionami po swojemu, zbywająco.

- Drzwi windy się zamknęły - powiedział Harold.

Spojrziała na niego i pokazała zęby w uśmiechu.

- Absolutnie!

- To pani - powiedział Harold. - Ja jestem medium.

- Włosy? - zapytał Sal.

- Miała - odpowiedzieli jednocześnie Audrey i Harold i wybuchnęli śmiechem.

- Rany boskie... - wymamrotał Sal.

- Chyba brązowe, z jaśniejszych, jak moje. Ale nie jestem pewna. Te korytarze nie są najlepiej oświetlone. Zgłaszamy to dozorczy, ale nic z tym nie robi.

Sal przewertował notatki. Harold rozmawiał już z dozorcą, niejakim Druckerem, który wieczór morderstwa spędził u boku żony przed podkręconym na pełny regulator płaskim telewizorem zajmującym pół ściany. Sal czytał notatki Harolda i rozmawiali o dozorczy.

Drucker nic nie wiedział.

- Niski blondyn z pieprzykiem na czubku nosa? - upewnił się Harold.

- Tak. Rozmawiał pan z nim?

- W życiu go nie widziałem - zełgał Harold.

Audrey szeroko otworzyła oczy.

- Absolutnie niesamowite!

- To pani. Ja jestem...

- Dosyć!!! - zachrypiał Sal. Harold potrafił zmienić każde przesłuchanie w kabaret.

- Nie poznałabym tej kobiety, gdybym ją jeszcze raz zobaczyła - powiedziała Audrey Ackenheimer, widząc, że Sal się zagotował. Harold, ten sympatyczniejszy, popatrzył na nią i dyskretnie wywrócił oczami na znak, że doskonale ją rozumie. - Widywałam ją wcześniej w pobliżu budynku. Raz z daleka, jak wychodziła. Innym razem od tyłu, kiedy wsiadała do windy.

- Żeby odwiedzić Ann Spellman - powiedział Sal. - O ile była w domu.

- I tak mogła ją odwiedzić - zauważył Harold. - Upewniwszy się, że Ann nie ma w domu.

- A mężczyzna? - zapytała Audrey.

Sal przeniósł na nią wzrok.

- Co: mężczyzna?

- Widziałam faceta jak z bajki, taki trochę przysadzisty, z falującymi ciemnymi włosami. Odwiedzał ją parokrotnie, a raz

wychodzili razem, trzymając się za ręce.

- Chyba wiemy, o kogo chodzi - powiedział Sal.

- Bywali u niej inni mężczyźni? - spytał Harold.

Audrey znów odpowiedziała wzruszeniem ramionami.

- Nie powiem tak, nie powiem nie.

Ale Sala interesowała kobieta. Chciał mieć pewność, że nie była wytworem wyobraźni Audrey Ackenheimer i dozorczy Fernandeza, bo chyba tylko oni ją widzieli. Może jeszcze Teoś. Lecz koty słynęły z niechęci do współpracy ze śledczymi.

- Nie wtrącam się w prywatne sprawy innych - kontynuowała Audrey. - Biedna Ann Spellman mogła wieść życie cnotliwe jak zakonnica albo tarzać się w wyuzdanej rozpuście.

Tego nie dowiemy się nigdy.

Sal nie zgadzał się z nią, ale nie powiedział tego głośno.

Kiedy podkurczała mały palec u nogi, prawie nie bolało.

Pearl maszerowała Zachodnią Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicą w butach do biegania marki New Balance. Na długie spacery były najwygodniejsze, ale podwinęła jej się lewa skarpetka i Pearl bała się, że zrobi jej się pęcherz. Nie miała daleko, więc uznała, że niech tam.

Większość dnia minęła jej na sprawdzaniu alibi Louisa Gainera na noc zabójstwa Ann Spellman. Narzeczona Gainera wiedziała o ich związku i określiła go jako „od dawna zakończony”. Pearl nie skorygowała. Wyglądało na to, że Gainer jest niewinny, po co więc psuć małżeństwo, zanim jeszcze zostało zawarte?

Rachunki z restauracji i zeznania świadków dowodziły, że Gainer z narzeczoną był tam, gdzie twierdził, że był. Z ludźmi, których nazwiska wymienił. Dawny kolega szkolny, na którego mniej więcej w porze zabójstwa Gainer wpadł w teatralnym foyer, opisał ich spotkanie tak, jak wcześniej Gainer. Sztuka nosiła tytuł Przypadkowe spotkanie. Czegoś takiego Gainer nie wymyśliłby na alibi. Z drugiej strony, mógł mieć niebezpieczne poczucie humoru. Mógł też nie mieć go wcale.

Jeśli już czegoś się czepiać, to tego, że alibi Gainera na noc, kiedy torturowano i zamordowano Spellman, było aż zbyt doskonałe. A takie rzeczy Pearl odnotowywała sobie w pamięci.

Stajesz się cyniczna przez tę robotę, co?

Odezwał się telefon komórkowy, który Pearl zamocowała na pasku pod lekkim lnianym blezerem. Jej ręka odruchowo powędrowała w stronę dźwięku.

I zatrzymała się w pół drogi.

Pearl miała nowy telefon, z funkcją przypisywania numerom sygnałów, żeby łatwiej było identyfikować rozmówców. Przystanęła, słysząc brzmienie You Talk Too Much, starego rhythm and bluesowego przeboju Joego Jonesa z lat sześćdziesiątych. Kiedy zerknęła na wyświetlacz, zobaczyła, oczywiście, numer domu spokojnej starości Golden Sunset Assisted Living w New Jersey, gdzie mieszkała jej matka, mająca dar dzwonienia do córki w najbardziej nieodpowiednich momentach.

Nie żeby ten moment był nieodpowiedni. Ale...

Zastanawiała się czy odebrać, kiedy telefon ucichł.

Problem się rozwiązał. Przekonywała samą siebie, że właśnie miała odebrać, choć nie pałała chęcią wysłuchiwania kazań swojej matki na wszystkie możliwe tematy - od pracy Pearl do jej staropanieństwa i od staropanieństwa do pracy.

Dobrze: miała akurat wolną chwilę. Po prostu nie chciała rozmawiać z matką, a raczej wysłuchiwać matczynego monologu.

Uśmiechnęła się. Nie ma jak uczciwość wobec samej siebie.

Matka na pewno nagrała wiadomość, ale Pearl postanowiła odsłuchać ją później.

Gdy przypinała do paska telefon, na wszelki wypadek wyłączony, spojrzała przypadkiem za siebie.

Po kręgosłupie przebiegł jej dreszcz. Lekki, ale znajomy.

Coś było nie tak. Zlustrowała przecznicę, którą przemierzała. Wszystko wyglądało normalnie. Ale jeszcze przed chwilą coś jej nie pasowało. Po prostu to wiedziała. Jak wiele glin z talentem do śledzenia ludzi miała też talent do wyczuwania, kiedy sama była śledzona.

Tam!

Kobieta. Szczupła, raczej średniego wzrostu, ubrana na żółto - w

jedną z tak ostatnio popularnych letnich sukienek. Oddalała się zgrabnym krokiem od Pearl, zanurzała w ciągnące z naprzeciwka mrowie przechodniów. Nawet w jasnożółtej sukience wtopiła się w tłum. Pół przecznicy dalej zdążyła przejść przez ulicę tuż przed zmianą światła. Pearl nie miała szans, żeby ją dogonić.

Kobieta wydawała się znajoma, ale dlaczego? Odpowiedź umykała, jednak Pearl nie opuszczało wrażenie niepokoju.

Pamięć nagle zaskoczyła. Tę samą kobietę Pearl spostrzegła na peronie metra, potem w drodze do sklepu spożywczego, w którym stale robiła zakupy, i na przejściu dla pieszych przed biurem. W ciągu ostatnich kilku dni zbyt często bywały w tych samych miejscach, żeby uznać to za przypadek.

Kobieta miała talent do śledzenia, ale profesjonalistką nie była. Profesjonalistka nosiłaby stroje w neutralnych kolorach. Nie założyłaby rzucającej się w oczy żółtej sukienki.

Mimo to było w niej coś, co sugerowało, że należy traktować ją poważnie. Coś głęboko rezonującego w świadomości Pearl. Strach? Nie była pewna, co i dlaczego czuła.

A jeśli to Daniel Danielle? Niewykluczone. W końcu prawdziwy Daniel Danielle zmieniał się czasem w Danielle Daniel - z pozoru stuprocentową kobietę. Zniknął ostatecznie lata temu, podczas huraganu na Florydzie, i później nigdy już go nie widziano. Został oficjalnie uznany za zmarłego. Jedną z największych klęsk żywiołowych, jakie dotknęły Florydę, wykonała robotę za państwo: wyrok na Danielu Danielle'u. Wyrównała rachunki.

Oficjalnie. Pearl nie podobało się to słowo. Uznany za zmarłego morderca - albo jego imitator - działał obecnie w Nowym Jorku.

Pearl przyszła do głowy inna możliwość. Śledząca ją kobieta mogła być współniczką zabójcy, pracującą z nim i dla niego. Zbierała informacje o Pearl, żeby morderca mógł przygotować swój

ruch. Może tak samo odbywało się to poprzednio: kazał śledzić swoje ofiary, a kto wie, czy nie pozwalał im zorientować się, że na nie dybie. Doprowadzał je do szaleństwa, aż wykończone strachem gotowe były się poddać.

A on tam był, żeby przyjąć kapitulację.

Pearl przemyślała to sobie.

Przygotuj się, palancie. Bo ja jestem gotowa.

W biurze był tylko Quinn. Siedział za biurkiem i czytał coś w otwartej żółtej teczce na dokumenty. Podniósł wzrok na wchodzącą Pearl. Poznała po jego minie, że zorientował się, jak bardzo jest poruszona.

Cokolwiek czytał, odłożył to na bok i wyprostował się. Czekał. Zaczął kręcić się na obrotowym fotelu, centymetr w tę, centymetr w tamtą, powodując ciche skrzyp, skrzyp.

- To nie było ważne? - zapytała Pearl, wskazując odłożoną aktówkę.

- Raport Sala. Przesłuchiwali z Haroldem sąsiadkę ofiary, Audrey Ackenheimer.

- Coś to dało?

- Tak. Harold rozwścieczył Sala do łez.

Pearl nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Robi to od dobrych dziesięciu lat, od kiedy razem służyli w policji. A jednak w jakiś sposób tworzą zgrany zespół. Policjanci, którzy są partnerami przez lata, przypominają czasem stare małżeństwo.

- Papłasz o Salu i Haroldzie, bo coś ci zaprzęta myśli - powiedział Quinn.

Przestał się wiercić, a fotel przestał skrzypieć.

- Takie tam wrażenie. Nic konkretnego.

- Podziel się, żebyśmy oboje nie wiedzieli nic konkretnego -

zasugerował Quinn.

Opowiedziała mu o kobiecie, która prawdopodobnie ją śledziła. W połowie relacji do biura weszła Helen od profili psychologicznych. Wysoka, rudowłosa, spocona, rozsiewająca zapach estrogenów. Miała na sobie strój do biegania: bufiaste szorty, koszulkę bez rękawów z emblematem Fordham University i buty New Balance, takie jak Pearl, tylko droższe.

Zatrzymała się w pół kroku jak ktoś, kto zorientował się, że zakłócił prywatną rozmowę.

Ale to nie była prywatna rozmowa. To była część dochodzenia.

Quinn skinął głową, odczytując myśli Pearl, a ta zaczęła od początku.

- Jesteś pewna, że nie poniosła cię wyobraźnia? - zapytała Helen po wysłuchaniu opowieści do końca.

- Jestem. Kobieta była zbyt drobna, to nie mógł być Daniel. Za to nie jestem pewna, ile sensu mają moje spekulacje co do przyczyn. Bo co - kobieta śledzi dla mordercy potencjalną ofiarę?

- Sens w tym jest - powiedziała Helen. - Zwłaszcza jeśli śledzona kobieta ma być kolejną ofiarą. Wiemy, jacy czarujący i podstępni potrafią być seryjni mordercy. Wiemy też, że jesteś w jego typie. Czyli: możliwe, że ta kobieta cię szpieguje, zbiera o tobie informacje i przekazuje je mordercy.

Wściekła Pearl mogłaby zionąć ogniem.

- Co ja jestem? Małolata, która gubi majtki, bo jakiś przystojniak odrobił lekcje i poznał jej znak zodiaku?!

Quinn kręcił się na swoim fotelu obrotowym w tę i we w tę, czyniąc rytmiczne, prawie niesłyszalne popiskiwanie. Robił się przy tych babach nerwowo.

- Jakoś mi to nie pasuje.

- Ciekawe - powiedziała Helen - że intuicja podpowiada coś

innego Pearl, a coś innego tobie.

- Nie twierdzą, że intuicja mówi mi, kto i dlaczego mnie śledził - odparła Pearl. - Powiedziałam tylko, że ktoś mnie śledził.

- Kobieta - uzupełniła Helen.

- Nasz morderca nieźle nas zna - powiedział Quinn. - Musiał wiedzieć, że Pearl spostrzeże ogon.

Helen skrzyżowała ramiona i wygodniej oparła się o biurko, czy raczej - ze względu na swój wzrost - wygodniej na nim przysiadła.

- Och, jemu wszystko jedno, czy ogon został dostrzeżony. Mogło mu nawet o to chodzić.

- Żeby Pearl wiedziała, że ktoś na nią czyha?

- Żebyś ty to wiedział.

- Gra.

- Jak najbardziej, gra.

- Jeśli mnie zabije - powiedziała Pearl - gra się skończy.

- Może nie dla niego - rzekła Helen. - Zabicie ciebie może uważać za sposób na zwiększenie determinacji przeciwnika, a co za tym idzie, na uczynienie gry bardziej interesującą.

- Nadal coś mi tu nie pasuje - powiedział Quinn.

- Może w którymś momencie każdej swojej ofierze pozwala się zorientować, że jest prześladowana - powiedziała Helen. - Może czerpać z tego przyjemność. To wcale typowe.

- On nie jest typowy - zauważył Quinn.

Helen skinęła głową. Wstała z miejsca, prostując ponad metr osiemdziesiąt swojego ciała. Quinn po raz kolejny zaskoczył jej wzrost.

- To prawda.

- Prawdą jest coś jeszcze - powiedziała Pearl.

Popatrzyli na nią oboje.

- Wybrał sobie nietypową ofiarę.

Jody Jason nie miała pojęcia, dlaczego profesor Pratt chciała spotkać się z nią właśnie tutaj, chociaż musiało wiązać się to z ich ostatnią rozmową na temat jakiejś fundamentalnej zmiany w życiu dziewczyny. W gruncie rzeczy Jody nie była zaskoczona, że Elaine Pratt wybrała to miejsce. Musiała wiedzieć, że ze wszystkich miejsc w kampusie Jody preferowała tę oddaloną oazę, sprzyjającą nauce i wyciszeniu. I dyskretnym rozmowom. Wiedzieć o takich sprawach - to pasowało do profesor Pratt.

Siedząc na betonowej ławce ocienionej przez strzelisty pięćdziesięcioletni dąb, Jody miała imponujący panoramiczny widok na kampus Waycliffe. Zielone, wypielegnowane czworoboki trawników, a między nimi betonowe deptaki; bliźniaczo przycięte drzewa; studenci wyciągający się na trawie, obecnie nieliczni; wokół trawników ceglane budynki, obudowane drewnianymi kratownicami, po których piał się bluszcz... Całość wyglądała jak obraz impresjonisty.

Choć popołudnie było gorące, utrzymywał się lekki wiatr. W cieniu szeleszczącej na wietrze gęstej korony dębu panował przyjemny chłód.

Jody często siadała na tej właśnie ławce, kiedy chciała poczytać, i zawsze zdumiewało ją, że nie ma na niej ptasich odchodów. Nie było ich też - z tego co widziała - na żadnej gałęzi. Może tutejsi ogrodnicy używali jakiegoś specjalnego środka chemicznego, który skutecznie odstraszał ptaki. A może ptaki po prostu wiedziały, jak wypada zachowywać się na terenie szacownej uczelni.

- Przyszłaś wcześniej - odezwał się kobiecy głos.

Jody podniosła głowę i zobaczyła, że profesor Pratt podeszła do niej niepostrzeżenie, z boku.

- Taki ładny dzień - powiedziała Jody. - Pomyślałam, że czekając, posiedzę sobie chwilkę.

Elaine (jak Jody nieformalnie nazywała w duchu profesor Pratt) rozejrzała się i uśmiechnęła.

- Piękne miejsce. I użyteczne. Piękno często bywa użyteczne.

Jody przesunęła się, robiąc miejsce Elaine, ale ta wolała stać.

- Mam nadzieję, że nic nie schrzaniłam - powiedziała Jody.

Elaine wyglądała na zdumioną.

- Skąd taki pomysł?

- Bo... Bo to takie dyskretne, odosobnione miejsce. Pomyślałam, że... Sama nie wiem, co pomyślałam.

- Że wybrałam to miejsce, nie chcąc, żeby ktoś usłyszał, jak na siebie wrzeszczymy?

- Nie, nie - powiedziała Jody z uśmiechem. Może Elaine chodzi o coś zupełnie innego? Może zamierza poczynić kroki dyscyplinujące? A nuż wie, że Jody wymykała się z kampusu, żeby zwiedzać miasto po zmroku? Albo że na dorocznych obchodach rocznicy Waycliffe kopnęła w krocze pchającego się z łapami profesora nadzwyczajnego?

Czego ona chce? Bo żadna z możliwych opcji mi się nie podoba.

- Zastanawialiśmy się nad tobą z rektorem Schuellerem - powiedziała Elaine. Jakby wiedząc, że Jody zżera ciekawość, specjalnie zwlekała z przejściem do sedna.

O-o! Nie zanosilo się na nic dobrego.

Elaine milczała. Jody była pewna, że dla spotęgowania efektu. Czeka ją reprimenda?

Ostrzeżenie, żeby w przyszłości zachowywała się lepiej?

W tle powinna brzmieć potęgująca napięcie muzyka.

Nagle Jody poczuła złość. Rozumiała już reguły gry, przybrała więc wyraz twarzy, który mówił „nie mogę się doczekać”. Niech sobie Elaine myśli, że Jody wije się z niecierpliwości, choć tak naprawdę zaczynała się nudzić i nawet nie interesowało ją za bardzo, dokąd zmierza ta rozmowa. Waycliffe nie było jedyną uczelnią na świecie.

- Zostałaś przyjęta na praktyki do kancelarii Enders i Coil - oświadczyła Elaine.

Jody nie musiała udawać zaskoczenia. Dwa miesiące temu napisała - ot tak, rutynowo - krótkie podania o praktyki letnie do kilku ważniejszych nowojorskich kancelarii prawniczych, ale nie miała wielkich oczekiwań. Dostać się na praktyki nie było łatwo.

Zwykle trzeba było mieć znajomych, którzy mają znajomych... itd. Chyba że...

- Zajmę miejsce Macy Collins - domyśliła się Jody.

- Ktoś musi - odrzekła Elaine Pratt.

Zaczęło się lato, a Jody nie miała na oku żadnych praktyk. Porzuciła nadzieję - w końcu i tak była to loteria. Aż tu nagle, tak późno, została przyjęta. A powodem było morderstwo.

- Czyjaś tragedia jest łutem szczęścia dla kogoś innego. W życiu często tak bywa.

Unieś miecz i walcz, Jody.

- Zabrzmiało to jak... starorzymska maksyma.

- Rzymianie wymyślili wiele mądrych rzeczy - powiedziała Elaine Pratt. - Macy Collins jest obojętne, jaką decyzję podejmiesz.

Jody chciałyby wiedzieć, jakie były obowiązki Macy w kancelarii i jak sobie z nimi radziła. Oczywiście pytania, które łatwo zadać, a na które dużo trudniej odpowiedzieć. Zdając sobie z tego sprawę, Jody ich nie zadała.

Elaine odgadła jej myśli i uśmiechnęła się. Dobrze się

rozumiały.

- Nalegałam na twoją kandydaturę - powiedziała Elaine. - Rektor zgodził się i zarekomendował cię w kancelarii.

W to Jody mogła uwierzyć. Podejrzewała, że Elaine i Schuellerą łączyły jakieś specjalne relacje. Nie romantyczne albo seksualne... ale coś między nimi było. Kto wie, może łączyła ich jakaś perwersja, choć akurat tego Jody nawet nie próbowała sobie wyobrazić.

Może rektor zabierał Elaine na wyprawy swoim samolotem, a tam...

Twarz Jody rozciągnęła się w szerokim uśmiechu - tylko częściowo udawanym.

- Dziękuję! Bardzo dziękuję! Pani i rektorowi.

- Zapracowałaś na to. Siedziba Enders i Coil mieści się na Manhattanie, ale nie będziesz musiała dojeżdżać. Praktyki oczywiście nie są płatne, ale przysługuje ci skromne mieszkanie w pobliżu firmy.

- Na Manhattanie?

- Naturalnie.

- Cudownie! - zawołała Jody, całkowicie szczerze. Mieszkanie na Manhattanie! O kurczę! To naprawdę może się przydać. Ze studenckiej pożyczki trochę jej zostało - powinno wystarczyć na ubrania i jedzenie. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Elaine nabrała powietrza w płuca, głośno odetchnęła i klasnęła w dłonie.

- To co, umowa stoi?

Pora trochę skomplikować tę grę.

- Pani profesor, ja bardzo przepraszam, ale czy mogłabym rozważyć tę propozycję?

Elaine omal nie parsknęła śmiechem ze zdziwienia, ale udało jej

się zachować neutralny wyraz twarzy. Zmienacka zmienił się układ sił: teraz górą była Jody. A jeśli, po tym jak Elaine forsowała jej kandydaturę, Jody odrzuci propozycję? Jak przyjmie to rektor Schueller? Jak zareagują u Endersa i Coila? Jak wpłynie to na karierę profesor Pratt?

- Mogłabyś zadeklarować się do jutra? - zapytała, pilnując się, by nie zadrżał jej głos.

Jody zastanawiała się przez kilka długich sekund. Kontrolowała sytuację i chciała, żeby Elaine to odczuła. Po czym skinęła głową.

- Jasne. Pasuje.

- Mnie też - odpowiedziała Elaine.

Uściskała Jody mocno, gdy ta podniosła się z ławki.

Jody znów usiadła i obserwowała oddalającą się sylwetkę profesor Pratt, zmieniającą kształt w plamach cienia dłużących się na zielonych czworobokach.

Nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Przed oczami stało jej - w najlepszym stylu forów internetowych - wielkie „WTF?”.

Wrotek Deena Vess miała powyżej uszu. Najgorszy był ból kolan i kostek. W Roller Steak, restauracji, w której obsługiwała klientów, wszyscy kelnerzy jeździli na wrotkach.

Gwarantowało to szybszą obsługę i - niekiedy - widowiskowe kolizje.

Lubiła swoją pracę, poza tym płacili na tyle dobrze, że stać ją było na mieszkanie na najwyższym piętrze sześciokondygnacyjnego bloku na manhattańskiej Lower East Side.

Rozwód z Dannym - palant jeden! - dostała w zeszłym miesiącu w Chicago i tego samego dnia zatrudniono ją w Roller Steak.

W Nowym Jorku nie było tak ciężko, jeśli na początku miało się trochę szczęścia.

Radzono jej, żeby nie przeprowadzała się do wielkiego miasta, ale Deena chciała zacząć od początku. Właśnie tutaj. Trochę nadszarpnęła swoje zasoby finansowe, żeby wynająć mieszkanie, a zaraz potem - ot tak - dostała pracę w pierwszym miejscu, do którego się zgłosiła.

Deena nie oszukiwała się, że była to tylko kwestia szczęścia. Jej wygląd na pewno pomógł. Miała wąską talię i sprężyste, kształtne nogi - cechy w oczywisty sposób ważne dla Ramona, szefa restauracji. Pomagał też wydatny biust. Być może kiedyś, w niedalekiej przyszłości, czekają ją utarczki z Ramonem, ale jeśli nie poniosą jej nerwy, nie powinna stracić pracy. Ramon, jeśli akurat nie odgrywał twardziela, żeby zdyscyplinować personel, sprawiał wrażenie porządnego faceta.

Trzeciej nocy w nowym mieszkaniu Deeny pojawiła się Caryca. Mała pręgowana kotka wcisnęła się przez okno, które Deena zostawiła uchylone na kilka centymetrów, żeby zrobić przewiew. Kotka była przyjacielska, a także przeurocza, o czym zdawała się doskonale wiedzieć. Deena lubiła patrzeć, jak harcuje albo jak się myje.

Zwierzątko wyglądało na zadbane i odkarmione, ale nie miało obroży ani identyfikatora. Deena pytała sąsiadów, ale nikt w bloku kotki nie rozpoznał ani nie potrafił wskazać jej właściciela. Nazwała ją zatem Carycą i zabrała do weterynarza na szczepienia i sterylizację. Potem kupiła nowiutką czerwoną obrożę i przymocowała do niej metalowe plakietki z informacjami o szczepieniach, z imieniem kotki i z jej nowym adresem. Deena uważała, że skoro Caryca w ciągu kilku dni zmieniła się z wyniosłej włóczęgi w dobrze sytuowaną kocią obywatelkę, to powinna być wdzięczna.

Ale kotka, oczywiście, nie przejawiała najmniejszej wdzięczności. Jeśli okazywała przywiązanie, to na swoich warunkach. Kiedy Deena wracała do domu, Caryca nie raczyła pofatygować się od razu do drzwi. Przychodziła dopiero po kilku minutach, ziewając i przeciągając się, jak wyrwana z drzemki, i wtedy nadstawiała się do pieszczot oraz przytulania.

Coraz bardziej przywiązywała się do miejsca i zaczęła sypiać z Deeną; najpierw robiła obchód mieszkania, a potem zwijała się w futrzaną kulkę w nogach łóżka.

Ale dziś, kiedy Deena wróciła z pracy i zasunęła zasuwkę w drzwiach, Caryca nie dała znaku życia.

Deena wołała kotkę po imieniu (bez większych nadziei na efekt), chodząc po małym mieszkaniu i sprawdzając okna, ale nie widziała możliwości, żeby kotka się wymknęła.

- Caryco! - zawołała raz jeszcze, wiedząc już, że to bezcelowe. -
Gdzie, do diabła, jesteś?

Nagle znowu poczuła, jak bardzo bołą ją stopy od jazdy po twardych klepkach podłogi w restauracji Roller Steak. Klapnęła na sofę, zdjęła buty, wyciągnęła nogi i poruszyła palcami u stóp. Przesuwając dłonią po gęstych czarnych włosach, rozejrzała się raz jeszcze za Carycą.

Zaczynała się niepokoić.

Wydadaj majątek na kota i masz - kocia wdzięczność. Też mi inwestycja!

Ale nie chodziło wyłącznie o pieniądze. Deena mocno przywiązała się do dumnego, ale uczuciowego zwierzątka.

Istniała możliwość, że kotkę ktoś ukradł. Zanim się wprowadziła, mieszkanie było remontowane i przez jakiś czas stało puste. W tym czasie przewijali się przez nie malarze, hydraulicy, stolarze i miejscy inspektorzy mieszkaniowi. Klucze na pewno przechodziły z rąk do rąk. Któryś z rzemieślników lub nawet kandydat na lokatora bez problemu mógł sobie taki klucz dorobić. Deena uznała, że powinna wymienić zamki. Zadzwoń jutro w tej sprawie.

Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś zakrada się do mieszkania, żeby ukraść kota. Z drugiej strony, nie widziała sposobu, w jaki kotka mogła wydostać się na własną rękę, jeśli ktoś nie otworzył jej okna lub drzwi.

Deena podniosła pilota z niskiego stolika i już miała włączyć telewizor, kiedy pod stojącym po drugiej stronie pokoju starym fotelem mignęło jej pręgowane futerko.

Caryca!

Deena uśmiechnęła się radośnie, poderwała się, zapominając o obolałych nogach, i poszła wyłowić niewdzięcznego kota.

Caryca cofnęła się głębiej, żeby Deena nie mogła jej dosięgnąć.

Deena opadła na czworaki, potem położyła się na dywanie, wyciągnęła rękę w ciemność pod fotelem i złapała za czerwoną skórzaną obrozę. Caryca zasyczała i podrapała ją.

Wstrząśnięta Deena cofnęła dłoń.

Dziwne. Caryca była wyniosła, owszem, ale nie należała do kotów drapiących lub gryzących rękę, która je karmi i pieści.

Deena stała się ostrożniejsza. Położyła się płasko, żeby dobrze widzieć, a nie działać na wycucie. Chwyliła kotkę za luźną skórę na karku i wyciągnęła ją spod fotela.

Caryca spotulniała i nie próbowała już drapać ani gryźć.

Deena pogłaskała kotkę i przeszedł ją zimny dreszcz. Uniosła ją w jednej ręce, by obejrzeć obrozę i plakietki. Ta sama czerwona obroza. Te same plakietki. Jedna z imieniem kota: Caryca, a niżej adres Deeny. Wszystko jak należy.

Ale Deena wiedziała, że to nie Caryca.

Przynajmniej nie jej Caryca. Deena uważnie zlustrowała wzór szarych pasków i brązowych plamek na futerku. Była pewna, że teraz widzi niewielkie różnice.

Szybko odstawiła kota i patrzyła, jak biegnie, żeby ponownie schować się pod fotelem.

Tak nie zachowywała się towarzyska, choć dostojna Caryca.

Wystraszona nagle Deena omiotła wzrokiem mieszkanie. Wiedziała, że jest sama, ale chciała się upewnić.

Ktoś tu był i z jakiegoś powodu podmienił koty, zastępując Carycę innym, do złudzenia ją przypominającym.

Ale po co?

Musiał istnieć jakiś powód. Przecież to szaleństwo!

To ta ostatnia myśl ją przestraszyła. Może i było to szaleństwo. Albo ogarniało ją, albo ktoś szalony dokonał tej podmiany.

Ktoś zrobił jej dowcip? Nie wyglądało na to. W Nowym Jorku znała niewiele osób, a już na pewno nikogo o tak chorym poczuciu humoru.

Ktoś tu był w godzinach jej pracy. Co robił? Co oglądał? Czego dotykał?

Zadrzała na myśl, że bardziej przejęła się intruzem w mieszkaniu, niż zmartwiła utratą Carycy.

Prawdziwej Carycy pewnie już nigdy nie zobaczy. Pocieszała się, że była kotem, który potrafi sobie poradzić - wojownikiem w miejskiej dżungli.

Deena nakazała sobie spokój. Może istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie. A jeśli nie, powinna się zachowywać tak, jakby istniało. Nie wiedziała, co się dzieje, ale zamierzała sobie z tym poradzić. Czyż nie uporała się niedawno w Chicago z paskudnym rozwodem?

Chicago... Też dżungla.

Trzeba myśleć rzeczowo. Deena pewna była jedynie tego, że ma w domu kota, choć nie była to Caryca. Weszła do kuchni i wyjęła z szafki puszkę kocięj karmy z wątróbką. Gdy wcięła się w nią elektrycznym otwieraczem, odruchowo spojrzała w stronę kuchennych drzwi, oczekując dostojnego nadejścia Carycy.

Kot nie przyszedł.

Wyłożyła całą zawartość puszek do stojącej na podłodze ciężkiej ceramicznej miski.

Intensywny zapach z pewnością wywabi płochliwego kota z kryjówki pod fotelem.

Kot nie przyszedł.

Napełniła szklankę pod kranem i przelała wodę do miski stojącej obok miski z karmą.

Potem przeszła na drugi koniec kuchni i czekała.

Kot nie przyszedł.

Rozdzwonił się telefon na kuchennej ścianie, więc Deena do niego podeszła. W połowie drugiego dzwonka szybkim ruchem zdjęła słuchawkę z uchwytu.

Po kilku sekundach usłyszała stuknięcie, a potem sygnał braku połączenia.

Deena podbiegła do małego biurka stojącego w dużym pokoju i na drugim aparacie sprawdziła numer dzwoniącego. Oddzwoniła i czekała na połączenie.

Po piątym dzwonku usłyszała w słuchawce niepewne męskie „halo”.

- Kim jesteś, do cholery? - zapytała.

- Tego, paniusiu, nie musisz wiedzieć. Z kim rozmawiam?

- Cholernie dobrze wiesz z kim.

- To telefon w budce, kretynko. Zadzwoił, to odebrałem. Pomyślałem, że ktoś może potrzebować pomocy. Jesteś w niebezpieczeństwie?

Deena nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Halo? Jesteś w niebezpieczeństwie?

Deena odłożyła słuchawkę.

Ktoś robił jej to z premedytacją.

Ktoś chce mi namieszać w głowie.

Dla zabawy?

Z innego powodu?

Gdzie dzwoni się w sprawie zaginionego kota, który wcale nie zaginął?

Uznała, że w ogóle się nie dzwoni. Nie miała dokąd zadzwonić po pomoc. Kto by jej uwierzył?

Jesteś w niebezpieczeństwie?

Nie wiem. Jestem?

Biuro QUIZ o dwudziestej pierwszej piętnaście.

Duszne, mimo grzechoczącego klimatyzatora, zamontowanego w oknie z żelaznymi kratami; oświetlone żółtym światłem padającym ze stojących na biurkach lamp.

Rozmawiali o morderstwie.

Rozparty na swoim fotelu obrotowym Quinn splótł dłonie za głowę, słuchając relacji Sala i Harolda o tajemniczej kobiecie, którą widywała Audrey Ackenheimer, sąsiadka Spellman z tego samego bloku.

- Dlaczego oni to robią? - na głos zadumał się Quinn.

- Pytasz, dlaczego zabijają ludzi? - upewnił się Harold.

- Nie. Pytam, dlaczego sąsiedzi zawsze zbyt późno przypominają sobie to, co istotne, a i tak nigdy nie pamiętają twarzy ewentualnych przestępców.

- Gdyby je widzieli, może by pamiętali.

Quinn przyjrzał się Haroldowi, który ze swoją lekko przygarbioną sylwetką i sumiastym siwiejącym wąsem wyglądał na niedożywionego księgowego. Quinn mógł zrozumieć, dlaczego Harold działał Salowi na nerwy, ale wiedział też, że Harold jest inteligentny, a jako glina - wystarczająco twardy. Quinna intrygowało, że ktoś, kogo zupełnie by się o to nie podejrzewało, potrafi znaleźć głęboko w sobie siłę niezbędną w kryzysowej sytuacji. Mimo mylącego wyglądu Harolda Mishkina Quinn wiedział, że jest on jednym z takich ludzi.

- Kobieta była ponoć starsza od Spellman - zachrypiał Sal. - Z drugiej strony, większość trzystumilionowej populacji tego kraju

jest od niej starsza. Spellman miała dopiero dwadzieścia cztery lata.

- To zawęża krąg podejrzanych - rzekł Harold.

Quinn nie był pewien, czy to żart.

- Jakies podejrzania, kto mógł śledzić Pearl? - zapytał Sal.

- Żadnych. Ale Pearl rzadko myli się w takich sprawach. Skoro mówi, że miała ogon, to tak było.

- Może powinna mieć dwa? - zasugerował Harold.

Zrozumienie sensu tych słów zajęło Quinnowi kilka sekund.

- Proponowałem, żebyśmy na zmianę jej pilnowali. Stanowczo odmówiła. Nie chce osłabiać zespołu, który tropi seryjnego mordercę.

- Olejmy jej życzenia - powiedział Sal.

Harold wybałuszył na niego oczy i głośno przełknął ślinę.

- Powinniśmy - odpowiedział Quinn. - Ale Pearl zorientuje się, że ma drugi ogon. I w jednym ma rację: jeśli to morderca, lepiej, żebyśmy go zbyt szybko nie spłoszyli.

- Mimo to... - rzekł Harold.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - odpowiedział mu Quinn.

- Jody Jason - odpowiedziała profesor Elaine Pratt, gdy Schueller zapytał, co sprowadza ją do jego gabinetu.

Schueller nie wstał na powitanie - błędził gdzieś myślami, bawiąc się oburącz żółtym ołówkiem nr 2. Elaine zauważyła, że czubek ołówka był wyjątkowo ostry.

- Mówiłaś, że zgodziła się na praktyki u Endersa i Coila - powiedział Schueller.

- Zgodziła się. Pojechała nawet do miasta na rozmowę wstępną. Ale rozmawiałam z nią, gdy wróciła, i znów miała wątpliwości.

Schueller przez chwilę nie odzywał się. Myślał.

- Nie sądzisz, że jej niezdecydowanie wiąże się ze śmiercią Macy

Collins? Trudno byłoby ją winić. - Rektor wzdrygnął się, jakby w pokoju powiało chłodem. - Równie dobrze Macy mogła zostać napadnięta przez dziką bestię.

- Sądzę, że jej emocje nie różnią się od emocji reszty studentów - odpowiedziała Elaine. - Traktują to, jakby Macy zabił piorun.

- Adekwatne porównanie. Będą musieli przejść nad tą tragedią do porządku dziennego.

- Uda im się. Są młodzi.

Schueller dotknął czubka ołówka, jakby sprawdzał jego ostrość.

- Zatem rozbijamy się po prostu o marudny charakter Jody.

- Marudzenie nie jest w jej stylu - odpowiedziała Elaine. - Rozmawiał z nią Jack Enders, bo Coila nie było. Nie poszło mu najlepiej.

- Jak to? To chyba Jody powinna się martwić, jak jej poszło?

- Ona chyba widzi to inaczej.

Schueller się uśmiechnął.

- Co takiego Enders powiedział lub zrobił, że się zraziła?

- Jody wie, że kancelaria reprezentuje klienta, który jest właścicielem nieruchomości na obszarze trzech kwartałów dolnego Manhattanu. Starych magazynów, pustych biurowców.

I kilku podniszczonych budynków mieszkalnych. Wyburzają to wszystko, żeby postawić kompleks biurowców. Jody usłyszała, że jedna z lokatorek odmawia wyprowadzenia się, przez co nie można wyburzyć domu.

Zaniepokojony rektor zmarszczył brwi.

- Już wie o Meeding Properties?

- Niewiele. Takie sprawy bazują na zapisach prawnych i nie da się utrzymać ich w sekrecie przed pracownikami. Gdyby jej nie powiedzieli, mogłaby później nabrać podejrzeń.

- Czy sprawy dotyczące wywłaszczenia nie kończą się zawsze

tak samo? - spytał Schueller.

- Niekoniecznie. Kobieta twierdzi, że w umowie najmu ma klauzulę, która uniemożliwia eksmitowanie jej nawet w razie wywłaszczenia.

- Prawo do wywłaszczenia chyba z definicji unieważnia taką klauzulę?

- Lokatorka argumentuje, że wcale nie. Z prawnego punktu widzenia stoi na słabej pozycji, ale i tak może wstrzymać budowę na długie miesiące. Jeśli nie na lata.

- Niech ukręca łeb sprawie, składając jej ofertę.

- Wszystkie odrzuciła. Przez dwadzieścia lat mieszkała tam z nieżyjącym już mężem.

Dla niej to miejsce ma wartość emocjonalną.

- Pieniądze też mają wartość emocjonalną - zauważył Schueller. Zaczął stukać zaostrzonym ołówkiem o blat biurka, powodując ciche, rytmiczne pukanie. Kiedy zorientował się, co robi, wyjął z kieszeni fajkę z korzenia wrzośca, palcem wskazującym ubił tytoń w główce, ale jak zwykle jej nie zapalił. - Więc nasza młoda idealistka trzyma stronę starszej pani...

- Nie takiej starszej - powiedziała Elaine. - W tym cały szkopuł. O ile mi wiadomo, to prawniczka po czterdziestce. Otraskana i gotowa do walki.

- I tak stoi na przegranej pozycji.

- Dlatego Jody nie lubi Meeding Properties. - Wielka firma deweloperska była klientem kancelarii Enders i Coil. - Ale nic więcej nie wie. Tak jak oczekiwaliśmy.

- Dawid i Goliat - powiedział Schueller. - Z Jody w roli Dawida.

- Coś w tym rodzaju. - Profesor Pratt podeszła bliżej Schuellera.

- I Enders, i Coil, i Jody są po tej samej stronie, co my. Jody po prostu nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę.

Wiem, jak myślą nasi studenci. Zwłaszcza dziewczęta.

- Nie martwiłbym się zbyt, skoro tak uważasz, Elaine.

- Enders i Coil powinni tak uważać. Ty także.

- Nie musisz przejmować się moim zdaniem. Wiem, że Jody jest inteligentna. Jak diabli. Przez ten sam młodzińczy idealizm, który teraz każe jej się wahać, dojdzie w końcu do wniosku, że każdemu należy się porada prawna. W tym tkwi piękno tego systemu.

Zrozumie, że Enders i Coil to zwykli, pełnoprawni obywatele, atakowani tylko dlatego, że mają pieniądze.

- Obyś miał rację - powiedziała Elaine.

- Zorientują się, jak cennym nabytkiem jest Jody.

- I jak upartym. Jest jeszcze jedna sprawa: nie podobał jej się sposób, w jaki patrzył na nią Jack Enders.

Schueller zagryzł w zębach niezapaloną fajkę.

- Przystawiał się do niej?

- Jody uważa, że tak. A jeśli nie, to na pewno będzie próbował.

- Cóż, musi się nauczyć, jak radzić sobie w takich sytuacjach. - Rektor posłał ustnik fajki. - Wiesz co, Elaine? To ty namówiłaś mnie, żebym zarekomendował Jody Endersowi i Coilowi.

- Nie żałuję tego - odparła Elaine. - Jody jest idealistką, ale jest też bystra, zaradna i w pewien sposób cyniczna.

- A jednak przychodzisz do mojego biura z wątpliwościami.

- Chciałam, żebyś był na bieżąco.

Schueller wyjął fajkę z ust i uśmiechnął się.

- No to jestem - powiedział.

Po wyjściu Elaine Pratt siedział jeszcze przez jakiś czas, zastanawiając się, czy Jody Jason będzie pasowała do kancelarii Enders i Coil. Tak bardzo ograniczał ją idealizm! Z drugiej strony było to problemem wielu błyskotliwych młodych ludzi. Prędzej czy

później się nauczą. Im prędzej, tym lepiej.

Idealizm, zadumał się, był zmorą jego życia.

Obrócił się na krześle i wyjrzał przez okno. Chmury odpłynęły, jeśli jakieś były, i niebo stanowiło jasną, nieskalaną taflę błękitu.

Pomyślał, że to doskonały dzień na latanie. Kiedy był w powietrzu, sprawy w dole układały się w o wiele bardziej przejrzyste wzory. Zdawały się prostsze.

Latanie sprawiało mu coraz większą przyjemność.

Quinn chciał dłużej posiedzieć w biurze, więc Pearl wyszła sama.

Wieczór był przyjemnie chłodny, zatem wracała do domu piechotą. W lodówce czekały resztki pizzy, dietetyczna oranżada i sałatka domowej roboty. Pearl była przekonana, że jest tam też jeszcze nieotwarta butelka różowego wina. To powinno wystarczyć im na wieczór, chyba że Quinn będzie chciał zjeść późną kolację na mieście.

Kiedy szła wzdłuż Amsterdam, zauważyła tę samą kobietę. Już nie w żółtej sukience, ale tym razem w dzinsach i błękitnej bluzce. Spod niebieskiej czapeczki bejsbolowej wymykały się kosmyki skręconych w sprężynki rudych włosów. Zmieniła wygląd, żeby Pearl jej nie rozpoznała. Żałosne. Sposób, w jaki zatrzymała się (niby przypadkiem) przed oknem wystawowym, udając że czyta naklejone na nim ulotki agencji nieruchomości, powiedział Pearl wszystko. Nie miała wątpliwości, że kobieta ją śledzi.

Pearl przyspieszyła kroku, w czym wydatnie pomógł jej przyływ adrenaliny. Przeszła na drugą stronę ulicy, zawróciła, weszła do sklepu jednymi drzwiami, a wyszła drugimi.

Kobieta cały czas trzymała się z tyłu. Albo była na tyle zdolną amatorką, żeby nie dać się zgubić, albo chciała dać Pearl do zrozumienia, że ją śledzi - jak upierdliwy cień. Ta ostatnia opcja była niepokojąca. Tak mógł grać morderca: otwarcie zasadzał się na ofiarę, sączył w nią strach, który narastał i narastał, żeby w końcu sparaliżować.

Pearl nie była pewna, czy to ona dobrze się bawiła, angażując

cień w zabawę w kotka i myszkę, czy to cień tak naprawdę kontrolował sytuację.

Jakkolwiek by było, Pearl miała dosyć całej tej historii ze śledzeniem.

Miasto otulił mrok, ale nie aż taki, żeby kobieta straciła ją z oczu. Pearl, nie oglądając się za siebie, skręciła w boczną uliczkę. Samochody rzadko tędy jeździły, a na chodniku było ledwie kilku przechodniów. W połowie przecznicy wśliznęła się w przesmyk między dwoma budynkami mieszkalnymi z szarego kamienia.

Śledząca ją kobieta pomyśli, że Pearl za rogiem przyspieszy i - jeśli wąskie przejście miało drugi wylot - dotrze do następnej przecznicy, pozbywając się wreszcie ogona.

Najmądrzejsze, co cień mógł zrobić, to dobiec do rogu, a stamtąd prosto do następnej przecznicy, zamiast wchodzić za Pearl w ewentualną zasadzkę. Oczywiście, cień mógł też ją dogonić i śledzić w przesmyku.

Uszedłszy kilka kroków w głąb przejścia, Pearl przystanąła i czekała nieruchomo, przytulona do kamiennej ściany. Za sobą widziała ogrodzenie z metalowej siatki i kilka rzuconych jeden na drugi plastikowych worków na śmieci. Choćby chciała, nie przedostanie się do następnej przecznicy. Czyżby dała się przechytrzyć?

Sięgnęła do swojej małej skórzanej torebki na ramię i wyjęła z niej dziewięciomilimetrowego glocka.

Czekała z odbezpieczonym pistoletem. Nigdy nie wiadomo, co może wynurzyć się zza rogu.

Rozległ się nagły tupot - chyba uderzających o chodnik skórzanych sandałów - i coraz bardziej się zbliżał.

Pearl czekała.

Odgłos kroków ucichł, bardzo blisko. Pearl słyszała czyjś

przyspieszony oddech.

Nadal cicho czekała.

Kobieta wyszła zza rogu i wyrwało jej się „ach!”, gdy Pearl natarła na nią opuszczonym barkiem i przygniotła ją do kamiennej ściany. Lewe przedramię wbiła jej w gardło, a glocka wymierzyła w głowę, tak, żeby tamta nie miała wątpliwości, co to jest.

Piersią kobiety szarpały świszczące oddechy - brzmiały niemal jak skrzeczenie. Jej błękitne oczy rozszerzyły się wręcz niewiarygodnie. Niebieska czapeczka bejsbolowa z nadrukiem Metsów spadła na ziemię. Pearl pogardliwym kopnięciem posłała ją na bok.

- W tył dupa! - warknęła Pearl, zwalniając nieznacznie uchwyt i obracając kobietę twarzą do budynku. Zmusiła ją, żeby z wysoko uniesionymi, rozłożonymi rękami oparła się o ścianę, po czym serią krótkich szybkich kopnięć rozstawiła jej stopy do tyłu i na boki, tak że kobieta stała pod kątem do ściany i nie mogła wykonać żadnego gwałtownego ruchu.

- Dlaczego mnie śledziłaś? - zapytała Pearl.

- Nie śledziłam.

- Gówno prawda! - Pearl chwyciła garść rudych włosów sprężynek i pociągnęła. - Idziesz za mną od kilku przecznic. Przechodzisz przez ulicę w tych miejscach, co ja, skręcasz dokładnie tam, gdzie ja.

- Skoro tak twierdzisz.

- Twierdzę. Wczoraj paradowałaś w żółtej sukience.

- Nie. - Głos zabrzmiał gniewnie, jak u nadąsanej nastolatki.

- Tak.

- Nie mam żółtej sukienki. - Kobieta zaczęła odsuwać się od ściany, szukając wygodniejszej pozycji. Pearl mocniej ścisnęła jej włosy i brutalnie ustawiła ją tak, jak wcześniej. - Przestań! -

jękneła kobieta. - Bo pójde na policje!

- Ty pójdziesz na policje? To ja cie posadze za napastowanie funkcjonariusza!

- Chce porozmawiac z moja matka.

- Bdziesz miała prawo do jednego telefonu.

- A jaki jest twój numer?

- Gówno prawda! - powiedziała Pearl.

- Powtarzasz się - odparła kobieta.

Pearl już nie przyciskała dziewczyny o rudych włosach sprężynkach do ściany.

Zamiast tego chodziła w tę i w tę, po trzy kroki w każdą stronę, oddychając ciężko, coraz to na nią zerkając. Jej serce nie mogło się uspokoić.

Kobieta schyliła się i podniosła czapkę z emblematem Metsów, którą Pearl jej zrzuciła i odsunęła kopniakiem. Idealnie równo założyła ją na głowę i upchnęła pod nią niesforne rude kosmyki.

- Córka Cody'ego - wyjaśniła spokojnie. Spod zaokrąglonego daszka czapki patrzyła Pearl prosto w oczy.

Przeszłość napłynęła do Pearl i uderzyła ją z siłą kafara: miała dwadzieścia lat, była w ciąży i kochała Cody'ego Clarke'a, który studiował na Wydziale Muzyki New York University i utrzymywał się z grywania na saksofonie w nocnych klubach całego miasta.

Cody Clarke. Mój pierwszy. Jezus Maria!

Matka Pearl ostrzegała ją przed samodzielnym życiem w Nowym Jorku. Ostrzegała ją dokładnie przed tym, co się wydarzyło. Jakżeby Pearl mogła wrócić do rodzinnego New Jersey i wszystko wyznać? Że popełniła największy i najgłupszy z możliwych błędów?

Poprzez czas wyraźnie widziała Cody'ego, siedzącego w bieliźnie na rozłożonym na podłodze materacu, pośród zmiętej pościeli, z tą nieokiełznaną, zmierzwioną rudą czupryną.

Kaloryfer w pełnym karaluchów mieszkaniu syczał i przeciekał. Dlaczego pamiętam właśnie to?

Powiedział jej, że nie mogą się pobrać.

- Nie o to mi chodziło - skłamała. Podeszła bliżej, usiadła obok na materacu i objęli się.

- Na pewno? - zapytał.

- Co za pytanie. Pewnie, że na pewno.

- Byłaś...

- U lekarza? Tak. Potwierdził.

- Znam innego lekarza - powiedział Cody.

- Nawet o tym nie myśl!

- Dobrze. Nie będę. - Pełen zrozumienia Cody. - Za tydzień jedziemy z chłopakami w trasę do Kalifornii. - Chłopakami byli Farciarz, Joey i Tex. Farciarz grał na perkusji, Tex na gitarze basowej, Joey w zasadzie na wszystkim. Przeciętni muzycy - poza Codym, który potrafił wyczyniać cuda ze swoim saksofonem. Istnieli dzięki Cody'emu. Bez niego by nie pojechali.

- Jedź - powiedziała mu Pearl. - Nie chcę być zawadą dla twoich planów. Ty dla moich nie będziesz.

Popatrzył na nią prawie tak, jakby ją kochał.

- A jakie są te twoje plany, mała?

- Adopcja.

Objął ją mocniej.

- To może być dla ciebie trudne. Znam dziewczynę, która...

- Która co?

- Nieważne. Powiesz o tym mamie?

- Nie muszę. Domyśli się. Ale nigdy nie będziemy o tym rozmawiać. Inaczej musiałyby się mnie wyrzec.

- No co ty, Pearl!

- Urodzę to dziecko, Cody. Nawet nie próbuj mnie przekonywać.

- Nie zamierzałem. To twój wybór.

- O nic nie musisz się martwić.

- To znaczy?

- O alimenty i takie tam. Oddam dziecko do adopcji i nawet na nie nie spojrzę.

- Tu akurat możesz jeszcze zmienić zdanie - powiedział wtedy Cody.

Nie zmieniła. Tydzień później odprowadzała wzrokiem zdezelowanego volkswagena busa - Bóg wie skąd wytrzaśniętego - który zabierał Cody'ego i jego kumpli do Kalifornii.

Ktoś ozdobił cały samochód żółtymi gwiazdami. Ciągle wyraźnie jawił jej się przed oczami.

Ciągle słyszała, jak odjeżdżał. I czuła ból rozstania. Cody...

- Pearl? - Głos tamtej kobiety. Głos jej córki. Słodko-gorzka przeszłość rozwiała się.

- Tak?

- Wierzysz mi, prawda?

Wierzę ci. Śniłam o tobie. Szukałam cię przez pierwszych kilka lat twojego życia.

Gdy na ciebie patrzę, wierzę ci każdą cząstką siebie.

- Tak, chyba tak. Jak mnie znalazłaś?

- Czasem mnie nachodziło, żeby cię poszukać. W końcu trafiłam na ciebie w Internecie - przynajmniej wydawało mi się, że to ty. Pasowało do ciebie to, co znalazłam.

Wreszcie zobaczyłam cię w kampusie z tym drugim gliną.

- Z Quinnem.

- Możliwe. Domyśliłam się, że prowadzicie śledztwo w sprawie zabójstwa Macy Collins. Rozpytałam więc trochę. Dowiedziałam się, że to rzeczywiście byłaś ty.

Postanowiłam cię znaleźć i trochę za tobą pochodzić.

- Po co?

- Myślę, że z ciekawości.

- Ojca też byłaś ciekawa?

- Do pewnego czasu. Spalił się piętnaście lat temu w pożarze nocnego klubu w Holandii, a z nim tuzin innych. Robił tam za muzyka. Nigdy go nie poznałam.

Coś zapadło się w sercu Pearl. Nie spodziewała się tego. Na jej czole pojawiły się krople potu i zakręciło jej się w głowie.

- Wszystko w porządku? - zapytała dziewczyna.

Pearl wyprostowała się.

Nic nie jest w porządku. Zrzuciłaś na mnie bombę atomową. Niedobrze mi.

- Tak. Jak ci w ogóle na imię?

- Juditha Jason. Dla przyjaciół Jody.

- Juditha?!

- Ktoś musiał zapisywać moje imię tak zamaszyście, że na końcu zrobiło się „a”.

- I studiujesz w Waycliffe?

- Prawo - uśmiechnęła się Jody. - Ty łapiesz, ja wsadzam.

- Kiepski tekst - powiedziała Pearl, wierzchem dłoni ocierając pot z czoła.

- Fakt.

- Eee... Jody? A twoje dzieciństwo? Znaczy...

Jody uśmiechnęła się. Pearl zobaczyła w tym uśmiechu Cody'ego i omal nie zemdląła.

- Było w porządku. Kochałam Jasonów, a oni kochali mnie. - Uśmiech stał się szerszy.

- Podjęłaś wtedy właściwą decyzję. Słuszną.

- A oni...?

- Oboje nie żyją. Mama zmarła dwa lata temu na raka piersi.

Tata pół roku później miał wylew.

Mama, tata... Pearl nie wiedziała, czy kiedykolwiek się z tym pogodzi.

- Przykro mi, Jody.

Jody uśmiechnęła się smutno.

- Dzięki. I dzięki za to, że mogłam z nimi przeżyć tyle lat.

Pearl głęboko odetchnęła i poczuła się lepiej, jakby spadł jej z pleców ciężar, który dźwigała przez większość życia. Choć - jeśli miała być szczerą - czas zatarł poczucie winy, wywołane oddaniem Jody do adopcji. Ale teraz, obok radości i zaskoczenia, czuła... Nie, nie poczucie winy, ale coś bardzo zblizzonego.

Ani razu nie zobaczyła córki przed zabranieniem jej przez małżeństwo Jasonów.

Oczywiście nie wiedziała wtedy, jak się nazywają. Ani jak nazywa się jej dziecko. Agencja nie udzielała takich informacji. Nikt wtedy nic nie wiedział. Dawno temu Pearl uważała, że ta metoda ma sens. Do dziś nie zmieniła zdania.

Na kilka sekund ogarnął ją silny, wymierzony w Jody gniew. I minął. Przecież dziewczyna nie zrobiła nic złego - wyszła na ludzi, zaczęła szukać ojca i matki. Ojca znalazła.

A przynajmniej wspomnienie o nim.

A teraz... co? Czy działo się to naprawdę? Ten przewrót w jej życiu?

Pearl popatrzyła na Jody surowo, a ta uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami - ledwie dostrzegalnie, ale bardzo wymownie. Tak wzruszała ramionami Pearl.

- Powinniśmy pogadać - zasugerowała Jody.

- Któraś z nas musiała to powiedzieć.

- Sądziłam, że ja.

- Znam spokojne miejsce w pobliżu - powiedziała Pearl.

Lekko ujęła łokieć Jody, żeby skierować ją ku wyjściu z zaułka, i odkryła, że nie potrafi zwolnić uścisku. Po prostu nie potrafiła. Ugięły się pod nią nogi. Jody wyczuła jej drzenie i przysunęła się, żeby ją podtrzymać. Objęły się i rozszlochały.

Boże! Pearl nienawidziła takich ckliwych scen.

Deena jechała szybko, z tacą pełną jedzenia. Miała na niej głównie hamburgery: słynne (jak zapewniało menu) firmowe rollerburgery. Poza tym wiozła dwa piwa, mały koktajl z mleka i czekolady oraz dwie porcje smażonych krążków cebuli. Nie zauważyła Rolfa, który zbierał brudne naczynia ze stołów i z tacą pełną talerzy i włożonych jedna w drugą filiżanek mknął teraz do kuchni.

- Hej! - zawołał jeden z klientów, widząc, że zaraz dojdzie do kolizji.

Deena i Rolf zwrócili ku niemu głowy i właśnie dlatego zderzyli się z takim impetem.

Deena była pewna, że na chwilę straciła przytomność. Bolały ją plecy, tuż pod łopatkami. I szumiało jej w głowie. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła najpierw jeden z wolno obracających się wiatraków na suficie, a potem krąg wpatrujących się w nią twarzy.

Przeważnie wyglądały na przejęte, ale zauważyła dwóch mężczyzn i kobietę, w oczywisty sposób cieszących się jej bólem i zawstydzeniem.

Wtedy naprawdę poczuła, że ją boli. Prawa kostka zadawała katusze, a fale bólu rozchodziły się wzdłuż całej nogi.

- Może być skręcona - powiedział męski głos.

- Nie jest - odpowiedziała Deena. Może ból minie, jeśli uda jej się wstać? I może wtedy nie straci pracy. - Słyszysz pan? To nie boli!

- Musi boleć, Deeno - wiedziała, że to powiedział jej szef, chociaż go nie widziała.

- Dajcie mi szansę!

Kilka par rąk chwyciło ją, podniosło i postawiło na wrotkach.

I ból minął, chociaż kostka była jakby zdrętwiała. Ręce, jedna po drugiej, puściły jej barki i ramiona.

Przez chwilę stała nieruchomo, a potem spróbowała zrobić krok.

Ból jak wstrząs elektryczny przebiegł po jej nodze i usłyszała własny krzyk. Ciężko upadła na pupę i została tak, podpierając się łokciami. Kobieta, którą bawiło jej cierpienie, uśmiechała się teraz do niej.

Zapamiętam cię, zdziro!

- Zadzwoń na dziewięćset jedenaście - polecił komuś szef Deeny.

- Ejże! A ja? Też mi się oberwało! - To był Rolf od brudnych naczyń. Deena popatrzyła na niego. Leżał w masie potłuczonych talerzy i filiżanek, ale wiedziała, że nic tak naprawdę mu się nie stało. Stroił sobie żarty.

- Gdyby wystawała ci z nogi kość, jak Deenie - powiedziała kobieta - może potraktowalibyśmy cię poważnie.

Serce Deeny zamarło. Spojrzała na swoją kostkę. Od razu odwróciła wzrok.

I zemdląca.

Pearl nie mogła się otrząsnąć.

Sprzątanie po kolacji zajęło jej jakieś pięć minut. Resztki odgrzewanej pizzy wyrzuciła do pojemnika na odpadki organiczne, zamknęła plastikową torebkę z umyтыми produktami na sałatkę i odłożyła ją do lodówki, po czym wyrzuciła do kosza na śmieci papierowe tacki, puszki po piwie i napojach. Jeszcze szybkie przetarcie stołu mokrą ścierką i było po wszystkim. Od tej metody sprzątania lepsze było tylko jadać na mieście, bo wtedy sprzątał ktoś inny.

Siedzący na sofie Quinn miał dobry widok na kuchnię i obserwował Pearl z zaciekawieniem. Poruszała się jak robot - każdy jej ruch był celowy i odmierzony. Działała na autopilocie.

Podczas kolacji była cicha i pogrążona w myślach. Quinn zastanawiał się, co ją frapuje, bo że coś takiego było, wątpliwości nie miał. Wiedział też, że to zły moment na zadawanie pytań. Jeśli będzie chciała pogadać, dojrzeje w końcu do tego.

Wróciła do salonu i z podkulonymi nogami usiadła na rozłożystym fotelu. Światło stojących przed budynkiem latarni delikatnie sączyło się przez muslinowe firanki i tonowało blade rysy jej twarzy, pogłębiając zarazem czerń włosów i oczu. Przyglądała mu się teraz, ważąc w myślach słowa, które zamierzała wypowiedzieć. Quinn zastanawiał się, czy na pewno spodoba mu się to, co usłyszy.

- Poznałam dziś moją córkę - powiedziała.

- Hę?

- Słyszałeś.

No cóż - pomyślał. No cóż...

- Quinn?

- Słyszałem, ale nie wiem, czy dobrze.

Uśmiechnęła się z mądrością, której dotąd u niej nie widział.

- Owszem, dobrze. Opowiedzieć ci o niej?

- Może później.

Rozszerzone oczy, a później znajomy uśmiech.

- Ty draniu!

Siedział nieruchomo i słuchał uważnie, gdy opowiadała o Judicie Jason, którą przyjaciele nazywali Jody, o Codym Clarke'u, o ciąży i adopcji. O kochającej Jody rodzinie Jasonów i o tym, jak Jody odwzajemniała tę miłość.

Fart - pomyślał Quinn. Wygląda na to, że dziecku się poszczęściło.

- Miałam siedemnaście lat, Quinn. Nie znałam siebie i nie znałam świata. Przez te wszystkie lata wiedziałam tylko, że moje dziecko jest dziewczynką.

Quinn nie wiedział, co o tym myśleć. Ani co powiedzieć, poza:

- Pearl, wszystko jest w porządku.

- No naprawdę... Wielkie dzięki...

- Znaczy... No... Że to świetnie. Chyba. Ta Juditha...

- Jody. - Pearl przełknęła ślinę. - Jezu, Quinn, ona jest naprawdę świetna!

Działy tu moce, których umysł Quinna nie ogarniał. Wiedział, że musi pogodzić się z faktami, i pracował nad tym. Pearl jest mamą. Ojciec, kochanek z dawnych lat, nie żyje.

Córka, dwudziestodwuletnia dziewczyna - kobieta - jest tutaj, w Nowym Jorku.

Pearl matką...

Musiała dostrzec jego konsternację.

- Świetnie się z nią dogadasz - powiedziała. - Jestem tego pewna.

- A kiedy ją poznam?

Pearl rzuciła okiem na zegarek.

Zabrzączał domofon. Ktoś był na klatce schodowej.

- To pewnie Jody - powiedziała Pearl i wstała, żeby otworzyć drzwi.

Rany boskie! - pomyślał Quinn.

- Nie rozumiem - powiedział do żony Fedderman, chociaż rozumiał doskonale. Miał tylko nadzieję, że im coś takiego się nie zdarzy.

- Żegnaj się z tobą rano i cały dzień zastanawiam się, czy jeszcze cię zobaczę.

Fedderman skinął głową. Jak wiele innych żon policjantów.

- Wiedziałaś, że pracuję w policji, Pen. Już nawet, cholera, nie w policji - w prywatnej agencji dochodzeniowej.

- I pomyśl, co wyprawiasz, Fedziu. Tropisz najniebezpieczniejszego seryjnego zabójcę w mieście. Zmierzasz do tego, żeby znaleźć się o tej samej porze i w tym samym miejscu co on.

- Taka praca.

- Nie proszę, żebyś ją zmienił. I nie zamierzam kończyć naszego małżeństwa.

- Na razie.

- Feds, do obłądu doprowadza mnie strach, że jesteś gdzieś tam ranny lub nieżywy!

- Więc znalazłaś sobie pracę, żeby zabić czas.

- Żeby nie mieć czasu na myślenie. Czy to takie dziwne?

- Nie, chyba nie.

- Pani Culver z biblioteki powiedziała, że mają dla mnie

miejsce.

- Czyli dostaniesz swoją starą pracę.

- Prawie. Biblioteka ma teraz bogaty dział DVD.

- No tak. Nie dziwota - powiedział Fedderman, choć prawdę mówiąc, był nieco zdziwiony. Biblioteka imienia Alberta A. Aala wydawała się zbyt mała na dodatkowe działy.

Może mieli mniej książek.

- Zaczynam pojutrze - powiedziała Penny. Podeszła do niego i otoczyła go ramionami.

- Będziesz mnie w tym wspierał, Fedziu?

Odwzajemnił jej uścisk, pocałował ją w usta i popatrzył na nią z wyżyn swojego wzrostu.

- Pytanie brzmi, czy będziemy się nawzajem wspierać.

- Znam na nie odpowiedź - odpowiedziała Penny i odwzajemniła pocałunek.

Fedderman miał nadzieję, że tak jest, ale nie był do końca pewien.

- Jesteś bliżej?

- Czego?

- Namierzenia mordercy.

Na to pytanie też nie znał odpowiedzi.

Leighton, stan Wisconsin, 1986

Rory był czternastolatkiem i nie miał prawa jazdy, ale nie znaczyło to, że był złym kierowcą. W każdym razie tak sobie powtarzał. Czy Jack Smith, starszy brat jednego z kumpli, nie udzielił mu prawie dwunastu lekcji? Nawet matka Rory'ego pozwalała mu prowadzić (oczywiście, siedząc obok) po parkingu centrum handlowego Leighton. Gdy centrum było zamknięte.

Matka Rory'ego, razem z połową dorosłych mieszkańców miasta, spędzała wieczór na zebraniu obywatelskim dotyczącym planów postawienia nowej tamy. Pojechała z sąsiadem, więc jej samochód został w garażu. Dla Rory'ego była to doskonała okazja, żeby sprawdzić swoje możliwości. Swoje i samochodu. W końcu nigdy dotąd nie zdarzyło mu się prowadzić po zmroku. Nie zdziwiło go, że okazało się to równie łatwe, jak prowadzenie za dnia.

Prawdopodobnie był urodzonym kierowcą.

Był bystrym dzieckiem, nie za wysokim jak na swój wiek, ale dobrze zbudowanym.

Gdyby ktoś przyłapał go za kierownicą dużego zielonego chevroleta impali, z łatwością mógł udawać starszego. Używany trzyletni wóz matka kupiła dwa miesiące temu, wymieniając stare volvo, które miało na liczniku ponad trzysta tysięcy kilometrów. Po statecznym, solidnym volvo dynamiczna sylwetka chevy'ego była miłą odmianą.

Rory wyobrażał sobie, jak wygląda z zewnątrz. Na chłopaka z fantazją, nie inaczej!

Nacisnął przycisk i szyba od strony kierowcy opuściła się i schowała w drzwiach. Wystawił rękę przez otwarte okno, rozciągając biceps. Teraz musiał prowadzić jedną ręką, ale nie było to problemem: duży chevy niemalże prowadził się sam. Poza tym Rory znał tę drogę. Oaks Road przez jakiś czas biegła równolegle do torów, a potem oddalała się od nich w słabo zadrzewioną rolniczą okolicę.

Skreślił i odbił od torów. Tutaj ruch był mniejszy. Mało prawdopodobne, żeby ktoś go zobaczył. Strzałka prędkościomierza przesunęła się na sześćdziesiąt, na siedemdziesiąt. Na drodze obowiązywało ograniczenie do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, co oznaczało, że można jechać dziewięćdziesiątką. Stówą, jeśli nikt cię nie przyłapał.

Większość leightońskiej policji znajdowała się na zebraniu, na którym dyskutowano o tamie - nowym projekcie budowlanym władz stanu. A patrole policji stanowej prawie nigdy nie zapuszczały się tak daleko od autostrady.

Dobrze. Zatem stówą.

Rory wcisnął stopę w pedał gazu, a chevy zerwał się, jakby chciał się rozpędzić do stu pięćdziesięciu.

Nie, dziękuję - pomyślał Rory. Był ryzykantem, a nie głupcem. Człowiek powinien znać własne ograniczenia.

Minął go samochód jadący w przeciwnym kierunku.

I następny.

Mimo pełni nie widział pojazdów, tylko ich przednie światła. Teraz już nic przed nim nie jechało. Na żadnym pasie. W lusterku wstecznym też było pusto. Rozluźnił się i swobodnie usadowił na wygodnym fotelu.

Droga rozwinęła się jak czarna wstążka. Niedawno ją wyasfaltowano; opony z miękkimi plaśnięciami trafiały na spoiny.

Super! Rory'emu podobał się ten dźwięk. Ciepłe powietrze wpadało przez otwarte okno i omiatało wewnątrz samochodu. Światła reflektorów przemykały po stalowych barierkach z obydwu stron drogi, za którymi znajdował się rów.

Rory wybrał właściwą drogę. Jechało się jak z płatka.

Był tak rozluźniony, że nie zauważył średniej wielkości kudłatego psa o czarnej sierści, który wybiegł na drogę z wysokich zarośli. Spozrzegł go dopiero przed maską samochodu. Pies zatrzymał się i patrzył na niego fosforyzującymi w blasku reflektorów ślepiami.

Boże, nie! - pomyślał Rory, prostując się gwałtownie na fotelu. Ruszysz się, prawda?

Rusz się!

Pies się nie ruszył. Rozległo się głucho łupnięcie i dźwięk, który zabrzmiał jak skowyt.

Szlag!

Rory zatrzymał samochód na trawiastym poboczu. Spozrzegł, że się trzęsie.

Opanuj się!

Kilkakrotnie głęboko odetchnął i udało mu się odzyskać kontrolę nad rozdygotanymi nerwami. Powrócił bystry Rory.

Szybko obejrzał przód samochodu, ale nie zauważył żadnych widocznych uszkodzeń.

Dzięki Bogu. Matka by go zabiła, gdyby dowiedziała się, co nawyprawiał.

Wrócił na miejsce zderzenia.

Droga była pusta. Światło księżyca oświetlało ją na tyle, że Rory był tego pewien.

Może jednak nie uderzył psa i dlatego samochód nie był uszkodzony? Może to wszystko się nie zdarzyło... Czyżby to, co

widział, tylko przypominało psa? Mógł to być opos. Albo szop.

Ale na asfalcie zobaczył smugę czegoś przypominającego krew. Zrozumiał, że jednak w coś uderzył i raczej nie był to opos ani szop.

Idąc śladem krwi, zanurzył się w zarośla i w mroku za drzewami znalazł czarnego psa, który leżał na boku, dysząc i cicho skomląc.

Serce podeszło mu do gardła i znowu zaczął drżeć. Ukląkł obok psa i obejrzał ranę.

Widział białą kość, pewnie żebro, a prawa przednia łapa była niemożliwie wykręcona. Pies miał skórzaną czerwoną obrozę, ale bez identyfikatora.

Cholera! Wracaj, bystry Rory, opanowany Rory. Myśl i działaj!

Rory wyprostował się i stał w świetle księżyca, opierając pięści na biodrach. Co teraz?

Szkoda mu było psa, ale widać było, że zwierzę długo nie pociągnie. Do tego cierpiało. Mógł zabrać psa do samochodu i zawieźć do weterynarza. Był jednak pewien, że pies zostanie tam z miejsca uśpiony. Zakończyłoby to przynajmniej męczarnie zwierzęcia.

Jednak gdy go weźmie, w samochodzie zostanie krew. Matka będzie wiedziała, że Rory prowadził, mimo jej wyraźnego zakazu wyprowadzania wozu z garażu.

Pies zaskomlał i podniósł oczy na Rory'ego. Pomachał ogonem.

Rory odsunął od siebie uczucia. Jego szybki i logiczny umysł znalazł rozwiązanie.

Rozwiązanie, które będzie najlepsze dla wszystkich - włącznie z cierpiącym, zdychającym psem.

Działaj!

Nie wahał się. Odszedł o kilka kroków, do miejsca, w którym

widział spory kamień, i podźwignął go z ziemi. Kamień ważył ponad dwa kilo. Był wystarczająco duży i ciężki. Miał też ostrą krawędź.

Rory klęknął obok psa, podniósł kamień i trzy razy walnął nim w łeb zwierzęcia. Pies tylko słabo zaskomlał. Łapy mu zadrżały i zatrzepotały o ziemię, jakby biegły ku śmierci, a potem już leżał nieruchomo.

Rory realizował plan, a każda decyzja i każdy jego czyn były przemyślane i celowe.

Psa znajdują myszołowy, a ich kołowanie może zwrócić czyjąś uwagę. Wrócił do samochodu i wyjął łyżkę do opon. Używając ostrego końca wygrzebał w pobliżu psa płytki grób.

Przeciągnął tam zwierzę, zdjął mu czerwoną obrozę i wepchnął truchło do dołka. Pospieszne nagarnięcie ziemi zajęło mu tylko kilka minut; potem przysypał ją zeszłorocznymi, zwiędłymi liśćmi. Mało prawdopodobne, żeby ktoś znalazł psa, nawet jeśli myszołowy w jakiś sposób go wyczują i będą nad nim krążyć. A jeśli ktoś kiedykolwiek znajdzie szczątki, pomyśli, że psa zabił samochód, co w sumie było prawdą.

Rory wytarł zakrwawiony kamień o trawę i odrzucił go najdalej, jak potrafił. Kamień bezdźwięcznie odbił się od ziemi. Raz. Potem Rory zwinął czerwoną obrozę i rzucił ją w przeciwną stronę.

Rozejrzał się dokoła i usatysfakcjonowany wrócił do chevy'ego. Czuł buzowanie adrenaliny. I coś jeszcze: zadowolenie, że był od nich sprytniejszy. Od nich wszystkich.

Tylko on będzie wiedział, co tu się stało. To była nieoczekiwana, radosna emocja.

Stygnący silnik samochodu cykał w rozgrzanym powietrzu. Rory usiadł za kierownicą i zawrócił do domu.

Pilnował się, żeby nie przekraczać dozwolonej prędkości. Cieszył

go mały ruch.

Wątpliwe, żeby ktoś zapamiętał samochód jego matki i nastoletniego kierowcę.

W drodze powrotnej jego umysł nie przestał pracować nawet na sekundę.

Kiedy samochód stał już bezpiecznie w garażu, Rory zaczekał, aż zasuną się opuszczane drzwi, po czym wysiadł i włączył zamocowaną na belce świetlówkę. Wyczyścił szmatą łyżkę do opon i z powrotem umieścił ją w uchwycie obok lewarka. Potem jeszcze raz obejrzał prawy przód samochodu. Właśnie tam widoczne byłyby jakiegokolwiek ślady po zderzeniu. Znalazł coś jakby wgniecenie, ale ledwie zauważalne. To mógł być nawet refleks światła. Obok wgniecenia była jakaś czarna plamka, kto wie, czy nie krew. Rory wytarł ją szmatą, którą czyścił łyżkę do opon, a potem szmatę wyrzucił.

Jeszcze raz przypatrzył się wgnieceniu i miejscu, w którym była plama. Przód jak nowy, uznał. No, może raczej „jak trzyletni”, ale to mu wystarczało. Nawet jeśli matka lub ktokolwiek inny zauważy nieznaczne wgniecenie, uzna, że już tam było. Że wcześniej się je przegapiło. Wina spadnie na poprzedniego właściciela.

Rory rozebrał się i przeszedł przez drzwi łączące garaż z domem. Nie zauważył na ubraniu śladów krwi, ale i tak wepchnął koszulkę i dżinsy do pralki. Na wszelki wypadek.

Zdarzało się, że pomagał matce, piorąc swoje rzeczy. To była idealna noc na taką pomoc.

Gdy ubrania były już w pralce i uspokajająco łomotały w rytm obrotów bębna, Rory, ubrany tylko w slipy i skarpetki, usiadł przy biurku w swojej sypialni i zabrał się do odrabiania pracy domowej. W radiu FM John Cougar Mellencamp śpiewał Lonely Ol' Night,

ale Rory ledwie słyszał muzykę. Jego myśli zajmowała wyższa matematyka. Na poziomie, do którego dopuszczano tylko uczniów „z pierwszej dziesiątki”, jak mógłby powiedzieć spiker radiowej listy przebojów.

Zdarzenie z psem zdążył już odsunąć w odległe zakątki świadomości. Na dobrą sprawę mogło się nigdy nie zdarzyć, więc się nie zdarzyło. Nie, gdyby ktoś pytał Rory’ego.

Przeanalizował możliwe wyjścia z sytuacji i wybrał najlepsze dla wszystkich zaangażowanych. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego działanie było słuszne.

Nie oglądaj się za siebie. Dalsze spekulacje i rozczulania były bezcelowe. Zareagował inteligentnie, a zatem słusznie. Tyle na ten temat. Epizod z dzisiejszej nocy zakończył się, nikt nigdy o nim nie usłyszy, a wkrótce zapomni o nim także Rory.

Będzie jeszcze przejeżdżał tym odcinkiem Oaks Road, ale już wkrótce nie poświęci mu nawet jednej myśli.

Nowy Jork, dzisiaj

Kiedy Pearl podeszła do drzwi i wpuściła Jody, pierwszą myślą Quinna było, że są do siebie zupełnie niepodobne.

Potem zrozumiał, że to z powodu wyglądu Jody. Kimkolwiek ta dziewczyna czy kobieta była, stanęła jak zbląkana owieczka ze swoimi skręconymi w sprężynki rudymi włosami, które sterczały nad uszami, jakby poraził ją łagodny elektryczny wstrząs. Miała na sobie dzinsy i jasnozieloną bluzkę. Ale kiedy uważniej jej się przyjrzał - krzywiźnie nosa, kształtowi głowy, uszom, wyrazowi jej oczu - rzeczywiście zobaczył w niej Pearl. Miała duże piersi jak matka, choć poza tym była o wiele szczuplejsza od niej. Kiedy zaczęła iść w jego stronę, poruszała się krokiem Pearl.

Quinn ani drgnął. Jak mam się zachować, do cholery?

Jody zbliżała się do niego; widać było, że zbiera się na odwagę. Gdy podeszła, bez chwili wahania uściśnięła go krótko i tak mocno, że prawie ze świstem wypuścił powietrze.

Jakoś samo mu się pomyślało: Jej piersi w dotyku są takie jak u Pearl.

- Nie było czasu na długie opowieści - powiedziała Jody, uśmiechając się jak Pearl - ale do tej pory słyszałam o tobie same dobre rzeczy.

Quinn wyszczerzył zęby jak idiota. A już na pewno tak się poczuł.

- To sama prawda - odrzekł. Nie wiesz, co mówić? Dowcipkuj. Jaaasne...

- Na pewno - powiedziała Jody, odsuwając się. - Mama by nie

kłamała.

O-o!

- Nigdy w życiu - powiedział.

Ucieszył się, że Jody nie zauważyła spojrzenia, które posłała mu Pearl.

- Siadaj - powiedział. - Rozgość się. Napijesz się czegoś?

- Piwa, jeśli macie - odpowiedziała Jody.

- Jasne - odparł Quinn i poszedł do kuchni.

Słyszał rozmowę kobiet, gdy wyjmował z lodówki trzy puszki heinekena i gdy je otwierał.

- W szklance? - zawołał.

- Szklanki są dla maminsynków! - odkrzyknęła Jody. A może Pearl? Quinn uśmiechnął się. Nagle, z niejasnych powodów, spodobał mu się ten nieoczekiwany zwrot akcji. Ot tak. Pstryk! Tak to działało. Pojawienie się Jody było faktem i trzeba będzie jakoś się z nią dogadywać. Może nawet okaże się, że nie musi jej tolerować - może ją polubi.

Wrócił do pokoju z trzema piwami, niesionymi w jednej wielkiej dłoni. Jody i Pearl szybko uwolniły go od ciężaru dwóch oszronionych puszek. Quinn z szerokim uśmiechem uniósł swoją i stuknęły się w metalicznym toaście. Poczul, jak odrobina piwa spływa mu po palcach, ale miał to gdzieś.

- Witaj w niemalże rodzinie - powiedział.

Pearl uśmiechała się najszerszym ze swoich uśmiechów, kiwając głową, jakby Quinn zdał jakiś test. Zuch chłopak! - mówiło jej spojrzenie.

Zadzwonił telefon stacjonarny. Quinn podszedł do stolika przy sofie, podniósł słuchawkę i przedstawił się.

- Kapitan Quinn? - usłyszał. - Dzwonię i dzwonię na telefon komórkowy Pearl, ale zawsze słyszę kliknięcie, a potem jakąś

wiadomość, ale tylko do połowy, bo pojawia się ten okropny buczący dźwięk. Technologia pewnego dnia nas zgubi.

Quinn wyciągnął słuchawkę w stronę Pearl, ale patrzył na Jody, kiedy mówił:

- Twoja babcia.

Oczy Jody rozszerzyły się, po czym pojawił się w nich wyraz zrozumienia. Quinn nie mógł nie zauważyć, że młoda świetnie sobie radziła z nawałem nowych informacji.

Za to Pearl pomyślała: Jezu kochany!

Z ociąganiem podeszła do Quinna. Wyjęła słuchawkę z jego ręki, jakby było to żywe stworzenie, gotowe ukąsić.

Quinn słyszał ochrypy głos matki Pearl, nawet stojąc o metr od telefonu.

- Tu mama, kochanie. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy żyjesz, czy nie żyjesz, a skoro żyjesz, bo dzięki Bogu słyszę, że tak jest, to co u ciebie nowego?

- Cóż... - powiedziała Pearl, a jej nerwy wibrowały jak struny wiolonczeli. - Rzeczywiście pojawiło się coś nowego...

Penny i jej zwierzchniczka, surowa pani Culver, były w bibliotece same, nie licząc kilku osób rozglądających się po półkach i mężczyzny przy czytniku mikrofilmów w dziale naukowym. Biblioteka imienia Alberta A. Aala dotychczas nie skomputeryzowała swoich archiwów periodyków i czasopism.

Penny pchała wózek pełen zwróconych książek, które miała w odpowiednich miejscach umieścić na półkach. Dobrze знаła tę bibliotekę. Podjęcie w niej pracy było niemal jak powrót do domu.

Gdy skończyła odkładanie książek, odprowadziła wózek na jego stałe miejsce przed recepcją, gdzie w miarę oddawania kolejnych pozycji będzie znowu stopniowo zapełniany.

Pani Culver ubrana była w prostą szarą sukienkę i czarne buty

na płaskim obcasie, a szarobrazowe włosy upięła w kok. Wyglądała nienagannie, jak zwykle. Jeśli gdzieś istniała fabryka bibliotekarek, pani Culver musiała być prototypem.

A jednak w jej surowości dało się wyczuć jakąś rysę. Penny miała wrażenie, że zauważyła nieznaczne drżenie ręki, którą pani Culver wrzucała do właśnie podstawionego wózka egzemplarz Dumy i uprzedzenia. A może uderzyło ją, że pani Culver nie odłożyła książki delikatniej i nie ułożyła jej równiutko w rogu drewnianego wózka. Pani Culver czciła symetrię.

- Coś nie tak? - zapytała Penny.

- W jakim sensie nie tak?

- W takim, że nie w porządku - odpowiedziała Penny.

Pani Culver położyła obie ręce na biurku, przy którym odbierała zwroty. Wyglądała, jakby rozważała w duchu, czy Penny jest godna zaufania.

- Płyty DVD - powiedziała.

Penny patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

- W zeszłym tygodniu po raz pierwszy wypożyczyliśmy więcej płyt DVD niż książek.

- Dzieciaki je uwielbiają - powiedziała Penny. - Gry wideo z pościgami samochodowymi, strzelaninami i całą tą przemocą. To komiksy dnia dzisiejszego.

- Nie tylko dzieci je wypożyczają, poza tym tak samo jest z audiobookami. Coraz więcej ludzi słucha książek, tkwiąc w korkach albo robiąc coś innego, czemu nie muszą poświęcać całej uwagi. Przysypiając na szezlongach.

- Może i tak.

- Na pewno tak. Widzę to po coraz mniejszej liczbie wypożyczanych książek. I po coraz mniejszej liczbie stałych czytelników. Zaglądają tu okazyjnie, bo wolą zajrzeć gdzie indziej,

czyli do Internetu. Używają Wi-Fi czy jak to się tam nazywa. Mogą ściągnąć e-booka na swoje elektroniczne czytniki albo do komputerów. Penny, w tym wszystkim w ogóle nie bierze udziału papier! To tak, jakbyśmy wrócili do ustnego przekazywania historii i bajd, do opowieści, które przy ogniskach poznawały kolejne pokolenia. Czytamy tekst na monitorze, a jego sens rejestrujemy w pamięci, tak jak dawniej rejestrowano sens tamtych historii. To tylko impulsy elektroniczne! Po usunięciu z komputera przestają istnieć! Coraz mniej jest prawdziwych, dotykalnych książek.

- Tak, to prawda. Mamy się czym martwić: grozi nam bezrobocie.

Obie wiedziały, że Penny nie miała powodu do zmartwienia. Dom mógł utrzymywać jej męża, mogła też znaleźć inną pracę. Ale pani Culver była bibliotekarką - była nią zawsze i na zawsze nią pozostanie. Tak samo jak archaiczna dorożka na zawsze pozostanie dorożką.

Pani Culver przyglądała się Penny spoza okularów bez oprawek, jakby chciała odczytać jej myśli.

- Martwię się o przyszłość - wyznała. - Mam bratanice, bratanków.

O tym Penny nie wiedziała.

- Po prostu stoimy u progu nowej epoki - powiedziała Penny. - Tak samo musiało być po wynalezieniu maszyny drukarskiej, tyle że teraz wszystko postępuje szybciej. Pani bratanice i bratankowie się przystosują.

- W tym sęk, Penny. Już się przystosowali. Oni nie korespondują na Facebooku - oni „fejsują”. Ze słowa „face” zrobili czasownik. Nie szukają informacji, tylko „guglają”. Nie czytają prawdziwych książek, rzadko nawet czytują je na ekranie

komputera. W każdym razie nie dla przyjemności. To przygnębiające.

Penny pomyślała, że powrót do pracy w bibliotece mógł jednak być błędem. Szukała wytchnienia i bezpieczeństwa, schronienia przed całym światem zmartwień o to, co może spotkać Fedsa, ją, ich małżeństwo. Może Feds miał rację i prawdziwe bezpieczeństwo nie istniało? Ryzykowało się, żyjąc. I nie dotyczyło to wyłącznie glin. Przeciwnikami Fedzia byli kryminaliści, przeciwnikami pani Culver - e-booki.

- Zna pani to francuskie powiedzenie, że im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same? - spytała, próbując poprawić nastrój pani Culver. - Książki to książki, nawet w formie elektronicznej.

- Wszystkie książki z tej biblioteki można by przenieść na jeden czip - odpowiedziała pani Culver. - Poza tym nie jestem Francuzką. A teraz bądź tak miła i poukładaj równo czasopisma.

Penny posłuchała, ale myślała o nadchodzącym wieczorze. Feds będzie pracował do późna. Powiedziała mu, że nie szkodzi, że nie będzie się martwiła. Martwiła się jednak. Tyle że zaczęła coś z tym robić. Coś dla innych, ale - w końcowym rozrachunku - coś dla Fedzia, dla siebie i dla ich małżeństwa. Nie zaaprobowałby tego.

Dlatego o tym nie wiedział.

Lubiła sobie wyobrazać, że jest postacią ze starego filmu, który wczoraj oglądała, z Okna na podwórze, ale wolałaby być Grace Kelly. Niestety, siedząc przy oknie z nogą na podpórce, bezradnie patrząc na świat, była Jamesem Stewartem.

Kostka Deeny Vess przestała już boleć, za to niemiłosiernie swędziała pod unieruchamiającym gipsem. Pojutrze miała odwiedzić lekarza, żeby zdjął jej gipsowy but i zastąpił go plastikowym, z pewnością wygodniejszym, który poza tym będzie można od czasu do czasu zdejmować.

Jeśli wyciągnęła szyję, mogła ze swojego miejsca wyrzeć przez okno na ulicę w dole.

Przy szybie, w dolnej części okna, wściekle i daremnie bzyczała mucha, nie mogąc przedostać się na drugą stronę szklanej bariery. Deena wiedziała, jakie to uczucie.

Dzień był gorący; rozpalonymi chodnikami przewijało się mniej przechodniów niż zwykle. Ruch uliczny też nie był zbyt duży.

Ale zobaczyła w ściętej perspektywie sylwetkę listonosza Jeffa, który szedł w poprzek ulicy do swojej pocztowej furgonetki. Wsiadł do szoferki i odjechał.

Nareszcie - jest coś do zrobienia! Trzeba odebrać pocztę. Mogła w końcu coś zrobić, choć teraz to nieco uciążliwe.

Na pewno będzie trochę bolało, ale warto było wytrzymać, żeby uciec od przedpołudniowych programów telewizyjnych i przesiadywania na Facebooku i Twitterze.

Zmęczyło ją wypisywanie wiadomości o bolącej kostce. Na portalach społecznościowych równie niechętnie wysłuchiwno

narzekań, co podczas rozmowy twarzą w twarz.

Wstając z krzesła, podparła się jedną z metalowych kul, które kupiła w Duane Reade.

Kulejąc, ruszyła do drzwi. Kątem oka zauważyła, że kot, który nie był Carycą, przeciąga się i sunie w stronę kuchennych drzwi, jakby do czegoś się podkradał. Do tej pory nie udało jej się wzbudzić w sobie sympatii do niego, a sposób, w jaki zajął miejsce Carycy, wciąż był tajemnicą, która czasami nie pozwalała jej zasnąć, wciąż rodząc nowe domysły. Im dłużej dzieliła mieszkanie z kotem, tym mniej przypominał jej prawdziwą Carycę.

Ale rozmyślanie o czymś, czego nie da się zrozumieć, z czasem stawało się nużące.

Zadała na Facebooku pytanie, czy ktoś potrafi wyjaśnić kuriozalną podmianę kota. W odpowiedziach jej „przyjaciół” kryła się wyraźna sugestia, że jej odbiło i że powinna się leczyć. Pewnie, najlepsze wyjście to pokuśtykać do psychoanalityka ze zwierzęciem pod pachą i oświadczyć: „Oto kot, który podaje się za innego kota”.

Dotarła do drzwi wyjściowych, otworzyła je i klekocąc kulami, wyszła na korytarz. Po zamknięciu drzwi ruszyła o kulach do windy. Trochę bolało, ale do zniesienia. A wyjście na klatkę schodową po listy było jedną z nielicznych ostatnio rzeczy, których wyczekiwała. Musi pozbyć się wreszcie tych kul i wrócić na wrotki, o ile jeszcze była zatrudniona w Roller Steak. Dostała od szefa zapewnienie, że praca będzie na nią czekać, ale nie wiedziała, ile było warte.

Deena wydostała się z windy i podeszła do szeregu mosiężnych skrzynek pocztowych.

Przez szparę na listy zajrzała do swojej. W środku coś było!

Reklama Viagry, odkryła z rozczarowaniem.

Wróciła do windy, wcisnęła przycisk otwierania drzwi i w tym momencie jedna z kul utkwiała w szczelinie między windą a podłogą. Kiedy wreszcie bezpieczna znalazła się w kabinie, oparła się o ścianę przy panelu i nacisnęła przycisk swojego piętra.

Gdy już usiadła w fotelu stojącym naprzeciwko wyciszonego telewizora, który pokazywał kolejną powtórkę Seksu w wielkim mieście, kostka pulsowała bólem. Codzienne wyprawy łowieckie do skrzynki pocztowej na pewno nie przyspieszały gojenia się kostki, ale musiała choć na chwilę wyjść z mieszkania - pod jakimkolwiek pretekstem.

Siedziała tak prawie godzinę, aż zorientowała się, że od powrotu z wyprawy po listy nie widziała kota podszywającego się pod Carycę. A wychodząc, sprawdzała, czy się nie wymknął i...

Ktoś zapukał do drzwi jej mieszkania tak mocno, że aż podskoczyła. Po raz drugi zapukał ciszej, choć nalegająco.

Deena zaklęła, chwyciła klekocące kule, pokuśtykała do drzwi i wyjrzała przez judasza.

Po drugiej stronie zobaczyła wpatrujące się w nią oko. Nie cierpiała, kiedy ktoś tak robił.

- Znalazłem kota. Powiedziano mi, że należy do pani - odezwał się głos na korytarzu.

Deena znowu wyjrzała przez wizjer. Tym razem mężczyzna nieco odsunął się od drzwi. Podnosił do góry kota, który nawet przez deformujące szkło judasza bardziej przypominał Carycę niż oszust, którego miała w domu.

Deena odblokowała zamek i otworzyła drzwi, nie zwalniając jednak łańcuszka.

Mężczyzna zajrzał i znów podniósł kota. Do ponownej inspekcji. To na pewno była prawdziwa Caryca.

Ale...

- Przeglądałem w gazecie ogłoszenia o znalezionych kotach - powiedział mężczyzna.

Był przystojny, wręcz urodziwy jak z bajki, ale nie zniewieściały. - Mam słabość do kotów, więc zauważyłem, że ten był kochany i że ma niedaleko właściciela, który pewnie wariuje ze zmartwienia.

Caryca machnęła w stronę Deeny łapką i miauknęła.

Deena zdjęła łańcuszek i otworzyła drzwi na całą szerokość.

- Dziwne to - powiedziała. - Bo inny kot...

Mężczyzna rzucił jej w twarz miauczącą przeraźliwie Carycę. Jednocześnie kopnął Deenę w uszkodzoną kostkę i odepchnął do tyłu. Upadła pośród grzechotu aluminium, spazmatycznie wciągając powietrze.

Znalazł się na niej, zanim minął szok i zdążyła wydać kolejny dźwięk. Zobaczyła szary prostokąt szerokiej taśmy klejącej, a potem poczuła dłoń, dociskającą taśmę do jej półotwartych ust. Mężczyzna chwycił ją za przeguby, utrzymując je z dala od twarzy, kiedy szarpała się i próbowała krzyknąć. Śmiał się. Z jakiegoś powodu to przeraziło ją najbardziej: zwykły śmiech rozbawionego człowieka.

Uniósł się i przykucnął nad nią, wciąż ściskając jej przeguby z siłą, od której jej palce wygięły się na podobieństwo szponów. Nie przestawała rzucać nogami - mimo przeszywającego bólu kostki walczyła, żeby powstać.

Uśmiechając się cierpliwie, czekał na okazję, a kiedy się nadarzyła, ponownie kopnął jej złamaną kostkę - tym razem z całych sił, aż stęknął z wysiłku.

Ból zabrał ją do miejsca, w którym nie słyszała już własnych zduszonych krzyków.

Do miejsca, w którym rozplynęła się w pustce, a świadomość ją

opuściła.

Obecnie służyły do tego raczej komputery. Biblioteka prawnicza w biurach kancelarii Enders i Coil była głównie na pokaz; padła ofiarą oprogramowania LexisNexis. Ale Jody wiedziała, że całej niezmiernie treści prawa pisanego nie dało się umieścić online. Po prostu nie starczało czasu i godzin pracy, żeby wszystko zeskanować. W zakurzonych tomach prawniczych mogły znajdować się użyteczne precedensy, a biblioteka u Endersa i Coila była doskonale zaopatrzona i na swój sposób cudowna. Jeśli ktoś miał czas, cierpliwość i wyczucie, gdzie szukać, mógł odnaleźć decyzje od dawna zapomniane, lecz wciąż użyteczne.

- Już szósta - powiedział Jack Enders. - Godzinę temu powinnaś wyjść do domu.

Jody podniosła głowę znad mahoniowego blatu zastawionego opasłymi prawniczymi księgami, które zdjęła z otaczających ją półek. W kwadratowym pomieszczeniu szereg podestów pięł się pod kątem ku wysokiemu sklepieniu łukowemu. Ściany niemal co do centymetra zastawione były książkami. Enders stał przy wejściu, tuż za drewnianymi drzwiami. Okien nie było. Światło zapewniały lampy zaczepione na końcach łańcuchów różnej długości podwieszonych do sufitu i duże lampki do czytania, stojące na każdym z trzech stołów.

- Badałam właśnie sprawę Dash-Meeding - odpowiedziała Jody.

- Czemu akurat tę?

Jody wzruszyła ramionami.

- Zauważyłam, że dotyczy wywłaszczenia, i pomyślałam, że może być ciekawa.

Zawsze interesowały mnie sprawy dotyczące prawa własności.

- Ta pójdzie z automatu - uśmiechnął się Enders.

- Orzeczenie na korzyść pozwanego? Niezupełnie. Istnieje orzeczenie z tysiąc dziewięćset dwunastego roku, mówiące, że prawo do wywłaszczenia może zostać wyłączone na podstawie umowy, o ile znany jest podmiot potencjalnie uprawniony do dokonania wywłaszczenia.

Enders szeroko się uśmiechnął. Przystojniak mający powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu, w nienagannie skrojonym ubraniu, o opadających czarnych włosach, które ledwie zaczęły siwieć, w intrygujący sposób był zarazem pełen godności i samczy.

- Tysiąc dziewięćset dwunasty - powiedział. - Rok, w którym „Titanic” poszedł na dno. Nie wydaje mi się, żeby decyzja podjęta w okresie edwardiańskim mogła mieć jakikolwiek wpływ na wielomilionową transakcję w branży nieruchomości w Nowym Jorku.

- Bo ja wiem... - odparła Jody. - A klauzula szczególna? Jest chyba taka w sprawie Dash-Meeding?

- Ale nie autoryzowali jej poprzedni właściciele posiadłości. Dlatego sędzia pierwszej instancji bez najmniejszych wahań odrzucił roszczenie.

- Ale apelacja jest w toku? - Jakbym nie wiedziała.

- Tak, ale to tylko formalność.

- Nie rozumiem, jak autoryzacja...

- Posłuchaj, Jody, nie chcę dyskutować o sprawie Dash-Meeding. Zajrzałem tu zapytać, czy nie wybrałabyś się na kolację. Nie wymagamy, żeby pracownicy się głodzili, zwłaszcza jeśli pracują na własną rękę nad sprawą, w której w zasadzie wszystko zostało już zdecydowane.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziała Jody - ale jestem już

dziś umówiona na kolację.

Enders obdarzył ją swoim olśniewająco białym uśmiechem.

- Powinienem zgadnąć... Taka piękna młoda kobieta jak ty.

Jody też się uśmiechnęła.

- Ale bardzo mi miło, że mnie pan zaprosił.

- Ach, to tworzące dystans „pan”. - Wciąż się uśmiechał. - Boisz się relacji towarzyskich z szefem?

- Po prostu pamiętam, że szef to szef - powiedziała Jody. - I naprawdę jestem wdzięczna za zaproszenie.

Enders wyciągnął rękę za siebie i ujął mosiężną gałkę u drzwi, ale nie odwrócił się do wyjścia.

- Naprawdę masz potencjał, Jody.

- Dziękuję. - O jakim potencjale mówimy?

Zaczął otwierać drzwi, ale zawahał się.

- Chcesz usłyszeć dobrą radę?

- Zawsze.

- Lepiej wykorzystaj czas, jedząc kolację z szefem, niż pracując nad sprawami, w których nic już nie da się zmienić.

Jody posłała mu uśmiech.

- Brzmi sensownie.

Skinął głową.

- Spodziewałem się, że dojdiesz do właściwego wniosku.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Jody wiedziała, że da się tu wyciągnąć jeszcze jeden wniosek: Enders mógł mieć ważne powody, żeby zniechęcać ją do analizowania sprawy Dash-Meeding.

Zamiast dobrej rady dał jej motywację.

Po wyjściu z kancelarii Jody pojechała metrem do północnej części miasta, po czym piechotą dotarła do domu Quinna i Pearl na Zachodniej Siedemdziesiątej Piątej Ulicy. Bardzo polubiła Quinna

- kojarzył jej się z postacią z ryciny w Starym Testamencie, która ogoliła się, obcięła włosy i okazała się cholernie seksowna. Sposób myślenia też miał chyba starotestamentowy. Ale czasami jego poglądy okazywały się zaskakująco nowoczesne.

Kontrasty... - pomyślała Jody. Pełno ich na świecie.

Tę myśl mogła odnieść także do mamy, która okazała się całkiem inna, niż oczekiwała Jody. Pearl z pozoru była twarda, ale gdy poznało się ją lepiej, okazywało się, że jest naprawdę twarda! Z tym że nie była złym człowiekiem - była po prostu realistką. Jej czynów i spojrzenia na świat nie zabarwiała fałszywa nadzieja. Właśnie to się Jody podobało: Pearl stawiała czoła prawdzie. Jody lubiła myśleć o sobie jako o kimś takim, chociaż wiedziała, że to nie do końca prawda. Na drodze stawały jej emocje. Prawdopodobnie miała je po Pearl: permanentną złość na to, że ludziom - nawet nieznanym - trafiał się parszywy los. Może właśnie dlatego Pearl została gliną. Może i ja powinnam pójść na prawo karne - pomyślała Jody.

Dziwne, jakie rzeczy przychodzą do głowy, kiedy pozwoli się myślom błądzić podczas spaceru.

Weszła na schody wiodące do budynku i nacisnęła guzik domofonu. Zabrzęczało i otworzyły się drzwi na klatkę schodową. Pearl i Quinn spodziewali się jej, nie musiała więc zapowiadać się przez głośnik.

Pearl miała na sobie luźne spodnie, które nosiła w pracy, czarne skórzane mokasyny i białą bluzkę. Quinn - brązowe spodnie w prążki wyglądające jak dół garnituru i niebieski pulower polo z kołnierzykiem. Był w skarpetkach, ale bez butów. Chyba miał w nosie, że jego wygląd mógłby przyprawić wrażliwszego projektanta mody o atak serca.

Pearl uśmiechnęła się do Jody i pocałowała ją w policzek. Kiedy

Quinn zrobił to samo, Jody o mało nie zemdlała.

Co ja wyprawiam? Do czego to zmierza? I czy dzieje się to naprawdę?

Stół w jadalni nakryto dla trzech osób. Nakrycia stały pod gigantycznym zabytkowym żyrandolem gazowym, który kiedyś, w ciągu ostatniego stulecia z okładem, przerobiono na elektryczny.

Jody zdała sobie sprawę, że gapi się na żyrandol.

- Nie spadnie - zapewnił ją Quinn.

Pearl i Quinn wspólnie wnosili jedzenie z kuchni. Potrawka mięsna, jakiś makaron, sałatka mieszana, gorące bułeczki. Quinn przyniósł butelkę australijskiego czerwonego wina, napełnił trzy kieliszki, po czym postawił ją na stole tak, żeby wszyscy troje mogli dosięgnąć.

Gdy już siedzieli, podniósł swój kieliszek. Stuknęli się i wznieśli toast za przyszłość.

Po posiłku, kiedy sączyli wino, Pearl spojrzała przez stół na Jody i powiedziała:

- Mamy dla ciebie propozycję...

Quinn wtrącił się, zanim Jody zdążyła otworzyć usta.

-...wiemy, że nie przypadło ci do gustu mieszkanie, które szkoła i kancelaria zapewniły ci na czas praktyk.

Rzeczywiście, Jody na nie klęła. Przede wszystkim na karaluchy. Zwykł tam też zaglądać Jack Enders, który miał jedno na myśli, a Jody zmęczyło szukanie sposobów, jak go spławić, nie wylatując przy tym z kancelarii.

- Łazi po nim robactwo - oznajmiła Jody.

- Wydaje się... właściwe, żebyś zajęła jedną z sypialni na górze - powiedziała Pearl.

- Chodzi jej o to, żebyś tu zamieszkała - uzupełnił Quinn. - Z nami.

Jody popatrzyła na niego. Nie sposób było odgadnąć, co myśli ten człowiek.

- A co ty o tym sądzisz? - zapytała go.

- Jak dla mnie należysz do rodziny.

Jody zachwyciły te słowa. Były szalone i cudowne, biorąc pod uwagę, że Quinn nie był oficjalnie mężem mamy.

- Stąd do Endersa i Coila masz tylko krótką przejażdżkę metrem - powiedział Quinn.

- Skuszę się na te przejażdżki - odpowiedziała Jody. - I dziękuję. Dziękuję wam obojgu. - Wiedziała, że ma wilgotne oczy, ale nie podniosła ręki do twarzy.

I tak siedzieli w milczeniu: Jody prawie ze łzami w oczach, Quinn z kamienną twarzą.

- Do cholery z tym! - powiedziała Pearl i otarła łzę.

- Chciałabym prosić cię o jeszcze jedną przysługę - powiedziała Jody, kiedy obejrzała swój pokój i gdy ustalili już datę przeprowadzki. - Znaczący poza darmowym mieszkaniem i wyżywieniem. - Musiała się uśmiechnąć, słysząc własną bezczelność.

- Córka Pearl, bez dwóch zdań - mruknął Quinn.

Siedzieli we trójkę w salonie, którego podłoga wyłożona była intarsjowanym parkietem z twardego drewna, okrytym czerwonym dywanem. Wysokie zasłonięte okna wychodziły na ulicę. Gdyby dobiegający spoza nich szum ruchu ulicznego zastąpić stukotem końskich kopyt, można by uwierzyć, że jest rok 1885. Jody nie pamiętała, kiedy po raz ostatni czuła się tak błogo.

- Wal, Jody - powiedziała Pearl.

- Kiedy za tobą łąziłam, Pearl - wciąż wahała się między „mamo” a „Pearl” - zaciekało mnie wasze zajęcie. Odkąd poznałam ciebie i Quinna, jestem jeszcze bardziej ciekawa.

Chciałabym cię obserwować.

- A nie robiłaś tego przez kilka dni? - zdziwiła się Pearl.

- Owszem, i to kiepsko. Ale nie o to mi chodzi. Chciałabym móc obserwować cię przy pracy, zobaczyć, jak to wszystko wygląda. Pójść z tobą na miejsce zbrodni.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - powiedziała Pearl.

Jody posłała Quinnowi uśmiech.

- Troszczy się o mnie!

A ty mnie urabiasz - pomyślał Quinn. Jak ja się wpakowałem między te dwie baby?

- Ona ma rację - powiedział do Pearl, biorąc stronę Jody. - Pozwólmy młodej się podczepić.

- Młoda może napatrzeć się na rzeczy, które będą jej się śniły do końca życia.

- Zaryzykuję - powiedziała Jody.

- Nie wątpię.

- I nie taka młoda. - Jody zwróciła się do Quinna.

- Właśnie to starałem się powiedzieć - nakłamał młodej Quinn.

- Naprawdę się na to zgadzasz? - zapytała Pearl. - Chcesz, żeby zobaczyła to, co my oglądamy? Poznała ludzi, z którymi się spotykamy?

- Nie. Ale chce tego Jody i moim zdaniem to zniesie. A jeśli nie... Cóż, szybko się zorientuje.

- Wszystkie jej sny mogą zamienić się w koszmary.

- Dramatyzujesz, mamó. - Co? Jakoś mi się wysnęło...

Pearl przyglądała jej się długo i uważnie, aż wreszcie powiedziała:

- Dobrze. Skoro tego chcesz.

- Jeszcze raz wam obojgu dziękuję - powiedziała Jody, uśmiechając się radośnie.

- Może jeszcze zmienisz zdanie - powiedziała Pearl.

- Już mi się to zdarzało.

- Twojej matce też - wtrącił Quinn.

Pearl posłała mu spojrzenie, którego Jody natychmiast postanowiła się nauczyć, ćwicząc przed lustrem.

- Nie oczekuj zbyt mocnych wrażeń - powiedziała Pearl.

Zadzwoił telefon.

Kawaleria dotarła na miejsce przed Quinnem i Pearl. I przed Jody. Trzy radiowozy zaparkowały pod kątem czterdziestu pięciu stopni do krawężnika. Tuż za nimi stał ambulans z wygaszonymi światłami, w którym siedziało dwóch sanitariuszy. Czekali, aż na górze skończy się praca.

Quinnowi ścisnęło się gardło, gdy patrzył na dwóch mężczyzn w białych kitlach.

Wywożenie zmarłych. Niewdzięczna robota - zawsze przybywać na miejsce zbrodni, gdy bitwa została przegrana.

Za ambulansem, zaparkowanym jak należy wzdłuż krawężnika, stał czarny chevrolet.

Quinn rozpoznał samochód lekarza sądowego Nifta. Rozpoznała go też Pearl.

- Osobiście przyjeżdża do takich spraw - powiedziała.

Quinn przytaknęła.

- Zawsze.

- Kto? - spytała idąca obok Pearl Jody.

- Doktor Nift - odpowiedział Quinn.

- Wyobraź sobie Napoleona skrzyżowanego z monstrem Frankensteina - poradziła Pearl.

Jody nie do końca zrozumiała, ale nie drażyła tematu, powtarzając sobie, że jest tu jako obserwatorka.

Wejścia do budynku pilnował rosły gliniarz w mundurze. Quinn go znał. Na imię miał Harmon, podnosił ciężary i mógł uchodzić za trzydziestolatka, chociaż musiał być mniej więcej w wieku Quinna. Quinn zaczął się zastanawiać, dlaczego on sam nie ćwiczy - jak

zawsze, kiedy widział Harmona.

- Mieszkanie na piątym piętrze, zaraz przy windzie - poinformował ich Harmon, wskazując ręką. Olbrzymi biceps napiął materiał jego koszuli. Harmon spojrzał na Jody i uśmiechnął się - dało to cokolwiek przerażający efekt.

- Dziennikarka?

- Obserwatorka - wyjaśnił Quinn.

Harmon nie dociekał. Wystarczało mu, że dziewczyna o rudych włosach sprężynkach była z Quinnem i Pearl. Ale miała w sobie coś, przez co wziął ją za dziennikarkę. Ciekawość.

Jak kot, który zużył już osiem żyć.

Weszli do budynku i skrzypiącą starą windą wjechali na piąte piętro.

Drzwi windy rozsunęły się. Byli na miejscu zbrodni.

Mieszkanie miało numer 5A, jak zobaczyli na jednej z tych lśniących równoległobocznych naklejek na drzwi. Zerknął na nich przechodzący technik z plastikową torebką na dowody rzeczowe w ręce. W środku było jeszcze dwoje techników, mężczyzna i kobieta. Ciało leżało na środku pokoju, centralnie ułożone na dywanie, jakby na pokaz.

- O cholera! - wyrwało się stojącej u boku Quinna Jody.

Spojrzeli na nią wszyscy obecni, poza martwą kobietą.

- Obserwatorka - wyjaśnił Quinn.

Po kilku sekundach spojrzenia odwróciły się i wszyscy zabrali się do pracy.

Z korytarzyka wiodącego w głąb mieszkania wynurzył się Fedderman. Podeszedł do Quinna i Pearl.

- Nazywała się Deena Vess. Dwadzieścia cztery lata, stan wolny, zawód: kelnerka. - Zerknął na Jody i zaraz wrócił wzrokiem do Quinna.

- Poznaj Jody Jason - powiedział Quinn i zwrócił się do Jody. - To jest Larry Fedderman. Niech cię nie zmyli jego zwyczajowo niechlujna prezencja. Jest jeszcze gorszy, niżby się wydawało.

Jody z niepewnym uśmiechem przywitała Feddermana skinieniem głowy.

- Obserwatorka - powiedział Quinn.

- Naprawdę? - Fedderman jakby nigdy dotąd nie słyszał tego słowa.

- Córka Pearl - dodał Quinn.

- Hę? - Fedderman wytrzeszczył oczy na Jody. Wszyscy w pomieszczeniu wytrzeszczyli na nią oczy. Ci żyjący. Deena Vess patrzyła przed siebie. Wyraz jej twarzy zmuszał do zastanowienia, co takiego widziała, umierając.

- Wyjaśnienia później - warknęła Pearl. Pilnujcie własnych zasmarkanych nosów!

Wszyscy jak jeden mąż odwrócili wzrok. Nawet Nift, chociaż zrobił to jako ostatni.

Uśmiechnął się.

- Widzę podobieństwo.

- A chcesz zobaczyć, jak będziesz wyglądał z tą pęsetą w dupie? - zainteresowała się Pearl. Teraz Jody zrobiła wielkie oczy.

Nift wzruszył ramionami i wrócił do skubania pęsetą miejsca, w którym Deena miała kiedyś lewą pierś.

Jody przełknęła tak głośno, że usłyszeli wszyscy w pokoju. Quinn popatrzył na nią, a ona, odgadując jego myśli, odpowiedziała spojrzeniem i lekko pokręciła głową. Quinn się uśmiechnął.

Ofiara, która miała na sobie tylko majtki, została związana w kabłąk jak przy poprzednim morderstwie - odchyłona do tyłu na kolanach, żeby jej piersi sterczały w górę, kiedy jeszcze je miała.

Usta ściśle zaklejono jej prostokątnym kawałkiem taśmy klejącej.

Quinn nie miał ochoty pytać Nifta, czy żyła, gdy obcinano jej piersi. Znał odpowiedź: żyła, tak jak poprzednie ofiary.

- Wygląda na to, że potraktował ją tak samo jak Ann Spellman - powiedział Nift. - Stał nad nią, trzymając ją za włosy albo pod szczęką, i odchyłał ją ku sobie. Wtedy piersi jej dyndały i mógł sięgnąć w dół, żeby urznąć je bezproblemowo i dokładnie.

- Jesteś tego pewien? - zapytała Pearl.

- Ja bym tak właśnie zrobił. Chyba że...

- Że co?

- Piersi ofiary były wyjątkowo jędrne. Ustawiłem ją na kolanach, wygiętą, z twarzą do góry... Patrzącą w sufit. - Wyglądało na to, że Nift odpłynął. Nagle się otrząsnął. - Nasz morderca na pewno ma słabość do piersi - powiedział. - Lubi też, gdy kobiety mają długie czarne włosy. - Specjalnie nie podniósł wzroku na Pearl.

- Od dawna nie żyje? - zapytał Quinn.

- Według mnie najwyżej od kilku godzin.

- Ten sam gość?

- Ten sam gość i prawdopodobnie ten sam nóż. Torturował ją, płytko nacinając skórę.

Ma te nacięcia i pod majtkami.

- Które mają rozmiar, jaki nosiła Ann Spellman - powiedział Quinn.

Nift spojrzał na niego z udawanym podziwem.

- No, no! Główka pracuje!

- Czasami - odpowiedział Quinn.

- Wkłada na nie majtki poprzednich ofiar - wyjaśniła cicho Pearl na użytek Jody.

- Czemu?

Pearl wzruszyła ramionami.

- A dlaczego w ogóle je zabija?

- Tym razem mamy małe odstępstwo. - Nift chował coś w zanadrzu, nie pierwszy zresztą raz. Miał słabość do efekciarstwa.

Quinn uniósł brew.

- O?

- Miała złamaną kostkę.

- Złamaną przez niego? - spytała Pearl.

- Nie sądzę. Zerknij no tutaj, jak grzeczny detektyw.

- Kot? - zdziwiła się Pearl, widząc pręgowanego kota, który śmignął za narożnik sofy i zniknął. Czasem zastanawiała się, czy nie była jedynym mieszkańcem Nowego Jorku nieposiadającym kota. Kocie miasto.

- Nie chodzi o kota, chociaż jest pewnie jedynym świadkiem morderstwa. Spójrz tutaj.

Pearl spojrzała, gdzie kazał. Zobaczyła metalową kulę i gipsowy but. Kula oparta była o ścianę w kącie. Gips leżał na podłodze obok, jakby ktoś go tam niedbale rzucił.

- Morderca pewnie zdjął gips i torturował ją, wykorzystując złamaną kostkę. To złamanie musiało być dla niego darem niebios.

- Na pewno potrafisz się w to wczuć - powiedziała Pearl.

- Jeszcze jedno - powiedział Nift, nie zwracając na nią uwagi. Wskazał mały metalowy przedmiot, leżący na ziemi tam, gdzie opadające z odchylonej w tył głowy długie włosy ofiary rozsypywały się na dywanie. - Miała to ustawione na czole, gdy została znaleziona.

- Co to jest? - zapytał Quinn.

- Klucz do wrotek - powiedziała Pearl. - Dopasowuje się nim wrotki, zakładając je na but.

- Co to może oznaczać? - spytał Fedderman. Spojrzał na Jody,

jakby oczekiwał od niej odpowiedzi.

- Klucz do sprawy... - zasugerowała Jody, której pochlebiło, że została włączona do rozmowy.

Rozległy się chichoty.

- Może i tak - powiedział Quinn takim tonem, że chichoty natychmiast ucichły. Co ja wyprawiam? Też się o nią troszczę?

- Jedno nam to prawdopodobnie wyjaśnia - powiedziała Pearl. - Dziewczyna mogła mieć wypadek na wrotkach, a złamana kostka była powodem, dla którego nie mógł jej nigdzie wywabić. Dlatego zabił ją w jej własnym mieszkaniu. To pierwsza ofiara, którą znaleziono w pomieszczeniu.

- Ile ofiar Daniela Danielle'a znaleziono w pomieszczeniach? - zapytał Fedderman.

- Dwie. Na dwanaście - odparła Pearl. - Oczywiście mógł zabić ponad setkę kobiet i nie dowiemy się, ile na zewnątrz, a ile nie.

- Ponad setkę? - spytała Jody.

Quinn łypnął na nią posepnie.

- Żyjemy w niebezpiecznym świecie.

Pokręciła głową z powątpiewającą miną. Wymknął jej się nawet nikły uśmieszek.

Boże drogi! Znowu poczuł się jak rodzic, którego dzieci nie traktują poważnie.

Pearl patrzyła na niego jakby zaskoczonym wzrokiem. Czyżby poczuła się tak samo?

Tak, był tego pewien.

To było deprymujące.

- Mam pytanie - odezwała się Jody. - Co stanie się z kotem ofiary?

Quinn i Pearl zareagowali jednocześnie:

- Nie!

Jody, nic nie wiedząc o podobnym kocie, który uciekł, nazwała swojego ciemnoszarego pręgowanego kota Gaduś - na pamiątkę innego, którego miała jako dziesięciolatka. Ustalono, że będzie jadł i spał w jej pokoju. Ta umowa nie odpowiadała jedynie Gadusiowi. Co do jedzenia - nie protestował, ale sypiał, gdzie mu się żywnie podobało. Czasami w nogach łóżka Quinna i Pearl.

Jody było tu o niebo lepiej niż w poprzednim ciasnym mieszkanku. Do tego zostawały jej pieniądze przyznawane na czynsz. Jedynym minusem była dłuższa droga do pracy, przez całe miasto aż na East Side.

W sali konferencyjnej u Endersa i Coila stała teraz naprzeciwko ojcowskiego i mądrego Josepha Coila, starszego partnera w firmie. Długi mahoniowy stół otaczały krzesła wyściełane miękką czarną skórą. Środek stołu zdobił duży kryształowy wazon pełen zadziwiająco realistycznie wyglądających jedwabnych róż; wynoszono go, gdy w pomieszczeniu omawiane były poważne sprawy. Coil nie usiadł i nie zaproponował Jody, żeby usiadła, dając tym do zrozumienia, że będzie to krótka nieoficjalna rozmowa.

Światło padało zza pleców Coila, a za nim rozciągał się panoramiczny widok na East River. Uprzejmie zmienił pozycję, żeby światło nie raziło Jody w oczy, jakby chciał zapewnić, że nie zamierza zdobywać przewagi, stosując tak oczywistą strategię. Był ponad takie gierki.

Uśmiechnął się do niej tak szczerze, że po prostu musiała odwzajemnić uśmiech. Jego błękitne oczy emanowały jowialnością,

a kąciaki ust wyginały się w górę, sugerując, że uśmiech nie schodził mu z twarzy nawet we śnie. Siwe włosy miał najwyraźniej przycięte przez drogiego fryzjera, a policzki tak rumiane, że wyglądały, jakby kładł na nie róż.

Jody zakładała, że została wezwana na rozmowę o swoim nieuzasadnionym zainteresowaniu sprawą o wywłaszczenie Dash-Meeding.

Ale nie o tym mówili. Jak dotąd.

- Zdałem sobie sprawę - zaczął Coil - że nigdy nie przeprowadziliśmy dłuższej, przyjacielskiej rozmowy. Chciałem porozmawiać z tobą o prawie jako takim. O tym, jak je widzisz.

Jody była zaskoczona. Takiego człowieka interesuje, co o prawie sądzi podrzędna praktykantka?

- Zgadzam się ze stanowiskiem, że nasz system prawny ma wady, ale jest najlepszym, jaki istnieje. - Ple, ple, ple. Ale naprawdę w to wierzyła.

- I być może jest najbardziej elastyczny i wygodny - powiedział Coil. Uśmiech nawet na chwilę nie opuszczał jego twarzy.

- Zapewne - odparła Jody. - Prawdę mówiąc, nigdy nie myślałam o tym w tych kategoriach.

- Cóż, potrzeba czasu na zrozumienie utylitarnej strony prawa. - Pochylił głowę i powoli pokręcił nią z boku na bok, jakby w zadziwieniu. - Zauważyłaś już chyba, że jest raczej plastyczne?

- O, tak.

- Tak naprawdę jest do tego stopnia plastyczne, że na pewnym poziomie nie chodzi już wcale o prawo. Chodzi o to, jak manipulować systemem, wykorzystując półcienie prawa.

Z tym Jody przez chwilę się zmagiała.

- Rozumiem, że można je wykorzystywać w ten sposób - powiedziała.

- Im dłużej zajmujesz się prawem, im ważniejsze stają się twoje obowiązki, tym bardziej zbliżasz się do zrozumienia prawdziwego i najważniejszego celu prawa. To tak jak z wyższą matematyką: im bardziej złożona, im jej poziom wyższy, tym głębiej zanurza się w sferę, którą - można powiedzieć - włada bardziej wysublimowana logika.

- Staje się coraz bardziej plastyczne - powiedziała Jody.

Coil rozpromienił się.

- Jesteś mądrą kobietą. Na pewnym poziomie chodzi już tylko o tę plastyczność.

Bardzo ważne, żebyś to sobie uświadomiła. Sprawiedliwość, prawda, wina, niewinność - wszystkie te słowa tracą znaczenie pod obosiecznym mieczem prawa, a plastyczna glina urabiana jest w sposób, którego na początku edukacji prawniczej nie sposób sobie wyobrazić.

Plastyczność jest królową sądownictwa.

- Moim zdaniem...

- Nie, nie. Przemyśl to sobie, zanim uznasz, że naprawdę zrozumiałeś.

- Dobrze, przemyślę - uśmiechnęła się Jody.

- Nie będę cię obrażał przypominaniem, że nie ma znaczenia, czy nasz klient jest winny, czy nie.

- Każdy zasługuje na najlepszą poradę prawną, na jaką go stać - powiedziała Jody. - Czyli również na najbardziej plastyczną.

- Ach! - Joseph Coil był wyraźnie zachwycony, że być może trafiła mu się wybitnie zdolna uczennica. Cóż, powinna taką być, skoro trafiła tu z Waycliffe, i to z rekomendacjami rektora Schuellera i profesor Pratt.

Przez kilka sekund milczał i Jody pomyślała, że może to już koniec rozmowy.

Ale nie.

- Nie uszło naszej uwadze, że zainteresowała cię sprawa Dash-Meeding - powiedział Coil.

Oho!

- Wydała mi się ciekawa - odparła Jody. - Zawsze pociągają mnie sprawy dotyczące wywłaszczenia.

- O? Wiąże się to z czymś z twojej przeszłości?

- Nie, nic z tych rzeczy.

- Uważasz, że bogaci okradają biednych?

- Aż tak naiwna nie jestem - powiedziała Jody z uśmiechem.

- Czyli: nie ma powodów, dla których wyróżniasz wywłaszczenie. A jednak sprawa Mildred Dash zajmuje twoją uwagę.

- Pewnie dlatego, że jest to swego rodzaju klasyczna sytuacja: duża firma deweloperska i uparta starsza pani, która nie daje się złamać. Jedyne, czego chce, to zachować swoje mieszkanie, w którym tyle przeżyła. To miejsce ma dla niej szczególne znaczenie.

- Tak jak dla Meeding Properties.

- Rozumiem to - powiedziała Jody. - Myślę, że to znajoma historia i znajome uczucie: współczucie dla starszej pani, która stoi na drodze postępu.

- Tak, chyba można użyć tu słowa „postęp”. Meeding zamierza wybudować rozległe powierzchnie handlowe i bloki mieszkalne, a najemcom policzy wygórowaną cenę. Zrobią na tym duże pieniądze.

- Nie ma w tym nic złego - powiedziała Jody.

Coil wyprostował barki i skrzyżował ramiona, jakby chciał samego siebie objąć.

- Nie ma. Ani dla nich, ani dla nas.

- Zwłaszcza dla nas - zauważyła Jody. - Ale ciągle zostaje ta

dzielna starsza pani, rzucająca wyzwanie przeciwnikowi nie do pokonania.

- Sprawy nie zawsze mają się tak, jak wyglądają z pozoru, Jody.

- Ale ta ma się chyba tak, jak wygląda. Meeding Properties to gigant. Mildred Dash żyła w swoim mieszkaniu przez dwadzieścia lat i trzyma się tam, choć wokół jej bloku wszystko jest wyburzane. Ma chyba dość mocną pozycję prawną, skoro hamuje działania dewelopera. - Jody nie mogła się powstrzymać. - Pewnie ma prawnika, który słyszał o plastyczności.

Łagodne, niebieskie spojrzenie Coila zatrzymało się na niej; na jego ustach wciąż błąkał się uśmiech. Doprawdy, uroczy człowiek.

- Mildred Dash nie jest starszą panią, chyba że czterdzieści osiem lat to twoim zdaniem starość. Jest pozbawionym skrupułów prawnikiem korporacyjnym i ma nieoperacyjnego raka trzustki. I nie, ona nie chce żyć w swoim mieszkaniu. Ona chce w nim umrzeć.

Nieoperacyjny rak. Jody potrafiła odnieść się do tego tylko w jeden sposób:

- Och.

- Nie jest to coś, co dałoby się przewidzieć. Jeśli dopnie swego i umrze w domu, Meeding Properties może stracić miliony dolarów. Miliony - podkreślił. - Czas już odlicza te pieniądze.

- Och - powtórzyła Jody.

Joseph Coil skinął głową, pozdrowił ją uśmiechem i skierował się do drzwi. Po drodze przystanął.

- Myśl plastycznie, Jody.

- Tak jest.

Jestem plastyczna, dodała w duchu, nie bez pewnego niesmaku.

Sal Vitali zadzwonił tuż przed południem. Na komórkę Quinna, choć ten siedział za swoim biurkiem w siedzibie QUiZ. Po drugiej

stronie pomieszczenia pracowali Pearl i Fedderman. Fedderman wisiał na telefonie, Pearl siedziała przed komputerem. Pamiętała, że jest winna matce rozmowę telefoniczną, odczekała więc do godziny, o której w Golden Sunset puszczano powtórki This Is Your Life, wiedząc, że o tej porze matka nie odbierze telefonu.

Pearl zostawiła niejasną wiadomość i odłożyła słuchawkę. Poczula się lepiej. Poczula się wolna. Obowiązek spełniony. Jej matka i Jody mogą poznawać się nawzajem bez niej.

Ale matka Pearl nie oglądała This Is Your Life. A to dlatego, że jej wnuczka najpierw długo jadła lunch, potem długo jechała taksówką i dopiero przed chwilą postawiła nogę na wykładzinie dywanowej przestronnego holu Golden Sunset Assisted Living w New Jersey.

Wymieniły już uściski dłoni, uśmiechy i niezgrabnie się objęły.

Babcia Jody ze strony matki okazała się przysadzistą, budzącą szacunek kobietą o konserwatywnej fryzurze i penetrujących ciemnych oczach. Zapach jej perfum nie najlepiej komponował się z aromatem potraw napływającym z nieodległej jadalni.

Kobiety siedziały naprzeciwko siebie: Jody na niewygodnym drewnianym krześle z wykładanymi poręczami, jej babcia na rogu miękkiej skórzanej sofy.

Jody przyjrzała się plamom wątrobowym pokrywającym ramiona babci, po czym rozejrzała się dookoła.

- Wygląda na miłe miejsce - powiedziała.

- Powiem ci, złotko - odparła babcia - o ile mogę się tak zwracać do ciebie, będącej jedynym liczącym się osiągnięciem mojej nieskłonnej do rozmnażania się latorośli, że owszem, może i wygląda miło, ale tak pewnie też wygląda piekło, kiedy po raz pierwszy postawi się w nim nogę.

- Chodzi ci o ludzi...?

- Są przebrani za ludzi, jeśli masz na myśli personel, ale dotyczy to także niektórych więźniów, że pozwolę sobie tak ich nazwać. Ludzie? Chyba rodem z wyobraźni Dantego!

- Naprawdę? Wszyscy, z którymi rozmawiałam, wydawali się sympatyczni. A Pearl...

A mama mówiła, że masz własny pokój.

- Określiłabym go mianem celi i zapewniam cię, że przemyślałam dobór słów.

Podobne mieli na Wyspie Diabelskiej.

- Okropne, że tak się tu czujesz - powiedziała Jody.

- Ależ mądra z ciebie dziewczyna! Gdyby tylko twoja matka chciała słuchać i uczyć się...

- Mama potrafi być uparta. - Jody przyglądała się babci, próbując odnaleźć w niej siebie, może nawet znajdując, a także starając się odgadnąć jej uczucia i myśli.

- Wszystko w porządku, złotko?

- Tak. - Jody wysiliła się na uśmiech. - Może pójdziemy do jadalni na lunch?

- Tego, co tu podają, nie sposób nazwać jedzeniem. Chodźmy do mojego pokoju, bo przynajmniej na wieść o przyjeździe wnuczki przyrządziłam zdrową i smaczną zupę. Nie żałowałam krakersów, a także grzanek.

- Brzmi kusząco.

W dłoni babci Jody pojawiła się aluminiowa laska, do tej pory schowana za oparciem sofy. Babcia oparła gumową końcówkę o dywan i z wysiłkiem zaczęła wstawać. Jody pospieszyła jej na pomoc.

Po krótkim duecie tanecznym obie znalazły się w pozycji stojącej. Babcia Jody oddychała ciężko, nawet z lekkim poświstywaniami.

- Wszystko w porządku, słonko. Dziękuję. Chciałabym pochwalić się tobą i przedstawić cię kilku osobom, a potem zjemy naszą zupę i porozmawiamy o twojej matce.

Wspominałam o grzankach?

- Tak mi się wydaje - odpowiedziała Jody i odkryła, że musi niezle wyciągać nogi, żeby nadążyć za babcią, która poruszała się zadziwiająco szybko jak na osobę korzystającą z laski.

Klimatyzator w biurze buczał i grzechotał, sprzyjając intymności rozmów telefonicznych. Quinn nie przeszkadzał Feddermanowi, mówiąc normalnym, pełnym głosem.

- Co masz, Sal?

- Pełne imię i nazwisko ofiary brzmi Deena Maureen Vess - powiedział swym chropawym głosem Sal. - Sąsiedzi mówią, że pracowała w Roller Steak. To restauracja, w której obsługa jeździ na wrotkach, zonglując posiłkami. Deena miała kolizję i złamała kostkę.

Lubili ją w pracy i trzymali dla niej miejsce.

- Miała tam jakichś bliskich przyjaciół?

- Nieee. Zatrudnili ją ledwie parę tygodni temu.

- Miłość bywa zmienna.

- O ile wiem, nie zamierzano Deeny zmieniać. Ale znamy już znaczenie klucza do wrotek na jej czole. Chory żart mordercy.

- Nift wspominał na miejscu zabójstwa, że morderca wykorzystał złamaną kostkę, żeby torturować ofiarę. Sprawiał, że jeden koniec kości ocierał o drugi. To też mógł uważać za zabawne.

- Jasna cholera! Musimy gościa dorwać. Co ja i Harold mamy teraz robić?

- Zjedzcie coś, potem jeszcze raz pogadajcie z sąsiadami Deeny. Sprawdźcie, czy morderca mógł gdzieś w pobliżu kupić klucz do wrotek. Obecnie mało kto używa wrotek, do których potrzeba

czegoś takiego. Jeśli w ogóle ktokolwiek. Pewnie w niewielu miejscach można dostać takie klucze.

- Nift dzwonił z jakimiś nowymi wieściami z laboratorium?

- Ciągle czekam - odpowiedział Quinn.

Nie czekał długo. Kilka minut po rozmowie z Salem zadzwonił telefon na biurku.

Wyświetlił się numer prosektorium. Nift.

- Jak podejrzewaliśmy - zaczął Nift. - Narzędzie zbrodni to niemal na pewno nóż, którym zabito poprzednią ofiarę. Tę zabójca torturował płytkimi, bolesnymi nakłuciami.

Najwyraźniej doprowadzał też do tego, że ocierały się o siebie złamane końce kości. Kostka została złamana kilka dni temu, potem rana się odnowiła. Jakby czymś jej przyłożył w to miejsce. Może ją kopnął.

- A sznur i taśma klejąca?

- Pospolite marki, nie do namierzenia. Taśmę prawdopodobnie oderwano z tej samej rolki, co poprzednio. Miała ją szczelnie naklejoną na twarzy przez całe swoje męczarnie.

Nieme męczarnie.

Quinn pomyślał, że Deena musiała doświadczyć najstraszniejszego ze wszystkich rodzajów samotności.

- Piersi na miejscu zbrodni nie znaleźliśmy - mówił Nift. - Tak jak przy poprzednich zabójstwach zostały obcięte, gdy ofiara żyła. Lubi, żeby dziewczyny były żywe, kiedy je kroi.

- Zrobił to szybko czy powoli?

- Tego nie potrafię ci powiedzieć, ale mogę się domyślać. Ty też.

- Nie spieszy mu się.

- Mnie by się nie spieszyło...

Quinn nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ale tak to już z Niftem bywało. Często.

- Po co mu piersi? - spytał Quinn, starając się wczuć w chore rozumowanie mordercy.

- Co z nimi robi?

- Nie wiem, ale te dwie były najwyższej klasy. Łatwo to ocenić po linii cięcia i po tym, jak niewiele zostało.

- Tobie łatwo ocenić - powiedział Quinn, czując lekkie mdłości.

- No cóż, jestem profesjonalistą. - Nift na chwilę umilkł. W słuchawce rozległ się szelest, jakby przekładał kartki papieru. - Nic nie wskazuje na to, żeby ofiara walczyła. Pod paznokcie nie wbiło jej się ciało mordercy, nie miała urazów innych niż te, które z premedytacją on jej zadał. Zdaje mi się, że nawet go nie zadrapała.

- Szkoda - powiedział Quinn.

- Nie ma śladów niedawnych stosunków seksualnych.

- Może bawił się sam z sobą.

- Takich śladów też nie ma. Morderca działa jak zawodowiec - oświadczył Nift. - Nie zostawia po sobie nic, czego nie chciałby zostawić.

- Każdy w końcu coś przegapi - powiedział Quinn. - Po prostu musimy to znaleźć.

- To samo mówią w telewizyjnych programach policyjnych.

- Które zawsze dobrze się kończą.

- W końcu zdejmują je z anteny. Pozdrów ode mnie Pearl.

- Lepiej nie - powiedział Quinn, ale Nift już odłożył słuchawkę.

Przy kolacji Jody nie wspominała o rozmowie z babcią. Nie wiedziała, po co takie sekrety, ale babcia wymogła na niej solenną przysięgę, że ich rozmowa pozostanie tylko między nimi. Jody, która nigdy nie miała najlepszej przyjaciółki, zgodziła się.

Ale opowiedziała Quinnowi i Pearl o rozmowie z Josephem Coilem.

Wysłuchali jej uważnie. Pearl nabiła na widelec trochę sałatki i rozmyślała, żując i połykając.

- Ta gadka o całkowitej plastyczności prawa to stek bzdur - powiedziała, splukując sałatkę łykiem wina.

- Niestety, moim zdaniem Coil ma rację - rzekł Quinn, spoglądając na Jody poprzez stół.

Jody odchyliła się na oparcie krzesła i sącząc wino, przyglądała im się z namysłem.

Szary łepiek kota Gadusia wychylił się nad blatem stołu. Gaduś wpatrywał się w Quinna zmrużonymi oczyma, najwyraźniej gotów przetrzymać jego spojrzenie. Quinn zdał sobie sprawę, że kociak mógł leżeć na kolanach Jody przez całą kolację.

- Pomagacie, jak umiecie - powiedziała Jody.

- Staramy się. - Quinn i Pearl odpowiedzieli niemal jednocześnie.

Jody uśmiechnęła się szeroko.

- Doceniam to. - Znowu wyprostowała się na krześle, a łeb Gadusia zniknął. - Macie nowe informacje na temat denatki?

- Zależy - odpowiedział Quinn - czy zamierzasz jeść deser.

Leighton, stan Wisconsin, 1986

Rory, zgarbiony nad kierownicą impali swojej mamy, właśnie miał wejść w zakręt obok Cheever's Hardware i wyjechać na lokalną drogę, kiedy zobaczył jedno z ogłoszeń.

Wisiało na słupie telefonicznym, a pod dużym czarnym nagłówkiem „ZAGINAŁ” widniało zdjęcie kudłatego psa, czarnego jak litery nagłówka.

W pierwszej chwili Rory nie skojarzył ogłoszenia ze swoją osobą - tak głęboko w niepamięć zepchnął noc, kiedy potracił i zakopał psa. Nie - kiedy oszczędził zwierzęciu niepotrzebnych cierpień. To był humanitarny uczynek.

Sekwencja wydarzeń z tamtej nocy przewinęła mu się przed oczami i nic nie mógł na to poradzić. Przypomniawszy sobie, jak do nich doszło. Dlaczego. Jakie miały znaczenie.

Tak, po raz drugi postąpiłby identycznie. Może i jego działania miały w sobie okrucieństwo, ale przede wszystkim były słuszne.

Zatrąbił klakson, gdy Rory prawie wjechał w znak stopu.

Poczuł ukłucie paniki. Samochód zabrał bez pozwolenia. Matka by się wściekła, gdyby z jakiegoś powodu wyszła wcześniej ze spotkania klubu książki i odkryła, że pożyczył chevy'ego i prowadził go bez prawa jazdy.

Mężczyzna w pikapie z odkrytym tyłem, który przeciął przed nim skrzyżowanie, obrzucił Rory'ego spojrzeniem i dodał gazu.

Rory'ego to nie zezłościło. Martwiła go jedynie myśl, że mama wróci wcześniej i zepsuje mu dzień. Ale jeszcze zanim wsiadł do samochodu, przewidział taką możliwość i zaakceptował ją.

Przestał więc martwić się mamą - bo było to nielogiczne - i ponownie skupił się na zdarzeniu z psem.

Zjechał na pobocze i wrzucił luz. Zakładał, że nigdy nie będzie musiał wracać myślami do zabitego psa, ale, co oczywiste, wrócił. Właściciel łatwo nie zrezygnuje.

W jakiej więc stawia mnie to sytuacji? Jak powinienem się z tym czuć?

Nie, źle postawione pytanie. Co powinienem zrobić?

Odpowiedź przyszła natychmiast. Nic.

Pies z łbem zmiażdżonym kamieniem nie został znaleziony (tak jak było zaplanowane). Nie było żadnych śladów, które pozwalały na powiązanie Rory'ego z psem (tak jak było zaplanowane). Właściciel tęsknił za psem (żadna niespodzianka) i w całym mieście przybijał ogłoszenia z napisem „ZAGINAŁ” (co też nie powinno być niespodzianką).

Logiczna reakcja? Znowu zapomnieć o sprawie z psem - z pominięciem chwil, kiedy trzeba będzie patrzeć na te cholerne afisze.

Uśmiechnął się. Nieoczekiwany obrót spraw (który jednak powinien był przewidzieć) nie wiązał się z najmniejszym zagrożeniem. Wstępny osąd sytuacji i wynikające z niego czyny były właściwe. Nic w zasadzie się nie zmieniło.

Rory wrzucił bieg, zerknął w lusterko wsteczne, spojrział przez ramię, po czym wyprowadził wóz na szosę.

Popatrzył na zegarek na desce rozdzielczej. Spotkanie klubu książki skończy się za pół godziny, co oznaczało, że mógł spokojnie jeździć jeszcze przez dwadzieścia minut.

Ruszył wzdłuż High Street, mniej więcej w kierunku domu. Nieliczni mieszkańcy snuli się po chodnikach, wchodzili i wychodzili ze sklepów, mimo że temperatura przekraczała

trzydzieści stopni.

Rory wygodniej rozsiadł się na miękkim fotelu i kierował tylko przegubem ręki założonym za koło kierownicy. Klimatyzacja działała bez zarzutu, silnik chodził gładko, bez żadnych stuknięć. Rory naciskał guziki w radiu, dopóki nie znalazł rapu, i podkręcił dźwięk.

A wtedy zobaczył dziewczynę zawieszającą ogłoszenie o zaginionym psie.

Od razu ją rozpoznał i zwolnił, patrząc, jak wiatr przyciskał materiał bluzki i spodni do boku jej ciała, jak wyginały się jej plecy, gdy jedną ręką przytrzymywała ogłoszenie w górze, a drugą je przybijała, jak w podmuchach wiatru kołysał się lekko jej koński ogon i jak pracowało ramię, wbijające gwóźdź w drewno słupa telefonicznego. Słup znaczyły dziesiątki otworów po gwoździach, którymi przybijano zawiadomienia o wyprzedaży używanych przedmiotów albo ogłoszenia o zaginionych zwierzętach, takie jak to. Płócienna torba u jej stóp na pewno kryła więcej afiszy. Rory kochał się w tej dziewczynie, a ona... Cóż, ona go lubiła. Nie, więcej niż lubiła - Rory był tego pewien. Miał taką nadzieję. Nazywała się Sherri Klinger. Im częściej powtarzał sobie jej imię, tym bardziej, w przedziwny sposób, nabierało melodyjności.

Była bystra jak on - też została objęta zaawansowanym programem nauczania.

Rozumiała, co do niej mówił. On też ją rozumiał i zgadzał się niemal z każdym jej słowem.

Nie wiedział, że miała psa.

Kiedy samochód zupełnie wytracił prędkość i zatrzymał się tuż za nią, odwróciła się i poznała Rory'ego. Wrzuciła młotek do płóciennej torby, podniosła ją za ucho i z uśmiechem podeszła do samochodu.

Rory wyłączył radio, po czym nacisnął i przytrzymał przycisk opuszczający okno.

- Rory - powiedziała, nachylając się, żeby go widzieć. Chyba ucieszyła się na jego widok. - Nie jesteś zbyt młody, żeby prowadzić?

Rory posłał jej uśmiech, który jego zdaniem był zniewalający.

- Jestem zbyt młody na wiele rzeczy, które robię.

- Wierzę. - Jej twarz, którą tak często wyobrażał sobie przed snem, spoważniała. - Może widziałeś gdzieś Zbója?

- Nie znam żadnego.

- To mój pies, głuptasie.

- Ten na ogłoszeniu?

- Brawo.

- Nie widziałem. - Jakże łatwo jest kłamać ze świadomością, że oszczędzi to bólu komuś, kogo się kocha. - Uciekł?

- Aha. Nie pierwszy raz. Ale do tej pory zawsze wracał.

O ile ciężiej by jej było, gdybym powiedział prawdę...

- Więc chodzisz po mieście i rozwieszasz ogłoszenia.

- To było ostatnie. - Ruchem głowy wskazała afisz na słupie telefonicznym.

- Może pojeździmy po okolicy i poszukamy Zbója?

- Bo ja wiem...

- Zostało mi trochę czasu, zanim będę musiał odprowadzić wóz.

- Twoja mama wie w ogóle, że go wzięłeś?

- Nie zadawaj pytań, to nie będę kłamał.

Uśmiechnęła się.

- Wskakuj - powiedział Rory. - Dla Zbója.

- Dla Zbója - powtórzyła. Zarzuciła płócienną torbę na ramię i obesła przód samochodu.

Obserwował, jak szła, jak falowały jej włosy, jak łagodnie,

rytmicznie kołysały się jej piersi. Czuł pożądanie i satysfakcję.
Całą tę sprawę z ogłoszeniem obrócił na swoją korzyść.

Nowy Jork, dzisiaj

Neeve Cooper siedziała samotnie na ławeczce w Central Parku i czytała kolejne strony grubego wydruku Długich kłów, książki o wampirach, którą przydzieliło jej nieduże wydawnictwo o nazwie Paranormal Books.

W prawej ręce dzierżyła zaostrowany czerwony ołówek, którym od czasu do czasu robiła zaznaczenie albo notatkę na marginesie strony. Książka zostanie wydana jako e-book, ale także w formach audio i drukowanej. Jej redakcja będzie obowiązywała w każdej z tych form. Neeve przez prawie pięć lat była zastępcą redaktora w wydawnictwie Noir & More, którego biura mieściły się na Hudson Street. Potem Noir & More zostali wykupieni (wchłonięci, jak zwykli mawiać biznesmeni) przez Schmelder i Knott, duże niemieckie wydawnictwo zajmujące się także dystrybucją sprzętu narciarskiego. Problem polegał na tym, że połowa pracowników Noir & More, w tym Neeve, nie została wchłonięta razem z firmą.

Została więc redaktorką niezależną: zajmowała się adiustowaniem tekstów dla wydawców, którzy, jak Noir & More, mieli problemy personalne w tych ciężkich dla rynku wydawniczego czasach.

Neeve uważała, że załapanie się do Paranormal Books było łutem szczęścia. Stać ją było dzięki temu na jedzenie i czynsz, chociaż miała już serdecznie dosyć czytania o wampirach i zombi. Poprzednio pracowała nad książką o wampirycznym kocie. Najgorsze było, że w połowie lektury zaczęło jej się to cholerstwo podobać.

Spojrzała na zegarek, po czym zdjęła okulary do czytania i odgarnęła opadający na policzek kosmyk długich czarnych włosów. Była piękną kobietą o brązowych oczach; miała trzydzieści pięć lat, ale wyglądała młodziej, a kiedyś nawet próbowała zrobić karierę w balecie. Jej silne, gibkie ciało stworzone było do tańca; miała też zmysł równowagi. Odkryła jednak z przerażeniem, że zaczyna rosnać jej biust, i to duży - inne dziewczyny jej zazdrościły. Ale to nie one marzyły o balecie. Neeve zastanawiała się nad chirurgicznym pomniejszeniem, ale matka powiedziała jej, że to szaleństwo i że znała kobiety, którym piersi po pomniejszeniu znowu zaczęły rosnać.

W wieku osiemnastu lat Neeve ostatecznie pożegnała się z baletem. Dostała się na studia i ukończyła filologię angielską.

Gdy bez wysiłku schyliła się, żeby włożyć ściągnięty gumką wydruk książki o wampirach do leżącej na ziemi torby na laptopa, widać było grację, którą jej ruchy zachowały od czasów baletu. Neeve używała torby do noszenia wydruków książek (mieściły się idealnie, o ile nie przekraczały sześciuset stron). Zarzuciła na ramię pasek z ochraniaczem, podniosła swoją torebkę - tanią podróbkę Gucciego - i wstała z ławki. Kilka osób patrzyło za nią, gdy odchodziła. Niektórzy mężczyźni jak zahipnotyzowani. Poruszała się jak w tańcu.

Musiała się pospieszyć, żeby zdążyć na czas do restauracji Pig in a Poke. O dwunastej trzydzieści była umówiona z trójką znajomych, co oznaczało, że ma jeszcze piętnaście minut.

Zaczęła energiczniej wyciągać nogi, długie nawet na płaskich podeszwach butów do joggingu. Wydłużenie kroku mocniej zaakcentowało zgrabny ruch kostek i grę mięśni łydek.

Kobieta o sylwetce idealnej.

Po wyjściu z parku musiała na pierwszym skrzyżowaniu

zaczekać w grupce przechodniów na zmianę świateł. Wsłuchiwała się w swój ciężki oddech. Traciła formę.

Zrozumiała też, że nie miała powodu do pośpiechu. Jej przyjaciele będą w restauracji, nawet jeśli zjawi się pół godziny później. Nie szła przecież na jeden z obiadów służbowych, do których tak przywykła w Noir & More. Nie musiała być punktualnie. Samozatrudnienie miało swoje niewątpliwe zalety.

Zwolniła tempo i uśmiechnęła się. Samozatrudnienie. Sama sobie daje pracę.

Przyszłość była niepewna, ale ostatnio Neeve dostawała wystarczającą liczbę zleceń.

Czytanie powieści o wampirach nie było w gruncie rzeczy takie złe. W dodatku jedno z dużych wydawnictw zgodziło się przesyłać jej teksty pocztą elektroniczną, będzie więc mogła pracować na komputerze. Rzadziej będzie taszczyła kilogramy papieru, a i tak od czasu do czasu wypuści się do parku, zabierając ze sobą laptopa. Nie był nawet w połowie tak ciężki jak papierowe wydruki.

Neeve trudno było pokonać niepokój i nerwowość, które ostatnio jej towarzyszyły.

Doszła do wniosku, że odrobina ryzyka i niepewności jutra może jej wyjść na dobre. Rynek wydawniczy zmieniał się i nikt nie potrafił dokładnie przewidzieć, czym zakończą się te zmiany. Gdy Neeve przywyknie do wiążącej się z tą sytuacją niepewności, może zacznie ją cieszyć życie wolnego strzelca. Może właśnie pukała do drzwi ukryta okazja.

Długie kły nagle wydały się jej lżejsze.

Biblioteka imienia Alberta A. Aala pachniała dokładnie tak, jak powinna pachnieć biblioteka: starymi książkami i drewnem przesiąkniętym wonią potu. Było w niej też należycie cicho.

- Nie musimy uważać na panią Culver tak jak kiedyś - powiedziała Penny, gdy Feds, zanim cmoknął ją w policzek, odczekał, aż główna bibliotekarka spojrzy w inną stronę. - Ostatnio jest w depresji.

- Przykro mi - powiedział Fedderman. - Biblioteki upadają?

- Można to tak ująć. Martwią ją e-booki.

- A kogo nie martwią?

- Nie ma w tym nic śmiesznego, Feds. To tak, jakby wam odbierali pracę zrobotyzowani policjanci.

- Tak właśnie się dzieje. - Fedderman zerknął ku wejściu do biblioteki, w pobliżu którego siedziała pogrążona w rozpacz pani Culver. - Powinna już pogodzić się z postępem.

A biblioteki nie znikną przez jedną noc tylko dlatego, że niektórzy nagle polubili czytanie książek na małych ekranikach. Dla własnego dobra powinna się rozchmurzyć.

- Pani Culver ma skłonności do tragizowania.

- Jest takie słowo?

- Już jest. Nie wiem, czy pani Culver potrafi samą siebie przekonać, że jej poważny problem to w gruncie rzeczy rozterka. Cóż, każdy ma jakieś strapienie, z którym lubi się pieścić.

- W mojej pracy chyba jest podobnie. Z Quinnem. Nie tragizuje, ale obsesyjnie angażuje się w pracę. W pewien sposób zatrzaskuje się na problemie i całkiem przypomina w tym panią Culver.

- A propos twojej pracy: w dzienniku mówili, że zeszłej nocy w East Village złodziej samochodów zastrzelił policjanta z wozu patrolowego.

- Młodziaka o nazwisku Messerschmitt - potwierdził Fedderman. - Pracował w policji od niecałego roku.

- Miał żonę?

Fedderman domyślił się, że Penny zna odpowiedź na to pytanie.

Oswajał się już z jej sposobami działania.

- Żonę i małego synka - odparł.

- Rozumiesz już, co mam na myśli, kiedy narzekam na los żony policjanta? - spytała Penny. - Nawet nie znam tej kobiety, a rozplakałam się, słysząc wiadomość w telewizji.

Identyfikowałam się z nią.

- Nie masz dziecka, Pen.

- Wykręty nie zmniejszą wagi problemu, Feds. Mówisz mi, żebym się o ciebie nie martwiła, a tu zabijają człowieka, który nawet roku nie przepracował w policji.

- Wyciągnął broń, chociaż nie musiał - powiedział na to Fedderman.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Wieści szybko się rozchodzą. Złodziej został osaczony i spanikował. Miał broń. To był szesnastoletni chłopak.

- Twierdzisz, że to wina Messerschmitta?

- Twierdzę, że popełnił błąd, którego ja bym nie popełnił. On też by go nie popełnił, gdyby miał więcej doświadczenia. Sądzisz, że im dłużej policjant nie zostaje raniony albo nie ginie, tym bardziej rachunek prawdopodobieństwa działa przeciwko niemu. To nieprawda.

Jest na odwrót: im dłużej w tym siedzisz, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że zrobisz coś, co ci zaszkodzi.

- Wszystko może się zdarzyć - powiedziała Penny.

- Nawet tym, którzy wolą kryć się w bezpiecznym kokonie. Na przykład w bibliotece.

- Jesteś niemożliwy!

- Próbuję ci uzmysłwić, że martwisz się o mnie bezpodstawnie.

Penny zaczęła tracić cierpliwość.

- Nosisz broń. Noszą ją ci, z którymi się stykasz. Koniec tematu.

- Może twoja siostra też powinna nosić broń. - Fedderman zorientował się, że przesadził, już w chwili, w której to mówił.

Poza tym nie miał racji: Nora, siostra Penny, prawdopodobnie zginęłaby z ręki okrutnego seryjnego mordercy, nawet gdyby miała broń. Napastnik - czyli ten, kto wykonał pierwszy ruch - prawie zawsze wygrywał walkę. Drapieżcy tego świata doskonale rozumieli tę zasadę. Ustawa Sullivana utrudniła obnoszenie się z bronią po Nowym Jorku. O tym drapieżcy też wiedzieli.

- Przestań częstować mnie tekstami rodem z Drugiej Poprawki - powiedziała Penny.

- Dobrze. Przepraszam.

Penny odwróciła się i zaczęła odstawiać książki na półki. Fedderman wiedział, że jest wściekła i że nadal będzie myślała - i mówiła - że powinien zmienić zawód.

- Pen...?

Nie zamierzała odpowiadać. Odłożyła książkę na miejsce z takim impetem, że półka się zakołysała. Mężczyzna rozglądający się po dziale biografii posłał jej karcące spojrzenie.

Fedderman wiedział, że nic nie może zrobić, dopóki Penny nie ochłonie. A wszystko przez to, że Messerschmitt nie potrafił utrzymać broni w kaburze.

Nie dało się rozmawiać z Penny, kiedy była w takim stanie i tak się zachowywała, odwrócił się więc i klnąc pod nosem, poczłapał obok recepcji i stolika na zwroty do wyjścia z biblioteki.

Nie podobało mu się, co ich konflikt robi z Penny. Z każdą kolejną rozmową wydawała się bardziej zmartwiona. I bardziej zła.

A znał ją na tyle, żeby mieć pewność co do jednego: Penny zrobi coś z tym, co budziło jej złość.

Jak to się skończy, do cholery?

Wiedział, jak - i to zbyt często - kończyły się małżeństwa glin.

Dotarł do drzwi oszklonych kolorową szybą, napał całym ciałem na metalowy uchwyt i ogarnął go panujący na zewnątrz skwar.

Gdy zerknął za siebie, napotkał spojrzenie pani Culver. Patrzyła na niego, jakby był e-bookiem.

- Według mnie powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z Pansy Lieberman - stwierdził Sal.

- O, rzadkie nazwisko - zamyślił się Mishkin. - Lieberman...

Sal spojrział na niego. Trudno było rozgryźć Harolda.

Stali na ulicy przed blokiem, w którym mieszkała Deena Vess. Nachodzili lokatorów sąsiednich budynków i w stojącym najbliżej Sal spotkał Pansy Lieberman. Była chętna do rozmowy, w przeciwieństwie do większości sąsiadów Deeny, może więc gra była warta świeczki.

- Twierdzi, że widziała kobietę opuszczającą blok Deeny mniej więcej w porze morderstwa.

- Jak to możliwe, skoro mieszka w bloku obok? - spytał Harold.

- Niech sama ci to wyjaśni, Haroldzie. Sprawdzimy w ten sposób, czy po raz drugi opowie to samo.

- A jeśli opowie dokładnie to samo...

- Wiem, Haroldzie - nauczyła się bajeczki na pamięć.

- Chciałem powiedzieć, że nie będzie trzeba drugi raz robić notatek.

Sal nie uwierzył.

- Chodźmy do tej Pansy - burknął.

Mieszkanie Pansy znajdowało się na tym samym piętrze co mieszkanie Deeny. Z okna na korytarzu widać było okno w budynku ofiary; możliwe, że na półpiętrze. Sal zastanawiał się, czy to miało jakieś znaczenie. Jeśli Pansy Lieberman należała do osób angażujących się w sprawę zabójstwa tylko po to, żeby mieć swoje pięć minut, mogła wykorzystać okno wychodzące na sąsiedni blok,

aby uwiarygodnić swoją opowieść. Nie zrobiła tego. Okno nie pojawiło się w jej zeznaniu.

- Wejdźcie, panowie - powiedziała z szerokim uśmiechem. Była jedną z tych pięknych kobiet, które nie zdawały sobie sprawy ze swojej urody. Albo uważały ją za coś oczywistego.

Pansy miała trzydzieści parę lat, nosiła spodnie z szerokimi nogawkami i bluzkę w szare i białe paski, przez co wyglądała jak wyjątkowo atrakcyjny więzień. Krótkie ciemne włosy ścięła chyba maszynką elektryczną. Jedynym zgrzytem w jej urodzie były uszy: odstawały od czaszki prawie pod kątem prostym. W połączeniu z szerokim uśmiechem nadawały jej twarzy elfi, filuterny wyraz. Na nogach miała rozchodzone, wsuwane sandały. Sal zauważył, że pomalowała - lśniącym czerwonym lakierem - tylko palce lewej stopy. Czyżby jej przerwali?

Zauważyła jego wzrok skierowany na swoją stopę i odgadła, o czym myślał.

- Nie maluję paznokci tej stopy, kiedy ich używam - wyjaśniła. - Robią się od tego śliskie.

- Rozumiem - odpowiedział Sal, chociaż nic nie rozumiał.

Harold zerknął nad jego ramieniem na błyszczący, otwarty egzemplarz „New Yorkera” rozłożony na podłodze przed sofą.

- Przewraca pani kartki stopą - powiedział.

Pansy uśmiechnęła się z sympatią.

- Ależ jest pan bystry!

Sal zastanawiał się, jak Harold na to wpadł. Wtedy zauważył sposób, w jaki zmięte były strony czasopisma, i że na jednej z nich widniał słaby, ale rozpoznawalny odcisk nagiej stopy.

- Założyła pani sandały, żeby otworzyć nam drzwi - powiedział, z niejaką konsternacją zdając sobie sprawę, że stara się dorównać Haroldowi i zrobić wrażenie na tej kobiecie.

- Tylko prawy. Drugi miałam na nodze - odpowiedziała i znów się uśmiechnęła. - Nie chciałam panów przywitać, idąc krzywo. Jeszcze kazaliby mi panowie dmuchnąć w balonik...

Sala zaciekawilo, jak ta kobieta wypadłaby w roli świadka na sali sądowej, gdyby sprawa kiedykolwiek trafiła na wokandę.

- Czy zechciałaby pani opowiedzieć detektywowi Mishkinowi to, co opowiedziała pani mnie? - zapytał, przechodząc do sedna.

- Podejrzewałam, że po to panowie przyszli - rzekła. Głęboko zaczerpnęła powietrza, jakby chciała powiedzieć wszystko na jednym wydechu. - Pani Metzger, która mieszka w sąsiednim budynku, pojechała do Minneapolis, do swojej córki, a ja zachodzę do jej mieszkania, żeby nakarmić Lewka. Mamy taką umowę.

- Lewek to pies czy kot? - zapytał Sal.

- Rybka.

- Och.

- Doglądam jej - ciągnęła Pansy - a za to, kiedy ja wyjeżdżam, pani Metzger podlewa moje roślinki.

Harold rozejrzał się. Zobaczył okrągłe i podłużne doniczki, w których rosły marnie wyglądające pelargonie i jakieś inne kwiaty, których nie rozpoznał.

- W każdym razie - mówiła Pansy - wracałam stamtąd schodami. Czasem tak robię, to poprawia kondycję. I na piętrze, na którym mieszkała Deena, zerknęłam w głąb korytarza.

Zobaczyłam kobietę, która oddalała się od jej mieszkania i szła w stronę windy.

- Wyszła z mieszkania Deeny? - spytał Harold.

Sal posłał mu spojrzenie mówiące „nie sugeruj odpowiedzi”.

- Pewności nie mam - odparła Pansy - ale to możliwe.

- Potrafi ją pani opisać? - Sal udawał, że notuje, ale nie musiał - wszystko zgadzało się z poprzednią opowieścią.

- Szczerze mówiąc - nie. W obydwu wypadkach twarz miała zwróconą w inną stronę.

- W obydwu wypadkach?

- Tak. Już raz ją widziałam, na ulicy. Spieszyła się do stojącej na rogu taksówki.

Poznałam ją po błękitnym płaszczu przeciwdeszczowym i po parasolce.

To było coś nowego. Sal kątem oka dostrzegł, że Harold robi zapiski w swoim notatniku.

- Czy wyszła wtedy z budynku Deeny Vess?

- Nie mam pewności.

- Ale to na pewno była ta sama kobieta?

- Tak. Minęła mnie na chodniku, ale szła szybko, a ja patrzyłam w drugą stronę. Było w niej jednak coś charakterystycznego, nie licząc płaszcza i parasolki. Coś, co mi nie pasowało. Może dlatego, że wydawała się za stara na znajomą Deeny. Odniosłam wrażenie, że była mniej więcej w średnim wieku. I w jej ruchach wyczuwało się jakąś pewność siebie...

- A gdybyśmy pokazali pani zdjęcia...? - zapytał Sal.

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, żebym ją rozpoznała. Mogła mieć powyżej czterdziestu lat. Nieokreślony kolor włosów. Nie poruszała się w szczególnie charakterystyczny sposób. I nigdy nie przyjrzałam się dobrze jej twarzy.

- Ale przez chwilę była pani blisko niej.

- Tylko przez chwilę, kiedy nadepnęła mi na nogę. Zbiegiem okoliczności akurat na tę. - Uniosła naga prawą stopę. - Bardzo mnie bolało i nie zwracałam uwagi na to, co dzieje się dookoła. Patrzyłam na mój biedny paluszek. Kobieta przeprosiła, ale nie zatrzymała się i była już daleko, kiedy podniosłam głowę, żeby powiedzieć jej, że nic się nie stało i że co rusz sama nadeptuję sobie

na tę stopę.

- Coś szczególnego w jej głosie?

- Niespecjalnie. Nieco głęboki, chropawy. Może dużo pali.

- A zapach? - spytał Harold.

- Przepraszam?

- Czy pachniała w jakiś szczególny sposób? Wie pani - perfumami, tytoniem...

- Nic takiego nie pamiętam.

- Czy to drugie spotkanie także miało miejsce w dniu morderstwa? - spytał Sal.

- Nie, jakiś tydzień wcześniej. Dlatego nie od razu sobie o nim przypomniałam. - Usiadła na beżowym fotelu z drewnianymi poręczami i podwinęła pod siebie smukłe nogi.

Sal bardzo by chciał, żeby jego nogi wciąż jeszcze były tak giętkie. Cóż - nigdy takie nie były.

Wymienili z Haroldem ledwie dostrzegalne spojrzenia. Nie mieli więcej pytań.

Przynajmniej nie w tej sprawie.

- Dlaczego? - zapytał Sal.

Wyglądała na zdezorientowaną.

- Dlaczego przewraca pani strony „New Yorkera” palcami u stóp?

- Bo od tego palce nabierają sprawności.

- I żeby obejrzeć kolejny rysunek satyryczny - powiedział Harold.

- Też.

- To nie całkiem odpowiedziało na moje pytanie - rzekł Sal.

- Słusznie - uśmiechnęła się Pansy. - Wróciłam na studia, na antropologię. Byłam ciekawa, jak to będzie nauczyć się używania stóp w sposób, w jaki mogli używać ich nasi dalecy przodkowie.

Kiedy wyrobi się nawyk używania ich jak rąk, staje się to czynnością naturalną. Zdziwiłby się pan, jak bardzo.

- Wątpię, żeby nasi dalecy przodkowie rozumieli rysunki satyryczne - powiedział Sal.

Sam nie zawsze je rozumiał.

- I tu mogliby pana zaskoczyć. Do zrozumienia wielu takich rysunków niepotrzebna jest znajomość języka.

- Pani przecież w ogóle nie chodziło o rysunki satyryczne - pospieszył z wyjaśnieniem Harold. Jakby trochę rozdrażniony, uznał Sal. Mężczyźni musieli to uwielbiać: osłanianie własną pierśią uciśnionej, małej Pansy. Jakże musiała nimi manipulować!

- O co zatem?

- O empatię - powiedziała Pansy. - Chcę doświadczyć choćby skromnego wyobrażenia, co czuli nasi przodkowie, kiedy za pomocą stóp wykonywali precyzyjne czynności. Jakie mogło to być wrażenie. - Z uśmiechem potrząsnęła głową. - Pewnie myśli pan, że zwariowałam.

- Ależ skąd - zaprzeczył Sal, zastanawiając się, ilu jej przodków prenumerowało „New Yorkera”.

- Też to robimy w naszej pracy - odezwał się Harold. - Używamy empatii, żeby zrozumieć, dlaczego niektórzy zabijają. Dlaczego nie mogą przestać.

- To trochę niebezpieczne - zauważyła Pansy. - Nasze korzenie mogą sięgać głębiej, niż sądzimy, a wejście na glebę, z której wyrosły, może być przerażającym doświadczeniem.

- Dlatego tylko się wczuwamy - odparł Harold. - To najważniejsza różnica pomiędzy nami a ludźmi, których staramy się pojmać i powstrzymać.

Wyraźnie zachwycona Pansy obdarzyła go promiennym, ciepłym spojrzeniem - Wyjątkowo spostrzegawczy z pana człowiek.

- Taka praca - odpowiedział Harold. - Ona czyni mnie spostrzegawczym.

Sal mało nie puścił pawia.

- Może zostaniecie na herbatę? Albo na kawę? - spytała Penny. - Obydwaj, oczywiście. - Ale patrzyła na Harolda.

- Dzięki - powiedział Sal - ale musimy złożyć jeszcze kilka wizyt.

- To może kiedy indziej?

- Jeśli przypomni się pani coś związanego ze sprawą - rzekł Sal - proszę do mnie zadzwonić. Jeśli będzie trzeba, może pani zostawić wiadomość. Oddzwonię. Ma pani moją wizytówkę.

Pansy otworzyła im drzwi i przez chwilę odprowadzała ich wzrokiem, aż wreszcie wycofała się do mieszkania i zatrzasnęła zamki.

- Ciekawe, co jeszcze potrafi zrobić palcami u stóp - rozmarzył się Harold, gdy zjeżdżali windą.

- Haroldzie, ta kobieta jest ze dwadzieścia lat młodsza od ciebie! Haroldzie...?

- Przepraszam. Dałem się ponieść empatii.

Jerry Lido, geniusz komputerowy stale współpracujący z QUiZ, podszedł do biurka Quinna, kręcąc głową. Lido potrafił znaleźć wszystko, co tylko można było wysledzić w Internecie - jakby miał jakiś wewnętrzny GPS.

Quinn podniósł wzrok i zauważył wyraz twarzy Lida.

- Masz coś? - spytał. Wiedział, że Lido nie przespał większej części nocy: pił, obcując ze swoim komputerem. Teraz wyglądał na wykończonego, choć minę miał triumfującą.

- Znalazłem w necie kilka sklepów, w których można kupić klucz do wrotek.

Włamałem się do ich baz danych, ale nic to nie dało. Zeszło mi z tym do szóstej rano.

Kimnąłem się chwilę, ogarnąłem chatę i poszedłem do restauracji na Houston wszamać śniadanie. - Lido uśmiechał się pełną gębą.

Quinn tracił cierpliwość.

- I?

Lido rzucił na biurko klucz od wrotek, wyglądający identycznie jak ten na czole zwłok Deeny Vess.

- Znalazłem go w małym sklepie rowerowym w Village. Sprzedają tam też deskorolki i tym podobne. Mają i wrotki, ale nie takie, co potrzebowałyby klucza. Klucz znalazłem w małej skrzyneczce przy wejściu do sklepu. Było ich w niej od cholery. - Uśmiech Lida przygasł. - W tym problem. Każdy mógł wejść i zwinąć jeden.

- Pytałeś, czy jakieś ostatnio sprzedali? - Quinn już znał odpowiedź.

- Ani jednego, i to prawie od roku - odpowiedział Lido. - Gość pozwolił mi wziąć ten za darmo.

- Ślepy zaułek - posępnie mruknął Quinn.

- Taaa... To nie był klucz do sprawy.

Quinn pochylił się nad papierami z uporem człowieka, który przywykał już do frustracji, ale oswoić się z nią nie potrafił.

- Idź na jakieś większe śniadanie, Jerry.

Co było kluczem do sprawy?

Zupełnie jakby podglądała bawiące się dinozaury - jeśli pominąć wielkie opony z kolcami.

Ryk maszyn obudził ją punktualnie o ósmej i przez trzy godziny nie cichł nawet na chwilę, więc nie udało się jej ponownie zasnąć. Mildred Dash stała przy oknie swojego mieszkania i obserwowała maszyny budowlane, warczące po drugiej stronie ulicy.

Ściany budynków z cegły i kamienia zburzono wiele dni temu. Obecnie dinozaury zgarniały ruiny; po niektóre kawałki sięgały dźwigi (tak bardzo przypominające brontozaury!), podnosiły je i ładowały na wywożące gruz kwadratowe wywrotki o potężnych silnikach.

Mildred była wysoka i nieco zbyt posągowa, żeby mogła uchodzić za atrakcyjną.

Choć poruszała się dystyngowanie - wręcz arystokratycznie - odnosiło się wrażenie, że była zbyt grubo ciosana jak na kobietę. Jej przyprószone siwizną czarne włosy już rzedyły, rysy twarzy miała rzeźbione, ale niewystarczająco misternie, nos - nieco zbyt wydatny, podbródek - zanadto spiczasty. Gdy była młodą dziewczyną, chłopcy za nią szaleli; teraz ci sami chłopcy raczej by się jej bali, jak groźnej nauczycielki na zastępstwie.

W każdym razie Meeding Properties do spółki z Endersem i Coilem nauczyli się traktować ją poważnie.

Ciągle miała na sobie szlafrok - nigdzie się dziś nie wybierała. W żaden sposób nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że jeśli wyjdzie z mieszkania, jeśli wyjdzie z budynku, opuści okolicę choćby na krótką chwilę - dinozaury zaatakują. Nie wróciłaby do domu, ale

do jego ruin.

Była kiedyś czynną zawodowo prawniczką, znała więc wagę fait accompli. Jeśli budynek, w którym mieszkała, byłby całkowicie pusty, jego zburzenie nikomu nie wyrządziłoby szkody. Nawet gdyby miała szansę na drodze prawnej odradzić wyburzenie w nieskończoność, pył unoszący się nad gruzami odebrałby sens jej poczynaniom. Mildred Dash znała możliwości prawa. Znała też jego ograniczenia.

Z dotychczasowego przebiegu spraw wnioskuje, że Jack Enders nadal będzie starał się ją zastraszyć, a uprzejmy grzechotnik Joseph Coil nie zaprzestanie ofensywy, w której jako broni używał swego uroku „równiachy”. Nie ustawali w wysiłkach, żeby ją rozgryźć, żeby wy badać jej motywy i zamiary, bo - jak dotąd - nie widzieli w nich najmniejszego sensu.

I nie zobaczą. Nie oni. Nawet gdyby im je wyjaśniła, pokiwaliby głowami w nieszczerym zrozumieniu i zaproponowałyby jej pieniądze. A przynajmniej próbowaliby odwieść ją od dotychczasowej nieustępliwości. Z prześladowców chcieliby zmienić się w zbawców.

Ich domysły musiały być z gruntu błędne, bo brakujący kawałek układanki znała tylko Mildred. Meeding Properties i Enders z Coilem wiedzieli, jak niewiele czasu jej zostało. Nie rozumieli, czemu chciała ten czas spędzić tutaj, pośród gruzów, na rumowisku. A to miejsce zawierało w sobie jej życie - z mężem i z dziećmi, pełne radości i trosk. Kryło się w nim to, co było dla niej najważniejsze. Nadal się kryje.

Nadal tu jest.

Wyjaśnienie było tak proste i tak absolutnie im obce, że przegapili je, choć stale mieli je przed oczami.

Nie zgadzała się, żeby zakończyć życie, zanim umrze jej ciało.

Jody została sama w siedzibie kancelarii Enders i Coil. Recepcjonistka Dollie siedziała w poczekalni, odbierając telefony, ale ona się nie liczyła. Nie fatygowała się na teren biur, o ile nie miała dobrego powodu, a nie będzie go miała, ponieważ Jack Enders i jego współpracownicy byli w sądzie, a Joseph Coil leciał do Filadelfii, gdzie miał przesłuchać świadka.

Jody wzięła jeden z pendrive'ów, które kupiła na kredyt w sklepie z artykułami biurowymi i sprzętem komputerowym na Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy, i wśliznęła się do biura Endersa.

Było w nim bardziej niż spokojnie - panowała niemal absolutna cisza. Jody słyszała kiedyś, że biura Endersa i Coila były specjalnie izolowane, a przez to praktycznie dźwiękoszczelne. Niezupełnie pokrywało się to z prawdą. Gdy Jody wsłuchiwała się uważnie, słyszała szum ruchu ulicznego na Manhattanie.

Komputer Endersa stał wyłączony na biurku, bliżej skraju dębowego blatu. Jody włączyła go, zerknąwszy uprzednio przez listewki żaluzji zasłaniających okno na korytarz.

Wcześniej kilka razy przeszukała pobieżnie biuro i bez problemu zdobyła listę haseł, których używał Enders. Dostęp uzyskała, wpisując „Geniusz9578”. Wsunęła pendrive'a do portu USB z boku obudowy i skopiowała pliki i maile zapisane na twardym dysku.

Zajęło jej to niecałe pięć minut.

Wyciągnęła nośnik z obudowy komputera i schowała go do torebki. W biurze Josepha Coila powtórzyła całą operację, używając drugiego pendrive'a.

O ileż to wygodniejsze od wertowania papierowych akt w stalowych szafkach, zadumała się Jody. Technologia była jej sprzymierzeńcem.

Wspólnie ze sprzymierzeńcem Jody zamierzała sprawdzić, czy potwierdzą się jej podejrzenia co do Endersa, Coila i Meeding Properties.

Gdy była już bezpieczna w swoim gabinecie wielkości pudełka na buty, jej twarz rozjaśnił mimowolny uśmiech. Podobała jej się ta akcja, bez dwóch zdań. Jej intencją, owszem, było naprawienie zła, ale skradanie się, szpiegowanie i kuszenie losu też miało swój urok. Lubiła obliczać szanse, a potem podejmować ryzyko i osiągać cel, udowadniając sobie, że nie pomyliła się w obliczeniach. Niebezpieczeństwo... Kochała je do szaleństwa.

To mało powiedziane, że gdyby Enders lub Coil nakryli ją na kopiowaniu danych z komputera, rozpętałoby się piekło. Piekło by ją pochłonęło.

Jody wiedziała, że działała nielegalnie; udawanie nieświadomości byłoby bezcelowe.

Przyłapana, nie tylko wyleciałaby z praktyk, ale też straciłaby szansę na pracę w jakiegokolwiek szanowanej firmie prawniczej. Do tego prawdopodobnie aresztowano by ją i postawiono w stan oskarżenia. W końcu to prawników szpiegowała.

Z drugiej strony - prawo było plastyczne.

Od ławki w parku, na której pracowała nad Długimi kłami, Neeve dzielił tylko krótki spacer do restauracji The Happy Noodle. Ale i tak trochę się spóźniła na lunch z przyjaciółmi i dawnymi współpracownikami.

Melanie, która co jakiś czas organizowała ich wspólne spotkania i dokonała rezerwacji, siedziała u szczytu okrytego białym obrusem stołu. Rhonda i Lavella zajmowały miejsca po obu jej stronach. Przed każdą z kobiet stał drink, a obok leżały złożone na pół serwetki, wygięte czerwone pałeczki koktajlowe z plastiku i wyciśnięte plasterki cytryny.

- Metro się opóźniło - powiedziała Neeve, żeby usprawiedliwić swoje piętnastominutowe spóźnienie. Jednak prawda była taka, że torebka w połączeniu z torbą na laptopa, zawierającą opasły wydruk Długich kłów, ciążyły jej i poczuła się słabo. Znalazła bramę, w której mogła stanąć niepotrącana przez tłum przechodniów spieszących na lunch i starała się złapać oddech. Zjadła dziś tylko pączka na śniadanie, pomyślała więc, że może spadł jej poziom cukru.

Pogrzebała w torebce, znalazła zawinięte w papierek pozostałości cukierka Tootsie Roll i wrzuciła czekoladową łąkość do ust.

Chyba pomogło, bo wolniejszym krokiem ruszyła do restauracji, czując stopniowo powracającą energię.

Usiadła obok Lavelli, torebkę i torbę na laptopa stawiając na podłodze, oparte o nogę od krzesła.

Lavella była piękną czarnoskórą kobietą pracującą na

stanowisku zastępcy redaktora w jednym z większych wydawnictw. Zerknęła na torbę od laptopa.

- Jeśli kelnerka na to nadejście, będzie ci potrzebny nowy komputer - powiedziała.

- Nie noszę w tym komputera - odparła Neeve. - To książka.

- Nowy dreszczowiec?

- Powieść o wampirach.

- No, no! Dobra?

- Do dupy.

Pojawiła się kelnerka przypominająca młodą Susan Sarandon. Nie nadeptując na torbę, zanotowała zamówienie: białe wino dla Neeve i następna kolejka dla pozostałych.

Cztery kobiety pograżyły się w swobodnej rozmowie. Mówiły o tym, jak konsolidacja dużych wydawnictw i redukcja etatów zmusiły Rhondę i Neeve do pracy na własny rachunek; o destrukcyjnym wpływie e-booków; o nowej książce, którą przygotowywało wydawnictwo Lavelli, a która opowiadała o tajnym rządowym planie mającym doprowadzić do upadku rynku obligacji; o przyjęciu inaugurującym otwarcie księgarni specjalizującej się w kryminałach; o nowym chłopaku Melanie, który kiedyś grał w NBA, a o którym pozostałe trzy nigdy nie słyszały, choć udawały, że było inaczej. Wszystkie zgodziły się, że najnowszy bestsellerowy thriller o seryjnym mordercy grasującym w Nowym Jorku to bardzo dobra powieść. Były inteligentnymi, silnymi kobietami, które lubiły, gdy lektura budziła dreszcz strachu.

Neeve wprawdzie wypić o jedną kolejkę mniej niż pozostałe, ale kiedy wyszły z restauracji po zjedzeniu swoich zup i sałatek, była lekko wstawiona. Uściskały się i pod wielkim szyldem, zgodnie z nazwą przedstawiającym rozradowany makaronik^[4],

życzyły sobie nawzajem powodzenia, po czym rozeszły się, każda w swoją stronę.

Neeve miała o wiele lepszy nastrój i z zadowoleniem spostrzegła, że idzie po linii prostej, więc pewnie tak dużo nie wypila. No bo ile? Trzy kieliszki wina? Cztery? Cóż, piła pod makaron, czy raczej - popijała makaron, co było dla niej istotnym rozróżnieniem.

Po tym, co zjadła i wypila, zaczęła ogarniać ją senność. Gdy wróciła do domu i stanęła przed drzwiami mieszkania, wiedziała, że dziś raczej nici z dalszej pracy nad Długimi kłami.

Pierwszeństwo miała krótka drzemka.

Samozatrudnienie ma swoje zalety.

Quinn siedział za biurkiem z drzewa wiśni w swoim domowym gabinecie, czytał raporty Sala i Harolda i marzył o zapaleniu cygara. Te kubańskie, które miał, leżały samotnie w pojemniku zamkniętym w górnej szufladzie biurka. Gdyby zdecydował się zapalić jedno z nich w domu z czerwonobrazowego piaskowca - lub choćby w najbliższej okolicy - Pearl wywęszyłaby zapach tytoniu i zrugałaby go. A od niedawna musiał liczyć się z jeszcze jednym nosem. Jody wprawdzie nic by nie powiedziała, wyczuwszy dym tytoniowy, ale obdarzyłaby go smutnym, wzgardliwym spojrzeniem, bardzo przypominającym spojrzenie Pearl.

Quinn z roztargnieniem pomacał kieszeń koszuli, w której nie było cygara, i naszła go refleksja, jak byłoby cudownie, gdyby zeznania naocznych świadków były tak precyzyjne i przydatne, jak w programach telewizyjnych i filmach.

Gdyby z gdyby zrobić szyby, każdy z nas by szklarzem był.

To było powiedzonko jego córki, Lauri. Mieszkała w Kalifornii i - jak wynikało z rzadkich listów i pocztówek - nieźle tam sobie radziła. Kilkakrotnie wysyłała maile z załączonymi zdjęciami - była na nich z jakimś facetem, z którym się spotykała. Na imię miał chyba Gary. Tłem każdego zdjęcia były palmy, jakby miało to coś udowodnić. Nigdy nie wróciła do Nowego Jorku.

Quinn był ciekawy, jak Lauri dogadywałaby się z Jody.

Dzieliła je szerokość kontynentu. Możliwe, że nigdy się nie spotkają.

Melancholijnie nastrojony takimi myślami Quinn rozważał, czy nie zadzwonić do Renza - może nowojorska policja ma jakieś

informacje, które mogłyby pomóc w śledztwie.

Warto by przypomnieć Renzowi, że przepływ informacji powinien odbywać się w obie strony.

Jednak kontakty z Renzem zawsze go irytowały. Gdyby Renz chciał czymś się z Quinnem podzielić, zadzwoniłby, po co więc narażać się na rozmowę z cwany i ambitnym komisarzem policji?

Dlaczego ktokolwiek z własnej woli chciałby się na to narażać? Po spotkaniach z Renzem pozostawał odór zepsucia. Na długo. Jak promieniowanie odpadów radioaktywnych.

Quinn uznał, że lepsza już melancholia.

Renz leżał na plecach w hotelowym łóżku i wciąż jeszcze ciężko dyszał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zrzuci zbędnych kilogramów, seks z Olivią go zabije. Z drugiej strony, jeśli regularnie będzie uprawiał seks z Olivią, zrzuci te kilogramy na pewno. Ech, przy Olivii najzdrowszy mógl wyzionąć ducha.

Słyszał jak Olivia krząta się w łazience, a potem dobiegł go słaby syk prysznicza.

Zastanawiał się, czy miała w grafiku następne spotkanie. Wiedział, że była jedną z najdroższych call girls w mieście, choć nigdy nie poznał tajemnicy, ile dokładnie sobie liczy.

Dla niego była za darmo, dopóki trzymał obyczajówkę z daleka od z pozoru najzwyklejszej agencji towarzyskiej, dla której pracowała. Renz dziwił się czasem, jak fakt, że pieniądz nie przechodzi z ręki do ręki, zmienia postać rzeczy: rodził się tu prawdziwy związek, przynajmniej według niego. Nie miał pojęcia, jak patrzy na to Olivia Dupree, która tak naprawdę nazywała się inaczej.

Wiedział, jak brzmi jej prawdziwe nazwisko. Wiedział o niej wiele rzeczy.

Olive Krantz wyrosła w St. Louis, w ortodoksyjnej rodzinie

baptystów. Pierwsze kłopoty z prawem miała w wieku czternastu lat. Do osiemnastego roku życia oprócz posiadania marihuany i zakłócenia spokoju miała na koncie kradzież z włamaniem i prostytutkę. Już jako czternastolatka wyglądała raczej na piękną kobietę niż na podlotka. Gdy miała osiemnaście lat, jej uroda mogła złamać serce i rzeczywiście coś złamała - życie dwóch ochroniarzy z centrum handlowego, których kamera przemysłowa nagrała, gdy wymieniali towary za seks. Kobiety widocznej na ziarnistym filmie nie udało się zidentyfikować i Olive Krantz została zwolniona bez postawienia zarzutów.

Musiała polubić prostytutkę, bo przed dwudziestką znalazła się w Nowym Jorku, gdzie podjęła pracę w jednej z dużych agencji towarzyskich. Teraz miała dwadzieścia dziewięć lat i pewnie zdążyła się wzbogacić, bo nigdy nie była głupia.

Renz wiedział, że Olivia spotykała się, żeby zdjąć z głowy swemu pracodawcy komisarza policji. W rzeczy samej Renz był bardzo ważnym klientem.

Pewnej nocy (nie w trakcie pieprzenia, ale kiedy później leżeli w łóżku, rozmawiając) nawiązało się między nimi coś w rodzaju przyjaźni.

Renz wiedział, że to ściema, że chodzi o wyciągnięcie z niego informacji. Olive była inteligentna i zdawała sobie sprawę, że wiedza zapewnia władzę i bezpieczeństwo - dlatego ciągnęła go za język. Nie dbał o powody. Mówił jej dużo, ale wiedział, co zachować dla siebie. Rozumiał, że nigdy nie zdobędzie kobiety takiej jak Olivia. Na pewno nie w pełni.

Nikt nie mógłby tego dokonać.

Rozmawiali coraz częściej, powierzając sobie tajemnice - tak to wyglądało z pozoru, bo Renz przeważnie ją okłamywał. Zastanawiał się nawet, czy próbowała zweryfikować to, czego się

od niego dowiedziała. Sprawiała wrażenie łatwowiernej, ale Renz był zbyt mądry, żeby się na to nabrać.

Wyszła nago z łazienki, wycierając krótkie blond włosy jednym z wielkich białych hotelowych ręczników. Od szybkich ruchów rąk podskakiwały jej piersi.

- Wracaj do łóżka - powiedział Renz, zastanawiając się, czy stanie mu drugi raz z rzędu.

- Jesteś nienasycony.

- Tylko kiedy mam inspirację - odpowiedział Renz. - A ty mnie inspirujesz.

Olivia odpowiedziała uśmiechem.

Z ręcznikiem w dłoni podeszła do łóżka i pocałowała go w czoło. Nagi sutek otarł się o jego ramię.

- Mówię poważnie - powiedział. - Zostań jeszcze trochę. Pogadamy.

- Bardzo bym chciała, misiu, ale obiecałam koleżance, że popilnuję jej dzieci. - Spojrzała na stojący na komodzie zegarek. - A już jestem spóźniona.

Renz skinął głową i uśmiechnął się. Ty słodka kłamczucho!

Patrzył, jak się ubierała. Potem pocałowała go na pożegnanie i wyszła.

Pokój wynajęty był jeszcze na godzinę, więc Renz wyciągnął się w ciągle pachnącej seksem pościeli i odpoczywał, zapominając o presji, którą wywierali na niego politykierzy i zwierzchnicy, o psychopacie Danielu Danielle'u (no, to akurat problem Quinna), o zamieci papierkowej roboty, która była jego nieustannym utrapieniem, o swoim luksusowym, ale pustym mieszkaniu w dzielnicy finansowej.

Myślał tylko o Olivii i ich związku. O tym, jak dawali sobie nawzajem dokładnie to, czego potrzebowali, nie zadając zbyt wielu

pytań - wiedzieli, że pewne odpowiedzi nie mogły być szczerze.

Czy można wyobrazić sobie lepszy układ?

W kieszeni jego spodni kawaleryjska trąbka zagrała sygnał do ataku. Telefon komórkowy. Problem w tym, że złożone spodnie wisiały na oparciu krzesła, stojącego po drugiej stronie pokoju. Renz wahał się przez chwilę; w końcu uznał, że a nuż to coś ważnego, i trzema dużymi krokami pokonał odległość dzielącą go od spodni. Znalazł się przy nich, gdy wezwanie do szarży prawie już wybrzmiało. Wyjmując telefon z lewej kieszeni, zrzucił spodnie na podłogę. Zdenerwował się: teraz będą wymięte.

Spojrzał na wyświetlacz - numer QUiZ. Quinn.

Renz odebrał i powiedział:

- Streszczaj się, Quinn. Mam spotkanie.

- Jasne. Sal i Harold przesłuchali sąsiadów ofiary i złowili świadka, który widział kobietę kręcącą się wokół jej mieszkania.

- Kręciła się pod nieobecność ofiary?

- Możliwe - odpowiedział Quinn. - Było w niej coś podejrzanego.

Dzwonię do ciebie, bo potrzebuję mundurowych, którzy dokładnie popytają w okolicy i sprawdzą, czy ktoś ma coś do dodania. Mam nadzieję powiązać tę kobietę z Vess i może uzyskać dokładniejszy rysopis.

- Sześciu policjantów starczy?

- Powinno - odpowiedział Quinn, zdumiony hojnością Renza.

- Coś jeszcze?

- Nie. Możesz wracać na spotkanie.

- Już się skończyło - odparł Renz, spoglądając na swój zwiotczały penis. - Ale niedługo odbędzie się następne.

Odkładając słuchawkę, Quinn pomyślał, że ostatnie zdanie Renza brzmiało trochę dziwnie. Ale pewnie jego życie zmieniło się w nieustające pasmo spotkań, od kiedy został komisarzem policji.

Po wyjściu spod prysznic Renz wycierał się ręcznikiem, kiedy znowu usłyszał telefon. Przewidująco zabrał go ze sobą do łazienki i położył na brzegu umywalki. Odbijający się od kafelków dźwięk trąbki był ogłuszający.

Sięgnął mokrą ręką po telefon i zmrużył oczy, żeby zobaczyć, kto dzwoni. Może to Quinn, który przypomniał sobie, że czegoś jeszcze chce.

Ale to nie był Quinn. Dzwonił doradca burmistrza - bez wątpienia oczekujący raportu z postępów śledztwa w sprawie Daniela Danielle'a. Presja, wciąż presja...

Pełne policzki Renza jeszcze bardziej zaokrąglił jego charakterystyczny, blady uśmiech. Wiedział, jak opierać się presji. Wiedział, kiedy to robić.

I wiedział, kto odczuje ją jako następny.

Ktoś zapukał do drzwi mieszkania Neeve. Okazało się, że był to mężczyzna w średnim wieku, który wyglądał i zachowywał się, jakby życie dało mu w kość. Zapytał o Herba Moranisa.

Neeve poinformowała go, że Moranis mieszkał na parterze, ale wyprowadził się przed miesiącem. Mężczyzna wyglądał na zwiedzonego; podziękował i potulnie oddalił się ku schodom.

Neeve jeszcze przez chwilę stała z ręką na klamce. I było się czego bać? Neeve Nerwus.

Ktoś zbeształ ją w ten sposób dawno temu, w dzieciństwie. Nie pamiętała kto.

Neeve Nerwus.

- O waszej organizacji dowiedziałam się z gazet - powiedziała Penny.

Genna Sinclair, sroga czterdziestopięcioletnia dama sprawiająca wrażenie takiej, co to uwielbia przywoływać uczniów do porządku za pomocą linijki, uśmiechnęła się. Wysunęła przy tym podbródek, co nadało jej twarzy jednoznacznie złowrogi wyraz.

- Strażnicy Cienia są skuteczni - oświadczyła. - Zgłaszamy przestępstwo, kiedy akurat jest popełniane. Dzięki temu zwiększamy bezpieczeństwo policjantów. Nasza siedziba główna ma bezpośrednie połączenie telefoniczne z każdym posterunkiem w mieście.

Były w bibliotece, więc Penny mówiła cicho.

- Niedokładnie jednak rozumiem, co nazywacie przestępstwem popełnianym - powiedziała.

- Powiedzmy, że ktoś został napadnięty w metrze i może się to

przerodzić w bijatykę lub pobicie. Albo uruchomił się alarm samochodowy, ktoś szybko się oddała, a właściciel samochodu go goni. Albo ktoś coś ukradł u jubilera, ochrona sklepu zatrzymuje go na chodniku, ale ochroniarz to starszy, nieuzbrojony mężczyzna. Chodzi o takie rzeczy. Gdy już człowiek nauczy się patrzeć, zdarzają się częściej, niżby się wydawało. Jeśli policja odpowiednio wcześniej dowie się o popełnianym albo dopiero co popełnionym przestępstwie, będą mogli szybciej i w większej liczbie pojawić się na miejscu. Dzięki temu są bezpieczniejsi. - Genna poklepała wpiętą w klapę zakietu plakietkę z napisem „SZYBCIEJ ZNACZY BEZPIECZNIEJ”.

- Brzmi sensownie - powiedziała Penny.

- Wielu policjantów ginie, ponieważ wsparcie nie dociera na miejsce zbrodni w odpowiednim czasie. A samotny funkcjonariusz tylko przestępców ośmiela. Policjant jako jedyny wie, co jest grane, ale bandytów jest więcej i... pif-paf!

- Śni mi się to po nocach - wyznała Penny.

- Skoro skontaktowała się pani z nami, zapewne uważa pani naszą organizację za użyteczną.

- Oglądałam w telewizji wywiad z panią i uznałam, że warto zajrzeć na państwa stronę internetową.

- I?

- To wszystko chyba ma sens.

Genna błysnęła swym bojowym uśmiechem, obowiązkowo wysuwając podbródek.

- Powinna pani przyjść na jedno z naszych spotkań. Łatwiej będzie się pani zdecydować. Jeśli uważa pani, że naszą policję powinno się lepiej chronić...

- Uważam - przerwała Penny. - Mój mąż jest tak jakby policjantem.

- Tak jakby?

- Pracował w wydziale zabójstw. Teraz jest prywatnym detektywem w Quinn i Zespół - Dochodzenia.

Genna skinęła głową.

- QUIZ. - Chyba zrobiło to na niej wrażenie.

- Pod pewnymi względami ma niebezpieczniejszą pracę niż w policji.

- Tym bardziej powinna pani pojawić się na jednym z naszych spotkań. Staramy się zdławić akt przemocy w zarodku. Zapobieganie przemocy to kwestia kluczowa.

- Gdzie odbywają się te spotkania?

- W różnych miejscach. Czasem i w bibliotekach. - Rozejrzała się i znów zaatakowała Penny uśmiechem.

- Nie mamy tu dużo miejsca - powiedziała Penny. - Chyba że po godzinach...

- Może być. Powiadomię panią o terminie następnego spotkania.

- Doskonale. Czy będę czegoś potrzebowała? Znaczący żeby dołączyć?

- Wiem, że niełatwo o pozwolenie - powiedziała Genna - ale dobrym pomysłem byłoby zaopatrzenie się w broń.

- W Meeding tracą cierpliwość - powiedział do kogoś Enders, wchodząc do swojego gabinetu.

Jody usłyszała, zwolniła kroku i zatrzymała się kilka metrów za zamkniętymi drzwiami.

Zawróciła i stanęła w pobliżu wejścia do gabinetu, udając, że przegląda dokumenty, które właśnie niosła do koparki. Nasłuchiwała czujnie. Praktykantka przyłapana na podsłuchiwaniu jednego ze współpracowników na pewno nie miałaby lekko.

Nie słyszała ani nie widziała zbyt dobrze. Stojąca postać - jak uznała, gość Endersa - była rozmazanym kształtem za matową szybą w drzwiach. Głosy były przytłumione, prawie niezrozumiałe.

Jody stała nieruchomo, usiłując się wsłuchać. Nie rozróżniała słów. Czasem wychwytywała fragmenty zdań, które chciała usłyszeć.

Głos, który na pewno nie był głosem Endersa, powiedział wyraźnie:

- Ma kota, prawda?

Enders odpowiedział coś o pogodzie ducha, którą kot pomaga jej zachować. „Nią” mogła być Mildred Dash.

- Pomaga jej też zachować dom - skomentował drugi głos.

- A co, jeśli...

- Szukasz czegoś? - spytała recepcjonistka Dollie. Podeszła do Jody niepostrzeżenie.

- Chyba tak. - Jody energiczniej przerzuciła dokumenty, będące protokołem z nudnego zeznania w sprawie nielegalnego przejęcia

firmy przez korporację. - Muszę to skopiować. - Wyciągnęła przed siebie plik papierów. - Może ty to zrób, a ja sprawdzę, czy nie zostawiłam jakiejś kartki na biurku albo jej nie zgubiłam.

Dollie nie była pewna, czy w hierarchii kancelarii stażystka stoi wyżej od recepcjonistki, ale nie chciała ryzykować. Wyraz jej twarzy jasno dawał do zrozumienia, co myśli o tym, że Jody wydaje jej polecenia. Jody to odpowiadało: ze spotkania w korytarzu przed drzwiami biura Endersa Dollie najlepiej zapamięta własną irytację.

Dollie przez chwilę zauważalnie się dęsała, po czym wyrwała z ręki Jody dokumenty i oddaliła się w kierunku kopiarki.

Jody wróciła do swojego biurka, stojącego w pomieszczeniu będącym bardziej boksem niż gabinetem. Ze swojego miejsca mogła wyglądać na korytarz, ale gdy gość Endersa wyszedł, mignęły jej ledwie jego plecy. Był średniego wzrostu, choć raczej niższy niż wyższy. Szczupły, ale umięśniony. Jego ciało kryło w sobie siłę. Widziała go tylko przez kilka sekund, ale poruszał się w sposób, który Jody blado się z kimś kojarzył. Mimo że wytężała pamięć, nie potrafiła zgadnąć, kim mógł być ten człowiek. Ktoś z Meeding Properties? Raczej ktoś, kogo nie dało się powiązać z Meeding Properties. Ani z Endersem i Coilem.

Jody zauważyła, że Dollie wraca z kopią i oryginałem protokołu z zeznania.

Recepcjonistka, kładąc na biurku Jody równiutko ułożone kartki, starała się zachować neutralny wyraz twarzy.

- Nie złościłam się na ciebie kilka minut temu - powiedziała. - Ale widząc cię taką...

- Jaką?

- Ktoś już, nie wiem dlaczego, węszył w tej firmie tak jak ty.

- Wcale nie węszyłam!

- Ona też tak twierdziła.

- Jaka „ona”?

- No wiesz... Macy Collins.

Jody przeszył dreszcz.

- Chcesz powiedzieć, że Macy...

- Nic nie chcę powiedzieć. O nikim! - przerwała jej Dollie.

Odwróciła się i wyszła.

Co nie przeszkodziło Jody w dokończeniu zdania:

-...została zabita, bo coś tu odkryła?

Tego dnia Jody jadła lunch na słońcu, przy stoliku w ogródku pobliskiej restauracji.

Dłubała w sałatce Cobba, dumając nad strzępem rozmowy, który podsłuchiwała pod gabinetem Endersa. Mówiono jeszcze o czymś poza kotem Mildred Dash. Prawdopodobnie. Na chwilę przed pojawieniem się Dollie Jody usłyszała coś więcej w stłumionej wymianie zdań.

Nie miała pewności, ale chyba udało jej się wyodrębnić słowa „Waycliffe College”.

Już raz je w kancelarii słyszała, w innej rozmowie, ale prowadzonej szeptem. Poza tym nie rozumiała kontekstu. Dostrzegła dziwną potrzebę zachowania tajemnicy, do której nie wolno było dopuścić nawet jej, przyszłej absolwentki.

Jody rozważała, czy podsłuchując z ukrycia, udając, że kartkuje dokumenty, nie robi z siebie idiotki. Mogła zrobić rzecz najprostsza i najbardziej oczywista: zapytać Jacka Endersa lub Josepha Coila, jaką pracę kancelaria wykonuje dla Waycliffe.

Podjeżdżała jednak, i to mocno, że byłoby to błędem. Zamiast tego zajmie się plikami, które skopiowała z firmowych komputerów. Były w nich przeważnie zamulające umysł wzory prawniczych dokumentów, ale od czasu do czasu pojawiała się

światełko w tunelu.

Wiedziała, co zrobić z podsłuchaną dziś rozmową. Miała prawie fotograficzną pamięć, potrafiła więc odtworzyć podejrzany w aktach Meeding Properties numer telefonu Mildred Dash.

Wyjęła z torebki niezarejestrowany telefon komórkowy i wystukała numer. Nie zdziwiła się, kiedy nikt nie odebrał.

To na pewno był numer na komórkę. Linia stacjonarna w mieszkaniu Dash została wyłączona kilka tygodni temu, w ramach strategii mającej na celu odcięcie kobiety od świata.

Jody zadzwoniła jeszcze raz, a potem wysłała zwięzłego SMS-a: Masz kota? Nie wypuszczaj go.

Schowała telefon do torebki, dokończyła sałatkę i zamówiła trójkątny kawałek ciasta czekoladowego.

Dieta i deser w jednym posiłku.

Ulegaj tak pokusom, a na pewno utyjesz.

Trudno.

- Pani Culver - zaczął Fedderman. - Nazywam się Larry Fedderman i jestem mężem Penny. - Wprawdzie już kiedyś poznał kierowniczkę biblioteki, ale było w niej coś, co kazało mu zachować się oficjalnie.

- Wiem, oczywiście. Składałam panu życzenia na ślubie - odpowiedziała pani Culver spoza ogromnego stosu książek, który właśnie sortowała. Jej okrągłe okulary bez oprawek kojarzyły mu się z jakimś wojskowym sprzętem, pozwalającym czytać w myślach wroga.

- Eee... - powiedział Fedderman. - Tak, pamiętam.

Pani Culver udało się uśmiechnąć, choć jakby z wysiłkiem.

- Zdaje się, że Penny dokonała właściwego wyboru.

Feddermana to zaskoczyło.

- Ma pani na myśli wybór męża?

- Oczywiście. A niby czego? Garnituru?
 - Skądże, skądże - odpowiedział Fedderman, zastanawiając się, czy nie został za jednym zamachem skomplementowany i obrażony. - Chciałem z panią porozmawiać o tym, jak ostatnio wyglądało samopoczucie Penny.
 - Czy musimy trzymać się czasu przeszłego, Larry?
 - Wszyscy mówią mi Feds.
 - Chcesz porozmawiać ze mną o huśtawce nastrojów Penny.
 - O tym, czego się boi - sprecyzował Fedderman.
 - Boi się ciebie? - Ta możliwość chyba nie mieściła się pani Culver w głowie.
 - Boi się o mnie - odparł Fedderman. - Że mnie zastrzelą albo zranią. Widzisz, moja praca...
 - Ach, rozterki żony policjanta! Chyba mamy coś na ten temat w zasobach.
 - Nie czytałem, ale wiem, czym to się skończyło w wielu innych małżeństwach.
 - Czym?
 - Rozwodem.
 - A jaką mamy alternatywę?
 - Penny musi nauczyć się żyć ze swoimi lękami - powiedział Fedderman. - Odsunąć je od siebie. Wszyscy tak robimy. - Zastanowił się, jakie lęki odsuwa od siebie kryjąca się za swoimi książkami pani Culver.
- Pani Culver uśmiechnęła się.
- Widzę, że dużo o tym myślałeś, Larry.
 - Bardzo dużo.
 - I uważasz, że każdy musi nauczyć się odsuwać na bok jakiś rodzaj lęku?
 - Pewnie. Takie jest życie. Wszystko niesie ze sobą ryzyko, a

zatem, potencjalnie, może budzić strach. Po prostu musimy nauczyć się z nim żyć.

- Albo rozwieść się z nim.

- Albo go zaakceptować. Tak jak ty będziesz musiała zaakceptować e-booki.

Suchy uśmiech na twarzy pani Culver.

- Zdaję sobie sprawę, że Penny podejrzewa mnie o obsesję na punkcie e-booków. Ale ich rzeczywiście należy się obawiać.

- Należy je zaakceptować.

- Ha! Shelley i Szekspir za dziewięćdziesiąt dziewięć centów!

- A w bibliotece - za darmo.

- Wypożyczamy książki, nie bity czy bajty, jak je tam zwał, elektronicznych impulsów.

- Są tekstem - powiedział Fedderman. - Czymś, co ludzie czytają, a nie oglądają jak filmy.

Pani Culver przyglądała mu się.

- Musimy zaakceptować to, co niesie przyszłość - rzekł Fedderman. - Nie mamy wyboru.

- Zaakceptowałam twoje małżeństwo z moją przyjaciółką Penny.

Fedderman pomyślał, że to dziwne słowa.

Pani Culver wprawnym ruchem poprawiła okulary, jakby chciała go wyraźniej widzieć. Fedderman poczuł się przez to nieswojo.

- Chyba rozumiem, do czego zmierzasz - powiedziała. - Powinnam być dla Penny przykładem. Jeśli ja przestanę żyć w strachu przed e-bookami, ona za moim przykładem przestanie żyć w strachu, że którejs nocy nie wrócisz z pracy.

- Coś w tym rodzaju - powiedział Fedderman.

- Myślisz, że te rodzaje lęku są porównywalne?

- Strach to strach - wzruszył ramionami Fedderman.

- Miłość też zawsze jest taka sama?

- Mniej więcej.

Dokąd ta rozmowa zmierzała? Fedderman coraz mniej z niej rozumiał.

- I jesteś pewien, że kochasz Penny? - spytała pani Culver.

- Nigdy niczego nie byłem tak pewien.

Znowu to budzące dreszcz spojrzenie. Odbierało Feddermanowi pewność siebie.

- Słucham? - odezwał się.

- Nie, nic - odpowiedziała pani Culver. - Taka niedokończona myśl. Masz rację, postaram się posłużyć za przykład. Musimy nauczyć się odsuwać od siebie nasze lęki.

Musimy nauczyć się odsuwać od siebie wiele innych uczuć.

- Sądzę, że ma pani rację.

- Nigdy niczego nie byłem taka pewna - odpowiedziała pani Culver.

CZEŚĆ DRUGA

Że kłamstwo takie, w którym prawdy pół, najczarniejszym jest z
kłamstw.

Alfred Tennyson, *Babcia*

- Nie całkiem rozumiem, co masz na myśli - powiedział Quinn do Jody, gdy wieczorem jedli u siebie kolację: ravioli i sałatkę, którą Pearl z córką przyrządzały w kuchni ponad godzinę. Quinna zdumiewało, że Jody obudziła w Pearl cechy pani domu, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy. Pod każdym innym względem Pearl pozostała jednak dawną Pearl.

Jody przełknęła kęs ravioli.

- Moim zdaniem, to, co robią Mildred Dash, można zinterpretować jako niezgodne z prawem.

- Zinterpretować? - Pearl pociągnęła łyk merlota. Quinn kupił go, wracając do domu.

- W umowie Mildred jest klauzula, zgodnie z którą w razie wywłaszczenia wszyscy mieszkańcy muszą wyrazić zgodę, zanim budynek zostanie wyburzony. I muszą otrzymać zawiadomienie o tym co najmniej sześć miesięcy przed terminem wyprowadzki.

- To bez sensu - powiedziała Pearl. - Zwłaszcza pierwsza część.

- I wygląda na niezgodne z prawem - dodał Quinn.

- Właśnie. O ile nie mówimy o półcieniach prawa - z sarkastycznym uśmiechem powiedziała Jody.

- W sądzie to raczej się nie utrzyma - rozmyślała na głos Pearl.

- Oczywiście, że nie, ale rozpatrywanie sprawy trochę potrwa. A dla Meeding Properties czas to pieniądz.

- I na to liczy Mildred Dash - powiedział Quinn. - Tyle rozumiemy. Ale jaki atut trzyma w zanadrzu?

Jody przełknęła zbyt duży kęs. Była podekscytowana; zarumieniła się, a jej włosy zdawały się sterczeć bardziej niż

zwykle. Quinnowi się to podobało. I nic nie mógł poradzić, że Jody w ferworze dyskusji do złudzenia przypominała mu Pearl - pomijając szalony kolor włosów.

Łyk wina, kolejny za duży kęs i Jody uspokoiła się na tyle, żeby kontynuować rozmowę.

- Mildred nie jest głupia. W końcu jest prawnikiem. Zakładam, że zamierza tak długo przeciągać sprawę, aż zaczną tracić naprawdę duże pieniądze przez to, że nie budują. To zmusi ich do zmiany planów na takie, które nie będą uwzględniały tego konkretnego kawałka gruntu.

- Jeśli się nie mylę - powiedziała Pearl - miasto uczyniło Meeding Properties właścicielem tego kawałka gruntu.

- Ale warunki sprzedaży precyzują, że kto nabywa grunt, przejmuje umowy najmu.

Zatem Mildred została najemcą Meeding. W tym układzie Meeding jest stroną umowy, więc zamierzają wyeksmitować ją niezgodnie z prawem.

- Może i tak.

- Gdyby w Meeding tak nie myśleli, po prostu by ją wyrzucili - powiedziała Jody.

- To niegłupie - powiedział Quinn. - Mildred Dash może i nie miałyby w sądzie nawet cienia szansy, ale im dłużej się trzyma, tym mocniejszą ma pozycję.

- Sądy akceptują grę na zwłokę. Ba, nawet gorąco do niej zachęcają - powiedziała Jody.

W to akurat Quinn wątpił, ale nie powiedział tego głośno.

- Skąd masz tyle informacji na temat tej sprawy? - spytała Pearl.

Quinn zerknął na Jody, starając się powstrzymać uśmiech.

- Węszysz, gdzie nie powinnaś, prawda? - dociekała Pearl.

- Monitoruję dokumenty, na wypadek gdyby kryło się w nich coś niezgodnego z prawem.

- Niezgodne z prawem jest to, co robisz, choćbyś upiększała to nie wiadomo jak dwuznacznymi stwierdzeniami. W końcu wywalą cię za wścibstwo.

- Wścibstwo? Raczej dochodzenie. Robię to samo, co ty i Quinn.

- Byłaś z nami na miejscu zabójstwa, powinnaś więc mieć pojęcie, co naprawdę robimy - odparła Pearl. - I co usprawiedliwia nasze wścibstwo.

- A to, że nielegalnie eksmitują nieszczęsną kobietę, niczego nie usprawiedliwia?

Quinn odsunął krzesło od stołu i wstał.

Czyżby uznał, że na tym kończy się jego odpowiedzialność, jeśli idzie o wspieranie Pearl w starciu z Jody?

Pearl łypnęła na niego.

- A ty dokąd?

- Zapalić cy...

- O, nie! Nie będziesz mi tu...

- Pearl! Żartowałem!

Jody wstała gwałtownie, jakby chciała powiedzieć „Mam tego dość!”. Wytarła usta serwetką tak energicznie, że tylko cudem nie starła ich z twarzy, po czym demonstracyjnie tupiąc, opuściła jadalnię i udała się na górę.

Pearl podniosła się, żeby za nią pójść, ale Quinn położył wielką łapę na jej ramieniu.

- Uciekła, bo nie chce jej się zmywać - powiedział.

- Przez to gównu z Mildred Dash spieprzy sobie praktyki! - warknęła Pearl.

- Wtedy nauczy się panować nad emocjami.

Pearl popatrzyła na niego, usiadła i sięgnęła po kieliszek z

winem. Quinn zajął swoje miejsce naprzeciwko niej.

- Jak dotąd nie za bardzo ją rozgryzłeś - powiedziała Pearl.

- To prawda.

- Nie była taka zła, na jaką chciała wyglądać.

- Wiem. Woli dąsać się w swoim pokoju, niż sprzątać ze stołu.

- Nie o to mi chodziło. Jody nas urabia. Przejmuje się sprawą Mildred Dash, ale nie aż tak. Po prostu dzięki temu może powęszyć u Endersa i Coila.

Quinn niezupełnie za nią nadał, zresztą nie pierwszy raz.

- Daje nam do zrozumienia, że na coś trafiła - tłumaczyła Pearl - ale według mnie chodzi o większą sprawę niż uparta kobieta, którą chcą wyeksmitować w imię postępu.

Podpuściła nas, żeby uzyskać milczącą zgodę na węszenie w swoim miejscu pracy. Dałeś jej tę zgodę.

- Ja???

- Ty. Byłeś zachwycony, że podejmuje ryzyko w imię jakiejś młodzieńczej empatii, której sama do końca nie rozumie. I kupiłeś całe to pieprzenie o półcieniach prawa.

- Kupiłem? No, nie wiem...

- Jody wie. Ma na oku coś większego - powtórzyła Pearl. - Uwierz mi.

Quinn przemyślał jej słowa. Jeśli miała rację, to Jody musiała być cholernie dobrą aktorką. Skąd zresztą mieli wiedzieć, czy nią nie była? Nie łączyła ich wspólna przeszłość.

- Może warto z nią o tym porozmawiać.

- Nie zechce. Pamiętaj, jest już prawie prawnikiem.

Quinn dziabnął widelcem do połowy zjedzone ravioli.

- Ty wiesz najlepiej - powiedział. - Jesteś jej matką.

W pokoju na górze Jody jeszcze raz czytała wybrane dokumenty Endersa i Coila z tych, które skopiowała z firmowych komputerów.

Szyfr złamała bez problemu, a teraz sprawdzała, czy potwierdzą się jej podejrzenia.

A jeśli tak? Co wtedy?

- Ta pizza zrujnuje pani figurę - ostrzegł Jorge, chłopak z restauracji Mexitaliano.

Miał dziewiętnaście lat i był na tyle chudy, że nigdy nie będzie musiał martwić się ilością zjadanej pizzy. Regularnie dostarczał Mildred Dash zamówione w restauracji posiłki i w oczywisty sposób zadurzył się w prowadzącej pustelniczy tryb życia, uwięzionej we własnym domu kobiecie.

Mildred, boleśnie świadoma, jak niewiele brakuje, by mogła być jego babcią (Boże drogi!), traktowała go z uprzejmą rezerwą. On zresztą nie miał odwagi, aby okazać, co czuje.

Zapłaciła mu za pizzę i za napój w wysokim, białym styropianowym kubku z plastikowym wieczkiem. Doliczyła hojny napiwek. Jorge był w końcu jednym z jej nielicznych łączy ze światem zewnętrznym. Wprawdzie od czasu do czasu wychodziła z mieszkania, ale zawsze przykładła wielką wagę do tego, żeby nikt za nią nie szedł ani jej nie widział. Obawiała się, że Meeding Properties ją inwigiluje. Może nawet bez przerwy.

Jorge obdarzył ją szerokim uśmiechem, a jej wychylające się spod długiego szlafroka kostki przeciągłym spojrzeniem.

- Dziękuję, pani D.

- Proszę bardzo, Jorge. Przy okazji - nie rzucił ci się gdzieś w oczy Ciastek?

Ciastek był jej wielkim złotym futrzakiem - kotem, z którym przeżyła ostatnich kilka lat.

- Nie - odpowiedział Jorge. - Ale rozejrzę się, wychodząc, i przyniosę go, jak gdzieś będzie. - Znów szeroki uśmiech; tym razem dwuznaczny. - Może dostanę za to jakąś nagrodę...

Jorge, Jorge...

- Jorge, on nie zginął. Po prostu wyszedł. - Mildred miała nadzieję, że ostudziła naiwne zapędy seksualne chłopaka.

- I tak się za nim rozejrzę. Dla pani wszystko, pani D.

Mildred podziękowała mu i patrzyła, jak schowawszy pieniądze do kieszeni, oddała się od drzwi. Zamknęła je za nim, po czym podeszła do okna, które wychodziło na ulicę przed domem.

Jorge pojawił się na dole, wsiadł na swój rower dostawczy i popedałował, lawirując pośród budowlano-rozbiórkowego chaosu. Zmierzchało; miała nadzieję, że chłopak wydobędzie się z rozległego i nieoświetlonego opuszczonego osiedla, zanim zrobi się niebezpiecznie ciemno.

Jorge zniknął z widoku, ale stała jeszcze jakiś czas przy oknie, wypatrując choćby śladu Ciastka. Pewnie radośnie poluje gdzieś na myszy lub szczury, powtarzała sobie. Nie było powodu do zmartwienia.

Ale Ciastek nie wrócił na swój wieczorny posiłek z tuńczykiem, a to było do niego niepodobne.

Mildred weszła do kuchni i uruchomiła elektryczny otwieracz do puszek, na wypadek gdyby Ciastek chował się gdzieś w mieszkaniu. Dźwięk otwieracza był przeważnie niemożliwym do zignorowania wezwaniem na posiłek.

Ciastek nie przyszedł.

Przypomniała sobie, że dzwoniąc po pizzę, zauważyła nieprzeczytanego SMS-a.

Podeszła do telefonu i przeczytała go teraz. Masz kota? Nie wypuszczaj go.

Niepodpisana wiadomość przyszła wczoraj. Wysłana w samą porę, za późno została przeczytana.

Mildred czekała z nadzieją i ze ściśniętym ze zmartwienia

gardłem.

Ciastek nie przyszedł.

Tuż przed północą Mildred obudził dochodzący z korytarza odgłos kroków i jak gdyby stłumiony śmiech. Potem coś miękkiego, choć nie tak całkiem miękkiego, plasnęło o drzwi jej mieszkania i z głuchym odgłosem upadło na podłogę.

Wiedziała, co to było. Przekręciła gałkę, uchyliła drzwi na kilka centymetrów i nie zdejmując łańcuszka, wyjrzała na korytarz, żeby się upewnić. Po powrocie do łóżka rozplakała się.

Leighton, stan Wisconsin, 1986

Na ogłoszenia o zaginionym psie nie było odzewu. Wyblakły na słońcu i pomarszczyły się w deszczu i porannej wilgoci. Rory nie miał już poczucia winy, kiedy przechodził lub przejeżdżał obok nich.

W rzeczywistości ogłoszenia w nieoczekiwany sposób go podbudowały. Logicznie rzecz biorąc, postąpił ze Zbójem tak, jak należało, skończyły się więc nawroty wyrzutów sumienia. Obecnie ogłoszenia przypominały mu o Sherri Klinger. Uśmiechał się czasami, kiedy je mijał.

Rory podejrzewał, że matka wie o jego tajnych samochodowych eskapadach pod jej nieobecność (zdarzało mu się nawet wymykać, kiedy była w domu i spała). Ale zaczynało ją męczyć ciągle podnoszenie tej kwestii i nie chciała wdawać się z nim w kolejne dysputy.

A on prowadził coraz lepiej: przestrzegał przepisów, żeby nie narażać się na utarczkę z policją; coraz lepiej wychodziło mu równe parkowanie, nie podskakiwał więc już na krawężnikach i nie wgniatął stojących przed nim albo za nim samochodów.

Pewnie wiedziała, że jeździł coraz częściej, a przez to stawał się coraz lepszy. A może matka udawała, że nie widzi jego „wypożyczeń” samochodu, ponieważ aprobowała spotkania z Sherri?

Tak, to było możliwe.

W opinii wszystkich Sherri była Miłą Dziewczyną. Innymi słowy: prawdopodobnie wciąż była dziewicą. Czyli dla Rory’ego

nadawała się idealnie.

Cóż, jemu to pasowało.

Pod pretekstem poszukiwań Zbója Rory zabierał Sherri z umówionego miejsca - czasami czekała na tyłach Creamery Club Service, bo ludzie pijący w swoich samochodach napoje gazowane lub koktajle mleczne mieli wzrok skierowany w drugą stronę - i po prostu jeździli. Sherri rozglądała się za psem. Rory udawał.

Po drodze rozmawiali, coraz lepiej się poznając. W miarę upływu czasu coraz rzadziej wspominali Zbója, choć nie zarzucili pozorów, że to on jest powodem ich spotkań.

- Benzyna jest droga - powiedział pewnego dnia Rory, gdy impala jego matki niespiesznie toczyła się po lokalnej drodze.

Sherri parsknęła śmiechem.

- Co to miało być? Obwieszczenie rządowe?

Rory uśmiechnął się i trochę za szybko wszedł w zakręt, co wywołało w nim miły dreszcz.

- Pomyślałem, że może zaparkujemy gdzieś i poszukamy Zbója na piechotę.

- Nie będą to efektywne poszukiwania.

- Coraz trudniej utrzymywać wskaźnik paliwa powyżej zera - powiedział Rory.

- Chcesz powiedzieć, że nie mamy wyboru?

- Mój portfel chce to powiedzieć.

- Nie masz karty kredytowej?

- Używałem tej, którą dostałem od mamy, ale zabrała ją, kiedy wydałem prawie tysiąc dolarów.

- O rany, Rory! Udała ci się matka... Przecież to była twoja karta!

- Ale na jej nazwisko.

- Co z tego?

- Nieważne. I tak mamy idealny dzień na spacer.

Rory znalazł miejsce, w którym mogli skręcić. Drzewa rosły tam rzadko, więc wjechali na tyle głęboko w las, że zaparkowana w lesie impala była niewidoczna z drogi.

Zarośla mogły zarysować lakier po jednej stronie samochodu, ale nie na tyle, żeby matka to zauważyła. A nawet gdyby zauważyła, uznałaby prawdopodobnie, że sama to zrobiła.

Rory sięgnął na stronę Sherri, żeby otworzyć jej drzwi. Jednocześnie Sherri pochyliła się, chcąc zrobić to samodzielnie. Nieoczekiwanie znaleźli się bardzo blisko siebie. To nie mógł być zwykły przypadek. To było przeznaczenie. Pocałowali się. Następnie pocałowali się bardziej namiętnie, z języczkiem.

Pocałunki przerodziły się w coś więcej. A potem przerodziły się w coś zupełnie cudownego.

Później Rory złożył koszulę, żeby Sherri mogła na niej usiąść i żeby nie zostawiła śladów krwi na siedzeniu impali.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Sherri.

- To samo - odparł Rory. - Jeszcze raz.

Roześmiali się.

- Rory!

- Nikt nie musi o tym wiedzieć - powiedział.

- Jakoś tak chciałabym - szepnęła - żeby wszyscy wiedzieli.

Popatrzył na nią, zmartwiały.

- Nie martw się - powiedziała, poklepując go po kolanie.

- Zachowujemy się jak stare małżeństwo - rzekł Rory.

Szturchnęła go mocno w bok szyi, a potem go objęła. Trwali w uścisku, nie chcąc się rozłączać. Czuli się cudownie. Mogło tak być zawsze, byle tylko nikt nigdy im tego nie zepsuł. Nigdy.

Oderwali się wreszcie od siebie.

- Gotowa na powrót do rzeczywistości? - spytał Rory.

- Bardziej nie będę.
- Zamknę okno, bo głupio będzie wyglądało, że prowadzę bez koszuli.
- Ale z ciebie krętacz!
- Chyba oboje będziemy teraz kręcić - zauważył.
- Może prędzej czy później każdy się tego uczy. Nazywa się to dorastaniem.

Rory wyprowadzał chevy'ego z powrotem na drogę, a Sherri wyobrażała sobie, jak rodzice skręciliby jej kark, gdyby kiedykolwiek dowiedzieli się o tym, co się stało. Brała już - o czym nikt nie wiedział - pigułki antykoncepcyjne, które dostała od Hattie, szkolnej pielęgniarki.

Rory spostrzegł, że są niedaleko miejsca, w którym zabił i pogrzebał Zbója. A teraz, znowu tutaj, on siedział z nagim torsem za kierownicą, a niedotykalska Sherri Klinger, mnąca w dłoni majtki, miała podłożoną pod gołą pupę jego koszulę, żeby nie poplamieć krwią samochodu jego mamy.

To dopiero niepojęty i cudowny świat!

To dopiero przyszłość!

- Może zatrzymamy się w Creamery Club Service na koktajl? - zapytał.

Rory!

Nowy Jork, dzisiaj

Jechali czarnym lincolnem Quinna po Sala i Harolda. Słońce wisiało nisko; cienie wyostrzyły się i wydłużyły. Nieznośny upał popołudnia wisiał jeszcze w powietrzu razem z resztkami dziennego światła, ale dzięki klimatyzacji we wnętrzu samochodu panował przyjemny chłód. Od czasu do czasu przednią szybę znaczyła rozmazana kropla deszczu, dając złudną nadzieję, że nieznośny skwar niedługo minie.

Normalnie Pearl narzekałaby, że w samochodzie czuć dymem tytoniowym - czyli że Quinn delectował się jednym ze swoich drogocennych kubańskich cygar - ale tego wieczoru problem cygar Quinna przysłoniły inne kwestie.

- Czasami zastanawiam się, czy warto - powiedziała. - Potem znów, że czy tylko ja tak mam, czy tak toczy się świat: cymbał jeden z drugim wkurza cię do łez, ale wiesz, że gdyby go zabrakło, tęsknota by aż bolała.

- Mówisz o Salu i Haroldzie? - spytał Quinn.

- Cholernie dobrze wiesz, że mówię o Judicie Jane Jason - odparła Pearl.

Włączył wycieraczki. Wyłączył je. Prowadził, czując na sobie wzrok Pearl. Nie wiedział, że Jody miała na drugie imię Jane, a powinien był wiedzieć. Cóż, nikt go nie poinformował. Jakoś go to uraziło.

- Wychowałeś córkę - powiedziała Pearl. - Czy tak właśnie wygląda bycie rodzicem?

Quinn pomyślał o Lauri i uśmiechnął się bezwiednie.

- Czasem jest ciężko. Czasem jest cudownie.

- Jesteś z niej dumny. Kochasz ją i jesteś z niej dumny. To widać.

- Jestem - odpowiedział Quinn. - Ale potrafi doprowadzić mnie do szaleństwa, tak samo, jak dobrze wiesz kto.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Quinn wcisnął się przed taksówkę na zatłoczonym skrzyżowaniu; jej kierowca zaczął wrzeszczeć, przeklinać i pokazywać wulgarne gesty.

Quinn go zignorował. Pearl pomyślała, że Quinn czasem przypomina blok marmuru, ale ona знаła jego wielkie, bijące serce i - częściowo - jego duszę.

- Jaki jest twój stosunek do Jody? - zapytała.

Nie oderwał wzroku od obłądnego korka na Manhattanie.

- Robię się o nią zazdrosny.

Pearl przesunęła się na szerokim siedzeniu lincolna i przytuliła się do niego.

Spojrzał na nią.

- Pearl, jesteś gliną!

- Prywatnym - odpowiedziała. - Bardzo, bardzo prywatnym.

Jody stała w poczekalni u Endersa i Coila, wpatrując się w widoczny przez barwioną szybę kawałek nieba. Nawet przez kolorowe szkło można było zauważyć nisko płynące ciemne chmury. Zrzucają deszcz czy jedynie zwodzą? Raczej to drugie, choć mogłoby popadać.

Odłożyła torebkę na najbliższy ze skórzanych foteli i założyła lekki płaszcz przeciwdeszczowy, który przewidująco zabrała do pracy. Została dziś dłużej, pozwalając, żeby jej zamiłowanie do dyskretnego przeglądania zaktualizowanych plików i najnowszej korespondencji Endersa i Coila uchodziło za dowód ambicji i ciężkiej pracy.

Po drugiej stronie poczekalni wisiało długie do podłogi lustro. Stała przed nim, chcąc się upewnić, że płaszcz, który nigdy idealnie na niej nie leżał, kończy się na tyle nisko, żeby zasłonić spódniczkę. Nie chciała głupio wyglądać.

Trochę przykrótki, ale ujdzie. Spódniczkę będzie widać tylko w ruchu.

Uszła zaledwie przecznicę od kancelarii, kiedy na jej rzesę spadła kropla deszczu.

Chmury jednak nie blefowały. Chłodne, drobne uderzenia poczuła też na nagich przedramionach. Po prostu super: płaszcz wzięła, ale parasolki już nie, a jej buty nie nadawały się do sprintu na stację metra.

Zmrużyła oczy i popatrzyła w niebo, choć nie miała pojęcia, co ma nadzieję tam zobaczyć. No tak, więcej chmur. Sądząc po coraz gęstszych uderzeniach kropel, nie będzie to jeden z tych letnich pryszniców, które można przeczekać, kryjąc się w bramie.

Padało coraz mocniej.

Jody wiedziała, co w czasie deszczu dzieje się na Manhattanie. Nie uświadczysz wolnej taksówki.

Nie miała wcale ochoty wydawać pieniędzy, ale perspektywa dojechania do domu w suchym wnętrzu samochodu wygrywała z obawą przed nadwyrężeniem budżetu.

Taksówka nadjechała, ale była zajęta. Za nią dwie następne, też zajęte. Jody miała wrażenie, że ktoś urządza sobie z niej kpiny. Jakby każda cholerna taksówka w mieście wozila na tylnym siedzeniu wyciętą z kartonu sylwetkę człowieka, która z pierwszą kroplą deszczu podnosiła się na sznurku do pionu.

Coś chłodnego dotknęło jej kostki: rozprysk wody z kałuży. Z lewej, blisko, do krawężnika przybiła taksówka. Jedne z tylnych drzwi otworzyły się, jakby zapraszająco, i odezwał się głos: -

Panienko?

Jody pochyliła się i zerknęła na tylne siedzenie taksówki, gdzie z uśmiechem czekała atrakcyjna kobieta w średnim wieku.

Jody natychmiast przyszło do głowy, że kobieta może być policjantką albo pracownicą ochrony, która ją śledzi. Po przejrzeniu plików Endersa i Coila Jody wciąż czuła się trochę jak przestępca.

- Zauważyłam, jak brniesz przez kałuże - powiedziała kobieta. - To nie ma sensu.

Wsiadaj, schowasz się przed deszczem.

Jody nie mogła się zdecydować.

- Poza tym może chciałabyś to odzyskać. - Kobieta wyciągnęła w stronę Jody jakiś przedmiot.

Torebka!

Boże! Jody musiała zostawić ją na fotelu w poczekalni. Pamiętała, że wychodząc, mijała fotel, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, czy zatrzymała się przy nim, żeby zabrać torebkę. Jakby właśnie nie poznała odpowiedzi.

Uśmiech kobiety stał się życzliwszy.

- Śmiało. Jak widać, jedziemy w tym samym kierunku. Masz szczęście, że wyjrzałam przez okno i zorientowałam się, że to ty zapomniałaś torebki. Z początku nie byłam całkiem pewna i próbowałam gonić cię na piechotę.

Jeśli Jody miała jakieś zastrzeżenia, odsunęła je od siebie, wśliznęła się do taksówki i usiadła obok kobiety. Przyjęła od niej torebkę.

- Rzeczywiście jest moja. Dziękuję bardzo! - Zajrzała do torebki. - Pozwoli pani, że się zrewanżuję...

- Ależ proszę mi nic nie dawać - przerwała jej kobieta.

- Dorzucę się chociaż do taksówki - powiedziała Jody.

- W żadnym wypadku. Tak czy siak, jedziemy w to samo miejsce.

Zaciekawiona Jody podniosła na nią wzrok.

- Do restauracji - wyjaśniła kobieta - w której postawię ci kolację. Też kiedyś byłam młodą, samotną dziewczyną, moknącą w nowojorskim deszczu.

- Doprawdy... Nie trzeba - powiedziała Jody, która rzeczywiście nagle zgłodniała.

Może jej organizm zareagował na propozycję kobiety jak pies Pawłowa.

- Nazywam się Sarah Benham - powiedziała kobieta. - „H” w imieniu, „h” w nazwisku. I tak doszliśmy do momentu, w którym przedstawiasz się ty, dodając, że jest ci miło mnie poznać.

- Jody Jason. I jest mi miło.

Sarah uśmiechnęła się swoim życzliwym uśmiechem.

- Wygląda na to, że przeznaczenie chciało, abyśmy się poznały.

Ale Jody nie była pewna, czy ta darmowa podwózka taksówką i kolacja to owoc zwykłego przypadku. Z drugiej strony, co jej szkodziło? Przecież nie napadnie jej kobieta, która wygląda na absolutnie porządną osobę i która w dodatku zwróciła jej torebkę. A jeśli nawet, to Jody będzie umiała sobie poradzić. Miała paskudny wieczór, konała z głodu, a poza tym - trzeba to było przyznać - uwielbiała przygody.

- Żadnych dyskusji, proszę - powiedziała Sarah. - Zamierzam ci udowodnić, że nie wszyscy w Nowym Jorku są nieczuli. Wydaje mi się też, że ciężko i do późna dziś pracowałaś. Taka pilność zasługuje na nagrodę. Potrzebujesz porządnego posiłku, a ja chciałabym ci pokazać, jak smakuje jabłkowe martini.

- Ale nie pracowałam dla ciebie - zauważyła Jody, myśląc jednocześnie, że jabłkowe martini brzmi kusząco.

- Ależ tak, jeśli pracowałam na rzecz prawdy, sprawiedliwości i amerykańskiego sposobu życia - z szerokim uśmiechem odpowiedziała Sarah.

- Cóż, chyba właśnie to robiłam - odpowiedziała Jody, podejmując grę i z minuty na minutę coraz bardziej głodniejąc. Tej Benham dziwnie łatwo przychodziło matkowanie, choć nie mogła być aż o tyle starsza od Jody. Wtedy Jody uderzyło, że Sarah rzeczywiście mogła już mieć swoje lata. Trudno to było ocenić w czasach, kiedy kosmetyki i chirurgia plastyczna dokonywały cudów. Sarah mogła być starsza nawet od Pearl.

Łał! Dopiero teraz dotarło do Jody, że siedziała sobie obok nowej koleżanki - a już na pewno znajomej - która była mniej więcej w wieku jej matki. Manhattan rzeczywiście był wyjątkowym miejscem.

- Poza tym - powiedziała Sarah - nie zaszkodzi, jeśli zarobię kilka punktów u Endersa i Coila.

- Też jesteś prawnikiem?

Sarah roześmiała się.

- Broń Boże! Działam w ubezpieczeniach. Jako rzeczoznawca.

- A Enders i Coil to twoi klienci?

- W tej chwili nie, ale może nadejść czas, kiedy potrzebny mi będzie dobry prawnik.

Wierzę w myślenie perspektywiczne. Pasuje ci włoska kuchnia?

- Brzmi cudownie.

- Zatem poprawimy sobie nastrój posiłkiem i pogaduszkami, a potem, jeśli jeszcze będzie padało, znów weźmiemy wspólną taksówkę.

Znów matkowanie. Albo tylko wyobraźnia Jody. Sarah, jej nowa koleżanka, wcale nie musiała być taka, jak Jody ją sobie wyobrażała.

- Odebrałam dziś rano telefon - powiedziała profesor Elaine Pratt.

Za oknem gabinetu rektora jasno świeciło słońce; w jego blasku kampus Waycliffe był wyrazisty i zielony jak fotografia na widokówce. Elaine mogłaby uwierzyć, że patrzy na malowidło lub obrobione w Photoshopie zdjęcie, gdyby nie para studentów, którzy trzymając się za ręce, spacerowym krokiem przemierzali czworokątny dziedziniec.

- Dotyczący? - Rektor nie zapytał, kto dzwonił.

- Judithy Jason - odpowiedziała Elaine. - Jody.

- Domyślam się, że jej staż u Endersa i Coila nie przebiega najlepiej.

- Często pracuje do późna - powiedziała Elaine, posyłając mu spojrzenie, jakby zerknęła znad okularów, choć nigdy ich nie nosiła.

- Rozumiem.

- Nadal bardzo interesuje się Meeding Properties. A raczej ich próbami usunięcia z drogi uprzykrzonej lokatorki.

- Młodość... - powiedział rektor, który - gdy profesor Pratt się w niego wpatrzyła - zainteresował się widokiem za oknem. - Tyle wiatraków do zaatakowania...

- Don Kichot nie był młody - odparła. - Ale Joanna d'Arc tak.

- Co masz na myśli?

- Ciekawość i wysiłki Jody mogą wyjść poza sprawę o wywłaszczenie, a wtedy zrobi się nieciekawie.

- Ach... Myślałem, że my ciągle o wiatrakach... Myślisz, że Jody... podejrzewa?

- Jak dotąd nie. Wiedzielibyśmy o tym.
- Na pewno?
- Na sto procent. Niemniej Enders i Coil zaczynają się niepokoić obecnością Jody w firmie.

- A Meeding Properties?

- Nic nie wiedzą o rozdźwięku w triumwiracie.

Schueller wzruszył ramionami i obrócił się w stronę Elaine.

- Więc? Jeśli Enders i Coil są zaniepokojeni, powinni wiedzieć, co z tym zrobić.

- Wyrzucenie Jody z praktyk sprawi, że będą jeszcze bardziej niespokojni.

Potwierdziłoby tym jej podejrzenia.

- Jest na tyle bystra, żeby na to wpaść?

- O, tak.

- Więc wypuszczenie jej na swobodę tylko zwiększyłoby jej aktywność - zadumał się rektor. - A może nawet skuteczność.

Ujął zaostrzony ołówek, jak często zwykł czynić, gdy rozmyślał, i wystukał na drewnianym blacie biurka krótkie ciche staccato. Elaine czasem kusiło, żeby powiedzieć mu, co może zrobić z tym ołówkiem.

- Sądzę, że na tym etapie - odezwał się wreszcie - powinniśmy zostawić sprawy własnemu biegowi.

- Zgadzam się - odpowiedziała Elaine Pratt. - Dopóki od czasu do czasu będziemy się sobie nawzajem przypominać.

- Przypominać?

- Że Jody Jason może być sprytniejsza, niż nam się wydaje.

- Co to jest? - zapytał Quinn. Siedział za biurkiem, Pearl siedziała za swoim, a Fedderman właśnie wszedł z pocztą, która czekała w skrzynce od wczoraj.

- To, co widzisz, jak się zdaje - odpowiedział Fedderman.

Wyglądał na niewyspanego.

Jego brązowy garnitur był bardziej wymięty niż zwykle, a włosy - te, które jeszcze mu zostały - domagały się przycięcia. - Paczka zaadresowana na twoje nazwisko. Brązowy papier pakowy, starannie oklejony brązową taśmą. - Fedderman zważył w dłoni małą prostokątną paczuszkę. - Niezbyt ciężka. - Przyłożył ją do ucha. - Nie tyka.

- Dawaj - powiedział Quinn, wyciągając rękę.

Fedderman rzucił mu paczkę. Miał rację - nie była zbyt ciężka.

Quinn przyjrzał się nalepce z adresem. Tekst na standardowej białej naklejce napisano zwykłym czarnym pisakiem.

- Nie ma stempla pocztowego - zauważył Fedderman.

- To znaczy, że ktoś ją przyniósł, a nie przysłał - powiedziała Pearl, podnosząc się zza biurka. Sprawiała wrażenie zaniepokojonej. - Feds, gdzie dokładnie była?

- Na podłodze, tuż pod naszą skrzynką na listy. Tam, gdzie listonosz zwykle zostawia paczki.

- Adres nadawcy?

- Nie ma - powiedział Quinn.

- Nie otwieraj jej! - ostrzegła Pearl.

Quinn spojrzał na Feddermana, a ten wzruszył ramionami.

- Nie możemy wzywać saperów do otwierania każdego listu - mruknął Quinn.

- Nie bądź uparty - powiedziała Pearl. Podniosła słuchawkę stojącego na biurku telefonu i zaczęła wybierać numer.

- Do kogo dzwonisz?

- Do Harleya Renza.

- Pearl, na miłość boską! Nie prowokuj go!

Ale było za późno. Pearl dodzwoniła się na bezpośredni numer Renza.

Opowiedziała mu o paczce. Potem jakieś dziesięć sekund słuchała, zanim odłożyła słuchawkę.

- Co powiedział? - chciał wiedzieć Fedderman.

- Przysłała specja od unieszkodliwiania ładunków wybuchowych.

- Co? - powiedział Quinn. - Jeden z tych robotów ma otwierać naszą pocztę?

- Jak już ten robot się zjawi - warknęła Pearl - będzie drugą inteligentną osobą w tym pomieszczeniu.

Trzasnęły otwierane drzwi na klatce schodowej, a po nich drzwi do biura.

- Szybki jest - stwierdził Fedderman.

Ale nie był to spec od materiałów wybuchowych. Zjawił się Lido - chciał albo złożyć raport, albo popracować przez jakiś czas na nowoczesnym komputerze nowojorskiej policji, który wypożyczył dla nich Renz. Miał na sobie szerokie spodnie, wymięte prawie jak u Feddermana. Wyłaziła mu z nich biała koszula i była krzywo zapięta.

- A ty co? Już ciepły? - spytał Quinn.

- Wtedy najlepiej mi się pracuje - odparł Lido.

Quinn zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Nie mówił o ciepłym spowodowanym upałem.

- Jezu... Jerry, jest dziesiąta rano!

Lido machnął lekceważąco prawą ręką, jakby strzepywał resztki płynu z palców. A może i miał resztki płynu na palcach.

- Po prostu udaję, że jestem w innym miejscu, gdzie czas płynie inaczej - powiedział.

- To działa? - spytała Pearl.

- W tym innym miejscu tak. - Opuchnięte oczy Lida skupiły się na trzymanej przez Quinna paczce. - Co to jest?

- Sądzymy, że bomba - odpowiedziała Pearl.

Lido przyjrzał im się po kolei, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Myśleli, że wraca, gdy pięć minut później znów usłyszeli otwierane drzwi. Tym razem był to gość od materiałów wybuchowych, który zresztą okazał się kobietą - mniej więcej czterdziestoletnią, cukierkowej urody i z lekką nadwagą. Chociaż puszystości mógł jej dodawać kombinezon i cały ten sprzęt, który przywiesiła sobie u pasa. U boku luźno trzymała na krótkiej skórzanej smyczy wielkiego owczarka niemieckiego.

- Jesteś ekspertem od materiałów wybuchowych? - spytał Quinn.

- Nie ja. On - odpowiedziała, ruchem głowy wskazując psa. Owczarek popatrzył na Quinna, jakby pytał, czy ten śmie wątpić w jego kompetencje.

- Jak się wabi? - zapytała Pearl.

- Szrapnel.

- No tak - powiedział Fedderman.

- Mogę go pogłaskać? - zapytała Pearl.

- Jeśli pozwoli.

Niejasna odpowiedź zatrzymała Pearl w jej fotelu za biurkiem.

- Jestem Darlene - powiedziała policjantka od bomb. Błękitnym spojrzeniem namierzyła leżącą na rogu biurka Quinna paczuszkę.

- To ta podejrzana przesyłka?

- Jeśli ktoś chce być podejrzliwy - odpowiedział Quinn.

- Ja chcę - stwierdziła Darlene. - Dzięki temu Szrapnel i ja jeszcze żyjemy.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał.

- To daje do myślenia - powiedział wreszcie Fedderman.

Darlene i Szrapnel przemierzali pomieszczenie i zatrzymali się przed biurkiem Quinna. Darlene zbliżyła do brązowej paczki palec

wskazujący, ale jej nie dotknęła. Widząc to, pies zaczął paczkę obwąchiwać.

Węszył tak przez kilka sekund, spokojnie i miarowo, a potem się cofnął.

- W paczce nie ma ładunku wybuchowego - oświadczyła Darlene. - Ale może na wszelki wypadek wyjdziecie na zewnątrz, a ja ją otworzę. - Nie zabrzmiało to jak prośba.

- Przecież mówiłaś, że nie ma w niej bomby - przypomniał Fedderman.

- Jest tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się tego na pewno - odparła Darlene.

Otworzyła czarną walizkę z szarą wyściółką, wykonaną z przypominającego plastik tworzywa. Umocowane były w niej przeróżne narzędzia. Wydawało się, że jest ich więcej, niż potrzeba do wykonania tej roboty.

- Szrapnel i ja uwiniemy się w try miga - powiedziała. - Nie wpuszczajcie tu nikogo. - Stała nieruchomo, czekając, aż wyjdą.

Wyszli więc na zewnątrz i stanęli na chodniku, jakieś sześć metrów od drzwi wejściowych. Darlene miała rację: był tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się na pewno.

- Co myślicie? - zagadnął Fedderman.

- Czekoladki od wielbicielki - strzeliła Pearl. - W takim wypadku chcę zobaczyć załączony bilecik.

- Cygara od wielbicielki - powiedział Quinn tylko po to, żeby zagrać Pearl na nerwach.

- Może wiąże się to ze sprawą? - zastanawiał się Fedderman. - Jakaś wskazówka, czy co.

Otworzyły się drzwi i Darlene gestem zaprosiła ich do środka.

Najbliżej prawdy był Fedderman. Papier pakowy i taśma, równo poskładane, leżały na brzegu biurka. Nieopodal, na czystej

białej kartce, leżało coś, czego Quinn w pierwszej chwili nie rozpoznał.

- To było w środku - powiedziała Darlene. Wskazała mniejszy kawałek papieru, lekko zmięty, przez co nie dało się go równo złożyć. Pod nim było coś okrytego białą bibułą, do czego Quinn mógł się dostać dopiero po zajęciu się kawałkiem papieru. Krok po kroku, Darlene powinno się to spodobać.

Quinn obejrzał papier z obu stron, ledwie dotykając go czubkiem pióra kulkowego z wciągniętym wkładem.

Nie zauważył nic poza małym czarnym znakiem zapytania. Nadawca - wielbicielka czy nie - pozostawał nieznany.

Quinn za pomocą pióra przesunął bibułę, żeby mogli zobaczyć, co się pod nią kryje.

I znów przez kilka sekund nikt się nie odzywał.

- Wygląda jak woreczek - powiedział Fedderman. - Skórzany, ściągany rzemykiem.

- To chyba kapciuch na tytoń - powiedziała Darlene. - Ale uszedłby też za woreczek na biżuterię. - Wyciągnęła rękę z badającym czubkiem palca. - Ta skóra jest jak masło.

Wyrób naprawdę wysokiej jakości. Szrapnel chętnie by ją sobie pozuł. - Polakierowany na różowo paznokiec wycelowała w dno kapciucha. - Ale co to jest, to pomarszczone coś na dnie?

- Sutek - powiedział Quinn.

Darlene i Szrapnel nieruchomo wpatrywali się w kapciuch. Wyraz i kolor twarzy Darlene zaczął się zmieniać.

Pearl wskazała jej wejście do ubikacji, za automatem do kawy.

Darlene i Szrapnel śmignęli przez biuro tak szybko, że pies ciężką łapą nadepnął Pearl na palec.

Quinn podniósł złożony kawałek papieru za rogi, żeby dokładniej obejrzyć znak zapytania.

Quinn wrócił za biurko. Darlene i Szrapnel już poszli, zabierając ze sobą kapciuch.

Laboratorium bez wątpienia dopasuje DNA do którejs z ofiar.

O ile zawartość kapciucha rzeczywiście pochodziła z piersi jednej z wcześniejszych ofiar Daniela. Czy temu potworowi właśnie do tego potrzebne były fragmenty ciał ofiar? Do jakiegoś groteskowego hobby?

Zbyt potworne, żeby było możliwe? Quinn wiedział, że istoty ludzkie zdolne są do każdej potworności, jaką tylko potrafią sobie wyobrazić.

Do biura weszła Helen, specjalistka od profili psychologicznych. Quinn chciał, żeby przy tym była. Jej krótkie włosy koloru marchewkowego były zmierzwione i miękkie, jakby przed chwilą je umyła i nie wysuszyła suszarką. Quinn doszedł do wniosku, że prawdopodobnie wytarła je do sucha ręcznikiem i zapomniała o nich. Dzięki dzinsowym szortom jej długie nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Poza tym miała na sobie niebieskie buty do biegania i sportową koszulkę bez rękawów z logo Fordham University. Quinn wątpił, żeby studiowała w Fordham - prędzej na jakiejś uczelni na północy, w której była drużyna koszykówki. Zapytał ją niedawno, czy grała w koszykówkę. Odpowiedziała, że nie, ale że jest fanką. To, że kobieta mierzy ponad metr osiemdziesiąt, nie znaczy od razu, że grała w koszykówkę.

Quinn był ciekawy, dlaczego nie grała.

- Drwi sobie z nas - powiedział, wracając do sprawy przesyłki.
- Myślę, że to coś więcej niż drwiny - odpowiedziała Helen. Była

nieumalowana albo miała dyskretny, umiejętnie nałożony makijaż.

Od strony automatu do kawy nadeszła Pearl z dwoma parującymi kubkami.

- To jakaś pieprzona makabra - powiedziała, podając jeden z nich Helen.

Helen przyjęła kawę i odeszła kilka kroków, żeby przysiąść na innym biurku. Dotąd siedziała na biurku Pearl. Teraz Pearl zajęła swoje miejsce i postawiła kubek z kawą na korkowej podkładce.

- Jeśli morderca chciał przekazać komuś wiadomość, to raczej Quinnowi - zauważył Fedderman.

- I jest to zapewne coś więcej niż zwykłe drwiny - powtórzyła Helen.

- Nie wiem, czy warto to komplikować - odparł Quinn. - Chce, żebym się wściekł i schrzanił robotę. Gra ze mną w szachy.

- Szachowa analogia daleko cię nie zaprowadzi - powiedziała Helen.

- Może chodzi mu o to, żebyś zrozumiał, że też jesteś podatny na ciosy - spróbował Fedderman, wspominając swoją ostatnią rozmowę z Penny.

- Ciepłej - oceniła Helen. - Możliwe też, że chce pokazać, jak podatna na ciosy jest Pearl.

Na twarzy Feddermana odmalowało się niezrozumienie.

- Dlaczego akurat Pearl?

- Bo wie, że jesteśmy razem - odpowiedział mu Quinn. - Postrzega Pearl jako moją własność i daje mi do zrozumienia, że może tę własność zabrać, kiedy tylko zechce.

- Kobiety jako zabawki sadysty - rzuciła Pearl.

Fedderman łyknął kawę, która zdążyła wystygnać.

- Bo ja wiem, Pearl. Może po prostu jesteś w jego typie i pragnie

cię w sposób, w jaki pragnął tamtych kobiet. Takie byłoby znaczenie kapciucha: uprzedmiotawia cię. Jesteś dla niego niczym więcej, jak kolejną pamiątką w woreczku.

- Dziękuję ci bardzo - powiedziała Pearl.

- Albo innym rodzajem pamiątki - rzekła Helen.

- Nie, nasz gość lubi piersi - przypomniał Fedderman.

Pearl posłała mu spojrzenie, które wrażliwszą osobę zapiekłoby do żywego.

- Paczka była zaadresowana do mnie - przypomniał im Quinn.

- Bo nie wysłałby czegoś tak cennego do twojej nędznej własności - powiedziała Helen.

- To możliwe - zgodził się Quinn. Kiedy już człowiek zorientował się, co Helen ma na myśli, jej spostrzeżenia stawały się całkowicie sensowne.

- Mężczyźni! - powiedziała Pearl. - Wszystko kręci się wokół was.

- To akurat rozpracowała Helen - zauważył Fedderman. - Helen jest kobietą.

Pearl nie znalazła na to odpowiedzi, ale pożałowała, że przyniosła Helen kawę.

- Cokolwiek by chodziło po głowie temu czubkowi - powiedział Quinn - wiemy, że Pearl jest w niebezpieczeństwie.

- I że ktoś ją śledzi - dodał Fedderman.

- To już wyjaśniliśmy - przypomniała mu Pearl.

- Fakt - powiedziała Helen. - Twoja córka. - Uśmiechnęła się. - Chciałabym ją poznać.

- Kiedyś na pewno ją poznasz - odrzekła Pearl.

Mówiąc to zastanawiała się, czy Jody uprawia aktywnie jakiś sport.

Renz pomyślał, że to dziwne.

Jim Tennyson, tajniak z obyczajówki, poprosił o rozmowę w cztery oczy. Normalnie Renz kazałby mu trzymać się drogi służbowej - byle tajniak nie dzwonił po prostu do Harriet Gibbs, sekretarki Renza, przeskakując kilka szczebli drabiny służbowej, i nie miał tyle czelności (albo bezczelności), żeby zostawić prośbę o spotkanie z komisarzem policji. Ale jedno słowo w chaotycznej wiadomości Tennysona sprawiło, że Renz zmartwiał: Olivia.

Tennyson załatwił sobie spotkanie.

Także z powodu imienia Olivii Renz zażądał, żeby przesłano mu akta Tennysona.

Chciał dowiedzieć się o tajniaku jak najwięcej. Działający pod przykrywką gliniarz mógł dotrzeć tam gdzie nie powinien i spowodować problemy. Sam mógł stać się problemem.

Tennyson przez pięć lat pracował jako mundurowy. Potem został oficerem dochodzeniowym w cywilu i niemal natychmiast przeniósł się do obyczajówki, gdzie zaczął działać pod przykrywką. O przeniesienie poprosił sam.

Broni użył raz: postrzelił dilera, który wymachiwał strzelbą śrutową w zatłoczonym wagonie metra. Renza to zastanowiło. Odważny, skoro strzela w wagonie pełnym ludzi.

Zaryzykował użycie jednej kuli, żeby uniknąć efektów rozrzutu zabójczego śrutu z broni dilera. To wymagało jaj.

Okazało się, że śrutówka nie była nabita. Na rozum Renza Tennyson nie mógł o tym wiedzieć. Komisja badająca sprawę też była tego zdania. Tennyson nie tylko został oczyszczony z

zarzutów - otrzymał także pochwałę.

Renz musiał to przyznać: z akt wynikało, że Tennyson był dobrym gliną. Mimo to z tajniakami nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza z tymi, którzy infiltrowali podziemie narkotykowe.

I właśnie ktoś taki stał przygarbiony przed biurkiem Renza, w brudnym T-shircie bez rękawów z napisem „TRZAŚNIJ W TAKSE”, w równie brudnych dżinsach i w znoszonych brązowych butach, zawiązanych białymi sznurówkami. Renz zauważył, że kokardki miały podwójne węzły. Te buty nie zawiodłyby Tennysona, gdyby zdarzyło mu się uciekać przed kimś lub gonić kogoś na piechotę. Spostrzegł też, że agent nie nosi skarpetek, a kostki ma brudne. W sumie wyglądał jak wczuwający się w rolę Robert De Niro.

- Niezłe przebranie - zagaił Renz.

Tennyson uśmiechnął się. Brakowało mu jednego siekacza - prawdopodobnie tylko w godzinach pracy.

- Służę mi. - W ogóle nie wyglądał na zdenerwowanego, chociaż miał o wiele niższą rangę. Renza to zaniepokoiło.

- Czego, do cholery, chcesz? - zapytał Renz.

Tennyson wyglądał, jakby go bez powodu ofuknięto.

- Nic nie chcę.

- Wspomniałeś osobę o nazwisku Olive Krantz.

- Olivie. Odbyła się rozmowa na jej temat.

Co to miało być? Szantaż? Renz uznał, że tutaj się zagalopował.

- Odbyła się?

- Nie słyszałem jej, ale znam treść z wiarygodnego źródła.

- Wiem, że Olivia jest call girl, jeśli to zamierzałeś mi powiedzieć. Wiem także, że jest cholernie dobra w tym, co robi.

- Pracuje dla Prime Escorts - powiedział Tennyson.

- To też się zgadza. Do sedna, proszę.

- Chodzą słuchy, że bawi się panem.
- Razem się bawimy.
- Ale chyba w różne zabawy.
- Chodzą słuchy, powiadasz? A gdzie?
- Bóg mi świadkiem, że nie znam źródła informacji.
- Boga w to nie mieszaj. - Renz odchylił się w fotelu, eksponując swoją i tak już rozdętą sylwetkę. Wyglądał na prawie tak groźnego, jakim naprawdę był.

Tennyson zmienił postawę. Był zawodowcem, który potrafił wyczuć nadciągającą burzę. Naszły go wątpliwości - może źle to rozegrał?

- Nie interesuje mnie żadne „chodzą słuchy”, jeśli dotyczy to handlarzy narkotykami czy innych popaprańców, którzy dużo pieprzą, ale głównie wiedzą o czym - powiedział Renz. - Bo i czemu miałoby mnie to interesować?

- Olivia może i jest wyjątkową osobą, panie komisarzu. Nic a nic mnie obchodzi, czym zarabia na życie. Ale działa w tej branży, to i się na nią natknąłem. I na to, co robi. A źródło? Jak mówiłem - nie wiem. Może źródłem była sama Olivia na haju.

- Na haju? Zaraz... o jakiej branży mówimy?

- Koka, hera.

Heroina! Jezus Maria! Że też Tennyson musiał wejść przez te drzwi!

- Olivia nie bierze. - Renz słyszał, jak pusto i defensywnie zabrzmiały jego słowa.

Tennyson nie odpowiedział. Wróciła mu pewność siebie.

Renz oklapł i znowu pochylił się do przodu, opierając łokcie o blat. Żołądek ścisnął mu się jak kamień. Nie wyglądał już na groźnego - raczej na zagrożonego.

- Nie mam podsłuchu - powiedział Tennyson.

- Wiem. Mam zamontowany taki dynks, co wykrywa i razi prądem każdego wchodzącego tu z podsłuchem.

- Naprawdę? - Nie dało się wyczuć, czy Tennyson zadał to pytanie na serio. Teraz bawił się Renzem, dupek jeden.

- Oczywiście.

- Jak mówiłem - powiedział Tennyson - chciałem jedynie pana zawiadomić, żeby zapobiec ewentualnym kłopotom. Nikt inny się o tym nie dowie, niezależnie od tego, czy mi pan uwierzy, czy nie.

- Powiesz wreszcie, ile za to chcesz?

- Nic za to nie chcę - niemal ze złością odpowiedział Tennyson.

- Ale nie miałbyś nic przeciwko aniołowi stróżowi, czuwającemu nad tobą z wyżyn gabinetu komisarza policji.

- Pewnie, że nie. Bądźmy szczerzy, nie obraziłbym się, gdyby awans przyszedł mi łatwiej. Albo gdyby zaczęto je bardziej sprawiedliwie rozdzielać. Nie chcę nic, na co nie zapracowałem.

- Sądzisz, że zapracowałeś na cokolwiek, przyłaząc do mnie z tymi pierdołami?

Przez wargi Tennysona przewinał się wątlý uśmiech.

- Podjąłem cholerne ryzyko.

- Fakt - powiedział Renz.

- To mój dobry uczynek na ten rok.

- Jasne. Lojalność. Handlujesz lojalnością.

- Nie wydaje mi się, żeby lojalność miała cenę.

- Powinno to działać w obie strony - powiedział Renz.

Tennyson skinął głową.

- Działa. Jeśli pan sobie życzy, zadbam o to, żeby słowo się nie rozeszło i żeby nikt tej Olivii nie niepokoił.

- Tym powinien zajmować się Harry Primo.

- Harry Primo to dupek.

- Jak wielu z nas. - Renz ciężkim wzrokiem wpatrywał się w

Tennysona, ale ten wyglądał na niewzruszonego. - Wszystko już?

- Wszystko.

- To wyjdź.

Tennyson nie spieszył się ani w drodze do drzwi, ani gdy je otwierał.

Oto młody gliniarz ze świetlaną przyszłością - pomyślał Renz.

Co dokładnie wie? Jak dużo wie?

Jak krótką ma tę przyszłość?

Crazy Legs... Dziwne.

Gdy Neeve otrzymała z wydawnictwa Hamilton Publishing nową książkę, biografię Elroya „Crazy Legsa” Hirscha, nie była zachwycona. Kto to taki, do diabła? - zastanawiała się. Podejrzała, że książka będzie o gangsterze, o kimś w rodzaju „Legsa” Diamonda.

Ale nie, „Crazy Legs” nie był gangsterem. Był futbolistą, a na „szalonych” przydomek zasłużył sobie, bo biegał tak szaleńczo i nieprzewidywalnie, że trudno go było zablokować. Jak to możliwe, że Neeve - wielbicielka futbolu - nigdy nie zetknęła się nawet ze wzmianką na jego temat? Cóż, ludzie często nie zauważali czterolistnej koniczyny, nad którą akurat stali.

Tak naprawdę Neeve uważała, że jej się poszczęściło. Wciągnęły ją wreszcie Długie kły i ostatecznie bardzo jej się podobały. A teraz znowu siedziała na swojej ławce w parku, zanurzona w Crazy Legs - Ulotna legenda. Dwie dobre książki z rzędu do adiustacji. Życie stało się co najmniej znośne.

Wolałaby dostać Crazy Legs na nośniku danych, a nie na papierze - no, ostatecznie w mailu. A tak, zamiast korzystać z laptopa, znów taszczyła ze sobą gruby, ważący dziesięć kilo stos papieru biurowego.

Niespodziewanie zauważyła, że zrobiło jej się chłodno. Nad jej głową szeleściły liście, a gdy podniosła wzrok, zobaczyła pociemniałe niebo i falujące na porywistym wietrze korony drzew. Ciemno rysujące się na tle nadciągającej szarówki liście tańczyły swój skrępowany taniec, szarpane podmuchami. W oddali

mężczyzna i kobieta spieszili ramię w ramię alejką w stronę wyjścia na Central Park West. Mężczyzna obejmował kobietę w talii. Neeve poczuła ukłucie... czego? Zazdrości? Osamotnienia?

Przycisnęła wydruk do kolana, żeby wiatr nie porwał żadnej z kartek, i podniosła wzrok ku niebu. Zaczęły pojawiać się gwiazdy, a błądy księżyc był prawie w pełni; kilka niedużych chmur mówiło, że wiatr oszukuje - nie będzie padało.

Uspokojona, pozbierała swoje rzeczy. Wsunęła opasły wydruk do torby na laptopa, a z nim ołówek, gumkę do wycierania, temperówkę i Merriam-Webster's Collegiate Dictionary w miękkiej oprawie, którego nie mogła czytać bez szkła powiększającego.

Napinała mięśnie, żeby wstać, gdy jakaś postać nagle usiadła obok niej i przycisnęła jej coś do nosa i ust.

Wystraszona, odruchowo nabrała powietrza. Od tego, co wciągnęła do płuc, zakręciło jej się w głowie. Jej mięśnie się rozluźniły i zrobiła się bardzo, bardzo senna.

Neeve otworzyła oczy.

Coś takiego! Jestem w Central Parku po zmroku!

Żadnego zastanawiania się, gdzie jest i co ją spotkało. Niemal od razu dokładnie przypominała sobie ostatnie wydarzenia. Tyle że teraz było dużo ciemniej, a cienie lekko poruszały się na trawie w zasięgu jej ograniczonego, ściętego pola widzenia. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło.

Jezu, jestem wygięta jak precel!

Leżała na brzuchu z rękami skrępowanymi z tyłu i prawdopodobnie przywiązanymi do kostek, które zostały podciągnięte blisko przegubów i również ciasno spętane. Związana w kabłąk. Nienaturalna pozycja nieznośnie obciążała plecy, a możliwość poruszania się ograniczona była do zera.

Neeve oddychała przez nos, bo coś - z faktury i smaku taśma

klejąca - dokładnie zakrywało jej usta i rozplaszczało wargi, wciąż otwarte nagłością tego, co się wydarzyło. I wciąż słabo czuła zapach, zapamiętany z ostatnich chwil przed utratą przytomności.

Zgadywała, że to chloroform, chociaż nigdy wcześniej chloroformu nie wachała.

Po sposobie, w jaki dotykały się części jej ciała i jak opływał je lekki ruch powietrza, wnosila, że jest naga. Nie - coś jednak na sobie miała. Napastnik nie zdjął jej majtek.

- Hopla! - powiedział głos, a ciepłe ręce ujęły ją pod ramiona. Nie łudziła się, że ten ktoś przybył jej na pomoc. Została przetoczona na kolana, cały czas z wygiętymi plecami, tak że patrzyła prosto na księżyc w pełni, świecący żółto między gałęziami drzewa.

Ciepłe ręce ujęły od dołu jej piersi, zważyły je i puściły. Ciemniejszy od nocy mrok przesłonił jej gwiazdy - ktoś poruszał się nad nią. A potem ręka podniosła do jej oczu nóż, tak że musiała na niego patrzeć. Ręka wprawnie ten nóż obracała; ostrze lśniło srebrzyście w poświacie księżyca.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał głos.

Neeve wydała cichy, kwilący dźwięk. Czytała gazety, oglądała wiadomości.

Wiedziała, w czyje wpadła ręce.

Jej stopy, jej boleśnie wygięte nogi, jej mózg, jej dusza chciały poderwać się i biec.

Słyszała, jak stęka z wysiłku, którego jedynym efektem było drżenie, przechodzące przez całe jej ciało.

Ręka bez noża czule poklepała ją po policzku.

Zaczął się ból.

Quinn leżał obok Pearl w półmroku sypialni, świadomy drobnych poruszeń jej ciała, powodowanych miarowym oddechem

w głębokim śnie. Leżała plecami do niego, jeszcze naga po tym, jak się kochali, jakby przez skromność okryta niedbale narzuconym prześcieradłem. W pokoju było na tyle chłodno, że klimatyzacja się wyłączyła. Różnorodne głosy pogrążonego we śnie miasta nawiedzały noc, a z nimi i te bliższe - głosy starego kamiennego domu.

Quinn często rozmyślał o tym, że jeśli domy rzeczywiście mogły być nawiedzone, to te nowojorskie z czerwono-brązowego piaskowca, postawione w dziewiętnastym wieku, na pewno znalazłyby się pośród nich. W ciągu dnia w tym majestatycznym starym budynku niekiedy doskwierała mu samotność, ale nocą jakoś nigdy samotny się nie czuł - nawet gdy nie było z nim Pearl. Jody na górze chyba w ogóle się nie liczyła, tak dokładnie izolowały ją ściany i stropy wiekowej budowli.

Cóż, jeśli gdzieś tu kręciły się duchy, nie widział powodów, żeby się ich bać. Mógłby nawet podziękować im za to, że dotrzymują mu towarzystwa.

Dziwnie pokrzepiony tą myślą - zasnął.

Olbrzymia osa ścigała go na długiej polnej drodze; czasem bzyczała obok, czasem znów robiła kółko i zostawała z tyłu. Bydłę wielkie było jak ptak, a bzyczało jak silnik w modelu samolotu. Quinn wydłużył krok i zaczął biec szybciej, niż sądził, że potrafi. Serce łomotało mu w piersi.

Wtedy potknął się i upadł na zwirowaną nawierzchnię drogi, ocierając skórę na nagich ramionach i łokciach. Drażniące bzyczenie osy stało się głośniejsze.

Pozbierał się na nogi, wiedząc, że osa skończyła z żartami. Już nie robiła kółek - brzęczenie brzmiało teraz jednostajnie. Leciała prosto na niego. Zmusił się, żeby się odwrócić i spojrzeć na nią.

Siedziała na stoliku przy łóżku, a za nią przez szpary w

żaluzjach sączyło się światło wczesnego świtu. Uświadomił sobie, że już nie śpi - ale skąd ta cholerna osa...?

Jego ustawiony na wibracje telefon buczał i bzyczał, podskakując na drewnianym blacie. Nie spadł tylko dlatego, że obijał się o podstawkę lampki nocnej.

Rozwiała się trwoga ze snu. Świejące na czerwono cyfry zegarka w radiu mówiły, że minęła dopiero szósta rano.

Jezu...!

W łóżku był sam. Pearl pewnie już wstała; może jest w kuchni. Quinn próbował obudzić się do końca, strzepując senne odrętwienie z prawego ramienia. Wreszcie sięgnął po buczący, miotający się telefon.

Chwycił go, otworzył klapkę i uciszył cholerstwo.

Nie był w stanie skoncentrować zasnutego snem wzroku na wyświetlaczu, żeby zobaczyć, kto dzwoni, ale od razu rozpoznał głos Renza:

- Pora wstawać, śpiochu. Czas na spacer do parku.

Słońce dopiero wschodziło: rozświetlało nisko rozsnutą, jarzącą się mgiełkę, zalegającą między wysokimi budynkami. Koszula Quinna zaczęła lepić mu się do pleców już sześć kroków od domu. Gdy wsiadł do samochodu, skórzana tapicerka fotela przyjemnie schłodziła mu skórę. Na jakieś pięć sekund.

Pearl zajęła fotel pasażera i zaczęła wachlować się starym plakatem do filmu Złap mnie, jeśli potrafisz. Wilgoć będzie nie do wytrzymania. Pearl być może też. Ten upał...

- Podejrzanie czuć tu cygarami - powiedziała Pearl.
- Nie wjeżdżaj w to.
- Mówisz do mnie czy do samochodu?
- Zależy, które bardziej mnie wkurzy.

Przez resztę drogi nie odzywali się do siebie. Żadnemu nie podobało się, dokąd jadą.

Wielkiego Quinnowego lincolna zostawili przy Central Park West; do parku weszli na piechotę. Renz udzielił im przejrzystych wskazówek. Żółtą taśmę okalającą miejsce zbrodni widzieli przed sobą i trochę na lewo, a przy niej jednego z wielu mundurowych, dbających, żeby nikt niepowołany nie pałętał się w pobliżu, bo natychmiast zrozumiałby, że tego, co pilnują, wolałby nie widzieć.

Nift był już na miejscu, tak jak policyjny fotograf i technicy kryminalistyczni. Renz, ubrany w kosztowny niebieski garnitur, w którym jego ciało wyglądało niemal na smukłe, stał z boku, jakieś sześć metrów od całego zamieszania. Stał tam, ponieważ spokojnie palił sobie cygaro i nie chciał zostawiać fałszywych śladów na miejscu zbrodni. Gdy Quinn poczuł zapach dymu, natychmiast

zachciało mu się palić. Ale nie miał, cholera, najmniejszej szansy.

Nie z Pearl w promieniu ośmiuset metrów. W poszukiwaniu cygara odruchowo pomacał kieszeń koszuli, ale znalazł jedynie pióro kulkowe.

- Przepraszam, że tak wcześnie was poderwałem - powiedział Renz, mrugając do Pearl.

- Już nie spaliśmy. Wracaliśmy z porannego joggingu - skłamała Pearl.

Renz nie był pewien, czy to żart. Przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu; pyknął cygarem, wydmuchnął z ust dym.

- W parku nie ma zakazu palenia? - spytał Quinn.

Renz wzruszył ramionami.

- A kogo to, kurwa, obchodzi? - Ruchem głowy wskazał coś, co leżało na ziemi w centrum mrówczej pracy, tuż za niewielką kępą lśniącej od rosy trawy.

Quinn rzucił okiem w tamtym kierunku.

- Kto ją znalazł?

- Para gruchających gołąbków - odpowiedział Renz. - Przynajmniej tak twierdzą.

Równie dobrze mogą zajmować się napadaniem na ludzi. Przy jednej znaleźliśmy skarpetkę pełną metalowych kulek.

- Znaczący: to dziewczyna miała broń?

- To były dwie dziewczyny - odparł Renz. - Ta bez kulek tak się wydarła, że przyciągnęła uwagę, zaczęły więc odgrywać porządne obywatelki. - Renz strzepnął popiół z cygara, trzymając je w wyciągniętej ręce, żeby nie pobrudzić garnituru. - Składają teraz zeznania na posterunku. Jeśli chcesz, możesz z nimi pogadać, ale są tymi, za kogo się podają.

Dzwoniłem - żadna nie była rejestrowana. Jedna to artystka, druga nie, a obydwie utrzymują rodzice.

- Jaka artystka? - spytała Pearl.

- Taka, co to nie znajdziesz jej obrazów w galerii. - Renz roztarł cygaro o podeszwę buta i pstryknął w dal wciąż jarzącym się niedopałkiem. - Śniadanie jedli?

- Przed wyjściem - odpowiedziała Pearl. Cokolwiek by się działo, nie chciała wylądować na wspólnym śniadaniu z Renzem.

- To powodzenia - powiedział Renz i zaprowadził ich do ciała.

Ofiara była związana w ten sam sposób jak poprzednie, a wzrok skierowany miała w niebo, na pewno pełne gwiazd, kiedy umierała. Za życia bez wątpienia była piękna, ale teraz jej blade ciało - nagie, nie licząc krzywo założonych majtek - cechował woskowy połysk śmierci w miejscach, w których nie było usmarowane krwią. Pięknie ukształtowaną twarz z wyrazistymi niegdyś rysami szpecił teraz grymas strachu i niezrozumienia; ciemne oczy wpatrywały się coś bardzo odległego od miejsca, w którym leżała skrzycona na ziemi. Piersi starannie jej usunięto - pozostało po nich tylko kilka postrzępionych kawałków ciała.

- Boże kochany... - odezwała się Pearl, gdy stali, wpatrując się w zwłoki. - Pomyślałby kto, że do takich widoków da się przywyknąć?

- Każda z nich to odrębna istota ludzka - powiedział Nift. - Dlatego są takie interesujące.

Pearl nie bardzo wiedziała, jak się do tego odnieść. Czyżby Nift okazał odrobinę ludzkich uczuć?

- Ale melony wyhodowała cud-miód, jak każda z nich - dorzucił wredny mały medyk.

Wrócił znajomy, ohydny Nift.

Pearl nie zareagowała. Nie chciała dać mu tej satysfakcji.

- Majtki niby na nią pasują - powiedział Renz. - Może rzeczywiście są jej.

Biorąc pod uwagę, jak krzywo były naciągnięte, Quinn nie

rozumiał, co upoważniło Renza do takiego stwierdzenia.

- Nie sądzę, żeby założono je po śmierci - powiedział Nift. - Zdaje się, że albo wciągnął je na nią własnoręcznie, albo kazał jej je założyć, zanim ją związał.

- Sznur wygląda na taki sam, jakim związał poprzednie ofiary - zauważył Quinn.

- Jest taki sam - potwierdził Nift. - Końce obcięte ostrym nożem, jak poprzednio.

Związano ją, używając prostych, ale skutecznych węzłów. Co też już widzieliśmy.

- Ten sam palant - powiedziała Pearl.

- Bez wątpienia - odparł Nift. - I prawie na pewno ten sam nóż. - Wyszczrzył się do Pearl. - No i powtarza się jeszcze jedno.

Pearl popatrzyła na niego.

- Co takiego?

- Mogłaby być twoim sobowtórem, Pearl.

Quinn położył rękę na jej ramieniu.

- Co do tego ma rację.

- Nie powiem, żebym tak to widziała - odrzekła Pearl - ale będąc sobą, może nie potrafię.

- Daniel Danielle lubił, jak miały ciemne włosy i oczy, no i cyc jak się patrzy - powiedział Nift, patrząc z ukosa na Pearl.

Quinn posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, po którym Nift znów skupił się na zwłokach.

Renz zakończył rozmowy z technikami i z umundurowanym policjantem. Wracał, niosąc czarną torbę na laptopa i damską torebkę.

- Miała nazwisko - powiedział. - Neeve Cooper. Miała też adres - na West Side, krótki spacerek stąd. Albo krótka przejażdżka metrem. W torebce jest kilka jej wizytówek. Wynika z nich, że

pracowała jako niezależny redaktor.

- Pracowała w domu?

- Albo w parku - odparł Renz. - W tej torbie jest sterta papieru, która wygląda jak książka w powijakach. Na niektórych stronach są notatki wykonane czerwonym i niebieskim ołówkiem. Gdzieś napisała coś, co może być imieniem. - Podał Quinnowi torbę i torebkę. - Sprawdźcie, czy znała kogoś o imieniu Stet.

- A nie Steve? - spytał Quinn.

- Nieee... Z sześć razy to napisała.

Quinn założył, że technicy skończyli z torebką, włożył więc do niej rękę. Macając między zmiętymi chusteczkami, grzebieniem, kartą do metra z zagiętym rogiem i portfelem, natrafił na pęk kluczy, z których jeden wyglądał na klucz do drzwi.

Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że dołączyła do nich Nancy Weaver i stała obok Renza. Wymienił z nią spojrzenia. Weaver, o której nowojorskie gliny mówiły, że to przez nią słowo „policja” ma tę samą końcówkę co „kopulacja”, po biurokratycznej drabinie wspinała się przez łóżko. Krążyły nawet plotki, że sypiała z Quinnem, ale Pearl nigdy nie dawała im wiary.

Weaver przez długi czas była poza miastem, kurując obrażenia, jakie odniosła podczas ostatniej wspólnej sprawy z QUiZ. Wróciła kilka tygodni temu.

Obecnie działała jako ktoś w rodzaju łącznika między Renzem a QUiZ.

Eufemistyczne określenie kapusia.

- Już mnie chłopcy wdroszyli - powiedziała.

Na różne sposoby i niejednym razem - pomyślała Pearl.

- Pójdziemy rozejrzeć się po mieszkaniu Neeve i porozmawiamy z jej sąsiadami - poinformował Renza Quinn.

- Posłałem tam już techników - odpowiedział Renz.
- Nie będziemy wchodzić im w drogę.
- Pójdę z wami - powiedziała Weaver.
- Dobry pomysł - poparł ją Renz.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

- Zaszkozić nie zaszkodzi - powiedziała Pearl.

Dyplomacja a la Pearl.

- Muszę znać rozmiar jej majtek - powiedział Quinn.

- Zapisalam - powiedziała Weaver. - Pomyślałam, że zaszkodzić nie zaszkodzi.

Pearl zazgrzytała zębami.

Leighton, stan Wisconsin, 1986

- Daryl Smith mówił, że znaleźli Zbója - usłyszał w słuchawce głos Sherri.

Był sobotni poranek i Rory spał do późna. Usiadł na łóżku i przetaił oczy. Telefon przy ósmym czy dziewiątym dzwonku odebrała na dole matka i wrzasnęła na schodach, że to do niego, że dawno powinien wstać i że kto to widział spać cały dzień. Rory zupełnie się rozbudził, usiłując zrozumieć słowa Sherri.

Znaleźli Zbója?

- Jak to możliwe? - zapytał. - I skąd Daryl o tym wie?

- Pracuje dla tej firmy budowlanej, która poszerza drogę. Spychacz zgarnął trochę ziemi, a pod nią był Zbój. Przynajmniej Daryl tak mi to opowiedział.

- To skąd ty...

- Daryl właśnie dzwonił z telefonu samochodowego. Nie mam jak tam dotrzeć, Rory.

Bardzo mi zależy, żebyś nas zawiózł.

Nas. Trzeba wybudzić się do końca i dokładniej wybadać temat. Zbój... Ten pies cały czas pakuje mnie w kłopoty!

- Zdaje się, że mama chce jechać samochodem na zakupy - powiedział. - Do Antoine'a.

- Możesz ją przekonać, że to ważniejsze?

- Przekonać mamę, że coś jest ważniejsze od zakupów? Żartujesz?

- Rory, na miłość boską! Chodzi o Zbója!

- Dobrze. Spróbuję namówić ją, żeby została w domu.

- Dasz radę, kochanie. Potrafisz namówić każdego, do czego tylko zechcesz. Wierzę w ciebie.

- Sher, ja tak naprawdę nie mam prawa jazdy...

- A ja nie mam samochodu, Rory. Jeśli nie dogadasz się z mamą, pójdę piechotą.

- Sherri, to ładnych parę mil!

- Zrobię to dla Zbója, Rory.

Jasna cholera!

W tym momencie Rory chętnie przejechałby Zbója jeszcze raz.

- Zejdę na dół i porozmawiam z nią - powiedział.

- Dziękuję, kochanie.

Rory nie był przyzwyczajony, żeby ktoś mówił do niego „kochanie”. Pomyślał, że takie przyzwyczajanie się mogłoby być całkiem przyjemne.

- Jesteś jakiś nieprzytomny - powiedziała Sherri. - Obudziłam cię?

- Właśnie miałem wstawać.

- Rory, co ty! Jest prawie wpół do jedenastej!

- Już się zbieram. - Wstał ze słuchawką przy uchu i zrobił kilka chwiejnych kroków.

- Proszę, pospiesz się - usłyszał głos Sherri, gdy odkładał słuchawkę.

- Jak poradziłeś sobie z mamą? - zapytała Sherri, siadając na miejscu pasażera.

- Powiedziałem jej, że sprawa jest bardzo, bardzo ważna i że wiąże się z tobą. Ona cię lubi. Potem powiedziałem, że sam przejadę tylko dwie przecznice, żeby zabrać Teddy'ego Bolstona. Ma osiemnaście lat i prawo jazdy, więc z moim tymczasowym prawkiem mogę z nim jeździć.

- Teddy to potwierdzi?

- Wiem, gdzie chowa swoje dragi, więc będzie współpracował.
- Nie powinienes brać tego gówna - powiedziała Sherri.
- Przecież to nie heroina.

Kłócili się o to już wcześniej i oboje wiedzieli, że żadne drugiego nie przekona. Ona była przeciwko narkotykom, a Rory nie widział nic złego w umiarkowanym korzystaniu z marihuany i kokainy. Nie potrafiła go przekonać. On nie potrafił jej namówić. W milczeniu jechali w kierunku lokalnej drogi.

Skręcili i przejechali prawie pięć kilometrów, zanim zobaczyli czerwone pacholki i tablicę z napisem „DROGA W PRZEBUDOWIE”. Nieduża maszyna do robót ziemnych marki Bobcat trzęsła się i szarpała w przód i w tył, podczas gdy dwóch opalonych na brąz robotników z nagimi torsami wspierało się o łopaty, obserwując ją. Jednym z nich był Daryl Smith.

Kiedy Rory zjechał na pobocze i wyłączył silnik, Daryl skinął głową ku Sherri i wyciągnął rękę dokładnie w kierunku tego miejsca, w którym Rory zakopał psa.

Sherri wysiadła z samochodu i pobiegła w tamtą stronę. Rory poszedł za nią. Po drodze rzucił Darylowi spojrzenie; ten wzruszył ramionami i poszedł do bobcata, żeby rozkopać i wyrównać stertę ziemi, którą maszyna pozostawiła za sobą.

Rory stanął obok Sherri, u której stóp leżało to, co pozostało ze Zbója. Szczątki uległy rozkładowi i niemożliwością byłoby rozpoznać w nich psa, gdyby nie sierść - ongiś czarna i puszysta, teraz matowa i oblepiona ziemią.

- Jesteś pewna, że to on? - spytał Rory.

Sherri pociągnęła nosem, zrobiła półobrót i schowała czoło na jego piersi. Zaczęła płakać, ale szybko wzięła się w garść, wyprostowała i wytarła nos przedramieniem. Kiwnęła głową.

- To Zbój. Ale powinien mieć obrozę.

- Ten pies jej nie ma. Może to nie jest...

- To Zbój - z przekonaniem powtórzyła Sherri. Zaczęła się rozglądać. - Tyle ziemi zryli taką małą koparką!

Ale Rory wiedział, że ruszyli jej za mało. Bobcat nawet nie zbliżył się do miejsca, w którym leżała rzucona w krzaki obroża Zbója. Sherri jednak była zdecydowana - znajdzie obrożę, jeśli ta jeszcze gdzieś tu jest. Szła powoli z opuszczoną głową, po każdym kroku wysuniętą stopą rozsuwała chwasty i tak podążała w kierunku miejsca, gdzie musiała leżeć obroża. Rory pomyślał, że zrobiłby dobre wrażenie, gdyby to on ją znalazł.

Zaczął naśladować nieznośnie wolny krok Sherri i udawał, że szuka razem z nią, choć w nieco innym kierunku. Okolica nie zmieniła się tak bardzo - był w miarę pewien, gdzie wylądowała obroża, gdy wyrzucił ją w noc śmierci Zbója.

Szlag! Zobaczył ją - plamkę wyblakłej czerwieni w zielonobrazowym poszyciu. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej tu nie zostawić, ale doszedł do wniosku, że i tak ktoś ją znajdzie. Jeśli nie Sherri, to ktoś inny. Może Daryl. Rory mógł się schylić i wsunąć obrożę do kieszeni, ale mógł też zostać na tym przyłapany. A co, kiedy już obroża znajdzie się już w kieszeni? Może i nie będzie widać jej zarysu w ciasnych lewisach, ale przecież Sherri mogłaby przytulić się do niego całym ciałem.

Podjął decyzję i przestał o tym myśleć. Najmądrzejszym wyjściem będzie znalezienie obroży.

Podszedł do niej, przyklęknął i potarł zabrudzonym metalowym identyfikatorem o spodnie. Nie wstając, wykręcił się do tyłu i podniósł rozpiętą i sponiewieraną przez pogodę obrożę nad głową.

- To ta?

Sherri podbiegła do niego.

Potarł identyfikator palcami, jakby chciał go oczyścić, żeby

odczytać napis. Będą na nim teraz wyłącznie jego odciski palców, tyle że rozmazane.

- Zbój. Jest napisane - powiedział ze smutkiem.

Zabrała mu obrożę, przycisnęła ją do siebie oburącz i znowu się rozpłakała.

- Zachowuję się jak idiotka - wyszlochała po chwili.

Rory objął ją i poklepał po plecach.

- Nieprawda. Po prostu kochałaś swojego psa.

Przyszedł Daryl Smith i oparł się nieopodal o nieodłączną łopate.

- Twój?

Rory pomyślał, że to chyba oczywiste, ale Sherri skinęła głową i już nic nie powiedział.

- Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś - powiedziała.

Daryl wzruszył ramionami, przez cały czas obiema rękami opierając się o stylisko łopaty.

- Przejdzie jej - powiedział Rory.

Sherri wyprostowała się i odsunęła od niego.

- Chciałabym go pochować w takim jednym miejscu na podwórku.

Daryl spojrział na chevy'ego.

- Może poszukam czegoś, żeby się bryka nie powalała.

- Mam w torebce plastikowy worek - powiedziała Sherri. -

Włóżcie do niego Zbója?

Ja... Nie chcę na to patrzeć.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Daryl.

Czekali we dwóch, aż Sherri przyniesie z samochodu plastikowy czarny worek. Podała go Darylowi, wróciła do wozu i została tam, ze wzrokiem utkwionym w dal pustej drogi.

Bobcat przestał szczekać i powarkiwac; dwaj pozostali robotnicy

patrzyli, jak Rory otwiera szeroko worek, a Daryl za pomocą łopaty wkłada do niego zdechłego psa. Rory szczelnie zawiązał worek żółtym plastikowym ściągaczem.

Daryl schylił się i podniósł czerwoną obrożę.

- Pewnie ją upuściła. Weźmiesz?

Sherri patrzyła na nich, stojąc przy otwartym bagażniku chevy'ego.

- Lepiej wezmę - powiedział Rory, przyjmując obrożę. - Może będzie chciała ją zachować.

- Baby... - powiedział Daryl.

- Psy są dla nich jak dzieci - rzekł Rory.

Daryl wskazał głową plastikowy worek.

- Cieszę się, że to tylko pies, a nie mój dzieciak.

- Ta... Pochowamy go, może nawet powiemy nad grobem kilka słów.

- Ustawcie jakiś nagrobek. „Tu leży Zbój. Niech aportuje w pokoju”.

- Lepiej, żeby nie zobaczyła twojego uśmiechu - powiedział Rory i ruszył obciążony workiem w stronę Sherri i otwartego bagażnika.

Drugi grób Zbója Rory wykopał na odległym krańcu podwórka Sherri. Clyde, jej dziesięcioletni brat, obserwował ich z oddali z pochmurną miną.

Gdy dół był odpowiednio głęboki, Rory umieścił w nim plastikowy worek ze Zbojem oraz obrożę i identyfikator. Sherri wymamrotała kilka słów, które Rory ledwie dosłyszał, potem zgarnęła garść ziemi i rzuciła ją na worek. Cofnęła się i Rory znowu złapał za łopatę.

Kiedy skończył, podszedł do niego Clyde.

- Postawicie na grobie krzyż?

- Nie - odpowiedział Rory. - Krzyż zainteresowałby ludzi i

mogliby się tu kręcić. A tak Zbój będzie odpoczywał w spokoju.

- Psy odpoczywają? - spytał Clyde. - Nie wolą sobie pobiegać?
- Zapytaj siostrę.
- Poszła do domu. Płakała.
- Przejęła się.
- Ja też tęsknię za Zbojem, ale się nie mażę!
- Dziewczyny mają inaczej.
- Co ty powiesz, Sherlocku.

Rory odniósł łopatę do garażu, po czym zaczął myć ręce pod podwórkowym kranem.

Sherri w tym czasie wróciła na dwór i stanęła obok niego.

- Może weźmiesz jedną?

Zobaczył, że w różowej dłoni trzyma trzy nieduże białe pigułki.

- Myślałem, że jesteś przeciwna narkotykom.
- Przepisał je lekarz, a to zupełnie inna sprawa.
- Co to w ogóle jest?
- Loraza-coś tam. Albo coś jeszcze innego. Matka bierze je na sen. Pomagają, robi się po nich mniej smutno.

- Wzięłaś już?

- Aha. Dwie. Tobie przyniosłam trzy, bo jesteś większy.

Rory nie chciał po sobie pokazać, że niespecjalnie obeszło go pożegnanie ze Zbojem, wziął więc tabletki, włożył je do ust, nalał w stuloną dłoń wody z kranu i popił.

- Pochlapałeś sobie koszulę - powiedziała Sherri. Jej ciemne oczy były zaczerwienione i opuchnięte.

- Dasz sobie radę? - zapytał, zakręcając kurek.
- Chyba tak.
- Mama w domu?
- Nie, ale jest Clyde. Nie możemy się wygłupiać.
- Pewnie nie.

- Ale później podziękuję ci za to, co dla mnie zrobiłeś - powiedziała. - Jak należy.

Pocałowała go w usta, a on natychmiast doznał erekcji.

Sherri chyba ją poczuła.

- Lepiej, żebym tego nie robiła - powiedziała, uśmiechając się do niego. - A ty powinieneś odwieźć matce samochód.

Rory pomachał na do widzenia przyglądającemu im się Clyde'owi, wsiadł do chevy'ego, wycofał go z podwórka i wyjechał na ulicę. Jak dotąd nie czuł działania pigułek.

W pobliżu domu przejechał na czerwonym świetle, ale udało mu się bezpiecznie wjechać do garażu.

Kiedy wszedł do domu, znalazł na kuchennym stole przyciśniętą solniczką wiadomość od matki. Pojechała z sąsiadką jej samochodem na zakupy i niedługo wróci.

Rory wyjął z lodówki oranżadę, poszedł do salonu i wyciągnął się na sofie. Zadzwoił do Sherri i rozmawiali przez jakiś czas. Sherri pierwsza zaczęła chichotać i wygadywać głupoty, potem oboje mówili z coraz mniejszym sensem, więc każde z nich cmoknęło w słuchawkę i rozłączyli się.

Kładąc się ponownie, Rory westchnął ze szczęścia. To był ciężki dzień, ale teraz nie wydawał się taki zły. Stali się sobie bardziej bliscy, on i Sherri - to pewne. Wyglądało na to, że w sumie miał naprawdę dobre życie, którego wszystkie kawałki do siebie pasowały.

Z głową wspartą o poręcz sofy rozmyślał...

Obudził się przekonany, że spał najwyżej pięć sekund. Na dworze było ciemno.

Podciągnął się do pozycji siedzącej i napił się oranżady. Była ciepła i musująca i trochę wylało mu się na koszulę.

Rozejrzał się za zegarkiem, ale przypomniał sobie, że nie mieli

takiego w salonie. Bo Rory odkrył, że tu właśnie był: w salonie swojego własnego domu.

Znajomy teren, który uspokajał.

Po niezapamiętanym śnie?

Odetchnął głęboko kilka razy i uznał, że całkiem dobrze się czuje. Może był trochę dezorientowany i jakby... ociężały.

Po ścianach salonu przesunęły się światła. Reflektory samochodu.

Grzechot żwiru pod oponami. Auto zajeżdżające na podjazd.

Głosy. Trzaśnięcie drzwiczek. Stukot wysokich obcasów na cementowej werandzie.

Szelest papierowych toreb. Cichy brzęk kluczy i szcęknięcie zapadki otwieranego zamka.

Zapaliło się światło, rażąc go w oczy.

- A ty czego tak siedzisz po ciemku? - spytała matka Rory'ego. Stała w drzwiach, trzymając w ramionach kilka dużych firmowych toreb od Antoine'a.

- Oglądałem telewizję. Musiałem przysnąć.

- Mam nadzieję, że nie zalałeś sofy tą oranżadą.

- Nie. Uważałem.

Uświadomił sobie nagle, że musi się wysikać, i to natychmiast. Wstał zatem, chwiejąc się lekko. Przez chwilę nie potrafił zmusić nóg do pracy; wreszcie powlókł się korytarzem w kierunku łazienki.

- Ciągle jeszcze śpisz - powiedziała matka.

- Chyba tak. Od telewizji czasem tak się robi. - Ospale posuwał się w stronę łazienki.

Dlaczego była tak daleko?

Ciągle czuł się ociężałe. Prawie zasypiał na stojąco. Jak naćpany.

Sherri i jej małe białe tabletki!

A jednak zadziałały. Pamiętał, jak dobrze się czuł niedługo po ich zażyciu. Napięcie, strach, że coś mu się wyrwie albo że Sherri w jakiś inny sposób dowie się, co naprawdę spotkało Zbója, nagle straciły znaczenie, a potem wygasły do reszty.

Jeśli pigułki zadziałały raz, zadziałają ponownie. Wszyscy tak wiele się po nim spodziewali. Rory na pewno nie żył życiem wolnym od presji.

Wpadł na nieduży stolik w korytarzu, którego nogi zapiszczały na drewnianych listwach podłogi.

- Włącz światło, na miłość boską! - odezwał się za nim głos matki. - Mam nadzieję, że po nocy nie prowadzisz tak, jak chodzisz. Mógłbyś kogoś zabić!

Nowy Jork, dzisiaj

Gabinet doktor Grace Moore znajdował się na Zachodniej Czterdziestej Czwartej Ulicy, w budynku przystającym do Lumineux, ekskluzywnego hotelu z europejskim wystrojem wewnątrz. Chodziło o to, żeby na gabinet spłynęła choć część cechującego przyległy gmach splendoru.

Gabinet urządzony był zresztą na wzór hotelu: minimalistycznie i kosztownie.

Dobrane pod kolor szarobrazowego dywanu zasłony tonowały - ledwo, ledwo - fioletoworóżowy kolor mebli i ułożonych na drewnianym parkiecie dywaników. Tu i ówdzie klucz kolorystyczny podkreślały ciemnoniebieskie akcenty. Przeznaczona dla pacjentów jasnobrazowa sofa była zdumiewająco wygodna. Grace Moore uważała, że w efekcie wygląd gabinetu podnosi wiarę pacjentów w jej profesjonalizm i skłania ich do zwierzania się z głębiej skrywanych tajemnic.

Gdy dwudziestodziewięcioletnia Linda Brooks, którą doktor Moore leczyła od dwóch lat, przysłała na dzisiejszą wizytę, sprawiała wrażenie wyjątkowo wzburzonej; teraz, kiedy siedząc na sofie z półprzymkniętymi oczyma, złożyła głowę na miękkich poduszkach, była wyraźnie spokojniejsza.

Linda była atrakcyjną ciemnowłosą dziewczyną o wyrazistych rysach i z dołkiem w podbródku, który nadawał jej twarzy wyraz szczerości i determinacji. Zęby zdawała się mieć nieustannie zaciśnięte, mięśnie szczęk niemal zawsze napięte. Pięć lat temu zdiagnozowano u niej łagodną schizofrenię z okresowymi

napadami paranoi. Ostatnio napady te zyskały na sile i częstotliwości.

- Brałaś lekarstwa zgodnie z zaleceniami? - zapytała siedząca ze skrzyżowanymi nogami w miękkim obrotowym fotelu Grace. Była jak zwykle skupiona i opanowana.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała Linda. - Po to przecież są, prawda?

- Czyżbym wyczuwała wrogość?

- Nie wobec ciebie - odpowiedziała Linda.

- Wobec siebie?

- O Boże. Nie zaczynajmy tego.

- Chyba po to tu przyszedłaś?

- Wiedziałam, że padnie to pytanie.

- Nic dziwnego. Samo się nasuwało.

- Tak jak moja odpowiedź. Bez urazy, Grace, ale nie znasz właściwych pytań.

- Oświeć mnie. Co to za pytania?

- Te, które ja bym zadała.

- Na przykład?

- Czy jeszcze kiedyś będę po przebudzeniu z radością witała nowy dzień? Czy kiedyś uda mi się stworzyć oparty na miłości związek z mężczyzną? Czy będę musiała żyć na ulicy, bo skończą się pieniądze z ubezpieczenia i od rodziców? Czy któryś z tych gównianych koktajli z lekarstw, które dla mnie wymyślasz, rzeczywiście mi pomaga? Czy tylko sobie wyobrażam, że tropi mnie pewien mężczyzna, czy naprawdę ktoś za mną chodzi?

- Mogłabyś powtórzyć to ostatnie?

Linda uśmiechnęła się, zadowolona, że przyciągnęła uwagę doktor Moore.

- Facet średniego wzrostu, zbudowany jak młody Frank Sinatra.

Czasem nosi czapkę bejsbolową, jakby uważał, że to wystarczy za przebranie. Ale zauważam go. Znam go.

Rozpoznaję. Wiem - myślisz, że to halucynacje. Ale tak nie jest.

- Frank Sinatra... Spodziewałabym się, że powiesz „Mick Jagger”, czy ktoś taki, bardziej pasujący do upodobań muzycznych osób w twoim wieku.

- Niech będzie. Mick Jagger, chociaż jest starszy od nas obu.

- Ten mężczyzna, który za tobą chodzi...

- Który mnie tropi.

- Jaka różnica?

- W tym, gdzie się pojawia, jak się porusza, jak na mnie patrzy. Zdarzyło ci się kiedyś pójść do zoo i spróbować wygrać na spojrzenia z drapieżnym kotem?

- Może nie uwierzysz, ale tak - odpowiedziała doktor Moore. - Dawno temu. To była pantera i przegrałam ten pojedynek z kretesem.

- Dlatego że gdyby nie kraty, pantera by cię pożarła. Obie o tym wiedziałyście. A teraz ktoś tropi mnie, ale mnie nie chronią kraty.

Doktor Moore przeszył dreszcz. Poczwała też litość, myśląc, przez co musiała przechodzić Linda.

- Gdzie widzisz tego mężczyznę, Lindo?

- Na ulicy, w metrze, w parku, w moim mieszkaniu...

- Wewnątrz twojego mieszkania?

- Tylko raz, i to przez ułamek sekundy, jak wymykał się przez kuchenne okno. Jest tam drabinka pożarowa. - Linda otworzyła oczy na całą szerokość, żeby zmierzyć się z Grace na spojrzenia. Jak pantera - pomyślała Grace. - On nie był halucynacją.

- Okno kuchenne było zamknięte na zasuwkę?

- Oczywiście.

- Dobrze. To jak mógł wejść?

- Użył klucza. Zostawiam zapasowy klucz pod wycieraczką na korytarzu.

- Lindo, to pierwsze miejsce, w którym szuka się klucza!

- Właśnie. Dlatego kiedy wracam do domu, sprawdzam, czy klucz tam jest. Jeśli tak, to znaczy, że nikt nie wykorzystał go, żeby zakraść się do mojego mieszkania. Czyli - mogę bezpiecznie wejść.

Z tym Grace nie zamierzała dyskutować.

- A w dniu, w którym widziałas tego mężczyznę, klucz był pod wycieraczką?

- A skąd. Weszłam za pomocą klucza, który miałam ze sobą. Chciałam go spotkać, porozmawiać z nim, przekonać się, że istnieje naprawdę. Ale już był prawie za oknem.

Po plecach Grace Moore przebiegło coś mającego z setkę nóg.

- Odezwał się, zanim wyszedł?

- Nie. Był bardzo zajęty wychodzeniem. Ale zostawił klucz - znalazłam go na rogu kuchennego stołu. Odłożyłam go pod wycieraczkę. - Linda splotła palce za głową i wpatrzyła się w doktor Moore. - Zastanawiasz teraz, czy Linda rzeczywiście widziała tego człowieka?

Może nawet skradał się za nią aż tutaj? A może to kolejny wymysł jej paranoidalnego mózgu?

- Naturalnie, masz rację - uśmiechnęła się Grace.

- Takie to męczące, że nikt mi nie wierzy.

- Nie zakwestionowałam twojej opowieści.

- Bawisz się znaczeniem słów. Pewnie jesteś dobra w scrabble.

- Nie do pobicia - odpowiedziała Grace.

- Cóż, nigdy nie grałaś z wariatką.

- Ależ grałam. Może pewnego dnia powinniśmy...

- Nie. Sądzę, że znasz za dużo siedmioliterowych słów.

- Przecież wiesz, że czasem miewasz halucynacje. I nie zawsze bierzesz przepisane lekarstwa, w końcu łatwo o tym zapomnieć. W dodatku słyszysz głosy. Dlaczego więc uważasz...

- Nie sądzisz, że gdybym go wymyśliła, obdarzyłabym go głosem?

Było to rozsądne pytanie i trochę zbiło Grace z tropu.

- Uznajmy go więc za na tyle prawdziwego - powiedziała - żebyś zaczęła chować zapasowy klucz gdzie indziej.

- Wtedy nie będę wiedziała, czy mogę bezpiecznie wrócić do mieszkania.

Wykluczyłabym sobie system wczesnego ostrzegania, rozumiesz.

- Rozumiem. I cieszę się, że nie opuszcza cię poczucie humoru.

- Bez tego chyba bym zwariowała... Zaraz, zaraz!

Grace nie udało się powstrzymać śmiechu. Linda na swój sposób potrafiła być duszą towarzystwa.

- Ten sukinsyn jest rzeczywisty - powiedziała Linda. - Uwierz mi.

Ale doktor Moore wiedziała swoje.

Bar hotelu Lumineux był chłodny; w dyskretnym oświetleniu czerniły się skórzane obicia, lśniło aluminium i mieniło się kolorowe szkło. Tu i tam siedziało kilku biznesmenów - rozmawiali o interesach, wykręcali się od zobowiązań, a przed nimi, na czworobocznych białych podstawkach, jak ceremonialne puchary stały drinki. Można tu było zbudować lub stracić przyszłość - skutecznie, choć prawie niepostrzeżenie.

Morderca siedział przy barze i od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Linda Brooks nie zauważyła, że jest śledzona. Z początku myślał, że szła do hotelu, co tworzyło całkiem ciekawe możliwości. Każda kolejna zwierzyna była przecież przygodą.

Minęła jednak hotel i weszła do Cartling Towers, szkaradnego kolosa ze szkła i stali, przylegającego do Lumineux. Udało mu się wcisnąć do windy, którą jechała na jedno z wyższych pięter, i wysiąść razem z nią. W korytarzu skręcił w drugą stronę, ale zaraz zatrzymał się i patrzył, które drzwi ją interesują. Wykonał ten manewr zręcznie i bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Miał praktykę.

Gabinet psychiatryczny. Cudownie!

Spojrzał na zegarek. Do pełnej godziny brakowało kilku minut, więc Linda musiała przyjść na umówioną wizytę.

Napis na mosiężnej plakietce na drzwiach, za którymi zniknęła, głosił, że gabinet należy do doktor Grace Moore. Linda prawdopodobnie chodziła na psychoanalizę - uczyła się radzić sobie ze swoimi problemami. Nie zdawała sobie sprawy, że jej największy problem podążał tuż za nią i studiował grę mięśni na

okrytej nylonem łydce uniesionej przez wysoki obcas, wahadłowy ruch bioder oraz wdzięczne kołysanie smukłych ramion i łokci równo przy ciele.

Uczył się jej tak, jak uczył się każdej z nich.

Morderca zastanawiał się, czy nie wejść do gabinetu. Może nawet usiadłby na wolnym krześle w poczekalni, o ile mieli tam taką? W razie czego mógł powiedzieć, że pomylił drzwi.

Był prawie pewien, że Linda go nie rozpozna. Widziała go z daleka, w dodatku przelotnie.

Zbliżał się do niej tylko wtedy, gdy miał pewność, że go nie zauważy. Na pewno nie spodziewała się, że zobaczy go właśnie tutaj.

Zgrabnie wymknąłby się z gabinetu, a ona wahałaby się i roztrząsała, wystraszona i niepewna. O tak, pokusa była silna. Byłaby to śmiała, zabawna i owocna akcja. Zmyliłby przy okazji psychoterapeutkę, a może nawet by nią wstrząsnął. Ale przemyślał sobie wszystko jeszcze raz. Zobaczyłyby go z bliska, a to już byłby błąd.

Nie czas na takie ryzyko. Nie widział sensu w stymulowaniu coraz bardziej otumanionego umysłu, w którym konsekwentnie budził niepokój, ani we wzmacnianiu siły woli, którą niedługo przecież złamie. Jego hobby - dobrze, niech będzie: obsesję - fascynującym czyniło między innymi to, że zawsze było przedsięwzięciem wspólnym. Jego zwierzyna w końcu zapragnie, żeby strach się skończył, i stanie się aktywnym uczestnikiem procesu.

Stojąc w korytarzu przed drzwiami gabinetu doktor Moore, postanowił wypić drinka w barze sąsiadującego hotelu, a potem, gdy Linda będzie jeszcze leżała na kozetce (o ile pani doktor miała w gabinecie kozetkę), pójdzie do jej mieszkania i poprzestawia

niektóre przedmioty w lodówce i w apteczce. Nie całkowicie, ale zauważalnie - tak, żeby miała poważne podejrzenia (choć nie pewność), że ktoś był w jej mieszkaniu.

Wyobrażał ją sobie, jak wciąż roztrzęsiona tym, co zobaczyła w lodówce, otwiera apteczkę, żeby sięgnąć po jeden ze swoich środków uspokajających, i widzi, że buteleczka z lekiem z jakichś powodów stoi na niewłaściwej półce - w dodatku do góry nogami. Jak szybko, i to zaraz po sesji z dobrą panią doktor, zgubi wewnętrzny spokój! Coś takiego wystarczy, żeby podważyć jej wiarę w skuteczność medycyny.

Zapłacił za drinka, zsunął się z barowego stołka i wyszedł z hotelu. Portierowi polecił zatrzymać taksówkę.

Podając taksówkarzowi skrzyżowanie ulic, na którym zamierzał wysiąść, pomyślał, że mógłby w mieszkaniu Lindy spędzić trochę czasu. Przejrzeć jej dokumenty, może nawet dowiedzieć się, dlaczego odwiedza psychiatrę. Na kozetce doktor Moore (o ile doktor Moore miała kozetkę) Linda spędzi jeszcze co najmniej pół godziny, a potem trochę zjedzie jej z dojazdem, nawet jeśli po wizycie wybierze się prosto do domu.

- Nie zaniebuj kontaktów z Quinnem i QUiZ - mówił Harley Renz - ale mam ważniejszą i dyskretną sprawę, którą musisz się zająć.

Nancy Weaver, siedząca w jednym z foteli naprzeciwko biurka Renza w gabinecie komisarza policji, słuchała z zainteresowaniem. I zachowywała czujność. Nie ufała Renzowi - przynajmniej nie do końca. Poświęciłby ją bez mrugnięcia okiem, gdyby mógł coś na tym zyskać. Był cennym, ale przebiegłym sojusznikiem.

Wiedząc, ile warte bywa milczenie, Weaver bez słowa czekała, aż Renz powie coś więcej.

- W śródmieściu działa tajniak z obyczajówki. Nazywa się

Tennyson.

Weaver zamajaczył niewyraźny obraz wysokiego, chudego jak tyczka gliny.

- Jim Tennyson?
- Ten sam. Znasz go?
- Tylko z widzenia.
- Mógłby cię rozpoznać?
- Nie sędzę.
- I tak podejmij środki ostrożności.

Weaver czekała, nie okazując zainteresowania. Renz sam powie, jakie środki ostrożności miał na myśli.

- Chcę, żebyś podczepiła się pod tego Tennysona, wybadala, dokąd chodzi i z kim się spotyka. Ale musisz uważać. Obraca się w naprawdę paskudnym towarzystwie.

- Powiedział pan: „Podczepiła się”...

- Ty i tylko ty, Weaver. A jeśli czegoś się dowiesz, masz przekazać to wyłącznie mnie.

Nikommu innemu. Nie pożałujesz, przekonasz się.

W to akurat Weaver nie wątpiła. Zdawała sobie też sprawę, że odmowa spełnienia prośby komisarza to zły pomysł. Renz poderzwałby gardło własnej matce, gdyby mogło mu to pomóc w niestrudżonym wspinaniu się po szczeblach policyjnej kariery. Nie - teraz już politycznej. A dbanie o względy Renza powinno być dla Weaver korzystne. Szczególnie jeśli dowiedziałyby się czegoś, co dałoby jej na niego haka.

Gdyby miała na niego coś, przez co stałby się od niej zależny, efekt mógłby być dwojaki: miałyby zabezpieczoną przyszłość albo Renz zniszczyłby ją, żeby nie stanowiła potencjalnego zagrożenia.

Bawiła się w niebezpieczną grę.

- Rozumiem, jak ważna jest tu dyskrecja, panie komisarzu.

Może mi pan zaufać.

- Wiem o tym, Weaver. Inaczej nie siedziałabyś teraz przede mną.

Ich spojrzenia zetknęły się i coś między nimi przeskoczyło: milczące porozumienie ludzi, którzy lubią brać, a nieskłonni są do dawania. Dający i biorący - inni na tym świecie nie istnieli. A już na pewno nie w mieście Nowy Jork.

Renz złożył kluchowate paluchy w namiot i nie odzywał się, co Weaver uznała za sygnał do odejścia.

- Zrób, co będzie konieczne - rzucił za nią na pożegnanie.

Skinęła głową.

Jak zawsze.

Betonowe ściany ozdobione nieczytelnym graffiti, strome pochyłości gruntu zarośnięte chwastami, samochody jadące gruntowymi drogami - wszystko to przemykało za oknem, w którym morderca widział swoje posępne odbicie.

Wracał pociągiem ze Stamford w stanie Connecticut do Nowego Jorku. Podróż trwała tylko czterdzieści pięć minut, a wizyta w sklepie żelaznym, w którym dorabiano klucze - niecałą godzinę.

Musiał to zrobić. Nie miał pewności, że Linda nie zabierze nagle zapasowego klucza spod leżącej przed drzwiami mieszkania wycieraczki z napisem „WITAJCIE” i nie zmieni zamków. Odwiedzała psychiatrę i mogła otrzymać tę - jakże praktyczną - poradę.

Dziewczynie stojącej za ladą w sklepie żelaznym wytłumaczył, że oryginalny egzemplarz musiał zostawić żonie, żeby mogła wchodzić i wychodzić pod jego nieobecność, ale zrobił woskowy odcisk klucza do ich domu. Czy da się zrobić duplikat?

Dało się, oczywiście, ale cena była wyższa niż w wypadku standardowego dorobienia.

Chętnie dopłacił, ile należało.

W trakcie dorabiania pokręcił się po sklepie i kupił zestaw narzędzi do wieszania obrazów. Niech dziewczyna stojąca przy maszynie do kopiowania kluczy i zarazem obsługująca kasę wyciągnie własne wnioski o nim i o jego fikcyjnej żonie - że się przeprowadzają albo zmieniają wystrój wnętrza.

Wkrótce opuścił sklep i zmierzał na stację kolejową, a dorobiony klucz do drzwi mieszkania Lindy Brooks krył się w małej kopercie głęboko w jego kieszeni.

Miał świadomość, że obecność klucza, jego ciepło i lekkość, które czuł przy udzie, przyspieszają nadejście dnia, w którym użyty zostanie po raz ostatni.

Pociąg zwolnił, żeby zabrać pasażerów z jednej ze stacji po drodze. Potem znów nabrał szybkości i łomocząc na szynach, wiózł mordercę do Nowego Jorku. Do Lindy Brooks. Ku jej przeznaczeniu.

Linda Brooks lubiła snuć się ulicami, jakby przemierzając je, spodziewała się znaleźć jakąś odpowiedź.

Morderca zastanawiał się czasem, czy te wędrówki na chybił trafił odpowiadają przypadkowością temu, co dzieje się w jej szalonym umyśle. Czyniłoby to ją o wiele bardziej interesującym obiektem do tropienia. Starał się przewidzieć, dokąd zmierzała, ale przeważnie się mylił - nie ze swojej winy, lecz dlatego, że jej umysł był kapryśnym przewodnikiem.

Dziś jednak było inaczej. Linda szła szybciej, prosto i pewnie, z wysuniętym do przodu podbródkiem. Całą swoją postacią wyrażała dążenie do celu, tak wyraźne, że niemal karykaturalne.

Morderca z łatwością podązał za nią, pozostając niezauważonym. Zwykle co jakiś czas oglądała się do tyłu - ale nie dziś. Skoncentrowana była na podążaniu przed siebie.

Przekroczyła Amsterdam i ruszyła na północ, wzdłuż Columbus w stronę Upper West Side. Morderca musiał się trochę wysilić, żeby za nią nadążyć.

Cel jej podróży odgadł, gdy dotarli na Zachodnią Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicę.

Został nieco z tyłu i obserwował ją, gdy wchodziła do budynku z kamienia i czerwonej cegły, w którym mieściła się siedziba agencji Quinn i Zespół - Dochodzenia.

Quinn usłyszał, jak otwierają się drzwi na ulicę, potem drzwi do biura, i przyjrzał się zza biurka wchodzącej kobiecie. Miała długie ciemne włosy, była średniego wzrostu, szczupła. Gdy tak stała obramowana framugą drzwi, w obcisłych dżinsach i żółtym T-

shircie, nie mógł nie zauważyć, jak dorodny miała biust. Na T-shircie, w poprzek piersi, widniał napis „PILNUJ WŁASNEGO NOSA”.

Gdy Quinn zakodował sobie jej ogólny wygląd i przyjrzał się dokładniej, uderzyła go udręka widoczna w jej ciemnych oczach. Błada skóra twarzy sprawiała wrażenie naciągniętej na wydatne kości policzkowe. Wyglądała młodzieńczo, ale mizernie, jakby właśnie przeżyła poważną chorobę. Quinn niemal czuł zapach bijącego od niej strachu.

- To na pewno agencja dochodzeniowa? - zapytała.

Uśmiechnął się.

- Jest pani we właściwym miejscu.

- Uff. Dawno nie byłam w tych okolicach. - Posłała mu spojrzenie z ukosa. - Więc pan pewnie jest kapitanem Frankiem Quinnem.

- Jestem, chociaż kapitanem to już od dawna nie.

- Łał. Właściwe miejsce, właściwy człowiek. - Zbliżyła się do jego biurka, a on gestem zaprosił ją, żeby usiadła na krześle. Za podszeptem intuicji postanowił nie wstawać.

Górowałyby nad nią i mogłaby umknąć jak egzotyczny ptak. Przesunęła krzesło na kółkach bliżej biurka, usiadła sztywno. Z bliska strach w jej oczach był jeszcze bardziej wyraźny. Tak, strach - i głęboki smutek.

- Żeby było jasne - powiedziała - jestem wariatką, ale nie zawsze.

- Odnotowane - odparł Quinn.

Pomachała szczupłymi ramionami.

- Zdiagnozowali schizofrenię. Głósy, zwidy, cała otchłań cierpienia.

- Damy sobie z tym radę - powiedział Quinn.

Uśmiechnęła się.

- Mówi pan jak moja psychoterapeutka.

Ucieszyło go, że chodziła na kurację.

- Nazywam się Linda Brooks - powiedziała - i jestem śledzona. - Pochyliła się lekko do przodu, jakby chciała podkreślić wagę swoich słów. - Nie tylko tu i teraz. Od jakiegoś tygodnia. Jakbym miała cień, który nie jest cieniem. Cienie nie trzymają się na dystans. Nie znikają zniecka, mimo że nikt nie zgasił światła. Nie robił tak przynajmniej żaden cień, jaki dotąd widziałam.

- Rozumiem, Lindo. Dobrze przyjrzała się pani temu mężczyźnie?

- Skąd pan wie, że to mężczyzna?

- Założyłem. Często tak robię.

- Pewnie tak... Jest szczupły, raczej przystojny, jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu.

Czasem nosi niebieskoszary dres. Innym razem - dzinsy i adidas. A jeszcze kiedy indziej garnitur i krawat. Na zdjęciu pewnie bym go rozpoznała.

Quinn uniósł palec wskazujący, dając znać, żeby chwilę zaczekała, i pogrzebał w jednej z szuflad swojego biurka. Wyjął kopię starego zdjęcia Daniela Danielle'a, zamieszczonego ongiś w „Miami Herald”, i położył je na blacie.

Linda pochyliła się i przyjrzała zdjęciu.

- To on.

Quinn wyjął drugą fotografię - zdjęcie Jerry'ego Lida z akt osobowych QUiZ.

- Przecież mówiłam, że to on - powiedziała Linda, spojrzawszy na zdjęcie.

- Jasne - powiedział Quinn. Mężczyźni byli w miarę podobni - mieli zbliżoną budowę, obaj byli ciemnowłosi. Daniel miał na sobie

coś przypominającego górę więziennego kombinezonu, wyniszczony przez alkohol Lido - niebieską koszulę i poluzowany krawat.

- To dwaj różni mężczyźni - wyjaśnił Quinn.

- Wiem. Ale o różnych porach mogliby być jednym.

Zrozumienie, co miała na myśli, zajęło Quinnowi kilka sekund.

- To znaczy: każdy z nich mógłby śledzić panią o innej porze?

- Oczywiście. Nie jestem głupia. Nie chodziło mi o to, że mogą zamienić się tożsamościami. Po prostu jeden człowiek na różnych zdjęciach może różnie wyglądać. Wie pan, nie zawsze jestem wariatką.

- Już pani o tym wspominała. - Podejrzywał, że była to jej mantra.

- Mówi pan jak moja psychoterapeutka.

Pora zmienić temat.

- Nie zamierzam zostać pani terapeutą. Zamierzam pomóc. A przy okazji, kto jest pani psychiatrą?

Bez wahania podała mu nazwisko i adres psychiatry - kobiety, o której nigdy nie słyszał, ale która mieszkała w renomowanej dzielnicy.

- Mam porządne ubezpieczenie chorobowe - powiedziała, gdy jeszcze notował. - Matka zadbała o to, zanim umarła. Ojciec zmarł rok przed nią.

- Oboje z przyczyn naturalnych, jak sędzę.

- Jasne. Nie zarąbałam ich siekierą.

- Jacyś inni krewni?

- Żadnych, którzy chcieliby mieć ze mną do czynienia. Okradałam ich wszystkich.

- Od dawna leczy się pani u doktor Moore? - spytał Quinn.

- Od lat. Nie jestem wariatką całodobowo; po lekach przez jakiś

czas jestem normalna jak każdy.

- Czy ktoś już panią kiedyś śledził?

- Ktoś, kto nie pracował dla Biura Służb Strategicznych? Tak.

Wie pan, czym było to Biuro?

- Wiem, że dawno temu przerodziło się w CIA - odpowiedział Quinn.

- O ile uwierzy pan w kłamstwo, że w ogóle kiedykolwiek zostało rozwiązane.

- Często się nad tym zastanawiałem - rzekł Quinn.

- Wiem, że nie jesteście glinami. Trzeba wam płacić, a ja nie mam pieniędzy.

- Zajmiemy się tym pro publico bono. - Bo i tak płaci mi miasto, a ty jesteś taka podobna do Pearl.

- Najlepiej, gdybyście przyłapali go w moim łóżku.

- Sypia w pani łóżku?

- Prędejj: ucina sobie drzemkę. Widziałam, że czasem ktoś leżał w moim łóżku.

Oczywiście pod moją nieobecność. Zdarza się, że przebywa w moim mieszkaniu, kiedy nie ma mnie w domu.

- Jak wchodzi?

- Czasami przez okno, jeśli zostawię niedomknięte. I prawdopodobnie ma uniwersalny klucz.

- Czy była pani kiedyś w mieszkaniu w tym samym czasie co on?

- Raz. Widziałam wtedy, jak wychodził przez okno. Ale czas i miejsce muszą się kiedyś przeciąć, prawda?

- Prawda - powiedział Quinn.

- No więc mieszkam tutaj. - Wydobyła z torebki kartkę i ołówek i zapisała adres na West Side, kilka przecznic od Broadwayu, na północ od biura QUiZ. Pod adresem zapisała numer telefonu. -

Wiem, jak działacie - powiedziała, przesuając kartkę papieru w stronę Quinna. - Czytuję książki. Nie będę was widziała, ale będziecie na miejscu. Jeśli ten facet znowu się pojawi, zajmie się nim ten z was, który akurat będzie mnie pilnował. Wykręci mu rękę na plecy i zmusi go do gadania, a on powie wam, kim jest. Mnie zdradził to wiatr.

- Właśnie na wietrze słyszy pani głosy?

- Nie zawsze, ale w sumie dość często. Gdy wiatr mówi do kamieni.

Quinn pomyślał, że w Nowym Jorku to pewnie przez cały czas.

- I co te głosy mówiły?

- Żebym uważała. Żebym, na miłość boską, uważała. - Wpatrywała się w Quinna oczyma, które widziały zbyt wiele rzeczy nieistniejących, a jednak - dla niej - gdzieś tam rzeczywistych. Cokolwiek by zdarzyło się w jej świecie, wypaczało się i urealniało, zanim zdołała należycie to zrozumieć. Jej najgorszy wróg tłukł się między ścianami jej czaszki.

Prawdopodobnie nawet na chwilę nie zdarzało jej się zaznać spokoju.

Quinn zdawał sobie sprawę, że nie potrafi wyobrazić sobie ogromu jej cierpienia.

Morderca przyglądał się, jak Linda opuszcza siedzibę QUIZ. Popatrzyła wzdłuż ulicy, w lewo i w prawo, ale go nie zauważyła. A może zauważyła, ale nie chciała tego przed sobą przyznać i pozwoliła, żeby jej spojrzenie przeszło przez niego na wylot.

To cudowne, że tu przyszła! Rozumiała, nie wiedząc, kto - lub co - ją tropi. Quinn też pewnie odczuł na jakimś poziomie świadomości, że rozmawiał z kobietą, która niedługo w okrutny sposób zginie, a on będzie prowadził dochodzenie w sprawie jej śmierci. Oczywiście wątpliwe, żeby o tym mówili. Na pewno nie dosłownie.

Zamiatali oczywistą prawdę pod dywan, mimo że niedługo miała otwarcie się objawić.

Biblioteczne spotkanie Strażników Cienia było udane. Dla Penny także ze względu na nieobecność pani Culver, która o tej porze miała seminarium o e-bookach w innej bibliotece.

Penny wychodziła przekonana, że Strażnicy Cienia nie są grupką fanatyków skrajnej lewicy czy prawicy. Były to żony i dzieci policjantów, chcące mieć pewność, że ich ukochani dysponują każdą możliwą przewagą w wojnie ze światem przestępczym. W wojnie, której wynik coraz bardziej przechylał się na jedną stronę. Czarne charaktery - handlarze narkotykami, przystankowi rabusie, gangi uliczne i zwykli złodzieje starej daty - wygrywały.

Policja miała braki osobowe i braki w wyposażeniu. Strażnicy Cienia powstali, aby pomagać i zapobiegać, to wszystko. Chociaż bez wątplenia nawet to mogło być niebezpieczne.

Kobieta, która gościnnie przemawiała na spotkaniu, przyjechała z Kalifornii; miała usztywnioną sprayem, przypominającą hełm fryzurę. Opowiadała, jak koncepcja sprawdza się w niektórych większych miastach. Organizacja nie została pomyślana jako przedłużenie sił policyjnych, lecz jako pomoc w krytycznych chwilach przed konfrontacją i aresztowaniem.

Pomagała zwiększyć szanse policji pod względem czasu reakcji i liczebności. Ocaliła już kilka ludzkich istnień.

Wprawdzie doradzono jej, żeby przespała się przed podjęciem decyzji, ale Penny jeszcze tego wieczoru została członkinią Strażników Cienia.

Penny miała dziś dzień wolny. Nie zdradziła Fedsowi (ani nikomu innemu), dokąd się wybiera. Feds w rzeczywistości nie rozumiał, jaką presję wywiera na Penny jego praca. I z pewnością nie zrozumiałby, w jaki sposób to, czym się zajęła, zdejmuje z niej tę presję - nawet jeśli tylko na chwilę.

Do późnej nocy surfowała po Internecie. Skontaktowała się z kilkoma Strażnikami Cienia poprzez ich strony internetowe; szukała odpowiedzi na parę pytań. Skierowano ją do kobiety o imieniu Noreen, byłej żony policjanta, która prowadziła blog o żonach i dla żon gliniarzy.

Zdziwiła się, kiedy już następnego ranka dostała odpowiedź. Drugi raz zdziwiła się, czytając sugestie Noreen.

Pojechała metrem na dworzec Grand Central, a stamtąd kolejką w pobliże Newark w stanie New Jersey. Ubrana była w dzinsy i ciemnoniebieską bluzkę; miała też na sobie wysłużone buty do joggingu i okulary przeciwsłoneczne. Nic rzucającego się w oczy. Świat by się nie zawalił, gdyby ją rozpoznano, ale musiałyby się gęsto tłumaczyć. Zwłaszcza Fedsowi.

Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli Feds nigdy się o tym nie

dowie. Miała zresztą nadzieję, że nie będzie zbyt często powtarzała takich wypraw.

Zatrzymała taksówkę i podała kierowcy adres.

Pół godziny później stała przed tarczą na publicznej strzelnicy Shooter's Alley.

Pistolet wypożyczyła na miejscu. Nie miała i nie chciała mieć własnego, a używając pożyczonego, nie naruszała ustawy Sullivana, nie przekraczała z bronią granicy stanu i nie miała rzeszy innych kłopotów, które posiadanie broni powodowało.

Na strzelnicy, gdzie używała półautomatycznego dziewięćmilimetrowego walthera, najbardziej zdumiewało ją, jak podoba jej się strzelanie. Kule wbijały się w papierową tarczę, na której narysowano naturalnych rozmiarów kontur człowieka, od pasa w górę. Miał szerokie bary i owalną głowę bez rysów twarzy.

Mogła dowolnie wyobrażać sobie, do kogo strzela. Najczęściej był to mężczyzna, który zabił jej siostrę; czasami morderca, którego tropił Feds. Niekiedy po prostu ktoś zupełnie obcy.

Używała zatyczek do uszu, ale lubiła głośne szczeknięcia broni i spowodowany kopnięciem odrzut ramienia.

Kiedy wyciąg elektryczny przybliżał do niej tarczę po szynie, z satysfakcją widziała, że większość jej strzałów trafiała tam, gdzie powinna. Przeważnie celowała w głowę.

Zdarzało się, że w serce.

Zgodnie z obietnicą Noreen w Internecie, doświadczenie było wyzwalające i łagodziło napięcie.

Nie żeby chciała kiedykolwiek strzelać do człowieka. Nie zamierzała nawet nosić tego nieporęcznego, oleistego przedmiotu w torebce.

Ale pomagała jej świadomość, że mogłaby to zrobić.

Mogłaby. Wystarczy, żeby zechciała.

Jody wstała, żeby Sarah Benham mogła ją zauważyć w głębi restauracji The Happy Noodle.

Sarah, przyglądająca włosy i uklepująca to i owo, co zmierzwił figlarny letni wiatr, dostrzegła ją od razu. Uśmiechnęła się i pomachała ręką. Krążąc między stolikami w zatłoczonym wnętrzu restauracji, utrzymywała kurs na Jody jak okręt podczas sztormu.

Jody usiadła przed swoim jabłkowym martini i obserwowała ją. Co jakiś czas umawiały się na lunch. Mimo różnicy wieku - a może właśnie dzięki niej - czuły się swobodnie w swoim towarzystwie. Nie stanowiły dla siebie konkurencji w życiu osobistym ani zawodowym i dobrze o tym wiedziały.

Jak na kobietę, która przekroczyła granicę wieku średniego, Sarah wciąż była atrakcyjna. Dbała o siebie i sporo wydawała na wygląd. Jakiś tydzień temu Jody doszła nawet do wniosku, że Sarah może korzystać z usług chirurga kosmetycznego. Rysy jej twarzy cechowała ledwie dostrzegalna sztywność, a od kącików ust ku podbródkowi biegły pogłębiające się zmarszczki.

- Zamówiłam ci drinka - powiedziała Jody, gdy Sarah zajęła krzesło naprzeciwko. - Jabłkowe martini. Mam nadzieję, że trafiłam.

- Zamówiłabym to samo - odpowiedziała Sarah. - Dlatego kiedyś ci go postawiłam. - Wygodniej usiadła na krześle, pochyliła się na chwilę, żeby odłożyć torebkę, po czym jak ptak moszczący się w gnieździe zaczęła się kokosić, szukając najwygodniejszej pozycji.

Kelner przyniósł jej drinka. Sarah przyjęła go i uniosła szklanekę. Jody poszła w jej ślady.

- Za prawdziwą przyjaźń - wzniosła toast Sarah.

Jody uśmiechnęła się i powtórzyła toast. Upiła odrobinę martini. Sarah na pewno nie była ostatnią osobą, z którą Jody chciałyby zjeść lunch.

Sarah uśmiechnęła się i oblizwała wargi, jak zawsze po pierwszym łyku drinka. Jakby rozkoszowała się tą chwilą. Jody zamierzała się tego nauczyć.

- Jak ci się wiedzie w życiu? - spytała Sarah. Odstawiła kieliszek na blat, ale dotykała go opuszką palca, może zachowując czujność na wypadek, gdyby zapragnął odmaszerować.

- Jeśli chodzi ci o życie uczuciowe - odparła Jody - to nie mam czasu na takie rzeczy.

- Z moich doświadczeń wynika - oznajmiła Sarah - że życie uczuciowe w odpowiednim czasie samo o siebie zadba. Planowanie nic w tym wypadku nie daje.

- To świetnie się składa, bo nie robię planów.

Wrócił kelner. Jody zamówiła penne pasta i sałatkę, Sarah samą sałatkę.

- Nie mam dziś apetytu - powiedziała. - Przez ten upał.

Jody upiła martini, co zainspirowało Sarah do zrobienia tego samego.

- Nigdy nie pytałam o twoją rodzinę - powiedziała Jody. - Masz...

- Dzieci? - Sarah pokazała zęby w uśmiechu. - Nie ja i nie w moim wieku.

Zastanawiasz się pewnie, czy byłam kiedyś zamężna, czy owdowiałam, a może się rozwiodłam...

- Nie chcę naciskać - zapewniła Jody.

- Oczywiście, że chcesz. - Sarah dotknęła wierzchu jej dłoni. - Wszyscy chcemy, ale nie mamy przy tym ochoty ranić czyichś

uczuć.

- Zraniłabym twoje?

- W najmniejszym stopniu, kochanie. Moi rodzice nie żyją od wielu lat. Matka akurat pływała, kiedy dostała ataku serca. Miesiąc później zmarł ojciec, w wypadku samochodowym, w którym brał udział tylko jego samochód. Zawsze zastanawiałam się, czy zrobił to specjalnie, bo gotów był odejść bez żalu.

- Zostałaś sierotą - ze smutkiem zauważyła Jody.

- Na pięć lat. Byłam szesnastolatką, kiedy zostałam bez rodziców. I bez rodzeństwa.

Ze dwa lata mieszkałam w domu opieki - nikt nie nazywał go sierocińcem - a potem znalazłam pracę, która pozwalała mi wygospodarować czas na studia. Byłam dobra z matematyki i wciągnęłam się w ubezpieczenia. Zaczęłam od hipotecznych, potem kilka lat siedziałam w ubezpieczeniach na życie i majątkowych. Aż dostałam propozycję pracy i przeprowadziłam się na Manhattan. Teraz jestem przede wszystkim rzeczoznawcą. Głównie dzieł sztuki.

- Ubezpieczanie dzieł sztuki! Fascynujące!

- Bo ja wiem? Nie bardzo, gdy już się przywyknie do oglądania uszkodzonych obrazów van Gogha czy Kandinsky'ego i do szacowania ich wartości rynkowej. Która czasem znacząco różni się od wartości ustalonej przez właścicieli.

- I tak musisz wyjątkowo znać się na sztuce.

- Lepiej znam się na obliczaniu wysokości ubezpieczenia. Tym, ściśle rzecz biorąc, się zajmuję. Nie różni się to tak naprawdę od ubezpieczania samochodów czy - w niektórych dyskusyjnych przypadkach - ubezpieczania życia.

Chodzi o oszacowanie prawdopodobieństwa i podanie kwoty.

- W życiu chyba często o to chodzi. Nie różni się zbytnio od

hazardu.

- Jednak na prawdopodobieństwo mamy jakiś wpływ. Odwiedź mnie, jeśli wejdiesz kiedyś w posiadanie uszkodzonego obrazu lub rzeźby, a pokażę ci, co mam na myśli.

- Może kiedyś. Jak będę bogata.

Przyniesiono jedzenie i obie kobiety skupiły się przez kilka minut na rozstawianiu talerzy i podawaniu sobie przez stół to tego, to tamtego.

- Z twoim potencjałem będziesz kiedyś bogata, Jody. Mocno w to wierzę.

- Już mi to mówiono. Nawet dość często - odparła Jody.

Widać było, że Sarah bardzo interesuje się przyszłością Jody.

A Jody interesowała przeszłość Sarah. Czy w dniu, w którym odwiedziła kancelarię Enders i Coil, próbowała sprzedać Coilowi ubezpieczenie któregoś z dzieł sztuki?

Ciekawa była też, czy Sarah zajmowała się przy okazji ubezpieczaniem inwestycji budowlanych?

Leighton, stan Wisconsin, 1986

- Tak sobie rozmyślałam... - zaczęła Sherri Klinger.

Siedzieli w chevym mamy Rory'ego. Wszystkie okna były opuszczone; letni wiatr owiewał wnętrze samochodu. Chevy stał daleko od szosy, a przed przypadkowymi gapiami osłaniały go strzeliste sosny. Przód samochodu celował w głąb lasu, w którym już się ściemniało. Rory wyczuwał zapach tytoniowego dymu. Matka wróciła do palenia, chociaż kilka miesięcy temu zarzekała się, że rzuciła raz na zawsze.

- Nie przyjechaliśmy tu na rozmyślania - odparł.

- Wiem - uśmiechnęła się Sherri. - Ale już zrobiliśmy to, po co przyjechaliśmy.

- Chyba nie powiesz, że zapomniałaś wziąć pigułkę?

- No co ty.

- Nad czym więc pracował twój słynny umysł?

- Po tym, jak skończyłeś zajmować się moim słynnym ciałem...

- Dlaczego: skończyłeś? Zrobiłem sobie przerwę.

- Rory!

Rozparł się na fotelu kierowcy, czując, że wystarczyła rozmowa z Sherri o seksie, żeby dostał erekcji. A minęło... Ile? Dwadzieścia minut od ostatniego razu?

- Rozmyślałam o Zbóju - powiedziała Sherri.

Erekcja Rory'ego natychmiast stała się wspomnieniem.

- Już nie bardzo jest o czym myśleć - powiedział. Z nadzieją. Sherri była błyskotliwą dziewczyną, ale miała jakąś fiksację na punkcie tego psa. Co mogło jej chodzić po głowie?

Pomnik ku czci Zbója?

Sherri mocniej się do niego przytuliła. Igrający w samochodzie wiatr chłodził ich ciała.

- Chodzi o tę obrożę, co leżała trzydzieści metrów od miejsca, w którym ktoś go zakopał. Była rozpięta, więc sam jej sobie przed śmiercią nie ściągnął. Ktoś musiał ją tam zanieść. Albo rzucić. Jak mogło do tego dojść? I dlaczego?

- Może leżał tam jakiś czas, a potem ktoś go znalazł i zdjął mu obrożę, zanim zagarnął na niego ziemię i liście.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. Obrożę równie dobrze mógł ściągnąć lis lub inne zwierzę, które dokopało się do Zbója.

- Lis nie rozpiąłby obroży. Poza tym nie było na niej śladów kłów ani pazurów. Ktoś musiał ją zdjąć przed pierwszym pogrzebem Zbója. Albo po nim.

- Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

- Mózg mi spuchł od zastanawiania się nad tym. Sądzę, że ktoś nie chciał, żeby Zbója udało się zidentyfikować, jeśli zostanie znaleziony.

- Ale został zidentyfikowany.

- Jeszcze trochę czasu pod ziemią i nie rozpoznalibyśmy go. Moim zdaniem ten, kto go zabił, wystraszył się, ukrył zwłoki, a obrożę wyrzucił w las, najdalej jak mógł. Z nadzieją, że nikt się na nią nie natknie, nawet jeśli znajdzie się Zbój.

Rory odniósł wrażenie, że wije się pod jej argumentami. Zakasłał, żeby zamaskować swoją reakcję. Sherri bezbłędnie wszystko wydedukowała.

- Jakkolwiek by było - powiedział - efekt jest ten sam.

- Ale głowa Zbója była z jednego boku zmiażdżona.

- Jezu, Sherri... Potrącił go samochód!

- Samochód mógł go tylko ranić, a wykończył go ten, kto go przejechał.

- Po co?

- Nie chciał zajmować się potrąconym psem. Taki pies może ugryźć. Może zakrwawić cały samochód w drodze do weterynarza. Najprościej pozbyć się psa i odjechać.

- Innymi słowy: uważasz, że ten ktoś miał dobre serce. Zamiast odjechać i zostawić zdychającego psa na szosie, skrócił cierpienia biednego zwierzęcia.

- Uważam, że ten, kto potrącił i zranił Zbója, mógł dokończyć robotę i zamordować go.

Rory zamarkował stłumiony śmiech.

- Naprawdę sądzisz, że aż tak zawracałby sobie głowę psem? - Od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Wiedział, jak funkcjonuje umysł Sherri. Zada sobie pytanie: no właśnie, dlaczego ktoś aż tak zawracał sobie głowę psem? Jedną z możliwych odpowiedzi było, że ten ktoś znał Sherri i obawiał się, że zostanie przez nią obwiniony o zabicie psa. Następny krok jej logicznego rozumowania mógł doprowadzić ją prosto do Rory'ego.

- Nieważne, jak było - powiedział. - Zbój nie żyje i musisz się z tym pogodzić.

- Nie potrafię. To nie tak, że myślę tylko o śmierci Zbója. Myślę o śmierci jako takiej.

O tym, jak w ciągu kilkunastu bądź kilkudziesięciu lat jedno z nas, lub oboje, odejdzie na wieczność. A także większość ludzi, których znamy. - Podniosła na niego wzrok. - Rozmyślasz czasem o wieczności, Rory?

- Nieustannie.

- Nie nabijaj się ze mnie.

- Do głowy mi to nie przyszło, Sherri.

Odsunęła się od niego, pogrzebała w torebce i wyjęła z niej małą brązową fiolkę zatkaną korkiem. Rory spostrzegł, że do buteleczki doczepiona jest kartka z zaleceniami, jak stosować lek.

- Pomagają mi. Tobie też pomogą.

- Jasne. Już raz bawiliśmy się tabletkami. Prawie rozbiłem po nich samochód. Tym razem nie, dziękuję.

Sherri podniosła fiolkę i przeczytała napis na etykiecie.

- Lorazepam. Od jakiegoś czasu nie mogę zasnąć, jeśli go nie zażyję. Chyba że uda mi się wykraść ojcu trochę whisky. Jak się napiję, zasypiam, ale nie na długo.

- Wiem, jak to działa - powiedział Rory.

- Mojej mamie - uśmiechnęła się Sherri - przez myśl by nie przeszło, że po nie sięgnęłam i że biorę je regularnie.

- Nie pytała cię o nie?

- Tylko o to, czy wiem, gdzie są. Odpowiedziałam, że nie, i przypomniałam jej, że ciągle czegoś nie może znaleźć. Nie przespała nocy, a potem zadzwoniła do lekarza po nową receptę.

- Łatwo ich nabrać, nie? - powiedział Rory. - I matki, i lekarzy.

- No.

Otworzyła fiolkę, wytrząsnęła na dłoń małą białą tabletkę i wyciągnęła ją w stronę Rory'ego.

- Weź jedną. Spodoba ci się. Jakoś odpędza troski, ale nie wywołuje senności. Potem sam możesz zdecydować, czy chcesz iść spać.

- Nie chcę spać.

- Przecież mówię, że nie czujesz po nich zmęczenia, ale rozluźnienie.

- Rozluźniony jestem w sam raz.

- Nie powiedziałabym. - Wrzuciła tabletkę do ust i przełknęła, jakby zażywanie pigułek bez popijania było dla niej normą.

- Wiem, co pomoże bardziej mi się rozluźnić - powiedział Rory.

- Zapomnij.

Westchnął. Wiedział, że Sherri zastanawia się, jak naprawdę skończył jej pies. I że nigdy nie odpuści. Tak działał jej umysł. Wiedział to, bo jego umysł pracował tak samo.

Wyznali sobie miłość. Dlaczego Sherri nie potrafiła zwrócić się ku przyszłości, tylko wciąż oglądała się za siebie? Czy tak miało wyglądać życie? Przeszłość, wlokąca się za tobą jak kajdany - ocierające skórę do krwi, odbierające siły i, ostatecznie, ściągające na dno?

Rory był realistą. Wiedział, że kiedy Sherri domysli się, co spotkało jej psa, kiedy odkryje, że Rory ją okłamał (a nawet wykorzystał śmierć Zbója, żeby ją uwieść), to, co ich łączyło, zniknie raz na zawsze.

To wystarczało, żeby człowiek zaczął się wić. Okłamywanie przyjaciół to jedno, okłamywanie osoby, którą się kochało - coś zupełnie innego. Właśnie takie kłamstwa przeradzały się w kajdany.

Sherri pytała, czy Rory rozmyśla czasem o wieczności.

Nieustannie.

Nowy Jork, dzisiaj

- Wiem, że nie jest prawdziwy, więc oswoiłam się z nim.

- W jakim sensie? - spytała Grace Moore.

- To tak, jakby stał się częścią mieszkania - odpowiedziała Linda. - Kiedy wchodzę, miga mi w korytarzu, przechodząc z łazienki do sypialni. Gdy jestem w kuchni, nie widzę go, ale wiem, że wciąż tam jest. Może chowa się pod łóżkiem.

- Sprawdzałaś?

Linda spojrzała na nią.

- Żartujesz?

- Mówiłaś, że nie jest prawdziwy.

- Ale może się taki stać. Co bym wtedy zrobiła?

- Nie był prawdziwy, kiedy chował się pod łóżko - argumentowała Grace. - Więc jeśli zajrzysz tam i może nawet napotkasz jego wzrok, nadal taki nie będzie.

Linda chyba nie dowierzała.

- A jak wyciągnie rękę i mnie złapie? Ściśnie za gardło tak szybko, że nie zdążę pisnąć, a potem zrobi ze mną, co tylko zechce? Czy ryzykowałabyś tak na moim miejscu?

Grace zastanawiała się przez chwilę.

- Nie - przyznała. Skrzyżowała nogi i odchyliła się na fotelu. - Odezwał się do ciebie choć raz?

- On nie. Tylko głosy w kamieniu.

- Jak sądzisz, co by powiedział, gdyby potrafił mówić?

- Chciałaś powiedzieć: gdyby zechciał mówić.

- Tak, chyba to właśnie chciałam powiedzieć.

- Powiedziałyby: „Przyszedłem cię torturować, a potem cię zabiję”.

- Dlaczego akurat to?

- Cóż to za pytanie? Bo mam schizofrenię paranoidalną! Poza tym jestem w jego typie.

- O?

- Oglądam na bieżąco wiadomości - wszystko, co mówią o tym seryjnym zabójcy Danielu. Kobiety, które zabił, wyglądały jak ja. Jestem tego samego wzrostu i budowy. To znaczy: mam duże cycki. Do tego brązowe oczy i włosy. - Uznała, że nie powie doktor Moore o tym, że spotkała się z kimś, kto potrafił jej uwierzyć. A może nawet pomóc.

Grace uśmiechnęła się.

- Lindo, gdybym nie tleniła włosów, też bym tak wyglądała. Może pomijając cycki, ale oczy i włosy też mam brązowe. Tak jak miliony kobiet w Nowym Jorku. Skąd przypuszczenie, że zabójca wziął się właśnie na ciebie?

- Bo przebywa w moim mieszkaniu.

Grace pokiwała przechyloną na bok głową. Trudno było spierać się z irracjonalną logiką.

- Próbowalaś go zagadnąć?

- Tak. Nie odpowiada; uśmiecha się tylko i wzrusza ramionami. Potem oddala się poza zasięg mojego wzroku.

- Czyli znika?

- A skąd. Po prostu idzie do innego pokoju.

Grace przyglądała się Lindzie przez dłuższą chwilę.

- Sądzisz, że będzie na ciebie czekał, kiedy wrócisz?

- Po sesjach czeka prawie zawsze.

Grace znów się uśmiechnęła.

- Wytresowałaś go.

- Albo on mnie. Wychodzi na jedno. Jest moim...

- Czym?

- Moim przeznaczeniem.

Grace pokręciła głową.

- To nieprawda, droga Lindo. Sama kontrolujesz swoje życie.

- Zatem co tu w ogóle robisz?

- Otrzymujesz pomoc, która jest ci potrzebna: sesje, lekarstwa.

Brałaś leki tak, jak przepisałam?

- Oczywiście. On wtedy stoi gdzieś za mną i przygląda się, jak zażywam tabletkę po tabletkę.

- Hmm... Mam pomysł, Lindo. Twierdzisz, że ten mężczyzna prawie zawsze czeka na ciebie po sesji. Może wróć z tobą, żeby go poznać?

- To znaczy po którejś z naszych sesji?

Teraz Linda będzie się wykręcać, żeby chronić swoje przywidzenia. Typowe zachowanie.

- To znaczy: po tej konkretnej sesji.

- Nie sądzę, żeby chciał z tobą rozmawiać.

- Wie o mnie? - Grace chciała zajrzeć u Lindy do szafki z lekarstwami i zobaczyć, które z przepisanych leków zażywała jej pacjentka. I w jakiej ilości. Zauważała u Lindy symptomy, które po lekach nie powinny występować.

- O, tak - odpowiedziała Linda. - Śledził mnie i tutaj. Kiedyś stał za mną w windzie, a potem patrzył, przez które drzwi wejść.

- Chodzi o moje drzwi? O drzwi do mojego gabinetu?

- Owszem. Stał w korytarzu, dość daleko, i obserwował.

- Tym bardziej powinnam z nim porozmawiać.

- Rozmowa będzie raczej jednostronna - powiedziała Linda. - Ale jeśli chcesz, to proszę bardzo.

Uległość Lindy nieco Grace zaskoczyła. I ucieszyła. Mogło to

oznaczać, że Linda gotowa jest stawić czoła temu, co - jak na pewno częścią umysłu wiedziała - nie było rzeczywiste. A to z kolei mogło, jak mawiali psychoterapeuci z telewizji, doprowadzić do przełomu. Grace zerknęła na zegarek. Za dziesięć jedenasta.

- Następnego pacjenta mam dopiero o drugiej - powiedziała, podnosząc się z fotela.

Uśmiechnęła się do Lindy krzepiąco. - W drogę!

Linda zacisnęła ręce na poręczach fotela, podciągnęła się do pionu i odpowiedziała uśmiechem.

- Zaczekaj chwilę w poczekalni. Pozamykam wszystko i zaraz do ciebie dołączę.

Linda wyszła i usiadła na wygodnym krześle, a pani doktor rzeczywiście uwinęła się szybko.

Linda szła przodem, prowadząc do windy. Już zachowywała się jak gospodyni i w nienachalny sposób będzie kierowała przebiegiem tej wizyty.

Zdaniem doktor Moore był to dobry znak.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała - chciałabym po drodze zajrzeć do mojego mieszkania i zdjąć te wysokie obcasy. Zrobił mi się odcisk; po prostu mnie wykańczają.

- Doskonale cię rozumiem - odrzekła Linda.

- Są do ciebie dwie wiadomości - powiedziała Pearl, gdy Quinn po lunchu wrócił do biura. - Obydwie zostawiły kobiety podejrzewające, że ktoś je śledzi.

- Sporo mieliśmy takich telefonów - mruknął Quinn.

- Ale nie przed tym, jak media zrobiły z ciebie bohatera i łowcę seryjnych zabójców.

Quinn wydał z siebie dźwięk pośredni między śmiechem a prychnięciem.

Niespiesznie zbliżył się do biurka i opadł całym rozłożystym

ciałem na fotel - z takim impetem, że obicie zasyczało. Pearl przemknęło przez myśl, że może był na „lunchu” z Jerrym Lidem.

- Czy któryś z tych telefonów brzmiał wiarygodnie? - spytał Quinn, pewien, jaką usłyszy odpowiedź.

Pearl wzruszyła ramionami.

- Pierwszy nie był zbyt sensowny, chociaż może nie potrafiłam kobiety zrozumieć.

Miała dziwny akcent. Druga z początku mówiła składnie, ale potem poprosiła, żebyśmy nie informowali jej lekarki, że dzwoniła.

- Powiedziała, od czego ta lekarka?

- Nie musiała.

Quinn wdusił przycisk w telefonie na biurku i odsłuchał obydwie wiadomości.

Najpierw usłyszał wysoki głos, mówiący z akcentem chyba środkowoeuropejskim. Nie wysiłał się nawet, żeby go zrozumieć.

Druga kobieta mówiła wyraźnie, jakby z wypracowanym, gotowym się załamać spokojem. Opowiadała, jak śledził ją stale ten sam mężczyzna, czasem nawet pozwalając sobie na wejście do jej mieszkania. Dodała też, że nie chce, aby jej lekarka dowiedziała się, że łamie zasady, dzwoniąc do kogoś, kto może jej uwierzyć i pomóc. Pani doktor myśli, mówiła kobieta, że ten mężczyzna nie istnieje. Tłumaczyła, że czasem to prawda, że nie zawsze jest rzeczywisty. Ale czasami jest.

Żadna z kobiet nie przedstawiła się, ale głos tej drugiej brzmiał znajomo.

Quinn rozmyślał przez chwilę nad wiadomościami. W ostatnich tygodniach mieli kilkanaście takich telefonów. W drugiej kobiecie - w jej głosie - było coś sygnalizującego prawdziwy, choć skrywany strach. Może i miała problemy z głową, ale nie skreślało jej to z listy potencjalnych ofiar.

A kobieta z akcentem? Jak mógł ją osądzać, skoro nawet jej nie rozumiał?

Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Pierwszy numer należał do dużej firmy ubezpieczeniowej z biurami w śródmieściu. Zadzwoił i porozmawiał z trzema osobami, ale żadna z nich nie miała pojęcia, kim może być kobieta z silnym europejskim akcentem, która usiłowała się z nim skontaktować.

Przy drugim numerze nie było nazwy, za to kierunkowy wskazywał na Manhattan.

Quinn zadzwonił, ale nikt nie odebrał. Nie pojawiło się też zaproszenie, żeby zostawić wiadomość.

Po odłożeniu słuchawki Quinn gapił się przez chwilę na telefon, po czym zaczął grzebać w stosie notatek, przyciśniętych do blatu ciężarkiem do papieru. Numer drugiej kobiety należał do mieszkającej na West Side Lindy Brooks.

Linda Brooks. Kobieta, która przyszła do biura, bo podejrzewała, że ktoś ją śledzi.

Która chodziła na terapię.

Podawała też nazwisko i adres swojej lekarki.

Quinn zanotował informacje na wyrwanej z notatnika kartce i schował ją do portfela, między inne, w podobny sposób złożone kartki.

Nie był pewien, dlaczego to robi. W mieście było wiele kobiet takich jak Linda Brooks. Prześladowane je potwory rzadko okazywały się prawdziwe.

Ale dla nich były wystarczająco realne. Poczł ukłucie współczucia dla Lindy Brooks.

Ponownie wyciągnął rękę w stronę telefonu.

Jednak... Linda nie chciała, żeby dzwonił do jej lekarki. Wyraziła się jasno.

Z drugiej strony - nie odbierała telefonu. A skąd wiadomo, że potrzebowała pomocy bardziej niż kobieta z europejskim akcentem? Albo którakolwiek z udręczonych, przerażonych kobiet, z których niewielu tak naprawdę coś groziło?

Quinn chciałby pomóc im wszystkim, bojącym się cieni, w których kryły się wyobrażone monstra. Ale nie mógł. Chyba że hurtem. Na przykład łapiąc bardzo rzeczywistego mordercę.

Skupił się na pracy.

Dystans dzielący dom Grace od mieszkania Lindy taksówka pokonała w piętnaście minut. Grace założyła wygodniejsze buty i do przechowywanej w domu dokumentacji dołączyła pendrive'a z zarejestrowaną na wideo sesją terapeutyczną Lindy.

W mieszkaniu Lindy dzwonił telefon, ale ucichł, gdy kobiety znalazły się przy drzwiach.

- Masz automatyczną sekretarkę? - spytała Grace.

- Już nie. Za często do mnie mówiła wtedy, kiedy nie powinna.

Linda odemknęła zamek i otworzyła drzwi, po czym cofnęła się, żeby doktor Moore mogła wejść jako pierwsza. Grace weszła, bez wahania i pewnie. Obrzuciła wzrokiem wnętrze mieszkania. Było schludne, a ustawienie mebli o stonowanych kolorach zostało starannie przemyślane: na stoliku wyglądającym na antyk stał mały, płaskoekranowy telewizor; drewniana podłoga była porysowana i powgniatana, ale lśniła świeżo nałożoną warstwą wosku; regał pękał w szwach od książek i czasopism (więc Linda lubiła czytać!), a okna przysłaniały do połowy opuszczone żaluzje. Marmurowy parapet zdobił rząd doniczek z małymi pelargoniami.

- Kupiłam je wczoraj - wyjaśniła Linda, zauważając, że pelargonie przyciągnęły uwagę Grace. - Teraz nikt nie wejdzie przez okno, nie przewracając moich doniczek.

Grace tylko skinęła głową. Jej zdaniem doniczki były marnymi ochroniarzami.

Linda stała w przedpokoju, jakby wahała się, czy nie lepiej w nim zostać. Grace delikatnie, ale stanowczo ujęła ją pod ramię i wprowadziła do mieszkania. Czuła, że ciałem Lindy wstrząsają

dreszcze.

- Nie denerwuj się. Jesteś u siebie w domu, a ja jestem z tobą.

- On też tu jest - odpowiedziała Linda.

- Nikogo tu nie ma. Przyjechałam, żeby ci to udowodnić.

- Ha!

- Jak niby wszedł?

- Ma klucz. To chyba oczywiste.

Grace niemal się uśmiechnęła.

- Powiedz, Lindo, czy ten człowiek należy do tajnej rządowej organizacji, o której wspominałaś na naszej poprzedniej sesji?

- Nie, on działa na własną rękę. Wiedziałabym, gdyby pracował dla rządu.

- Skąd?

- Po pierwsze, inaczej by się ubierał.

- Jak agenci rządowi w telewizji i w kinie?

- Rzadko chodzę do kina. To, co tam pokazują, nie jest prawdziwe. - Linda podskoczyła, gdy rozległo się kliknięcie, a po nim monotonne niskie buczenie.

- To tylko lodówka - uspokoiła ją Grace.

- Może coś z niej wyjął? Mam mleko.

- Robił to już kiedyś?

- Jasne. Szklankę z resztką mleka na dnie zostawił tak, żebym na pewno ją zauważyła.

Wiem, dlaczego robi takie rzeczy, i dlatego się boję. Daje mi do zrozumienia, że konsekwentnie realizuje swój plan. Chce, żebym się poddała i złożyła swój los w jego rękach.

Żebym z nim współpracowała.

Grace uniosła brwi.

- Współpracowała z nim?

- Wiesz, co mam na myśli.

Grace wiedziała. Linda nawiązywała do teorii, według której ofiara i zabójca wpadali czasem we wspólny rytm i współpracowali ze sobą. Morderca pragnął swojej zdobyć.

Ofiara pragnęła, aby trwoga i groza wreszcie się skończyły. W pokręcony sposób ich cele stawały się jednym i tym samym.

- Czy istnieje możliwość, że sama piłaś mleko z tej szklanki, a później o tym zapomniałaś? - spytała Grace.

- Możliwość? Pewnie, że istnieje.

W mieszkaniu panowała cisza, jeśli pominąć jednostajne buczenie lodówki. Powietrze było parne i nieruchome. Grace podeszła do drzwi, wiodących do niedużego aneksu kuchennego, tam przystanąła i rozejrzała się. Linda ją obserwowała.

- Nie ma nikogo - powiedziała Grace. - Żadnych pustych szklanek.

Za to było więcej pelargonii w ustawionych rzędem na parapecie zielonych plastikowych doniczkach. Na niektórych wciąż jeszcze były metki z ceną.

- Nie powiedziałam, że na pewno tam jest - zastrzegła Linda.

Grace odwróciła się i stanęła twarzą do pacjentki, aby mieć z nią kontakt wzrokowy.

- Jak sądzisz, Lindo, czego on chce?

- Zrobić mi coś najokropniejszego.

- Czytujesz w prasie o zamordowanych kobietach?

- Tak, już mówiłam. Oglądam też telewizję. - Nie powiedziała doktor Moore o rozmowie z tym detektywem, Quinnem, który tropił zabójcę. Może i nie uwierzył jej do końca, ale z pewnością zupełnie jej nie zlekceważył.

- Telewizja może pobudzająco wpływać na twoją wyobraźnię - oznajmiła doktor Moore. - Zwłaszcza jeśli nie bierzesz lekarstw.

- Tak trudno mi zapamiętać, kiedy mam je brać - pożałowała się

Linda. - A on przychodzi pod moją nieobecność i przestawia rzeczy. Czasem muszę się nieźle tych moich lekarstw naszukać.

- Skoro już tu jestem, może rozejrzę się po mieszkaniu? Przekonasz się, że jesteśmy same. Chciałabyś?

- Nie śmiałałabym o to prosić.

- Przekonam cię, jeśli to zrobię?

- Chyba tak, ale...

- To zajmie tylko kilka minut. Nie ma tu aż tak wielu miejsc, w których mógłby się schować. Chcesz pójść ze mną?

- Nie. Wolałabym, żebyś i ty tego nie robiła.

- Czy zdarza ci się po prostu wychodzić z domu, kiedy on tu jest?

- Naturalnie. Idzie wtedy za mną. A czasem już czeka na mnie w miejscu, do którego szłam. Gdziekolwiek by to było.

Grace uznała, że to interesujące. Schizofrenicy dość często miewali halucynacje.

Linda też się z nich kiedyś zwierzała.

- Jak to możliwe, Lindo?

Linda wzruszyła ramionami i obdarzyła Grace spojrzeniem, sugerującym, że odpowiedź jest oczywista.

- Tak dobrze się mnie nauczył, że zna większość miejsc, do których chadzam. - W jej oczach zamigotał strach. - I jak ci się widzi życie z czymś takim?

- Nawet ciekawie - odpowiedziała Grace. - Można zmierzyć się z problemem wprost, a wtedy nie wydaje się taki straszny. - Skierowała się ku korytarzowi wiodącemu na tyły mieszkania.

- Na twoim miejscu nie szłabym tam - powiedziała Linda, niepewnie ruszając za nią.

Trzy kroki i pauza.

- Nie musisz ze mną iść - odrzekła Grace. - Zajrzę w każde miejsce, w którym zmieściłby się człowiek, a potem cię zawołam. -

Przeszła kilka kroków korytarzem i zajrzała do łazienki. Plastikowa zasłona od prysznica była zaciągnięta. Podeszła do niej bez wahania i odsunęła ją szarpnięciem.

- Ani kropli łobuza - powiedziała i usłyszała, że zerkająca spoza framugi Linda parsknęła śmiechem.

Grace nie spodobało się brzmienie tego śmiechu. Głębiej weszła w korytarz, zbliżając się do sypialni. Linda, rozdarta między pragnieniem utrzymywania bezpiecznej odległości a lękiem, że zostanie sama, trzymała się z tyłu. Wyglądała na przerażoną.

- Nie ma go tutaj - powiedziała Grace spod drzwi sypialni.

- Jest. Czuję to.

- A ja czuję, że sypialnia jest nieokupowana - oświadczyła Grace. Nie ociągając się, weszła do pomieszczenia. Uśmiechnęła się na znajomy widok pelargonii, pełniących straż na parapecie. Okno za nimi uchylone było na kilka centymetrów; wpuszczało do pomieszczenia lekki powiew.

Linda dotarła do drzwi i zaglądała do sypialni rozszerzonymi oczyma. Dłonie wyciągniętych wzdłuż ciała rąk zacisnęła w pięści.

- Ty otworzyłaś okno? - spytała Grace.

- Oczywiście, że ja.

Grace ze wszystkich stron obejrzała starą garderobę z orzecha. Otworzyła nawet podwójne drzwi i sprawdziła, co jest w środku - znalazła tylko ubrania na wieszakach. Z garderoby dobywał się wyraźny zapach cedru.

- Nikogo nie ma - powiedziała uspokajająco, odwracając głowę ku Lindzie.

Podeszła do zamkniętych drzwi szafy wnękowej.

- Nie...! - usłyszała głos Lindy.

Pewnie, zawsze chowają się w szafie.

Grace gwałtownie otworzyła drzwi.

Drewniany drąg wewnątrz wypełniony był rzędem wieszaków z kolejnymi ubraniami.

Na półce powyżej leżały kartonowe pudła po butach i stosik poradników. Widząc, że Linda poświęca jej całą uwagę, Grace wcisnęła rękę w ciemność między ubraniami, żeby pomacać w głębi szafy, tam gdzie nie sięgała wzrokiem.

Czubki palców odnalazły tylko szorstki tynk ściany.

Zamknęła drzwi szafy i z uśmiechem zbliżyła się do Lindy.

- Zero potworów - powiedziała. - A teraz zajrzyjmy do twojej apteczki i sprawdzimy, co zażywasz.

- To, co przepisałaś.

- Nie wątpię. A co z lekami wydawanymi bez recepty? Bierzesz je czasami, prawda?

- Czasami - przyznała Linda. - Pomagają mi zasnąć.

Grace dała krok w kierunku drzwi.

Linda nie ruszyła się z miejsca.

- Nie zajrzałaś pod łóżko.

- Święta prawda - zgodziła się Grace.

Podeszła do łóżka, opadła na kolana i pochyliła się; robiła przedstawienie na rzecz Lindy. Uniosła narzutę i zajrzała w mrok pod łóżkiem.

Zobaczyła wpatrzoną w siebie parę lśniących oczu.

Była trzecia nad ranem, ale i tak przednia szyba lincolna zaparowała od wewnątrz z gorąca. Renz wciąż był na miejscu zbrodni. To stamtąd zadzwonił, powiedział Quinnowi, którego przecięcia ulic szukać, a teraz na nich czekał.

Trafili dość łatwo. Trzy radiowozy i furgonetka techników stały przodem do krawężnika. Nieoznakowany niebieski chevrolet - Quinn był pewien, że policyjny - zaparkowany został jedną oponą na chodniku.

Wejścia do budynku jak srogi odźwierny pilnował policjant w mundurze. Skierował Quinna i Pearl do mieszkania na piątym piętrze. Kiedy powiedział, że właścicielką była L.

Brooks, Quinn zatrzymał się tak gwałtownie, że zapiszczały obcasy jego ciężkich czarnych butów.

Mieszkające samotnie kobiety często podawały na skrzynce pocztowej tylko pierwszą literę imienia - nie chciały, żeby jasne było, jakiej są płci.

- Linda Brooks? - dopytał mundurowego.

- Tego nie wiem, panie Quinn.

Quinn wszedł do niewielkiego holu, Pearl podążała tuż za nim.

- Czy to nie kobieta, która do nas dzwoniła?

Quinn skinął głową.

- Nie obwiniaj się o to - powiedziała przewidująco. Wiedziała, jak Quinn będzie się czuł. Brooks zadzwoniła do niego wczoraj i poprosiła o pomoc i ochronę, a Quinn, Wielki Obrońca, potraktował ją jak kolejną kandydatkę do wariatkowa lub pragnącą zaistnieć w mediach frustratkę.

- Obwiniam drania, który to zrobił - odparł niskim, głuchym głosem Quinn.

Drzwi do mieszkania utrzymywało w pozycji otwartej coś, co było chyba stojakiem na parasole. Na korytarz wydostawał się specyficzny zapach, który Quinn i Pearl rozpoznali natychmiast. Śmierć zadrżała tu w gości, i to niedługo przed ich wizytą.

Wewnątrz był Renz z technikami kryminalistycznymi. Quinn i Pearl weszli, starając się nikomu nie przeszkodzić.

Salon tętnił pracą. Obecni w nim technicy działali w swoim zwykłym, metodycznym rytmie. Ledwie unikali wpadania na siebie. Biały rozbłysk jak kieszonkowa błyskawica rozświetlił ściany wąskiego korytarza. Quinn rozpoznał błysk flesza.

- Są tam z nimi fotograf policyjny i Nift - wyjaśnił Renz.

- Z nimi?

Renz zignorował pytanie.

- Morderca zadzwonił do „Timesa” i zażądał połączenia ze mną. Facetowi z redakcji kazał powtórzyć, że może przyszykować dla mnie taki sam skórzany prezent, jaki ty dostałeś.

- Wiedział, że piersi ofiar są obcinane?

- Ta niby tajna informacja potwierdziła, że to naprawdę on. Dlatego przebił się do mnie; inaczej zostałby spławiony jako kolejny czubek.

- Masz próbkę głosu albo namiar na telefon? - spytał Quinn.

- Próbkę głosu - tak. Ale dzwonił chyba z jednej z tych dziadowskich komórek.

Słuchałem nagrania. Głos normalny, tak jak sposób wysławiania się. Gość musi mieć jakieś wykształcenie. Nawet przeprosił, że mnie budzi. Wiedział o obcinaniu cycków. Zapytałem skąd i powiedział mi. Pytam, czy tym razem też obciął. Tak, powiada, jednej. Jednej. Kiedy tu przyjechałem, jak mi radził -

choć przecież i tak bym przyjechał - zrozumiałem, co miał na myśli.

Kolejny błysk z głębi korytarza.

- Co masz na myśli z tym „co miał na myśli”?

- Chodź - powiedział Renz. - Pokażę ci.

Zaczął prowadzić do tylnej części mieszkania, ale zatrzymał się. Popatrzył na Quinna, a potem na Pearl.

- Jezu! - powiedziała Pearl. - Gliną jestem! Widziałam dziesiątki miejsc zbrodni. Nie zemdleję ani nie puszczę pawia na widok trupa.

- Ale miło, że o niej pomyślałeś - powiedział Quinn. W ogóle nie zachowujesz się jak normalny Renz.

Renz przywołał na twarz swój obleśny uśmiech grubasa.

- Po prostu nie chciałem, żeby zarzygała wszystkie dowody. Tego nam jeszcze brakuje.

Jednak gdy weszli do sypialni, Pearl ogarnęły nudności, których się nie spodziewała.

Na łóżku klęczała kobieta, prawie zupełnie naga, w znajomej pozycji - ciało związane w kabłąk, wygięte klatką piersiową do góry. Jej przeguby i kostki zostały owinięte taśmą i skrępowane razem, więżąc ją w nienaturalnej pozycji, z ciałem nagiętym w łuk, z niewidzącymi oczyma wpatrzonymi w sufit. Jej usta kneblował prostokątny kawałek szarej taśmy klejącej. Nie miała piersi. Wyglądała na przerażoną, ale nie na zaskoczoną.

Ręce drugiej kobiety, leżącej obok na plecach, przywiązane zostały sznurkiem do ciasno okalającego talię paska. Pasek z szarego materiału był chyba zwykłym damskim paskiem. W stosie ciuchów, prawdopodobnie po prostu rzuconych w ką, widać było materiał tego samego koloru. Kostki kobiety zostały związane. Zginęła od ciosu nożem w serce; miała też poderżnięte gardło.

Krwi było dziwnie niewiele, co sugerowało, że cios w serce został zadany jako pierwszy i że okazał się śmiertelny. Przy ranie od noża, tuż nad mostkiem, zwiotczałe piersi kobiety rozjechały się na boki, ale wciąż były na miejscu, w oczywisty sposób nietknięte. Usta zasłaniał prostokątny kawałek taśmy klejącej, tak jak u drugiej ofiary.

Kłęcząca kobieta miała na sobie niebieskie majtki i wyglądało na to, że też zginęła od ciosu w serce.

- Z tego co widzę, wybrał lepszy zestaw - powiedział Nift, dziabiąc związaną w kabłąk kobietę czymś, co wyglądało na przerośnięty zgłębnik dentystyczny. - Ta - wskazał na leżącą - była o wiele starsza i miała większy przebieg.

- To ludzie, a nie używane samochody - przez zaciśnięte zęby wycedziła Pearl.

- Dla mnie wyglądają na nieźle zużyte - powiedział Nift, w zamyśleniu szturchając metalowym narzędziem zwłoki związanej w kabłąk kobiety. Kobieta nie oponowała, choć Pearl irracjonalnie tego oczekiwała.

Leżąca na wznak ofiara wyglądała, jakby patrzyła w sufit półotwartymi, zastygłymi w szklane kulki oczyma. Miała włosy blond, choć widać było, że tlenione. Nie była brzydka, ale daleko jej było do piękności.

Ciało kobiety związanej w kabłąk znaczyły ślady przemocy - znajome cięcia zadane nożem. Miała ciemne oczy i naturalnie ciemne włosy. Kiedyś miała też chyba duże piersi.

- Wiecie już, która to Linda Brooks? - zapytał Renz.

- Ta podobna do Pearl - odpowiedział Nift. Kłęczał na podłodze w pozycji sugerującej, że przymierza się do przeprowadzenia czegoś w rodzaju badania ginekologicznego.

Pearl ruszyła w jego stronę, ale Quinn chwycił ją za łokieć.

- Quinn, do cholery! To boli! Chciałam mu tylko główkę ukreć.
Nift uśmiechnął się.

- Zakładam, że mówiąc „główka” masz na myśli...

- Uspokójcie się! - przerwał Renz.

- Co powiesz o jej majtkach? - spytał Quinn.

- Rozmiar poprzedniej ofiary - odparł Nift i znów się uśmiechnął. - Pierwsza rzecz, którą sprawdziłem.

- Nie sędzę - powiedział Renz. Popatrzył na Quinna. - Jak myślisz, skąd ta druga kobieta?

- Spontan - odpowiedział Quinn. - Moim zdaniem znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- Prawdopodobnie się znały.

- Prawdopodobnie - zgodził się Quinn. - Przyjaciółka w odwiedzinach.

- Może nie musiał ich rozbierać - powiedział Nift. - Może przeszkodził im w małym bara-bara.

Pearl posłała mu mordercze spojrzenie.

- Słuchaj, ty żałosny...

Głośne hałasy i podniesione głosy w korytarzu sprawiły, że wszyscy w mieszkaniu zamarli w pół ruchu.

Nift obdarzył Pearl pełnym wyższości wrednym uśmieszkiem i stał, opanowany i nieruchomy, ze stalowym narzędziem w prawej ręce, niczym eksponat w gabinecie figur woskowych. Element wystawy Największe Dupki Świata.

Na zewnątrz, na ulicy, robiło się coraz głośniejsze. Męski głos wykrzykiwał coś, czego Quinn nie mógł zrozumieć.

- Co się tam, do cholery, dzieje? - spytał.

- Pewnie dziennikarskie hieny - odparł Renz, spoglądając na zegarek. - Morderca powiedział, że odczeka godzinę, żeby „Times” mógł jako pierwszy wypuścić dodatek nadzwyczajny, a potem

obdzwoni redakcje pozostałych gazet i stacje telewizyjne.

- Nic więcej nie powiedział? - zapytała Pearl.

- Jeszcze tylko kazał cię pozdrowić - odparł Renz.

Gościa Lindy Brooks łatwo udało się zidentyfikować. Pod stertą ubrań w rogu sypialni leżała torebka, w której były dokumenty i siedemdziesiąt trzy dolary.

- Lekarka - powiedział Quinn.

- Nie byle jaka - wtrącił jeden z techników. Podał Quinnowi białą wizytówkę. - Znalazłem to w jednej z szuflad biurka.

Według wizytówki martwa kobieta nazywała się Grace Moore i była psychiatrą i psychoanalitykiem.

Dokładniejsze oględziny zawartości biurka, książeczki czekowej Lindy Brooks i stojącej nieopodal etażerki z dokumentami wykazały że doktor Moore była terapeutką Lindy, i to od dłuższego już czasu. Znaleźli segregator pełen nieposortowanych i niekompletnych zapisków, z którego zawartości - w tym z dokumentów podpisanych przez Grace Moore - wynikało, że Brooks cierpiała na schizofrenię paranoidalną.

- To dlatego miała całą aptekę w łazienkowej szafce na lekarstwa - powiedział Nift. - Nasza dama żywiła się prochami.

- Poślę Fedsa do gabinetu Moore, może znajdzie coś więcej - zdecydował Quinn. - Nakaz nie będzie potrzebny. Tajemnica lekarska przestaje obowiązywać, kiedy lekarka i pacjentka giną z ręki tego samego szaleńca.

Z prawnego punktu widzenia usprawiedliwienie było dyskusyjne. Quinn cieszył się, że nie ma z nimi Jody.

- Jak dla mnie może być - powiedział Renz. - Ale, w razie czego, nie wiedziałem, że zamierzasz kogoś tam posłać.

- Posłać? - zdziwił się Quinn. - Kogo? Dokąd?

Renz zasłonił uszy dłońmi i odwrócił się.

CZEŚĆ TRZECIA

A umierać inaczej jest, niż ktokolwiek by sądził, i szczęśliwiej.

Walt Whitman, *Pieśń o sobie samym*

Leighton, stan Wisconsin, 1986

Minęło wiele dni i nikt nie dowiedział się, co naprawdę spotkało Zbója. Może ślady były niewystarczające? A może nikogo to tak naprawdę nie obchodziło. Nikogo oprócz Sherri, rzecz jasna.

Droga po remoncie wyglądała w zasadzie tak samo jak przed nim, tylko pas drzew zaczynał się nieco dalej od zwirowego pobocza. Rory nie był pewien, co ciągnęło go w to miejsce, ale czasami, nocą, przyjeżdżał samotnie w okolicę, w której pogrzebał Zbója. Po tym, jak wykipił się od morderstwa, powiedziałyby Sherri. Gdyby знаła prawdę.

Niechętnie przed sobą przyznawał, że mógłby to polubić - wykpiwanie się od morderstwa. A to miejsce - puste pasmo szosy, zasłona pobliskiego lasu, dobrze ukryta polanka - było na nie miejscem idealnym.

Było też idealne na zakazany seks. Rory często z tego korzystał, kiedy już udało mu się zwalczyć skrupuły Sherri, że przecież w pobliżu zdechł Zbój. Do końca ich wprawdzie nie zwalczył, bo wciąż od czasu do czasu prosiła, żeby kolejną pospieszną schadzkę urządzili gdzie indziej. Często ulegał jej prośbom, ale to miejsce - pod drzewami i pomiędzy nimi, gdzie tylko sporadycznie przesuujące się światła jadącego szosą samochodu przypominały o zewnętrznym świecie - miało w sobie coś wyjątkowego. Tam świat toczył się zwykłymi koleinami, ale nie tu. Nie dla Sherri i nie dla Rory'ego.

Seks zdecydowanie lepiej tu smakował.

Tak jak rozmyślanie w ciszy.

Rory nie był jedynym ceniącym sobie ustronność tego miejsca. Pewnej księżycowej nocy przyjechał tu sam; zaparkował chevy'ego pośród drzew, z dala od ludzkich spojrzeń, i stał, paląc papierosa, kiedy usłyszał, że na żwirowe pobocze zjeżdża inny samochód. Wycofał się głębiej w las i czekał.

Opony głośniejsze zachrząściły na żwirze i zobaczył ciemny kształt auta z wygaszonymi światłami. Kierowca szukał miejsca, w którym będzie niewidoczny z drogi.

Rory uśmiechnął się. Pewnie ktoś przyjechał do lasu na obłapkę. A samochód Rory'ego stał tak, że nie sposób było go zauważyć. Zostać i popatrzeć? Czyżby był nie tylko rzeźnikiem psów, ale też podglądaczem?

Zobaczył, jak z samochodu wysiada ciemna sylwetka mężczyzny - albo nastolatka - w dzinsach i ciemnym T-shircie, po czym przechodzi na tył pojazdu i otwiera bagażnik.

Z bagażnika mężczyzna wyciągnął nagą związaną kobietę, delikatnie położył ją na ziemi i, stojąc nad nią z rękami na biodrach, rozejrzał się wokół. Jego spojrzenie, nie zatrzymując się, prześliznęło się po Rorym, który - wstrząśnięty - stał ukryty w głębokim cieniu.

Rory słyszał swój ciężki oddech. Przełknął ślinę. Głośno. Wystraszył się, że mężczyzna go usłyszy. Stał, nie ruszając się, i zafascynowany obserwował wydarzenia, niby rozwijającą się przed nim scenę z filmu.

Kierowca ciemnego samochodu zabrał się do pracy. Pochylił się nad martwą lub nieprzytomną kobietą, rozwiązał ją i zmienił ułożenie jej ciała, upewniając się, że jej nogi mocno krępuje sznur. Potem podniósł ją do pozycji klęczącej, wokół jej wykręconych na plecy łokci zaciągnął pętlę, nacisnął przód górnej części ciała w dół, tak że kręgosłup wygiął się na kształt łuku, a oczy skierowały się

ku gwiazdom, tam, gdzie mogłaby polecieć wypuszczona z łuku strzała. Oczy kobiety były szeroko otwarte; wpatrywały się w niebo, jakby szukając w nim nadziei. Oznaczało to, że żyła. Nawet z tej odległości Rory zauważył, że zamrugła i nieznacznie poruszyła głową. Mężczyzna przycisnął coś - jakąś taśmę - do jej ust. Rozwijając taśmę z rolki, otoczył nią głowę kobiety. Rory słyszał słabo, jak kobieta wydaje rozpaczliwe, buczące dźwięki, usiłując rzucać głową na lewo i prawo. Taśma została jednak ciasno zaciśnięta, a ciało było tak mocno napięte, że głowa ledwie się przechylała; kobieta w ogóle nie mogła ruszyć żadną częścią ciała, nie licząc palców, które napinały się i wyginały w poszukiwaniu jakiegokolwiek dotykowego bodźca. Szukała czegoś - czegokolwiek - czego mogłaby dosięgnąć, przytrzymać się, co mogłaby chwycić. Ale w zasięgu jej palców niczego takiego nie było.

Serce Rory'ego łomotało, w ustach mu zaschło. Nie potrafił oderwać wzroku.

Wiedział, że powinien krzyknąć, wezwać policję, zrobić cokolwiek, co mogłoby pomóc młodej kobiecie. Ale niczego takiego nie zrobił.

Widział, że kobieta była atrakcyjna: miała obfity biust i długie czarne włosy. W ciemnych oczach widniało najczystsze przerażenie. Przez szaleńcze próby wykonania ruchu jej piersi lekko się rozkołysały, co mężczyźnie chyba się spodobało - ujął jedną w dłoń i uszczypnął sutek. Przerażone buczenie stało się głośniejsze. Rory zdawał sobie sprawę, że ma erekcję. Musiał coś zrobić, ale nie mógł się ruszyć. Był równie pozbawiony władzy nad swoim ciałem, jak kobieta na polance. Wiedział, że kończyny go nie posłuchają, nawet gdyby umysł postanowił działać.

Nie potrafił oderwać wzroku.

Nawet wtedy, gdy w świetle księżyca zalśnił nóż i oczywiste stało się, co się wydarzy.

Mężczyzna ukucnął obok kobiety. Na głowie miał czapeczkę z nadrukiem. Rory nie potrafił rozróżnić rysów jego twarzy, ale widział uśmiech, gdy mężczyzna trzymał ostrze tak, aby połyskiwało w księżycowym blasku tuż przed twarzą kobiety. Mogła poruszać tylko przerażonymi oczyma; wywracała nimi dziko.

Mężczyzna zaczął ciąć, delikatnie i z wprawą. Ostrze pozostawiało drobne zygzakowate rany. Natężenie buczenia niewiele się zmieniło, stało się tylko bardziej rozpaczliwe; przeszło też w wyższe rejestry. Brzmiało niemal monotennie, a przecież wyrażało wszystko, co działo się w bezradnym, świadomym zbliżającego się końca umyśle kobiety.

Ciało Rory'ego wibrowało niemal tak jak jej ciało.

Nie potrafił oderwać wzroku.

Mężczyzna zaczął intensywniej pracować nożem. Ręce Rory'ego powędrowały do krocza. Nie potrafił oderwać wzroku. Rozumiał, że to złe i że nigdy nie będzie mógł nikomu o tym opowiedzieć. Gdyby to zrobił, wyszedłby na kogoś w rodzaju współnika. Wiedział, że wystarczy, aby stał cicho i nieruchomo, a zobaczy wszystko. Może nawet grzebanie ciała kobiety niedaleko miejsca, w którym sam pochował Zbója.

Oszałamiała go wszechpotężna moc zabójcy. Obserwowanie go było jak obserwowanie Boga przy pracy. Kto by nie zabił, żeby osiąść taką moc? Kto nie wyniósłby na piedestał takiej istoty?

Nawet kobieta na polance - zwłaszcza ona - w swym przerażeniu zapewne podporządkowała się i będzie zanosila modły do absolutnego władcy życia i śmierci, aż do chwili, w której zgon nie zamieni się w dar.

Buczenie stawało się coraz bardziej rozpaczliwe, a wstrząsane bólem ciało kobiety podrygiwało w świetle księżyca. Prawie jak silnik wchodzący na coraz wyższe obroty, coraz bardziej wibrujący, aż do eksplozji. Mężczyzna lekko zmienił pozycję, zgiął łokieć i obrócił ostrze poziomo. Zaczął obcinać kobiecie piersi. Rory przestał mrugać, nie potrafił przełknąć śliny, nie potrafił się poruszyć.

Nie potrafił oderwać wzroku.

Nowy Jork, dzisiaj

- Mamy problem - powiedział Jerry Lido.

Oprócz niego w biurze byli Quinn i Pearl. Przerwali swoje zajęcia przy biurkach i popatrzyli na niego.

- Ktoś tu był - powiedział Lido.

Quinn rozejrzał się, jakby szukał potwierdzenia jego słów.

- Nie tutaj - wyjaśnił Lido. - To znaczy - tutaj, ale wirtualnie. W wirtualnym tutaj.

- W naszych komputerach? - upewniła się Pearl.

- No tak. - Dla Lida świat wirtualny był światem rzeczywistym. Dopiero poziom niżej istniał świat, w którym żyli bliźni. I świat, w którym Lido pił.

- Mój komputer trochę zabawnie się zachowuje - powiedziała Pearl, zastanawiając się, jakim cudem Lido pozostaje przy zdrowych zmysłach.

Uśmiechnął się do niej radośnie.

- Właśnie! Zostaliśmy zhakowani. Ściśle rzecz ujmując: jesteśmy hakowani w tej chwili.

Do biura weszła Helen, wysoka i smukła jak modelka, może tylko trochę za bardzo umięśniona specjalistka od profili psychologicznych. Każda widoczna część jej ciała jak zwykle lekko lśniła od potu, jak gdyby Helen właśnie wyszła z siłowni. Usłyszała końcówkę rozmowy.

- Ktoś chce wiedzieć, co jest w naszych komputerach - powiedziała.

- Ktoś wie - poprawił ją Lido. Powtórzył, co wcześniej mówił o

hakowaniu.

- Możesz się dowiedzieć, kto to zrobił?

- Robi - znów poprawił Lido. - Od dwóch godzin staram się to ustalić. Poustawiał firewalle i od cholery zapór nie do obejścia. Nasze komputery działają tylko w jedną stronę: wysyłają dane na zewnątrz.

- Bawi się z tobą - powiedziała Helen.

Pearl natychmiast zabrała się do wyłączenia komputera.

- Wtyczkę też wyciągnij - doradził Lido.

Wyciągnęła. Quinn i Helen po kolei odłączali od prądu resztę firmowych pecetów.

- Sądzisz, że mógłby je uruchomić, gdyby były podłączone do zasilania?

Lido wyszczerzył zęby.

- Mógł bez naszej wiedzy zainstalować oprogramowanie, które to umożliwia. Z tego co mi wiadomo, mógł się pod nas podczepić już o drugiej w nocy.

- Możemy zrobić mu to samo, co on nam? - spytał Quinn. Cały on: od razu do kontrataku.

- Owszem, ale musielibyśmy o nim wiedzieć tyle, ile on wie o nas - odparł Lido.

Podniósł się zza biurka, na którym stał wygaszony monitor.

- A ty dokąd? - spytała Pearl.

- Do domu. Tam nie będzie mnie ograniczał ten prymitywny sprzęt.

- Myślałem, że zainstalowałeś w naszych komputerach dodatkową pamięć - zdziwił się Quinn.

Lido popatrzył na niego z politowaniem.

- Czy QUiZ nie ma zabezpieczeń? Ochrony antywirusowej, zapór sieciowych i tym podobnych? - zapytała Helen.

Teraz na twarzy Lida pojawiła się pogarda. Nie konkretnie dla Helen, lecz dla każdego, kto naruszał jego terytorium i kwestionował jego umiejętności.

- Haker usunął wszystkie możliwe ślady po tym, jak już się w jakiś sposób włamał.

Nawet dla takiego eksperta jak ja namierzenie go jest niemożliwością. Prawdopodobnie. - Zabrał kilka przedmiotów z biurka i zniknął za drzwiami.

- Zawrzała w nim nasycona alkoholem krew - powiedziała Helen.

- Nie postawiłbym na hakera, którego Lido postanowił namierzyć - oznajmił Quinn.

Helen podeszła do opuszczonego przez Lida biurka i przysiadła na krawędzi. Quinn mimo woli zauważył, że jej nogom dobrze by zrobiła depilacja.

- Zastanówcie się - powiedziała. - Haker od dawna mógł niepostrzeżenie kraść informacje z waszych komputerów.

- Tak pewnie było - odparł Quinn. - Ale Lido go dopadnie. Na mur-beton.

Helen uśmiechnęła się tak chłodno, jak tylko potrafiła.

- To jedna strona medalu. Jest też druga: haker potrafił włamać się do waszych systemów, obejść najnowocześniejsze zabezpieczenia i dowiedzieć się, nad czym pracujecie, a przy tym pozostać niezauważonym. Czy zatem nie starczyłoby mu umiejętności, żeby równie niezauważalnie się wycofać?

- Chyba tak - zamyślił się Quinn. - Ale to by znaczyło...

Uśmiech Helen ocieplił się.

- Że intruz chciał, żebyście dowiedzieli się o tym włamaniu.

Lido zadzwonił na komórkę Quinna dwie minuty przed północą i obudził go. Mówił bełkotliwie i miał problemy ze zbudowaniem

na tyle sensownego zdania, żeby Quinn je zrozumiał, ale udało mu się przekazać, że podjęte przez tajemniczego hakera środki ostrożności zadziałały bez pudła. Zaczął sypać terminami informatycznymi, których Quinn nie rozumiałby nawet wtedy, gdyby Lido był trzeźwy i wysławiał się wyraźnie. Ogólne przesłanie brzmiało: nie ma sposobu, żeby po śladach pozostawionych przez hakera w sieci dało się go namierzyć.

Po zakończeniu rozmowy Quinn długo leżał w ciemnościach, nie mogąc zasnąć.

Zastanawiał się, kto mógł dysponować wiedzą informatyczną pozwalającą na przechytrzenie Lida.

Każda możliwość, która przychodziła mu na myśl, była zatrważająca.

Po ciężkiej nocy pełnej niespokojnych snów Quinn towarzyszył Pearl przy spóźnionym śniadaniu. Jedli gofry i parówki w cieście - gotowe produkty podgrzane w opiekaczu i mikrofalówce. Tak Pearl wyobrażała sobie domowy posiłek. Pachniało jednak zupełnie nieźle. Unosząca się w rozgrzanej kuchni przezroczysta para niosła intensywny i pobudzający apetyt aromat, ale ani Quinn, ani Jody nie dali się nabrać. Znali już te sztuczki.

Jody wyszła wcześniej, wymawiając się, że nie jest głodna i że po drodze do Endersa i Coila kupi sobie bajgla. Mądra dziewczyna - pomyślał Quinn. Zupełne przeciwieństwo matki.

Zastanawiał się, czy po wyjściu z budynku z czerwonobrazowego piaskowca będzie pachniał goframi i parówkami. A jeśli tak, to jak długo?

Komórka Quinna odegrała kawaleryjski sygnał do ataku. Wydobył ją z kieszeni, żeby zobaczyć, kto dzwoni. Nift z prosekatorium. Quinn wrzucił do ust kęs parówki - podejrzewał, że już więcej zjeść nie zdąży - i nacisnął przycisk, akceptując połączenie.

- Doberek, Nift. Co tam?

Irytujący mały medyk sądowy nie zawracał sobie głowy powitaniem.

- Quinn! Ty żujesz!

- Nic ci do tego.

- Uważaj... Człowiek ugryzie czasem więcej, niż zdoła przeżuć - droczył się Nift.

Quinn jakimś cudem usłyszał, jak na gębę małej gnidy wypływa

uśmiech.

- Dzwonisz służbowo? - W pytaniu Quinna zabrzmiała nutka ostrzeżenia.

Nutka wystarczyła, żeby Nift się wystraszył i przeszedł do spraw zawodowych.

- Przyczyną śmierci Lindy Brooks był atak serca, bez wątplenia spowodowany szokiem. Morderca bawił się z nią tak, jak z innymi ofiarami. Gdy nadszedł czas na coup de grâce, Brooks była już martwa.

- Mam nadzieję, że przeżył rozczarowanie.

- Na pewno. Ale pracował starannie, jak zwykle. Nie mamy odcisków palców, nie mamy próbek DNA. Nawet tak słabych, jak w przypadku Macy Collins.

Quinn nie wiązał dużych nadziei z nędzną próbką od Collins - mogła składać się na nią głównie jej własna krew.

- W pochwie znaleźliśmy nieznaczne ślady po środku nawilżającym prezerwatywy - ciągnął Nift. - Jako broni morderca prawdopodobnie użył tego samego noża, co zwykle, i chyba za jego pomocą ściągnął Lindzie pokaźne majtasy. Nie znaleźliśmy ich, swoją drogą.

- A co z Grace Moore?

- Najwyraźniej miała za mały cys dla naszego mordercy. Gość ma wysokie oczekiwania, jeśli idzie o piersi.

- Przynajmniej jej nie kaleczył - powiedział Quinn. Zerknął na drugi koniec stołu - Pearl uważnie mu się przyglądała, wsłuchana w jego wypowiedzi.

- Oceniam, że miała względnie lekką śmierć - mówił Nift. - Krótkie przyduszenie, żeby nie krzyczała, a potem pojedynczy, celny cios w serce. Moim zdaniem po prostu była przeszkodą. Trudno o większego pecha.

- Rany po torturach przypominają te, które zadano poprzednim ofiarom?

- Sam widziałeś. W zasadzie nie mogły nie okazać się efektem pracy tego samego człowieka i tego samego noża. Przypominają też pośmiertne zdjęcia ofiar Daniela Danielle'a sprzed wielu lat. Urodzony grawer.

- Mimo to nawet nie tknął w ten sposób Grace Moore.

- Nie była częścią jego planu - odparł Nift. - Rozumiem to.

Jezu, ja też! - pomyślał Quinn. Co ze mną robi wczuwanie się w sposób myślenia wszystkich tych popaprańców? Myśliwy stara się rozumować jak jego zdobycz i częścią umysłu mieszka w jej głowie. Morderca robi to samo z upatrzonymi ofiarami. To element jego zabawy. Ale ja nie robię tego dla zabawy. Prawda, że nie?

- A propos podobieństw - powiedział Nift. - Linda Brooks miała na sobie majtki tego samego rozmiaru i marki, co poprzednia ofiara. Znaleźliśmy nawet włosy łonowe; analiza potwierdziła, że majtki należały do Neeve Cooper. Poza tym ślady od gumki i udrapowanie materiału wskazują, że na krótko rozwiązał ofierze nogi, żeby zamienić majtki. Po śmierci, ale przed nadejściem stężenia pośmiertnego.

Umysł Quinna, wbrew jego woli, wyobrażał sobie mordercę manipulującego nieżywymi kończynami, układającego je w różnych pozycjach, żeby zdjąć, a później założyć ofierze majtki. Trudne zadanie, ale ta mordęga mogła dawać mu niewysłowioną satysfakcję.

Zadanie, które po prostu musiał wykonać - inaczej nie czułby, że sprawuje kontrolę absolutną.

Quinnowi żołądek podszedł do gardła.

Pearl popatrzyła na niego po swojemu, spode łba.

- Wszystko w porządku?

- Ta...

- Słucham? - odezwał się Nift w słuchawce.

- Masz jeszcze coś, co może okazać się istotne? - zapytał go Quinn.

- Nie. Daj znać, jak już znajdziesz te cycki. I pozdrów Pearl.

Quinn bez odpowiedzi zatrzaskał klapkę telefonu.

- Nift? - zapytała Pearl.

- No.

- Paróweczkę?

- Nie w tym życiu.

Jody wpadła na bajgla do Starbucksa, niedaleko Endersa i Coila. Często jadła lunch z Sarah Benham, ale na śniadaniu spotkały się po raz pierwszy. Stały się sobie bliższe, choć Sarah w dużym stopniu pozostawała dla Jody zagadką.

Siedziały przy stoliku w tylnej części sali. Sarah zamówiła bułeczkę cynamonową, Jody bajgiel na gorąco ze śmietankowym serkiem i z dżemem truskawkowym. Przed każdą z nich stał wysoki kubek z latte. Jody nasunęła się refleksja, jak smaczny jest jej bajgiel w porównaniu z odmrażanym w opiekaczu gofrem i odgrzewanymi w kuchence mikrofalowej parówkami jej matki.

- Jak mamie idzie śledztwo w sprawie Daniela Danielle'a? - spytała Sarah, ostrożnie zanurzając usta w parującej latte.

Nieoczekiwane pytanie zaskoczyło Jody.

- Dziwne, że o to pytasz.

- Dlaczego?

- Nigdy wcześniej cię to nie interesowało.

- Morderca chyba się rozkręca - powiedziała Sarah. - W wiadomościach mówili, że zabił ostatnio dwie kobiety naraz. Jestem po prostu ciekawa, co to może znaczyć.

- Dziś rano nie miałyśmy czasu na takie rozmowy.

- Wydawało mi się, że interesujesz się pracą twojej mamy.
 - Słusznie. - Jody odgryzła kęs bajgla i zaczęła przeżuwać.
- Sarah uśmiechnęła się.

- Ale i tak wolisz zostać prawnikiem, a nie gliną.
- Na chwilę obecną - tak.
- Nie zabrzmiało to jak z serca płynąca deklaracja.
- Bo nie miało.

Kobiety sięgnęły po swoje latte, zastanawiając się nad tą spontaniczną odpowiedzią.

Jody zgubiła powołanie?

- Coś nie tak u Endersa i Coila? - zapytała Sarah.
- Coś nie tak z jedną z ich spraw. Kobieta nie chce opuścić mieszkania, więc klient, duża firma deweloperska, nie może wyburzyć jej bloku.

- Brzmi to jak scenariusz filmowy.
- Albo jak powieść sensacyjna.
- Dlaczego chcą zburzyć blok?
- Cały kwartał domów objęty został jakimś większym projektem. Biurowce, apartamentowce... Z punktu widzenia etyki nie wolno im zrównać z ziemią życia tej kobiety.

Z punktu widzenia prawa pewnie też nie.

- A wywłaszczenie?
- To nie takie proste - powiedziała Jody. - Wiem, co mówię.
- Wszystko, gdy to gruntownie przemyśleć, w końcu okazuje się proste. Wtedy należy podejmować decyzje.

Jody roześmiała się.

- Do tego punktu jeszcze nie dotarłam.

Sarah popatrzyła na nią poważnie.

- Jak ważne są dla ciebie problemy tej kobiety?
- Bardzo.

- Ale dlaczego? Znasz ją w ogóle?

- Mam wrażenie, że tak.

Sarah zmarszczyła brwi.

- Czy ktoś u Endersa i Coila zna twoje stanowisko w tej sprawie?

- Częściowo.

- Według mnie powinnaś porządnie przemyśleć, czy warto trzymać stronę kobiety, którą tak czy inaczej wyrzucą na bruk. Możesz narazić na szwank swoją karierę i przyszłość.

- Skąd wiesz, że i tak ją wyrzucą?

Sarah ze smutną miną potrząsnęła głową.

- Tego typu sprawy zawsze tak się kończą. Wszyscy w zasadzie na tym skorzystają.

- Wszyscy oprócz niej.

- Trudno się z tym nie zgodzić. Ale jeśli się wyprowadzi, może w ramach ugody zainkasować okrągłą sumkę.

- Już jej to proponowali. Odmówiła.

- Wyjaśniła dlaczego?

- Nie. Ale tu nie chodzi o pieniądze.

- Jeśli pieniądze czegoś nie zdziałają, to pewnie zdziała to większa suma pieniędzy.

Albo inna, skuteczniejsza perswazja.

- Dlaczego tak sądzisz?

Sarah pochyliła się nad blatem ze sztucznego marmuru. W unoszącej się nad latte parze kobiety wyglądały, jakby parały się jakąś odmianą alchemii.

- Jody, znam kogoś, kto ma dojście do dewelopera. Z całego serca sugeruję, żebyś dała sobie spokój z tą kobietą, która toczy z góry przegraną walkę, i w ogóle z całą tą sprawą.

Jody to zaskoczyło, ale zrozumiała, że bez powodu. W końcu nie

znała Sarah Benham zbyt dobrze.

- Wiesz coś, czego nie wiedzą Enders i Coil?

- Prawdopodobnie. - Sarah przyjrzała się Jody, po czym pokręciła głową. - Jody, wiesz, że nie mogę ci powiedzieć. Zawiodłabym zaufanie przyjaciela. Twojego zaufania też nie mogłabym zawieść w ten sposób.

Jody skosztowała kawę, która wciąż była zbyt gorąca, żeby ją pić.

- Widzisz? - powiedziała.

- Co widzę?

- To wcale nie takie proste.

Piętnaście minut później Sarah jako pierwsza opuściła kawiarnię. Przez okno wystawy, na której powkładano ciasta, Jody widziała, jak Sarah dołącza do zalanego słońcem, stłoczonego na chodniku tłumu pieszych, czekających, aż zmieni się światło sygnalizacji i umożliwi im przejście na drugą stronę ulicy. Sygnał nadszedł jak niemy rozkaz.

Agresywny kierowca taksówki wymusił pierwszeństwo, skręcając w prawo, a Sarah zniknęła, wtapiając się w nurt przechodniów.

Ponieważ Jody miała jeszcze trochę czasu, otworzyła laptopa. Ale nie skorzystała z kawiarnianego Wi-Fi. Zamiast tego wcisnęła do portu pendrive'a zawierającego kopie dokumentów Endersa i Coila i zaczęła je przeglądać. Gdyby ktoś z kancelarii, znajdującej się zaledwie kilka przecznic stąd, zajrzał przypadkiem do kawiarni i zobaczył, czym Jody się zajmuje, zostałaby prawdopodobnie z miejsca zwolniona i - już nie tak z miejsca, ale z równym prawdopodobieństwem - postawiona w stan oskarżenia.

Cóż, życie było ryzykiem.

Jody pomyślała o Mildred Dash, więzionej i zastraszanej we

własnym mieszkaniu, mężnie toczącej wojnę z ciemną stroną kapitalizmu, i czytała dalej.

Cieszyło ją, że ta sprawa jest takim wyzwaniem i chcąc nie chcąc, wciągnęła się w to, co robiła. Nie znalazła żadnych dowodów działalności przestępczej, ale - ku swojemu zaskoczeniu - natrafiła na korespondencję mailową z Waycliffe College. Wszystkie maile były kodowane - nie udało jej się złamać szyfru. Ale zauważyła, że niektóre wiadomości wysłano na adres Elaine Pratt. To była niespodzianka, przez którą Jody spędziła przed laptopem więcej czasu, niż zamierzała.

Bezowocne próby rozszyfrowania maili sprawiły, że u Endersa i Coila zjawiała się z dwudziestominutowym opóźnieniem.

Chyba nikt nie zwrócił na to uwagi - działy się ważniejsze rzeczy. Krążyły wieści, że ostatniej nocy Mildred Dash została napadnięta; nad ranem, pogrążoną w śpiączce, znalazł ją stróż. Trafiała do szpitala na intensywną terapię.

Zatrudnieni w firmie prawnicy miotali się albo wisieli na telefonach. Jack Enders i Joseph Coil byli posepni, stanowczy i sprawiali wrażenie, że nad wszystkim panują. Jody nigdy wcześniej nie widziała w kancelarii takiego poruszenia. Ani w takim nie uczestniczyła.

Polecono jej nieustannie dzwonić do szpitala i do rodziny Mildred i na bieżąco dowiadywać się o jej stan. W międzyczasie prawnicy procesowi kancelarii Enders i Coil mieli analizować możliwe konsekwencje wyburzenia - pod nieobecność Mildred - budynku, w którym mieszkała.

To była świetna okazja, o ile uda się ją wykorzystać.

Liczyła się każda godzina. Może nawet minuta.

Nikt nie powiedział wprost, że najlepiej byłoby, gdyby Mildred Dash umarła, ale wielu miało to na końcu języka.

Jody czuła niesmak, ale - jak każdy w kancelarii - czekała w napięciu. Nastrój był zaraźliwy, a przy tym dziwnie, nieodparcie przyjemny. Odbicie własnych emocji dostrzegała w twarzach współpracowników. Zachwycało ich, że byli częścią dramatu.

Nagle Jody przemknęło przez myśl, że może właśnie o tym wiedziała Sarah Benham, gdy ostrzegała ją przy śniadaniu.

Leighton, stan Wisconsin, 1986

- Twoja matka na pewno uwierzyła, że jesteś u ciotki w Milwaukee? - spytał Rory.

- Była przy tym, jak wsiadałam do autobusu - odpowiedziała Sherri. - A nie było jej, kiedy autobus zatrzymał się na drodze do Grantville, żeby zabrać więcej pasażerów. Kilka osób tam wysiadało, więc wmieszałam się między nich. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

- To jak tu wróciłaś?

- Stopem. - Błysnęła szelmowskim uśmiechem. - Wiesz po co.

Rory wiedział. Jego matka wyjechała z miasta ze swoim nowym facetem. Była w Milwaukee, więc Rory miał wolną chatę. Musiał jedynie od czasu do czasu spędzać wieczór w domu, żeby odebrać telefon, gdyby matka chciała dowiedzieć się, jak sobie radzi. Zatem - będzie w domu. Z Sherri.

Taki był plan.

Stali przy chevym matki Rory'ego, zaparkowanym w pobliżu miejsca, w którym zginął i pogrzebany został Zbój, w którym torturowana była tamta dziewczyna - ta, o której wiedzieli tylko Rory i morderca - i gdzie została zabita i pochowana. Rory czuł specyficzny dreszcz, gdy prowadził tam Sherri za rękę, a potem całował się z nią nad grobem zamordowanej. Dreszcz, który mu się podobał.

Sherri uznała, że to ona jest powodem tych dreszczy, więc pocałowała go mocniej, z języczkiem.

Rory natychmiast poczuł erekcję. Pod jego stopami krył się

sekret, o którym poza nim wiedziała tylko jedna osoba - morderca, który z kolei sądził, że tylko on wie, co tu się wydarzyło.

Rory pamiętał, jak dziewczyna została związana i zakneblowana, jak wpatrywała się w pustkę. Pamiętał wyraz jej twarzy, kiedy morderca zaczął pracować nad nią nożem, z początku lekko i delikatnie. Pamiętał jej nikłe poruszenia. Jej trzepoczące, poszukujące palce.

Błagalne dźwięki, dobiegające spoza zaklejającej usta taśmy. Spazmatyczne drgawki ciała pod koniec. Ale najwyraźniej pamiętał jej oczy. Oczy...

Najbardziej poruszyło go, że była trochę podobna do Sherri. W każdym razie miała taki sam typ urody. Zdecydowanie taki sam, mimo innych włosów.

- Weź jedną - powiedziała Sherri. - Na pewno dobrze ci zrobi.

Opuścił wzrok na rękę, w której trzymała znajome tabletki z maminej apteczki.

- Już jest mi dobrze - odparł Rory. Gdybyś tylko wiedziała...

- Nie bądź ciota - powiedziała Sherri i wcisnęła mu w dłoń opakowanie tabletek.

Ponieważ podano w wątpliwość jego męskość, Rory odrzucił tabletki. Kilka wypadło na ziemię.

Sherri huknęła go w ramię. Nie użyła całej siły, ale i tak zabolalo.

- Patrz, co narobiłeś, debilu! Rozsypałeś je!

Była na niego wściekła. Jak bardzo rozwścieczyłaby ją wiadomość, że zabiłem jej wychuchanego psa? Rory szanował jej inteligencję. Wiedział, że Sherri kiedyś pozna prawdziwy los Zbója.

Pochylił się i zaczął zbierać małe białe tabletki. Niektóre musiał wygrzebywać spod zwiędłych liści.

- Pozbieraj je co do jednej! - rozkazała Sherri.

Gdy miał już w stulonej dłoni wszystkie lub prawie wszystkie, wyprostował się i wyrzucił je daleko w las.

- Kurwa, Rory! Co ty? - Podeszła do niego w furii i zaczęła okładać go rękami.

Paznokciem małego palca zadrapała kącik jego lewego oka. Przenikliwy ból rozjuszył Rory'ego.

Uderzył ją mocno w twarz, myśląc o leżącej pod nimi dziewczynie - o tym, w jaki sposób i kiedy umarła.

W jaki sposób umarła...

Kiedy lekko ogłuszona Sherri pochyliła się, żeby wypluć krew, Rory uderzył ją kolaniem w brzuch. Złapał Sherri w locie, nie pozwalając jej upaść.

Nie zaplanował sobie tego wszystkiego. Był to po prostu alternatywny ciąg wydarzeń, które mogły nastąpić lub nie. Dzieło wyobraźni. Naprawdę.

Ale niech go diabli, jeśli te wyobrażone wydarzenia nie zaczęły dziać się naprawdę, a on zdawał sobie sprawę, że pozwoli im się dziać. To było jak przeznaczenie.

Bo jeśli nie przeznaczenie, dlaczego podświadomie się na to przygotował?

Możliwe, że miało to coś wspólnego z tym, co widział na polance - z bogiem i z dziewczyną w ziemi.

Może posiadał wtedy tajemną wiedzę i teraz się nią kierował. W porównaniu z tym nic innego na świecie się nie liczyło.

Nie liczyła się już dziewczyna w ziemi. Stała się tylko wspomnieniem. Sekretnym wspomnieniem.

Wrócił do chevy'ego, otworzył bagażnik i wyjął z niego przygotowaną wcześniej linę oraz grubą rolkę taśmy izolacyjnej.

Zajęło mu to tylko kilka sekund. Sherri wciąż leżała na ziemi, skulona, wciąż starała się złapać oddech.

Rory stał nad nią i słuchał jej ciężkiego, rwanego charczenia, myśląc o tamtej dziewczynie. Schylił się, związał kostki Sherri, a luźny koniec sznura obciął sprężynowcem.

Dziwne, ale nie pamiętał, jak wyjmował nóż z kieszeni i jak go otwierał. Odwrócił leżącą na liściach Sherri na brzuch i mocno skrępował jej ręce na plecach. Boli? Trudno. Podźwignął ją i ustawił na kolanach, potem połączył sznurem pęta na kostkach i przegubach, myśląc o tamtej dziewczynie. Zacisnął sznur, wyginając ciało Sherri w tył, tak jak wygięta była wtedy tamta dziewczyna. Sherri doszła do siebie na tyle, żeby krzyczeć, odwinął więc długi pasek taśmy z wyjętej z bagażnika rolki i myśląc o tamtej dziewczynie, ciasno owinął głowę Sherri, zaklejając jej usta.

Za pomocą noża rozciął na Sherri ubranie. Patrzył w jej ciemne, zropaczone oczy, myśląc o tamtej dziewczynie. Wyprostował się i rozejrzał. Była prawie pełnia i blask księżyca jasno oświetlał polankę. Ale w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby być świadkiem poczynań Rory'ego. Nie w tym odludnym miejscu za miastem, nie na tej rzadko uczęszczanej drodze.

Obszedł Sherri, stanął przed nią i badawczo wpatrzył się w jej twarz, na której malowały się trwoga i niezrozumienie. Odpowiedziała błagalnym spojrzeniem. Uśmiechnął się, myśląc o tamtej dziewczynie.

Stojąc tak, żeby mogła go widzieć, wytarł ostrze noża o dzinsy na udzie i palcem sprawdził, czy jest dość ostre. Przetoczył ją na brzuch i zaczął obrabiać nożem jej plecy, jak robił to morderca z tamtą dziewczyną. Sherri wydawała z siebie takie same zduszone odgłosy przerażenia.

Po pewnym czasie postawił ją na kolana, wygiętą w łuk dla ludzkiego ciała zdawałoby się nieosiągalny. Być może ktoś na jakiejś odległej planecie, wyposażony w potężny teleskop, mógł

dostrzec przerażony wyraz jej wytrzeszczonych oczu.

Pewnie gdzieś tam, w kosmosie, jest ktoś, kto mógłby ci pomóc.
A może jednak nie.

Znow zabrał się do pracy, trzymając palec wskazujący i kciuk nisko na ostrzu, zupełnie tak jak robił to morderca pochylony nad tamtą dziewczyną. Sherri krzyczała teraz dokładnie tak samo jak tamta i jej w pełni wyartykułowane krzyki tak samo docierały jedynie do taśmy izolacyjnej. Dalej przedostawało się już tylko jej szaleńcze niskie buczenie, natychmiast wchłaniane przez noc.

Ciął przez dłuższy czas na poza tym cichej, pustej polance, myśląc o tamtej dziewczynie. Ciało Sherri zaczęło gwałtownie tłuc o ziemię i dygotać; jej obnażone piersi podskakiwały i kołysały się. Rory'ego to nie dziwiło. Usiadł wygodnie i patrzył jej w oczy, wpatrywał się z wytężoną uwagą, póki nie opuściły ich ze szczętem blask i świadomość, jak oczu tamtej dziewczyny.

Potem nożem obciął jej piersi. Było to łatwiejsze, niż się spodziewał: nie musiał ciąć kości ani chrząstek, tylko miękkie mięso.

Zamierzał wyrzucić obcięte piersi w las, na żer drapieżnikom, ale po namyśle zdecydował, że je zachowa.

Wstał, ciężko dysząc, i wrócił do samochodu. Zawinał piersi w stary worek foliowy, ściśle, żeby nie przeciekało. Potem wyciągnął z bagażnika łopatę.

Ziemia była miękka i zakopanie Sherri nie zajęło wiele czasu.

Rory rozejrzał się wokół siebie, stojąc na środku polanki. Wydawało się, jakby ani jego, ani Sherri nigdy tu nie było. Wsiądzie do samochodu matki i odjedzie, a to, co się wydarzyło, równie dobrze mogło się nie wydarzyć.

Czyli - nie wydarzyło się.

Zniknięcie Sherri wywoła wielkie zamieszanie, ale przecież

wsiadła do autobusu i nie wróciła. Nie ona pierwsza, nie ostatnia.
Po jakimś czasie wrzawa przycichnie. Świat będzie kręcił się dalej.
Ludzie zapomną.

Ale on o Sherri nie zapomni. Nigdy.

Moja własna tamta dziewczyna.

Nowy Jork, dzisiaj

Quinn postanowił, że o aktach doktor Grace Moore porozmawia z kimś osobiście. Czy to nie do niego jej pacjentka Linda zwróciła się o pomoc? Czy do QUiZ albo na policję nie dzwoniły ostatnio dziesiątki innych kobiet, utrzymując, że są w niebezpieczeństwie, prosząc o ochronę? Nie dało się spełnić prośby każdej z nich - po prostu mieli za mało ludzi - i nieważne już, że większości dzwoniących nic nie groziło, że roili sobie niebezpieczeństwo.

Problem w tym, że w wypadku niektórych nie były to urojenia. Których konkretnie?

Nie sposób ustalić. Na pewno chodziło o niewielki, ale rzeczywisty odsetek. Linda Brooks i Grace Moore były rzeczywiste i rzeczywiste było wiszące nad nimi zagrożenie; a jednak Quinn prowadził teraz śledztwo w sprawie ich śmierci, czując, że powinien zauważyć bądź przeczuć coś, co tym śmierciom mogłoby zapobiec.

W tym cały szkopał: Quinn nie potrafił przewidzieć przyszłości, a morderca ją kształtował.

Budynek, w którym mieścił się gabinet doktor Moore, był przystanią chłodu we wszechobecnym upale. Wyglądało na to, że poza rozmieszczonymi tu i ówdzie roślinami doniczkowymi wszystko jest wykonane z marmuru. Quinn przyłapał się na fantazjowaniu, jakby to było wyciągnąć się na chłodnej podłodze holu.

Zgodnie z poleceniem Quinna Pearl i Fedderman pomagali Haroldowi i Salowi w przesłuchiowaniu osób mieszkających w

promieniu dwóch przecznic od domu, w którym zamordowano Lindę Brooks i lekarkę. Odwieczna, niezbędna policyjna rutyna. Quinn nie był pewien, co porabia Weaver; była ustanowionym przez Renza specjalnym łączem z biurem komisarza policji, działała więc w dużym stopniu niezależnie. Quinnowi to odpowiadało. Im dalej była od Pearl, tym lepiej - obie w tym samym miejscu tworzyły mieszankę wybuchową.

Winda w budynku doktor Moore była nagrzana i powolna. Quinn miał wrażenie, że przystanęła na każdym piętrze, zanim wreszcie wyszedł z dusznej i ciasnej kabiny. Jadąca obok niego kobieta przesadziła z perfumami; Quinna ciągle jeszcze wierciło w nosie.

Przekroczył drzwi gabinetu i znalazł się w niewielkiej poczekalni o kremowych ścianach i beżowym umeblowaniu. Stało w niej okrągłe biurko z orzecha, a na nim komputer, drukarka i telefon. Słysząc było jedynie dobiegający z ulicy słaby szum ruchu ulicznego.

Zawołał: „Halo!”.

Po chwili otworzyły się drzwi do - jak sądził - właściwego biura. Wyrzała zza nich zrozpaczona młoda kobieta z kręconymi ciemnymi włosami, spiętymi z tyłu, co miało uwypuklić krągłość i tak krągłej twarzy, i popatrzyła na niego przez okulary w ciemnych oprawkach.

- Mogę w czymś pomóc?

Quinn pomyślał, że sama wyglądała na kogoś potrzebującego pomocy. Może przy egzaminach śródsemestralnych.

Mignął legitymacją i wyjaśnił, kim jest i po co przyszedł.

Młoda kobieta, która powiedziała, że ma na imię Cleo, jakby się zmieszała. Przygryzła dolną wargę dużymi białymi zębami.

- Nie wiem, czy wolno mi choćby rozmawiać z panem o pacjentce

doktor Moore, a co dopiero udostępnić dokumentację choroby.

Quinn obdarzył ją tak serdecznym uśmiechem, że aż się zdziwiła.

- Co łączyło cię ze zmarłą, moja droga?

- Pracowałam dla niej na pół etatu jako asystentka i recepcjonistka - odpowiedziała Cleo.

- Spotkałaś kiedyś Lindę Brooks?

- Kilkakrotnie. Kiedy przychodziła na wizyty.

- Wiesz, dlaczego się leczyła? Jaki miała... problem?

- Nie za bardzo. I, jak mówiłam, nie wiem, czy wolno mi omawiać...

- Nie wierzysz, moja droga, że jestem tym, za kogo się podaję?

- Ależ wierzę. Znam pana twarz z gazet i z dziennika. Ale czy nie powinien pan mieć nakazu czy czegoś w tym rodzaju?

- Mogę zdobyć, jeśli chcesz zostać spisana za utrudnianie pracy policji.

- Och! Nie chciałam nic utrudniać. Po prostu nie wiem, jakie są prawa pacjenta, nawet jeśli...

- Pacjent nie żyje - dokończył za nią Quinn. - Podejrzewam, że gdyby Linda Brooks mogła w jakiś sposób nawiązać z nami kontakt, poparłaby pomysł, żeby ktoś, kto szuka jej zabójcy - i zabójcy doktor Moore - przejrzał tę dokumentację.

- Chyba tak - przyznała Cleo.

- Zanim się namyślisz - powiedział Quinn - powiedz mi proszę, dlaczego Linda Brooks się leczyła.

Cleo przez kilka sekund biła się z myślami, po czym powiedziała:

- To chyba mogę. Zdiagnozowano u niej schizofrenię paranoidalną.

- Co to znaczy? - Quinn nie chciał, żeby Cleo przestawała mówić.

- Podejrzewała, że różni ludzie chcą ją dopaść. Miała też halucynacje. I słyszała głosy.

- Cleo rozejrzała się bezradnie. - Nic więcej nie wiem. Doktor Moore niewiele mówiła o swoich pacjentach.

- Ale tego i owego się dowiedziałaś.

- Dowiedziałam się tego i owego - zgodziła się Cleo.

- Czy stan Lindy Brooks się poprawiał?

- Nigdy nie miał się poprawić. Musiała nauczyć się żyć z... tymi zaburzeniami.

- A czy ostatnio „te zaburzenia” miały jakąś konkretną przyczynę?

Cleo wsparła się o oparcie stojącego za biurkiem fotela i popatrzyła w przestrzeń.

Potem znowu na Quinna.

- Była przekonana, że ktoś ją śledzi. Jakiś mężczyzna. Zdarzało się jej to wcześniej.

- Znała tego mężczyznę?

- Nie, ale śledził ją, a czasem gdy wracała do domu, wiedziała, że był w jej mieszkaniu.

- Skąd?

- Tego już nie wiem. Musi pan sprawdzić w dokumentacji.

Patrzyli na siebie w milczeniu przez, jak się zdawało, bardzo długi czas. Quinn wiedział, kiedy lepiej być cicho. W duchu założył się z samym sobą.

- Akta są w tych brązowych szafkach za biurkiem pani doktor - powiedziała Cleo.

Quinn uśmiechnął się nieznacznie, ale nic nie powiedział.

Cleo wyprostowała się.

- Wychodzę na kawę na sąsiednią ulicę. Popilnuje pan gabinetu, dopóki nie wrócę?

- Możesz mi zaufać - zapewnił ją Quinn.

Cleo ścisnęła w dłoni łańcuszek z kluczami. Odłożyła go na biurko. Nie patrząc na Quinna, wyszła szybkim krokiem z biura i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając go sam na sam z duchem doktor Moore.

Quinn nie miał problemu ze znalezieniem klucza pasującego do wszystkich szafek ani ze znalezieniem teczki Lindy Brooks.

Liczył na płyty DVD - albo może kasety - z nagraniami sesji, które pani doktor przeprowadzała z Lindą. Zamiast tego znalazł obszernie notatki. Całe strony notatek.

Najwyraźniej kiedy Linda opowiadała, doktor Moore, jak na psychoanalitka przystało, słuchała i zapisywała.

Drukarka stojąca w poczekalni obok komputera była jednym z tych wielofunkcyjnych urządzeń, które również skanowały, kopiowały i wysyłały fakсы. Quinn z radością zauważył, że jest w niej dużo papieru. Przez kilka minut kombinował, jak się ją obsługuje, a potem rozpoczął kopiowanie notatek doktor Moore.

Miał nadzieję, że Cleo lubi długo siedzieć przy kawie.

Godzinę później, za swoim biurkiem w siedzibie QUiZ, Quinn zabrał się do lektury.

Niewiele nowego dowiedział się o Lindzie Brooks. Miała halucynacje, słyszała głosy.

W miarę czytania Quinn coraz lepiej rozumiał samotność i udrękę, z którymi przyszło żyć młodej kobiecie. Zrozumiał też, ile musiała mieć odwagi, żeby radzić sobie tak, jak sobie radziła, i żeby mimo długotrwałej choroby jakoś poukładać sobie życie. Spostrzegł, że polubił dziewczynę, która przez niego zginęła w męczarniach.

Jeżu, nie rób sobie takich rzeczy!

Chyba najbardziej na świecie Quinn nienawidził uzalania się

nad sobą i jego destrukcyjnego wpływu. Lindzie Brooks w dużym stopniu udało się z tym wygrać. Była wojowniczką.

I fatalistką.

Właśnie to morderca wiedział o wszystkich swoich ofiarach: były fatalistkami. Prędzej czy później coś musiało w nich pęknąć - wtedy mu się oddawały. Dla tej chwili żył ukryty w nim potwór: dla chwili, w której bez reszty należały do niego.

Do biura, ocierając ramieniem czoło, wszedł Fedderman. Marynarkę niósł przerzuconą przez ramię i wyglądał na skonanego. W prawej ręce trzymał małą torebkę z szarego papieru.

Przemierzając dystans od drzwi do biurka Quinna, skinął na powitanie głową. Przy biurku otworzył torebkę i wysypał na blat z tuzin owalnych plastikowych przedmiotów.

Przypominały zapalniczki; ręka Quinna odruchowo chciała sięgnąć do kieszeni koszuli, gdzie nosił cygara, kiedy jeszcze zdarzało mu się częściej je palić.

- Co to takiego? - spytał.

- Pendrive'y. Karty pamięci. Cholera wie, nie nadążam za tym technicznym żargonem.

Quinn podniósł na niego wzrok.

- Wsadzasz je do portu USB w komputerze i możesz na nich trzymać przeróżne informacje. Coś jak dysk twardy, tyle że zupełnie inne.

- Co to, do cholery, jest port USB?

- Jaja sobie robisz. - Fedderman wskazał palcem mały otwór w obudowie Quinnowego komputera.

- A, to - powiedział Quinn. - Cały czas tego używam. - Rozsunął palcem plastikowe cylinderki. - Skąd je masz?

- Z mieszkania doktor Grace Moore. To nagrane na wideo sesje niektórych pacjentów.

- Lindy Brooks też?

- Aha. Jej ostatnią sesję obejrzałem przed przyjściem, na komputerze pani doktor.

Mówiła, że śledził ją ktoś podobny do Franka Sinatry.

- Ring-a-Ding Ding^[5] - mruknął Quinn.

- Pani doktor chciała udowodnić Lindzie, że nikt jej nie śledzi ani nie czeka na nią w mieszkaniu, więc odprowadziła ją do domu.

- W dniu morderstwa?

- Niestety.

Quinn opuścił głowę i westchnął urywanie.

- Sprawy wskakują czasem na tor, który wiedzie ku katastrofie, choćby nie wiem co - powiedział Fedderman. Nie przyznał się, że mówiąc to, miał na myśli tor, na którym znalazł się jego związek z Penny.

- Ktoś jeszcze wie o tych nośnikach?

Fedderman pokręcił głową.

- Tylko ty i ja. Na spodzie każdego z nich są małe naklejki z nazwiskami pacjentów.

Niektóre mogą cię zdziwić.

- Nie będziemy ich oglądać. Skopiuję sesję Lindy Brooks, a pozostałe wymażesz i odniesiesz tam, skąd je wzięłeś.

- Nie sądzisz, że powinniśmy przekazać je Renzowi?

- Jaja sobie robisz? - spytał Quinn.

- Szczerze mówiąc - odpowiedział Fedderman - tak.

Tej nocy w hotelu Hamaker, niedaleko Times Square, Harley Renz pochylił się i na pożegnanie pocałował Olivię w czoło. Nie poczuła, gdyż była pogrążona w głębokim śnie i lekko pochrapywała.

Renz poruszał się cicho, choć wiedział, że Olivii nie obudziłby wystrzał armatni.

Zażyła coś, a on nie pytał, co to było. Ostrożnie się ubrał, przyniósł z łazienki ręcznik do rąk i wytarł szklanekę, z której pił jacka danielsa. Butelkę wsunął do stojącej na krześle teczki. Był pewien, że nie dotykał w łazience - ani w ogóle w całym apartamencie - niczego, na czym mógłby zostawić wyraźne odciski palców. Zawsze pilnował się, żeby w miarę możliwości nie dotykać niczego poza Olivią, a już szczególnie po rozmowie z Jimem Tennysonem.

Trzeba zadbać o wszystko. Kobiety, zdaniem Renza jedna z najważniejszych korzyści płynących z piastowanego stanowiska, doprowadziły do upadku niejednego zaharowanego komisarza policji. Zdawał sobie sprawę, że trudy, które zadaje sobie podczas spotkań z Olivią, to zaledwie środki ostrożności, ale dzięki nim lepiej sypiał.

Przynajmniej przed odwiedzinami Jima Tennysona. Tutaj pomocna była Weaver: miała na Tennysona oko. Jednak Tennyson był działającym pod przykrywką policjantem; wycwanił się na ulicy. Mógł wymknąć się Weaver, kiedy tylko chciał. Renz musiał więc zaufać Tennysonowi, przynajmniej dopóty, dopóki czegoś na niego nie znajdzie. Wzajemne trzymanie się w szachu było wśród złodziei niemal równie skuteczne, co honor.

Radiobudzik przy łóżku ustawiony był na szóstą. O tej porze Olivia wstanie, weźmie prysznic i o siódmej już jej nie będzie. Renz patrzył na jej sylwetkę w przyćmionym świetle.

Trudno było sobie wyobrazić, że tak piękne stworzenie mogło być zwodnicze w sposób, o którym opowiadał Tennyson.

Ale Renz widywał już takie rzeczy.

Wymknął się z pokoju hotelowego i zamknął za sobą drzwi, gałkę trzymając przez suchy ręcznik. Oddalając się w stronę windy, wepchnął ręcznik do kieszeni.

Był pewien, że nikt nie widział jego wyjścia. Zaczął oddychać swobodniej.

Pięć minut po wyjściu Renza do pokoju wśliznął się ktoś inny.

Penny nie była jeszcze gotowa, żeby powiedzieć Feddermanowi o Strażnikach Cienia.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie.

- Dowiedziałem się wczoraj, jak to jest, kiedy własny umysł staje się wrogiem - powiedział Fedderman.

Siedzieli w kuchni i popijali kawą duńskie ciastka, które Fedderman zeszłego wieczoru kupił w pobliskiej piekarni. Penny odpowiadało takie śniadanie - kofeina i cukier.

Natomiast Fedderman doszedł do wniosku, że dopóki nie wrzuci w siebie jakiegoś porządnego lunchu, będzie drażliwy jak kobieta w ciąży.

- Mówisz o obłędzie? - zapytała Penny.

- Aha. Słuchaliśmy z Quinnem nagrania dziewczyny wywnętrzającej się przed psychiatrą. Tak cierpiała, że i mnie się udzieliło.

- Feds, wrażliwy glina.

- W porównaniu z nią mamy doprawdy małe problemy.

Penny odłożyła ciastko i oblizała palce.

- Próbujesz umniejszyć moją nieustanną troskę, że zostaniesz ranny lub zginiesz?

- Próbujesz wywołać awanturę?

- To ty sugerujesz, że skoro się o ciebie martwię, to jestem beznadziejna. Szkoda, że nie widziałeś mnie na strzelnicy.

- Nie powiedziałem tego. Nawet nie sugerowałem.

- Czyli nie wyciągasz cierpień tej biednej kobiety, żeby umniejszyć moje? W takim razie po co?

Fedderman nie znalazł odpowiedzi. Nienawidził dyskutować z kimś mądrzejszym od siebie.

Wstał, dwoma długimi łykami dopił kawę i poszedł odłożyć kubek do zlewu. Wrócił do stołu, ale nie po to, żeby usiąść, tylko żeby pocałować Penny w policzek.

- Czas do roboty.

- Praktykować swoją religię.

- Wykonywać swoją pracę - tłumiąc gniew, odpowiedział Fedderman.

- Raczej obsesję.

- Niech ci będzie. Obsesję.

- To przez Quinna. Obszujesz z maniakiem i stajesz się maniakiem, podobnie jak reszta pracowników QUiZ.

- Może i tak - odparł Fedderman. - Obsesja, wytrwałość, oddanie... To przynosi rezultaty, choćbyś nie wiem jakiej nazwy użyła.

- I?

- I żyją ludzie, którzy mogliby zginąć.

Penny przypuściła drugi atak na ciastko. Przeżuła kęs i przełknęła.

- Znowu moralizujesz, chociaż oboje wiemy, że jest to dla was po prostu chora, niebezpieczna gra.

- Gra, którą staramy się zakończyć.

- Dotyczy to chyba wszystkich gier?

Do diabła! Znowu się mądrzy!

- Większości - powiedział Fedderman.

Zdjął marynarkę z oparcia kuchennego krzesła i skierował się ku drzwiom.

- Masz lukier na palcach! - zawołała za nim Penny.

- Mam to gdzieś.

- Cały ty.

Rektor Linden Schueller zamknął wieko laptopa, schował go do miękkiego skózanego futerału i zasunął zamek. Pracował nad programem własnego pomysłu, który - po wprowadzeniu pozycji GPS, odległości, szybkości i wysokości - obliczał zmęczenie metalu w samolotach. Program niedługo będzie gotowy, ale rektor zamierzał zatrzymać go dla siebie.

Będzie go używał do konserwacji swojego beechcrafta.

Napił się mrożonej herbaty i rozparł się w obrotowym krześle. Cenił sobie takie chwile wytchnienia w zabieganym zwykle życiu. Siedział w miejscu, z którego - jeśli tylko lekko obrócił głowę - miał przez otwarte przeszklone drzwi wspaniały widok na zielone, wypielegnowane tereny Waycliffe.

Składające się z chłopców i dziewcząt dziecięce drużyny lacrosse ćwiczyły na rozległym trawniku. Uczyły się w Woodrow Wilson School i w Pierre Laclede Academy; obie szkoły znajdowały się w miastach leżących w odległości kilku godzin jazdy autobusem i obie wykorzystywały tereny Waycliffe College na treningi i rozgrywki w tak zwanej lidze G3. Mali gracze nie byli tak zręczni i wyszkoleni jak starsi sportowcy z Waycliffe, ale rektor i tak obserwował ich z przyjemnością. Niektórzy w przyszłości będą tu studiować.

- Widzę tam kilka prawdziwych talentów - powiedział profesor Wayne Tangler, wykładowca literatury porównawczej, ten, który dzięki swojej szczupłości, smukłej sylwetce, krzaczastemu wąsowi i szarookiemu spojrzeniu wyglądał jak rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Choć nigdy nie siedział na koniu i nie strzelał z broni palnej.

- To normalne - odrzekł rektor Schueller. Podniósł lornetkę i popatrzył przez nią na wysokiego chłopca w niebieskich szortach,

który lawirując, biegł przez trawnik. - Ale nigdy nie wiadomo, jak rozwiną się przez najbliższych kilka lat.

- To prawda. Potrzebują siły i mocnej budowy ciała - przytaknął Tangler. - Czasem można odgadnąć ich przyszły wygląd po rodzicach.

- Którym jednak nie bardzo chce się odwiedzać kampus.

- Przyjeżdżaliby częściej, gdyby wiedzieli, jak tu pięknie.

Był weekend, nie siedzieli więc w biurze rektora, ale w jego domu na skraju kampusu.

Był to piętrowy budynek z cegły, z portykiem u wejścia. Na tyłach znajdowała się otoczona ceglanym murkiem weranda; skręcała za róg domu, kończąc się w połowie zachodniej ściany.

Murek miał sześćdziesiąt jeden centymetrów wysokości i postawiony został ku ozdobie.

Gdzieniedzie obrastał go bluszcz, pnący się nawet do połowy ściany budynku. Z domu na werandę można było wyjść przez dwoje francuskich drzwi. Stały na niej meble ogrodowe: fotele z wyściełanymi siedzeniami i okrągły stół z przekrzywionym parasolem, zatkniętym w środku dla osłony przed słońcem.

Wnętrze domu było przestronne, a umeblowanie eklektyczne. Schueller wyeksponował pamiątki, które przywoził ze swoich dorocznych zamorskich podróży - kolekcje rzeźb z Grecji i Włoch, stół z Niemiec. Pod każdym przedmiotem, który mógł zarysować kosztowne drewno o charakterystycznej dla antyków spatynowanej powierzchni, znajdowała się prostokątna lub okrągła podkładka z miękkiej skóry. Wysokie mahoniowe regały na książki, stojące w gabinecie, w którym sączyli mrożoną herbatę, rektor przywiózł z Francji. Zajmowały całą jedną ścianę i połowę drugiej. Książki, których liczby nie powstydziałaby się biblioteka, poukładane były na półkach w każdy możliwy sposób. Całość

tworzyła przyjemną atmosferę akademickiego gniazdka - efekt, który Schueller i jego dekorator wewnątrz z pewnością zamierzyli. Na jednej ze ścian wisiał oprawiony wstępny szkic Maneta, przedstawiający spoczywającą na sofie nagą kobietę. Tangler wiedział, że szkic jest oryginałem. Na otwartym blacie antycznej ludowej sekretery z Francji, która wciąż zachowała oryginalny plamisty deseń, stał nowoczesny komputer stacjonarny. Kontrast między stuleciami. Tangler znał sprawność Schuellera w obsłudze komputera, wiedział też, że Schueller ma konto na Facebooku. Niesamowite, co na tym Facebooku można było znaleźć.

Albo kogo. Dawnych znajomych, nowych znajomych. Kobiety do wyboru, do koloru.

Tangler wstał i podszedł do otwartych francuskich drzwi. Stanął w nich i popatrzył, lecz nie na drużynę lacrosse i nie na trawniki, ale na lasek za domem. Pasma drzew, głównie dębów i twardych klonów, zapewniało osłonę przed oczyma patrzących od strony kampusu.

Między drzewami cykały świerszcze, czyniąc niemały rwetes. Tangler zadumał się, że może dom tak blisko lasu nie jest wcale rewelacyjnym pomysłem. Ze względów bezpieczeństwa.

- Policja zjawiała się i poszła sobie - powiedział - więc pewnie jeszcze wróci.

- Fakt - odparł Schueller. Pozwolił lornetce kołysać się swobodnie na zawieszonym na szyi skórzanym pasku, a sam sięgnął po fajkę z korzenia wrzośca, którą zwykł przy sobie nosić, choć nigdy jej nie zapalał. Wyjął wykonany z miękkiej skóry kapciuch z aromatyzowanym tytoniem, napełnił główkę fajki i ugniótł tytoń palcem wskazującym. Jak zwykle nie zapalił.

- Skłamał chórem o spotkaniu w twoim gabinecie w wieczór śmierci Macy Collins, a wciąż nie wiemy, kogo chronimy.

- Tym lepiej - powiedział Schueller. - Pomyślnie się ułożyło.

- Ale zdarzyło się więcej podobnych morderstw. Jeśli policja wróci zadawać pytania, znów będziemy musieli kłamać. Zostaliśmy współnikami w zbrodni.

- Nie, jeśli kłamstwo się nie wyda. A nie wyda się, jeśli będziemy trzymać się swojej wersji. Pamiętaj, że jest jeszcze coś, co chcemy ukryć przed policją.

- Jezu, Linden! Wygląda, jakbyśmy chronili seryjnego mordercę. Prawdopodobnie chronimy seryjnego mordercę.

- Szczerze w to wątpię. Wiem tylko, że chronimy siebie nawzajem. Zresztą nie mamy wyboru. Za daleko zabrnęliśmy, żeby teraz powiedzieć prawdę.

- Popęlnienie przestępstwa, żeby się wzbogacić, to jedno. Morderstwo to coś zupełnie innego.

- Święte słowa - odparł rektor. - Na morderstwie nie zawsze można się wzbogacić.

Tangler wpatrzył się w Schuellera swymi zimnymi szarymi oczyma, ale rektor nie ugiął się pod tym spojrzeniem. Jest twardszy, niżby się zdawało, pomyślał Tangler. Miał jeszcze inne, w oczywisty sposób nasuwające się pytania, które chciał zadać Schuellerowi, ale wiedział, że tego nie robi. Czy to, że nie mamy teraz wyboru, zostało zaplanowane od początku? Czy ktoś kontroluje Schuellera tak, jak Schueller kontroluje swą krnąbrną kadrę akademicką?

Pytania bez odpowiedzi.

Czekaliśmy zbyt długo i skończyły nam się opcje. Teraz jedynym wyjściem jest zmowa milczenia.

Okoliczności zmieniły szemrane układy biznesowy w coś, w czym wszyscy ugrzęźli na amen.

- Ten dzieciak w niebieskich szortach naprawdę potrafi biegać. -

Schueller znów patrzył przez francuskie drzwi, choć nie w tym samym kierunku, co Tangler.

- Przydałby mu się trening - odparł Tangler.

- Jak im wszystkim.

- Rozważałeś kiedyś wprowadzenie innych dyscyplin sportowych?

- Tak. Ale w chwili obecnej nie zarobiłyby na sobie.

- Hmm... - mruknął Tangler, wracając tą samą drogą do gabinetu. - Miejmy nadzieję, że Niebieskie Szorty nie dozna kontuzji. Musiałyby się, nie daj Boże, uczyć na studiach.

- Jeśli trafi do nas - powiedział Schueller - właśnie tym będzie się musiał zajmować.

Nauką.

Przez francuskie drzwi rektor widział dwie wiewiórki, ścigające się wokół pnia ku koronie wysokiego drzewa. Żadna nawet na chwilę nie znajdowała się w pozycji, z której mogłaby dostrzec drugą, a jednak obie doskonale wiedziały, gdzie która jest.

Z niejasnych przyczyn przywiodło to rektorowi na myśl tego glinę, Quinna.

Sobota latem, upalna, nasycona ciężką wilgocią, bujna zielenią. W granicach Waycliffe College mało kto poruszał się energicznie. Włącznie ze zwierzętami. Właśnie na to Jody liczyła: że dziś kampus będzie prawie wyludniony. Działo to na jej korzyść.

Zostawiła wynajęty samochód na odległym krańcu jednego z parkingów dla gości, poza zasięgiem wzroku z większości miejsc na kampusie, wliczając budynek administracji.

Na parkingu stało kilka innych pojazdów; były to przeważnie samochody studentów, którzy z parkingu dla gości mieli bliżej do celu niż z parkingu studenckiego. Parking studencki był zdecydowanie bardziej zatłoczony.

Opuściła chłodne wnętrze samochodu i rozejrzała się. Widziała zaledwie kilka osób, i to w oddali; byli to chyba studenci w dzinsowych strojach.

Jody ruszyła w kierunku Sali Psychiczych. Szła szybko, ale nie na tyle szybko, żeby zwrócić na siebie uwagę nielicznych mijanych studentów. W budynku z zadowoleniem odkryła, że jedyne zajęcia odbywają się na piętrze. Na parterze chyba nikogo nie było.

Krocząc przez pusty hol, skierowała się do gabinetu profesor Elaine Pratt.

„Jeśli już robisz coś nielegalnego, rób to szybko”, poradził jej ktoś kiedyś.

Zbliżyła się do drzwi wiodących do biur i sprawdziła, czy gałka się obraca. Obracała się. Jody znalazła się w środku.

Stała teraz przed trojgiem następnych drzwi. Wybrała te do gabinetu profesor Pratt i przekręciła gałkę.

Obróciła się jednak tylko jej spocona ręka. Drzwi były zamknięte na klucz.

Jody była na to przygotowana. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej przeterminowaną kartę kredytową z zaostrzonym rogiem. Quinn opowiedział jej o tym sposobie i była mu wdzięczna za fachowość, gdy wsunęła kartę między zasuwkę a framugę, nacisnęła zasuwkę i drzwi się otworzyły. Od razu poczuła się lepiej. Jej najgorszym koszmarem było, że karta nie zadziała, tylko spadnie na drugą stronę drzwi, tam gdzie nie da się jej dosięgnąć.

Nie ma sensu dręczyć się czymś, co mogło się wydarzyć. Trzeba działać. Usłyszała to od kogoś na jakichś zajęciach.

Była w środku, gotowa do działania.

Przez okno wpadała wystarczająca ilość światła. Obejdzie się bez włączania lampy.

Pochylona, natychmiast zaczęła przeglądać papiery na biurku profesor Pratt. Potem zabrała się za szafki z dokumentami.

Rób to szybko...

Zdziwiła się, że minęła już godzina. Była też zawiedziona: nie udało jej się złamać szyfru, znaleźć najmniejszego śladu korespondencji na swój temat ani czegokolwiek innego, co odnosiłoby się do Endersa i Coila.

Natrafiła na prospekt emisyjny Meeding Holding Company, będącej chyba dla Meeding Properties firmą macierzystą.

I co? Elaine Pratt jest udziałowcem?

Co z tego? Jakże to może mieć znaczenie?

Przez blat biurka przesunął się rozmyty cień. Ktoś przechodził korytarzem?

Usłyszała, jak gdzieś niedaleko otwierają się i zamykają drzwi. Serce zabiło jej szybciej, do głowy uderzyło gorąco i poczuła nudności.

Trzaśnięcie kolejnych drzwi, tym razem bliżej. To były te wiodące do biur. Ktoś tu szedł.

W tym momencie Jody zdała sobie sprawę, że po wejściu do gabinetu profesor Pratt nie zablokowała zamka. Wycofała się w stronę ściany, w której znajdowały się drzwi ze swoimi matowymi szybami. Jeśli ktoś tu zajrzy, nie powinien jej zauważyć. A jeśli ktoś wejdzie, wtedy Jody... Właśnie, co wtedy?

Wmawiać bezczelnie, że czekam na umówione spotkanie z Elaine Pratt?

To nie przejdzie.

Wymyśl coś!

Wybiec jak oparzona z zasłoniętą twarzą, kiedy drzwi się otworzą? O niezidentyfikowanym włamywaczu wszyscy w końcu zapomną.

Jak o Mr. Cellophane z piosenki w musicalu „Chicago”.

Za matową szybą pojawiła się niewyraźna sylwetka.

Gałka w drzwiach obróciła się powoli.

Jody bała się, że zemdleje.

Wstrzymała oddech, wsłuchana w łopot swego przerażonego serca, przycisnęła się do ściany i znieruchomiała.

Gałka przekręciła się do końca, a drzwi uchyliły na jakieś piętnaście centymetrów. Do wnętrza gabinetu jak macka ciekawskiego morskiego stwora wsunęła się kobieca ręka, wymacała gałkę i obróciła do pozycji poziomej pokrętło aktywujące zamek. Domknęła drzwi i kilkakrotnie poruszyła gałką, aby upewnić się, że są zamknięte.

Jody schowała się za biurkiem Elaine Pratt. Prawie nie oddychała z obawy, że wyda choćby cichy dźwięk, który jednak zostanie usłyszany. Ktoś, kto robił obchód biur, uznał, że profesor Pratt zapomniała zamknąć drzwi, i zrobił to za nią.

Jody zmusiła się do odczekania dziesięciu minut, zanim się poruszyła. Wtedy, skoro i tak już była za biurkiem, zaczęła powoli otwierać i zamykać szuflady, sprawdzając ich zawartość. Znalazła coś cholernie interesującego.

W dolnej szufladzie znajdowała sięteczka ze starymi zdjęciami Daniela Danielle'a i artykułami prasowymi na jego temat, opisującymi, jak po zabiciu wielu kobiet został skazany za morderstwo i zginął podczas huraganu.

Może jednak nie było to aż tak interesujące. W końcu Daniel Danielle urósł do rangi symbolu seryjnego mordercy. Często o nim pisano. Profesora Pratt mogła po prostu badać zachowania socjopatyczne na potrzeby swoich zajęć. Omawiała ze studentami wiele makabrycznych przypadków - rzeczywistych i zmyślonych. Dyskusje na temat Milczenia owiec ciągnęły się prawie przez tydzień.

Jody zasunęła szufladę i poświęciła trochę czasu na upewnienie się, że wszystko w gabinecie wygląda jak w momencie jej wejścia.

Wzięła głęboki oddech, nakazała sobie zachowywać się tak, jakby miała święte prawo przebywać w budynku, po czym szybko i po cichu wyszła z gabinetu i wróciła do holu.

W holu była bezpieczna. Miała pewność, że nikt nie widział jej wejścia ani wyjścia z terenu biur, a szanse, że przed opuszczeniem budynku natknie się na kogoś znajomego, były minimalne. Była jednym z wielu anonimowych gości na kampusie.

Szła do wyjścia na drugim końcu sali, kiedy w przejściu do następnego holu mignęła jej jakaś postać.

Postać ta była zbyt daleko i szła zbyt szybko, żeby Jody miała pewność, ale zdawało jej się, że mogła to być Sarah Benham.

Na kłamce pokoju Olivii w hotelu Hamaker wciąż wisiała tabliczka z napisem „NIE PRZESZKADZAĆ”. Z zewnątrz

dobiegały odgłosy miasta - trąbienie klaksonów, warkot silników autobusów i ciężarówek, a także sporadyczne, wyciszone odległością pokrzykiwania. Gdzieś daleko swój stłumiony terkot rozpoczął młot pneumatyczny.

W pokoju jedynym dźwiękiem był głęboki i miarowy rytm oddechu Olivii. Jej piersi unosiły się i opadały. Miała na sobie przezroczystą różową koszulę nocną; jedno z jej kolan było uniesione.

Wyprostowała je.

Odgłos oddechu Olivii zaczął słabnąć; przebijał się przezeń cichy charkotliwy dźwięk.

Leżąc na plecach z głową wygodnie ułożoną na poduszce, Olivia uniosła dłoń i wykonała nią trzepoczący ruch, jakby opędzała się od czegoś uciążliwego.

Potem ręka opadła i w pokoju zapanowała cisza.

Gdy w poniedziałek rano Jody weszła do siedziby kancelarii Enders i Coil, przez przeszkloną ścianę sali konferencyjnej zobaczyła, że dzieje się coś poważnego. Coil siedział przy długim wypolerowanym stole, a Enders stał, mówił i gestykułował.

Po drugiej stronie stołu siedziało trzech mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy w oficjalnych strojach. Jody rozpoznała głównego prawnika Meeding Properties. Nie przypominała sobie pozostałych mężczyzn i kobiet. Zauważyła, jak jedna z kobiet sięgnęła po stojącą przed nią szklanę z wodą i upiła odrobinę, najwyraźniej średnio zainteresowana tym, co Enders miał do powiedzenia.

Dollie Baker, czterdziestopięcioletnia recepcjonistka bez studiów prawniczych, podniosła wzrok znad piłowanego właśnie paznokcia i zobaczyła, że Jody zapuszcza żurawia do sali konferencyjnej.

- Ważne sprawy - powiedziała.

Już w pierwszym tygodniu swojej pracy Jody sklasyfikowała Dollie jako plotkarę z językiem stanowczo za długim jak na kancelarię prawniczą, a w dodatku lubiącą zarzucać przynętę.

Wiedząc o tym, i tak połknęła haczyk.

- W jakim sensie ważne?

- Rozważają, czy wyburzyć dom Dash, korzystając z jej pobytu w szpitalu.

- Dyskutują nad tym od wielu dni.

- Ale Dash jutro wychodzi i wraca do domu, o ile jeszcze będzie miała dom.

Wyjaśniało to bijące od Endersa nerwowe zniecierpliwienie.

Prawdopodobnie przekonywał, żeby napuścić przypominające dinozaury maszyny na budynek, dopóki jeszcze jest pusty. Jody od jakiegoś czasu w ten właśnie sposób myślała o zburzeniu bloku: jak o ataku prehistorycznych bestii o żelaznych szczękach, rodem z pełnego efektów specjalnych filmu science fiction.

- Zrobienie z Mildred Dash bezdomnej kaleki wywoła taki atak prasy, że gra chyba nie jest warta świeczki - powiedziała Jody.

- Im to powiedz.

- Ha! W każdym razie myślałam, że decyzja już zapadła. Co się zmieniło?

- Stanowisko firmy deweloperskiej. Wolę trafić do mediów jako czarne charaktery, bo naprawa zszarganej reputacji mniej ich będzie kosztowała niż dalsze opóźnienia w realizacji projektu.

- Przecież nie chodzi tu tylko o...

Dollie uśmiechnęła się i podniosła rękę, przerywając Jody.

- Rozumiem cię, Jody. Tyle że tak naprawdę i im, i nam chodzi tylko o pieniądze.

- Pozostaje jeszcze kwestia kwestia dobra i zła - powiedziała Jody.

- Nie słyszysz, jak dziwnie zabrzmiało to w tym miejscu? - Dollie się uśmiechnęła.

Jody słyszała. Można było odnieść wrażenie, że puszyste dywany i ciężkie kotary wchłonęły jej słowa i odebrały im znaczenie.

Uśmiech Dollie był teraz pocieszający.

- Pamiętaj, dziecko, że to kancelaria prawnicza.

Jody pamiętała. Przez chwilę obserwowała bezgłośnie, burzliwą dyskusję w sali konferencyjnej.

- O czym myślisz, Jody?

- O niczym.

Zastanawiała się, jak zmieni się stanowisko firmy deweloperskiej, jeśli w problematycznym bloku zamieszka ktoś inny niż Mildred Dash.

Weaver wkroczyła do biura Harleya Renza i położyła na jego biurku wyściełaną żółtą kopertę.

Renz sięgnął po nią - ostrożnie, jakby bał się, że go ugryzie - i wyciągnął owalny przedmiot z plastiku, zakończony metalową zatyczką.

- Wiesz, co przyniosłam? - spytała Weaver.

- Pendrive'y do komputera.

- Brawo. Jak któryś z nich włożysz do portu USB, możesz przenosić dane w jedną lub w drugą stronę - Przecież wiem! Nie jestem komputerowym luddystą, cokolwiek by to znaczyło. Skąd je wzięłaś?

Weaver pomyślała, że pytanie jest nieco dziwne, ponieważ to Renz we własnej osobie zasugerował - nie wprost, rzecz jasna - że powinna odwiedzić mieszkanie doktor Grace Moore i poszukać więcej informacji o pacjentach, niż zawierała dokumentacja w gabinecie.

Kto wie, jakie tajemnice mogły kryć te nośniki? Renz żył gromadzeniem informacji, a nikt nie potrafił przetrząsnąć mieszkania lepiej niż Weaver.

Była też na tyle mądra, żeby nie odpowiadać na pytanie wprost.

- Weszłam w ich posiadanie ubiegłej nocy.

Renz niepewnie zerknął na nią zza biurka. Weaver zauważyła, że miał przekrwione oczy, a policzki bardziej obwisłe niż zwykle. Jakby tego ranka jego skóra silniej odczuwała przyciąganie ziemskie.

- Masz coś na Tennysona? - spytał.

Starał się rzucić pytanie niedbale, ale przestrzeń między nimi

naelektryzowała się tak, że Weaver przeszły ciarki.

Mogła powiedzieć, że nie zajmowała się Tennysonem, bo Renz kazał jej poszukać okazji do poszperania w mieszkaniu Moore, a nie potrafiła się przecież rozdziwić. Zamiast tego odparła po prostu:
- Nie.

Coś tu było bardzo, bardzo nie tak. Trzeba działać delikatnie.

- Wszystko w porządku, Harl... Panie komisarzu?

Renz odchylił się na oparcie, jakby pytanie wymagało przemyślenia.

- Tak, raczej tak. - Wyprostował się i zaczął przekładać papiery na biurku. Karykatura zapracowanego urzędnika wyższego szczebla. - Mamy podwójne zabójstwo w West Village, ostrzelany ambulans na Broadwayu, zagranicznego dygnitarza aresztowanego za rozróbę w knajpie, dziewczynę do towarzystwa, którą znaleziono martwą z przedawkowania w pokoju hotelowym w Midtown... Rutyna.

Dziewczyna do towarzystwa?

W głosie Weaver słychać było sam spokój.

- Wiadomo, jak nazywała się ta dziewczyna?

Renz udął, że szuka odpowiedzi w chaosie dokumentów.

- Olivia jakaś tam...

Waever nie okazywała emocji. Musiała rozegrać to ostrożnie, a reguły gry poznawała na bieżąco.

- Możliwe zabójstwo?

- Raczej nie. - Wypróbował na niej smutne i zarazem zagniewane spojrzenie, potem wzruszył ramionami. - Ale czy można to wiedzieć na pewno?

- Cóż... Przykro mi - powiedziała Weaver.

Nieoczekiwanie Renz szatańsko się do niej uśmiechnął.

- A to dlaczego? Chcesz może tę sprawę?

Wbrew sobie odwzajemniła uśmiech. Gdy już zaprzedało się duszę diabłu, można znaleźć wiele powodów do uśmiechu.

- Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, chciałabym pozostać przy obecnym zadaniu.

Pilnowanie Quinna i jego bandy.

- Nie spuszczaaj ich z oka - powiedział Renz. - Żadnego z nich. Są śliscy jak cholera.

- Tego nie wiem - odparła Weaver.

To nie „śliskość” Quinna i jego pracowników ją martwiła. W każdym razie nie w tej chwili. W jej głowie kłębiły się inne pytania. Czy szczywany lis Tennyson zorientował się, że jest śledzony, i zabił Olivię, żeby wina spadła na Weaver? W sposób sugerujący, że Weaver zabiła Olivię, aby oddać przysługę Renzowi?

Weaver miała alibi, cholera, nie do obalenia: nielegalnie przeszukiwała mieszkanie doktor Moore. Ubaw dla sędziego i ławy przysięgłych.

A może Harry Primo podejrzewał, że Olivia kabluje, i zabił ją, bo stała się zagrożeniem dla jego interesów? Czy Tennyson myślał, że to Weaver zabiła Olivię? Czy Renz ją podejrzewał? Może jednak Olivia po prostu przedawkowała heroinę i sama sprowadziła na siebie śmierć, pozostawiając pozostałym graczom rozstrzygnięcie, co naprawdę się wydarzyło.

Mnóstwo pytań, których nikt nie chciał zadawać, a co dopiero na nie odpowiadać.

Jedna odpowiedź mogła prowadzić do drugiej, a następna do totalnej katastrofy. Równowagę trzeba utrzymywać.

Wyglądało na to, że ich trójka - Renz, Tennyson i Weaver - została na wieczność spleciona w tym groteskowym tańcu. Tak to działało: połączyły ich więzy silniejsze od rodzinnych.

Boże, jak trudno czasami być skorumpowanym!

Renz udawał, że pochłoniął go nawał dokumentów na biurku, więc Weaver wyszła.

Zostawiając zawieszony w powietrzu niedopowiedzenia.

Kolację jedli w domu z czerwono-brązowego piaskowca.

Tego wieczoru Pearl jako kucharka przeszła samą siebie. Po drodze zajrzała do dwóch sklepów spożywczych, żeby kupić gotowe do podgrzania warzywa, które doskonale pasowały do faszerowanych kotletów wieprzowych, dostarczonych z odległej o sześć przecznic restauracji.

- Pychota - ogłosił Quinn, zastanawiając się, czy zjadł właśnie najbardziej domowy posiłek, jaki kiedykolwiek Pearl mu poda. Odsunął talerz na znak, że już skończył.

- Lepsze niż znośne - oznajmiła Jody.

- To kwestia wyczucia czasu - powiedziała Pearl.

- Co to znaczy, mamó?

- Tajemnica dobrego kucharza to wyczucie czasu. Wszystko musi być przygotowane i podgrzane jednocześnie.

Quinn i Jody wymienili spojrzenia. Żadne nie wiedziało, czy Pearl mówi poważnie, zachowali więc kamienne oblicza.

Pearl przyniosła deser: lody waniliowe i kawę. Lody pochodziły od D'Agostino.

Quinn pierwszy raz słyszał o takiej marce, ale mu smakowało. Kawa w smaku nie różniła się od tej, którą Pearl przyrządzała w pracy. Lody jedli polane syropem czekoladowym i posypane płatkami orzechowymi.

Okazały się tak dobre, że nikt się nie odzywał, dopóki nie zniknęły. Błogo nasyceni, w milczeniu sączyli kawę. Scenka rodzinna, której Rockwell^[6] już nie namaluje. Quinn przypomniał sobie swoje pierwsze małżeństwo z May. Ich córka Lauri była

wtedy młodą dziewczyną i mieszkała w domu. Wspomnienie, o dziwo, nie obudziło w nim melancholii.

To, czym wspólne życie darzyło jego, Pearl i Jody, było wystarczająco dobre. Quinn traktował to jak nieoczekiwaną premię i zastanawiał się, czy one czują podobnie. Był niemal pewien, że Jody tak, ale już nie tak pewien co do Pearl.

Jody osuszyła usta serwetką, którą potem zmięła i odłożyła na stół.

- Czy któreś z was słyszało o związkach Waycliffe College z Meeding Properties? - zapytała.

- Jakich konkretnie? - zainteresował się Quinn.

- Nie wiem. Słyszałam, jak nazwę uczelni wspomniano w firmie, i to w jakiś dziwny sposób. Sekretny, powiedziałabym.

- Jakieś prawnicze sprawy - zasugerował Quinn. - Słyszałem, że u was tym się zajmują.

Pearl posłała mu spojrzenie typu „bądź poważny!”.

Jody pokręciła głową, nie zauważając Quinnowego sarkazmu.

- Nie. Eee... Sprawdziłam i kancelaria nie ma w toku żadnych spraw związanych z uczelnią.

- Jak sprawdziłaś? - spytał Quinn.

- Nieważne.

- Aha. W porządku.

Nadszedł kotek Gaduś. Jody położyła tekturowy talerzyk z delikatesów na podłodze, żeby zwierzak mógł wylizać pozostałości po lodach.

- Po śmierci Macy Collins praktyki spadły mi jak z nieba. Może kryć się w tym jakaś tajemnica.

- Jesteś w programie dla wybitnie uzdolnionych studentów - przypomniała jej Pearl z mimowolnym odcieniem dumy w głosie. - To chyba naturalne, że przyjęto cię na praktyki.

- No tak. Może odniosłam mylne wrażenie. Tak jak co do Meeding Properties. Nie ma dnia, żeby ktoś o nich w firmie nie szeptał.

Quinn napił się kawy, przyglądając się Jody sponad laminowanej krawędzi kubka, która zaczęła się giąć od wysokiej temperatury.

- Szukasz powiązań kancelarii prawniczej z Meeding Properties i Waycliffe College?

- I z Sarah Benham.

- To ta, z którą czasem wychodzisz na lunch?

- Aha. Zaprzyjaźniłyśmy się. Jest przy okazji dawną klientką Endersa i Coila, choć drugorzędną. Sprawa z powództwa grupowego przeciwko funduszowi powierniczemu. Jedna z tych, na których zyskują wyłącznie prawnicy. W każdym razie, na pewno słyszałam, jak wymieniła moje imię w rozmowie z Jackiem Endersem.

- Podśłuchiwałaś! - obruszyła się Pearl.

- Byłam dziś w Waycliffe i wydaje mi się, że ją tam widziałam.

Pearl postawiła kubek ze swoją zaparzoną, wystudzoną, a potem podgrzaną kawą w miejscu, w którym obrus był już poplamiony.

- To opowiadaj, skąd się wzięłaś w Waycliffe.

- Przekopałam się przez wszystkie akta u Endersa i Coila. Ze względu na komplikacje w sprawie Mildred Dash.

- Komplikacje? - spytał Quinn.

- No. Na pewno czytałeś o tym w gazetach. Że Mildred Dash jest w śpiączce i że...

- Wiemy o tym - wtrąciła Pearl. - Miała wrócić do domu, ale została w szpitalu. Przez co Meeding Properties ma, powiedzmy, dylemat reputacyjny.

- Przeglądałam więc dokumenty w poszukiwaniu czegoś, co można by wykorzystać przeciwko nim.

- Przeciwko nim?

- Ściśle mówiąc, przeciwko ich klientowi.

- Na jedno wychodzi - wytknął Quinn.

- Szukałaś we własnej firmie śladów działalności, którą można by uznać za przestępczą? - upewniła się Pearl.

- Pewnie.

- Czy to nie jest działalnością przestępczą?

- Potrafiłabym udowodnić, że nie. Skoro jestem zatrudniona w firmie, powinnam chyba mieć dostęp do jej dokumentacji? Może i pogwałciłam jakieś niejasne zasady wewnątrzfirmowe - bo z wyraźnymi nikt mnie nie zapoznał - ale to nie znaczy, że złamałam prawo.

Pearl zagryzła dolną wargę, a Quinn usiłował powstrzymać się od uśmiechu.

- Nie zamierzam dyskutować z tobą na temat prawa - powiedziała Pearl. - Znalazłaś coś?

- Zaszyfowaną korespondencję mailową z kimś z Waycliffe.

- No, no - powiedział Quinn.

- Złamałaś szyfr? - spytała Pearl.

- Na tyle, żeby odczytać kilka razy powtarzające się słowo „klika”. A nadawcą i odbiorcą niektórych maili była moja profesor psychologii biznesu z Waycliffe Elaine Pratt.

Dlatego wynajęłam auto i pojechałam na uczelnię.

- Na mały włam - powiedziała Pearl.

- Ja tam studiuje! - przypomniała jej Jody.

- Dowiedziałaś się czegoś więcej na temat Meeding Properties i Mildred Dash? - spytał Quinn. - I klitki?

- Kliki - poprawiła Jody. - To taka nieformalna grupa, którą

łączą wspólne cele.

- Poznałaś te nieformalne cele?

- Nie. Ale Meeding ma problem. Zbliża się termin, w którym powinni skończyć wyburzanie. Jeśli się nie wyrobiją, stracą olbrzymią sumę pieniędzy. Mimo szyfru łatwo było się zorientować, że wiele maili dotyczyło właśnie kwestii Mildred Dash.

- Może uczelnia zainwestowała w Meeding Properties - powiedział Quinn.

- To czemu robią z tego taką tajemnicę?

- Bo ja wiem... PR?

- Ha! W portfelu inwestycyjnym uczelni są akcje koncernów tytoniowych, więc raczej nie wstydzą się Meeding. Chyba że w grę wchodzi morderstwo.

- Morderstwo?

- Możliwe. Przez ten szyfr trudno powiedzieć. Równie dobrze profesor Pratt mogła znaleźć nowy temat zajęć. Ma teczkę pełną wycinków gazetowych o jakichś dawnych zabójstwach. Na jej zajęciach cały czas dyskutujemy na takie tematy.

- Co to za zabójstwa? - zapytał Quinn.

- Jakiegoś Daniela.

- Daniela Danielle'a? Nazwisko jest żeńskim odpowiednikiem imienia?

Jody walnęła się w czoło z taką siłą, że zatańczyły jej rude włosy sprężynki.

- Oczywiście! Powinnam skojarzyć. Ale ten facet zginął jakieś dziesięć lat temu.

Quinn popatrzył na Pearl. Pearl popatrzyła na Quinna i na Jody. Zastanawiali się, czy to przypadek, że profesor Pratt przygotowuje na zajęcia prezentację o mordercy, który

najwyraźniej powrócił i podjął swoje dzieło w miejscu, w którym przerwała je dziesięć lat temu jego przypuszczalna śmierć. W sumie - Daniel Danielle znów trafił na pierwsze strony gazet. Oczywisty temat dla psychologa.

- Przypadki się zdarzają - powiedziała Jody. - Inaczej nie wymyślono by tego słowa.

- Co zamierzasz zrobić ze zdobytymi informacjami? - spytał Quinn.

- Chcę w jakiś sposób zapobiec wyburzeniu domu Mildred Dash.

- Chcesz przejąć inicjatywę, bo być może masz coś na Endersa i Coila?

- Możliwe.

- Nacisk?

- Kto wie?

- Wymuszenie?

- Przecież nic z tego nie mam.

- Szantaż?

- Za mocne słowo.

- A jakich słów ty byś użyła?

- Zapobieganie czynowi przestępczemu. Czy któreś z was coś o tym wie?

- Ja nie - zarzekła się Pearl.

- Żadne z nas - uzupełnił Quinn.

- Cieszę się.

Quinn i Pearl patrzyli na siebie. Oboje czuli się, jakby właśnie wypluł ich wirujący bęben pralki.

Jody uśmiechnęła się i wstała od stołu.

- Czy to nie moja kolej, żeby pomóc przy zmywaniu?

- Twoja kolej, żeby pozmywać - odpowiedziała Pearl.

- Tak jest! - Jody zaczęła zbierać papierowe tacki i plastikowe

sztućce dostarczone z restauracji i z delikatesów.

Zniknęła w kuchni, po drodze prawie potykając się o kota, wciąż zajętego lodami.

Pearl nie poruszyła się. Z poważną i zatroskaną miną patrzyła w stronę kuchni.

- Cóż, twoje dziecko - powiedział Quinn.

Pearl nie powinna następnego dnia iść za Jody. Ale zrobiła to.

Sprawy nawarstwiały się w sposób, który budził jej niepokój. Kim była ta Sarah Benham i na czym opierała się jej przyjaźń z Jody? Czy Jody może wpakować się w kłopoty, które rzucą cień na resztę jej życia? Pearl podejrzewała, że jej córka mogła narozrabiać w miejscu rozbiórki domu Mildred Dash. Ludzie czasem sądzili, że jeśli narobią wystarczająco dużo hałasu, problem rozwiąże się sam.

Dlaczego coś nie bardziej dokuczliwego niż ziarnko grochu pod materacem wywoływało u Jody takie niezadowolenie? Pearl pomyślała o ojcu swojej córki. Był, pomijając wszystko inne, zbyt łagodny. Jakby życie osładzała mu jego muzyka - bardziej, niż mogła osłodzić je Pearl. Muzyka zawsze zbyt go absorbowwała, żeby wdawał się w przeróżne kłopoty, które zdawały się przyciągać Jody. No to po kim, do cholery, Jody odziedziczyła...

Pearl wyparła z głowy to pytanie i skupiła się na swoim zajęciu. Na tym, czym powinna zajmować się każda oddana matka. Na pilnowaniu córki.

Idąca przed nią Jody przystanąła, żeby obejrzeć tandetną wystawę na straganie ulicznego sprzedawcy. T-shirty, czapeczki, paski, sztuczna biżuteria, srebrne i złote łańcuchy, okulary przeciwsłoneczne, przezroczyste daszki - jaskrawe towary zdawały się falować w podmuchach porannego wiatru. Choć pewnie było to tylko złudzenie.

Pearl przesunęła się pod drzwi kwiaciarni, wydostając się z ciasnego sznura przechodniów. Obserwując córkę, w zamyśleniu

przekładającą towary handlarza, podpowiadała jej w myślach: Może być. O nie, tylko nie to!

Wtrącająca się telepatycznie mamusia.

Jody coś kupiła - chyba jakąś drobną biżuterię - i poszła dalej.

Gdy Pearl ruszyła za nią, Jody zaczęła biec, żeby razem z grupą przechodniów przejść przez skrzyżowanie, zanim zmienią się światła.

O-o!

Pearl widziała, że też będzie musiała podbiec, może nawet przebiec drugim przejściem, i podążyć za Jody przeciwną stroną ulicy. O ile gęsty ruch uliczny na to pozwoli.

Gdyby nie rude włosy sprężynki, Jody całkiem zniknęłyby jej z widoku. Pearl uznała, że najlepiej będzie dobiec do przejścia, na które zdążyła Jody, z nadzieją znalezienia luki w strumieniu samochodów.

Wierzyła, że się uda, i już była przy krawężniku, gdy zza jej pleców nadpłynął olbrzymi cień. Zwolniła, obejrzała się i zobaczyła jeden z piętrowych autobusów dla turystów, który sygnalizował, że będzie skręcał w prawo.

Zwalniała coraz bardziej, żeby zrobić kolosowi miejsce.

Kiedy już prawie się zatrzymała, coś nacisnęło na jej krzyż i popchnęło ją do przodu.

Znalazła się przed maską skręcającego autobusu.

Odruchowo uniosła ręce i wsparła o maskę otwarte dłonie. Odepchnęła się od najeżdżającej na nią, buchającej zarem ściany metalu. Autobus jechał wolno, ale nie na tyle, żeby miała szansę uciec mu z drogi. Był tak blisko, że kierowca mógł jej w ogóle nie widzieć.

Dłonie ją paliły, nieruchome łokcie dygotały z napięcia, gdy szła do tyłu, usiłując zatrzymać autobus przed sobą.

Tylko się nie przewróć, tylko się nie przewróć, tylko się...

Jej manewr zadziałał, ale na krótko. Zaczęła się przewracać. Słyszała krzyki, słyszała syk hamulców pneumatycznych.

Ktoś lub coś mocnym uściskiem chwyciło ją za rękę i pociągnęło na bok i w tył, podczas gdy autobus zatrzymywał się z sykiem i piskiem.

Leżała skulona na chodniku, oddychając zapachem oleju i żaru, wdychając spaliny z rury wydechowej. Zauważyła, że jedną z opon autobusu dzieliły tylko centymetry od jej podkurczonej prawej nogi. Wokół gromadzili się ludzie, usiłowali pomóc, dotykali jej praktycznie wszędzie, żeby upewnić i ją, i siebie, że przeżyła, że wielki pojazd nie zabił jej ani nie okaleczył.

Pearl odsunęła ich i wstała z wysiłkiem, wspierając się o nieruchomy autobus.

Stała i rozglądała się, mrużąc oczy. Ktoś podarował jej kilka dodatkowych centymetrów chodnika, bez których by nie ocalała. Ktokolwiek złapał ją za ramię i odciągnął na bok, uratował jej życie.

Patrzyła na zakłopotane, milczące twarze, ale żadnej nie rozpoznawała.

Wtedy poczuła na ramieniu dotknięcie ręki i usłyszała znajomy głos.

- Nic ci nie jest?

Nancy Weaver, jej zbawczyni.

Morderca już dawno wypracował sobie sposób, jak poruszać się niemal biegiem na zatłoczonym chodniku, nie zwracając na siebie uwagi. Popchnął Pearl trochę mocniej, niż zamierzał, i prawie ją zabił. Nie chciał tego - była mu potrzebna żywa. Przynajmniej przez jakiś czas.

Na szczęście inna kobieta, wyjątkowo czujna, ocaliła Pearl

przed zmiążdżeniem pod kołami autobusu. Morderca uśmiechnął się. Taka śmierć nie była Pearl przeznaczona. On decydował o przeznaczeniu Pearl.

Ale przekazał Quinnowi - i Pearl oczywiście też - wiadomość, że nie znają dnia ani godziny. Żadne z nich. Wiedzieli już o tym, oczywiście. Wystarczy syk hamulców, pisk opon i TRZASK! - zupełnie inny świat.

Wiadomość była prostym przypomnieniem: To ja decyduję.

- Miałam wybór - mówiła później Weaver w siedzibie QUiZ. - Mogłam uratować Pearl i sprawdzić, czy nic jej nie jest, albo pobiec za tym, kto ją popchnął.

Pearl siedziała za swoim biurkiem, przytrzymując mokry ręcznik na kolanie, z którego zdarła skórę. W kolanie zostały okruchy asfaltu; piekło jak cholera. Stawała się przewrażliwiona, jak zdarza się czasem ofiarom wypadków samochodowych. Była wdzięczna za to, co zrobiła Weaver, ale w rozhuśtanych emocjach było miejsce również na gniew i upokorzenie.

Weaver musiała ją śledzić.

Wtedy pomyślała o tym, do czego o mały włos nie doszło, i jej złość przygasła.

Ktoś próbował mnie zabić!

Pozostali - Quinn, Fedderman, Sal i Harold - słuchali, przyglądając się obydwu kobietom.

- Nawet nie mignął ci ten gość? - swoją zgrzytliwą chrypką zapytał Sal. Od samego jej słuchania Pearl prawie rozboleło gardło.

- Za szybko się to stało - odpowiedziała. - I popchnął mnie od tyłu.

- Podejrzewam jednego z dwóch mężczyzn - powiedziała Weaver.

- Pamiętajcie, że skupiałam się na Pearl i na tym, co się z nią

dzieje, więc wszystko inne to tylko wrażenia.

Obaj możliwi sprawcy byli średniego wzrostu i normalnej budowy. Można powiedzieć, że zanim Pearl została popchnięta, wzięli ją w kleszcze, nie da się więc określić, który to zrobił.

- Sądysz, że działali razem?

- Nieee... Aż tak nie.

- Jak byli ubrani? - zapytał Quinn.

- Jeden w brązowy garnitur. Drugi chyba w dżinsy i w jasnoniebieską koszulę z krótkim rękawem. Obaj mieli brązowe włosy. W każdym razie ciemne. Żaden nie miał ogolonej głowy ani długiej brody, niczego w tym rodzaju. Przeciętne sylwetki, choć może bardziej szczupli.

- Nie najlepszy opis.

- Przepraszam. Ratowałam Pearl.

- Śledziłaś ją na polecenie Renza.

- Taka praca.

- Pytanie brzmi - odezwał się Fedderman - dlaczego morderca zasadził się na Pearl?

- O ile to był Daniel - powiedział Quinn.

- Na pewno. Nie istnieją aż takie zbiegi okoliczności.

- Odpowiedzią na pytanie Fedsa - powiedział Harold Mishkin - jest, moim zdaniem, Quinn. Dla Daniela to wszystko jest grą, a Quinn smokiem, którego trzeba pokonać na ostatnim poziomie. Dobierając się do Pearl, zatriumfował nad Quinnem i nie ma tu znaczenia, że Pearl przeżyła. Podniosło to tylko stawkę, o którą toczy się gra.

- A on lubi grać o wysokie stawki - dodała Pearl.

Sal przyglądał się Mishkinowi.

- Haroldzie, czasami mnie zdumiewasz.

- Zobaczymy, co powie na to Helen, jak się pojawi - odparł

Harold. Ale wszyscy wiedzieli, że Helen w mniejszym lub większym stopniu rozważała już tę opcję.

Weaver nalała sobie kubek kawy. Popijała ją, wracając do towarzystwa. Ręka trzymająca kubek zaczęła się trząść, ujęła go więc oburącz.

- Niewiele brakowało - powiedziała. - Nie zrobił tego na pokaz. - Odrobina kawy wylała jej się na rękę. - Myślałam, że dla ochrony posyłacie za Pearl własny ogon.

- Zdjąłem go - odrzekł Quinn - gdy stało się jasne, że chodzisz za nią dla Renza.

Weaver uśmiechnęła się załośnie.

- Mieliście o tym nie wiedzieć.

- Prędzej czy później wszyscy o wszystkim się dowiadują - skwitował Quinn.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Każde z nich rozmyślało, że w ostatecznym rozrachunku wszystko opierało się na tym kto, co, kiedy i za ile.

Tylko Quinn myślał o czymś innym. O tym, co spotkało Pearl. Tak blisko... Ale czy miało być tak blisko? To nie był nóż w ciemnym zaułku, powolne duszenie skrupowanej ofiary czy zmyślnie zadawany ból, który wywoła szok, a w efekcie śmierć. Morderca nie polował w taki sposób.

To była wiadomość.

- Teraz nic więcej nie wymyślimy - powiedział. - Spotkanie skończone.

- Jeszcze jedno - powiedziała Pearl, już całkowicie spokojna. - Dziękuję, Nancy.

Rzadkie jak na Pearl.

Wiadomość tekstowa, która przysłała na komórkę Pearl piętnaście minut później, była zwięzła i pochodziła od nieznanego

nadawcy:

Uff!

Następnego ranka, siedząc za biurkiem, Quinn zadzwonił na komórkę Jerry'ego Lida.

Lido odebrał po drugim sygnale i powiedział:

- Quinn.

- Wiem, kim jestem, Jerry. Piłeś?

- Quinn, jest rano!

- Zabrzmiało to, jakbyś się oburzył.

- Obudziłeś mnie, więc mogę trochę bełkotać. Ale nie jestem na lekach. Słyszałem o Pearl - jak się ma?

- Ma się... jak Pearl. - Quinn był na tyle mądry, żeby nie pytać, skąd Lido wiedział o przygodzie Pearl.

- To właśnie chciałem usłyszeć.

- Mam dla ciebie robotę - oznajmił Quinn. Opowiedział Jerry'emu o rozmowie z Jody, o Meeding Properties, Mildred Dash i o tajemnicy Waycliffe College, o pani profesor, która zbierała informacje na temat dawnych morderstw Daniela Danielle'a, oraz o tajemniczej i zanadto przyjacielskiej Sarah Benham. I o Macy Collins.

- Nie wspominając o późniejszych, niedawnych ofiarach Daniela.

- Nie wspominając. Daniel to znowu gorący temat. Jego przypadek studiuje się jak Dahmera czy Bundy'ego^[7].

- I chcesz, żebym znalazł o tym wszystkim, co się da?

- Właśnie - przytaknął Quinn. - Bo to wszystko jest w jakiś sposób powiązane. Lub może być. Jak fragmenty układanki, które uparcie nie chcą się złożyć w obrazek.

- Bo może jednego fragmentu brakuje.
- Albo kilku.
- Waycliffe College - zadumał się Lido. - Czekaj... nie mają tam drużyny lacrosse?
- Jedną z najlepszych w kraju.
- Serio?
- Niekoniecznie. Zapytaj Helen. Kocha uprawiać sport, więc pewnie chętnie pogada o lacrosse.

Lido wydał dźwięk nasuwający na myśl zwierzę wybudzające się z głębokiej hibernacji. Quinn założył, że to śmiech, ale pewności nie miał. Dlaczego ludzie obdarzeni genialnymi umysłami bywają tak ekscentryczni? Pearl patrzyła na niego z drugiego końca biura, jakby zastanawiała się nad tym samym. Była w stanie wyłapać z rozmowy najwyżej pojedyncze słowa, skąd zatem mogła wiedzieć, o czym Quinn myślał? Nie, nie miała pojęcia, czego dotyczyła jego konwersacja z Lidem.

Oczywiście powie jej po zakończeniu rozmowy. Powie też innym. Zdarzało mu się czasem doznawać przeczucia. Identycznego z tym, które rodziło się w nim właśnie teraz, gdy jakąś częścią umysłu wiedział, że śledztwo zbliża się do końca. Tak jak się wie, że radar namierza obiekt.

To przeczucie rzadko go myliło.

- Chodźcie no tu do mnie - polecił swojemu zespołowi po skończeniu rozmowy z Lidem.

Zrobili, jak kazał, dziwnie podekscytowani. Lekko wychyleni w przód, wpatrywali się w jego oczy. Ich zmysły maksymalnie się wyostrzyły. Wataha drapieżców, którzy wychwycili sygnał od przywódcy stada.

- Będzie to miało coś wspólnego z lacrosse? - zapytała Pearl.

Zajęta rutynową robotą u Endersa i Coila Jody usłyszała, jak jej komórka odgrywa melodię I Fought the Law. Otworzyła klapkę i zobaczyła, że dzwoni Sarah Benham.

Jody nie miała nic przeciwko temu. Może uda jej się wybadać, co Sarah robiła w Waycliffe w dniu, w którym Jody złożyła tam wizytę.

Ale Sarah nie miała w tym momencie czasu na rozmowę. Dzwoniła, żeby zaproponować wspólny lunch za godzinę, w ich ulubionej - a na pewno ulubionej przez Sarah - restauracji The Happy Noodle.

- Od jakiegoś czasu się nie widziałyśmy - mówiła Sarah. - No to pomyślałam, czemu nie dziś po południu?

- Jasne - powiedziała Jody. - Nadrobimy zaległości.

Uzgodniły porę, a Sarah telefonicznie zarezerwowała miejsce.

Sarah pierwsza zjawiała się w restauracji. Jody zobaczyła ją, stojącą między stolikami, przy których nie było wolnych miejsc. Machała do Jody ręką.

W jakiś sposób udało jej się zdobyć boks, gdzie mogły porozmawiać, zachowując minimum prywatności. Wymieniły pocałunki w powietrzu i usiadły.

- Zamówiłam dla nas jabłkowe martini - oznajmiła Sarah. - Nie masz nic przeciwko?

- Jak można mieć coś przeciwko jabłkowemu martini? - zdziwiła się Jody. - Przez ciebie stałam się jego fanatyczką.

Kelner przyniósł drinki. Powiedziały mu, że zanim złożą zamówienie, chcą przestudiować menu.

Sarah upiła ze swojej szklanki. Umalowała się, ale wyglądała dziś jakby trochę starzej.

Kiedy przechylała głowę w określony sposób i światło inaczej padało na jej twarz, pokazywały się zmarszczki.

- Co tam słyhać u Endersa i Coila?

Jody uśmiechnęła się smutno i zanurzyła usta w martini.

- Problemy w pracy? - spytała Sarah.

- Sama nie wiem - odpowiedziała Jody. - Mildred Dash ciągle jest w szpitalu. Kilka dni temu miała wrócić do domu, ale poczuła się gorzej i powstała kłopotliwa sytuacja. Nie ma chyba gazety, która nie napisałaby o jej reducie.

- Mildred jaka? Ach, ta kobieta, która nie chce opuścić mieszkania. Coś jej się stało?

- Śpiączka. A teraz prawdopodobnie atak serca. Spowodowany brutalnymi metodami zastraszania.

- Kto próbował ją zastraszyć?

- Zbiry opłacane przez Meeding Properties.

- Wiesz to na pewno?

- Nie. Ale to oczywiste.

Sarah obiema dłońmi obróciła na podkładce wilgotną szklankę.

- Możliwe, że masz rację, Jody, ale na twoim miejscu nie wspominałabym o tym nikomu z kancelarii.

- Nie sądzisz, że o tym wiedzą?

Sarah uśmiechnęła się.

- Sądzę, że nie chcą o tym wiedzieć.

- Sprawy, które się tam przemilcza, wydają się ważniejsze od tych, o których się mówi.

Sarah wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- Zdaje się, że celnie to ujęłaś. Są jednak rzeczy, o których nie powinno się wspominać. Pytania, których lepiej nie zadawać.

Jody nie była pewna, czy się z tym zgadza. Rozważała, czy zapytać Sarah, co robiła w weekend w Waycliffe College, chociaż mogło być to jedno z tych pytań, których lepiej nie zadawać. Podobnie jak: co na tyle sekretnego działo się w Waycliffe, że - jak się zdaje - wiedzieli o tym tylko wybrani członkowie kadry uniwersyteckiej? Otwierała usta, żeby się odezwać, kiedy nadszedł kelner.

Zamówiły, ledwie zerkając do menu. Jody sałatkę i wodę gazowaną, Sarah penne carbonara i kieliszek stołowego wina.

Gdy kelner odwrócił się i odszedł, Sarah powiedziała:

- Widziałam cię w sobotę w Waycliffe College.

Jody starała się ukryć zaskoczenie tym, że Sarah uprzedziła wypadki i sama poruszyła temat. Może jednak nie śledziła Jody do Waycliffe. Może Jody popadała w lekką paranoję.

Przysłuchiwanie się rozmowom Quinna i jej matki mogło człowieka do tego doprowadzić. A co najmniej zrobić z niego cynika.

- Wpadłam zabrać część moich rzeczy - powiedziała Jody. - Dlaczego do mnie nie podeszłaś? Mogłyśmy razem wrócić.

- Byłaś daleko - odparła Sarah. - Zresztą, nawet nie miałam pewności, czy to naprawdę ty.

- Co robiłaś w Waycliffe? - bez ogródek zapytała Jody.

- Pracuje tam moja wieloletnia przyjaciółka Elaine Pratt. Poznałyśmy się na studiach.

- Pani profesor Pratt?

- Wtedy nie była panią profesor.

- Czasem wydaje mi się, że znasz każdego.

Sarah zachichotała.

- Jeszcze kilka lat na tym świecie, Jody, i też będziesz miała grono przyjaciół i znajomych. Elaine z pewnością zdziwiłaby się, że

się przyjaźnimi. Choć nie powinna.

- Sześć stopni i tak dalej. Zabawa Kevina Bacona^[8].

Sarah skinęła głową.

- Genealogia filmowa. W ich małym wszechświecie jest łatwiejsza.

- I pomagają napisy końcowe.

Sarah pociągnęła długi łyk martini. Przyglądając się jej, Jody postanowiła nie ujawniać, że znalazła adres mailowy Elaine Pratt i zakodowane wiadomości w korespondencji Endersa i Coila.

- Co zamierzasz z tym zrobić, Jody?

Jody w pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi.

- Mówię o Mildred Dash - wyjaśniła Sarah.

Jody odchyliła się na oparcie i złożyła dłonie.

- Jeszcze nie jestem pewna.

- Mam pewną sugestię.

- Jaką?

- Nie rób nic. To czasem najlepsze wyjście.

- Ale nie leży to chyba w moim charakterze.

Sarah roześmiała się, sięgnęła przez stół i dotknęła przedramienia Jody.

- To na pewno nie leży w twoim charakterze. Dlatego boję się, że wpakujesz się w coś, co ci się nie spodoba. Ciągłe jesteś nowa w tym środowisku. W miejscach takich jak Enders i Coil wiele rzeczy rozgrywa się pod powierzchnią. Sprawy nie zawsze mają się tak, jak by się wydawało. To, co oczywiste, nie zawsze jest istotą rzeczy.

- Świadome wprowadzanie w błąd - powiedziała Jody. - Naginanie prawdy.

Sarah pochyliła się ku niej.

- Prawda, Jody, to cholernie śliska rzecz. Na różne sposoby

można ją interpretować.

Czasem jest bliżej, niż sądzisz, ale wolisz jej nie widzieć. Czasem jest dalej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić, a mimo to kurczowo trzymasz się czegoś, co prawdą jest tylko z pozoru.

- Trudno się z tym spierać.

- Istnieje rzeczywistość i istnieją emocje. Niedobrze jedno z drugim pomylić. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale czasem trzeba zignorować to, co podpowiada serce, i pójść za głosem rozumu. Na przykład małe kłamstwo może zapobiec większemu, bardziej szkodliwemu kłamstwu. Łatwo się to mówi, ale tylko kilka wybranych osób naprawdę to rozumie.

- Cel uświęcający środki.

- Oczywiście. Nawet jeśli wiąże się to z postępowaniem wbrew intuicji. Czy raczej: wbrew wyuczonym reakcjom, które uważasz za intuicję. Wszędzie je widać, Jody, rozejrzyj się. Ale świat napędzają chwile, w których o nich zapominasz.

- Pewnie tak.

- Daj sobie więc spokój z Mildred Dash. Obserwuj tylko uważnie i ucz się. Nie pożałujesz.

- Może masz rację. Twoje rady przeważnie wychodzą mi na dobre.

Wrócił kelner z ich zamówieniami i z wyćwiczoną precyzją umieścił na stole talerze i szkło, a także wiklinowy koszyk z cudownie pachnącymi gorącymi bułeczkami.

Sarah posmakowała wina, po czym uniosła kieliszek w toaście.

- Za środki i cele.

Jody stuknęła się z nią swoim martini. Nie bardzo wiedziała, za co wznosi toast.

Z wiekiem człowiek powinien stawać się coraz mądrzejszy, ale u niej wyglądało na to, że świat raczej robi się coraz bardziej

skomplikowany.

- Oczywiście, czasem można ugrzęznąć w kłamstwie na dobre.
- Jak to? - zdziwiła się Jody.

Sarah uśmiechnęła się.

- Pozwolę ci to rozgryźć samodzielnie.

Rektor Schueller stanął na werandzie z czerwonej cegły na tyłach domu i przez okulary przeciwsłoneczne popatrzył w bezchmurne niebo. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział cały kampus i odległy zielony dywan, który tworzyły wierzchołki drzew, ale trawiastego pasa startowego dostrzec nie mógł. Daleko, na wysokim słupie, wisiał wskaźnik kierunku wiatru, zwiotczały w nieruchomym i wilgotnym letnim powietrzu. Nic poza nim nie wskazywało, że w ogóle jest tam jakiś pas.

Dwa bliźniacze silniki napędzające śmigła jego samolotu z warkotem przebudziły się do życia; ich dźwięk ustabilizował się szybko, przechodząc w miękkie terkotanie. Rektor wiedział, że samolot zaraz zacznie kołować w kierunku końca pasa.

Za sterami siedział Hal Kelly, pilot, z którego usług rektorowi zdarzało się korzystać, gdy sam nie miał czasu lecieć. Odwoził do Pittsburga wykładowcę, specjalistę w dziedzinie sztuki prekolumbijskiej. Schueller pomyślał, że miło by było samemu polecieć tym samolotem - oddalać się od kłamstw i problemów.

Nikogo z kadry uniwersyteckiej Waycliffe policja nie traktowała jak podejrzanego o zabójstwo Macy Collins ani o inne, późniejsze zabójstwa, co nie zmieniało faktu, że rektor i kilkoro jego wykładowców winnych było współudziału w zbrodni milczenia. Skłamali policji o miejscu swojego pobytu i być może o miejscu pobytu mordercy. Zdawali sobie sprawę, że ich dalsze kłamstwa - już mniejsze - także mogły kryć zabójcę. Teraz już nic nie było w stanie im pomóc ani zapobiec popadaniu w coraz większe i większe potencjalne kłopoty. Skazało ich własne milczenie. Po śmierci

Macy Collins każde następne zabójstwo mocniej zaciskało im pętlę wokół szyi.

Zacząć mówić z takim opóźnieniem? Skierować policję na trop, który - jak wiedzieli - był niewłaściwy? Nikt by na tym nie skorzystał, a wielu mogłoby ucierpieć.

Zatrzasnęli się wewnątrz jednej zamkniętej kliki - czy im się to podobało, czy nie.

Żadne z nich nie mogło zeznawać w sprawie morderstw, nie pogarszając sytuacji.

Po kilku minutach warkot samolotu stał się o wiele głośniejszy, aby za chwilę znów przycichnąć. Schueller zobaczył, jak mały dwusilnikowy beechcraft wzlatuje ponad drzewa, kierując się na północ.

Wznoszący się samolot z gracją wykonał wydłużony skręt, jakby pilot zamierzał rozpocząć okrążanie Słońca, i, nadal wzlatując, zniknął na wschodzie. Ucichł odległy warkot silników.

Rektor znów pożałował, że nie ma go na pokładzie.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i odwrócił się ku wiodącym do domu francuskim drzwiom. Gdy wsuwał okulary do futerału z miękkiej skóry i chował go do kieszeni na piersi, zauważył, że szkła mają różowy odcień. Albo odbijają się w nich padające na cegły promienie słońca.

Różowe okulary. Żartobliwa wiadomość od Pana Boga?

Rektor uśmiechnął się. Kto wie?

Nie pomyślał, że wiadomość mogła pochodzić od kogoś zupełnie innego.

Jerry Lido wydmuchał nos w białą chustkę, złożył ją i wepchnął do kieszeni.

- Jeśli w tym skromnym uniwersum tematów, które kazałeś mi zbadać, kryje się jakiś mroczny sekret, to ja go nie znalazłem.

Siedział w QUiZ za swoim stanowiskiem pracy na pół etatu, rozciągnięty i przechylony na bok w fotelu. Wyglądał, jakby lada chwila miał zsunąć się na podłogę. Włosy miał skołtunione, koszulkę tylko częściowo wsuniętą w spodnie, a buty ściągnął i siedział w samych skarpetkach. Jedna z nich była dziurawa. Pod oczami miał worki. Quinn doszedł do wniosku, że Lido zdążył się napić.

- Całą noc pracowałem - dodał Lido.

- Wyglądasz, jakbyś cały tydzień pracował - odparł Quinn. Podszedł do ekspresu i nalał sobie kawy. - Chcesz? - zapytał Lida, pokazując mu parujący kubek.

- Z dziesięć albo dwanaście już wypilem. Zaczyna mi smakować jak krowie szczyny.

Quinn wrócił do stanowiska geniusza komputerowego i popatrzył na niego z góry.

- Co więc jest nie tak, Jerry?

- Tylko to, że Enders i Coil, tak jak Waycliffe, ma zabezpieczenia, jakich w życiu nie widziałem. Jest ich od cholery i są wyrafinowane. - Lido nieznacznie się uśmiechnął. - Skoro tak się chronią, musi tam coś być. Ale tyle już wiemy. „Coś” istnieje. Ślad na wodzie wskazuje, że gdzieś tam, w ciemnościach, płynie olbrzymi okręt.

- I ktoś z ekspercką wiedzą informatyczną uważa za bardzo ważne, żeby pozostał niewidzialny - powiedział Quinn. - Kto może mieć taką wiedzę?

- Ja. Nikt więcej nie przychodzi mi na myśl - odparł Lido. - I to najbardziej mnie niepokoi.

- Megaloman.

- Mam prawo do megalomanii. - Lido pociągnął nosem i przejechał pod nim rękawem.

Quinn napił się kawy, chociaż były w niej fusy pozostawione przez Lida. Oblepiły mu zęby.

- Myślisz, że ci sami ludzie włamali się do naszego systemu?

- Tak - rzekł Lido. - Fakt, trochę się przechwalam, ale niewiele. Największe kancelarie prawnicze i uczelnie mogą dysponować tak nowoczesnym sprzętem, że nawet ja połamię sobie na nim zęby, ale prawdą jest, że niewiele osób potrafi założyć osłony, których bym nie obszedł.

- I niewiele osób potrafi obejść osłony założone przez ciebie.

- Obaj wiemy, co to oznacza - podsumował Lido. - Wielki, wielki okręt.

Jody wiedziała, że nie powinna przychodzić do szpitala, ale po przeanalizowaniu wczorajszej rozmowy z Sarah i tak się na to zdecydowała. Prawdopodobnie nikt nie zwróci na nią specjalnej uwagi. Nawet jeśli ktoś na polecenie Meeding Properties miał Mildred Dash na oku i odwiedzał ją co jakiś czas, nie powinien zdziwić się tym, że w szpitalu pojawił się pracownik Endersa i Coila. Przynajmniej Jody chciała w to wierzyć.

Piętro i numer sali Mildred Dash podano jej w recepcji. Skierowała się do wind.

Tak jak w większości szpitali, temperatura była tu o kilka stopni za niska, żeby dobrze się w niej czuć. Drzwi pełnej ludzi windy otwierały się na każdym piętrze i do środka wdzierała się znajoma mieszanka szpitalnych woni. Pod zapachem sugerującym, że wszyscy tutaj żują gumę Juicy Fruit, krył się ostry odór budzący skojarzenia z lizolem. Jody usiłowała odeprzeć ten atak na powonienie, ale bez większego powodzenia. Zdecydowanie nie przepadała za szpitalami.

Gdy winda dotarła na kardiologię, gdzie leżała Mildred Dash, pozostały w niej cztery osoby. Jody jako jedyna wysiadła na tym

piętrze.

Stała twarzą do stanowiska pielęgniarek - prostokątnej przestrzeni wydzielonej przez drewnianą ladę recepcyjną. Wewnątrz tej przestrzeni mrowili się pracownicy szpitala w białych kitlach lub w bladoniebieskich uniformach pielęgniarskich. Dwójka lekarzy miała na sobie zielone fartuchy. Od strony Jody o ladę opierało się sześć osób. Na ladzie umieszczono komputery, których monitory skierowane były do wnętrza prostokąta, a oprócz nich telefony, długopisy i ołówki oraz stojaki z połyskliwymi i kolorowymi broszurami informacyjnymi.

Jody przyjrzała się znakowi ze strzałkami, informującemu o rozkładzie sal. Był na nim również numer sali Mildred Dash. Jody przyjaźnie skinęła głową uśmiechającej się pytająco pielęgniarence, po czym wyłożonym kafelkami korytarzem udała się w kierunku, który wskazywała strzałka.

Po lewej stronie znajdował się rząd szpitalnych sal. Drzwi do większości z nich były otwarte; ukazywały pacjentów w szpitalnej pościeli. Gdzieniedzie odrobinę prywatności zapewniały zaciągnięte zasłony. Kilka telewizorów grało z wyciszonym dźwiękiem. Po prawej wyłoniła się przestronna poczekalnia, w której stały fotele, sofy i dwa automaty z przekąskami oraz napojami. I w niej był duży telewizor, zamontowany pod sufitem i wyciszony. Właśnie transmitowano mecz baseballowy, ale Jody nie rozpoznawała barw klubowych drużyn.

W poczekalni znajdowało się ponad dwanaście osób. Połowa z nich siedziała. Reszta stała przy automatach lub po prostu się kręciła.

Zaskoczona Jody zgubiła krok.

Wśród tych, którzy się kręcili, zobaczyła znajomą sylwetkę w szarym garniturze w kredowe prążki, w białej koszuli i żółtym

jedwabnym krawacie.

Jack Enders.

Który patrzył prosto na Jody.

- A ty co tutaj robisz? - spytał Enders. Wyraźnie nie mógł zdecydować, czy powinien się uśmiechnąć, czy zmarszczyć brwi. Kilkoro obecnych w poczekalni przerwało swoje zajęcia i patrzyło na Jody. Wyczekująco.

- Przyszło mi do głowy, że mogę przysłużyć się firmie, jeśli zajrzę tutaj i porozmawiam z Mildred Dash.

- Przysłużyć się firmie?

Jody wzruszyła ramionami.

- Pewnie dziwnie to brzmi.

Enders wyglądał na zaskoczonego i lekko poirytowanego, jakby ktoś niespodziewanie klepnął go w ramię i uciekł. Nie wiedział jeszcze, co o tym myśleć.

- Dziwnie?! Na miłość boską, Jody! Jesteś praktykantką!

- Ale staram się wykazać inicjatywę, żeby zostać kimś więcej. Sądziłam, że między innymi o to chodzi na praktykach.

Jody z determinacją forsowała swoją bajeczkę, ale na Endersie chyba nie robiła ona wrażenia.

- Przede wszystkim - powiedział - i tak nie zobaczyłabyś się z Mildred Dash, bo ta część szpitala to oddział intensywnej opieki. Za poczekalnią prawie wszystko musi być sterylne. Nawet kwiatów nie wolno wносить.

- Próbowałam kupić jakieś na dole - zełgała Jody.

Enders odetchnął głęboko i potrząsnął głową. Co z taką Jody począć?

- To i tak nieistotne - powiedział. - Mildred Dash nie ma już na oddziale.

W Jody wezbrała nieśmiała nadzieja.

- Wypuścili ją?

- Została wypisana dwie godziny temu na żądanie rodziny i otoczona opieką hospicyjną. Nie wiedziałem o tym, kiedy, tak jak ty, przyszedłem ją odwiedzić.

Jody wiedziała, że Enders rewanzuje jej się bajeczką za bajeczkę. Przekrzywiła głowę i zmierzyła Endersa spojrzeniem.

- I?

Przybrał zasmucony wyraz twarzy.

- Dziesięć minut temu zadzwoniono do mnie z wiadomością, że zmarła wkrótce po powrocie do domu.

Renz polecił asystentce, żeby natychmiast wpuściła Jima Tennysona.

Wiadomość o śmierci Olivii ciężko zaważyła na przepracowanym sercu Renza, ale miał w tym swój udział także gniew.

Renz był w swoim stroju tajniaka i wyglądał jak uliczny diler narkotyków. Zapuścił dwudniowy zarost, miał nieuczesane i przetłuszczone włosy, a na sobie brudne dżinsy i czarny T-shirt. Do tego jeden z tych bezrękawników z niezliczoną liczbą kieszeni. Całość wyglądała, jakby przed chwilą nabył ją w sklepie organizacji charytatywnej. Renza nie zmyliła jego współczująca mina.

- Po tym, jak się dowiedziałem - zaczął Tennyson - pomyślałem, że zechce pan się ze mną zobaczyć.

- Od kogo się dowiedziałeś? - spytał Renz.

- Na ulicy wieści się rozchodzą. Zwłaszcza o kimś takim jak Olivia. Należała do stajni Harry'ego Primo. - Tennyson wzruszył ramionami pod swoim wielokieszeniowym bezrękawnikiem, jakby chciał powiedzieć: „Takie rzeczy się zdarzają”. Zblazowane podejście do kogoś, kogo... do czegoś, co było jego własnością, rozwścieczyło Renza.

- Jak sądzisz, dlaczego Primo kazał ją zabić?

- Jezu, nie powiedziałem, że w ogóle tak sędzę. Myśli pan, że ktoś kazał ją zabić?

- Została zabita. Obaj to wiemy - zauważył Renz.

- To oficjalne? Wiadomo, że chodzi o zabójstwo?

- Dobre pytanie.

Renz zastanowił się nad tym. Olivia sypiała z komisarzem policji, co było dla niej korzystne. W gruncie rzeczy korzystne było też dla Tennysona, który mógł szachować Renza posiadanymi informacjami i wpłynąć na komisarza, żeby ten pociągał za sznurki na korzyść tajniaka. Olivia - co Renz w końcu przyjął do wiadomości - coraz bardziej pogrążała się w heroinowym nałogu, przez co stała się gadatliwa i niegodna zaufania. Z każdym dniem stanowiła większe zagrożenie dla stabilności układu, jaki między nimi istniał, i Tennyson o tym wiedział. Wiedział o tym również Harry Primo, pracodawca Olivii. Nie wiedział tylko Renz. Miłość jest ślepa.

Olivia zmarła w sposób, który czynił posiadane przez Tennysona informacje potencjalnie bardziej niebezpiecznymi: łatwo mogły umieścić Renza na liście podejrzanych.

Oczywiście zabójstwo mógł też zlecić Primo, żeby ją uciszyć.

Renz wiedział, że nie zabił Olivii, więc niemal na pewno zrobił to któryś z tych dwóch mężczyzn. Albo, choć brzmiało to nieprawdopodobnie, jej przedawkowanie rzeczywiście było przypadkowe.

Renz siedział więc zagubiony, niepewny czegokolwiek.

Nie, jednego był pewien: dla każdego z trójki zainteresowanych korzystne było, żeby romans Renza i Olivii stał się przeszłością, tak jak stała się nią Olivia.

- Cholernie przykre, to co ją spotkało - powiedział Tennyson. Zachowywał się tak, jak gdyby był czysty i nie miał motywu, żeby zabić Olivię. Wkrótce zrozumie, że końcem tej gry mogła być tylko przegrana obydwu stron. Wtedy minie niebezpieczeństwo grożące Renzowi ze strony kobiety zmarłej w hotelowym pokoju.

Renz rozumiał, że śmierć Olivii nie może zostać wyjaśniona.

Musiał to rozumieć każdy zainteresowany. Oprócz zabójcy.

- Ta śmierć powinna trafić do akt jako przypadkowa - powiedział, patrząc Tennysonowi prosto w oczy.

- A nie była taka? Kobiety w zawodzie Olivii mają czasem dość tego interesu, a nie ma innego sposobu, żeby się z niego wykręcić. Dbają o to gnoje podobne do Harry'ego Primo.

- Święta prawda - zgodził się Renz. - A jak on to wszystko widzi?

- Ani tak, ani siak. Ma to gdzieś. Co roku traci taką Olivię albo dwie.

Renz stłumił falę podszytego żalem gniewu.

- Pewnie tak. - Pomyślał, że to niesamowite, jak można nagiąć prawdę i skorygować przeszłość.

- Tak sobie myślałem, że miło by było pracować jako oficer dochodzeniowy w cywilnym ubraniu - uśmiechnął się Tennyson. - Mam dosyć tych menelskich ciuchów i tęsknię za regularnym prysznicem. Choć, oczywiście, nikt nigdy nie jest zupełnie czysty.

- Nikt nigdy nie jest zupełnie bezpieczny.

- To nie do końca jedno i to samo.

- Zobaczę, co da się zrobić w sprawie tego cywilnego przydziału - powiedział Renz. - Może w Queens? Pełno tam spraw dla garniturowców.

- Byłoby super. Tutaj mogłaby mnie zastąpić Weaver. Ostatnio często ją widuję, i to bez munduru. Zupełnie jakby mnie śledziła. Mogłaby udawać dziwkę, to doskonała przykrywka jak dla niej. O ile przekona ją pan, żeby nie rznąła się z podejrzanymi.

- Jest to jakiś pomysł.

- Od początku na nią uważałem. Nic nie wie - ciągnął Tennyson.
- Zaręczam.

- Pociuszające.

- Dla nas wszystkich. - Tennyson zatknął kciuki za bezrękawnik

i skierował się do drzwi. Odwrócił się jeszcze przed wyjściem.

- Jeszcze raz składam kondolencje z powodu Olivii.

Renz siedział przez jakiś czas nieruchomo i myślał o Tennysonie. Jego sugestia dotycząca Weaver warta była rozważenia. Weaver pod przykrywką dziwki... Jak obsadzanie aktora w stworzonej dla niego roli.

Jedyne określenie, jakie Jody potrafiła znaleźć na to, co działo się w siedzibie Endersa i Coila, brzmiało „dyskretne świętowanie”.

Śmierć Mildred Dash rozwiązała wiele problemów.

Jack Enders trzymał w ręce szklankę z czymś, co wyglądało na szkocką z lodem.

Przechodząc obok Jody pochylił się i wyszeptał:

- Deus ex machina. - Wyszczerył zęby. - Wiesz, co to znaczy?

- „Nie musieliśmy jej zabijać” po łacinie?

Enders oddalił się, ciągle - na użytek Jody - pokazując zęby w uśmiechu.

Obok Jody stanął Joseph Coil i uśmiechnął się do niej promiennie.

- Wszystko w porządku? Wyglądasz trochę blado.

- Coś mi się w żołądku przewraca - odpowiedziała Jody.

- Pewnie z przejęcia. - Upił ze szklanki. Miał w niej chyba wodę.

- Posłuchaj, Jody.

Wiem, że szczególnie interesowałaś się tą sprawą. Że mocno współczułaś Mildred Dash.

Może trudno będzie ci w to uwierzyć, ale wszyscy czuliśmy to samo. A na pewno większość z nas.

- Ale prawo to prawo - powiedziała Jody.

Coil popatrzył na nią poważnie.

- Nie, Jody. Nieprawda.

Przecisnęła się między nimi recepcjonistka Dollie. Potrąciła Coila, który oblał ramię Jody. Dollie pomaszerowała dalej, nieświadoma zamieszania, które wywołała.

Coil osuszył ramię Jody serwetką, przez którą trzymał szklanekę.

- Naprawdę kiepsko wyglądasz - powiedział. - Może weźmiesz wolne do końca dnia?

Odpoczniesz, a jutro zaczniesz od nowa.

Jody uśmiechnęła się do niego i skinęła głową. Nie sposób było nie lubić Coila, choć był pospolitym zbirem.

- Chyba tak zrobię - odpowiedziała. - Dziękuję.

- Wybierz się wieczorem na przedstawienie - zasugerował Coil. - Zapomnisz o tym wszystkim.

- Może to i dobry pomysł. Na coś ze szczęśliwym zakończeniem.

- Zależy, jaki bilet kupisz. - Coil uniósł na pożegnanie szklanekę i odwrócił się plecami.

Innymi słowy: ode mnie zależy, jaka będzie moja przyszłość.

Wydawało jej się, że każde wypowiedziane w tym miejscu słowo można odczytać na co najmniej dwa sposoby. Jakby życie było rozprawą sądową, a wypowiedzi miały zostać przeanalizowane podczas apelacji, aby rykoszetem uderzyć w wypowiadającego. I nie ma zmiłuj, jeśli były zbyt szczere lub zbyt bezpośrednie.

Jody męczyły te subtelne tańce słowne, a także zachowywanie czujności i sprawności umysłu, jakich wymagały.

Czego oni mi nie mówią, do cholery?

Po opuszczeniu upiornej uroczystości prawników Jody nie poszła do teatru. Prosto od Endersa i Coila udała się na teren rozbiórki prowadzonej przez Meeding Properties.

W Meeding najwyraźniej byli przygotowani i nie tracili czasu. Dobytek Mildred Dash wyniesiono z mieszkania i złożono w magazynie, na wypadek gdyby o rzeczy upomniał się ewentualny spadkobierca. W miejscu domu Mildred znajdowała się już tylko spękana betonowa płyta.

Wyglądało na to, że firma deweloperska zabrała się do pracy kilka chwil po śmierci Mildred. Zależało im - niewątpliwie pod wpływem porady Endersa i Coila - żeby rzecz się dokonała, zanim wypłynie cokolwiek, co mogłoby spowodować kolejny przestój.

W obrębie kwartału ulic nie było już nic wyższego ponad metr. Żółte buldożery zagarniały ziemię i gruz, a ładunek zrzucały na platformy masywnych ciężarówek. Te trzęsły się i kołysały za każdym razem, gdy przy wtórze metalicznego szczęką lemieszki spycharek z impetem walił się na nie olbrzymi ciężar. Potem z donośnym rykiem wyrzucały z siebie chmury ciemnych spalin i odjeżdżały. Robotnicy w kaskach przystawali z boku, opierali się o łopaty i naradzali niczym mędracy, świadkujący jakiemuś doniosłemu wydarzeniu.

Tu mieli rację. Kres długiej, rozpaczliwej walki Mildred Dash, żółte molocho pochłaniające wszystko, o co walczyła - tak, to było posępne. Nieuczciwe, ostateczne i poniżające. Jak okiem sięgnąć rozciągało się błoto symbolizujące jej porażkę.

Do Jody podeszła nieduża przysadzista kobieta o twarzy krągłej i pomarszczonej jak usychające jabłko. Ubrana była w dżinsy, koszulkę i sportowe buty. W pierwszej chwili Jody założyła, że kobieta pracuje na budowie i jest zbyt lekkomyślna, żeby nosić kask. Jody jakby skądś znała jej twarz, ale nie mogła skojarzyć skąd.

- Poczekalnia szpitalna, dziś rano - powiedziała kobieta, widząc, że Jody szuka w pamięci. - Nie znamy się. Iva Dunn, bratanica Mildred Dash.

- Jody Jason.

- Wiem, kim pani jest - odrzekła Iva Dunn. - Wiem też, że bulwersowały panią próby wyrzucenia Mildred Dash z mieszkania.

- Moim zdaniem miała wszelkie prawo, żeby tu mieszkać. Albo

choć spowolnić proces eksmisji. Miałyby jakiś punkt nacisku.

- Spowolniła - powiedziała Iva, rzucając okiem na otwartą przestrzeń, gdzie niedawno stał apartamentowiec.

- Niewystarczająco - zauważyła Jody. - Niech pani tylko na nie popatrzy. Zachłanne potwory pożerające i przeszłość, i przyszłość.

- Widzę tylko maszyny - powiedziała Iva.

Jody pokręciła głową.

- Ja widzę klęskę.

- Tak właśnie myślałam. Dlatego podeszłam, gdy cię zauważyłam. Nie tylko żeby podziękować za twoje wysiłki, ale ponieważ naprawdę powinnaś uwierzyć, że Mildred Dash wygrała tę walkę.

Zbita z tropu Jody popatrzyła na nią, ale Iva chyba mówiła serio. Jakże mądre były słowa Josepha Coila, że prawda bywa skomplikowana!

- Jak to? Nie ma budynku, nie ma jej mieszkania. Powiedzmy sobie szczerze: deweloperowi się poszczęściło i Mildred umarła, a mogła tkwić tutaj tygodniami. Może miesiącami. Znikła potrzeba wyrzucenia jej z miejsca, w którym przeżyła ponad dwadzieścia lat, bo przecież alternatywą było tylko przerwanie wyburzania.

Iva znów obdarzyła ją wiedzącym uśmiechem.

- Mildred nawet przez chwilę nie zamierzała wstrzymać czy jakoś szczególnie opóźnić prac rozbiórkowych.

- Rozumiem. Ale mimo to...

- Mildred wiedziała, że zostało jej kilka tygodni życia, a skoro miała wkrótce umrzeć, chciała, żeby stało się to tutaj. Jej życzenie się spełniło. Uwierz mi, Jody, Mildred wygrała.

Jody ponownie skierowała wzrok na żółte buldożery spychające gruzy czyjegoś życia, gruzy tak wielu żywotów, które zabrał nie rozwój pewnej spółki, lecz czas. Znajomy, nieubłagany czas.

- Każde z nas toczy własne bitwy, Jody. Mówimy własne kłamstwa i znamy własne prawdy.

Jody pomyślała, że Iva wyraża się jak Joseph Coil.

- Skoro Mildred tak to widziała, to chyba rzeczywiście odniosła zwycięstwo - powiedziała, odwracając się.

Ale Ivy Dunn już nie było.

Jody stała przez jakiś czas, obserwując rozbiórkę.

Plastyczność...

Quinn siedział za biurkiem w siedzibie QUiZ i rozmyślał. Jaka tajemnica lub tajemnice mogą łączyć ze sobą Waycliffe College, Endersa i Coila oraz serię zabójstw młodych kobiet? Kobiet niekiedy uderzająco podobnych do Pearl?

Morderca, jeśli był naśladowcą, odrobił pracę domową. Odbywająca praktyki u Endersa i Coila Macy Collins mogła dowiedzieć się czegoś, czego nie powinna, i zapłaciła za to życiem. Metoda w tym szaleństwie była makabrycznym odbiciem metody Daniela Danielle'a. Może Macy była katalizatorem, który wywołał następne zabójstwa, na nowo rozbudzając żądzę krwi? Możliwe też, że mordercą był nie naśladowca, ale prawdziwy Daniel Danielle.

Wydawało się jednak mało prawdopodobne, żeby Daniel przeżył tornada, które rozpętał wtedy na Florydzie huragan Sophia.

Najprawdopodobniej skończył jako jedno z wielu niezidentyfikowanych ciał, które pozostawiły po sobie wichry, a naśladowca wiedział, że policja w trakcie śledztwa będzie musiała mieć na uwadze osobę Daniela Danielle'a.

Umysł Quinna próbował rozwikłać problem z każdej strony.

Jak ma się do tego Jody? W końcu studiowała w Waycliffe.

Bez wątpienia zadawała sobie to samo pytanie.

Jakie nici łączą ofiarę Daniela Danielle'a - lub naśladowcy - z Endersem i Coilem i z Waycliffe College? Quinn popadał w ponury nastrój. I może z córką Pearl, Jody?

Telefon rozjazgotał się tak nagle, że Quinn się wzdrygnął.

Istnieje jednak coś takiego, jak zbyt intensywne skupienie.

Ujął słuchawkę i przyłożył ją do ucha, sprawdzając jednocześnie na wyświetlaczu, kto dzwoni. Lido.

- Masz coś, Jerry?

- Coś, co wy powinniście mieć - odparł Lido. - Siedzę przy komputerze, robię rozgrzewkę przeglądarce, a ta pokazuje mi coś ciekawego. Coś, co wykopała dwójka dzieci, robiących sobie nielegalny biwak z ogniskiem.

- Z ogniskiem?

- No. Wykopali kilkudziesięciocentymetrowy dół, żeby rozpaść ognisko poniżej poziomu gruntu. Nie chcieli, żeby z daleka ktoś ich wypatrzył.

- Mądrze.

- Nie tym razem. Okazało się, że jest tam płytki grób. Trafili na zwłoki.

Quinn odchylił się, naciskając na oparcie fotela, któremu zaraz pozwolił wypchnąć się do przodu.

- Kiedy to miało miejsce?

- Zeszłej nocy. Dzieciaki miały pod ręką komórki i od razu zrobiły z nich użytek. Były śmiertelnie wystraszone. Biwak skończył się, zanim na dobre się zaczął.

- Zidentyfikowano ciało?

- Jeszcze nie. Kobieta, ponad dwadzieścia lat, średnia budowa, na niektórych kościach nacięcia. Chyba od noża, jakby była torturowana. Ciało wygięte do tyłu i skrępowane. W dziwnej pozycji ktoś ją pogrzebał.

- I w znajomej.

- Właśnie. Sznury nie przegniły do końca. Ani taśma użyta jako knebel.

- Przegniły sznury? Jak stare są te zwłoki?

- Zdaniem miejscowego patologa leżały tam jakieś dwadzieścia

pięć lat.

- Tam, czyli gdzie?

- Niedaleko Leighton w stanie Wisconsin.

- Bardzo daleko stąd. I bardzo dawno temu.

- Domyślają się nazwiska ofiary. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku zaginęła dziewczyna o nazwisku Sherri Klinger. Jej rodzina zdążyła się stamtąd wyprowadzić. Ojciec zmarł pięć lat temu, została tylko matka. Skontaktowali się z nią, ale nie dokopałem się jeszcze do szczegółów.

Quinn przez chwilę milczał, przetrawiając wieści.

- To niekoniecznie musi coś znaczyć - odezwał się.

- Fakt. Ale mam tu coś, co chciałbym ci przefaksować. Policyjny rysownik odtworzył, jak wyglądała jej twarz, kiedy było na niej ciało. Jest też kilka starych zdjęć Sherri Klinger.

Lido jeszcze mówił, gdy faks pod przeciwną ścianą biura zaczął klikać i buczeć.

- Idzie - powiedział Quinn. Obaj czekali w milczeniu.

Kiedy klikanie i buczenie ucichło i odezwał się sygnał zakończenia pracy, Quinn wstał i podszedł do urządzenia.

Wyjął z podajnika cztery arkusze papieru. Na pierwszym policyjny grafik wyobrażał sobie, jak kobieta mogła wyglądać za życia - z profilu i en face. Na pozostałych trzech kartkach widniały kopie starych gazetowych zdjęć Sherri Klinger.

Na każdym wyglądała jak Pearl.

Quinn wpatrywał się w nie przez kilka sekund, po czym z kartkami w dłoni wrócił do biurka.

- Pearl - powiedział.

- Nie ze wszystkim - odparł Lido - ale mogłyby być siostrami. W każdym razie: to pierwszy trup.

- Słucham?

- Pies do wyszukiwania zwłok znalazł drugie ciało, pogrzebane jakieś sześć metrów od grobu Sherri Klinger. Młoda kobieta, zabita w taki sam sposób. Jeszcze niezidentyfikowana.

- Będzie podobna do Pearl - mruknął Quinn.

Pod nosem mruknął coś jeszcze:

- Daniel Danielle.

Quinn dodzwonił się do rektora Schuellera w Waycliffe i zadał mu pytania, które wcześniej zadawał sobie.

Głos rektora wszedł na wyższy ton, jakby grawitacja nagle szarpnęła Schuellera w dół.

Z roztargnieniem powiedział:

- Nic mi nie wiadomo o tych, jak pan to nazwał, niciach. A profesor Pratt zbierająca materiały na temat będący obecnie na czasie... Proszę pana, to chyba łatwo zrozumieć.

A jednak zająknąłeś się, gdy o to zapytałem.

- Chyba tak - odrzekł Quinn.

Schueller w zamyśleniu powtarzał:

- Sprawa o wywłaszczenie... W Nowym Jorku... Czy ma to coś wspólnego z Waycliffe?

- Możliwe. - Quinn wyobrażał sobie Schuellera, młodzieńczego i energicznego, jak przystało na rektora wyższej uczelni, siedzącego za biurkiem, ssącego niezapaloną fajkę, ubranego w marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach i lżącego, aż się kurzyło.

Co mi zgrzyta w tym obrazku?

- Ach, tak! - zawołał Schueller. Czy tam, w Waycliffe, właśnie pstryknął palcami?

Starał się brzmieć przekonująco; Quinn wyczuwał to z łatwością, nawet przez telefon.

Schueller był przyzwyczajony do kłamania. Wyćwiczył się w tej sztuce i szło mu gładko, ale przed Quinnem zdradził go głos, który wchodził w nieco wyższe rejestry.

Quinn czekał.

- Przypomniało mi się - powiedział Schueller - że jeśli się nie mylę, część pieniędzy Waycliffe zainwestowana została w akcje Meeding Properties. Ale to samo można powiedzieć o funduszach wielu firm inwestycyjnych.

- Rozmawiamy o kancelarii prawniczej, która urządziła niedawno imprezę z okazji śmierci kobiety. A dlaczego? Dlatego że klient tej kancelarii mógł wreszcie przejąć nieruchomość po zmarłej.

- Zakładam, że chodzi panu o Endersa i Coila. Mamy długą wspólną historię.

Zatrudniają kilkoro absolwentów Waycliffe. Dwoje współpracowników i praktykantkę, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Raczej nie myli.

- Imprezy lubią nawet studenci o inteligencji pozwalającej na ukończenie Waycliffe - mówił Schueller.

Quinn uznał, że nie sposób z tym dyskutować.

- Odłóżmy na bok kancelarie prawnicze. Dlaczego nagle przyszło panu do głowy połączyć seryjnego mordercę z Waycliffe? - zapytał Schueller.

- Daleko mu do końca roboty.

- Dobry Boże! Skąd może pan to wiedzieć?

- Dwa podobne morderstwa popełniono w Wisconsin - odparł Quinn.

- Ostatnio?

- Jakies dwadzieścia pięć lat temu. Dwie młode kobiety, zakopane dość blisko siebie.

- Na pewno nie ma to nic wspólnego z tym, co się obecnie dzieje w Nowym Jorku.

- Z największą ostrożnością używam wyrażenia „na pewno”.

- Oczywiście. Ale co może łączyć zbrodnie dokonane lata temu w

Leighton, aż w stanie Wisconsin, z...

- Wspominałem, że w Leighton?

Schueller umilkł na ułamek sekundy. Gdy odezwał się ponownie, w jego głosie nie było cienia niepewności.

- Powiedział pan, niemal na pewno. Mogłem też zobaczyć lub usłyszeć to w wiadomościach i niechcący zapamiętać.

- Znów to „na pewno” - powiedział Quinn.

- Może rzeczywiście nadużywam tego wyrażenia. Jak wielu z nas - odparł Schueller.

- Myślę, że jak wszyscy - rzekł Quinn. - Słyszałem, jak oficerowie śledczy rozmawiają o tych sprawach w Wisconsin, i byłem pewien, że mówili coś o Waycliffe. A może było to jakieś słowo rymujące się z Waycliffe? Albo ktoś o nazwisku Waycliffe? Wychodzi na to, że nie chodziło im jednak o uczelnię. Zaspokoił pan moją ciekawość, rektorze.

- To dobrze. W jakiś sposób leżało to w naszym interesie.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

- Te zgony w Wisconsin... - powiedział Schueller. - Czy istnieje podejrzenie, że mogą być w jakiś... jakikolwiek sposób powiązane z Waycliffe College?

- Skąd to pytanie?

- Zwracam uwagę na wszystko, co dotyczy naszej młodzieży. Lub naszej wspaniałej tradycji. Z dumą muszę powiedzieć, że w historii uczelni jest niewiele skaz. Będę wdzięczny, jeśli potwierdzi pan moją wiarę, że nikt z Waycliffe nie jest zaangażowany w tę sprawę.

Quinn chciał go okłamać, ale doszedł do wniosku, że jeśli Schueller wie więcej, niż mówi, to może opłaci się trochę go nastraszyć.

- Zawsze staramy się dokładnie sprawdzić każdą opcję -

powiedział. - Jeszcze raz dziękuję za poświęcony mi czas.

Odłożył słuchawkę, nie dając Schuellerowi szansy na odpowiedź.

Rektor przez dłuższy czas siedział w milczeniu. Starał się znaleźć słowo rymujące się z „Waycliffe”.

Ukośne promienie słońca padające przez wysokie okna biblioteki imienia Alberta A.

Aala złościły regały z literaturą kryminalną w dziale beletrystyki. Rozgrzewały przy tym klej na grzbietach woluminów, a te wydzielały specyficzny zapach, z którym zetknąć się można było tylko w składnicach starych książek. Pani Culver go uwielbiała.

Taki poranek powinien znacząco poprawić jej samopoczucie. Ale nie poprawił.

- Amazon znów wydał oświadczenie, że sprzedaje więcej e-booków niż zwykłych, papierowych książek - powiedziała. Siedząc przed jednym z bibliotecznych komputerów ze smutkiem czytała wiadomości online, ale Penny uznała, że lepiej jej tego nie wytykać.

Zamiast tego powiedziała:

- Podobno kiedyś ludzie obawiali się, że książki zostaną wyparte przez gramofony. Że sławę będą zdobywali profesjonalni lektorzy, a nie pisarze, bo nikt nie będzie interesował się autorem napisanego tekstu bardziej, niż dziś interesujemy się autorami scenariuszy filmowych.

- Jest w tym jakaś logika - przyznała pani Culver.

- A jednak książki mają się nieźle.

Pani Culver nie raczyła podnieść na nią wzroku. Nie rozumiała, jak można jedno z drugim porównywać.

- Kwiatek do kozucha.

- Kwiatki i kozuchy też mają się nieźle - zauważyła Penny.

Otworzyły się i zamknęły jedne z bibliotecznych drzwi. Na listonosza za wcześnie, więc musiał to być czytelnik. Penny i pani Culver zwróciły głowy w stronę wejścia.

Zza regału z literaturą faktu wynurzył się wysoki, szczupły, choć z wydatnym brzuszkiem, ubrany w wymięty garnitur od Armaniego mężczyzna: Larry Fedderman, po którym widać było efekty upału panującego za ścianami względnie chłodnej i cichej biblioteki.

- Twój mąż - obojętnym głosem powiedziała pani Culver.

- Feds! - rozpromieniła się Penny.

Wtedy przypomniała sobie, że była na niego zła i jednocześnie martwiła się o niego, że trzyma się pracy, która mogła raptownie zakończyć jego życie i ich szczęście; że trzyma się poszukiwań mordercy. Z wysiłkiem przybrała wyraz twarzy, dający się określić jako niechętnie przyzwalający.

A tak naprawdę miała ochotę wpaść na strzelnicę i podziurawić kulami anonimową sylwetkę mężczyzny na papierowej tarczy.

Podchodząc, Fedderman serdecznie się uśmiechnął.

- Kwiatek do kozucha - powiedziała pani Culver.

- Chętni na bzykanko w południe już ruszyli na łowy - powiedział Mimms z obyczajówki. Siedział obok Nancy Weaver w zdezelowanej, nieoznakowanej furgonetce. Był doświadczonym gliną o małych ciemnych oczach, leżących zbyt blisko siebie, i niemal nieistniejących wargach.

Drugi glina, o którym Weaver wiedziała tylko, że nazywają go Pisklak - być może ze względu na jasny kosmyk włosów, przypominający koguci grzebień - siedział za nią.

Oddzielona kratami przestrzeń za Pisklakiem została przystosowana do tymczasowego przetrzymywania i przewożenia

więźniów.

Pisklak miał w uszach słuchawki połączone z odbiornikiem przyśrubowanym do spodu deski rozdzielczej. Furgonetka była też wyposażona w małą nagrywarke wideo, której kamera kryła się w kratownicy na masce i celowała w umiarkowanie ruchliwy róg ulic na południowym Manhattanie. Druga kamera, zainstalowana na pobliskiej latarni, skierowana była w to samo miejsce co pierwsza, ale pod innym kątem. Cyfrowa nagrywarka w furgonetce rejestrowała dane z obydwu kamer. Narożnik, przy którym stała furgonetka, cieszył się mniej więcej taką samą reputacją jak Weaver.

Wszyscy troje ubrani byli w niewyróżniające się stroje cywilne. Do określenia „niewyróżniające się” nie do końca pasował tylko strój Weaver: krótka czerwona spódniczka, kabaretki, obcisły czarny T-shirt i czarne buty sięgające połowy łydki.

- Nie ma jeszcze nawet wpół do dwunastej - powiedziała Weaver, siłująca się z cienkim T-shirtem. Wykonano go z jakiegoś rozciągliwego materiału, który miał tendencję do wysuwania się spod szerokiego czarnego paska ze skóry.

- To nic - odparł Mimms. - Możemy przyskrzynić amatorów przedpołudniowego bzykanka. - Wskazał ręką w stronę przedniej szyby furgonetki. - Stań na rogu i powiedz coś, żeby Pisklak wiedział, czy twój podsłuch działa jak trzeba. Jeśli będziemy słyszeć cię wyraźnie, migniemy światłami.

- I pamiętaj - dodał Pisklak - że mają dać ci pieniądze. Powiedz wtedy coś, co upewni nas, że dokonano transakcji, a my w mgnieniu oka będziemy obok, odczytując delikwentowi jego prawa.

- Nawet przez chwilę nic ci nie będzie groziło - po raz dwudziesty zapewnił ją Mimms.

Weaver nie wiedziała, skąd brał tę pewność.

Odczekała, aż ruch na ulicy się przerzedzi, żeby jak najmniej osób zauważyło jej wyjście z samochodu. Wtedy otworzyła drzwi i wysiadła na chodnik, starając się nie pokazywać zbyt wiele, przy czym o mało nie przewróciła się na swoich dwunastocentymetrowych szpilkach. Gdy odzyskała równowagę i złapała pion, poczuła, że na obcasach była naprawdę wysoka. I tak była wysoka, do cholery.

Opuściło ją zawstydzenie, które odczuwała, wysiadając z furgonetki. Po raz kolejny poczuła, jak T-shirt wyskakuje spod paska, i postanowiła dać sobie spokój. Goły brzuch będzie dodatkową zachętą dla erotomanów.

Chodzenie na obcasach było nawet zabawne. Czowała, że przyciąga spojrzenia, a Pisklak i Mimms na pewno obserwowali ją z wnętrza furgonetki.

Ściągnęła łokcie, żeby wysunąć do przodu piersi, zamasyżować rozkołysała pupę, przeszła przez ulicę i zajęła miejsce na rogu, przed nieczynnym barem.

Stał tam znak NIE PARKOWAĆ NA ROGU, przy którym można było zjechać do krawężnika. Weaver wystawiła biodro.

- Wszystko działa? - rzuciła w przestrzeń.

Przednie światła furgonetki błysnęły entuzjastycznie.

Niemal w tej samej chwili przy krawężniku, obok Weaver, przystanął lexus SUV.

Opuściła się przyciemniona szyba od strony kierowcy.

Z początku Weaver po prostu stała w miejscu, ale zaraz, kołysząc biodrami, obesła samochód i zajrzała przez okno. Wychylił się ku niej mężczyzna po pięćdziesiątce. Włosy ściał do skóry maszynką elektryczną, co miało zamaskować fakt, że i tak niewiele mu ich zostało. Miał na sobie marynarkę i krawat. Pan Stanowisko Kierownicze. Może zamierzał tylko zapytać o drogę.

- Masz zezwolenie na posiadanie tej niebezpiecznej broni? - zapytał, wskazując głową jej piersi.

Weaver pokazała zęby w uśmiechu.

- Uuu... Słodziutki!

Nie wiedzieć czemu przeszła na południowy akcent. Wyobrażała sobie, jak w furgonetce Mimms i Pisklak zrywają boki ze śmiechu.

- W pracy? - zapytał kierowca lexusa.

Weaver obdarzyła go najszerszym ze swoich uśmiechów.

- Ano w pracy. Za darmo dawać nie mogie.

Mężczyzna na oślep sięgnął po portfel, niezdolny do oderwania od niej wzroku.

Mimms i Pisklak poinstruowali ją, że standardowa cena na tym rogu wynosi pięćdziesiąt. Ale co tam - w końcu facet podjechał lexusem.

- Nie bądź skąpy, kochanieńki.

- Stówka styknie?

- Za stówkie dostaniesz coś naprawdę ekstra - odparła.

Wydobył pojedynczy banknot.

- Musisz na to zapracować, złotko. Pięć dych z góry, reszta potem.

- Bardzo ci, słodziutki, dziękuję - powiedziała Weaver. Wyprostowała się i wsunęła banknot za pasek, na użytek Mimmsa, Pisklaka i kamery.

SUV częściowo przesłaniał jej widok, ale zobaczyła, że otwierają się drzwi furgonetki, wysiadają z niej obaj policjanci i szybkim krokiem przemierzają ulicę. Szczęrzyli zęby jak hieny, jednak gdy błyskając odznakami, prosili kierowcę lexusa o opuszczenie pojazdu, na ich twarzach malowała się śmiertelna powaga.

Pan Stanowisko Kierownicze zaczął kląć na Weaver, kiedy tylko odczytano mu prawa. Nie zwracając na niego uwagi, zapaliła

papierosa w długiej cygarniczce o barwie kości słoniowej. O ile wiedziała, w tym miejscu obowiązywał zakaz palenia, ale co z tego? Papieros pasował do przebrania.

Mimms łypnął na nią i przewrócił oczami. Pisklak był zachwycony.

Mieli rację co do popularności dziwek pracujących w południe. Interes kręcił się prawie do drugiej.

Ale Weaver zaczęła się świetnie bawić dużo wcześniej.

Do północy Jerry Lido urznął się dokumentnie.

Na trzeźwo był ekspertem komputerowym, ale po wypiciu odpowiedniej ilości alkoholu stawał się internetowym geniuszem.

Tego dnia złożył trzeźwość w ofierze rozwiązania dręczącego problemu, który Quinn zrzucił mu na barki.

Jak zwykle wszystko zapisywał, żeby kiedy rano obudzi się, a alkohol wyparuje, pamiętać, co się działo. Pisał starannie na kartce w linie, używając pisaka z żelowym wkładem. Od czasu do czasu prostował się i podziwiał krągłość i czytelność własnego pisma.

Jakże wytwornie może wyglądać ręcznie pisany angielski! Jak piękny może być sam w sobie!

Poezja bez poezji - głęboka i inspirująca.

Próbował dociec, jak bardzo jest pijany. Wiedział, że część jego umysłu funkcjonuje naprawdę świetnie. Patrząc na pochyły splendor swych myśli przelanych na papier, zdusił szloch szczęścia. Mimo to...

Gęsie pióro! Ach, gdyby miał gęsie pióro! Dopiero takie oddałoby jak należy błyskotliwość jego przemyśleń.

Może na parapecie siedzi gołąb?

Podniósł się z trudem, zygzakami dotarł do okna i otworzył je na oścież. Owiała go fala orzeźwiająco chłodnego powietrza.

Zaraz, zaraz...

Czego, na miłość boską, chciałem od gołębia? Czy one przypadkiem nie śpią w nocy?

Odtoczył się od okna w kierunku zapadającego się łóżka. Zwalił

się na nie i leżał na brzuchu z jedną ręką zwisającą na dywan.

Co po nocach robią gołębie? Dokąd się udają?

Trzeba się dowiedzieć. Muszę zanotować, że trzeba się...

Odplynał w sen tak przyjemny, że mógłby gruchać ze szczęścia.

Kiedy się obudził i skoncentrował spojrzenie zapuchniętych oczu na radiowym budziku, z zadowoleniem odkrył, że jest dopiero piętnaście po piątej. Mógłby pospać trochę dłużej. Wystarczyło powstrzymać się przed zerwaniem z łóżka i pospieszeniem do QUiZ.

Uklepał poduszkę i ułożył się wygodnie na uwierającym materacu. Powiercił się.

Obrócił na drugi bok.

Może warto zadzwonić do Quinna. Quinn bywał rannym ptaszkiem. Czasami.

Ale gdy Lido usłyszał gołębia i spojrzał w stronę okna, zorientował się, że światło wygląda nie tak jak powinno.

Coś musiało rozregulować się na Słońcu.

Zdał sobie jednak sprawę, że ze Słońcem wszystko było w porządku - przeważnie wiedziało, która jest godzina. Rzeczywiście była piąta piętnaście, ale nie rano, tylko po południu.

Nic dziwnego, że głowa Lido pulsowała, jakby miała eksplodować. Zgarnął zapisane kartki ze stojącego przy łóżku stolika. Miał problemy z ostrością widzenia i opornie szło mu odcyfrowywanie własnego koślawego pisma. Nawet nie zdecydował się jeszcze na wyjście z łóżka. Leżał na plecach z głową wspartą na poduszce i przeglądał notatki.

Sama konieczność odcyfrowywania własnych gryzmołów pobudziła jego pamięć i przypomniał sobie, czego dokonał w nocy. Wykorzystując swoje talenty hakera, dotarł do zaszyfrowanych maili, które przesyłali do siebie druga ofiara z Wisconsin Sherri

Klinger i jej chłopak Rory. Lido złamał szyfr. Sherri rozpacziała po śmierci swojego psa, Zbója. W korespondencji wymieniono miejsce, gdzie Zbój został zakopany i odnaleziony, i z którego zabrano psa gdzie indziej. Miejsce to leżało bardzo blisko prowizorycznych grobów dwóch kobiet. Rory wspominał, że widział coś potwornego (jego własne słowa) w tej okolicy. Lido założył, że chodziło o torturowanie pierwszej ofiary.

Jezu! Jak coś takiego mogło wpłynąć na nastoletniego chłopaka?

Włamanie do komputerów Urzędu Szeryfa Okręgowego zaowocowało odkryciem, które z pewnością zainteresuje Quinna. Majtki wcześniejszej, niezidentyfikowanej ofiary, nie pasowały na nią. Majtki Sherri - ofiary numer dwa - miały taką samą metkę, jak większość noszonych przez nią majtek, a odnalezione resztki wskazywały, że były jej rozmiaru.

Ale najciekawszą kwestią związaną z pierwszym morderstwem było to, że jak wskazywały daty niektórych maili, Rory nie tylko o nim wiedział, ale dowiedział się o nim przed policją. Niemal na pewno musiał być jego świadkiem.

Równie interesująca była korespondencja mailowa kadry uniwersyteckiej Waycliffe College, datowana już bardziej współcześnie. Wspominano w niej mgliście o tajnym porozumieniu (zwanym układem), z którego nie można było się wycofać. Wyglądało na to, że wiąże się ono z czymś ważniejszym niż pieniądze i odsiadka, choć i jedno, i drugie samo w sobie było ważne jak cholera. Bezpowrotnie minął czas, w którym mogli jeszcze powiedzieć prawdę. Wyznanie jej teraz oznaczałoby katastrofę (Armagedon) dla nich i dla instytucji ani razu niewymienionej z nazwy, którą jednak bez wątpienia było Waycliffe College.

Okazało się też, że raporty inwestycyjne Waycliffe College (włamania do banków i firm maklerskich były dla Lida pestką) wykazują, że uczelnia ma duże udziały w Meeding Properties. Lido pamiętał, że córka Pearl, Jody, interesowała się tą firmą. Chodziło o coś związanego z wywłaszczeniem. Zadziwiające, jak wszystkie nici splotły się w jeden węzeł.

Teraz Quinn z pewnością będzie chciał zatrzymać niektórych profesorów Waycliffe, wycisnąć z nich prawdę podczas przesłuchania i wydrzeć im tajemnicę, którą dzielili i która ich opętała.

Wyglądało na to, że ktoś z Waycliffe mógł wiedzieć, czy Daniel Danielle żyje i popadł w kolejny szal zabijania, czy za morderstwami stoi raczej jego naśladowca. Tam znajdowały się kawałki układanki - być może pasujące, być może ujawniające wygląd całego obrazka - i czekały, aż ktoś po nie sięgnie i umieści je w odpowiednim miejscu. Owoc dojrzał; trzeba go było tylko zerwać.

Lido uśmiechnął się. Odnosił wrażenie, że im więcej metafor pasowało do sprawy, tym bliższa była rozwiązania.

Czuł się o wiele lepiej. Minęło pulsowanie, które mogło przerodzić się w narastające, bolesne uderzenia kafara wewnątrz czaszki. Czuł... dumę.

Na ułamek sekundy na myśl przyszedł mu gołąb. Lido nie miał pojęcia dlaczego.

Trzeba było zwlec się z łóżka. Natychmiast.

Praca, praca...

Wchodząc pod prysznic, niemal jednocześnie wybił sobie palec i uderzył się w czoło.

Spieszyło mu się, żeby udać się do QUiZ, wyglądając jak człowiek.

Gdyby się jeszcze ogolił, byłby schludny do przesady, ale bał się, że rozdygotanymi rękami nie da rady bez pozacinięcia się. Zatem nieogolony zawiązał czyściutki krawat na niebieskiej koszuli z krótkim rękawem i włożył bezkształtną lnianą marynarkę sportową, niewiarygodnie wręcz wymiętą. Skarpetki sobie odpuścił. Miał teorię, według której do dzinsów i zdartych półbutów Sperry Top-Sider pasowało wszystko.

Quinn i Pearl jeszcze siedzieli w biurze. Fedderman dopiero wszedł. Sal i Harold wybyli w teren; prawdopodobnie weryfikowali mało istotne niekonsekwencje w zeznaniach świadków.

Lido słabo kiwnął głową na powitanie.

- Zostały nam kanapki i trochę kawy - powiedział Quinn, myśląc, że Lido jednak bardziej potrzebował kawy. Albo miał za sobą dziesięć filiżanek, trudno ocenić.

Lido tylko odmownie pokręcił głową, po czym wyciągnął fotel zza jednego z biurka i ustawił go tak, żeby siedząc, widzieć całą trójkę.

- Niech zgadnę - odezwała się Pearl. - Chcesz nam coś powiedzieć.

Lido puszył się jak paw.

- Co masz? - spytał Quinn, nieco zirytowany tą zabawą i coraz bardziej zaintrygowany. Takie zadowolenie z siebie było czymś bardzo nietypowym dla niewątpliwie okrutnie skacowanego Lida.

- Po pierwsze, rozszyfrowałem część zakodowanych maili, które pracownicy Waycliffe wymieniali z prawnikami Endersa i Coila - zaczął Lido. - Sprytnie pomyślany szyfr, ale odkryłem, że każda litera po drugiej literze - dwie wcześniejsze były bez znaczenia - była trzecią literą po literze poprzedzającej, która...

- Dobrze, dobrze - przerwał mu Quinn. - Czego się dowiedziałeś?

- Kancelarię prawniczą i Waycliffe jeszcze obrabiam.

Dowiedziałem się przede wszystkim o Rorym i Sherri, dwójce dzieciaków z Leighton w Wisconsin, które używały niemal identycznego szyfru. Sherri to jedna z kobiet, które zostały zamordowane w 1986.

Quinn gwałtownie pomachał ręką.

- Prrr! Ten cały kod łączy martwą dziewczynę z Wisconsin z Waycliffe College?

- Musi - odparł Lido. - Pełne imię i nazwisko Rory'ego brzmi Linden Riordon Schueller.

Quinn poczuł, jak uchodzi z niego powietrze. Jego umysł zmagał się z usłyszaną właśnie wiadomością.

- Linden R. Schueller, rektor Waycliffe College?

- Chyba że jest ich dwóch - powiedział Lido.

Wyciągnął z kieszeni pomietą kartkę w linie, żeby opowiadając, co rusz do niej zaglądać. Odręczne pismo na kartce było tak niewiarygodnie niechlujne, że samo niemal stanowiło szyfr.

Lido odczytał, czego zdążył się dowiedzieć o Waycliffe College, Endersie i Coilu, i o Meeding Properties. Składało się to na labirynt szemranych rozliczeń finansowych, łapówek i nielegalnego obrotu papierami wartościowymi. W wyniku budowy, której ofiarą padło mieszkanie Mildred Dash, miała powstać przestrzeń mieszkalna i biurowa przeznaczona do prania brudnych pieniędzy z jeszcze bardziej niegodziwych przedsięwzięć.

Macy Collins musiała podczas praktyk u Endersa i Coila odkryć, co się dzieje i - tak jak Jody - dodała wiedzę zdobytą w Waycliffe do tego, co mówiło się i robiło w kancelarii prawniczej.

- Musiała zginąć - powiedziała Pearl, martwiąc się o Jody.

Część dotycząca uczelni, kancelarii i dewelopera była galimatiasem tak zawiłym, że samo myślenie o nim było męczarnią. W tym momencie Quinna i jego detektywów

najbardziej interesowało to, co łączyło trzy firmy z dwiema martwymi kobietami z Wisconsin.

- Coś ukrywają - mówił Lido - To wiemy na pewno. A ofiary morderstw w Wisconsin były nastolatkami.

- Mówimy o molestowaniu nieletnich? - spytał Fedderman.

- Możliwe, że o czymś jeszcze gorszym - odpowiedziała mu Pearl. - I nie tak odległym w czasie. Wygląda na to, że część wykładowców z Waycliffe wiedziała o ostatnich morderstwach Daniela Danielle'a. Z jakiegoś powodu postanowili to przemilczeć za pierwszym razem i w ten sposób się pogrążyli. Jeśli oniemieli w sprawie pierwszego morderstwa, musieli być później konsekwentni.

- Z każdym morderstwem pogrążali się bardziej - dodał Quinn. - Gdy już stali się współwinnymi, ich przestępstwo robiło się coraz bardziej poważne. Wiedzieli... Wciąż wiedzą o tych morderstwach coś, czego nie mówią.

- Na przykład: czy mamy na wolności starszego i sprytniejszego Daniela Danielle'a, czy jakiś świr go naśladuje.

- Niektórzy w Waycliffe - warknął Quinn - siedzieli na dupach, przyciskając nimi informacje, dzięki którym moglibyśmy powstrzymać mordercę.

- Współudział jak nic - skomentował Lido.

- Właśnie, pies ich... - powiedziała Pearl. - Są winni jak te dupki, które wiedzą o molestowaniu dzieci. Nabierają wody w usta i tym samym biorą udział w przestępstwie.

- Morderstwa to nie wszystko - przypomniał Lido. - Enders i Coil oraz Waycliffe College są, jak się zdaje, głównymi udziałowcami Meeding Properties Development, firmy zagospodarowującej okolicę, którą interesowała się Jody. Mamy tu zapewne nielegalny obrót papierami wartościowymi i forszą.

Pieniądze innych inwestorów mogły przechodzić z kapitału Meeding do Waycliffe, a potem z powrotem do Meeding. Potem znów do instytucji o nazwie Meeding W. Investments, prywatnej spółki nieznanej na żadnej giełdzie, której najważniejszymi zleciodawcami są Linden R. Schueller, Elaine K. Pratt i Wayne G.

Tangler.

- O-o! - powiedział Quinn.

- Oszustwa, nielegalny obrót papierami wartościowymi i manipulowanie kapitałem akcyjnym. Łał! - zawtórował Fedderman.

- Nie zapominajmy jednak o morderstwach - powiedziała Pearl. Popatrzyła na Quinna i się wystraszyła. Miał wyraz twarzy, który już kiedyś widziała. - Nad czym się zastanawiasz?

- spytała.

- Nad przyciśnięciem ich.

Lido spróbował złożyć zmiętą kartkę papieru, ale bez powodzenia, więc poddał się i z powrotem wepchnął ją do kieszeni.

Potem z drugiej kieszeni wyjął następną, już złożoną kartkę i położył ją na biurku.

- Co to? - zapytał Quinn.

- Zdjęcie klasowe Lindena Riordana Schuellera ze szkoły średniej.

Pochylili się wszyscy nad fotografią ciemnowłosego młodzieńca, którego uśmiech najtrafniej dało się określić jako „diabelski”. Chłopak przypominał rektora Schuellera.

- Może to i on - powiedział Quinn.

- To on. - Fedderman nie miał wątpliwości.

- Nie jestem pewna - wahała się Pearl.

- Przyjrzyj się uszom - podpowiedział Fedderman. - Uszy nie

kłamią.

- Jak i skąd wykopałeś te informacje? - zwrócił się do Lida Quinn.

- Nie chcesz wiedzieć.

- Masz rację. Nawet gdybym wiedział, pewnie bym nie zrozumiał, więc wolę nie pytać.

- Trochę jak ci z Waycliffe - zauważyła Pearl.

- Różnica jest kolosalna - odparł Fedderman.

- Bo ja wiem - rzekł Lido. - Walczymy ich metodami.

- Szukamy seryjnego mordercy - dobitnie powiedział Quinn. - Potrzebujemy odpowiedzi i wiemy, gdzie je znaleźć. Jeśli w Waycliffe istnieje zmowa milczenia, pora ją zakończyć.

- Na jakiej podstawie uważasz, że teraz zaczną mówić? - spytała Pearl. - Wszystkie dowody, jakie mamy, zdobyliśmy nielegalnie.

- Trudno. - Quinn sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Uważaj - powiedziała Pearl. - Wciąż nie mamy pewności.

- Dzwonię, żeby ją zdobyć.

Rektor Schueller odebrał telefon od Quinna, a Quinn przekazał mu, czego dowiedział się od jednego ze swoich śledczych. Na razie postanowił trzymać się morderstw.

Schueller spokojnie wysłuchał, ani razu nie przerywając. Quinn doszedł do wniosku, że rektor zastanawia się, jak weszli w posiadanie tych informacji.

- Dzwonię więc z pytaniem - mówił Quinn - dlaczego nas okłamaliście?

- Nie kłamałem.

- Istnieje kłamstwo przez przemilczenie.

- To raczej nie jest termin prawniczy.

- Ale „polecznictwo” już jest. Podobnie jak „współsprawstwo”.

- Obaj dobrze wiemy, że daleko nam jeszcze do tego punktu.

Bałem się, że niewłaściwie zinterpretuje pan informacje, które dobrowolnie przekazemy. Wychodzi na to, że miałem rację.

- Chętnie to sprawdzę.

- Naprawdę nie ma pan powodów, żeby przesłuchiwać kogokolwiek z Waycliffe.

Załóżmy więc, że nasz układ powstał jako zwykły środek ostrożności. Na wypadek gdyby pańskie podejrzania padły na pracownika Waycliffe, o którego niewinności jesteśmy przekonani. W gruncie rzeczy ułatwialiśmy panu prowadzenie śledztwa, choć bez pańskiej wiedzy.

Nooo, stary... - pomyślał Quinn.

- Komu więc tak bezgranicznie pan ufa?

- Tym, których znamy tutaj na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie torturują i nie zabijają.

- Nie obawia się pan błędu w ocenie?

- W ocenie mojej kadry uniwersyteckiej? Nie. Tak czy inaczej, szanse na to, że morderca ma coś wspólnego z uczelnią, są tak minimalne, że kryjąc siebie nawzajem, nie podejmowaliśmy żadnego poważniejszego ryzyka. To znaczy - gdybyśmy, jak pan mówi, mieli jakiś pakt i gdybyśmy kryli siebie nawzajem, co oczywiście nie miało miejsca.

Rozważam po prostu pańską hipotezę.

- A nie była pańska?

- Powiedzmy, że wspólna.

Quinn westchnął, podniósł się i stanął za biurkiem.

- Informacja żywi się sama sobą, rozrasta się i przeradza w wielką niebezpieczną bestię. Weszliśmy w tę właśnie fazę śledztwa. Zamierzam wypuścić bestię, gdy dostatecznie się rozrośnie. Rzuca się prosto do gardła.

- Widzę, że ma pan barwne podejście do współpracy

obywatelskiej - odparł Schueller.

- Ale to tylko ujęta w groźne słowa wymówka na nękanie, które stosuje pan, jakby było postępowaniem ze wszech miar słusznym. Skontaktuję się z naszymi prawnikami. Ciekawe, jakie mają zdanie na temat nielegalnego zdobywania informacji i zastraszania świadków. - Łgał z wypraktykowaną swobodą. - Pańska uwolniona bestia może rzucić się w każdą stronę.

- Słusznie - przytaknął Quinn. - Na pewno wiemy tylko tyle, że upuści krwi.

- Nie zapomina pan języka w gębie, panie Quinn.

- Uważa pan, że ja mam gadane? Proszę poczytać „New York Timesa”.

- Czy to kolejna subtelnie zawoalowana pogróżka? - spytał Schueller.

- Zaraz: „subtelnie” - odpowiedział Quinn. - Zobaczymy, jak będzie pan śpiewał za kilka dni.

Odłożył słuchawkę.

Przez jakieś dziesięć sekund w biurze panowała cisza. Potem Quinn zrelacjonował słowa rektora Schuellera.

Popatrzył na swoich detektywów.

- Schueller czekał na taki telefon. Miał przewidziane odpowiedzi.

Wszyscy się z tym zgodzili.

- Wskoczy do swojego samolotu i tyle go widzieliśmy - powiedziała Pearl.

- Możliwe - zgodził się Quinn. - Na razie analizuje sytuację.

- Zawiadamiamy Renza? - spytał Fedderman.

- Lepiej, żeby nie spłoszyły ich dyskoteki radiowozów - odparł Quinn. - Jeśli chcemy dostać to, czego nam trzeba, musimy ostro się za nich wziąć.

Wtedy do biura weszła Jody. Wyczuła, że coś się święci, i zamarła w progu.

Quinn popatrzył na Pearl. Decyzja należała do niej.

- Chcę, żeby wzięła w tym udział - powiedziała Pearl.

Quinn skinął głową.

- Co teraz? - spytał Fedderman.

Quinn zerknął na zegarek.

- Przejazdźka.

Rozmowa telefoniczna z rektorem przekonała Quinna, że mordercą jest Schueller. Do uzyskania pełnego obrazu brakowało jeszcze kilku elementów układanki, ale Schueller wiedział za dużo. A zarazem zbyt mało.

Sal i Harold udali się do Waycliffe nieoznakowanym samochodem nowojorskiej policji, a Quinn, Pearl, Fedderman i Jody zmieścili się w Quinnowym lincolnie. Jody została wyraźnie poinstruowana, że jedzie wyłącznie w charakterze obserwatora.

Zadaniem Sala i Harolda było pilnowanie biura Schuellera i informowanie Quinna, czy wchodzi do niego (lub opuszcza go) rektor albo ktokolwiek, kogo obejmowało śledztwo.

Idealnie byłoby, gdyby udało im się przygwoździć podejrzanych o tej samej porze i w tym samym miejscu - najlepiej w tym samym pomieszczeniu, żeby popatrzeć na nich zbiorowym spojrzeniem przyszłej ławy przysięgłych. Współkonspiratorzy. Poplecznicy mordercy. Całe gniazdo węży.

Quinn, myślący jak glina.

Zaparkowali lincolna z dala od terenu kampusu, kazali Jody zostać w samochodzie i zablokować drzwi, po czym weszli między drzewa. Quinn wiedział, że niedługo znajdą się na otwartej przestrzeni. Za drzewami będzie rozległa połać ziemi, potem kolejny las, a potem dom Schuellera, stojący tyłem do głównych zabudowań kampusu, jeszcze w jego obrębie, a mimo to i tak w odosobnieniu, i daleko od drogi, na której zostawili lincolna.

Zmrok zapadał szybko; cykady rozpoczęły już swój chrobocący hałas: przenikliwe godowe nawoływania. Niemilknący świergot

ucieszył Quinna - zagłuszy ewentualne dźwięki, towarzyszące ich krokom.

Gdy minęli pierwsze pasmo drzew i wyszli na szeroką przecinkę, Fedderman ścisnął ramię Quinna i wyciągnął rękę.

Wskazywał na stojący nieopodal drzew mały dwusilnikowy samolot Schuellerera, przymocowany liną do palika. Szyby kokpitu okrywał niebieski brezent.

- Pomyślałby kto, że powinni w to wejść federalni - powiedziała Pearl.

- Oni na pewno by tak pomyśleli - odparł Quinn. - Ale nie ma nic niezwykłego w tym, że uczelnia dysponuje samolotem. - Nie miał pojęcia, czy rzeczywiście tak było, ale brzmiało to logicznie.

- Na lotnisku LaGuardia ciągle widuję pasażerskie odrzutowce z Harvardu - powiedział Fedderman.

Znów zanurzyli się między drzewa, ale nie na długo. Widzieli przed sobą skąpany w blasku księżycy dom Schuellerera z cegły i bluszczu - marzenie architekta. Za otaczającym werandę niskim kamiennym murem, wokół okrągłego stolika z parasolką, stały wyściełane fotele klubowe. Było już niemal zupełnie ciemno, a mimo to w domu nie paliło się ani jedno światło.

Fedderman obszedł dom od frontu i wrócił po pięciu minutach.

- Świeci się w dwóch frontowych oknach - zameldował - ale nikt się tam nie poruszał.

Ktoś za to poruszał się w krzakach.

Zanim zdążyli zareagować, wyłoniła się z nich Jody.

- Bałam się jak diabli, sama w tym samochodzie - powiedziała. - Jesteś zły, że przyszłam? - zwróciła się do Quinna.

- Zły? Jestem cholernie...

W kieszeni Quinna zawibrował telefon komórkowy. Wyjął go i zobaczył, że dzwoni Sal Vitali.

Chrapliwy szept Sala usłyszał, gdy tylko odebrał połączenie.

- Schueller wyszedł z biura. Kieruje się w waszą stronę, chyba przerobionym wózkiem golfowym. Jest sam.

Jody nie mogła słyszeć Sala, a co za tym idzie, śledzić toku rozmowy, ale przekrzywiła głowę na bok, jak gdyby nasłuchiwała. Przy uchu Quinna zabzyczał komar.

Quinn plasnął go dłonią, ale nie trafił.

- Zostańcie tam jeszcze trochę - nakazał Salowi. - Może ktoś pojawi się w jego biurze.

Schowwał telefon do kieszeni.

- Schueller tu jedzie. Jest sam i prowadzi coś jakby wózek golfowy.

- Stale nim jeździ - powiedziała Jody. - Ma dla niego osobne miejsce parkingowe pod budynkiem administracji.

Nie słyszeli nadjeżdżającego Schuellera, ale zobaczyli światła przesuwające się po pniach rosnących od frontu drzew. Po kilku minutach światła rozbłyły także wewnątrz domu, również w gabinecie lub bibliotece za francuskimi drzwiami. Komuś znajdującemu się w środku trudno byłoby teraz zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz.

Quinn gestem nakazał wszystkim podejść bliżej.

Nagle rozległ się szept Jody:

- To Sarah!

Znieruchomieli i obserwowali kobietę idącą przez werandę do jednych z przeszklonych drzwi. Dała o sobie znać pojedynczym stuknięciem w szkło, otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Bałam się, że nie żyje - powiedziała Jody z niejaką ulgą w głosie. Ciągle pozostawała w jakimś stopniu pod urokiem tej kobiety.

Quinn miał własne przemyślenia na temat Sarah Benham.

Zauważył, że za francuskimi drzwiami - tymi w dalszej części werandy - było ciemno.

Podejrzał, że zamek w nich mógł być otwarty, tak jak w drzwiach, przez które Sarah Benham weszła do gabinetu.

W ciemnościach podał coś Pearl: małe plastikowe pudełko ze zwiniętym kablem, zakończone czymś przypominającym wkładaną do ucha słuchawkę.

- Co to jest, do cholery? - spytała Pearl.

- Odbiornik. Po tym, jak Schueller się wykręcił, chciałem założyć pluskwy w jego domu, ale sprawy zbyt szybko się toczą. Zmieniłem zdanie. Wejść tam z mikrofonem, a nuż uda mi się nagrać na kasetę coś nadającego się do wykorzystania. Wtedy nasze nakazy aresztowania się utrzymają.

- Dzięki kasetom zdobytym w trakcie bezprawnego najścia? - powątpiewająco spytała Jody-prawniczka. Postanowiła nie wytykać Quinnowi, że nagrania będą cyfrowe, więc nie na kasecie. Niech sobie technozaur używa swojej staroświeckiej terminologii.

- Sędzia, który wydał nakazy aresztowania, zezwolił również na założenie podsłuchu na terenie posiadłości - odparł Quinn. Był pewien, że zezwolenie nie precyzowało, jak ma to zostać zrobione.

- Ale... - zaczęła Jody.

Pearl ostro na nią spojrzała i obróciła dłoń przy zaciśniętych ustach, jakby przekręcała klucz. Jody zasznurowała usta, nieświadomie naśladowując matkę.

Pearl przeniosła uwagę na Quinna.

- Wejdziemy we trójkę - powiedziała, zerkając na Feddermana.

Ten przytaknął ruchem głowy.

Pearl podała Jody odbiornik.

- Jody tu zostanie ze słuchawkami. Jeśli dokumentnie spieprzymy sprawę, wezwie stanowe gliny.

Jody otworzyła usta, żeby zaprotestować.

- Nagrywa się, kiedy świeci zielona lampka - powiedział Quinn, obrzucając ją takim spojrzeniem, że ugryzła się w język. - Osłoń ją dłońmi, żeby nikt nie zobaczył.

- Ale ja nie chcę...

- Dorośnij! - warknęła Pearl. - To kiepska pora, żeby wyszczekana smarkula stroiła fochy!

- A kiedy będzie lepsza?

- Kiedy nikt nie będzie miał przy sobie broni.

Jody, widząc, jak jej matka repetuje dziewięciomilimetrowego glocka i opuszcza go wzdłuż uda, wycofała się niechętnie bliżej krzaków i zaczęła się uczyć obsługi odbiornika.

- Każdy głupi by to ogarnął - powiedziała, wkładając słuchawkę do ucha. - Jest bezprzewodowy i automatyczny. Schowajmy go tutaj i pójdę z wami, co?

Nie było już nikogo, kto mógłby jej odpowiedzieć.

Druga para francuskich drzwi nie była zamknięta. Zawiasy cicho zaskrzypiały, gdy Quinn popchnął jedno skrzydło.

Pierwszy wszedł do środka.

Wewnątrz było chłodniej i ciemniej niż na dworze. Gdy oczy przywykły do mroku, wypatrzył sofę, fotele, komodę albo biurko pod jedną ze ścian i oprawione obrazy podwieszane za pomocą przewodu albo sznurka do listwy przysufitowej, żeby na ścianach nie pozostały ślady po gwoździach lub wkrętach. To chyba był salon - miejsce bardziej oficjalne niż zastawiony książkami gabinet, w którym Schueller spotkał się z Sarah Benham.

Quinn słyszał ich głosy, ale nie rozróżniał słów. Cicho prowadził pozostałych po pluszowym dywanie ku wysokim żaluzjowym drzwiom. Były otwarte - zrolowane do ścian salonu. Przez framugę padało światło; Quinn wiedział, że drzwi wiodą prosto do gabinetu.

Podszedł bliżej. Miniaturowy mikrofon trzymał przed sobą z nadzieją, że urządzenie wychwyci rozmowę. Wiedział, że sprzęt jest czuły; oby tylko był czuły wystarczająco.

Pearl i Fedderman w ciszy trzymali się z tyłu, gdy Quinn zbliżył się na centymetry do wejścia do gabinetu.

-...trzeba było zrobić - mówiła Sarah Benham. - Ale co z pozostałymi, które były tylko rozrywką? Albo służyły zaspokojeniu żądzy?

- Tę pierwszą, Collins, trzeba było zabić. Za dużo odkryła - odpowiedział rektor. Z kieszeni marynarki wyjął fajkę z korzenia wrzośca.

- I mówiła przez sen - dodała Sarah Benham. - To akurat wiem.

- Nie wątpię. - Z drugiej kieszeni rektor wyjął skórzany, ściągnięty troczkiem kapciuch na tytoń i zaczął nabijać główkę fajki.

Quinn przypomniał sobie nagle, gdzie już widział taki kapciuch. Przysłano mu jeden w prezencie. Patrzył na kapciuch i na skórzane łąty na łokciach Schuellera.

Poczuł, jak coś przewraca mu się w żołądku.

Schueller odłożył kapciuch do kieszeni, ale nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby zapalić fajkę.

- Lampkę wina? Czerwone, jak krew.

Ty draniu! Quinna dosłownie przeszył zimny dreszcz i musiał zdławić pragnienie, żeby zawołać: „Mam cię!”. Jeśli ukryta na tyłach Jody to nagrywała, mieli lepszy materiał, niż Quinn mógłby sobie wymarzyć.

- Czemu nie? - rzekła Sarah.

- Ja też się skuszę - odezwał się męski głos. Quinn zapuścił żurawia i zobaczył, że do pokoju wszedł wysoki, smukły mężczyzna o czujnym spojrzeniu szarych oczu. Tangler, wykładowca literatury.

- Rzadko ktoś miał okazję podsłuchać Macy - powiedziała Sarah.

- Dzięki.

„Dzięki” musiało odnosić się do lampki wina. Quinn z trudem powstrzymał się przed ponownym zerknięciem do gabinetu, żeby zobaczyć, jak Sarah Benham kosztuje alkohol.

- Mmm... - powiedziała. - Dobrze.

Po chwili milczenia odezwała się znowu:

- Wyszło na to, że problemem była wyjątkowa inteligencja jednej z naszych najlepszych studentek. Macy Collins zorientowała się, co robimy.

- W najgorszym wypadku policja powinna dojść do wniosku, że

nasze alibi na noc śmierci Macy było zwykłym, nieszkodliwym kłamstwem - powiedział rektor. - Czy też: wtedy miało nim być.

- Może zabrakło im lotności na takie niuanse i połknęli zmyłkę w całości.

- Szybko się połapali - wtrącił Tangler. - Podejrzewali, że w małym kłamstwie kryje się kłamstwo duże.

- Może nie należy kłamać o morderstwie - zamysliła się Sarah Benham.

- Akurat z tym policja by się zgodziła - rzekł Schueller. - Na szczęście teraz raczej skupiają się tylko na morderstwach, a nie na naszych ćwiczeniach z radykalnego kapitalizmu.

- Czy sprzedawanie nieistniejących akcji to coś złego? - rzucił Tangler.

- Niewtajemniczonym - dodała Sarah.

- I pechowcom.

Minęła chwila, w czasie której wzniesli toast za pomyślność.

Głos Schuellera:

- Jak na ironię, wszystko mogło się zawalić przez te dwa zapomniane morderstwa w Wisconsin.

- Jak sądzisz, to robota Daniela Danielle'a? - spytał Tangler.

- To już musi wybadać policja.

- Policja jest niekompetentna - oświadczyła Sarah. - Dobrze, że w miarę szybko się zorientowaliśmy. To wino francuskie?

- Kalifornijskie.

- Niesamowite. Kto by pomyślał, że gleba...

Sarah niespodziewanie urwała. Serce Quinna żywiej zabiło. Usłyszeli go? Dostrzegli?

Głos Schuellera:

- Ktoś jest przy drzwiach wejściowych. Elaine. Ma klucze, sama tutaj trafi.

Zapadła cisza, gdy brakujący kawałek układanki przemierzał pogrążony w półmroku dom. Telefon od Quinna zadziałał idealnie: wywołał na tyle duży niepokój, żeby jego łowiecka zdobycz zebrała się na spotkaniu, nie aż tak jednak duży, żeby spróbowała czmychnąć z zatrzasnątej się pułapki.

Front domu był na lewo od miejsca, w którym stali. Quinn nisko szacował prawdopodobieństwo, że Elaine (niewątpliwie Elaine Pratt) wybierze drogę przez nieoświetlony salon, i był pewien, że Sarah, Tangler i Schueller będą na nią czekać z kieliszkami w dłoniach, patrząc w stronę przeciwną do miejsca, w którym stał Quinn ze swoimi detektywami. Czyli na drugie drzwi wiodące do gabinetu - te w jego przeciwległej ścianie.

Quinn cicho dał krok przed siebie i wychylił głowę zza framugi.

Tak jak zakładał, zobaczył Sarah i Schuellera. Tylko Schueller nie trzymał w dłoni lampki z winem. Oboje stali plecami do Quinna - czekali na pojawienie się gościa. Tangler stał dalej, z boku, z kciukami zatkniętymi za pasek; też był zaabsorbowany nadejściem Elaine. Quinn tuż za sobą słyszał oddech Pearl. Przynęła się bliżej. Nie wiedział, gdzie podział się Fedderman; miał nadzieję, że pilnuje tyłów.

Gdy wysuwał z kabury przy pasie policyjny rewolwer, poruszała się tylko jego prawa ręka.

Pojawiła się sylwetka obramowana framugą drzwi.

Elaine Pratt.

Wszystkie źmije weszły do gniazda. Rozmowa mogła stać się o wiele bardziej interesująca. I obciążająca.

Problemem było to, że wprawdzie wszyscy w gabinecie patrzyli w przeciwną stronę - ale nie Elaine Pratt. Dała krok do gabinetu, z opóźnieniem dotarło do niej, co zobaczyła, i znów popatrzyła prosto na Quinna.

Quinn zaczerpnął tchu i wszedł do pomieszczenia.

Rektor Schueller i jego goście na chwilę zamarli, zaskoczeni. To był ten ułamek sekundy, który dawał Quinnowi przewagę.

Wiedział, że trzeba działać szybko.

Nie on jeden.

W gabinecie zawirowało od gwałtownego zrywu w stronę drzwi. Spłoszeni akademicy zderzyli się ze sobą. Quinn spostrzegł, że Schueller w zamieszaniu wyciągnął gdzieś z okolic biurka obciętą strzelbę śrutową.

Trzymając ją w dłoni, obrócił się wokół własnej osi i nacisnął spust, zanim zatoczyła pełen łuk.

Quinn, który wpadł do gabinetu jako pierwszy, zarejestrował za plecami jęk Feddermana.

Miał najwyżej kilka sekund. Strzelił do Rory'ego Schuellera i drasnął go w nogę, gdy ten przez francuskie drzwi wyskakiwał w noc, zostawiając na progu i na ceglanej werandzie rozbryźniętą krew.

Krzycząc, żeby Pearl i Fedderman skuli pozostałych, Quinn wybiegł na werandę i po śladach krwi ruszył za monstrum, które powołał do życia Daniel Danielle.

Tym razem potwór nie ucieknie.

Tym razem przemierzającym noc tornadem był Quinn.

Quinn przystanął za okalającym werandę niskim kamiennym murkiem i rozejrzał się na wszystkie strony. Blask księżyca wystarczał, żeby dostrzec rozległą połąć gruntu, równomiernie opadającą ku kampusowi, a po lewej przystrzyżony trawnik, zamknięty pasmem drzew porastających pobocze drogi dojazdowej. Nie licząc drzew, jedyne schronienie dawać mogła niewielka szopa na narzędzia; prawdopodobnie trzymano w niej spalinową kosiarkę i sprzęt ogrodniczy.

Szopa. Była dużo bliżej niż szpaler drzew. Schueller mógł się w niej schować. Mógł też schować się za nią.

Rektor biegł szybko, co znaczyło, że Quinn zranił go tylko powierzchownie. Kto wie, czy nie zawrócił - mógł być w domu albo za domem, kryć się za ścianą, za plecami Quinna.

Wzdłuż kręgosłupa Quinna spłynęła strużka zimnego jak lód potu.

Odwracał się, żeby zlustrować okolice domu, kiedy kątem oka wyłapał poruszenie.

Szarpnął głową akurat, żeby zobaczyć, jak Schueller opuszcza osłone szopy na narzędzia i biegnie w stronę drzew, w prawej ręce trzymając obrzyn.

Schueller był poza zasięgiem rewolweru Quinna i na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Nawet gdyby Quinn zatrzymał się i oddał strzał, kula wbiłaby się w ziemię daleko za uciekającym mordercą.

Quinn zaczął biec jak nabierająca rozpędu góra: z początku wolno, z każdym krokiem szybciej.

Schueller miał dobry start i biegł szybko, mimo rany w nodze. Na pewno szybciej niż starszy i cięższy Quinn.

Ale jak długo był w stanie biec?

Schueller zatrzymał się nagle i obrócił. Dla śrutówki, która przeszkadzała mu w biegu i spowalniała go, znalazł lepsze zastosowanie. Strzelił do Quinna, ale ten nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Obrzyn miał mniejszy zasięg od jego rewolweru.

Quinn zobaczył, jak Schueller wyrzuca broń. Pamiętał, że była to dubeltówka, wymagająca przeładowania po dwóch strzałach.

Błąd! Trzeba było zaczekać, aż znajdę się w zasięgu. Teraz jesteś w głębokiej dupie.

Schueller biegł w stronę drzew szybkim, równym tempem. Quinn podbiegał po skosie, licząc, że spotkają się jakieś trzydzieści metrów przed końcem otwartej przestrzeni. Starał się oddychać miarowo, żeby zbyt wcześnie nie stracić tchu. Wiedział, że ktoś już na pewno zawiadomił policję stanową, która jednak nie miała szans przyjechać tutaj na czas.

Schuellerowi wystarczy dotarcie do drogi i zatrzymanie pierwszego lepszego pojazdu.

Ewentualnie znalezienie gospodarstwa, którego nic niepodejrzewający właściciel dysponował samochodem. To byłby koniec pościgu.

I koniec właściciela samochodu.

Quinna bolały uda i paliło go w płucach. W prawym boku czuł bolesne pulsowanie.

Wiedział, że koniec końców przerodzi się ono w kolkę, która złoży go w pół.

Zignorował ból i wydłużył krok.

Schueller obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Quinn jest

coraz bliżej.

Błyskawicznie obrócił się na pięcie tak, że biegł teraz tyłem, i z zębami wyszczerzonymi w uśmiechu pomachał do Quinna. Potem znów się odwrócił i zaczął biec szybciej.

Quinn dorównywał mu tempem; był nawet trochę szybszy.

Gdy wyłoniły się przed nimi drzewa, Schueller znalazł się w zasięgu rewolweru Quinna, choć był wciąż za daleko, gdy szło o celny strzał. Jeszcze kilka kroków i osłonę da mu zagajnik.

Każdy krok był dla Quinna męczarnią. Zatrzymał się, odciągnął kurek rewolweru i mocno wparł stopy w ziemię. Nie bardzo wierzył w powodzenie tego, co zamierzał - był zbyt rozdygotany. Trzymając rewolwer oburącz, oddał w kierunku Schuellera serię strzałów, na chwilę przed tym, zanim rektor wsiąkł w rozpięty między drzewami, dający osłonę mrok.

Quinn pospiesznie przeładował broń i znów kilkakrotnie wystrzelił w głębokie cienie zagajnika.

Ciężko dysząc, ruszył z wysiłkiem ku miejscu, w które mierzył.

Quinn rozejrzał się między milczącymi, wydłużonymi cieniami drzew i spostrzegł na poszyciu ciemne plamy wyglądające na krew. Dotknął ich - były wilgotne.

Krew Schuellera.

Ale w którą stronę prowadziły te ślady?

Chwilę później Quinn usłyszał, jak silnik jęczy i zaskakuje, a zaraz po nim drugi.

Natychmiast rozpoznał ten odgłos i przypomniał sobie mały dwusilnikowy samolot stojący na skraju pasa startowego.

Tratując poszycie z przegniłych liści, rzucił się w kierunku, z którego dobiegał dźwięk.

Warkot silników przeszedł w ryk. Quinn oczyma wyobraźni widział, jak mały samolot kołuje, a jego koła podskakują na

trawie. Beechcraft nie potrzebował długiego pasa i dużej szybkości, żeby wzbić się w powietrze.

Quinn wypadł spomiędzy drzew, akurat żeby zobaczyć, jak samolot rozpędza się na pasie i oddala. Queen zatrzymał się, znieruchomiał, wycelował we wzbijającą się do lotu maszynę i wystrzelił dwa ostatnie naboje, które pozostały w bębunku rewolweru.

Wydawało się, że nie dosięgły samolotu.

Ale było inaczej.

Coś nie pozwalało beechcraftowi się wznieść. Zwolnił, na chwilę przystanął, jego lewy silnik ryknął głośniejsz; samolot zawrócił na skraju trawiastego pasa startowego i zaczął jechać w stronę, z której wyruszył.

Obydwa silniki zawyły i beechcraft ruszył na Quinna. W niepokojącym tempie nabierał szybkości, choć nie mógł oderwać się od ziemi.

Quinn zaczął szukać zapasowej amunicji do rewolweru. Jednocześnie, idąc bokiem, szukał schronienia wśród drzew.

Dotarł do nich w ostatniej chwili, a w lasku był już bezpieczny.

Schueller jednak nie mógł - lub nie chciał - skrócić ani zatrzymać samolotu.

Beechcraft wjechał w drzewa na skraju zagajnika, trzasnął skrzydłem o jedno z nich, obrócił się rozchybotany i zatrzymał ogonem do Quinna. Rozleciał się jeden z silników - jego śmigło z trzema łopatom wygięło się i znieruchomiało. Drugie śmigło wciąż wirowało, napędzane ryczącym motorem. Quinn znalazł się we wznieconej przez nie zawierusze, pośród tańczących w powietrzu liści.

Kuląc się pod jej naporem, zobaczył, jak Schueller na pół wysiada, na pół wypada z kabiny pilotów. Lewe skrzydło samolotu

oddarło się aż do osłony silnika. Schueller zatoczył się jak pijany, złapał równowagę i stanął między Quinnem a wirującym śmigłem; lekko odchylony do tyłu pozwalał, aby podpieraała go siła podmuchu. Zranił się podczas katastrofy albo dosięgła go jedna z wystrzelonych przez Quinna kul. Czerniąca się w plamie księżycowego światła krew wypływała z boku jego głowy. Jeszcze więcej krwi spływało po przedramionach Schuellera, bezwładnie zwisających u boków. Silny powiew unosił je lekko i wprawiał w drzenie.

Obydwaj wiedzieli, że to koniec gry.

Quinn wymierzył do Schuellera z rewolweru i gestem kazał mu się zbliżyć.

Schueller uśmiechnął się. Wzruszył ramionami.

Zamiast podejść, cofnął się i wszedł w śmigło.

Quinn usłyszał, jak ryk silnika momentalnie wchodzi na wyższą tonację, i zobaczył, jak Schueller z kompletnej istoty ludzkiej przekształca się w mgnieniu oka we fragmenty ludzkiego ciała. Na grzbietach dłoni, policzkach i czole Quinn poczuł chlapnięcie wilgoci.

Odwrócił się i usiadł na ziemi, słysząc, jak silnik krztusi się i milknie.

Pochylił głowę w pulsującej ciszy zagajnika.

Nie obejrzał się za siebie.

Penny nie było łatwo zrozumieć Feddermana, który leżał na brzuchu z połową twarzy wciśniętą w szpitalną poduszkę. Pielęgniarki profesjonalnie unieruchomiły go dzięki materiałowi na rzepy i uniemożliwiły mu obrócenie się na plecy.

- Tę fodufkę ufyli chyba z fafieru śfiernego - powiedział.

Penny wydało się dziwne, że Feds narzeka na szorstkość poszewki przylegającej do policzka, a nie na śruciny, które wbiły mu się w bark i prawą stronę pleców, gdy instynktownie odwrócił się, widząc obrzyn Schuellera. Jedna ze śrucin dotarła prawie do kręgosłupa i mogła Fedsa sparalizować. Nie doszło jednak do tego. Powinien całkowicie wydobrzeć, choć pozostanie mu na plecach sitko blizn.

- Miałaf chyba fację, jefli idzie o fynnik fyzyka - dodał.

Penny popłakiwała, od kiedy Quinn zawiadomił ją, że jej mąż został postrzelony. Szok przerodził się w ulgę, potem w gniew, a potem... potem w coś jeszcze innego. Teraz płakała z ulgi, jeśli nie ze szczerej radości.

Pochyliła się tuż nad nim.

- Dureń z ciebie, Fedziu.

Wiedział, kiedy zwykła mówić takim tonem, więc uśmiechnął się.

- Nie - poprawiła się. - To ja jestem durna. Nie wychodzi się za kogoś po to, żeby go zmienić. Dopiero teraz rozumiem, jak bardzo za tobą tęskniłam, i jestem w potrzasku.

- Ale nie pfefkadza ci to?

Pocałowała go.

- Nietrafione pytanie. Mam ciebie. Mamy siebie nawzajem. Jeśli nie na zawsze, to na tak długo, jak tylko się da.

Uśmiechnął się w poduszkę.

- Fpaniale - powiedział.

- Jednak nie kupię broni.

- Fpaniale.

Co???

Mimo że Enders i Coil co jakiś czas służyli poradą prawną Waycliffe College, nie udało się zebrać wystarczającej ilości dowodów, żeby postawić kancelarię w stan oskarżenia.

Spiskowcy z Waycliffe i kierownictwo średniego szczebla z Meeding Properties zostali skazani za oszustwa finansowe, nielegalny obrót papierami wartościowymi i utrudnianie śledztwa. Uniewinniono ich od zarzutu współudziału w każdym z sześciu morderstw. Cała wina spadła pośmiertnie na rektora Schuellera.

Enders i Coil potrafili sprzątać po sobie i po swoich klientach.

Sarah Benham, zasłużona była członkini korpusu marines, wynajęta przez Meeding Properties w celu przyspieszenia biegu sprawy o wywłaszczenie i eksmisji Mildred Dash, także została skazana.

Chociaż pracowała w Meeding Properties Security jako specjalistka od rozwiązywania problemów, zajmowała się dodatkowo ubezpieczaniem dzieł sztuki, na czym opierały się jej relacje z Waycliffe College. Przez to w sprawie Meeding Properties kontra Mildred Dash działała na korzyść spiskowców i stała się częścią ich wspólnego kłamstwa.

Gdy po wyjściu za kaucję miała czekać na wyrok, znaleziono ją we własnej wannie, w towarzystwie sześciu pustych szklanek po martini i z podciętymi nadgarstkami.

Prawnicy pozwanych okazali się nie tylko wyjątkowo

utalentowani w naginaniu prawdy bez mówienia kłamstw, ale wiedzieli też, jak odbijać piłeczkę. Udało im się udowodnić, że nagrania wykonane w domu rektora Schuellera były nielegalne, więc „kasety” nie zostały dopuszczone przed sąd w charakterze dowodu.

Nie zostały też upublicznione.

Waycliffe College miało przetrwać destrukcyjną burzę prawd i insynuacji. Szacowna instytucja z czasem odetnie się od niechlubnej przeszłości.

Dla nikogo z zaangażowanych nie było to łatwe.

Jody była skończona u Endersa i Coila, zanim jeszcze rodzina Mildred Dash pozwała kancelarię i Meeding Properties. Obydwie firmy zostały oskarżone o to, że prześladowania i kampania strachu, mające na celu niezgodne z prawem wymuszenie opuszczenia lokalu mieszkalnego, spowodowały przedwczesną śmierć Mildred Dash.

Jody zaprzyjaźniła się ze stroną oskarżającą i w pokoju na piętrze domu z czerwonobrazowego piaskowca przygotowywała się do złożenia zeznań na korzyść bliskich Mildred.

Quinn i Pearl siadywali na sofie z poobiednimi drinkami w rękach i słuchali jej prób, chociaż nie zawsze rozumieli, co mówiła.

- Czy ona sama do siebie gada i sama sobie odpowiada? - pytała Pearl.

- No - mruczał Quinn.

- To niezdrowe.

- Owszem. Dla każdego, kto wejdzie jej w drogę.

- Powinno nas to martwić?

- Nie - odpowiadał jej Quinn. - Zadaje właściwe pytania, więc odpowiedzi pewnie też będą takie, jakie powinny być.

Epilog

Rio de Janeiro, dzisiaj

Osiemset metrów nad Rio, na górze Corcovado, z szeroko rozpostartymi ramionami, jakby błogosławiła leżące w dole miasto, stała figura Chrystusa Odkupiciela. Daniel Danielle także znajdował się w dole względem wyrozumiałej postaci Jezusa. Wyciągnięty na leżaku z wyściełanym zagłówkiem, spoczywał na zalanym słońcem balkonie piątego piętra, twarzą ku skrajowi miasta i plaży w pobliżu Grande Tijuca. Daniel preferował te plaże przy fawelach, w których roiła się spora część żyjących w Rio bezdomnych małych uliczników.

Dzieci ulicy były problemem dla miasta Rio, ale Daniel Danielle patrzył na to inaczej.

Stanowiły szczerwane, zahartowane stadko, jednak zbyt krótki czas spędzony na tym świecie czynił je łatwymi ofiarami. Zdobyczą dla drapiezców. Setki, a może i tysiące takich dzieci dołączały co roku do grona zaginionych. Nikt nie zwracał na to uwagi. Nikogo to nie obchodziło. Nikt ich nie szukał. W Rio biedni znacznie przewyższali liczebnością bogatych i niewiele było pieniędzy na opiekę nad bezdomnymi dziećmi.

Daniel postawił espresso na stojącym obok leżaka okrągłym stoliku z ceramicznym blatem i założył okulary przeciwsłoneczne. Miały szkła korekcyjne, a on lubił grzać się w przedpołudniowym słońcu, czytając najnowsze wydanie „New York Timesa”. Ostatnimi czasy gazeta z pewnością była interesująca, ale to już się skończyło i Daniel wiedział, że teraz wiadomości będą bardziej pospolite.

Przynajmniej przez jakiś czas.

Od czasu do czasu Daniela ciągnęło do podróży, do powrotu do Stanów, do podjęcia dawnego hobby. Wiedział jednak, że bezpieczniej będzie gdzie indziej oddawać się swoim zainteresowaniom. Może miejsce, w którym właśnie przebywał, okaże się idealne.

Ciepła bryza owiała jego gołe nogi. Zdjął okulary korekcyjne i założył zwykłe przyciemniane szkła, przez które lepiej obserwowało się plażę. Uśmiechnął się, jak niemal co rano. Uważał, że ma wiele powodów do uśmiechu. Jego życie toczyło się gładko. Inwestycje dokonywane kradzionymi pieniędzmi zwracały się nadzwyczajnie. Problemy szarych ludzi zostawiał szarym ludziom. Tego, co było mu potrzebne, miał aż w nadmiarze.

Przeciagnął się leniwie, zamknął oczy i postanowił uciąć sobie krótką drzemkę. Potem może poczyni jakieś plany na wieczór.

Jak dar od samego Boga czekały na niego dzieci Rio.

Podziękowania

Autor gorąco dziękuje Marilyn Davis, Sharon Huston i Barbarze Bradley za ich nieocenioną pomoc.

Spryculi Michaeli Hamilton oczywiście też.

Przypisy

- [1] Cytat za Biblią Tysiąclecia, 2 Tm 3,2-5 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Richard Speck - amerykański morderca, skazany za dokonane podczas jednej nocy zabójstwo ośmiu studentek pielęgniarstwa w akademiku w Chicago.
- [3] Lacrosse - gra zespołowa przypominająca hokej na trawie, w której zamiast kijów używa się trójkątnych rakiety. Letni sport narodowy Kanady.
- [4] The Happy Noodle (ang.) - Szczęśliwa Kluseczka.
- [5] Ring-a-Ding Ding - dźwięk dzwonka towarzyszący radosnym emocjom w piosence Franka Sinatry pod tym samym tytułem. Przeszaryżali również wyraz radości lub triumfu, a także uznania dla walorów kobiecej figury.
- [6] Norman Rockwell (1894-1978) - amerykański malarz i autor ilustracji, znany między innymi z prac w wyidealizowany sposób przedstawiających codzienne życie Amerykanów.
- [7] Jeffrey Dahmer, Ted Bundy - osławieni amerykańscy seryjni mordercy.
- [8] Jody ma na myśli zabawę zainspirowaną przez aktora Kevina Bacona, który zagrał w tak wielu filmach, że można połączyć go z większością amerykańskich aktorów filmowych góra sześcioma stopniami (na zasadzie: Bacon zagrał w filmie A z aktorem X, aktor X w filmie B z aktorem Y, a aktor Y w filmie C z aktorem Z. W ten sposób aktor Z jest oddalony o trzy stopnie od Kevina Bacona).